

# JON COURTENAY GRIMWOOD

## EFENDI

arabeska

Przełożył Dariusz Kopociński

SOLARIS

Olsztyn 2005

Efendi Druga arabeska tytuł oryg. Efendi. The Second Arabesk

Copyright © 2003 by Jon Courtenay Grimwood All Rights Reserved

ISBN 83-88431-96-X

Panu dr Jerzemu Łacinie dziękuję za nieocenioną pomoc

Dariusz Kopociński

Projekt i opracowanie graficzne okładki Dorota Bocheńska Korekta Janusz Topor Skład Tadeusz Meszko

Wydanie I

Agencja „Solaris” Małgorzata Piasecka ul. Generała Okulickiego 9/1, 10-693 Olsztyn tel/fax. (0-89) 541-31-17 e-mail: agencja@asolaris.net.pl www.solaris.net.pl

Ujrzałem troje lic w jednym istnieniu: Jedno na przedzie, koloru purpury (...) Prawe oblicze było bladopłowe, Lewe, jak szczepu, który się wywodzi z krain, gdzie wody wpadają Nilowe.

Dante, Piekło, Pieśń XXXIV

7

Prolog

27 pAżt>rieniiUA

- Jest sposób - powiedział Aszraf bej. - Po prostu zabijemy oskarżonego i będzie po krzyku... -  
Ponieważ jego propozycja nie wzbudziła zachwytu, wzruszył ramionami: - Dobra, żartowałem...

Robiło się późno. Jesienny deszcz miarowo bębnił w ciemności na ulicy, gdy siedzący wokół stołu goście Rafa maglowali w kółko wciąż ten sam temat. Odbywała się narada wielkiej lawy przysięgłych, jeżeli - rzecz wątpliwa - tak szumne miano pasowało do trzech sędziów i szefa wydziału śledczego, prowadzących dyskusję w zawilgoconym pomieszczeniu na drugim piętrze.

- No to nieszczęśliwy wypadek - podsunął Raf. - Na schodach w komisariacie zawsze łatwo się pośliznąć. A może samobójstwo za pomocą sznurówek albo paska do spodni... który omyłkowo zostawiono. Oczywiście, jeden z moich ludzi musiałby dostać naganę.

Raf przeniósł spojrzenie z twarzy grafa Ernsta von B, młodego człowieka z Niemiec, na ponurego polityka z New Jersey, kobietę lubiącą się nazywać panią senator Liz. Oboje unikali jego wzroku. Obecny był również sędziwy francuski magnat naftowy, ale siedział tak cicho, że Raf zapominał o jego istnieniu. Zapewne o to mu chodziło.

- Jest jeszcze inne wyjście - ciągnął Raf. - Wyprowadzimy go na dziedziniec i każemy rozstrzelać. Albo, jeśli chcecie, ciało zniknie bez śladu, jakby faceta nigdy nie było. W starych greckich cysternach nie zabraknie miejsca.

Ten pomysł też im nie przypadł do gustu, choć młody szef wydziału śledczego w okularach przeciwsłonecznych od

I

\_Jon Courteny Grimwood

Armaniego, z perłowym kolczykiem w kształcie łezki, zdziwiłby się, gdyby było inaczej... Miał pełnić funkcję magistra, mimo że nikt, a już zwłaszcza on sam, nie wiedział, do czego to go upoważnia.

- Najważniejsze, aby sprawiedliwości stało się zadość - odezwała się gromko pani senator Liz. Mówiła głosem tak samo irytującym jak kilka godzin wcześniej, gdy rozpoczynali naradę.

- Lord Howard. - Raf natychmiast rozpoznał cytat. - Jeden z najgorszych sędziów w historii. Ale nawet on by nie proponował, żeby amerykańska telewizja transmitowała przebieg rozprawy sądowej w Afryce Północnej.

- To nie... - chciał zaprotestować Ernst von B, lecz Raf przerwał mu uniesieniem ręki.

- Posłuchajmy, co nam powie St Cloud - zwrócił się do Francuza. - Pan też uważa, że sprawiedliwość potrzebuje widowni przed telewizorami?

- Ja? - Z wewnętrznej kieszeni marynarki Astolphe de St Cloud wysunął pudełko cygar. I chociaż jaszczurcza skóra nawet w świetle lampy sztormowej pięknie błyszczała, uwagę zwracał przede wszystkim ozdobny zatrzask z emaliowanym wizerunkiem orła, rozkładającego skrzydła i ciskającego błyskawice ze szponów.

Jakby chciał wszystkim przypomnieć, że gdyby rodzice zdecydowali się pobrać, otrzymałby tytuł púnce imperial.

- Zależy, co Wasza Ekscelencja rozumie pod pojęciem sprawiedliwości - stwierdził St Cloud. Przeglądając plik odbitek, zatrzymał wzrok na tej, która przedstawiała dziewczynę z brakującą częścią brzucha. - Jeżeli uznamy, że dowody są dostatecznie wiarygodne, więzień musi stanąć przed sądem. Podobnie jak pani senator Liz, mam jedynie tę obiekcję, że być może al-Iskandarijja nie nadaje się...

Raf wychwycił nutę gorzkiego rozbawienia w słowach markiza. Rozejrzał się po wnętrzu gabinetu, próbując patrzeć oczami człowieka, który zbudował własne imperium biznesu, zarządzane z mauretańskiego pałacu na tunezyjskim półwyspie Cap Bon. I który znalazł się nagle w pozbawionym

elektryczności biurze na rogu Boulevard Champollion i Rue Riyad Pasha, na drugim piętrze zapuszczonego, kwadratowego biurowca

Efendi

rządowego z olbrzymim dziedzińcem, zaprojektowanego zgodnie ze stylem narodowego odrodzenia.

Elewację głównej siedziby policji tworzyły na poziomie parteru płyty z taniego, sztucznego marmuru, a wyżej już tylko szkło. Czarne szyby, jakżeby inaczej. Od razu było widać, że architekt przybył aż z Moskwy.

A gdyby ktoś pytał o wygody... to w wiadrze na środku gabinetu palił się ogień, podsycany drewnem podeschniętego szarańczynu. Odkąd sięgali pamięcią najstarsi podwładni Rafa, to drzewo zawsze wyglądało na obumarłe. Dwaj mundurowi zrąbali je strażackimi toporkami tuż przy samej ziemi. Teraz kawałki zwęglonych polan psykały i skwierczały, kiedy płomyki skakały nad tym najluchszym z piecyków. Dokładnie nad nim, niczym odwrócony muchomor, wisiał u sufitu supernowoczesny czujnik zadymienia. Jednakże nie działał, jak wiele urządzeń w al-Iskan-darijji od czasu wybuchu bomby elektromagnetycznej.

Okno za plecami Rafa, które kiedyś automatycznie adaptowało się do warunków oświetlenia, zostało przystosowane do odprowadzania dymu... również za pomocą toporka. Przez roztrzaskaną szybę wpadały krople deszczu, a wiatr nawiewał słone powietrze znad Portu Wschodniego.

- Cokolwiek postanowimy - powiedział Raf - sprawiedliwość będzie po naszej stronie. - Mówił już poważnie, bez śladu ironii w głosie. - A ponieważ morderstwo popełniono na terenie jurysdykcji chedywa, będę się upierał, żeby rozprawa odbyła się w al-Iskandarijji.

Senator Liz pokręciła głową.

- Odpada - stwierdziła. - Trzeba wybrać inne miejsce. Niech pan nie myśli, że będziemy pracować w tych warunkach...

- Nie przypominam sobie, żeby ktoś prosił panią o pomoc. - Czarne okulary przeciwsłoneczne skierowały się na kobietę. Tamte osoby sam wybrał, inaczej było z panią senator: praktycznie domagała się uczestnictwa w posiedzeniu wielkiej ławy przysięgłych. Ba, stwierdzenie „praktycznie” w tym przypadku było nadużyciem.

W oddechu krępej kobiety Raf wyczuwał woń dżinu, zaś od niej samej nieprzyjemnie zajeżdżało potem. Skoro nawet St Cloud i Ernst von B umyli się w deszczówce, Amerykanka mogła pójść w ich ślady.

10\_Jon Courtenay Grimwood

- Wasza Ekscelencjo - powiedział Ernst von B - trudno się nie zgodzić z panią senator Liz. Tutaj nie będzie łatwo... - Młody Niemiec mówił powoli, posługując się typowo podręcznikowym językiem arabskim, zapewne przez wzgląd na uprzywilejowaną pozycję Aszrafa beja. Aczkolwiek zachodziło podejrzenie, że robi to specjalnie na złość Amerykance, która nie znała obcych języków.

- Nigdzie nie będzie łatwo. Moja decyzja jest ostateczna. - Raf wstał z krzesła. Własnego krzesła,

bo to był jego gabinet. I to jego nazwisko wygrawerowano na drzwiach, na śmiesznie długiej mosiężnej tabliczce: Jego Ekscelencja pasza-zade Aszraf bej, pułkownik Aszraf al-Mansur, naczelnik Wydziału Śledczego.

Kazał oficerowi skołować zwykłą plastikową tabliczkę z nazwiskiem, ale w al-Iskandarijji nie tak podchodzono do tych rzeczy. Długa tabliczka pojawiła się nazajutrz po tym, jak Raf dostał robotę. Raz w tygodniu, w czwartki, wspinała się tu z parteru cypryjska sprzątaczką, żeby wypolerować mosiądz.

- Ekscelencjo?

Kiedy Raf się odwrócił, St Cloud stał obok niego, wsparty na lasce ze srebrną gałką.

- Pan raczył żartować, mówiąc o tych schodach, nieszczęśliwych wypadkach... Da mi pan słowo, że oskarżony stanie przed sądem?

Jasnowłosy szef wydziału śledczego kiwnął głową.

- Ma pan moje słowo.

Rozprawa odbędzie się, i to wkrótce. Wszystko na to wskazywało, że oskarżony, niejaki Hamza efendi, zostanie uznany winnym. Szkoda tylko, że Hamza był ojcem dziewczyny, z którą Rafa swatano.

10 Jon Courtenay Grimwood -

- Wasza Ekscelencjo - powiedział Ernst von'B - trudno się nie zgodzić z panią senator Liz. Tutaj nie będzie łatwo... - Młody Niemiec mówił powoli, postugując się typowo podręcznikowym językiem arabskim, zapewne przez wzgląd na uprzywilejowaną pozycję Aszrafa beja. Aczkolwiek zachodziło podejrzenie, że robi to specjalnie na złość Amerykance, która nie znała obcych języków.

- Nigdzie nie będzie łatwo. Moja decyzja jest ostateczna. - Raf wstał z krzesła. Własnego krzesła, bo to był jego gabinet. I to jego nazwisko wygrawerowano na drzwiach, na śmiesznie długiej mosiężnej tabliczce: Jego Ekscelencja pasza-zade Aszraf bej, pułkownik Aszraf al-Mansur, naczelnik Wydziału Śledczego.

Kazał oficerowi skołować zwykłą plastikową tabliczkę z nazwiskiem, ale w al-Iskandarijji nie tak podchodzono do tych rzeczy. Długa tabliczka pojawiła się nazajutrz po tym, jak Raf dostał robotę. Raz w tygodniu, w czwartki, wspinała się tu z parteru cypryjska sprzątaczką, żeby wypolerować mosiądz.

- Ekscelencjo?

Kiedy Raf się odwrócił, St Cloud stał obok niego, wsparty na lasce ze srebrną gałką.

- Pan raczył żartować, mówiąc o tych schodach, nieszczęśliwych wypadkach... Da mi pan słowo, że oskarżony stanie przed sądem?

Jasnowłosy szef wydziału śledczego kiwnął głową.

- Ma pan moje słowo.

Rozprawa odbędzie się, i to wkrótce. Wszystko na to wskazywało, że oskarżony, niejaki Hamza efendi, zostanie uznany winnym. Szkoda tylko, że Hamza był ojcem dziewczyny, z którą Rafa swatano.

Efendi

11

Rozdział 1

11.1.1

Zanim na górnym piętrze komisariatu przy Boulevard Champollion odbyło się posiedzenie wielkiej rady przysięgłych, dziewięć dni wcześniej Aszraf bej siedział przy stoliku na zewnątrz kawiarni Le Trianon i napawał się ciepłym iskanda-ryjskiego wieczoru. W głowie mu szumiało, gdy popijając cappuccino, słuchał DJ Avata, który prześmiewczo parafrazował słowa greckiego filozofa.

Zamarły echa wezwania na popołudniową modlitwę, wykrzyzanego z minaretu przy Boulevard Saad Zaghloul, a dzwony kościoła l'Eglise Copte jeszcze się nie odezwały. Gdyby na miasto nie padał cień zagrożenia, byłby to kolejny październikowy poniedziałek, jakich wiele.

Konne powozy z wypolerowanymi na połysk piastami kół i mosiężnymi elementami przetaczały się z turkotem promenadą Corniche, na północ od strony grubego wału nadmorskiego zwanego Silsileh ku Fortowi Kait Beja, gdzie ongiś wznosiła się latarnia na Faros. Na obu końcach promenady - zarówno przed fortem, jak i wałem, w cieniu słynnej Biblioteki Aleksandryjskiej - grupy turystów obserwowały rybaków, zajętych naprawą i rozplątywaniem sieci lub nakładaniem haczyków w oczekiwaniu na wieczorny przyptyw.

Dzięki turyście słuchającemu ostro podkreślonego radia, który opuścił szybę w mijającej kawiarni taksówce, Raf miał okazję po raz chyba setny posłuchać najpopularniejszego w tym mieście disc jockeya.

-1 pamiętajcie - darł się Avatar ochrypłym głosem ulicznego sprzedawcy - rdza nie śpi! Wylezie z zaścierdziałych ryszotków, żebrze bonzów i baronów...!

12

Jon Courtenay Grimwood

Oficerowie Rafa myśleli, że DJ Avatar sam wynalazł ten swój SpitNoWhere, PlućNieWolno... jeśli w ogóle ruszali mózgowicą, co jego zdaniem zdarzało się im bardzo rzadko. A zatem szwendali się radośnie po korytarzach głównej siedziby policji, pogwizdując pod nosem, chociaż nie wiedzieli, że w oryginalnej, nie skróconej wersji szło to mniej więcej tak: „W bogatym domu nie wolno pluć, chyba że w twarz właścicielowi”.

Jeszcze niedawno Raf nie zdawał sobie z tego sprawy, ale oświecił go lis. Nawet on nie potrafił jednak wyjaśnić, dlaczego adiutant Generała dostarczył Rafowi rysunek ze scenką z piekła, opatrzony napisem: Na dnie piekła nie ma ognia - choć przynajmniej rozpoznał styl: wiktoriański w jego końcowej fazie. Autor: bezsprzecznie Gustave Doré...

„No wiesz - rzekł lis, zanim to wszystko się stało - takie rzeczy po prostu się zdarzają”.

Lisa stać było na szeroki uśmiech kota z Cheshire, jednakże żaden kot na świecie nie posiadał tylu zębów ani nie przykrywał ogonem ramion, jakby owijał się szalem. A skoro o tym mowa, to żaden nie pił herbaty po południu w Le Trianon.

„Takie rzeczy” odnosiły się do wyboru Rafa na naczelnika wydziału śledczego z braku innych kandydatów czy jego niedawnej odmowy poślubienia córki miliardera.

- Ale czemu? - zapytał ponownie Raf. - Czemu się zdarzają?

Lis nie odpowiedział.

Raf westchnął i aby złagodzić posmak taniej metamfetami-ny, napił się chłodnej kawy. Skupił się na oglądaniu przechodniów, którzy przelewali się obok stolika, odgradzeni od niego jedwabnym sznurem i obstawą złożoną z dwóch niezwykle czujnych ochroniarzy.

Jeżeli już ktoś patrzył w oczy Rafowi, to zazwyczaj był turystą, nie znającym miejscowych układów. Tacy widzieli w nim jedynie blondyna w ciemnych okularach, ubranego w dziwny, staroświecki garnitur ze stójką.

- Co tak milczysz? - Raf szukał lisa w głowie. - Mnie możesz powiedzieć.

Nie przejmował się obecnością ochroniarzy, którzy popatrzyli po sobie ukradkiem i zaraz przybrali obojętną minę. Był pewien, że mogliby dojrzeć łzy wypływające mu spod okularów, ale i to go nie obchodziło.

Efendi

13

Lis już się z nim żegnał, od lat bliski śmierci. Źle wpływały na niego problemy z dostępem do pamięci, awarie zasilania i fakt, że ostatnio żywił się wyłącznie neonowym światłem.

Swego czasu Tiri działał wyśmienicie. Karmił się światłem dziennym, podczerwonym i ultrafioletowym, a przynajmniej tak twierdził. Światło widoczne, światło niewidoczne - dawniej wszystko mu wystarczało. Wyostrzał refleks Rafa, łagodził nerwy i dawał dobre rady. Zastępował rodziców...

Małe ceramiczne pudełko, schowane w czaszce za uchem. W znacznej mierze chroniło go przed szaleństwem i nadawało pewnemu miejscu w jego ciele pierwszorzędne znaczenie. Dawno temu w odległym kraju, kiedy Raf był chłopcem, lis przeprowadził go po stalowej krokwi, choć wokół huczał ogień i waliły się ściany.

Życie wszelako nie było proste, ponieważ lis, rzecz jasna, nie chciał się przyznać, że istnieje. Jego zdaniem, Raf powinien spróbować rozgryźć samego siebie.

- Wasza Ekscelencjo...

Ktoś się nad nim kręcił.

- Nie trzeba - rzekł i kelner odszedł, zadowolony, że dano mu spokój.

Raf znów się zajmował patrzeniem na turystów ciągnących od strony Place Saad Zaghloul, szukających barów, teatrów lub po prostu najkrótszej drogi do hotelu.

Po stu jedenastu dniach spędzonych w mieście rozróżniał przyjezdnych, jakby mieli na czołach wypisane, kim są: drepczących kaczym chodem Austriaków, ciemnowłosych Francuzów, rzadziej

spotykane grupki rosyjskich marynarzy w cywi. Inym ubraniu. Czasem nawet trafiała się rumiana Angielka w jedwabnej chuście i zmysłowych bucikach. Najczęściej jednak spotykało się ładne pary, co nie dziwiło w mieście słynnym z romantycznej atmosfery.

Samotni miłośnicy nieskrępowanego seksu w strojach nachalnie trendy, z tatuażami i poprzekluwanym ciałem, wychodzili na łąsy dopiero po zmroku, i to tylko w określonych rewirach. W takich miejscach jak PeshVille, gdzie w kiblach młodzi Skandynawowie wciągali na sedesie kokę przez słomkę, a dziewczyny w ciemnych kątach rozpinaty rozporki nabuzowa-nym chłopcom, którzy zapominali, że tutaj nie ma bezpiecznych kryjówek, jak w ich swojskich uczelnianych zakątkach.

14

Jon Courtenay Grimwood

Ale to nie oni stanowili o duchu al-Iskandarijji, ani też nie zagraniczni DJ-e, którzy goszcząc tu równie krótko co ich klientela, rozbijali się po mieście w limuzynach. Podobnie było w Kurytybie, Berlinie, Kota Baru czy Punta del Este. Raf nie interesował się nocnymi klubami. Zajmowała się nimi specjalna komórka policji.

- Jesteś tam czy nie?

Liczył sekundy, nasłuchując znajomego echa w głowie. Pewnej zimowej nocy, kiedy miał dziesięć, może jedenaście lat i uzał się nad swoim losem - co zdarzało się niezwykle rzadko

- zapytał lisa, czy ma (on, Raf) duszę. Lis zamilkł na długo.

Działo się to w tamten weekend, kiedy odmówił pójścia do kaplicy. Pięć razy z rzędu, mimo chłodu i śniegu, kazano mu biegać w kółko po boisku za szkołą, gdy tymczasem inni pod ciepłym dachem śpiewali pieśni religijne. Komentując to kilka miesięcy później, lis stwierdził krótko, że trzeba było poczekać do lata z tym traceniem wiaty.

Może szkolnym przeżyciom zawdzięczał, że usłyszał w głowie lisa. A może sprawiła to matka. Należało liczyć się z także tym, że lis, jak sam mówił, jest i zawsze był tworem jego wyobraźni.

Westchnął.

- Doczekam się na odpowiedź? - zapytał z rozdrażnieniem.

- Czy mam dłużej gadać do siebie jak idiota?

- Wasza Ekscelencjo. - Tym razem podszedł do niego sam właściciel kawiarni. Raf machnął ręką, aby go odgonić, lecz facet jakby wrósł w ziemię: sprawa musiała być na tyle pilna, że przezwyciężył onieśmielenie. - Generał dzwoni z Nowego Jorku. - Trzymał w dłoni przestarzały telefon. - Mówi, że to bardzo ważne.

Raf pokręcił głową i omal nie parsknął śmiechem, widząc przerażenie na twarzy swojego rozmówcy. Nikomu nie przyszło-by do głowy uciekać od rozmowy z Generałem Saidem Koenigiem Paszą, Jego Ekscelencja Aszraf bej nie mógł być wyjątkiem.

- Co mam mu powiedzieć? - zapytał histerycznie właściciel lokalu.

Raf namyślał się długo, aż szczipły mężczyzna z telefonem zaczął się wiercić ze zdenerwowania.

- W porządku - rzekł wreszcie. - Powiedz mu, że mój lis umiera.

Efendi

15

Rozdział 2

19 października

Jeden z pierwszych tego dnia tramwajów przetoczył się z dudnieniem Rue Moharrem Bej w kierunku dworca Misr, objechał cichy szereg taksówek stojących na Place Gumhuriya i ruszył na zachód, wbijając się w Boulevard Sherif. Po drodze minął otwarte frontowe drzwi medresy al-Mansur.

Na pierwszym piętrze medresy, w małym pokoju w haramliku, dziewięcioletnia dziewczynka, przez wszystkich zwana Hani, spała snem niespokojnym, choć czuwała nad nią \*kucharka z katolickiego kraju. Kobieta dość kiepsko znała język arabski, co jednak nie przeszkodziło jej zaprzyjaźnić się z patykowatym sudańskim odźwiernym, który teraz siedział po turecku na wysłużonych kamiennych schodkach przed domem i wolno rozmawiał przez telefon komórkowy, model z poprzedniej epoki.

- Tak, Hamza efendi - mówił, przyglądając się pustawemu tramwajowi. - Wiem, gdzie można znaleźć Jego Ekszelencję. Siedzi jeszcze w Le Trianon. - Chartum przez chwilę słuchał. - Zmaga się ze złym dzinnem! - odpowiedział i przerwał połączenie.

Pasażerami tramwaju było dwóch turystów wracających na kwatery po\* całonocnych przygodach oraz trzech tubylców jadących do pracy: kucharz od przygotowywania szybkich posiłków, pokojówka i straganiarz z nędznego bazaru. Komunikacja miejska była tania, bo od tego zależało byt większości pracowników branży usługowej.

W późniejszych godzinach w całym mieście słyszało się skrzeczenie mew, lecz o tak wczesnej porze krążyły kupą nad patroszarnią, zaciekle walcząc o rybie wnętrzności wyrzucane

16

Jon Courtenay Grimwood

do wody ze stołów. Wiele lat temu, kiedy kobiety z ostrymi jak brzytwa nożami do filetowania były jeszcze dziećmi - a może nawet wtedy, kiedy dziećmi były ich matki - chędyw zabronił rybakom wyrzucać do morza resztek złowionych nocą zwierząt. Nie sprzedane ochłapy miały być rozrzucone i przeorane na jałowych rubieżach delty celem użyznienia gleby. Potem jednak, gdy wybuchła pierwsza epidemia grypy i brakło fellahów do zbierania plonów marniejących na polach, nikomu nie zależało na zwiększaniu zbiorów kukurydzy. Od tamtej pory zwierzęce odpadki wędrowały do morza.

W końcu mewy się rozproszyły, zorze poranne zgasły nad horyzontem i nad wodami zatoki Glimonopolo śmiało wzeszło słońce. Zawitał kolejny wtorkowy poranek.

Odmykano drzwi i okiennice. W budynkach z czerwonej cegły kobiety w średnim wieku spoglądały na swych brzuchatych chłopów, wspominając ciemnookich młodzieńców, obietnice ślubne i utracone dziewictwo; mężczyźni zaś tęsknili za tamtymi gibkimi dziewczynami, z którymi się żenili, a potem gdy patrzyli w lustro, dziwili się niepomnie, jak to się człowiek potrafi zmienić.



Nad brzegiem zatoki Glimonopolo, w pięknie otynkowanej willi - arogancko wystawnej niczym pałac konkwistadora - otyły przemysłowiec wyłączył telefon i z ciężkim westchnieniem chwycił rewolwer.

Ile razy jeszcze?

Przed Hamzą efendim pysznił się nagi anioł. Skrzydła szeroko rozpostarte, piersi pełne - trochę jak u matki, którą ledwo, ledwo pamiętał. Tyle że anioł miał jasną karnację, blond włosy i dostojne rysy, czego nic mógłby o sobie powiedzieć żaden z krewnych Hamzy. Zamieszkiwał stronę wyrwaną z książki napisanej w obcym języku. Na odwrocie pisało: Jedynie tutaj znajdziesz ukojenie. Apollyon. Generał Koenig Pasza zapisał te słowa swoim starannym, kaligraficznym pismem tuż pod tytułem brzmiącym: „La divina commedia di Dante Alighieri: Paradiso”.

Razem z rysunkiem dostarczono spluwę. Taka była odpowiedź gubernatora, którego rozpaczliwie prosił o pomoc.

Jeśli się postrzeli, urodę szlag trafi, dobrze o tym wiedział. Kiepska sprawa. Spory hufiec nałożnic, dwadzieścia z hakiem,

Efendi

17

zapewniał go, że ma ciemne oczy myśliwego, usta poety i profil cesarza... założyciela dynastii, oczywiście, nie zaś następujących po nim słabeuszy, nerwusów ze ściętymi podbródkami, których duszono we śnie złotym sznurem.

Podbródek Hamzy sterczał tak dumnie, że wzrok właściwie omijał rozbudowaną szczękę i tłustą szyję. Miał obwisłe policzki, których jego partnerzy w interesach nie pamiętali, gdy wracali wspomnieniami do spotkań; jakoś tak się działo, że niedostatki szły w niepamięć, a pozostawało jedynie wrażenie siły.

Chwilę później, po napiciu się z kryształowej szklanki, Hamza odłożył broń.

Ile razy jeszcze?

Ty tchórze!

Alkohol prawdę ci powie. Nie no. żartowałem... Kłamstwo! Ludzie w takiej sytuacji nie żartują. Tak samo i Hamza, chociaż osobą, na którą psioczył, był on sarn. Oczywiście, chętnie by się wyładował na Aszrafie al-Mansurze, lecz świeżo upieczony szef wydziału śledczego nie odbierał telefonów.

Przełknąwszy jeszcze jeden łyk czystej whisky Laphroaig, dolał sobie i starannie schował flaszkę do dolnej szufladki oklejonego dębem biurka. W al-Iskandarijji alkohol był zabroniony, dostępny jedynie dla turystów i w niektórych barach, działających przy prestiżowych zagranicznych hotelach. W innych przypadkach należało się zaopatrzyć, w pisemną zgodę Generała. Hamza szczerze popierał prohibicję, ponieważ drobną częścią jego rozlicznych interesów stanowił przemyt alkoholu, dostarczanego do nielegalnych klubów, których najczęściej sam był właścicielem.

W jego pamięci nie zachowały się wspomnienia dziewczyny z zadartymi piersiami i szczupłą talią. Podobnie jak jego żona zapomniała o czarnookim chłopaku, który rozpałał ją do czerwoności. Ich małżeństwo nastąpiło wskutek pisemnej umowy, a w tym wszystkim jedyną niezwykłą rzeczą było to, że do wspomnianej umowy doprowadził, przynajmniej teoretycznie, sam Hamza. Niewydarzonv

ojciec Rahiny miał wobec niego długi, które częściowo spłacił, oddając mu córkę.

Hamza wolałby pieniądze.

Zastanawiał się, choć właściwie tylko przemknęło mu to przez głowę, jak Rahina da sobie radę z wdowieństwem. A może jej życie się polepszy? Szmalu jej nie braknie. W Villi nigdy nic

18

Jon Courtenay Grimwood

czuła się najlepiej, więc prawdopodobnie wyjedzie z miasta. Zamieszka w wiejskiej posiadłości na obszarze delty bądź przeprowadzi się do Tunisu lub Algieru, gdzie nikt jej chyba nie będzie wypominał haniebnych czynów męża.

Hamza wrócił myślami do bieżących spraw.

Testament. Podpisany w obecności świadków.

Faktury. Odpowiednio sfałszowane. Oryginalne dane zostały zniszczone zgodnie z zaleceniami Narodowej Agencji Bezpieczeństwa: nadpisane i ponownie wykasowane.

Akt własności domu.

Świadectwa udziałowe... Te dotyczyły głównie Hamza Enterprises, Quitrimala Industries oraz podmorskich i sudańskich pól naftowych. Ostatnio Francuzi i Niemcy wyrazili zainteresowanie odkupieniem jego udziałów, lecz dogadywać się będą z wykonawcą testamentu.

Konta bankowe, te oficjalne i te dotąd ukrywane.

Przedśmiertny list. Nigdy nie był dobry w pisaniu, więc zdecydował się na cytaty z wiersza, którego kiedyś nauczył się na pamięć - dawno temu, nad brzegiem rzeki, będąc małym chłopcem. Kochałem cię, stąd mój testament na niebie między gwiazdami... Możliwe, że pomylił się przy co drugim słowie, ale to nikogo nie zdziwi.

Wszystko więc przygotowane, dalej wypadki potoczą się swoją kolejną. Giełdowe notowania Hamza Enterprises spadną, ale tylko na początku, potem wrócą do pierwotnego poziomu. Rafineria Midas, ktokolwiek stanie na czele zarządu, nadal będzie przerabiać ropę naftową na gotówkę, bo cena baryłki gwałtownie szła w górę. Tylko w nielegalnych klubach, burdelach i dyskotekach rozpocznie się walka o schedę, co jednak prędzej czy później i tak by się stało...

To z jego winy rewolwer kalibru .33 cala tak bardzo śmierdział smarem. Już od tygodnia w każdej wolnej chwili czyścił go i pucował, aż gwint w lufie uzyskał metaliczny połysk, a bębenek obracał się tak lekko, jakby broń była nowiuteńka... a przecież liczyła sobie sto dwadzieścia lat.

Nadeszła chwila, kiedy wreszcie mógł wciągnąć w usta jej zabójcze tchnienie. Tyle że brakowało mu odwagi.

Pierwszą broń dostał do ręki w wieku mniej więcej dziesięciu lat. W tamtych czasach fellah nie znał dokładnego dnia swo-

Efendi\_19

ich urodzin. Często nie znalazł nawet rodziny. Bywały noce, kiedy żałował, że nie jest jednym z nich. Szybko jednak znajdował wymówki dla swojego dobrobytu, próbując sobie wyobrazić, jaki musiał wieść żywot jego niepiśmienny wujek w Abu Simbcl, gdy był do cna spłukany, wokół wrzała mała wojna, żona i siostra zginęły i został mu tylko mały siostrzeniec.

O, nie. Hamza lekko pokręcił głową. Dzieci, odpowiedzialność, przeszłość - do tych rzeczy nie zamierzał wracać. Bo wtedy narzucały się myśli o...

Nie bój się ciemności.

Rękojeść rewolweru, trzymana w sposób odwrotny, wyglądała dość dziwnie, gdy trzy palce obejmowały uchwyt z kości słoniowej, a jeden zawijał się na spuście. Tylko jedna komora naboje była pełna, albowiem Hamzie wystarczył jeden strzał, jedno uderzenie kurka.

Patrz, jak bieleją ci knykcie.

Każdy krok w jego życiu zbliżał go do tej chwili. Od chałupy nad brzegiem Nilu do gabinetu wyłożonego boazerią z dębu szypułkowego, w kamiennej willi nad zatoką Glimono-polo. Symetria, powiedziałaaby jego córka Zara. Może sytuacja modelowa. Zara lubiła naukowe sformułowania nie mniej niż kiepskich polityków.

Od niczego do niczego.

Ale on się wzdrygał - z przyczyn tak samo wstrętnych jak powód, dla którego zamierzał to zrobić. Pozostało mu zmierzyć się z tym, co nieuniknione.

Wyrwał z ust lufę broni, wykręcił się na obrotowym fotelu i rozwalił głowę marmurowej dziewczyny z wylękłymi oczami niewolnicy i wąskimi, naprężonymi pośladkami renesansowego katamity. Rozproszone odłamki kryształowej fryzury odbiły się rykoszetem od bomboodpornej szyby w oknie i pokaleczyły dębową boazerię. Zawyły alarmy i zanim opadła marmurowa mgiełka, rozległ się tupot osób biegnących korytarzem.

Alex się zdenerwuje, Rahina wpadnie w szal, francuska szefowa kuchni zareaguje z milczącą dezaprobatą. Hamza liczył się jedynie z uczuciami Alexa. W Afryce Północnej ciężko o dobrego ochroniarza, a będzie takiego mocno potrzebował.

- Szefie! - Barczysty Rusek wyhamował z gotowym do strzału automatem i świecącym celownikiem laserowym. Czerwona

â

20\_Jon Courtenay Grimwood

kropka zatańczyła na ścianach i zastygła, kiedy ochroniarz się zorientował, że w zdemolowanym gabinecie nie przebywa nikt obcy.

- Nie ma do czego strzelać - rzeki Hamza. - Chyba że chciałbyś załatwić tę tutaj. - Swoim ciężkim podbródkiem wskazał rozbitą driadę i zmrużył oczy. kiedy Alex roztrzaskał najpierw jedno, potem drugie ramię posągu. Ostatnie dwa strzały rozłupały rzeźbę w kolanach.

- Może być?

- Owszem. - Hamza zakaszał. - Niezła rozwałka.

Posąg był podróbką, wiktoriańską kopią renesansowego oryginału, umieszczonego w muzeum z kolekcja Russella Coate-sa w Bournmouth, ośrodku wypoczynkowym gdzieś w Anglii. Hamza znienawidził tę rzeźbę od pierwszego wejrzenia, a kupił ją tylko po to, żeby dokuczyć żonie, której zdaniem wszystkie posągi były wstrętne Bogu. cóż dopiero posągi nagich kobiet. Do dziś nie wybaczyła mężowi, że kazał się sportretować.

- Pan się nudzi, szefie? - Dawny komandos rosyjskiego Specnazu dostrzegł pustą szklankę na biurku. - Może się zabawimy, chce pan? Odwiedzmy jeden z pańskich klubów.

- Jakich znowu klubów? - Niewysoka kobieta stanęła w progu i gniewnym wzrokiem zmierzyła najpierw szczątki posągu, potem Hamzę. - Podobno odsprzedałeś te kluby.

Madame Rahina miała na sobie majątek w postaci złotych bransolet i wielkich szafirowych kolczyków, które piękną wartością nadrobiły brak elegancji. I choć pył wiercił w nosie, wyraźnie czuć było ciężki zapach perfum.

Całą swoją złość skierowała na męża. W którymś momencie podróży przez życie, od córki nijakiego nauczyciela do żony znanego przemysłowca, poznała ważną w al-Iskandarijji sztukę: jak nawet w największym ścisku od razu namierzyć liczące się osoby. Choć od pięciu lat psuło jej humor wspomnienie tamtego rautu u Generała, pierwszego i ostatniego w jej życiu. Wówczas Koenig Pasza nawet na nią nie spojrział.

- No, słucham! - Domagała się odpowiedzi. - Sprzedałeś te kluby czy nie?

Hamza kiwnął głową. Jasne, sprzedał je co do jednego. Samemu sobie pod inną postacią, a zaraz potem je wydzierżawił.

Efendi

21

- Oczywiście, że sprzedałem. - Cóż, „samemu sobie” znaczyło pewnemu DJ-owi o ksywie Avatar. Wybrał chłopaka częściowo z sentymentu (wiedział o sobie, że jest sentymentalny; nie spotkał jeszcze gangstera, który by nie był), ale i tak przeważył zdrowy rozsądek. Chciał nagrodzić Avatara za niebagatelną przysługę, którą ten wyświadczył mu przed trzema miesiącami, pewnej ciepłej nocy na początku lipca, kiedy nie zapowiadało się jeszcze na drakę.

22

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 3

7 1i | KA

Na wschodnim końcu malowniczej promenady Corniche, gdzie bogate wille, zbudowane w stylu palladiańskim z importowanego wapienia, zachwycały schodzącymi do samego morza ogrodami, pod letnim sklepieniem gwiazd pływała dziewczyna, naga i oszołomiona po zażyciu redRiffa. Czyli nie było z nią aż tak źle jak przed kilku laty, kiedy nakręcała się farmaceutycznie czystym siarczanem

amfetaminy, jaki można nabyć w klinikach odchudzania, gdzie skrupulatnie sprawdza się wiarygodność kredytową klienta, za to nikt nie przejmuje się wagą jego ciała.

Blondyn opuszczający najwspanialszą z tych willi jeszcze jej nie zobaczył, bo miał głowę zaprzętą najrozmaitszymi myślami - takimi jak ta, że poszukiwano go w związku z morderstwem. Ale już niebawem miał ją dostrzec.

W willi, gdzie przed chwilą gościł Aszraf al-Mansur, Avatar odsunął srebrzyste dredy znad roziskrzonych oczu i zapomniał o szczyryku, którym wydfubywał brud spod paznokci. Wyrobił w sobie ten nawyk po obejrzeniu starego filmu.

Hamza wiedział o tym. Gdy widział, jak młodzi powielają jego własne wady, tracił nad sobą panowanie albo się uspokajał. 1\m razem starał się nie denerwować.

- Zara pływa. Wiesz o tym?

Hamza efendi pokiwał głową.

- I wiesz, że jest... cała... no...

Hamza nic nie mówił, ale owszem, o tym też wiedział. Pływała nago. Rozmawiali o córce Hamzy, która teoretycznie powinna teraz spać u siebie na górze. O dziewczynie, której mężczyzna idący na plażę niedawno publicznie dał kosza.

Efendi\_23

- Zresztą, co za różnica... - Tym razem Avatar wzruszył ramionami. Rzeczy, które w jego mniemaniu powinny zmartwić staruszka, czasem nie robiły na nim żadnego wrażenia. A rzeczy pozornie błahe często go wkurzały. Dlatego chłopak czuł, że stąpa po kruchym lodzie, choć ze wszystkich sił starał się nad sobą panować.

- Słyszałeś, co powiedział Aszraf bej? - zapytał Hamza głosem ochryłym po kilku dobrych cygarach i kieliszkach wyśmienitej whisky.

Avatar słyszał, oczywiście.

- Wierzysz mu?

Chłopiec wzruszył ramionami. Skąd miał wiedzieć, jak wygląda typowy morderca? Bej był po prostu jasnowłosym księciuniem, w jednej połowie Berberysem i w drugiej chrześcijaninem, najczęściej ubranym w jedwabny garnitur i okulary od Armaniego. A to stawiało go poza skalą porównawczą Avatara. Póki córka Hamzy, wcielając się w swoją ulubioną rolę „towarzyszki Żary”, nie namierzyła Ava, by wyciągnąć go z rynsztoka, wydawało mu się, że możliwość spania we własnym kącie w bramie to szpan.

- Ja tam nikomu nie wierzę.

Hamza uśmiechnął się.

Avatar wszedł przez okno kilka sekund po tym, jak Raf po wyjściu przez balkon, niczego nie przeczuwając, ruszył ku skalom, wśród których, opromieniona świetlistymi płomykami, pływała Zara.

- Słuchaj, Kainil...

- DJ Avatar, Av, Avatar. SpokoBoj - sprostował chłopak bezwiednie. Strzelił propozycjami jak z karabinu maszynowego. Nie reagował już na imię Kamil, podobnie jak nie korzystał z drzwi w Villa Hamza. Tym drugim zwyczajem w zasadzie okazywał uprzejmość człowiekowi, który teraz siedział po przeciwnej stronie biurka.

Pewnego razu przed czterema laty Avatar kopnął madame Rahinę, która z pewnością nie była jego prawdziwą matką. Ta wymogła na ojcu przyrzeczenie, że nigdy już nie pozwolił Ava-tarowi przestąpić progu domu.

No i Avatar nie przestąpił.

- Av... - Hamza efendi urwał i sięgnął po cygaro. W porę sobie przypomniał o złotej gilotynie do obcinania końcówki.

W g

J\*

24

Jon Courtenay Grimwood

Przez całe życie odgryzał ją i wypluwał, więc teraz ciężko mu było walczyć z tym nałogiem. Wytłumaczyłby Avatarowi, czemu wysłał beja w stronę miejsca, gdzie kąpała się njrgo jego córka... lecz słowa „nic było innego wyjścia” nie chciały mu przejść przez gardło. Właściwie żadne słowa, które mógł uznać za stosowne. Zaciągnął się więc partegasem i pomyślał o prawniku, czekającym niecierpliwie w holu.

Jeszcze trochę wytrzyma. Cokolwiek chłopiec miał mu do powiedzenia, rozmowa nic potrwa długo.

- Potrzebujesz pieniędzy?

Avatar uśmiechnął się promiennie. Jasne, że potrzebował kasy. Wszyscy potrzebowali. Z wyjątkiem siedzącego przed nim bogacza. Ale nie po to tu przyszedł.

- Dziennikarz pytał o ciebie.

- Niewierny? - Któżby inny? Hamza miał w kieszeni prawie całą lokalną prasę; ci nieliczni, którzy nie jedli mu z reki, odpuszczali sobie, i to nie ze względu na swój skrzywiony kręgosłup moralny, ale dlatego, że trzymał ich za jaja.

- Anglik. Przynajmniej z zachowania. No wiesz...

Wiedział. Wprawdzie takie mówienie nie uchodziło za

stosowne, ale czasem trudno było odróżnić Araba od niewiernego, póki ten nie zaczął machać paszportem lub szastać pieniędzmi.

- Niech no zgadnę... - Otyły mężczyzna uśmiechnął się i pozwolił, by dym z cygara uleciał w

stronę sufitu. Co prawda, uśmiech nie rozjaśnił mu oczu, a dym rozproszył się w przeciągu, nim dotarł do szeregu obrazów. - Zorganizowana przestępczość na osmańskim gruncie?

Avatar pokręcił głową przecząco.

- No cóż, na pewno nie chodzi o rafinerię, bo musiałby mieć do czynienia z moim biurem prasowym.

Rafineria powstała na zachód od al-Iskandarijji, w miejscu gdzie slumsy wychodziły na pustynię. W przemyśle starającym się wszelkimi sposobami poprawić swój wizerunek Midas przeskoczył cała epokę. Stypendia, granty naukowe, zapomogi dla najbiedniejszych, wspieranie biologii morskiej, program przeciwdziałania zanieczyszczeniu środowiska na Uniwersytecie Rutgersa. Za wypadki bezzwłocznie przepaszano, sceptyków witano z otwartymi ramionami, prace naukowe poddawano

I

24

Jon Courtenay Grimwood

Przez całe życie odgryzał ją i wypluwał, więc teraz ciężko mu było walczyć z tym nałogiem. Wytłumaczyłby Ava tarowi, czemu wysłał beja w stronę miejsca, gdzie kąpała się nago jego córka... lecz słowa „nie było innego wyjścia” nie chciały mu przejść przez gardło. Właściwie żadne słowa, które mógł uznać za stosowne. Zaciągnął się więc partegasem i pomyślał o prawniku, czekającym niecierpliwie w holu.

Jeszcze trochę wytrzyma. Cokolwiek chłopiec miał mu do powiedzenia, rozmowa nic potrwa długo.

- Potrzebujesz pieniędzy?

Avatar uśmiechnął się promiennie. Jasne, że potrzebował kasy. Wszyscy potrzebowali. Z wyjątkiem siedzącego przed nim bogacza. Ale nie po to tu przyszedł.

- Dziennikarz pytał o ciebie.

- Niewierny? - Któżby inny? Hamza miał w kieszeni prawie całą lokalną prasę; ci nieliczni, którzy nie jedli mu z reki, odpuszczali sobie, i to nie ze względu na swój skrzywiony kręgosłup moralny, ale dlatego, że trzymał ich za jaja.

- Anglik. Przynajmniej z zachowania. No wiesz...

Wiedział. Wprawdzie takie mówienie nie uchodziło za

stosowne, ale czasem trudno było odróżnić Araba od niewiernego, póki ten nie zaczął machać paszportem lub szastać pieniędzmi.

- Niech no zgadnę... - Ot>'tv mężczyzna uśmiechnął się i pozwolił, by dym z cygara uleciał w stronę sufitu. Co prawda, uśmiech nie rozjaśnił mu oczu, a dym rozproszył się w przeciągu, nim dotarł do szeregu obrazów. - Zorganizowana przestępczość na osmańskim gruncie?

Avatar pokręcił głową przecząco.

- No cóż, na pewno nie chodzi o rafinerię, bo musiałyby mieć do czynienia z moim biurem prasowym.

Rafineria powstała na zachód od al-Iskandarijji, w miejscu gdzie slumsy wychodziły na pustynię. W przemyśle starającym się wszelkimi sposobami poprawić swój wizerunek Midas przeskoczył całą epokę. Stypendia, granty naukowe, zapomogi dla najbiedniejszych, wspieranie biologii morskiej, program przeciwdziałania zanieczyszczeniu środowiska na Uniwersytecie Rutgersa. Za wypadki bezzwłocznie przepaszano, sceptyków witano z otwartymi ramionami, prace naukowe poddawano

Efendi

25

ocenie środowiska i publikowano w sieci, nie chroniąc ich prawami autorskimi. Taka polityka zapewniała długoterminowe korzyści, a ponadto, na co Hamza liczył w szczególności, nawet najdziksze grupy ekologicznych wywrotowców nie miały u niego czego szukać.

- Dobrze, czego się czepia?

- Twojego dzieciństwa.

Hamza udowodnił, że niełatwo go zaskoczyć: tylko zmrużył oczy.

- Poradzisz sobie z tym? Jak myślisz? - zapytał Avatara.

- Pewnie. Mam go sprzątnąć?

Hamza uniósł brwi. Rozbawienie odeгнаło resztki złości.

- Nie - odpowiedział z uśmiechem. - Niech sobie żyje. Niezależnie od tego, co słyszałeś i o czym bajdurzą policjanci, nie załatwiam tego w taki sposób.

Przez chwilę Avatar sprawiał wrażenie, jakby chciał się nie zgodzić, ale tylko wzruszył ramionami.

- Rozegrasz to po swojemu. - Bez oglądania się za siebie wyszedł przez okno większe niż frontowe drzwi prawie wszystkich domów, w których zdarzyło mu się mieszkać.

26

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 4

Swb<XV>

Bezpiecznik odsunięty - poinformował karabin.

Zach, stojący obok sierżanta Ka, nic nie powiedział. Odzywał się rzadko za życia i jeszcze rzadziej po śmierci... Ka trochę się temu dziwił, bo Rut, siostra Zacha, od chwili porwania do samej śmierci też niewiele mówiła, za to później trajkotała jak najęta. Przez co Ka nie mógł się skupić na lęczących ciężarówkach, które przemierzały sawannę w jego stronę.

- Odległość?



- Pół kilometra, maleje...

Stan i zakres. Tylko tyle potrafił podać HK/cw. Była to strasznie głupia broń; chłopiec z kościanym krzyżykiem, amuletem z piór, w człapakach za dużych o kilka numerów nie wiedział, po co producent w ogóle dodał tę funkcję. Musiał być jakiś sposób wyłączenia głosu, ale żeby to zrobić, trzeba umieć czytać. Dlatego Ka oderwał kawałek koszuli i obwinął nim łożę broni w miejscu plastikowej kratki, pod którą krył się głośniczek.

Przed wyruszeniem na misję wysłuchał rozkazów pułkownika Abada; miał co rano sprawdzać broń, najpierw swoją, potem reszty oddziału. Teraz wszystko wskazywało na to, że reszty już nie ma. Co najwyżej on był resztą.

Wobec tego doglądał jedynie własnej broni, próbując sobie przypomnieć, na co powinien zwracać szczególną uwagę. Pewnie na kurz, no i rdzę. Aczkolwiek rdzę nie musiał zawracać sobie głowy, ponieważ od roku nie spadł deszcz w tych stronach, czyli gdzieś między Atbarą i korytem Bahr el-Azrak. Choć równie dobrze mógł być całkiem gdzie indziej.

Odwiązał rewolwer ze sznurka na szyi i jemu też się przyjrzał. W miarę czysty, pomyślał, biorąc pod uwagę, że w tym

27

kraju ziemia zamieniła się w czerwony kurz, pod którym w wielu miejscach odsłoniła się naga skała. Zżył się ze swoim rewolwerem. Lubiłby go jeszcze bardziej, gdyby naboje, które znalazł w samochodzie, miały odpowiedni kaliber.

HK21E czysty i naoliwiony. Trójnóg zamocowany, taśma przygotowana. HK/cw... żadnego zabrudzenia. Nóż nie był czysty, ale tylko dlatego, że skóra na rękojeści poplamiała się krwią Ezechiela. Wszyscy go ostrzegali: nie ruszaj niewybuchów, lecz chłopiec miał sześć lat, a ładunki w bombach kasetowych malowano na żółto, czerwono i zielono. Ezechiela przyciągały kolorowe rzeczy.

Najmłodszy żołnierz w oddziale został pochowany pod cienką warstwą kamieni, gdzie zmarł, czyli na stoku wzgórza poniżej spękanego, jajowatego pomnika, upamiętniającego stojący tam niegdyś meczet. Ka długo wzdragał się przed dobiciem małca, aż pozostali przestali się do niego odzywać: wszak był sierżantem i nie powinien uchylać się od obowiązków. W końcu się przełamał i udał się z powrotem pod zrujnowany mur, gdzie wcześniej w cieniu ułożył ранego chłopca, lecz ten już nie żył. Mimo to zatopił ostrze głęboko w jego ciele, by pokazać reszcie, że wykonał swoją powinność. Od tego czasu w ich zachowaniu zaszła wielka zmiana. Wszyscy chcieli być blisko niego, lecz on nie chciał być z nimi.

Teraz czekał samotnie, odwrócony plecami do wymarłej wioski. W zasadzie, można było mówić o dwóch wioskach. W jednej domy wzniesiono z szarych bloków, które na oko wydawały się ciężkie, lecz okazały się utwardzoną gąbką, rzekłby kto, skostniałą śliną. Przed dziesięciu laty zbudowano ją w ten sposób z polecenia rządu i parę lat później, również z polecenia rządu, zburzono. Druga wioska była nieco dalej, wciśnięta między podnóża góry i skaliste zapadlisko. Ściany chat z suszonej cegły rozpadły się, choć tym razem ze starości. Jeśli wierzyć słowom pułkownika, w promieniu wielu mil nie było tu wody: uedy wysychały, a najbliższa studnia głębinowa do niczego się nie nadawała, zapchana trupami w czasie niedawnej bitwy.

Unióś karabin i wyciągnął z dołu magazynek. Była w nim amunicja kalibru 5.56 mm, naboje z

pociskiem kinetycznym obmyte w święconej wodzie i wypolerowane skórą węża. Jego stary karabin AK-49 był o niebo lepszy, mniej bajerancki, lecz chciał go pewien starszy chłopiec, więc się zamienili. Tamten chłopiec już nie żył. Ka specjalnie się tym nie przejmował.

28

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 5

7 lipc A

-- Lepiej, żebyś tu przyjechał...

Avatar zadzwonił, kiedy Hamza zasypiał. Żona już spała na górze, a córka gdzieś się zawieruszyła: na „do widzenia” rzuciła mokry ręcznik na posadzkę w holu, po czym wsiadła do swojego małego jaguara F-type.

Gdzie konkretnie?

Do Sarahz. Na rogu Place Gumhuriya.

Hamza świetnie znał ten klub. Posiadał kilkanaście barów i restauracji, do których nie trafiłby bez pytania o drogę, lecz Sarahz był jednym z jego pierwszych nabytków, może nawet pierwszym. Już nie pamiętał.

- Miałem iść spać.
- Poczekaj z tym, no chyba że... Wierz mi, rnam tu dla ciebie cos wyjątkowego.

Avatar odłożył słuchawkę automatu i wrócił do stołu mikerskiego. Breakbeatowy hymn w stylu sambassimby wcinął się w ciężką fuzję techno i dubu, ocierającą się o oldskulowy d rum'n 'bass. Pojawiały się lżejsze wstawki: rytmy Sao Paolo, zakręconej polki, ostrych fnderowych wstawek i synkopowa-nych werbli.

„SpecialBeatSemce”, bliski oryginalnemu miksowi autorstwa PatifePorto.

Tej środowej nocy zabawiał ludy na piętrze w klubie Sarahz. Głównie niedorobionych syriusiów bogaczy ze św. Marka oraz garstkę odpicowanych, patrzących z byka japiszonów z Mohar-rem Bej. Dziewczyny były przeważnie turystkami, opiekunkami do dzieci lub studentkami - małolatami, które cieszyły się, że mogą oderwać się od swoich rodzin.

Efendi

29

Avatar mógł tu występować, bo był dobry w swoim fachu. Facet prowadzący lokal nie miał pojęcia, że jego nowy DJ jest nieprawym synem Hamzy efendiego. Dopiero dziesięć minut temu Amici dowiedział się, że klub jest w posiadaniu Quitrimala Enterprises. Jeszcze nie otrząsnął się z szoku.

Hamza westchnął i podźwignął się z ciężkiego, mahoniowego łoża. Przed osiemdziesięciu laty sprowadzono je z Marsylii i przed rokiem odnaleziono na bazarze w al-Gomruk. Odrestaurował je dla

niego małowówny cieśla z Mali. który ciągiem pluł. kurzył papierosy i chodził niedomyty, lecz miał złote ręce i oko włoskiego artysty.

Hamza patrzył przez palce na nałogi cieśli, ponieważ ten wszystko robił ręcznie, nie używał elektrycznych narzędzi. Madame Rahina nic znosiła francuskiego stylu bateau lit. ale co tam. Jak często powtarzał, nikt jej nie prosił, żeby w nim spała.

Oboje przywykli tak się nawzajem traktować, więc obywało się bez większych awantur. Potrzebę wstawienia łoża do pokoju obok gabinetu usprawiedliwiał dodatkowo fakt, że Hamza zwykł pracować do późnych godzin wieczornych.

W świetle tradycji religijno-kulturowej, był dobrym mężem i starał się być dobrym ojcem. Ani razu nie podniósł ręki na córkę, a żonie dał klapsa tylko parę razy, choć dawno już tego nie robił.

Kochanki też by nie uderzył, aczkolwiek, trzeba przyznać, Olga zarabiała na życie zabijaniem Amerykanów, nim zaproponował jej pracę osobistej sekretarki. Olga należała do mafii i była sowieckim szpiegiem, ale zdawała sobie sprawę, że Hamza o tym wie. Poza tym nie kryła, że komisarz Żukarow z radzieckiego konsulatu zadowala się już tylko jednym sprawozdaniem na dzień o strategicznych posunięciach Hamzy. W jutrzejszym raporcie Olga napisze, że po sutym śniadaniu dobrowolnie zgłosił się na posterunku policji przy Rue Riyad Pasha, gdzie przesłuchano go w sprawie zamordowania lady Nafisy, ciotki Aszrafa beja. Wspomni, że wziął ze sobą adwokata i opuścił posterunek oczyszczony z podejrzeń. A że zostanie oczyszczony, to nie ulegało wątpliwości: od tego miał zaufanych prawników.

inna sprawa, że był całkowicie niewinny.

30

Jon Courtenay Grimwood

Wcisnął guzik przy łóżku i poczekał.

- Słucham, szefie.
- Wychodzę.
- Oczywiście. Pójdę po samochód.

Można było przewidzieć, które auto wybierze Alex. Oczywiście rolls-royce'a, model Silver Ghost. Alex pochodził z Kraju Rad. tak samo jak Olga i, o ironio, roflse, a właściwie ich przerobione wersje...

- Zamknąć, szefie?

Kiedy olbrzym zatrzasnął tylne drzwi i głucho szcęknęły zamki, Hamza bardziej poczuł, niż usłyszał, jak trwałe są blachy kuloodpornej karoserii.

To auto zmontowano kiedyś na życzenie Lenina; było sześć identycznych egzemplarzy zamówionych w Londynie przez przywódcę rewolucji, gdy sypał się kruchy sojusz z Mienszewi-kami. Kozacy parli od strony Krymu, a Syberia przeszła w ręce admirała Kołczaka, wobec czego Włodzimierz Iljicz rozkazał sekretarzowi swego sekretarza napisać list do Charlesa Rollsa z zamówieniem na sześć najlepiej wyposażonych samochodów i zapłacić z góry szczerym złotem. Trzy tygodnie później brytyjski

premier niechętnie wyraził zgodę na rozpad dawnego imperium carów. Prusy, Francja i Ameryka poszły za jego przykładem.

Hamza nabył samochód za namową komisarza Żukarowa podczas jednej z wielu zapaści gospodarczych ZSRR. I przez sześć miesięcy wydfubywał z wnętrza najrozmaitsze urządzenia podsłuchowe. Wraz z nowym pojazdem nabył Alexa.

- Mamy kłopoty, szefie?

Dobre pytanie. A nawet jeśli rzeczywiście miał kłopoty, to czy takie, którymi warto się przejmować? Hamza wynajmował ludzi od usuwania kłód spod nóg, lecz Avatar do nich nie należał. Chłopiec sam był problemem, choć bardzo specyficznym.

- Niedługo się dowiemy - odpowiedział i rozparł się wygodnie w czarnym, skórzanym fotelu. Wspominał matkę Kamila: smagłą, szczupłą dziewczynę, która porozumiewała się w trzech językach, ale nie wiedziała, ile ma lat. Hamza wiedział; znał nawet miesiąc jej urodzin, choć nigdy się z tym nie zdradzał, chyba że czasem przed samym sobą.

\*\*\*

Efendi

31

Nabity, tak turyści mówili o klubie Sarahz. Nabity po brzegi, po sufit, do granic możliwości. Działo się tak w każdą środę, kiedy lokale w al-Anfuzi zamykały swoje podwoje i hardcore'owi clubberzy ciągnęli na południe, żeby zabawić się na całego. Sarahz dawał im wszystko: techno z Detroit, down&dirty house z Chicago, breakbeat... a nawet trance tak ekstatyczny, że nad tańczącymi zdawała się unosić aureola. Chemiczna uświęcenie.

DJ Avatar zsyłał im światłość, szalejąc nad sfatygowanym stołem mikerskim Matsui, przerabianym tyle razy, że z pierwotnych części pozostało tylko tanie, plastikowe logo, przyklejone do przedniego panelu. Av szybko się uczył. Jego pierwszy zestaw dźwiękowy składał się z potrójnego stołu mikerskiego, oryginalnego theremina i naprawionego Rolanda 303. Już w czasie drugiego tygodnia grania sprzęt się rozleciał w jakiejś piwnicy za Dworcem Morskim.

Teraz miał spręcicho, które wyglądało na złom, ale brzmienie dawało takie, jakby było podłączone do samego Boga. A kiedy nie pędził swoją Dziką Gwiazdą, siadał za kierownicą leciwego kempingowego volkswagena z wgięciem na bocznej karoserii od przedniego nadkola do tylnego zderzaka. Na lusterku zawiesił islamski różaniec, a na szybie z tyłu ponalepiał cytaty ze Świętego Koranu. Nikt się za nim nie odwracał, a już z pewnością nikt nie podejrzewał, że zapakowano do samochodu furę rzadkich płyt winylowych, mogących wypełnić półki w niejednym sklepie.

i o to mu chodziło.

Sarahz miał pozwolenie na całonocną działalność, a to dzięki umiejętnym szantażom, drobnemu łapówkarstwu i tej nader szczęśliwej okoliczności, że znajdował się dokładnie naprzeciwko dworca Misr, gdzie sąsiadował z olbrzymim postojem taksówek i Place Gumhuriya. Ponieważ w najbliższym bloku, odległym o sto metrów, mieszkali ludzie, którzy wszystko olewali, nie zdarzały się skargi. A przynajmniej takie, które oficjalnie odnotowywano.

- Szeff przyjechał... - Powiedziane to było głosem ściśniętym, ledwie zrozumiałym.

Avatar jednak zrozumiał i kiwnął głową. Po zgaszeniu światła w swojej budce zapodał winyl, zestaw sampli i prze-

32

Jon Courtenay Grim wood

stawił konsolę w tryb automatyczny. Spodziewał się szybko wrócić, nim muza się rozkręci i przygaśnie. Poza tym, młodzież na parkiecie miała już takie odloty, że prawdopodobnie nie zauważy różnicy.

- Nie będzie innie chwilę - rzeki do mikrofonu krtaniowego, by zaraz usłyszeć odpowiedź w minisłuchawce. Jeśli sprawa się przeciągnie, za sterami siądzie Smugs, który był tutaj stałym bywalcem, dziesięć lat starszym od Avatara (podobnie jak połowa ludzi na parkiecie). Av tolerował jego brak wprawy, w zamian za co Smugs nie denerwował się, ilekroć Avatarowi zachciało się odpędzić go od konsoli.

- Na dachu - rzekł kierownik lokalu, kiedy Av odemknął tylni- drzwi w budce i wyszedł na zaciemniony korytarz. Carlo Amici z ogoloną głową i perłowym kolczykiem, w lśniącym czarnym garniturze, odsunął się grzecznie przed wzdychającym Avatarem. Po południu uważał go za niższą formę życia, chłystka, który nie-zastużenie zbija kasę na wciskaniu guzików i pieprzeniu głupot. Aż nagle się wydało, że Av ma wiele wspólnego z Hamza.

Niezły numer, trzeba przyznać.

- Sarn trafię na górę. - Ruszył w stronę żelaznej drabinki.

- Można windą...

- Nie, tędy będzie szybciej. - I fajniej, w rytm kipiących w nim emocji... lecz tego już nie powiedział.

Po drabince pożarowej wdrapał się na płaski dach, górujący nad pogrążonym w mroku placem. Na rogu, blisko krawędzi, stał niewysoki człowiek, przywiązany do anteny radiowej. Antena była nielegalna, ale przecież cymbały z dykcji radiowej nie przwleżą tu ze szlifkami kątowymi, żeby pociąć na spaghetti wart 15 tys. dolarów piracki nadajnik, jak to się zdarzało w innych klubach. Obok nagiego dziennikarza stał Hamza efendi, elegancki mężczyzna w filcowym kapeluszu i płaszczu z wielbłądziej skóry.

- Sie masz. - Avatar wyszedł z cienia.

Hamza z uśmiechem wyciągnął rękę. Uścisk jego niedźwiedziej łapy był silny, lecz kontrolowany. W sumie, miało to być powitanie, a nie sprawdzian siły.

Publicznie, na oczach Alexa, Amiciego i dwóch bramkarzy, Hamza przyznawał się do Avatara. Ciekawe czemu, pomyślał chłopiec, choć nic miał nic przeciwko.

Efendi

33

- Dobra, jestem - rzekł Hamza. - Kto to?
- Pamiętasz, ta upierdliwa menda, o której mówiłem...
- Kiwnięciem głowy chłopak wskazał golasa. - Nazywa się Mike Estelle. Zjrzał do nas czas temu, żeby powęszyć. Przyszedł mi do głowy niegłupi pomysł, byście się spotkali, no wiesz, poznali bliżej...
- Ty mu to zrobisz?
- Niby co? - Avatar popatrzył na drżącego Anglika, przywiązanego za jaja do masztu. Nie było na nim widać sińców ani zadrapań. Krew pojawiła się tylko tam, gdzie zasraniec przygryzł sobie wargę. - Nawet go nie dotknąłem.

Hamza uśmiechnął się.

- Słuchaj no - zwrócił się do dziennikarza. - Przyjechałem tu po to, żebyś mi powiedział, co to wszystko ma znaczyć.

Odpowiedziało mu milczenie i pociąganie nosem. Szeroko otwarte oczy patrzyły na niego z przestrachem. Anglik niestety obrał złą taktykę. Hamzy nie ruszał strach bezbronnego człowieka, a już na pewno nie skłaniał go do ustępstw.

- Żadnych pytań? - Westchnął. - Jak sobie chcesz... Zrzućcie go z dachu! - rozkazał, odwracając się.

Narastające w dole acid house'owe dudnienie zlało się z wrzaskiem Mike'e Estelle. Oprócz Alexa tylko Avatar dostrzegł nieznaczny ruch ręki, którym Hamza odwołał rozkaz.

- Słyszysz!? - dodał ostro Hamza. - Do roboty!
- Oczywiście, szefie. Przepraszam, szefie. - Alex wyciągnął z kieszeni budzące respekt obcegi. - Tylko przetnę drut.

Avatar i Alex uwolnili szamoczącego się dziennikarza i zaciągnęli go nad sam skraj dachu. Znajdowali się na wysokości zaledwie dwudziestu stóp, ale w dole był beton.

- Powinien być ubrany - podsunął nagle Avatar. - Trochę to podejrzane.
- Wcale nie - odparł Alex zdawkowym tonem. - Zagraniczny turysta ładuje w siebie prochy, odbija mu i skacze z dachu na ryło. Sprawdź lokalne wiadomości. To się często zdarza. Naprawdę - dorzucił, widząc powątpiewanie na twarzy Avatara.
- Zresztą, czym tu się przejmować, szef pomoże policji podjąć słuszną decyzję. - Zaczął kołysać pochlipującym nieszczęśnikiem w przód i w tył, niczym trener przygotowujący atletę do olimpijskiego występu. - Okey - rzekł do Avatara. - Gotów?

34

Jon Courtenay Grimwood

I wtedy dziennikarz się zesrai.

Hamza westchnął.

- W porządku - powiedział beznamiętnie. - Spróbujmy inaczej. - Wyciągnął z kieszeni świeżego partegasa i poczekał, aż bramkarze podbiegną z zapalniczkami. Powstrzymał ich machnięciem ręki, a potem odgryzł i wypluł poza krawędź dachu końcówkę cygara. Dopiero wtedy kiwnął głową na najbliższego. - Twoja ostatnia szansa - zwrócił się do dziennikarza. - Nazywam się Hamza efendi. Posiadam firmę, która jest właścicielem tego klubu. Posiadam też złoża nafty, rafinerię ropy naftowej i linię żegludową. Wszystko to znajdziesz w branżowych katalogach. A zatem powiedz mi, kto cię przysłał i czego naprawdę chce się dowiedzieć.

Efendi

35

Rozbztel 6

Sierżant Ka przyjął prawdę i zsalutował, unosząc pięść nad głowę.

Wstąpię na niebo,

Swój tron wyniosę ponad gwiazdy,

Zasiądę na górze zgromadzenia...

Zanim srebrny talizman, który nosił na szyi, uzyskał magiczną moc, przez krótki czas był ozdobą panny młodej w zakurzonej mieście z pustymi ulicami i podupadłym bazarem. Na południe od miasta mieszkał pasterski lud Dinka, który dawniej w swoich wędrówkach po spękanej ziemi zapuszczał się aż po wyżej położone lesiste tereny, gdzie w świetle poranka błyszczały akacje, a pogrążony w letargu busz czekał na deszcz, żeby się przebudzić.

Talizman rozpoczął swą karierę jako talar Marii Teresy, lecz tysiące razy przechodził z rąk do rąk i stał się do niepoznaki. Moneta nie pochodziła jednak z Austrii: wybito ją w 18 stambulskiej mennicy sto lat po śmierci cesarzowej, w czasach gdy srebrne talary były powszechnie używane w regionach Sudanu, Sahary i Półwyspu Arabskiego.

Zabrana na południe jako zapłata za niewolników, moneta trafiła do rodziców pewnej narzeczonej, by wrócić na północ na szyi dziewczynki... po tym jak ta zakłuła nożem wnuka Dinki - tego samego człowieka, który otrzymał pieniądze przed ślubem swojej córki.

Dziewczynka zdecydowała się na nóż, ponieważ skończył jej się dzienny przydział amunicji. Potem wymieniła talizman na kościany krucyfiks, zabrany zakonniczy, ale to się stało po wielu miesiącach, odkąd starcia w Abu Simbel przerodziły się w tak

36

Jon Courtenay Grimwood

zwaną małą wojnę. Ka zazwyczaj wołał nie myśleć o walkach i tym, jak został żołnierzem.

Czasem nawet udawało mu się zapomnieć.

Zanim stał się żołnierzem, robił przy wielbłądach, praca była łatwa i przyjemna. Cudzoziemcy przybywali rozświetloną barką do wielkiej świątyni, a on razem z chłopakami prowadził podróżników na wielbłądach ciemnym stokiem od brzegu rzeki do stóp skały, gdzie od dobrych trzech tysięcy lat

stały nieporuszenie imponujące rzeźby.

Wówczas nosił jedynie podarte portki; butów i koszulki nigdy nie wkładał, bo dzięki temu zbierał hojniejsze napiwki. Pewnego dnia, kiedy włożył koszulkę z nadrukiem Pepsi i buty Nike, zgubione przez pewną rumianą dziewczynkę, turyści nie korzystali z jego usług. Woleli bosonogich ob-szarpańców. Wujek niepotrzebnie sprawił mu lanie, Ka i tak dostał lekcję na całe życie. Nazajutrz znów ubrał się jak nędzarz. Zaczął też podsłuchiwać przewodników, gdy byli zbyt zajęci, żeby go przegonić. Niebawem znał najciekawsze opowieści o wielkim królu i jego żonie. Umiał wytłumaczyć, czemu cztery ogromne posągi noszą podwójną koronę, symbol władzy nad Dolnym i Górnym Egiptem, i czemu w trzewiach góry, w ciemności wewnętrznej komory, król ma tylko białą koronę Górnego Egiptu lub czerwoną - Dolnego, w zależności od tego, czy znajdował się w południowej, czy północnej części świątyni.

Zrozumiał też, czym interesują się cudzoziemcy - ludzie, którzy trwonili wodę, jakby było jej pod dostatkiem, myli się pod prysznicem, srali do czystej wody i ze śmiechem opróżniali butelki nad głową, pozwalając, by ich cenna zawartość wsiąkła w piach.

Opowiadał im o królach poślubiających własne córki, braciach sypiających z siostrami, matkach z synami. Dzięki temu nie gasła magiczna aura, rzeka płynęła, a na jej brzegach wciąż na nowo osadzał się muł, bogactwo całego królestwa. Ale tego nie mówił. Przyjezdnych nie obchodziły przyczyny, woleli suche fakty.

Kiedy opowiadał o bitwach, po których żołnierze króla zbierali genitalia, aby pomóc skrybom w liczeniu jeńców, mężczyznom robiło się niedobrze, a kobiety z odkrytymi głowami

Efendi

37

wzdrygały się lub żartowały. On zaś, gdy dawano mu napiwek, uśmiechał się promiennym uśmiechem i udawał zaskoczenie. Zupełnie jakby przez cały ranek snuł opowieści tylko i wyłącznie z miłości do cudzoziemców. Gdy w rzeczywistości nikt za nimi specjalnie nie przepadał. Może z wyjątkiem rządu, bo przywozili franki, marki i dolary. Biedacy, fellahowie, woleliby, żeby ci nic wtryniali się nieproszeni, w buciorach, do meczetów, nie zapychali pustynnych dróg autokarami, które obsypują kurzem wędrowców, a przede wszystkim nie potrzebowali tylu hoteli nad rzeką, ponieważ teraz najżyźniejsze obszary były niedostępne dla chcących je uprawiać. Z turystów żyli głównie właściciele ziemscy.

Pewnego miesiąca, na samym początku małej wojny, wojsko pobiło na śmierć czterdziestu ośmiu ludzi, bo pochodzili z odległej wioski, gdzie syn naczelnika zastrzelił pięciu zagranicznych turystów. Czterdziestu ośmiu za pięciu. Tyle wynosił przelicznik.

Ów syn, Samir, którego imię oznaczało osobę potrafiącą wieczorem pięknie się wystawiać, choć nigdy nie słyszano, by skleił jedno mądre zdanie, żył poza obrębem ojczystej wioski w ceglany domku na skalistej wysepce, w dość odludnym miejscu między Asuanem a Wadi el-Sebua. Był dziwnym człowiekiem. Uczył się najpierw w miejscowej szkole, potem na uczelni al-Azhar w al-Kahirze. Przerwał jednak naukę, podejmując pracę w Soci  t   de G  ographie d'Egypte, cho   i z tym zaj  ciem zerwa   po kilku miesi  cach.

Po powrocie w okolice rodzinnej wioski zaopiekowa   si   rodzink   niezgrabnych ptak   wielko  ci



kury. Nie wyróżniały się niczym szczególnym: żyły sobie w szuwarach, całe grana-towo-zielone, jeśli nie liczyć żółtych szcudłowatych nóg. Ich widok nie należał do rzadkości.

Nim zmarł na torturach, przesłuchiwał go major żandarmerii z al-Kahiry. Miejskowa policja chętnie sama by się wszystkim zajęła, lecz kazano jej przekazać sprawę profesjonalistom. Zapewne z tego powodu, jak niektórzy twierdzili, policjanci nie podjęli żadnych czynności śledczych, kiedy krewni zabitego Samira wciągnęli w zasadzkę samochód z majorem, zastrzelili osiemnastoletniego kierowcę, a samego oficera, po obcięciu mu rąk, zakatowali na śmierć.

X

38

Jon Courlenay Grimwood

Płyta z nagraniem przesłuchania jechała w tym czasie do okręgowej komendy policji w Asuanie, gdzie jej zawartość miała zostać poddana analizie. Totalny absurd.

Chluśnięcie wody, od tego się zaczęło. Brzdęk. Prawdopodobnie puste wiadro spadło na betonową podłogę. Uderzenie... i znowu uderzenie.

„Pytam raz jeszcze. Kiedy przystąpiłeś do ugrupowania Miecz Boga?”

„Nigdy. Nie jestem jego członkiem”.

„Więc czemu zabiłeś zagranicznych turystów?”

Chrapliwy oddech. Częściowo z bólu, częściowo ze zniecierpliwienia.

„Strzelali do kokoszek wodnych”.

„Turyści?”

„Nie, robotnicy. Ścigli akacje, powyrywali tamaryszki i wystrzelali moje...”

Trzask rzemienia na skórze.

„Stój, czekaj!” - Głos brzmi z cudzoziemska, akcent jest okropny. Ktokolwiek grzmoci batem, słucha polecenia. Następuje cisza.

„Mam uwierzyć, że położyłeś trupem pięciu turystów, bo robotnicy zabili kilka ptaków?”

„Nie potrzeba nad Nilem następnych hoteli. Turystów też już mamy dość. Poza tym, ptaki były tam pierwsze”.

„A więc jednak jesteś członkiem organizacji?”

„Nie. Ornitologiem...”

\*\*\*

Wtedy zaczęła się mała wojna. Trwała miesiąc. Duża wojna przyszła później i ciągnęła się dłużej, lecz sierżant Ka nigdy się nie dowiedział, z kim naprawdę walczył rząd. Na pewno z nikim ważnym. Do

najkrwawszych starć nie doszło w Egipcie, lecz w Sudanie.

Mała wojna, jak nazywał ją wujek, nie wydawała się już taka mała. Kiedy turyści przestali pojawiać się w Abu Simbel, a zamiast nich zważyło się wojsko. Nie minęło czterdzieści osiem godzin, a cała wioska, gdzie mieszkał Ka, została otoczona, a potem mieszkańców wyprowadzono na pustynię. Pierwszy tydzień marszu przeżyła jedynie garstka dorosłych. Ludzie ginęli

Efendi

39

przeważnie z gorąca lub padali ofiara nocnych chłódów. Tylko nieliczni w drugim tygodniu dotarli do obozu dla internowanych w el-Chaszab.

Ka pamiętał: do tych ostatnich należał jego wujek, który daleko za sobą pozostawił ciała żony, rodziców i syna. Zarazem przestał wierzyć w Boga, przy czym brak wiary tak nim wstrząsnął, że widział wokół siebie absolutną pustkę, gdy słowa południowej modlitwy wydostawały się spod spierzchniętych warg i wlatywały ku milczącym niebiosom.

A w górze to samo okrutne słońce, które w roku jego narodzin zamieniło w proch żyzną ziemię i zniszczyło uprawy, paliło niemiłosiernie, pokrywając skórę pęcherzami. Rój niedawno wylętych much leżał na jego ramionach niczym gruby płaszcz, ale tym się wcale nie przejmował. Podobnie jak nie przejmował się obserwującym go chłopcem ani białopiórymi sępami, które czaiły się i przyskakiwały na wyciągnięcie ręki. Ich ucztę odwlekało jedno pytanie: Czy powinien zastrzelić siebie, czy może raczej siostrzeńca, bo skoro została ostatnia kula, nie sposób oddać dwóch strzałów...

40

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 7

J sierpnia

Zara została zatrzymana 28 lipca pod zarzutem obrazy moralności. Hamza dowiedział się 6 tym nazajutrz z lokalnej prasy. Cała kolumna na pierwszej stronie. Schwywanie zbuntowanej córki. Hamza bezgranicznie ufał w moc łapówek, szantaży i swej odstraszej reputacji, toteż gdy taka rzecz się wydarzyła, a na domiar złego została podana do publicznej wiadomości, oczywiście wpadł w gniew. Co gorsza, zdjęcie zamieszczone w „I-skandiyia Today” przedstawiało Zarę w krótko przystrzyżonych włosach i nagą pod obcisłym płaszczkiem.

Należy stwierdzić, że był zaniepokojony. Policja inkasowała od niego spore sumy, w zamian za co miała przymykać oczy na wygłupy Zaiy i jej znajomych. W jego przekonaniu, „przymykanie oczu” oznaczało, że nikt nie aresztuje jego córki choćby i w nielegalnym, wywrotowym klubie. Jeżeli Club des Hachichins naprawdę do niej należał, a skłonny był uwierzyć doniesieniom policji, tym staranniej powinni tuszować sprawę.

Niestety, skandaliczne zdjęcie Zary pojawiło się znowu, w nieco większym formacie, w brukowcu „Iskandryia on Sun-day”. Właśnie egzemplarz tej gazety jego córka przed chwilą wrzuciła do kosza, nim z głośnym tupaniem opuściła biurowiec z marmuru i czerwonego piaskowca.

- Cóż, zasłużyłeś sobie - powiedziała Olga Kaminsky. Z uśmiechem zabrała z biurka filiżankę Zary i jednym pociągnięciem Inianej serwetki startła cukier puder.

Nazywanie rzeczy po imieniu w obecności Hamzy mogło się źle skończyć, lecz Oldze płacił za szczerość. Zresztą, był zbyt wstrząśnięty, żeby myśleć o jej wylaniu. Wywalał ją mniej więcej raz w miesiącu, ale kiedy zjawiała się następnego dnia, milczał, jakby niczego nie przeszkrobała.

Efendi

41

Inna osobista sekretarka na jej miejscu mogłaby się łudzić, że szef najzwyczajniej ceni sobie jej zdanie - że swoją bądź co bądź niezwykłą swobodę wypowiedzenia się nie zawdzięcza tym kilku przypadkom w roku, kiedy szli razem do łóżka. Jednakże Olga nie okłamywała ani jego, ani też siebie. W każdym razie wiedziała, że ich związek nie opiera się na tak prostej rzeczy jak seks.

Chciwość była jej obca i to urzekło Hamzę. Inne kochanki bez skrupowania przyjmowały diamentowe kolie, zegarki Cartiera, futra z norek. Olga zadawała się pensją, a prezenty zwracała - nie używane, choć otwarte. Nie oczekiwała od niego nic prócz towarzystwa i czasami obecności w łóżku. Ścisłej mówiąc, w swoim dość prostym łóżku z metalową ramą, bowiem odmówiła, kiedy zaoferował się kupić jej mieszkanie.

- Co zrobiłem źle, Olga? - Miał na ustach smutny uśmiech, ale w oczach błyszczała też duma. W całej al-Iskandariji nie znalazłaby się druga taka dziewczyna, która wmaszerowałaby bez zapowiedzi do gabinetu ojca, a pytana o powrót do domu, odwróciła się doń plecami, żeby na gołej skórze pokazać ślady bicia.

Z drugiej strony, między matką i córką nigdy nie było zrozumienia. Na domiar złego, jedyna rada, jakiej Rahina udzieliła Żarze przed poronionymi zaręczynami z Aszrafem bejem, brzmiała: „Nigdy nie rozbieraj się przy mężu”.

Gdyby Hamza mógł położyć kres biciu, zrobiłby to wiele lat temu, lecz córkami zajmowały się matki, a ojcowie synami. I chociaż się chwalił, że nigdy nie podniósł ręki na Zarę, na jego niekorzyść przemawiał fakt, że też ani razu nie podniósł głosu w jej obronie. Wiedział, że z tradycją nie wygra. W głębi serca, pod garniturem od Gucciego i jedwabną koszulą, nadal czuł się fellahem.

Wszelako Zara nie była oórką fellaha. Zawdzięczała to elitarnym szkołom, dwurocznemu pobytowi w Nowym Jorku i sukcesom w pracy w Bibliotece Aleksandryjskiej. Była odważna, piękna i zadurzona w Aszrafie beju, choć Hamza dałby sobie rękę uciąć, że nie zdradziła się z tym przed Rafem.

Rozumiał pobudki kierujące jego córką. Co dziwniejsze, nawet ją podziwiał, choć dobrze wiedział, że powinien krótko ją trzymać.

42

Jon Courtenay Grimwood

- Olga, mam pewien kłopot...

Nie pohamowała śmiechu.

- Masz ich wiele. - Spoważniała. - Czyżbyś miał kłopot, o którym jeszcze nic nie wiem? -  
Zatrzymała się w progu, po czym bez słowa wróciła do Hamzy. Nie usiadła na skraju biurka ani nie wzięła sobie krzesła, żeby na nie klapnąć okrakiem. Poczekwała, aż Hamza pozwoli jej usiąść na skórzanej kanapie. A kiedy kiwnął głową, zrobiła to z klasą, krzyżując w kostkach nogi w eleganckich pończochach.

Hamza zastanawiał się, kogo ona w nim widzi. Brudnego kapitalistę? Gangstera z niewzruszonym sumieniem? Łasego na godności parweniusza, który kupił sobie tytuł? Czy może ojca nie potrafiącego ochronić córki uciekającej spod klosza?

- Okey, to może coś o kłopotach, które są mi znane - powiedziała energicznie Olga. - Gliniarze z obyczajówki zamknęli twoją córkę za prowadzenie nielegalnego klubu. Zakochała się w rozpuszczonym księciuniu, który ma fiu bzdziu w głowie. Chodzą słuchy o strajku w rafinerii. I chociaż staramy się niczego nie ukrywać, ktoś ciągle pyta o twoje dzieciństwo, jeśli wierzyć Kamilowi...

- Avatarowi - sprostował Hamza odruchowo. - Mówi o sobie DJ Avatar.

- Mniejsza z tym. Ten ktoś może ci jeszcze nabruździć.

- Chciałby, ale nie da rady. Bardziej trzeba uważać na Aszrafa beja.

- Wierzysz w tę historię z bejem?

- Jak najbardziej - odparł twardo. - To doskonale wyszkolony zabójca, wypełniał misje rządowe. Nosi ślady zużycia, lecz gwarancja jeszcze nie wygaśa. - Parsknął śmiechem. - Powtarzam tylko jego własne słowa.

- I ty chciałeś, żeby taki człowiek poślubił twoją córkę?

- Nadal chcę - uściślił. - Powiem więcej: dla mnie to bardzo ważne, żeby się z nią ożenił.

- Rozumiem. A mogę zapytać czemu?

Potrząsnął głową. Z doświadczenia wiedział, że istnieją pewne niezmiennie prawa, rządzące uczuciami ojców wobec zalotników, którzy przysyłają ich córkom bukiety kwiatów z eleganckimi wizytówkami. Początkowa nienawiść przeradzała się w żal. Na końcu, kiedy córka stawała się kobietą, rodziła się bolesna świadomość straty. Tak to już było.

Jon Courtenay Grimwood

- Olga, mam pewien kłopot...

Nie pohamowała śmiechu.

- Masz ich wiele. - Spoważniała. - Czyżbyś miał kłopot, o którym jeszcze nic nie wiem? -  
Zatrzymała się w progu, po czym bez słowa wróciła do Hamzy. Nie usiadła na skraju biurka ani nie wzięła sobie krzesła, żeby na nie klapnąć okrakiem. Poczekwała, aż Hamza pozwoli jej usiąść na skórzanej kanapie. A kiedy kiwnął głową, zrobiła to z klasą, krzyżując w kostkach nogi w eleganckich pończochach.

Hamza zastanawiał się, kogo ona w nim widzi. Brudnego kapitalistę? Gangstera z niewzruszonym sumieniem? Łasego na godności parweniusza, który kupił sobie tytuł? Czy może ojca nie potrafiącego ochronić córki uciekającej spod klosza?

- Okey, to może coś o kłopotach, które są mi znane - powiedziała energicznie Olga. - Gliniarze z obyczajówki zamknęli twoją córkę za prowadzenie nielegalnego klubu. Zakochała się w rozpuszczonym księciuniu, który ma fiu bździo w głowie. Chodzą słuchy o strajku w rafinerii. I chociaż staramy się niczego nie ukrywać, ktoś ciągle pyta o twoje dzieciństwo, jeśli wierzyć Kamilowi...

- Avatarowi - sprostował Hamza odruchowo. - Mówi o sobie DJ Avatar.

- Mniejsza z tym. Ten ktoś może ci jeszcze nabruździć.

- Chciałby, ale nie da rady. Bardziej trzeba uważać na Aszrafa beja.

- Wierzysz w tę historię z bejem?

- Jak najbardziej - odparł twardo. - To doskonale wyszkolony zabójca, wypełniał misje rządowe. Nosi ślady zużycia, lecz gwarancja jeszcze nie wygasta. - Parsknął śmiechem. - Powtarzam tylko jego własne słowa.

- 1 ty chciałeś, żeby taki człowiek poślubił twoją córkę?

- Nadal chcę - uściślił. - Powiem więcej: dla mnie to bardzo ważne, żeby się z nią ożenił.

- Rozumiem. A mogę zapytać czemu?

Potrząsnął głową. Z doświadczenia wiedział, że istnieją pewne niezmiennicze prawa, rządzące uczuciami ojców wobec zalotników, którzy przysyłają ich córkom bukiety kwiatów z eleganckimi wizytówkami. Początkowa nienawiść przeradzała się w żal. Na końcu, kiedy córka stawiała się kobietą, rodziła się bolesna świadomość straty. Tak to już było.

42

Jon Courtenay Grimwood

- Olga, mam pewien kłopot...

Nie pohamowała śmiechu.

- Masz ich wiele. - Spoważniała. - Czyżbyś miał kłopot, o którym jeszcze nic nie wiem? - Zatrzymała się w progu, po czym bez słowa wróciła do Hamzy. Nie usiadła na skraju biurka ani nie wzięła sobie krzesła, żeby na nie klapnąć okrzakiem. Poczekwała, aż Hamza pozwoli jej usiąść na skórzanej kanapie. A kiedy kiwnął głową, zrobiła to z klasą, krzyżując w kostkach nogi w eleganckich pończochach.

Hamza zastanawiał się, kogo ona w nim widzi. Brudnego kapitalistę? Gangstera z niewzruszonym sumieniem? Łasego na godności parweniusza, który kupił sobie tytuł? Czy może ojca nie potrafiącego ochronić córki uciekającej spod klosza?

- Okey, to może coś o kłopotach, które są mi znane - powiedziała energicznie Olga. - Gliniarze z obyczajówki zamknęli twoją córkę za prowadzenie nielegalnego klubu. Zakochała się w

rozpuszczonym księżuniu, który ma fiu bzdziu w głowie. Chodzą słuchy o strajku w rafinerii. I chociaż staramy się niczego nie ukrywać, ktoś ciągle pyta o twoje dzieciństwo, jeśli wierzyć Kamilowi...

- Avatarowi - sprostował Hamza odruchowo. - Mówi o sobie DJ Avatar.
- Mniejsza z tym. Ten ktoś może ci jeszcze nabruździć.
- Chciałby, ale nie da rady. Bardziej trzeba uważać na Aszrafa beja.
- Wierzysz w tę historię z bejem?
- Jak najbardziej - odparł twardo. - To doskonale wyszkolony zabójca, wypełniał misje rządowe. Nosi ślady zużycia, lecz gwarancja jeszcze nie wygasta. - Parsknął śmiechem. - Powtarzam tylko jego własne słowa.
- I ty chciałeś, żeby taki człowiek poślubił twoją córkę?
- Nadal chcę - uściślił. - Powiem więcej: dla mnie to bardzo ważne, żeby się z nią ożenił.
- Rozumiem. A mogę zapytać czemu?

Potrząsnął głową. Z doświadczenia wiedział, że istnieją pewne niezmiennicze prawa, rządzące uczuciami ojców wobec zalotników, którzy przysyłają ich córkom bukiety kwiatów z eleganckimi wizytówkami. Początkowa nienawiść przeradzała się w żal. Na końcu, kiedy córka stawiała się kobietą, rodziła się bolesna świadomość straty. Tak to już było.

Efendi 43

Niezmiennicze prawa regulowały także zachowanie, a może nawet i uczucia dziewczyn w stosunku do adoratorów. Jeśli ktoś się narzucał, córka udawała święcie oburzoną. Prezenty oddawała nie rozpakowane, listy odsyłała bez czytania. Nie ważyła się uchylić maszrabijki na dźwięk serenady. Nie chciała, by ją dotykano, i nie pozwalała na to.

A jednak Hamza nie miał wątpliwości, że jego córka spędziła noc z tym mężczyzną. Teoretycznie, powinien wpaść w szal, lecz on się tylko martwił i było mu dziwnie smutno. Nie umiał rozstrzygnąć, czyjego słabość do Zary i fakt, że dziewczyna ufa mu bardziej niż matce, jest zapowiedzią sukcesu, czy dowodem porażki.

W cieniu tych spraw, które rzadko analizował (podobnie jak swoje uczucia), czaiło się realne zagrożenie dla jego bogactwa i szczęścia. W tej nowej rozgrywce on i Zara mogli stracić życie. Bo skoro iskandaryjskie serwisy informacyjne trąbiły o rzeczach, które powinny przemilczeć, a policja przestała kontaktować się z nim przy pierwszych oznakach kłopotów, niebezpieczeństwo doprawdy musiało być poważne.

Ktoś gdzieś czuł się na silach zachwiać równowagę sił.

- Posłuchaj - rzeki Hamza, ustępując. - Prawda wygląda tak, że Aszraf musi ożenić się z Zarą i ją chronić. Bo sam już chronić jej nie będę w stanie. Jeżeli nie chce wyjść za beja, muszę znaleźć innego kandydata. Najgorsze jest to, że nie mam czasu.

Niebieskie oczy Olgi wydawały się szczególnie duże za szkiełkami ciężkich okularów. Dokładnie wiedziała, o co mu chodzi. Nie mógł już chronić córki, a więc innymi słowy nie mógł jej zapewnić bezpieczeństwa. A skoro tak, to czy mógł stawić czoło problemom w rafinerii, Hamza Enterprises lub w którejkolwiek z niezliczonych gałęzi, jakie wyrosły ze wspólnego pnia na przestrzeni trzydziestu lat?

- Podpadłeś Generałowi?

- Nie. - Pokręcił głową. Świetnie dogadywał się z Koenigiem Paszą, z czego ludzie nie zawsze zdawali sobie sprawę. Generał wymagał tylko jednego: Hamza musiał mieć świadomość, kto naprawdę rządzi w al-Iskandarijji. Czyli ani on, ani młody che-dyw. W nagrodę Generał blokował akcje Interpolu, napuszczał szpiegów Waszyngtonu na szpiegów Moskwy i bezwstydnie

s

44\_Jon Courtenay Grimwood

komplementował bądź ignorował Paryż. - Powiedz mi, istnieje coś takiego, jak normalne dzieciństwo?

- Nie - odpowiedziała bez zastanowienia Olga.

- Nawet zakładając, że nikt nie ma normalnego dzieciństwa, moje było całkiem pomyłone.

Wstał od biurka, podszedł do okna, wychylił się na zewnątrz i przez chwilę obserwował ciecia z miotłą, który zamiatał boisko przy budynku szkoły św. Marka. Nieprzypadkowo jego biurowiec wzniesiono właśnie tutaj. Dawno temu, gdy po raz pierwszy przybył do tego miasta, pracował w szkolnej kuchni. Imię Hamza pochodziło z przytartej tablicy z nazwiskami uczniów zabitych w czasie wojny w latach 1914-1915. A nazwisko Quitrimala? Spodobało mu się, gdy zobaczył je w bibliotece na pozłacanym grzbiecie książki. Miał nie wyściubiać nosa z kuchni, lecz nikt nie zwracał uwagi na chłopca w dżelabie, z połamaną miotłą w jednej ręce i łopatką w drugiej. W obecności uczniów i nauczycieli ze św. Marka czuł się przeźroczysty, zrobiony ze szkła.

Zary jednak nikt nie ominie wzrokiem.

- Śledź ją! - rozkazał.

- Ja? - zdziwiła się Olga.

Zwalisty mężczyzna rozważał tę możliwość. Takie rozwiązanie miało swoje dobre strony, choć złe przeważały.

- Wybierz ludzi z ochrony. Mają składać meldunek co pięć minut.

\*\*\*

W południe zameldowano mu, że Zara została wpuszczona do domu Generała, ale zamiast niego spotkała się z młodym chedywem. Dwie godziny później robiła zakupy w sklepie z dziecięcą odzieżą w towarzystwie dziewczynki opisanej jako ciekawska i chuda. Dziecko domagało się takiej samej fryzury jak Zara, aby można je było wziąć za siostry.

O godzinie szóstej Zara i Hani, kuzynka Rafa, włączyły się tam i z powrotem po nadmorskiej promenadzie jednym z tych otwartych powozów konnych, które tak bardzo lubili turyści. Niebawem zniknęły za drzwiami magazynu przy starym targowisku w okolicy Rue Tatwig.

Wystarczyło krótko pogrzebać w wydziale ksiąg wieczystych, by dowiedzieć się, że budynek należy do jakiegoś holdin-

Efendi

45

gil. Hamza pogrzebał jeszcze trochę i odkrył, że właścicielką jest madame Sosostris, znana agentka Thiergarten, niesławnych służb wywiadowczych z Berlina. Podobno Koenig Pasza utrzymywał z tą organizacją bliskie, choć czasem napięte kontakty.

Ale dopiero kiedy na scenę weszła lady Dżalila, żona szefa policji, a zarazem ciotka Hani i kuzynka kobiety, którą Aszraf bej rzekomo zamordował, Hamza zaczął się bać nie na żarty.

46

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 8

Swt>AM

- Nie bądź śmieszny.
- Mówię serio.
- Zgrywasz się.

To Zach wpadł na pomysł „zakręcenia” rzeki - kilka dni po tym, jak przestarzałe samoloty F-117 zbombardowały szpital w Masuf, w którym akurat leżał jego brat.

Ka znalazł okulary i niebieskie plastikowe radyjko, stary model do nakręcania. Jak w przypadku okularów, ono też było popękane, a pokrętło strojenia nie działało za dobrze. Można było odbierać program rządowej rozgłośni Radio Freedom oraz rozgłośni pozarządowej... Radio Liberty.

Starsza kobieta opowiadała o wojnie. Wydawała się przybita i rozgoryczona, bliska łez. Twierdziła, że szpital wcale nie był składem broni, że był po prostu szpitalem.

Czy miała dowód na to, że mówi prawdę?

A czy ktoś ma dowód, że kłamie?

Pani ambasador, czy pani zdaniem, wojna potrwa długo?

Młoda kobieta zadawała pytania jakby z nieśmiałością.

- „Czy długo? Póki będzie woda, o którą walczymy - odparła starsza kobieta zmęczonym głosem. - Póki...”



- ...Nil będzie płynął - powtórzył Zach chyba po raz piąty. - Tak właśnie powiedziała.
- Rzeka to nie kran - odezwała się Sara, odgarniając znad oczu długie, czarne warkocze. W rozsądnym stopniu otwarta na oryginalne pomysły, nie naśmiewała się jak Saul, ale też nie kryła wątpliwości. Przeniosła wzrok nad płomieniami obozowego ogniska, aby przyjrzeć się sierżantowi. Niewinnym tonem zapytała go o to, co wszystkich nurtowało: - A jakie jest twoje zdanie?

Efendi\_47

Ka miał obowiązek wszystko wiedzieć.

- No... - Rozgarnął kijem popiół, aż strzeliły migotliwe iskry.
- Rzeki stają się coraz większe, prawda, Saul? - Kiedyś, dawno temu, coś takiego usłyszał.

Saul wzruszył ramionami. Był starszy i większy od Ka, lecz nie grzeszył inteligencją. 1 tak naprawdę nie nazywał się Saul, podobnie jak Sara nie była Sarą, a Rebeka Rebeką. Walczyli wszakże ramię w ramię z rasem Michałem i takie dostali imiona. Gdy przeszli na drugą stronę w Asuanie, wymieniono im naszywki na naramiennikach, lecz imiona biblijne przyłgnęły na stałe. Głównie dlatego, że w czasie długiej służby pod rozkazami rasa Michała wcześniejsze imiona się zatarty.

- Coraz większe? Kto tak mówi? - W głosie Rebeki przebijała agresja, jak zwykle zresztą. Tak czy owak, należało odpowiedzieć na pytanie.
- Ja tak mówię - rzekł Ka z rosnącą pewnością siebie.
- Rzeki są na początku strumykami, płyną z gór i rosną. U źródeł każda jest mała.
- Z jakich znowu gór? - zapytał Zach.
- Zawsze jest jakaś góra albo pagórek. Jeśli znajdziemy początek, możemy zbudować tamę.
- Tak, tylko jak to zrobić? - burknęła Rebeka.

Odpowiedział jej Zachariasz:

- Popiołem. - Zacerwienił się. - Buduje się tamę z kamieni, za nią kładzie się chrust i sypie popiół, żeby zatkać dziury.
- Założmy, że postanowimy „zakręcić” Nil - rzekł Saul tonem nie pozostawiającym złudzeń, że uważa to za dbilizm.
- Niby jak mamy się dostać do źródła?
- Pójdziemy wzdłuż brzegu - stwierdziła Sara, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie.
- Rzeki często skręcają - zauważył Zach.

Sara popatrzyła na małego chłopca, powstrzymując się od gniewu.

- My też będziemy skręcać.

- Niekoniecznie - wtrącił Ka i umilkł. Niepotrzebnie się z tym wyrwał. Sara patrzyła na niego z ciekawością.

Wyciągnął z kieszeni koszuli ciemne okulary. Czuł, że są ciepłe. Odkąd je znalazł, zawsze takie były - czy to w dzień, czy w nocy i niezależnie od warunków na pustyni. Jakby tem-

n

48

Jon Courtenay Grimwood

peraturą sterowała małeńka pajęczyna ze złotych żyłek, które plątały się pod powierzchnią oprawek.

- Kurde! - zdziwił się Saul. - Okulary przeciwsłoneczne.

Ka zachował spokój.

- Gdzie się znajduję?

-Co...?

Uniesioną dłonią nakazał Sarze milczenie. Nadal wszystkich widział, lecz ognisko paliło się teraz białym płomieniem. W ułamku sekundy wzrok skoncentrował się na ogniu, a reszta pograżyła się w cieniu. Aż raptem przed oczami Ka pojawił się nowy obraz. Może zrodził się w jego wyobraźni, a może powstał na szkiełkach. Trudno było ocenić.

Wiedział tylko tyle, że patrzy z góry na samego siebie. Chłopak w za dużych butach siedział przy nędznym ognisku obok dziewczyny w podkoszulku i bojówkach. Naprzeciwko siedziała jeszcze jedna dziewczyna, mocniej zbudowana. Mały chłopaczek tulił do siebie karabin, a obok znajdował się rosty młodzieniec, zapewne najstarszy w grupie, który zrezygnował z walki o przywództwo ze względu na niesprawną, źle wyleczoną rękę.

Wokół nich mrugały światełka innych ognisk, innych grup. Ka zdziwił się ich liczbą. W dalszej odległości zaczynały się prawdziwe namioty, w których spali prawdziwi żołnierze; tamte ogniska obozowe były podsycane gazem, a nie patykami i wielbłądzim łajnem. Jeszcze dalej, u stóp wzniesienia płynęła szeroka rzeka. I choć wydawała się płytka, grube hipopotamy zanurzały się przy mułistych brzegach, ignorując szakale, które wychylały się z mroku, by ugasić pragnienie.

Czarne ptaki z białymi czubami przysiadły na ruinach zniszczonego grobowca. Jego ściany rozpadły się tak dawno, że wyglądały na naturalną formację przyrodniczą, fragment pokruszonej i ubłoczonej skały.

Podobno zapuszczały się tutaj lwy z wyżyn, ujeżdżane przez małpy z białymi wąsami, które miały swój język i mieszkaly wysoko na szczycie urwiska, gdzie nie bały się ludzi. Ka nie widział ich jednak.

Widział natomiast ruch ludzi na prawo od siebie, daleko, gdzie suche uredy schodziły z gór przylegających do odległego wybrzeża na kształt kręgosłupa. Dalej cienki pas miast i miasteczek oddzielał góry od niewyobrażalnie wielkiego zbiornika wody.

Efendi

Morze Czerwone.

Litery wyświetliły mu się przed oczami, lecz nie musiał czytać, bo nazwa morza cicho zabrzmiała mu w uszach. I całe szczęście, ponieważ nie nauczone go czytania. Aczkolwiek miał zdolność odgrzebywania z pamięci dowolnych zdarzeń. Czasami przypominał sobie najdziwniejsze rzeczy, tak na wszelki wypadek, gdyby okazały się potrzebne.

A zatem bez informowania się u kogokolwiek wiedział, że białe oznaczenia na maskach ciężarówek terenowych, które pędziły korytarzami wyschniętych uedów w kierunku ich obozu, oznaczają samochody wojsk rządowych.

\* « \*

Dorzucili do ogniska, by świeciło się jasno, a pod starym kocem Saula poskładali plecaki. Dzięki temu, patrząc z boku, można było odnieść wrażenie, że śpią sobie w najlepsze.

Po obraniu kierunku zachodniego Ka skoro świt wyprowadzi! ich z obozu. Naokoło w regularnych odstępach rozstawiono strażę, lecz wartownicy na służbie siedzieli, gadali i palili hasz; skręty umiejętnie zasłaniaли rękami, żeby nie nakryli ich dorośli. Którzy, jeśli mieli trochę oleju w głowie, trzymali się z daleka. Dwa dni temu w ciemnościach pewna dziesięciolatka na warcie potraktowała z granatu porucznika, niby za odmowę podania hasła. Chodziły plotki, że chciała uzupełnić zapasy.

- Tędy. - Ka ześliznął się ze żwirowej skarpy do miejsca, gdzie srebrzysta woda rozciągała się na niewyobrażalną długość. W rzeczywistości nie aż tak wielką, jak można by sądzić, ale jemu to i tak wystarczało. Teraz się przekona, czy faktycznie dowodzi grupą. - Musimy przeprowić się na drugi brzeg - oznajmił beznamiętnie. Jakby prośba, aby wleźli do wody, była zrozumiała i w pełni uzasadniona. Przemknęło mu przez myśl, że może powinien napomknąć o wojskowych ciężarówkach, mknących przez pustynię po drugiej stronie obozu, każda wypełniona dwunastoma uzbrojonymi po zęby żołnierzami.

Saul mógłby wyrazić chęć pozostania, podjęcia wałki, lecz Ka, szczerze mówiąc, miał to gdzieś. Nie obchodziło go to, co i gdzie zrobi Saul. Jednakże mogłaby zostać przy nim Sara, a to już coś znaczyło. Rebeka, jak zawsze, poszłaby po najmniejszej linii oporu.

50

Jon Courtenay Grimwood

- A krokodyle? - zapytał Zach.
- Tu icto nie ma - odpowiedział twardo Ka.
- Skąd wiesz?
- Wiem i tyle.

Kłamał jak z nut, bo przecież sam widział przynajmniej trzy. Punkty o większej temperaturze, w kształcie kłody drzewa, stawały się jaśniejsze, im bardziej wyteżał wzrok. Crocodylus niloticus, jeśli wierzyć okularom. Odległość: pięćset kroków. Przy odrobinie szczęścia gady się nie obudzą. Jeżeli

szczęścia zabraknie... cóż, niefart w każdej sytuacji mógł mieć te same skutki.

- Chodźcie! - nalegał Ka. - Nie ma czasu! Trzymajcie broń nad głową, żeby woda nie wlała się do lufy.

-Ja nie dam rady - oświadczył cicho Saul. Mocno przygnębiony, co rzadko mu się zdarzało.

- A to czemu?

- Nie umiem pływać.

- Aha... - Ka wcześniej o tym nie pomyślał. - A reszta?

- Ja chyba umiem - odparł wesoło Zach, lecz mina mu zrzedła, gdy zobaczył skupione na sobie spojrzenia Ka, Sary i Rebeki. - To znaczy, nie próbowałem jeszcze, ale...

Rebeka cmoknęła z niezadowolaniem.

- A ty, Sara?

Jedynie na niej tak naprawdę zależało Ka.

-Jasne, że umiem pływać. Mój ojciec był rybakiem.

- To jeszcze o niczym nie świadczy. - Jego ojciec hodował wielbłądy, lecz Ka nienawidził tych zwierząt. A one jego. Nigdy nie wsiadał na grzbiet, jeśli miał do wyboru to lub pójście piechotą.

- No więc umiem pływać - powtórzyła Sara. - W porządku?

- Dobra, ale ja nie umiem! - Saul zaczynał się wkurzać.

Obraz zmienił się i wyostrzył: przezroczysta nakładka

z falistych linii, umieszczona tuż-tuż przed oczami Ka. Jedne linie, przylegające ściśle do konturów wzniesień i skał, opisywały wysokość. Drugie tworzyły mapę rzeki; Ka nie od razu połąpał się, że wskazują głębokość, ponieważ skupiał uwagę na czymś innym.

Sara zaofiarowała się zdobyć łódkę.

Efendi

51

- Odwróćcie się! - zażyczyła sobie i poczekała, aż spełnią jej prośbę. Oprócz podkoszulka i bojówek miała na sobie jedynie wyświechtane figi z wysokim wycięciem. Pewna norweska pielęgniarzka w przeddzień powrotu na rodzinną farmę w okolicach Namsos rozdała całe swoje zbędne ubranie. Nowa właścicielka majątek zginęła od postrzału w brzuch. Od następnej posiadaczki Sara dostała je w zamian za pół paczki papierosów i amulet. - Zaraz wracam...

Podobnie jak każdy z nich, Ka usłyszał stłumiony plusk, lecz tylko on był w stanie zobaczyć, jak Sara przecina ciemną poać wody, wyrzucając do góry głowę i kopiąc na boki nogami. Chociaż interesowała go nie tyle jej głowa, co plecy i pośladki, chude z powodu głodu i niekończących się marszów wzdłuż rzeki.

Po kwadransie Sara wracała zdyszana, lecz zadowolona. Choć pozostali widzieli tylko łódkę, sunącą po wodzie jakby za sprawą czarów.

- Odwróćcie się! - Wspięła się na brzeg i włożyła zakurzone ubranie, nie zwracając uwagi na wodę, która spływała jej po nogach i między małymi piersiami.

- Hej, co ty robisz? - odezwał się Saul, a widząc zmieszanie sierżanta, dodał: - Stoisz jakoś dziwnie...

- Nastuchiwałem - odparł pośpiesznie Ka i zaraz tego pożałował, gdy Saul zadał mu oczywiste pytanie. - Czy ciężarówki są blisko.

Skupił na sobie powszechną uwagę. Zach chyba chciał muchę złowić, tak szeroko rozdziawił usta, Rebeka się obejrzała i nawet Sara spojrzała nań z ukosa, gdy wyciskała wodę z ciężkich, czarnych warkoczy. Ka przypomniał sobie, że nie powinien wspominać o rządzie.

- Niebieskie kapelusze? - zapytał Saul ściśniętym głosem.

- Nie mam (Sojęcia - odparł Ka niezgodnie z prawdą. Nad-ciągaly niebieskie kapelusze, milicja i regularne oddziały wojsk rządowych. Plus dwie otwarte ciężarówki, pełne niewiernych w czarnych mundurach, z twarzami pomalowanymi w czarne, maskujące wzory. - Ale nie zamierzam tu gnić, żeby się dowiedzieć.

- Wolisz zwiewać, co?

52

Jon Courenay Grimwood

Ka cofnął się dwa kroki.

- Co według ciebie jest ważniejsze - odpowiedział Saulowi - siedzenie tutaj czy nasza misja „zakręcenia” Nilu?

- Zrobimy to później.

- A jeśli zginiemy? Kto pójdzie za nas?

Pokład maleńkiej, stuletniej chyba feluki spłowił w słońcu, żagiel był na pół przegnity, a sykomorowe burty powyginane. Szparami nad wodą nikt się nie przejmował, lecz te poniżej zostały zatkanie sznurami i byle jak oklejone, z zewnątrz i od wewnątrz, kawałkami masy bitumicznej.

- Pierwsza klasa - wyraził się Ka z uznaniem.

Wspólnymi siłami zepchnęli łajbę na wodę i cofnęli się,

aby Zach mógł wdrapać się na pokład. Za nim poszła Rebeka; aby nie zamoczyć spódnicy, podkasala ją wysoko nad szerokie biodra. Nie nosiła majtek i pewnie tylko udawała, że o tym nie wie.

Efendi

53

Rozdział 9

7 października

Ucichły zbiorowe westchnienia miasta pogrążonego w ekstazie, chociaż grzmoty eksplodujących fajerwerków nadal włączały alarmy w samochodach i współbrzmiały z ujadaniem psów, które na tę noc uwiązano na łańcuchach.

7 października przypadała Aszura, dziesiąty dzień muzułmańskiego miesiąca muharram, kiedy w al-Iskandarijji odbywały się największe pokazy sztucznych ogni. Na promenadzie Corniche grupy ludzi puszczały w niebo takie pęki rac, że te przestawały zwracać na siebie uwagę swą urodą; jedynie najwspanialsze kaskady srebrzystych iskier budziły pewne zainteresowanie. O północy, wyposzczeni po dwóch dniach głódówki, ludzie z zapałem oddawali się uctwowaniu.

Stoliki wypływały z kafejek na chodniki, a miejsca w restauracjach były zarezerwowane z wielomiesięcznym wyprzedzeniem; jedynie pieniądze lub znajomości mogły umożliwić spóźnialskiemu znalezienie stolika.

Poruszający się na zachód ulicą Boul Isk, wagon restauracyjny zakołysał się na błyszczących, wyjeżdżonych szynach, aż woda wylała się z karafki. W kuchence tak małej, że w jadłospisie mogło figurować jedynie pięć dań, zastępca szefa kuchni upuścił gar ze szparagami...

Ale któżby zwracał uwagę na szczegóły? Pod koniec Aszury tylko w ruchomym lokalu Maxima można było jeszcze coś zjeść. Ów szczególny pojazd, posiadający specjalną licencję na sprzedaż alkoholu, cieszył się popularnością wśród wpływowych osób. Co w przekonaniu Zary bint Hamza oznaczało ludzi dzianych i nadętych... w odróżnieniu od jej ojca, który był tylko i wyłącznie nieprzyzwoicie bogaty.

54\_Jon Courtenay Grimwood

Rankiem Zara przefarbowała sobie włosy na kolor niebieski, prawie granatowy. I obcięła się na króciutkiego języka, na podobieństwo robotników portowych w geście solidarności ze strajkującymi stoczniovcami z Tunisu. Nie trzeba zaznaczać, że fryzjer policzył sobie dużo więcej, niż przeciętny stoczniowiec zarabiał tygodniowo. W nowej fryzurze było jej wszakże do twarzy, zwłaszcza teraz, gdy

po miesięcznej diecie zaznaczyły jej się kości policzkowe. Uświadamiała sobie całą absurdalność swego niesłabnącego poparcia dla spraw skazanych na porażkę.

Wzruszyła ramionami, westchnęła i jeszcze raz wzruszyła ramionami. Tym drugim wzruszeniem chciała dopieć matce.

Ubrała się od stóp do głów jak osoba dorosła: w kreację z Atelier Azzedine, która dokładnie zakrywała prawie całe ciało, lecz podkreślała kontury. Nim powstała suknia, na podstawie szkicu wykrojono pojedynczy kawałek tkaniny, który następnie przycięto i poprawiono na ciele modelki z przyzwoitego domu. Była to praca nadzwyczaj mozolna i kosztowna.

Miodowy miesiąc przeszedł jej koło nosa, lecz cieszyła się z tego, że ojciec pozwolił jej zachować prezent. Ale na tym nie koniec niespodzianek: drugą, bez porównania bardziej zaskakującą, schował jej do torebki od Gucciego. Nowiutka karta American Express nie była formą kolejnej zapomogi, jak tamto konto, na którym co pół roku pojawiała się kieszonkowe. Nie była to również drugorzędna karta jednego z banków ojca. W tym wypadku sprawa przedstawiała się inaczej: umożliwiała dostęp do gigantycznie oprocentowanego konta w Zurychu. Jak gigantycznie, zrozumiała dopiero po zadzwonieniu do Szwajcarii; kiedy podała numer konta, pracownik banku wyjaśnił, ile dolarów zawiera dzbanek na końcu tęczycy.

Teraz jednak, mimo prześlicznego stroju, czuła paniczny strach, ponieważ zaraz po przygodzie w magazynie, gdzie otarła się o śmierć, ojciec obiecał sprezentować jej na własność mieszkanie... żeby nie musiała już mieszkać w Villa Hamza.

Ostatecznie zatrzymał ją w domu i obdarował jednorazową, dziewięciocyfrową wpłatą w dolarach amerykańskich na rachunek w mieście, gdzie kobieta może legalnie dysponować własnym kapitałem.

Jeśli chodzi o nią, to jej największy kłopot nic polegał na tym, że ojciec dał jej tyle szmalu, a zarazem najwyraźniej zmienił

Efendi

zdanie w kwestii wypuszczenia jej spod swoich skrzydeł. Chodziło o to, że nie mogła naciągnąć go na zwierzenia.

„Później porozmawiamy - zbywał ją lakonicznie. - Jak wszystko się ułoży”.

Skosztowała kapara z najbliższej miski: delektując się słonym smakiem, rozgniotła językiem na miazgę pęk kwiatowy. Sięgała już po następny, kiedy zmaterializował się nad nią kelner.

- Szampana? a

- Chętnie. - Z uśmiechem uniosła kieliszek, na widok czego ktoś przy stoliku po drugiej stronie przejścia prychnął wzgardliwie. Bo co? Bo kobieta pije alkohol? Bo sama nadstawia kieliszek? Bo uśmiecha się do kelnera? Bez względu na powód, postanowiła tym się nie przejmować. Dlatego uśmiech nie schodził jej z twarzy, gdy czekała na napełnienie kieliszka. Polem grzecznie podziękowała kelnerowi.

W kawiarni Starbuck's w Nowym Jorku, przy skrzyżowaniu Morningside i West 123rd, niedaleko

Central Parku, wolała przez dziewięć miesięcy tyrać wieczorami, usługiwać gościom za najniższe wynagrodzenie plus napiwki, aniżeli zadzwonić do domu i przyznać się, że kieszonkowe, o które wcześniej prosiła, nie wystarcza na życie na Manhattanie, nawet jeśli mieszka się na czwartym piętrze kamienicy bez windy. Póki żyje, nie okaże złośliwości kelnerowi.

Nadal uśmiechnięta, spojrzała w stronę sąsiedniego stolika i uniosła kieliszek.

Maxim musiał wydać miliony na wystrój wnętrza. Projektanci z Pragi i Dublina skrupulatnie dobrali wygląd krzesel, które z pewnością wykonano w pracowni rzemiosła artystycznego, choć z uwzględnieniem wymogów współczesnej ergonomii. Podłoga była z przyciemnionego szkła, a ściany wyścielane ciemnymi portretami na birmańskim jedwabiu, otrzymywanym z oprzedu genetycznie modyfikowanych jedwabników, „nauczonych” wydzielać cieniutkie włókna w kolorze złotym. Każdy obraz był oryginałem o udokumentowanym pochodzeniu, zazwyczaj połączeniem surowych stylów Paula Klee i Matisse’a, czasem z odniesieniami do Augusta Mackę. O wszystkim informowały najnowsze przewodniki.

Nie każdy jednak wiedział, że znakomitą część funduszy na odnowienie wnętrza pochłonęło zabezpieczenie wagonu

\_Jon Courenay Grimwood

- zgodnie ze standardami US Army - przed terrorystycznym atakiem bombowym. Hamza efendi znał techniczne szczegóły systemu bezpieczeństwa. Safety Unlimited było firmą córką Martini&Gatting, będącej z kolei spółką całkowicie zależną od koncernu Quitrimala Enterprises.

Gdzie spojrzeć, miejscowi notable rozdłubywali turboty na sałatce z ogórka, zapiekane i marynowane w soku cytrusowym, bądź skubali kacze wątróbki sauté z kozieradką i tajskim chili. Maxim zdecydowanie i bezkompromisowo popierał tradycyjne kompozycje smakowe.

Prawdę mówiąc, Hamza wolałby jeść jajecznicę z halami u siebie w domu, jednakże przyszedł tu nie tylko z okazji święta, ale też żeby uczcić ucieczkę Zary ze szponów zdradzieckiej zabójczyni z Thiergarten. Taki cel mu przyświecał.

Niestety, Zara obojętnie gapiała się w okno, Rahina znowu o coś miała pretensje, a ich gość - major, który praktycznie sam się wprosił - zamęczał ich nudnym opisem wygod liniowca SS „Jannah”.

- Słuchaj, co pan mówi!

Hamza otworzył oczy, ale to Zara została zbesztana. Tak się złożyło, że głos jego żony zelektryzował wszystkich klientów restauracji... z wyjątkiem córki.

- Proszę cię, słuchaj, co ludzie mówią!

- A co takiego mówią? - Uśmiechnęła się zimno do matki.

- Pan major ma ci do powiedzenia wiele ciekawych rzeczy, skarbie. - Pieszczotliwy zwrot stał w sprzeczności ze złością w ciemnych oczach korpulentnej kobiety.

- Na przykład jakich? - spytała Zara głosem pełnym słodyczy. Gdy ostentacyjnie zatrzepotała rękami, mężczyzna odwrócił wzrok, zawstydzony. Bombardowany peszącymi uwagami, musiał w końcu to zrobić. - No słucham. - A ponieważ major udawał, że nie słyszy, wróciła do swego zajęcia:



oglądania mijanych sklepów.

Zgodnie z przewodnikiem Michelina, pomysł z wędrowną restauracją w tramwaju wyszedł od dwóch paryskich szefów kuchni. Podczas gdy inni przedsiębiorcy pakowali stoliki na salach, oni kupili dwa drewniane tramwaje i je szczepili, by w pierwszym urządzić właściwą restaurację, a w drugim kuchnię i biuro. Działo się to przed stu dwudziestu laty. Maxim

Efendi

57

posiadał tylko osiem stolików, rezerwowanych zawsze parę miesięcy naprzód.

- Właściwie, to jak udało ci się zdobyć rezerwację? - wypaliła Zara.

Osoby przy sąsiednim stoliku przestały rozmawiać. Może były ciekawe, a może przerwała im debilną pogawędkę. Zara nie wiedziała i nie miało to dla niej znaczenia.

- Bo przecież nie mogłeś przewidzieć - dodała zgryźliwie

- że zostanę uratowana przez Aszrafa beja, prawda? Nie spodziewałeś się chyba, że okaże się niewinny?

- Nigdy nie uważałam Rafa za... - zaczęła madame Rahi-

na.

Zara prychnęła lekceważąco. Nie przejmując się wściekłością wymalowaną na obliczu matki, zwróciła się do ojca:

- To jak było z tym stolikiem? - przypomniała mu na wypadek, gdyby zapomniał.

- Ja nigdy... - powtórzyła głośno matka - nigdy... - Ale i tego zdania nie zdołała dokończyć.

- A właśnie że tak - powiedziała Zara. - Mówiłaś, że egzekucja to najlżejszy wymiar kary dla niego i od pierwszego wejrzenia wydał ci się złym...

- Dostałem listę osób, które rezerwowały stolik - rzekł beznamiętnie Hamza, ucinając w zarodku kłótnię. Zara założyłaby się, że stosował tę sztuczkę podczas spotkań biznesowych, choć zapewne nie musiał się do niej często uciekać. Prawie wszyscy, z którymi się spotykał, byli od niego uzależnieni finansowo.

- Potem je obdzwoniłem i jedna przyjęła moją propozycję.

- Która?

Major mówił po francusku z wyraźnym kairskim akcentem, co nie dziwiło, zważywszy na jego krogulczy nos i wysokie kości policzkowe. Karnację miał równie gładką jak Zara, choć w miodowym odcieniu, gdy jej była znacznie ciemniejsza. Doskonały krój munduru galowego podkreślał jego zgrabną, żołnierską figurę. Zara mogłaby go nawet polubić, gdyby przestał być takim sztywniakiem.

- To znaczy - poprawił się - jak pan dokonał wyboru?

Hamza się roześmiał.

- Nic prostsze. Od dawna powtarzałem, że moim marzeniem jest zjeść tu dziś kolację. Temu, który wystraszył się

Jon Courtenay Grimwood

najbardziej, zaproponowałem symboliczną sumę za odstąpienie stolika.

Zara uśmiechnęła się mimo woli. Major wydawał się poruszony żartem, którym Hamza ośmiesza! samego siebie. Ale co właściwie tu robił? - oto pytanie. Kiedy po wejściu do tramwajowej restauracji dostrzegła na stoliku tabliczkę z jego nazwiskiem, była przeświadczona, że to nowy kawaler do wzięcia. Pewnie jakiś szlachetnie urodzony, choć bliski bankructwa oficer sztabowy, którego wynalazła matka, aby uczynił z córki szanowaną damę. Jakby cokolwiek mogło poprawić jej wizerunek w oczach mieszkańców al-Iskandarijji, po tym jak Raf wypiął się na nią publicznie.

Pieniądze w zamian za pozycję społeczną. Od ciebie klasa, ode mnie kasa, oto czego dowiedział się Raf. Już prawie ubito interes. Doszłoby do tego, gdyby nieżyjąca ciotka Rafa i jakże żywa matka Zaiy miały decydujący głos w tej sprawie. Tak się jednak złożyło, że Raf patrzył na to swoimi oczami.

- No dobra - powiedziała. - Skoro mamy już stolik, co będziemy jedli?

- Spokojnie, nigdzie nam się nie śpieszy - napomniął ją Hamza łagodnie.

- Naprawdę? - Spojrzała na zegarek. - To pewnie mój rotary znowu się śpieszy. - Stuknęła w cyferblat, wzruszyła ramionami i ponownie skierowała wzrok na okno. Zachowywała się nieładnie, i co z tego? Uprzedzała, że pomysł ze wspólną kolacją będzie niewypałem, kiedy ojciec pierwszy raz o tym wspomniął, co później powtórzyła, dowiadując się, że już zarezerwował stolik. Od tamtej pory nie zaszło nic, co mogłoby ją skłonić do zmiany zdania.

Za oknem tramwaju przesunęła się dostojna siedziba biura podróży Thomas Cook, gmach Olympii, kawiarnia Athi-rios i pokryty sztukateriami Palais de Justice. Na zakurzonym Place Zaghoul mogła dostrzec fragment ciemnego morza, lecz widok szybko przesłonił dworzec autobusowy. Nadal poruszali się w kierunku zachodnim, w odległości jednej przecznicy od Corniche.

W następnej kolejności mijali Grób Nieznanego Żołnierza, gdzie pod marmurowymi ścianami spali włączędzy, w nędznych budkach sprzedawano lepkie migdały, a zagraniczni turyści,

Efendi

5

spacerujący pod rękę, dostrzegali wokół siebie tylko piękno. Dalej Corniche skręcała na północ w stronę masywnych obwarowań Fortu Kait Beja.

Jeszcze chwila i tramwaj przetoczy się u podstawy przylądka Ras el-Tin i ruszy na południe ku Dworcowi Morskiemu i starym stocziom.

Na mapie cypel przypominał gruby ogryzek, jednak myliłby się ten, kto podejrzewałby ten skrawek ziemi o długowieczną historię. Niegdyś w tym miejscu było morze, potem grobla połączyła wyspę ze

stałym łądem. W późniejszych latach grobla została poszerzona, później jeszcze poszerzyły ją śmieci, aż wreszcie powstała dzielnica al-Anfuzi z wąskimi uliczkami i dziwacznymi, skierowanymi ku wnętrzu przylądka turecko-arabskimi domami.

- Czemu nie zaprosiłeś samej Hani? - zapytała nagle Zara. Hani może i miała dziewięć lat, lecz potrafiła ocenić na podstawie wyglądu wiek budynku. - Czemu? - powtórzyła, zirytowana.

- 1 tak nie chciała być tu z nami - odezwała się cierpko Rahina. Jej złości spowodowanej afrontem ze strony Rafa nie pomniejszała aż tak bardzo przyjemność związana z oskarżaniem o to Zary.

- Zapraszałaś ją?

- Oczywiście, że nie. Dzieci się nie zaprasza. Uwzględniłam ją w zaproszeniu dla Aszrafa beja.

Wspaniale, nie ma co! Jej spojrzenie przesunęło się po pustych krzesłach. Tabliczki z nazwiskami nadal mówiły, kto powinien w nich siedzieć, aczkolwiek właściciel niewzruszenie usunął srebrne zastawy stołowe, gdy doszedł do wniosku, że brakujący goście Hamzy już się nie pojawią.

- Nie powiesz mi chyba, że na niego czekałaś? - zapytał Hamza córkę łagodnie. W jego głosie, zamiast złości czy oskarżenia, znać było tylko pogodzenie się z faktami. Smutnymi faktami, takimi jak ten, że kiedy ostatnim razem Aszraf przyjechał do Villi Hamza, Zara nie raczyła się nawet z nim przywitać. W zasadzie, Aszraf nie przyjechał sam: za kółkiem siedział Avatar... co też ją denerwowało.

Czy na niego czekała? Nie czekała na nikogo.

Że Avatara zabraknie, można było przewidzieć. Ojciec spotykał się z chłopakiem jedynie pod nieobecność matki. Choć

0\_Jon Courtenay Grimwood

i to nie od razu wywalczył. Avatar, nieszczęsny bękart. Mimo że w mieście poligamia należała do powszechnych zjawisk, dziecko z nieprawego łoża było z reguły odtrącone przez świat i skazane na ubogie życie.

- Proszę. - Major podsunął jej czyściutką<sup>1</sup>, starannie wyprasowaną serwetkę. - Przyda się pani ...

Zara popatrzyła na niego pustym wzrokiem.

- Pani płacze... - wyjaśnił.

Rzeczywiście. Wreszcie zrozumiała, czemu ulica za oknem nagle się rozmyła.

Efendi

1

Rozbzuł 10

7 pAŻficiemika

Tej dziewczyny w oknie dudniącego wagonu restauracyjnego Raf nie pomyliłby z nikim innym. W jej

rysach malowała się tak bezdenne rozpacz, że dosięgała i jego mimo odległości.

Kiedyś był na jej miejscu, czuł to samo co ona...

Nosił, jak to miał w zwyczaju, przeciwsłoneczne okulary, a także skórzany płaszcz na podszewce z pajęczego jedwabiu oraz buty ze wzmocnionymi czubkami i czarnymi żelaznymi obcasami. Za okularami od Armaniego kryły się oczy z czterema receptorami światła (w odróżnieniu od trzech u normalnych ludzi), którymi cieszył się od urodzenia. Czwarty nastawiony był na odbiór ultrafioletu, aczkolwiek umiał go dostosować do odbioru każdej długości fali widma optycznego.

Poziom słyszane dźwięki ustawiał poprzez otwieranie i domykanie uszu. W tej materii wszystko było jeszcze do przewidzenia, choć w stopniu uproszczonym. Rzeczy nieprzewidywalne dotyczyły lisa, który teraz trzeszczał od zakłóceń, przeklinał i szalał w jego głowie.

Siedział na policyjnym motocyklu, wyposażonym w dwa wielopunktowe reflektory, wykorzystujące najnowsze osiągnięcia technologii światłowodowej. On je wszakże odłączył, podobnie jak przedtem rozprawił się z przewodami do światła stopu i dwóch par kierunkowskazów. Światła odblaskowe po prostu wyszarpał. Motocykl wykonano z lekkich stopów w grafitowym kolorze, do tego dochodził czarny, wyczynowy blok silnika i farba pochłaniająca światło. W obiektywach kamer przemysłowych był prawie przezroczysty.

Lakier niedawno nałożono w pewnym warsztacie... po kosztach własnych. Nagle masa ludzi w mieście zapragnęła się

Jon Courtenay Grimwood

skumplować z nowym szefem wydziału śledczego. W miejscowym sklepiku spożywczym musiał rozkazać, by nie dawano mu na wszystko rabatów; dopiero gdy zagroził znalezieniem sobie innego sklepu, właściciel zrozumiał, że to nie przelewki.

- Pewny jesteś, że chce ją porwać jakaś gnida?

Raf nie wiedział, czy skinąć głową, czy krzyknąć, więc zdecydował się na te pierwszą opcję. Lis niby wrócił, ale po restarcie otrzymał domyślną osobowość. A do tej pory wydawało się Rafowi, że lis ma stabilny charakter, zaś awarie przytrafiają się jemu.

- Kto tak mówi? - spytał ostro lis.

Ano każdy donosiciel opłacany przez policję, każda tania dziwka licząca na łagodniejsze potraktowanie w sądzie, nawet paru w miarę uczciwych, ogólnie szanowanych obywateli, którzy woleli nie występować publicznie ze swoimi obawami. Plotka rozbiegła się po ulicach i z prędkością naszprycowanego sterydami biegacza biła rekordy okrążeń.

Dlaczego? - na to pytanie odpowiadano sobie wielorako, lecz sedno sprawy pozostało niewzruszone. Szepty padały spod kwefów i ulatywały spomiędzy ledwie uchylonych warg niczym dym z kafejek. Nieokreślone czynniki, i to nieokreślone w całej rozciągłości tego słowa, organizowały nagonkę na Hamzę, który stał się idealnym adresatem przysłowiowych propozycji nie do odrzucenia... aczkolwiek on sam się do tego nie poczuwał, przez co jego córka znalazła się na celowniku. Wszyscy, ale to

wszyscy, którzy mieli dobre źródła informacji, wiedzieli, co się

i

święci. Łącznie z Hamzą.

- Bogaty tatuś?
- Daj spokój! - burknął Raf, poirytowany.

Przez chwilę lis nic nie mówił, więc Raf wrócił do swoich trosk o Hani, albowiem były dni, kiedy wydawało mu się, że to wychodzi mu najlepiej.

Przed samym wyjściem z domu zapytał dziewczynkę, czy czegoś jej nie potrzeba, mając na myśli tost lub kubek gorącej czekolady przed spaniem. Ona popatrzyła na niego z poważną miną i wątłą rączką odgarnęła znad ciemnych oczu jeszcze ciemniejszą grzywkę.

„Potrzeba mi tylko trochę czasu” - odpowiedziała.

Efendi

3

A zatem to właśnie próbował jej dać. Czas i swobodę. Czyli coś, czego chronicznie brakowało ludziom mającym w bród wody i żywności. Od tamtych wydarzeń w magazynie Zara go nienawidziła, i słusznie. Raf jakoś się z tym pogodził, lecz nieufność Hani bardzo go bolała. Dostrzegał to, kiedy nagle milkła, kiedy traciła apetyt, widząc go w olbrzymiej kuchni w medresie, kiedy rzucała ukradkowe spojrzenia w jego stronę i kiedy nieświadomie wzdrygała się ze strachu.

Próbował siebie przekonać, że to tylko wytwór wyobraźni... Iccz czasem, gdy wracał do domu, nie potrafiła zapanować nad miną. Niejeden raz podsłuchiwał Donnę, jak specjalnymi słowami zachęty każe dziewczynce pocałować go na dobranoc.

„Kałuże”, tak wyraził się Hamza, zaskakując Rafa swoim porównaniem podczas tej jednej rozmowy, do jakiej między nimi doszło. Dorośli brną pod prąd swoich zmartwień, lecz dzieci przechodzą od smutku do smutku, zostawiając za sobą mokre ślady. Kiedy ziemia pod nogami staje się sucha, spotyka je nowa przykrość.

Jon Courtenay Grimwood

Rorfcział 11

7 pAŹi>zicrMiUA

- Nic mi nie jest - oświadczyła Zara.
- Akurat! - Na twarz)l matki malował się wyraz zdecydowania. - Pan major Halim ma zupełną rację. Powinnaś zażyć świeżego powietrza. - Spojrzała na Hamzę, szukając u niego wsparcia, ten jednak z uporem gapił się na dno kieliszka z brandy.

Z odwiedzenia restauracji Maxima, posiadającego międzynarodową licencję na sprzedaż alkoholu, wpływała ta niewątpliwa korzyść, że - czy to się komuś podobało, czy nie - można tu było legalnie pokosztować wybornych trunków.

- Świeże powietrze dobrze jej zrobi - dodała madame Ra-hina. - Nie mam racji, kochanie?

Hamza udał, że dopiero te słowa wyrwały go z zamyślenia. Dobrze wiedział, co się wokół niego dzieje - wiedział wszystko od chwili, kiedy jego żona po raz pierwszy wspomniała o zaproszeniu majora. Ufał jednak córce i pozwalał jej na swobodę wyboru.

- Najlepiej niech Zara sama zdecyduje - powiedział ostrożnie. - Jeśli o mnie chodzi, to miałbym ochotę na dobry pudding. - Podniósł jadłospis w skórzanej oprawie i zasłonił się nim jak tarczą.

Po twarzy Zary przemknął uśmiech. Gdy w odpowiedzi major też się uśmiechnął, w myślach wzruszyła ramionami. Miał posagową urodę gwiazdy filmowej, z tą swoją silną, kanciastą szczęką, piwnymi oczami i włosami przyciętymi odrobinę dłużej, niż dopuszczały przepisy w wojsku. Prawdopodobnie nie sądził, że jego grzecznościowa uwaga spotka się z tak skwapliwym poparciem madame Rahiny.

Efendi

Cóż, jeśli problem da się rozwiązać od razu, najlepiej to zrobić.

- Świetnie. - Zara odsunęła krzesło. - Czemu nie? - Jeszcze chwilę się wahała, gdy major bezskutecznie próbował zwrócić na siebie uwagę właściciela, lecz w końcu tylko wzruszyła ramionami. - Szkoda fatygi - powiedziała. - Sama zatrzymam wagon. - Po tych słowach chwyciła wiszący na ścianie łańcuszek hamulca awar. inego i mocno szarpnęła.

Rozległ się huk tłukącej się porcelany, która zlatywała ze stołów, ale przede wszystkim z rąk rozkołysanego kelnera, zajętego w kącie układaniem talerzy. Dał się słyszeć kobiecy krzyk i tramwaj się zatrzymał.

- Coś się stało? - Właściciel ze strachu poszarzał na twarzy. Z trudnością zdobywał się na francuski akcent, gdy u jego stóp leżała rozbita porcelana z Limoges.

- Oczywiście, że się stało! - Zara wyrwała ojcu z rąk jadłospis. - Niech pan to sobie obejrzy. Przecież tu nie ma nawet lodów czekoladowych!

\*\*\*

- Rozwal go!

- Nie. - Raf pokręcił głową.

- Na co czekasz? - Lis wydawał się zde gustowany. - Masz go jak na widelcu.

1 rzeczywiście. Mężczyzna, który wyszedł z gwałtownie zatrzymanego tramwaju, przystanął, rozglądając się po placu; jedną rękę trzymał na ramieniu Zary, drugiej nie wyjmował z kieszeni. Powiedział coś do dziewczyny, na co ta wolno pokiwała głową, lecz gdy tylko zechciał ująć jej dłoń, natychmiast się odsunęła.

Raf uspokoił się, widząc, że Zara jest nie tyle wystraszona, co zdenerwowana.

Place Ibrahim Pasha wydawał się wymarły (wagon restauracyjny prawdopodobnie planował zmykać stąd jak najszybciej), a dosłownie pod nogami Zary rozciągały się katakumby, wydrążone w wapieniu tysiąc lat przed narodzinami Proroka. Wedle pogłosek, docierały aż pod Faros, połączone z niezbadana siecią ciemnych tuneli, z grubsza obciosanych komór i głębokich lochów. Raf na miejscu Zary trząsłby się ze strachu.

66

Jon Courtenay Grimwood

- Wal śmiało! - namawiał lis. - Co, może się boisz?

Zabijać z konieczności? Pokręcił głową przecząco. Raczej

nie... Ale strzelać tak bez dania racji? Tego unikał jak ognia. Zresztą, coś jeszcze go frapowało, i to do tego stopnia, że w lot zmienił swoje plany.

- Ten mundur...

- Co?

- Nie poznajesz?

- Może to przebranie? - zasugerował lis.

- E tam. To nie miałoby sensu.

Mundur tak szykowny, że w oczy kłuło. Butelkowiełona kawaleryjska bluza ze złotym szamerunkiem i galonami na kołnierzu i mankietach. Tego rodzaju strój przykuwał wzrok i zapadał w pamięć. Lepiej już wybrać coś mniej krzykliwego, jak na przykład czarny mundur funkcjonariuszy sécurité, na których widok ludzie odwracali głowy niezależnie od tego, czy był to efekt zamierzony.

Raf wstał, otrzepał kurz z kolan i wrócił do motocykla.

- Dokąd to? - zapytał lis.

- Porozmawiam z Zarą. - Po oddzieleniu kolby od lufy złożył zabrany z policyjnego magazynu karabin snajperski. Małeńki celownik laserowy po wykręceniu schował do kieszeni, resztę wetknął do futerału przy przednim widelcu hondy.

- Zwariowałeś...

Ignorując lisa, ruszył przez plac. Ubrany na czarno, przemierzał teren pogrążony w ciemności, a jednak major dostrzegł go błyskawicznie. Godne podziwu.

- Cześć, Zara!

Odwróciła się, gdy zawołał, lecz uśmiech prędko zgasł na jej twarzy. Próbowwała mu się przyjrzeć, lecz w mroku nie mogła nic zobaczyć oprócz odległych światełek na dnie jego okularów.

- Widzę, że nadal się maskujesz.
- Zna go pani? - Major Halim wyciągnął dłoń z kieszeni.
- Ależ oczywiście. - Popatrzyła na czujnego majora chmurnym wzrokiem. - Jakżebym mogła zapomnieć Aszrafa al-Mansura?
- Beja?

Raf podał rękę na przywitanie, lecz nikt mu jej nie uściśnął. Adiutant Generała figurował w policyjnej kartotece, aczkolwiek nie wyróżniało go to spośród większości obywateli.

Efendi

- Może być i beja - rzeki Raf.

Major Halim zaciskał pięści, z czego pewnie nic zdawał sobie sprawy. Na jego gwiazdorskiej twarzy malowała się mieszanka uczuć. Nieufność walczyła o lepsze z niedowierzaniem, ostrożność z nieufnością.

Ostrożność przegrała.

Patrząc na ręcznie szyty mundur majora, wypucowane na połysk skórzane buty, starannie wzburzone czarne włosy i dyskretny sygnet na palcu lewej dłoni, oznaczający przynależność do rodziny znanej z bliskich kontaktów z sułtanem w Istambule, Raf wiedział, na co się zanoszą. Różne wieści do niego docierały...

- Mam brata na sułtańskim dworze - rzekł major prosto z mostu.
- Starszego brata - sprecyzował Raf. - Faud pasza. - W kolejce do wykorzystania ustawiały się kolejne fakty: struktura władz w Wielkiej Porcie i ranga Fauda paszy. - Wiceminister spraw wewnętrznych.
- Minister - sprostował major Halim.

- Tymczasowy minister - uściślił twardo Raf. - Dobrze się ożenił. Zaufany notariusz Jego Najjaśniejszej Wysokości. - Zawsze mu się udawało. Tę umiejętność posiadał od wczesnego dzieciństwa. U niego w głowie każdy fakt był zakodowany, opatrzony odsyłaczami i stopniem ważności. W wieku siedmiu lat nie zdał egzaminów. Zrobił to specjalnie, chcąc udowodnić sobie, że i to potrafi. Dochodziły jeszcze inne powody, lecz życie go nauczyło nie brać ich do serca. - A teraz pan. - Przewiercał wzrokiem majora. - Nieżonaty. W tym roku kochanka w al-Ka-hirze, w zeszłym roku w Abu Kir, w obu przypadkach związku bez przyszłości. Spore środki w funduszu powierniczym, lecz brak gotówki i niemożność spłacenia części ogromnych kosztów remontu dachu w gmachu Miqlavez.

Oczy Zary gdy na nią zerknął, były wilgotne. Jak na kobietę, która powiedziała mu kiedyś, że nigdy nie płacze, nauczyła się przekonująco udawać.

- Aha, swego czasu zastrzelił pan jedenastoletniego buntownika z rodziny felhahów.

-On...



- ...trzyma! nie nabity pistolet startowy - wpadł mu w słowo Raf. - Tajwańskie badziewie, jakich pełno.

68

Jon Courtenay Grimwood

W policyjnych kartotekach znajdowały się informacje o wszystkich członkach rządu Koeniga Paszy. Nawet na temat samego Generała, przy czym eks-naczelnik zabronił gromadzenia informacji o chedywie. Trzymał jego teczkę wyłącznie do własnego wglądu lub bardzo dobrze ją schował.

Aktualizacja teczek okazała się bułką z masłem, Raf właściwie nie musiał nic robić. Zorganizowana przez jego poprzednika Felixa Abrinsky'ego siatka don'osicieli znów funkcjonowała znakomicie, gdy dowiedzieli się, że za każdą pożyteczną informację dostana godziwą zapłatę.

- Chciałabyś jeszcze dowiedzieć się czegoś o swoim przyjacielu? - zapytał Zarę, która natychmiast odwróciła się do niego plecami. - A pan co? Nadąza za mną czy nie? - zapytał majora.

Zobaczył, jak na twarzy Halima w miejsce gniewu pojawia się niepewność. Plotki bywają bolesne, lecz suche fakty - zdecydowanie groźne. A Raf rzucał nimi jak cyrkwiec nożami.

- Nie ma żadnych dowodów...

- To może bez owijania w bawełnę. Pański brat w Istambule sprawdzał moją przeszłość i nie znalazł ani jednej wzmianki o tym, że byłem honorowym attache w Seattle. - Wyliczał na palcach, aby niczego nie pominąć. - W jednostkach specjalnych o mnie nie słyszano. Zniknąłem z rejestrów akademii w Sandhurst. St Cyr to samo. Nie figuruję na oficjalnej liście plac sułtana. Gdyby wierzyć informacjom zebranym przez pańskiego brata, nie byłoby mnie na świecie. - Zimny uśmiech przeszedł niezauważony w ciemności, lecz lodowaty ton nawet Zarę przejął dreszczem. - Wyobraża pan sobie, jaki to oznacza stopień tajności?

Major Halim powoli, niechętnie, pokiwał głową.

- Rozmawiał pan już z moim ojcem? - dodał Raf.

- Z emirem?

A jakże, z emirem Tunisu. Tak twierdziła ciotka Nafisa, nim skończyła z piórem w sercu. Raf jakoś nie chciał przyjąć tego do wiadomości, tym bardziej że z perspektywy czasu trudno było ocenić, czy ciotka sama w to wierzyła. W każdym razie, nikt jeszcze nie powiedział mu w oczy, że to nieprawda.

- To co, rozmawiał pan? - Zara nagle się ożywiła.

- Rozmawiałem. - Major wydawał się skonsternowany. - Nie potrafił mi odpowiedzieć.

Jon Courtenay Grimwood

W policyjnych kartotekach znajdowały się informacje o wszystkich członkach rządu Koeniga Paszy.

Nawet na temat samego Generała, przy czym eks-naczelnik zabronił gromadzenia informacji o chedywie. Trzymał jego teczkę wyłącznie do własnego wglądu lub bardzo dobrze ją schował.

Aktualizacja teczek okazała się bułką z masłem, Raf właściwie nie musiał nic robić. Zorganizowana przez jego poprzednika Felixa Abrinsk\ego siatka donosicieli znów funkcjonowała znakomicie, gdy dowiedzieli się, że za każdą pożyteczną informację dostana godziwą zapłatę.

- Chciałabyś jeszcze dowiedzieć się czegoś o swoim przyjacielu? - zapytał Zarę, która natychmiast odwróciła się do niego plecami. - A pan co? Nadąza za mną czy nie? - zapytał majora.

Zobaczył, jak na twarzy Halima w miejsce gniewu pojawia się niepewność. Plotki bywają bolesne, lecz suche fakty - zdecydowanie groźne. A Raf rzucał nimi jak cyrkowiec nożami.

- Nie ma żadnych dowodów...

- To może bez owijania w bawełnę. Pański brat w Istambule sprawdzał moją przeszłość i nie znalazł ani jednej wzmianki o tym, że byłem honorowym attache w Seattle. - Wyliczał na palcach, aby niczego nie pominąć. - W jednostkach specjalnych o mnie nie słyszano. Zniknąłem z rejestrów akademii w Sandhurst. St Cyr to samo. Nie figuruję na oficjalnej liście plac sułtana. Gdyby wierzyć informacjom zebranych przez pańskiego brata, nie byłoby mnie na świecie. - Zimny uśmiech przeszedł niezauważony w ciemności, lecz lodowaty ton nawet Zarę przejął dreszczem. - Wyobraża pan sobie, jaki to oznacza stopień tajności?

Major Halim powoli, niechętnie, pokiwał głową.

- Rozmawiał pan już z moim ojcem? - dodał Raf.

- Z emirem?

A jakże, z emirem Tunisu. Tak twierdziła ciotka Nafisa, nim skończyła z piórem w sercu. Raf jakoś nie chciał przyjąć tego do wiadomości, tym bardziej że z perspektywy czasu trudno było ocenić, czy ciotka sama w to wierzyła. W każdym razie, nikt jeszcze nie powiedział mu w oczy, że to nieprawda.

- To co, rozmawiał pan? - Zara nagle się ożywiła.

- Rozmawiałem. - Major wydawał się skonsternowany. - Nie potrafił mi odpowiedzieć.

m \* V

Efendi

- Ciekawe czemu. - Raf wiedział już, że wyjdzie zwycięsko z tego starcia: major przestąpił z nogi na nogę, podobny do małego chłopca, którym musiał być długo przed urodzeniem Zary.

- Nie czuł się najlepiej.

- Chciał pan chyba powiedzieć, że postradał zmysły. Że zupełnie zszedł zmysły. - Tego właśnie dowiedziały się iskandaryjskie służby wywiadowcze. Daleki krewny chedywa mieszkał w namiocie niedaleko oazy Nefzaoua, otoczony switą uzbrojonych dziewczyn w zielonych kombinezonach i pilnowany o każdej porze dnia i nocy przez starszą Francuzkę. Prywatnie, emir najczęściej nosił zwykłą

wełnianą dżubbę, lecz na publicznych spotkaniach zawsze miał na sobie pasiastą dżelabę do kompletu z czubatą czapką generalską.

Pasjonował się sokołami, a w enklawie na obrzeżach Szott el-Dżerid, tunezyjskiego jeziora pokrytego skorupą soli, hodował coraz to nowe odmiany traw niewrażliwych na zasolenie gleby. Raz nawet wynajął rosyjskiego kryptografa i jednego z najzdolniejszych genetyków z Cal-Techu, aby rozszyfrowywali niezrozumiałe sekwencje DNA.

Emir podejmował decyzje polityczne dopiero po konsultacji z niebem. Nie słuchał nawet rad pospolitego astrologa, choć już to świadczyłoby o nim niezbyt dobrze, ale sam zadawał pytania gwiazdozbiorom. Kiedy publicznie bądź prywatnie zabierał głos, zawsze po długim namyśle, podobno przemawiał złożonymi, rytmicznymi dwuwierszami.

Wśród plemion berberyjskich, które nadal przemierzały piaszczyste pustkowia i skaliste połacie, nieświadome istnienia oficjalnych granic, emira uważano za jedyne w Afryce Północnej wiarygodnego władcę. Była to opinia mniejszości, z którą oczywiście major Halim się nie zgadzał.

- Więc niech mi pan powie, kim jestem? - spytał Raf.

Major przyjrzał się uważnie młodemu księciu w czarnym

skórzanym płaszczu, przeciwśonecznych okularach i czarnych rękawiczkach, których meszek drżał w podmuchach nocnej bryzy.

- Synem emira Tunisu - odpowiedział bez wahania.

Raf pokiwał głową i wyciągnął rękę. Tym razem uścisnęli sobie dłonie.

0

Jon Courtenay Grimwood

- Wzruszające - odezwała się Zara. - Jeśli skończyliście już z tymi idiotycznymi, męskimi podchodami, może major Halim odprowadziłby mnie do domu? Oczywiście - dodała z irytacją - gdyby nie to, że jesteśmy w al-Iskandarijji, sama bym poszła. Bo z pewnością mogę iść pieszo, żuć gumę i jednocześnie patrzeć przed siebie. Ale ponieważ w tym mieście po zmroku każdą kobietę na ulicy traktuje się jak prostytutkę...

Raf wyszczerzył zęby w uśmiechu. Ubawiło go szczególnie zmieszanie majora Halima.

- To jeszcze nic - zauważył. - Ona naprawdę potrafi wkurzyć. Pozna ją pan bliżej i sam się przekona.

- Bliżej? - Major pochylił głowę w lekkim ukłonie. - Co prawda, z radością poznałbym bliżej pannę Quitrimalę, lecz obawiam się, że to niemożliwe - powiedział tonem najzupełniej szczerym.

- Tylko niech mi pan nie wmawia - odparowała Zara - że nie wyrobi pan z trzema kochankami.

- Nie w tym rzecz. - Majorem wstrząsnęły słowa dziewczyny. - W przyszłym tygodniu lecę do Berlina, będę tymczasowo współpracował z Thiergarten. Potem, jeśli wszystko dobrze pójdzie, zpstanę iskandaryjskim attache w Istambule. - Przez chwilę, gdy się z tego zwierzał, sprawia! wrażenie dziwnie zawstydzonego.

Zara jednak w swoim zacierzwieniu nie zwróciła na to uwagi.

- To po co się pan wkręca na moją kolację?! - wydarła się na niego. - Po cholere przymila się pan do mamuni? Na dodatek ściemnia, że trzeba mi powietrza, że się przespacerujemy...

- Trudno to wytłumaczyć. - Major łypnął okiem na Rafa. A skoro przekonał się, że ten ani myśli wycofać się dyplomatycznie, westchnął! przeciągle. - Chedyw wybiera się na wczasy... Należą mu się, jak mało komu.

Zara otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknęła. Nagły skurcz unieruchomił jej ramiona, które ani drgnęły, choć w celu ich rozruszania pokiwała głową na boki. Przeczucie podpowiadało jej, co za chwilę usłyszy.

- Jego Wysokość zastanawia się, czy...

- Rozmawiał pan o tym z moimi rodzicami?

Efendi

1

- Oczywiście - odparł major, skrzepowany. - Pani ojciec powiedział, że sama pani decyduje, gdzie i z kim spędza wakacje. Szczerze mówiąc, spodziewałem się innej odpowiedzi. Pani matka uważa, że to świetny pomysł.

Jakżeby inaczej, pomyślała Zara. Madame Rahina, wykazując się absolutnym niezrozumieniem iskandaijskiej socjety, niewątpliwie wierzyła, że bycie matką kochanki chedywa jest większym powodem do dumy, niż posiadanie beja w rodzinie.

Żarze słusznie wydawało się podejrzane to, że matka tak usilnie wygania ją z wagonu, lecz jej prawdziwych motywów nawet się nie domyślała.

- Wykluczone - powiedziała z nienaturalnym spokojem. Nawet major wyczuł, że ledwo powstrzymała się przed wybuchem. - Niech pan przekaże chłopcu, że nie jestem zainteresowana. Tylko tyle, nic więcej. Żadnych grzecznych słówek, żadnych przeprosin i wyrazów żalu, bo mu ich nie przesyłam.

- Ależ pani mnie źle rozumiała - rzekł ostrożnie. - Doprawdy, co za nieporozumienie! Chedyw ma wobec pani szlachetne zamiary. - Trochę się jąkał, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. W swoich wcześniejszych wyobrażeniach (jeszcze przed kolacją, kiedy planował strategię na nadchodzący wieczór) spacerował z Zarą w blasku księżyca po tarasach pałacu Ras el-Tin, przekazywał jej zaproszenie chedywa, a ona je z wdzięcznością przyjmowała.

- To on nie chce się ze mną przespać?

Wykrzywił usta.

- Pozwoli pani, że powtórzę. Nie kierują nim niegodziwe pobudki.

Zara zamyśliła się głęboko. Niczym kielichy kwiatów, otworzyły się przed nią upojne wizje pałaców, luksusowych jachtów, długich wakacji na pokładzie SS „Jannah”.

- A jeśli zgodzę się popłynąć z nim w podróż?
- Oświadczy ci się, mam raeję? - wtrącił Raf.

Majora Hahma trochę to ubodło.

- Powstrzymam się od komentarza.
- Boże... - Raf parsknął śmiechem. - Koenig Pasza chyba nie wie, co się święci! Tylko mój krewniak mógł wpaść na pomysł ożenienia się z żarliwą republikanką. Po części nawet komunistką. - Zara też figurowała w policyjnych kartotekach. Informacje na jej temat mógłby recytować z pamięci.

m

#### 11\_Jon Courtenay Grimwood

- O tym drobiażdżku też pan rozmawiał z rodzicami? - zwróciła się Zara do majora.

Pokręcił głową.

- Wspomniałem tylko o wczasach. Dałem do zrozumienia, że będzie pani honorowym...
- Proszę przestać! - przerwała mu. - To znaczy, przestać z nimi gadać. Nie muszą wszystkiego wiedzieć.
- To pani rodzice.
- Niech pan jeszcze raz poruszy z nimi ten temat, a gwarantuję, że nigdzie nie pojedę.
- Ale chedyw obiecuje postępować honorowo. Jak w księdze zapisano...
- Zdaje pan sobie sprawę - przerwała mu ze zdenerwowaniem - że gdyby Prorok był kobietą, nie byłoby żadnej księgi, bo nikt by jej nie słuchał, a cóż dopiero zapisywać jej słowa...

wĘtjh

Efendi

7

Rorfczteł 12

» p«\ri>zicrHik«\

Gdy w piątek rozległo się pierwsze wezwanie na modły, Raf opierał się o wał nadmorski, obserwując, jak puste łodzie handlarzy przemycających papierosy wpływają do Portu Zachodniego pod osłoną zarówno ciemności (pozyskiwaną za darmo), jak i komandora bazy w Ras el-Tin, któremu słono płacili.

Widać w meczecie Terbana trzymano się własnej definicji świtu. Mufti określał go niejako chwilę, kiedy pojawia się pierwsza jutrzeńka, ale gdy zaczynają rzednąć ciemności nocy.

Raf doszedł do wniosku, że facet jest niepoprawnym optymistą.

Hamza zadzwonił cztery godziny później, akurat gdy zamierzał pod prysznicem wyzwolić się z

melancholii po zmarnowanej nocy. Owszem, kopnął się swoją policyjną hondą do Abu Sir i z powrotem, pięćdziesiąt kilosów wzdłuż brzegu, lecz humor mu się nie poprawił - mimo że nad bagnistym rozlewiskiem jeziora Mariut płożyła się malownicza poranna mgiełka, a wody Morza Śródziemnego kąpały się jeszcze w nocnych barwach.

- Do ciebie! - krzyknęła Hani z haramliku na dole. Jej głos rozbrzmiał echem w szybie windy. - Dzwoni efendi!

Raf uczył ją, że nie powinna nazywać tak Hamzy, ale póki co, miała w nosie jego słowa.

- Powiedz mu, że oddzwonię!

- Mówi, że to pilne.

Z westchnieniem podniósł z ziemi szlafrok i włożył stare, skórzane łapcie, które, o czym dowiedział się od Chartuma, nosił dawniej dziadek Hani. Kiedy rzucił jakąś dowcipną uwagą na temat noszenia obuwia po zmarłych, sędziwy odźwierny zaciągnął się głęboko dymem, trzymając w ustach cygaro

Jon Courtenay Grimwood

z niewłaściwej strony, i pokiwał głową, jakby usłyszał rzecz najoezywistszą na świecie,

„To akurat jest prawda - rzekł. - Prawda tu, prawda teraz i dla konkretnej osoby”. - Chartum wygłosił te bzdety, jakby i one były dla wszystkich oczywiste. Po trzech dniach Raf nadal głowił się nad ich sensem.

- Wujku Rafie... - W głosie Hani pobrzmiwało zniecierpliwienie.

- Idę, idę!

- Dziwne, że nie zainstalowałeś gniazdek na górze.

Kiwnął głową i odsunął na bok żelazną kratkę, żeby się

dostać do windy. Jasne, że mógł zainstalować to i owo, ale w medresie tylko na jego piętrze nie było ekranu komputerowego i chcia!, aby tak zostało.

- Mógłbyś czasem włączyć zegarek - dorzuciła, kiedy zjechał niżej.

- Ciekawe, na co byś się wtedy skarżyła? - Wcisnął guzik, aby włączyć ekran.

Hani odmaszerowała w milczeniu z podniesionym czołem, wyprostowana jak trzcina. Choć rozległ się trzask zamykanych drzwi sypialni, nie przywołał jej z powrotem. Zaraz po śmierci lady Nafisy obiecał, że dziewczynka nie zostanie posłana do szkoły z internatem. Dotrzymanie przyrzeczenia okazało się nadspodziewanie trudne. W dodatku wszyscy uważali, że łatwiej będzie jej mieszkać gdzie indziej, gdzieś z dala od niego. Jeszcze niedawno nie zgadza! się z nimi.

- Dzień dobry.

- Witam, Wasza Ekscelencjo.

- Nie musi mnie pan tak nazywać.
- To oficjalna rozmowa. - Zasepiona, poszarzała twarz przemysłowca była wyrazem doznanego szoku.
- Chodzi o Zarę?
- Moja córka jest tutaj, z nią wszystko w porządku. Aczkolwiek podejrzewam, że z niejasnych dla mnie powodów spotkaliście się nad ranem.
- Avatar?

Mężczyzna nie krył konsternacji.

Avatar przepadł bez śladu - wyjaśnił bez ogródek. - Został porwanj'.

Efendi

- Avatar!? - Raf wybuchł takim gniewem, że Hani zaciekawiona wyszła z sypialni. Choć może wywabił ją huk, gdy rąbnął pięścią w ścianę. - Skąd pan wie?
- Mam list.
- Czego żądają porywacze?

Mężczyzna na ekranie wziął głęboki oddech i wolno wypuścił powietrze.

- Mniejsza o to.
- Muszę zobaczyć ten list.
- Już go nie ma. - Hamza świdrował go wzrokiem. - Spalony...
- Więc czego pan chce? - zapytał kwaśno Raf. - Bo najwyraźniej nie potrzebuje pan policji, żeby odzyskać Avatara.
- Chcę, żeby pan przyjechał do willi i obejrzał coś, co właśnie znalazł ogrodnik. - Hamza pogmerał przy urządzeniu i ekran w haramliku zgasł.

\*\*\*

Mimo porźniętego brzucha i stóp zanurzonych w wodzie na ciele zaznaczyłyby się już plamy opadowe, gdyby dziewczyna nie żyła dłużej niż parę godzin. A tak skóra była woskowata i minimalnie ciepła, zaś krew nie zebrała się jeszcze w dolnych partiach nóg. Na stężenie pośmiertne i pierwsze plamy opadowe dopiero przyjdzie pora.

Raf przynajmniej mógł określić ramy czasowe.

Morderca rozciął tułów jasnowłosej dziewczyny od kości łonowej po mostek, a potem drugim płynnym chłasińciem rozkroił klatkę piersiową, tak by rany przypominały krzyż. Na końcach krzyża wykonano mniejsze nacięcia, prostopadłe do poprzednich. Brakowało serca, co często się zdarzało w

przypadku tak bestialskich zbrodni; płuca również zniknęły. Na nadgarstku ofiary sprawca wyciął inicjały H.Q.

Z bladej skóry nie zdjęto ani jednego odcisku palca. Ktokolwiek posługiwał się ostrzem, nosił rękawiczki chirurgiczne, a z tego, jak ostre były brzegi ran, wnosić należało, że zostały zadane skalpelem lub nożem do filetowania.

A że Raf miał o medycynie sądowej dość mgliste pojęcie, które zawdzięczał głównie notatkom zostawionym przez Felixa Abrinsky'ego, poprzedniego naczelnika wydziału śledczego,

\_Jon Courtenay Grimwood

i ponieważ z tych notatek często nie dało się niczego zrozumieć, postanowił czym prędzej sprowadzić specjalistów.

- Na pewno zechce pan się temu przyjrzeć. - Młoda policjantka z aparatem fotograficznym starała się mówić beznamiętnie, rzeczowo. Raf widział ją po raz pierwszy w życiu. Wyglądała na dwadzieścia lat i nosiła hidżab, tradycyjną chustę zasłaniającą twarz, ozdobioną na brzegach białoniebieską szachownicą WPF, Kobięcych Sił Policji.

Jej przełożona, madame Mila, pełniąc funkcje sędziny pokoju do spraw kobiet i komendanta WPF, zapewne przestrzegła funkcjonariuszkę przed rozmowami z policjantami z innych wydziałów, a zwłaszcza z szefem dochodzeniówki.

Raf poradził sobie z tym zakazem, nazywając rzeczy po imieniu.

- Turystka - oświadczył na widok ciała kilka sekund po przybyciu na plażę. Niezależnie od tego, kim były seks-turyst-ki, podpadały pod policję turystyczną, polizia touristica, której członkinie składały meldunki mundurowym, a ci o szczególnie ważnych, zagadkowych przypadkach automatycznie informowali Rafa.

- Skąd pan wie?

Dostała się między młot i kowadło, pomyślał, patrząc na jej surowe oblicze. Z jednej strony, bała się narazić madame Mili, z drugiej - nie chciała podpaść nowemu szefowi wydziału śledczego.

- Jak pani na imię?

- Leila, Wasza Ekscelencjo.

- Proszę spojrzeć na piersi denatki.

Młoda kobieta splotnęła rumieńcem, lecz zastosowała się do polecenia. Piersi zamordowanej były nieduże i ciemnobrązowe.

- I co pani widzi?

Milczała i bezradnie wytrzeszczała oczy.

- No dobrze - powiedział - niech pani zerknie na jej... dolną partię ciała. - Zamordowana dziewczyna, rozpostarta na skałce, była zupełnie naga. Stopy taplały się w wodzie, reszta zaczynała przebarwiać się w świetle porannego słońca. - Co pani widzi?



Policjantka wytrzymała wzrok, szukając otarć lub zadrapań - czegokolwiek, co pozwalałoby przypuszczać, że ofiarę najpierw

Efendi

zgwaltowano. Nie świadczyły o tym jednak żadne obrażenia. Nic istotnego nie przychodziło jej na myśl...

- Ona... ma na biodrach pasek nieopalonej skóry.

Przytaknęła kiwnięciem głowy. Leilaomalże nie westchnęła

z ulgą.

- 1 co jeszcze?

- Nie ma innych pasków nieopalonej skóry.

- No świetnie, świetnie. - Raf włączył seiko, wcisnął przycisk skrótu i połączył się z siedzibą policji. Bez zbędnego przedstawiania się, jednym tchem, wymienił czas, miejsce i kod przestępstwa. - Z funkcjonariuszy policji pierwsza na miejsce zbrodni przybyła pani oficer... - Skierował spojrzenie na Leilę.

- Durrell.

- Pani oficer Durrell z Kobięcych Sił Policji, która w pasku bladej skóry natychmiast rozpoznała ślad po majtkach od bikini. Brak podobnego paska na wysokości stanika doprowadził ją do wniosku, że denatka była turystką. Oczywiście, jako najstarszy rangą oficer śledczy, przejmuję sprawę.

Raf zaimponował pani oficer Durrell bardziej, niż na to zasługiwał. To było drugie zmasakrowane ciało, znalezione w ciągu tygodnia. Ponieważ pierwsza ofiara morderstwa leciała już do Austin w skrzyni z lodem, a druga także była blondynką, młodą i prawdopodobnie urodzoną na Zachodzie, podobieństwa narzucały się same... choć z lekka naciągane. Bo dysponując wiedzą tylko o dwóch przypadkach, nie mógł wykluczyć zbiegu okoliczności.

Niestety, policja nie wiedziała, czy pierwsza ofiara została zgwaltowana. Anatomopatolog chyba zapomniał sprawdzić.

Krótko mówiąc, Raf wezwał ekipę dochodzeniową i kazał oficerowi powiadomić biuro madame Mili o przejęciu sprawy. Tylko raz się zawahał. Rozkazał zabrać turystkę do najbliższej kostnicy zaraz po oględzinach i obfotografowaniu miejsca zbrodni, lecz nagle zmienił zdanie.

- Wyślijcie ją do dr Kamili. - Wprawdzie Kamila nie pracowała dla jego wydziału, lecz wyglądała na taką, która da się przekonać. No i znała się na rzeczy. Była kobietą, a to miało swoje znaczenie w przypadku zbrodni tego typu.

- Dr Kamila, rozumiem. Miejsce odbioru... niech będzie...

Jon Courtenay Grimwood

Raf czekał na pytanie, które jednak nie padło. Oficer mruknął tylko: - Koniec rozmowy - i przerwał połączenie. W ciągu paru minut wieść o nagiej, bestialsko zamordowanej turystce, znalezionej na terenie Villi Hamzy, obiegnie posterunek. Za pół godziny będą już wiedziały posterunki na peryferiach.

Fakt, że osobiście odwiedził miejsce zbrodni, doda zdarzeniu pikanterii.

Odwrócił się na pięcie, przemierzył kepy trawy oddzielające skalisty cypel od tarasów willi i przez drzwi ogrodowe, bez pukania, wszedł do gabinetu Hamzy. Musiał zamienić z nim parę słów, choć wcale nie paliło mu się do tej rozmowy.

Zgodnie z oczekiwaniami, przemysłowiec siedział za biurkiem. Nawet się nie nachmurzył, gdy Raf szedł przez ogród.

- Gdzie pan był dwie godziny temu? - Raf nawet nie próbował taić wzburzenia. Wszak miał przed sobą człowieka, który spalił list od porywaczy Avatara oraz sutenerskim sposobem wystawił swoją nagą córkę, gdy on po raz pierwszy opuszczał tę willę. I który teraz podsuwał Zarę chedywowi.

- Byłem jeszcze z żoną u Maxima.

Z żoną... Raf próżno szuka! choćby cienia ironii w twarzy Hamzy.

- Może pan to udowodnić?

Hamza pokiwał głową.

- Powinni nas pamiętać - rzekł kwaśno.

- Dawno pan planował zjeść tam kolację?

- Nie. - Hamza zmarszczył czoło. - Wszystko załatwiałem na ostatnią chwilę. Czemu pan pyta?

- Bo u pana w ogrodzie, mniej więcej tam, gdzie chodzi pływać Zara, leżą zmasakrowane zwłoki dziewczyny z pańskimi inicjałami na nadgarstku. Dlatego ciekawią mnie normalne rzeczy: kim ona jest, skąd pochodzi, kto to zrobił...

- A jeśli powiem, że nie mam pojęcia?

- Nie ma pan pojęcia, tak? - Raf wyciągnął z kieszeni kwadratowe zdjęcie polaroidowe i rzucił je na biurko. - Nie ma pan pojęcia, kto może być sprawcą?

Hamza efendi chwycił zdjęcie i ręce mu się zatrzęsły. Drżenie zaczęło się w palcach i prędko, niby zaraza, przerzuciło się na resztę ciała. Dreszcze nie ustępowały, nawet po tym jak odwrócił zdjęcie i odsunął je od siebie.

Efendi

79

Szurnął krzesłem i pobiegł do łazienki, naprawdę porządnie roztrzęsiony. Gdy wrócił po zwymiotowaniu śniadania i resztek kolacji, wyglądał niewiele lepiej.

- Leżała twarzą do ziemi - oznajmił. - Kiedy ją zobaczyłem, leżała twarzą do ziemi.

/80\_Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 13

8 pA&gt;ziervtika

- Eduardo?

Eduardo odruchowo kiwnął głową, mimo że od rozmówcy dzieliło go pół miasta, a zegarka nie przełączył na odbiór obrazu. To nie miało znaczenia.

- Naam... To ja. - Poskładał gazetę i z namaszczeniem odłożył ją na stolik. Wolałby poczytać arabskojęzyczne brukowce, lecz ze względu na swoje stanowisko zawsze kopiował „L'Iskandriana”.

Francuz i Frisco obserwowali go kątem oka. Obaj zakładali, że jego zegarek jest podróbką, a nowa praca czczym wymysłem, ale się mylili. Eduardo wyprostował się w kawiarnianym krześle, przecesał dłonią swoje rzadkie włosy i dyskretnie wytarł palce o czarne, drelichowe spodnie.

Słuchał w milczeniu, raz po raz kiwając głową z powagą, jak człowiek zgadzający się z jakąś nader przekonującą argumentacją. Nie każdego stać było na srebrny, elegancki zegarek Seiko, który podwójnie szyfrował rozmowy i posiadał ekranowanie przeciwko urządzeniom do podglądu obrazów.

- Naam, rozumiem. - Eduardo mówił prawdę, lecz dla pewności poprosił, by jeszcze raz, wolniej, powtórzono mu wszystkie wskazówki.

Polubił swoją nową pracę. Miał nawet własny gabinet w dwupiętrowym budynku blisko Piace Orabi, nad pasmanterią za zajezdnią autobusową. Razem z gabinetem i zegarkiem dostał nowe buty, nowe spodnie i kurtkę skórzaną na zamek - która wyglądała na wyświechtaną, chociaż z bliska widać było, że rysy są nadrukowane na zwierzęcą skórę.

Efendi

Szef, zanim wręczył mu kurtkę, wyciągnął nóż grawitacyjny, otworzył ostrze i przejechał nim silnie po skórze. Ostry szpic zostawił ledwie widoczny ślad.

„Ekstramocny ten splot - poinformował Eduarda. - Od pajaków, które srają stalowymi nićmi”.

Eduardo nie wiedział, czy szef kpi sobie z niego, czy nie. Tak czy owak, robota przypadła mu do gustu. Zazwyczaj przesiadywał w kafejkach i dyskutował o polityce, chociaż w tym temacie nie czuł się najlepiej. Wysłuchując kontrargumentów, odkrył w sobie talent do oddzielania półprawdy od pobożnych życzeń. „Wbudowany detektor pierdol, hartowane żelazo”, tak wyraził się szef, jakby tego typu sprzęt faktycznie istniał.

Eduardo wyobrażał sobie taką maszynę jako urządzonek z obracającymi się trybikami i wąskimi, mosiężnymi rurkami, które rozgrzewa krążąca w nich woda. Dzieciństwo spędził w na-mibijskim miasteczku, gdzie miejscowa ciuchcia, kursująca do Windhuk i z powrotem, spalała węgiel i drewno, a gdy zaczęło brakować podstawowego surowca, również suche łajno, choć to już nie było to samo.

- Aha... - odparł, kiwając głową. - Rozumie się. - Rzucił na stół garść srebrnych monet. Czas się zbierać. Zegarek nie wymagał przerywania połączenia, robił to automatycznie. Potrafił też inne sztuczki:

prezentował najnowsze wiadomości piłkarskie lub prognozował opady deszczu. - Robota czeka - zwrócił się do Frisca w języku ladino. - Interesy.

W al-Iskandarijji posługiwano się kilkoma językami pretendującymi do miana lingua franca, z których jednym był dialekt judeo-hiszpański.

Mężczyzna kiwnął głową. Wprawdzie wyjawił Eduardowi swoje prawdziwe nazwisko, lecz ono ciągle wypadało mu z głowy... chociaż pamiętał, że przodkami Frisca byli wypędzeni z Hiszpanii moriscos.

Kiedy Eduardo zaczął przychodzić do kafejki, nieraz grał w szachy z Friskiem, ostatnio jednak staruszek wymawiał się od gry - może dlatego, że jego rywal w kółko przegrywał.

W gabinecie Eduarda panował miły chłodek, co zakrawało na cud, biorąc pod uwagę, że przepalił się wentylator na biurku, a październikowe słońce grzało ściany budynku; ściany były wszakże wyjątkowo grube, zbudowane przed kilkadziesiąt laty

2

Jon Courtenay Grimwood

z bloków wapiennych wykradzonych z koptyjskiego kościoła trzy ulice dalej. Ponadto zamknięte okiennice nie wpuszczały do środka światła. Na ścianie zamontowano klimatyzator: brązową skrzynię, która wypinała swoje żelazne dupsko na ulicę, jakby chciała srać przechodniom na głowy. Niestety, urządzenie nie działało od czasu, kiedy ktoś zatkał wylot powietrza gazetą z gołymi babami. Gdy Eduardo rozkręcił obudowę, żeby sprawdzić, czy usterki nie da się łatwo naprawić, zobaczył kłębowisko drutów, przerdzewiałe rurki i spleśniałe, rozpadające się obrazki z dużymi cyckami i ogolonymi krociami.

Ostatecznie skręcił! obudowę i wcisnął gazetę z powrotem w to samo miejsce. Teraz na dywanie, gdzie z urządzenia ska-pywała woda, wyrastała kolonia grzybków.

Samotnie na biurku stał komputer, maszyna Sony Eon3. Prosty terminal Luxor, który Eduardo wybrał na chybił trafił na bazarze przy Rue Faransa. Z boku dokleił anonimizator otrzymany od szefa. Tabliczka na urządzeniu mówiła: Własność Departamentu Policji w al-Iskandarijji. Wynoszenie poza teren posterunku surowo zabronione.

Wciśnięciem klawisza uruchomił software'owy generator liczb losowych i chwilę poczekał. Nie musiał nawet o nic prosić: terminal wyświetlił okno połączenia i Eduardo wklepał otrzymany niedawno numer. A potem zrobił to, czego od niego żądano.

Nie wiedział, że został przekierowany i że po stronie odbiorczej logowano go jako rozmówcę z Fezu. Wiedział jedno: mała ikona na pasku zadań zrobiła się zielona, więc połączenie doszło do skutku.

Osoba z drugiej strony nie przedstawiła się ani słowem, czemu nie dziwił się, bo uprzedzono go, że tak będzie.

- Przyjmuję zlecenie.
- Kto ci dal namiary? - padło burkliwe pytanie.
- To nie ma nic do rzeczy.

- Jaką mam gwarancję, że, wykonasz robotę?
- Żadnej.
- Pojutrze zamykam linię kredytową.
- Jutro w nocy - obiecał Eduardo i przerwał połączenie.

Efendi

3

Rozdział 14

9 pAŻbzierMiU^

- Nie lubisz ciastek? - Hani nie złościła się, wyglądała na zaskoczoną. Rozprawiała się z dziesięcioma basbusami; na początku pakowała je do buzi lepkimi palcami, potem zwolniła tempo, a na końcu, zauważywszy, że Raf nie zamierza jej karcić, podgryzała brzegi jak myszką.

Witaminy, które miała zażyć podczas lunchu, leżały nie ruszone koło talerza.

- Co? - Raf podniósł wzrok i zobaczył wychudzoną twarz i wpatrzone w siebie ciemne oczy. Dbał o to, aby w weekend Hani jadła razem z nim; w tym czasie Donna krzątała się na zapleczu, gdzie ze stukaniem i pobrzękiwaniem ładowała patelnie i noże do tak dużego kamiennego zlewozmywaka, że każda z dwóch komór mogłaby służyć jako żłób dla konia.

Kuchnia zajmowała większość przestrzeni na parterze medresy al-Mansur. Na zewnątrz, za wyłożonym płytkami dziedzińcem z fontanną, znajdował się kamienny domek ogrodowy oraz ogród otoczony murem i przykryty szklanym dachem. Nad kuchnią w kaa przyjmowano ważnych gości. Była tam marmurowa posadzka i mniejsza fontanna. Nad kaa z kolei znajdowały się pomieszczenia hararrriku. Jeszcze wyżej, na samej górze, mieszkał Raf.

Medresa była ogromna, stara i aż się prosiła o generalny remont, lecz żadne pomieszczenie nie równało się z kuchnią Donny, zdającą się rozciągać daleko we wszystkich kierunkach.

Dopiero po pewnym czasie Raf uzmysłowił sobie, iż Donna hałasuje nie dlatego, że wtargnęła na jej terytorium (zmieściłaby się tutaj wielka rzesza ludzi); nie podobała jej się jego obecność

84

Jon Courtenay Grimwood

z zupełnie innych powodów. Osoby takie jak Hani i Jego Ekscelencja powinny jadać przy marmurowym stole w eleganckiej komnacie, obsługiwane przez służbę.

- Ty mnie wcale nie słuchasz stwierdziła Hani. zdenerwowana.

Przepraszam... - Miała rację, nie słuchał.

Cóż więcej mógł powiedzieć? Jednak Hani uparcie czekała. Chciała, by rozproszył jej obawy, zachował się jak dorosły. Widział w jej oczach tę ochotę do kłótni, która troskę o niego miała zastąpić zwykłą złością.

- Słuchaj, daj mi święty spokój - powiedział cicho.

Nim przebrzmiało echo przewracanego krzesła, Hani wybiegła z kuchni i śmignęła po schodach do kaa. Raf słuchał kroków dudniących na pięttrze. Dziewczynka z rozmachem walnęła w guzik, aby przywołać windę. Po kilku sekundach stary gruchot zaskrzypiał i ruszył.

Raf schował twarz w dłoniach. Kiedy podniósł wzrok, przy stole naprzeciwko niego siedziała Donna. Naszykowała mu malutką filiżankę tureckiej kawy. Było to jej panaceum na wszelkie dolegliwości.

- To jeszcze małe dziecko, Wasza Ekscelencjo.

Przytaknął.

- 1 boi się.

- Że ją odesłę?

Starsza kobieta pokręciła głową i ukradkiem dotknęła krzyżyka.

- Że pan zginie - mówiła rzeczowym tonem. - Odkąd jej ciotka... wyobraża sobie najgorsze. Że pan zginie, a ona zostanie tu sama. - Wzruszyła ramionami. - Komuś takiemu jak ja nikt nie powierzy opieki nad lady Haną. I nie pozwoli mi tu dłużej mieszkać.

Tylko Donnie wolno było nazywać dziewczynkę jej prawdziwym imieniem. Inni musieli mówić: Hani - postługiwać się imieniem chłopca, którym wolałaby być.

- Proszę do niej pójść, Wasza Ekscelencjo. Porozmawiajcie.

- Co mam jej powiedzieć? - Nawet jemu to pytanie wydało się niezręczne.

Wzruszyła ramionami.

Efendi

5

- Że pan nie odejdzie. Że nie zamierza pan zginać. - Jej usta ułożyły się w kwaśnym uśmiechu, gdy zobaczyła minę Rafa. - A co? Zamierza pan, Wasza Ekscelencjo?

Pokręcił głową.

- Otóż to. - Przeżegnała się. - Tak właśnie myślałam.

\*\*\*

- Idź sobie! - Hani nie odrywała wzroku od ekranu. Na podłodze przy krześle leżał nietknięty zabawkowy piesek, nadal w paczce. Najdroższy model, na jaki było stać Rafa.

- Coś tu śmierdzi - zauważył, lecz nawet się nie obejrzała. - Brudne ubranie. - Wskazał stertę na ziemi. - Brudne ubranie i ponurak przy komputerze. - Otworzył wewnętrzną okiennicę i do sypialni wlało się przez ozdobną maszrabiję jesiennie słońce.

- Nic nie widać na monitorze.

- Na razie nie będzie ci potrzebny. Chcę z tobą pogadać.

- Usiadł na czerwonej posadzce i oparł się plecami o metalowe łóżko. Sprężyny były zardzewiałe, a materac tak stary, że dziurami wychodziło końskie włosie. Wymiana łóżka na razie nie wchodziła w rachubę. - Usiądź przy mnie.

Westchnęła i z teatralnym gestem wyłączyła komputer, mimo iż oboje wiedzieli, że zwykła komenda głosowa przestawiłaby go w tryb uśpienia. Potem jednak, o dziwo, spełniła prośbę i usadowiła się koło niego przy łóżku. Przed nimi w snopach światła tańczyły drobiny kurzu. Ich pozornie przypadkowe ruchy wynikały z niewzruszonych praw fizycznych.

- Wczoraj rano widziałem zwłoki.

Znieruchomiła.

- Niedaleko wijł, w której mieszka Zara. Nieznana osoba

- dodał czym prędzej.

- Widziałeś już wcześniej trupy.

Owszem, nawet ona widziała. Zwłoki ciotek Nafisy i Dżalili. Ich śmierć była jedną z rzeczy, które ich łączyły.

- Kiedy byłeś zamachowcem...

- Hani! - Już to przerabiali. - Byłem attaché. Nikim więcej.

- Każdy attache jest szpiegiem. A szpiegdy zabijają ludzi. Przecież wszyscy to wiedzą.

Jon Courtenay Grimwood

Westchnął.

- Kim on był? - zapytała.

- Ona - sprostował. - Dopiero ustalamy. - Rzecz jasna, ani słowem nic wspomniał o bestialstwie sprawcy zbrodni, który zgodnie z orzeczeniem anatomopatologa, wyciął na ciele tak zwany cross potent.

Badania toksykologiczne wykazały wysokie stężenie substytutu metamfetaminy w -krwi ofiary i dużą ilość alkoholu w żołądku. Dziewczyna żyła i miała świadomość tego, co się dzieje, od początku prawie do samego końca. Na podstawie wymazów pobranych z błony śluzowej Ust, odbytu i pochwy stwierdzono, że najpierw została zgwałcona, a potem pocięta. Raf musiał się zapoznać z informacjami na temat cross coupe, okaleczenia podobno często stosowanego w czasie małej wojny. Pod prawą pierś zachował się, pod postacią żółtawego sińca, ślad dawnego ugryzienia. Albo więc nabyła go przed przyjazdem do al-Iskandarijji, albo upamiętniał zwykły weekendowy romansik. Może jej chłopak przyleciał do miasta, lecz na razie wolał się nie ujawniać.

A zatem Raf mógł już wytypować pierwszą podejrzaną osobę. Zakładając, że chłopak okaże się mieć

nerwy ze stali i względne pojęcie o anatomii.

- Cała sztuka w tym - powiedział - żeby odrzucić fakty nie związane ze sprawą... - Urwał myśl, zastanawiając się, czy tłumaczyć do końca. Postanowił dać sobie spokój. Przy odrobinie szczęścia wystarczy samo to, że posiedzi przy Hani. Z dzieciństwa pamiętał, że gdy dorośli zaczynali coś wyjaśniać, on przestawał słuchać.

- Wszystko się z sobą wiąże - stwierdziła dziewczynka.

Zerkając z ukosa, zauważył, że jest pogrążona w zadumie.

- Tak mówi Chartum - dodała.

Dzieciak miał dziewięć lat, był chudy jak nieszczęście, z wyglądu jeszcze młodszy, z oczu dojrzały nad swój wiek. Trudności z zaśnięciem, koszarne sny i spocona piżama - wszystko to dobrze pamiętał. Aczkolwiek ostatnio, jeśli się starał, przez wiele miesięcy odcinał się od tamtych czasów.

- Może to i racja - rzekł po chwili. - Może wszystko jest z sobą połączone.

Efendi

- To ty nie wiesz? - zainteresowała się.

-Nie.

- Myślałam, że szpieczy wiedzą wszystko.

- Ja nie wiem nic. - Pokręcił głową. - Z wyjątkiem tego, że nigdzie cię stąd nie odeślę, że cię nie opuszczę i że nie dam się zabić.

- Ciocia Nafisa i ciocia Dżalila zginęły... - Poczekała, aż Raf pokiwa głową. - Ale nie wiadomo, czemu to się stało...

Ponownie kiwnął głową.

- Ty wiesz czemu?

- No bo... - Urwał. - No bo takie jest życie w al-Iskandarijji. - Zignorował wyraz powątpiewania na jej twarzy. - Cóż ci mogę powiedzieć? Nad wszystkim czuwa Generał.

- Koenig Pasza? - Wyraźnie jej ulżyło. - Czyli że nie był to pomysł Zary? Ani twój?

Raf pokręcił głową z takim samym półuśmiechem, jaki błakał się na jej ustach.

Pokiwała głową.

- Bałam się, że to Zara. Jeśli Koenig Pasza każe nam kłamać, to zupełnie co innego. - Wzruszyła ramionami z komicznym naśladowaniem osoby dorosłej. - On musi kłamać, taką ma pracę. - Przez chwilę przypominała swoją zmarłą, przez nikogo nie opłakiwaną ciotkę Nafisę.

Wychodziło na to, że w świecie Hani obowiązują dwa diametralnie różne systemy wartościowania.



Jeden obejmował takich ludzi jak on, ona i Zara, drugi miał swoje zastosowanie w przypadku tych, co twardym butem deptali prawdę.

Wstając, zastanawiał się, co będzie, kiedy dziewczynka wreszcie zrozumie, że gdyby by} szpiegiem, musiałaby go zakwalifikować dci tej drugiej grupy.

- Dokąd idziesz? - spytała.
- Wychodzę.
- Chodzi o morderstwo?

Pokręcił głową.

- Mam inne sprawy na głowie.

Przeglądała mu się uważnie.

- Myślałam, że chcesz, by znalezieniem Avatara zajął się jakiś tam Eduardo.
- Hani!

Jon Courtenay Grimwood

- No dobra, słyszałam - przyznała się. - W każdym razie, jestem ci potrzebna w śledztwie.
- Wcale nie.
- Naprawdę - upierała się.
- Nie wezmę cię ze sobą, wybij to sobie z głowy - rzekł stanowczo.
- A kto mówi, że chciałabym z tobą iść? - odparła niewzruszenie. Zerwawszy się na równe nogi, machnęła ręką i poczekała, aż zaświeci się ekran. Ruszając kciukiem nad trackballem, zamknęła aktywne okno. Ukazał się widok miasta z lotu ptaka.
- Zamknęli go w piwnicy - oświadczyła zdawkowym tonem. - Na zewnątrz jest śmierdząca woda.
- Jak to, śmierdząca woda?
- Nadal nie chcesz, żebym ci pomagała?

Westchnął.

-Ali bej kazał wybudować Kanał Mahmudijja w 1817 roku.

- Starannie dobierała słowa. - Po drugiej stronie zielony tramwaj jedzie w stronę okna, potem skręca w lewo...
- Coś jeszcze?

Pokiwała głową.

- Turbini. Nie - poprawiła się. - Nie turbini. Pociągi towarowe, takie długie, które stukoczą... Po przeciwnej stronie. A to oznacza, że można go szukać gdzieś... - Dotknięciem obrazu przywołała gęstą sieć ulic, gdzie tory tramwajowe biegły na południe Rue Amoud, by dalej skręcić w Avenue Mahmoudiya. Na dole zdjęcia gruba nitka torów prowadziła do stacji rozrządowej. - Gdzieś tutaj.

- Skąd miałabyś to wiedzieć?

Kiwnięciem głowy wskazała zabawkowego żółwia, który stał zakurzony w kącie sypialni: stary, wytarty na krawędziach, pysznił się pancerzem, na którego powierzchni, niby kłęby chmur, bez końca mieszały się fraktale. Ktoś mu przyczepił nalepkę z rysunkowym królikiem, a potem próbował ją ściągnąć, o czym świadczyła kleista plama i pół wesołej buźki z dwoma zębiskami.

Leciwy żółw pobierał prąd przedpotopowym kablem z zasilacza w ścianie. Drugi kabel, przeciągnięty pod ścianą, był podłączony do ekranu.

- Pomaga mi Herbert - wyjaśniła.

Efendi

9

Co było możliwe... Kamery przemysłowe zainstalowano na prawie wszystkich głównych ulicach miasta. Prawo nakazywało umieszczać kamery wideo w tramwajach, pociągach, a nawet licencjonowanych taksówkach. Oprogramowanie służące do rozpoznawania twarzy zawierało sporo błędów, lecz umiałyby wyłowić DJ-a w dredach z tłumy ludzi w garniturach lub strażnikarzy ubranych w dżelaby.

- Naprawdę?

Odwrociła się i pstryknięciem palcami wyłączyła terminal.

Koniec rozmowy.

- Postuchaj. - Kucnął przed dziewczynką, która nie sprzeciwiała się, gdy ujął w dłonie jej wąski podbródek i obrócił ku sobie jej twarz tak, by mogli przewiercać się wzajemnie oczami. Ciemnobrązowe i jasnoniebieskie. Aż dziw, że są spokrewnieni. - Muszę dowiedzieć się czegoś więcej, skarbie. Proszę cię.

Skarbie - tak Zara zwykła mówić do Hani, zanim po kłótni z Rafem przestała się widywać z dziewczynką.

- To nie fair - odparła, naburmuszona. Wyrwała się z rąk Rafa. - Czyja cię pytam o lisa? Nie pytam! - Zdenerwowała się nie na żarty.

- Wybacz. - Cofnął się. Wyglądało to na sytuację patową, po prostu typowy impas, tyle że w życiu Hani nic już nie mogło być proste i typowe. Poza tym wiedział, że na swój sposób już dała mu odpowiedź. Cokolwiek widziała, patrząc w swoje myśli, nie mógł tego podpatrzeć ani Raf, ani nikt inny.

Przeprosił ją po raz ostatni i wyszedł. Hani milczała, zamknięta w sobie i nadąsana.

Jon Courtenay Grimwood

## Rozdział 15

### 9 pAŻt>ricrvłikA

Eduardo obawiał się o swoją vespę, niegdyś należąca do jego wujka, a wyprodukowaną we Włoszech! Porwane siodełko niedawno wymienił na nowe z czerwonej skóry, a zdziały dwusuwowy silnik benzynowy na nowiutki model Sterlinga, który zadawała się prawie każdym paliwem. Eduardo przeważnie karmił motocykl najtańszą brandy - tak podłą, że nawet Frisco nie wzięłyby jej do ust. Silnik pracował bez zarzutu na wszystkim, co tylko się spalało.

Zostawił motor przy kanale, pod okiem urwisa w niebieskiej dżelabie. Urwis miał silnego zęza i dzierzył kijaszek, którym pewnie nikogo by nic odstraszył. Zażądał pięć lii. Pięć, phi! Eduardo z królewską hojnością wysuptał dziesięć, aby chłopak - który uśmiechnął się łobuzersko, jakby doskonale znał źródło jego bogactwa - ze zdwojoną czujnością pilnował mu maszyny.

Eduardo po raz pierwszy odwiedził przyzwoity burdel, lecz nie zastał tu oczekiwanych luksusów. Przede wszystkim, w olbrzymim holu wierciły w nosie zapachy płynu do czyszczenia dywanu i kurz, zamiast upojonej woni płatków róż i paryskich perfum. Nie było żyrandoli ani wielu obrazów, a iskandaryjskie makaty, choć stare, nie miały żadnej wartości. Za to nie brakowało wielkich zwierciadeł w złożonych ramach, lecz Eduardo widział w nich tylko siebie: niewysokiego mężczyznę w przydużym, skórzanym płaszczu.

Do maleńkich klitek nad przystankiem autobusowym przynajmniej łatwo było się dostać. Nawet jeśli byle jakie wyrka nie grzeszyły czystością. Maison 52, Pascal Coste; w te rejony jeszcze nigdy się nie zapuszczał, przez co długo dziś błądził, nim dojechał na miejsce.

Efendi

1

- Wasza Ekscelencjo.

Głos doleciał z progu wąskich drzwi, za którymi, jak się wydawało, mogła mieścić się tylko garderoba. W drzwiach stała blondynka z twarzą tak białą, jakby jeszcze przed chwilą grała w japońskim teatryku. Szminka Chanel czerwieniła się grubą krechą niczym świeża rana. Za jej plecami ukrywały się następane postacie: jasnowłose, jasnoskóre i o wiele, wiele młodsze.

- Nasze dziewczynki. Wasza Ekscelencjo.

Nic był żadnym „ekscelencją” i wydawało mu się niesmaczne, że go tak nazywają. Owszem, nie pochodził z rodziny fella-hów, ale zarazem nie opływał w dostatki i nie miał wpływowych znajomych. Nikt nie zwracał się do niego z prośbą o wstawiennictwo. Był zwyczajnym pied-noir, potomkiem francuskich kolonistów, który niedawno znalazł pracę i dostał polecenie stawienia się pod adresem 52 Rue Pascal Coste.

- Mam się tu spotkać...

- Na wszystko przyjdzie pora, Wasza Ekscelencjo. - Starsza kobieta kotyszającym się krokiem wyszła mu naprzeciw. Stopy miała wciśnięte w wąskie czółenka, a na ramionach mocno znoszoną suknię koktajlową, prawie tak starą jak ona sama. Szalem zastoniła większość bruzd i fałd na skórze górnej części tułowia. - Najpierw sobie wybierz jedną z naszych ślicznotek...

Bez słowa wymaszerowały na środek holu. Niektóre zerkały na niego z niejaką ciekawością, inne po prostu gapiły się w dywan lub oglądały paznokcie. Było ich w sumie dziesięć. Blondynki i brunetki. Dwie w jego wieku, pięć kapkę młodszych. Pozostałe trzy były jeszcze dziećmi, przy czym najładniejsza miała nachmurzone czoło i siniec na delikatnym policzku, którego żadną miarą nie dało się przypudrować.

Większość, oprócz najmłodszej, ubranej w szlafroczek z kołnierzykiem z maltańskiej koronki, chodziła z odsłoniętymi piersiami. Dwie były rozebrane do naga, reszta nosiła cieniutkie majteczki lub białe halki z gumką w talii. Eduardo przyglądał się szwom i ścięgom; jego matka długo, póki nie dorósł, pracowała w nielegalnej szwalni. Kiedy nie pochylała się nad maszyną, do samego zmroku szła w domu przy oknie.

Dziewczynka w nocnym stroju uniosła oczy i popatrzyła na niego z niechęcią. Prędko odwrócił wzrok... by napotkać spojrzenie zblazowanej brunetki.

Jon Courtenay Grimwood

- Może ta... - oznajmił.

Kobieta zdumiała się, że ją wybrał. Była tu prawie najstarsza; miała szerokie biodra, nieduże piersi i pupsko sporych gabarytów. W palcach trzymała niedopalonego papierosa marki Ziganov, poplamionego na złotej obwódce różową szminką. Eduardo wziął ją za Angielkę.

- Mam na imię Rose - przedstawiła się.

Nic czekając na prośbę, wręczył bajzelmamie złotą kartę kredytową American Express. Miał jej używać wyłącznie w sytuacjach podbramkowych lub na wyraźny rozkaz szefa, jak teraz.

Podpisał się zamasyście, nie patrząc na kwotę.

- Dziękuję, Wasza Ekscelencjo. - W głosie starszej kobiety zabrzmiała nuta uszanowania. Chyba po raz pierwszy, odkąd zaczęła tytułować go ekscelencją, zrobiła to z wewnętrznym przekonaniem.

Po odebraniu karty uśmiechnął się i wszedł na szerokie schody, gdzie zaraz się zatrzymał, aby puścić przodem swą wybrankę. Idąc za nią, chciał pooglądać sobie jej tyłeczek. Kobieta wchodziła powoli, świadoma jego lubieżnych spojrzeń. Na górze przystanęła, żeby przypomnieć sobie, w którym pokoju madame kazała jej przyjąć gościa. Notabene, nie tylkoją w tym względzie poinstruowała. Na wiele godzin przed przybyciem ekscelencji zostały pouczone wszystkie dziewczęta.

- To tutaj - powiedziała, otwierając obdrapane drzwi.

- Witaj, Eduardo - odezwał się ktoś znajomym głosem. Szef, ubrany na czarno, nosił przeciwsłoneczne okulary, mimo że zamknięte okiennice uniemożliwiały dostęp promieniom wieczornego słońca. Za nim siedziała obcięta na krótko kobieta w białej, zwiewnej sukience, której materiał wypinał się na pełnych piersiach z wyraźnymi cieniami sutków.

- Witaj, szefie. - Eduardo uklonił się. Było mu głupio, bo mężczyzna nie kwapił się ucisnąć mu

dłoni, a ukłon wydawał się trochę nie na miejscu.

- Wejść i zamknij za sobą drzwi - rozkazał szef. Powiedział coś jeszcze w języku niezrozumiałym dla Eduarda, co słysząc, Rose usiadła w milczeniu na ogromnym łożu obok drugiej kobiety. - No, udało ci się.

Eduardo zmieszał się: jasne, że mu się udało. 52 Pascal Coste to nie drugi koniec świata.

Efendi

3

- Przyniosłeś rzeczy, o które prosiłem?

Eduardo kiwnął głową i wyciągnął spod płaszcza ciężką paczkę. Dla pewności ciasno obwiązał ją sznurkiem, który teraz nie chciał się rozplątać.

- Zostaw - powiedział Raf. - Połóż ją tam. - Wskazana komoda była z boku popękana, a z wierzchu mocno porysowana. - Albo lepiej włóż ją do szuflady.

Eduardo niezwłocznie spełnił polecenie.

Ten pokój był bezspornie największy w całym burdelu; poczesne miejsca zajmowały tu dwie skórzane kanapy i łoże w stylu bateau lit. W pozostałych pomieszczeniach stały pojedyncze wąskie łóżka, aby klienci nic wylegiwali się zbyt długo. Raf przez czterdzieści pięć minut przeglądał rdzeń pamięciowy na głównym posterunku policji, nim znalazł dom rozpusty w okolicach Kanafu Mahmudijja i Rue Amoud el-Sawari. Hani zrobiłaby to niezawodnie dziesięć razy szybciej, lecz nie miał śmiałości jej prosić.

W tym pokoju ładowały pary małżeńskie - w dawnych czasach, zanim Generał dogadał się z muftim i zaczęły się utarczki z obyczajówką. Tutaj żony kupowały dla swoich zmanierowanych mężów dziwki na urodziny, aby mogli z nimi robić to, czego w domu nigdy nie robili. Towarzyszące im niewiasty zazwyczaj tylko patrzyły, rzadko się przyłączały. Bez wyjątku majątne, powiązane z socjetą. Szacowne damy z tego rodzaju rodzin, które regularnie wspierały policję hojnymi datkami.

Po Accord wszystko się zmieniło.

Po raz pierwszy od stu lat dziewczyny z biednych rodzin znowu nosiły hidżab, gdy tymczasem iskandaryjskie meę-dames musiały wkładać chusty na głowę i ciemne okulary, wprawdzie o wiele bardziej eleganckie, lecz nie sprzeczne z orzeczeńiarri muftiego. Zmieniono przepisy w zakresie prawa własności, aby zamknąć kobiecie drogę do dziedziczenia. Po zmierzchu kobieta prowadząca samochód popełniała przestępstwo, a wychodząc na ulicę z odsłoniętymi ramionami, sama prowokowała urażonych fanatyków do pokaleczenia jej metalowym grzebieniem...

Raf sporo się nasłuchiwał od Zary na ten temat. Pamiętała miasto z czasów, nim zaczęło się zmieniać. Felix też się nie cieszył, że Generał podpisał Accord.

Jon Courtenay Grimwood

Wszystkie branże ucierpiały, łącznie z branżą dziwkarską. Aczkolwiek burdele nie zostały zamknięte, bowiem w al-Iskan-darijji nie tylko pełniły funkcję komercyjną, ale też były znaną atrakcją turystyczną (co miało kluczowe znaczenie). Ekskluzywne przybytki rozkoszy prosperowały w wystawnych domach

przy Corniche, w których oferowano pokoje tylko na noc, nie uznawano gotówki, a karty gorsze od złotych traktowane? jak śmieci.

Oczywiście, turystom odwiedzającym te miejsca wystawiano rozmaite rachunki - a to za wycieczkę kulturoznawczą, a to za oglądanie występów grupy teatralnej, a to za uczestnictwo w wernisażu sztuki. Dzięki temu wszyscy byli zadowoleni, począwszy od burdelowej klienteli, a skończywszy na organizacjach płatniczych i samych burdelach. A to dlatego, że zawstydzeni klienci po powrocie do domu przeważnie wypierali się prawdy, co przysparzało problemów wystawcom rachunku.

Ta maison była jednak inna, położona na uboczu, dla mieszkańców al-Iskandarijji. Płaciła podatki i odpalała pewną sumę policji, w zamian za co w policyjnej bazie danych figurowała jako źródło informacji - mogła więc liczyć na ochronę w razie kłopotów z obyczajówką. Grubas aprobował tego rodzaju układy z burdelami na terenie całego miasta.

Raf i Eduardo byli kochankami ... jeśli wierzyć wersji, której trzymała się madame. Tym właśnie wytłumaczyła dziewczynom prośbę Rafa o największy pokój. Ma się rozumieć, w Afryce Północnej kontrolowanej przez Osmanów homoseksualizm oficjalnie nie istniał. W praktyce, choć tępiący przez prawo, miał się całkiem dobrze. Albowiem społeczeństwo, które dziewictwo kobiet uważało za świętość, karało śmiercią za seks przedmałżeński i sprawiało, że mężczyźni mogli sobie pozwolić na ślub przeważnie dopiero w wieku dwudziestu paru lat - siłą rzeczy musiało przymykać oczy na to, co i tak było nieuniknione, mimo iż zakazane przez władzę. I nie chodziło tu o statystycznie co piątego mężczyznę, którego z natury w nikłym stopniu pociągają kobiety.

- Co robimy? - zapytał Eduardo.

- Musimy sobie jakoś wypełnić czas do zachodu słońca. - Raf podszedł do okna i obejrzał maszrabiję, za którą rozciągał się widok na kanał. Przyjrzał się bliżej dwóm parom okiennic. Jedna odgradzała balkon od ulicy na dole, druga zaś pokój

Efendi

od balkonu. - Hej, ty. - Wskazał dziewczynę, którą wybrał na ślepo zaraz po przyjeździe do burdelu. - Mówiłaś, że jak masz na imię?

Oczywiście, nic mu nie mówiła, inaczej by pamiętał.

- Justine.

Nieudolnie siliła się na francuski akcent. Sądząc po karnacji i czarnych odrostach krótkich włosów, powiedziała by: mońsko. Jednakże przebywał w al-Iskandarijji niespełna cztery miesiące i nie miał talentu Felixa. Jego poprzednik wsławił się umiejętnością natychmiastowego określenia korzeni każdej osoby.

- Przyniesiesz mi coś do picia?

Zawahala się.

- A czego byś sobie życzył, Wasza Ekszelencjo?

- Wina. Białego i schłodzonego. Może być wytrawne.

Rosła jej konsternacja.

- Cokolwiek wpadnie ci w ręce - dodaj.

Pogmerała przy zamku i smyknęła na korytarz.

Raf westchnął. Mężczyźni go ludzie, którzy się go bali. Ona może dlatego się bała, że uważała go za bogacza. Szczerze mówiąc, w pojęciu Justine musiał być wyjątkowo bogaty. Nawet jeśli w rzeczywistości ledwie starczało mu na pensję Donny i Chartuma, a remont medresy przekraczał jego możliwości finansowe. A może zdawała sobie sprawę, że ma do czynienia z policjantem? To, że miał na sobie garnitur i nosił w mieszkaniu przeciwsłoneczne okulary, też swoje robiło. Prawdopodobnie liczył się każdy element. Dziewczyna bała się wszystkiego: klientów, bajzelmamy, skrzydlatych rydwanów czasu. Widział to w jej oczach. Zapytana, odpowiedziałaaby, że ma siedemnaście lat, iecz lekką ręką można by jej dołożyć dziesięć. Była od niego ze trzy lata starsza, powinna już myśleć o odejściu z interesu.

- Może takie?

Justine trzymała przykurzoną butelkę wina Cru de Pto-lemees, dwie szklanki i garść kostek lodu. Biegła po schodach i teraz ciężko dyszała.

- Dziękuję. - Uśmiechnięty, kiwnięciem głowy wskazał balkon. - Tam sobie pójdziemy. - I zwrócił się do Eduarda: - Zobaczmy się za jakąś godzinę.

- Co pan będzie robił?

- Cokolwiek.

Jon Courtenay Grimwood

\*\*\*

Zgodnie z oczekiwaniami, wino miało cierpki smak, lecz z uśmiechem nalał odrobinę do szklanki Justine.

- Salut.

- Mogę jeszcze spróbować? - poprosiła po skosztowaniu trunku.

- Nie. - Kostki lodu zatrzęszczały, wrzucone do jej szklanki. Zakręcił nią. - Kto wie, może to coś pomoże. - Schładzanie oczywiście niczego nie zmieniło, lecz wychylił swoją szklankę, a gdy zginął w ustach kwaśny posmak, napełnił ją ponownie. Kiedy znów się z nią uporał, pociągnął spoiwy łyk z drugiej.

Siedział oparty plecami o okiennicę, którą kazał Eduardowi zatygłować od wewnątrz. Badał wzrokiem balkon, jak zwykł badać wszystko, co się wokół działo... Za misternie rzeźbioną przesłoną widać było fragmenty miasta w przedwiecznym mroku. Proste okiennice, teraz przyciągnięte do bocznych ścianek maszrabijki, w dzień chroniły wnętrze przed skwarem, nocą przed chłodem.

Znajdował się w małym świecie, zamknięty jakby w pudełku.

- Twoja kolej. - Zwrócił kobiecie szklankę.

Upiła mały łyczek i oddała mu resztę.

- Możemy porozmawiać - odezwała się w końcu, kiedy jego milczenie zaczęło być dla niej uciążliwe. - Niektórzy mężczyźni czują się swobodniej, gdy mogą sobie pogadać.

Chciał powiedzieć, żeby go do nich nie zaliczała. Był sobą, stety albo niestety. A zdarzały się dni, że i w tym względzie nie miał pewności. Kiedy rosnący w głowie hałas przechodził na resztę ciała, drętwiały mu palce, bolała szyja, a w brzuchu wił się podrażniony wąż, co tamowało dech w piersi i napełniało uczuciem lęku.

W takich dniach najbardziej potrzebował lisa. Teraz lis umierał i wyglądało na to, że już nie wydobrzeje.

- Powiedz, co cię trapi? - spytała Justine. Zabrała mu pustą szklankę i ostrożnie postawiła ją na ziemi. Pytanie było w tym samym stopniu wystudiowane, co przelotne muśnięcie jej delikatnych palców. Nawet głowę pochylała na bok tak, jakby ten gest dobrze przeciwczyła.

Mimo to Raf był skłonny do zwierzeń.

Jon Courtenay Grimwood

\*\*\*

Zgodnie z oczekiwaniami, wino miało cierpki smak, lecz z uśmiechem nalał odrobinę do szklanki Justine.

- Salut.

- Mogę jeszcze spróbować? - poprosiła po skosztowaniu trunku.

- Nie. - Kostki lodu zatrzęszczały, wrzucone do jej szklanki. Zakręcił nią. - Kto wie, może to coś pomoże. - Schładzanie oczywiście niczego nie zmieniło, lecz wychylił swoją szklankę, a gdy zginął w ustach kwaśny posmak, napełnił ją ponownie. Kiedy znów się z nią uporał, pociągnął spoty łyk z drugiej.

Siedział oparty plecami o okiennicę, którą kazał Eduardowi zaryglować od wewnątrz. Badał wzrokiem balkon, jak zwykł badać wszystko, co się wokół działo... Za misternie rzeźbioną przesłoną widać było fragmenty miasta w przedwiecznym mroku. Proste okiennice, teraz przyciągnięte do bocznych ścianek maszrabijki, w dzień chroniły wnętrze przed skwarem, nocą przed chłodem.

Znajdował się w małym świecie, zamknięty jakby w pudełku.

- Twoja kolej. - Zwrócił kobiecie szklankę.

Upiła mały łyczek i oddała mu resztę.

- Możemy porozmawiać - odezwała się w końcu, kiedy jego milczenie zaczęło być dla niej



uciążliwe. - Niektórzy mężczyźni czują się swobodniej, gdy mogą sobie pogadać.

Chciał powiedzieć, żeby go do nich nie zaliczała. Był sobą, stety albo niestety. A zdarzały się dni, że i w tym względzie nie miał pewności. Kiedy rosnący w głowie hałas przechodził na resztę ciała, drętwiały mu palce, bolała szyja, a w brzuchu wił się podrażniony wąż, co tamowało dech w piersi i napełniało uczuciem lęku.

W takich dniach najbardziej potrzebował lisa. Teraz lis umiera! i wyglądało na to, że już nie wydobrzeje.

- Powiedz, co cię trapi? - spytała Justine. Zabrała mu pustą szklankę i ostrożnie postawiła ją na ziemi. Pytanie było w tym samym stopniu wystudiowane, co przelotne muśnięcie jej delikatnych palców. Nawet głowę pochylała na bok tak, jakby ten gest dobrze przećwiczyła.

Mimo to Raf był skłonny do zwierzeń.

Efendi

- Zamierzam kogoś zabić - powiedział bez ogródek.

- Kiedy? - Justine maskowała uczucia i zadawała możliwie proste pytania.

- Dziś w nocy.

- Mnie?

Pokręcił głową, czując łzę spływającą pod szkiełkiem okularów.

- Ani ciebie, ani siebie. Ani tych dwoje, co tam siedzą. - Skinął głową na przejście do pokoju. - Takiego tam faceta.

- Jednego?

- Jeśli dobrze pójdzie...

- A jeśli pójdzie źle?

Zastanowił się.

- To kilku - odparł wolno. - Może będzie ich więcej.

Justine pokiwała głową, jakby należało się tego spodziewać.

- I dlatego ci smutno?

Wzruszył ramionami.

Później, kiedy przestał wpatrywać się przez rzeźbioną przesłonę na wody kanału, toczące się wolnym, szerokim nurtem między betonowymi skarpami, Justine pomogła mu zdjąć marynarkę, którą starannie złożyła. Kładąc ją obok pustej szklanki, podkasała haleczkę i usiadła na nim okrakiem

Kiedy wczepił się palcami w jej upięte włosy, aby przyciągnąć wymalowane usta do swych ust,

odwróciła się na chwilę, lecz pozwoliła sobą kierować. Znaleźli gorzki smak na swoich wargach, całując się wolno, jakby w zamyśleniu. Nie tego oczekiwała i nie do tego dążył. Unosząc dłoń, aby dotknąć piersi, poczuł obfitość jej ciała.

Łódź głęboko zanurzona w wodzie. Dziewczyna z rozpiętą bluzką. Wargi słone solą łez i morza...

- Zapłaciłeś za mnie, Wasza Ekscelencjo - powiedziała Justine, widząc, że się waha. - Za taką kasę masz pełną obsługę.

Za Zarę także zapłacił. A może to jej ojciec uścił rachunek? Tak czy inaczej, złamanie umowy kosztowało Rafa prawie tyle samo co dziewczynę. Czyli za dużo. Czy powinien sobie wmawiać, że wybrał Justine tak zupełnie przypadkiem? Miała podobną ciemną karnację skóry i oczy, pełne piersi i smukłe ramiona.

98

Jon Courtenay Grimwood

- Pokochajmy się - rzekł.

Od razu przeszła do rzeczy. Zaczęła od rozpięcia jego staroświeckiego rozporka. Przenosząc wzrok nad jej ramieniem, zobaczył chłopca łowiącego ryby w cieniu feluki. Na pokładzie stateczku powstała prymitywna buda z arkuszy galwanizowanej blachy, powlekanej folią tektury i czegoś, Co przypominało resztki sklejkowej skrzyni do transportu herbaty. Rana na pniu niewysokiej palmy, niemalże zabliźniona na linie cumowniczej, świadczyła o tym, że feluka znajdowała się tutaj, nim chłopiec się urodził.

Przed feluką, zasłaniając ją raz po raz, przepływały barki wyładowane worami z włókna jutowego. Przypuszczalnie zawierały bawełnę lub daktylę. Sezonowość upraw w delcie była jeszcze dla Rafa zagadką: nie wiedział, co kiedy się zbiera.

- Co przewożą te łodzie?

Justine przestała poruszać biodrami.

- Te barki. - Wskazał kanał.

- Papierosy. - Nawet się nie obejrzała. Wymieniła dwie nazwy miejscowych cygaretek z popularnego na tych terenach ciemnego tytoniu i wzruszyła ramionami. - Po co sprzedawać drobnym sklepikarzom, skoro można turystom z trzykrotnym przebicciem?

Otoczywszy ramionami Rafa, przytuliła go do siebie, żeby już nie patrzył na kanał. Kołysząc się delikatnie, napierała w dół, wciąż i wciąż, aż w końcu osiągnęła orgazm... lub go udała. Objęła go silniej udami i wcisnęła twarz w jego szyję.

- Wystarczy. - Wsunął ręce pod pośladki Justine, aby pomóc jej wstać. Oddychała szybko, serce tłukło się w jej piersi. Odprężenie wydawało się rzeczywiste, nie udawane. Podobnie jak piżmowy zapach jej ciała.

- Jak się czujesz? - zapytała po pewnym czasie, siedząc w kucki.

- Fajnie.

Uśmiechnęła się.

- Nie wyglądasz na faceta, który kłamie.

Wyszczrzył zęby w łobuzerskim uśmiechu.

- Rzadko robię co innego.

Justine uniosła starannie podmalowaną brew.

- Skoro tak mówisz, Wasza Ekscelencjo.

t

Efendi\_99

Pochyliła się w przód, uchwyciła zębami jego sutek i lekko przyszczypnęła. Potem puściła go i zsunęła się niżej, aż znalazła się w pozycji półleżącej. Po chwili Raf nie myślał już o niczym z wyjątkiem bólu w pachwinie i rosnącego podniecenia, gdy jej usta otwierały się, połykały go, cofały się i tak w kółko. Była w tym dobra, nawet więcej niż dobra. Doświadczona.

Zakończył sprawę szybko i z impetem, chwytając ją za włosy, nim opróżnił ciało z nagromadzonych w nim frustracji.

- Przepraszam - bąknął, puszczając ją.

Wzruszyła ramionami; nic dodać, nic ująć. Nie potraktował jej w ten sposób jako pierwszy i zapewne niejako ostatni. Był mężczyzną - po takich jak on nie spodziewała się subtelności.

- Naprawdę, nie chciałem... - Zerknąwszy na kanał, zauważył, że na pokładzie feluki ktoś zapalił lampę sztormową, a chłopak z wędką zniknął.

\*\*\*

Eduardo leżał rozwalony na łóżku, głośno chrapiąc, gdy Rose gapiła się na popękany sufit z halką zmiętą wokół szerokich bioder. Usłyszała, jak Raf nożem odmyka okiennicę. Odwróciła się i zastygła w bezruchu.

Skinął głową, na co odpowiedziała takim samym gestem. Przyglądała się jego troszkę niepewnym ruchom, gdy podchodził do zdezelowanego biurka, żeby z górnej szufladki wyciągnąć paczkę od Eduarda. Wprawnie chlasnął czarnym, szklanym nożem, by rozprawić się ze sznurkiem. Potem wsunął ostrze do futerału nad kostką i rozsypał zawartość paczki na kanapie.

Pistolet automatyczny, pałka sprężynowa i gaz pieprzowy w sprayu, a wszystko zabrane chudzielcowi z dziurą w głowie, który dryfował w zarośniętej hiacyntami płytkiej wodzie jeziora Mareotis. Znalaziono też przy nim ostry jak brzytwa nóż i woreczek zaimpregnowany osadem jakiegoś dyskotekowego narkotyku. Woreczek nadal badano w laboratorium toksykologicznym, nożem posługiwał się już Raf.

Pistolet kalibru 9 mm, replika Sturm Rugera KV95d z magazynkiem na dziesięć naboju i mechanizmem

spustowym z samo-napinaniem; masa własna 27 uncji, matowo niebieski szkielet i czarny, gumowy chwyt. W magazynku brakowało naboju.

100\_Jon Courtenay Grimwood

Rafa zaciekało nie to, że numer seryjny został spiłowany, ale że - zdaniem policyjnego specjalisty - nigdy nie został wybity. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można było zakładać, że broń wyprodukowano w nielegalnej fabryce gdzieś na terytorium radzieckim, bez uwzględnienia międzynarodowych wymogów bezpieczeństwa. A jeśli tak, to nic dziwnego, że wbudowany w rękojeść chip, mający rejestrować historię używania pistoletu, nie został włączony.

Pałka: prosty model, do kupienia na wszystkich bazarach w Afryce Północnej, aczkolwiek ten egzemplarz wyposażono w tytanową sprężynę i neoprenową nasadkę do zwiększenia siły ciosu. Gaz pieprzowy: marokańska masówka na amerykańskiej podlicencji. Dostępny w prawie każdym sklepiku.

Trupa schwytał w sieci pewien rybak, który jednak wolał zostawić niewygodne znalezisko w przybrzeżnych szuwarach, niż zgłaszać ten fakt policji. Zdecydował się wrócić po swoją zdobycz, kiedy miejscowa stacja telewizyjna podała, że niemiecka placówka konsularna wyznaczyła nagrodę za informacje o zaginionym drugim sekretarzu.

W którymś momencie przewożenia wózką zwłok pod bramę niemieckiego konsulatu zaginęły rzeczy osobiste zabitego. Raf dowiedział się o tym, ponieważ zdenerwowany oficer łącznikowy konsulatu zadzwonił osobiście, żeby zapytać się, co Aszraf bej zamierza zrobić w tej skandalicznej sprawie. I nadal się pieklił, choć Raf obiecał jeszcze tego samego dnia wysłać oficera do przeprowadzenia śledztwa, gdy tylko przyjdzie ktoś z konsulatu wypełnić odpowiednie formularze.

Eduardo wytropił starego rybaka w kafejce przy wąskim trakcie, w wiosce tak biednej, że doczekała się tylko tej jednej drogi. Eduardo mógł dać mu do zrozumienia, że pracuje w policji, lecz nie działał w ten sposób. Wolał wspomnieć o nagrodzie za zwrot tego, co zabity Niemiec miał przy sobie. A ponieważ wymieniona suma daleko wykraczała poza to, czego rybak mógł oczekiwać ze sprzedaży skradzionych przedmiotów, targu dobito szybko i ku obopólnemu zadowoleniu.

Od tamtej pory paczka leżała tam, gdzie Raf kazał ją położyć, to znaczy w szufladce biurka w gabinecie Eduarda nad sklepem pasmanteryjnym.

- Jak wyjść na dach?

4 k v

Efendi

101

- Najpierw w lewo, potem po schodach. - Justine zerknęła na Rose, a potem na śpiącego Eduarda i znowu na Rafa. - Co z nim?

- Niech tu zostanie.

Kobieta leżąca pod Eduardem pokiwała głową, jakby wszystko przewidziała.

- To dla ciebie - zwrócił się Raf do Justine i wyliczył dwadzieścia banknotów studolarowych. - A

to dla Rose. - Wręczył jej jeszcze dziesięć. Takich pieniędzy nie zarabiały przez rok. Nim się odwrócił, banknoty ulotniły się z rąk Justine, choć stała dokładnie w tym samym miejscu. - Jeśli nie wrócę, mówcie, że groziłem wam śmiercią za wygadanie się przed burdelmamą. Spróbujcie paplać, a skończycie w piachu - dodał po krótkim namyśle. - Jeśli wrócę, nikomu nie powiecie, że wychodziłem z pokoju, zrozumiano?

Kobiety przytaknęły.

Justine wyświadczyła Rafowi jeszcze jedną przysługę. Otworzyła drzwi, rozejrzała się, czy w korytarzu naprawdę nikogo nie ma, po czym udała się do damskiej łazienki, by po drodze odsunąć rygiel na drzwiach prowadzących na dach. Wracając, zamknęła je, tak samo jak zamknęła za sobą drzwi pokoju. Po skończonej robocie położyła się na skórzanej kanapie i wsłuchując się w ciszę, doszła do wniosku, że Jego Ekscelencja zszedł już z dachu burdelu.

102

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 16

9 października

Raf ujrzał siwego kota, nim ten zobaczył jego. Przystanął, kołysząc się lekko w kolanach, i poczekał, aż obezwładniony strachem zwierzak przestanie prężyć grzbiet i odejdzie. Po strychach harcowały myszy, nieruchome gekony wydawały się martwe i wysuszone, a nietoperze, krążące jak węgliki, tańczyły w rozgrzanym powietrzu do melodii, którą słyszały tylko one i Raf.

Nietoperze lubiły stare budynki, których w al-Iskandarijji nie brakowało, a więc i ich było zatrzęsienie. Właśnie to...

Dość tych dyrdymałów! - zganił siebie w duchu. - Musisz się skoncentrować.

Bezproblemowo przemierzał kolejne dachy, przemieszczając się bezgłośnie z cienia w cień, aż znalazł się prawie u celu. Znowu się zatrzymał i zaczął oddychać w wyuczony sposób. Miał do wyboru wiele metod: pojedyncze słowa, kawałki piosenek... jednak najbardziej lubił oczyszczać umysł długim, głębokim oddechem. Posiadał tę umiejętność na długo przed spotkaniem swojego jamajskiego nauczyciela. I chociaż stary rastafarianin ze zdumieniem śledził postępy młodzieńca, błyskawiczne uczącego się raba de arrairy, querxady i esquivy, zabójczych ruchów pod przykrywką latynoamerykańskiego tańca, ten nigdy mu nie powiedział, że został przystosowany do szybkiego przyswajania wiedzy. Z leciwym skazańcem rozstał się tam, gdzie się poznali: na spacerunku Aresztu nr 3 w Seattle.

Ulicą koło zapuszczonej rudery z rzadka przemykały auta - na benzynę, gaz ziemny lub alkohol. Spaliny z silników mieszały się w gęstej zawieszce cukrów i węglowodorów, od których bolały go zatoki. Z bliższej odległości dochodziły silniej-

Efendi

103

sze zapachy. Woń gotowanego jedzenia łączyła się z inną, ostrą i odurzającą, pochodzącą jakby z

palonych liści... co właściwie pokrywało się z prawdą.

Cofnął się pod niski murek, biegnący wzdłuż krawędzi tarasu dachowego, żeby wspiąć się po nim na dachówkowe pokrycie suszarni ziół, która sąsiadowała z dwoma budynkami. Po kilku sekundach cichego wysiłku spoglądał z góry na szczupłego mężczyznę. Nieznajomy kopcił w cieniu drzwi, zasłaniając ręką blanta, żeby ukryć światelko żaru. Pod nogami leżał porzucony numer „Hustlera”. Na skraju plastikowego stołu, ułożone w szeregu, leżały trzy puste puszki po dietetycznej coli.

„Frajer”, skomentowałby lis.

Obok zgniecionych puszek spoczywał pistolet automatyczny. Rękojeść była odwrócona pod niedogodnym kątem, co przeszkadzałoby mu w szybkim sięgnięciu po broń. Przy pistolecie leżał pełny magazynek. Mężczyzna stał na warcie, bo mu kazano; nie dlatego, że spodziewał się gości.

Frajer, to fakt, pomyślał Raf, zeskakując z niskiego daszku. Kiedy chudzielec się odwrócił, Raf zamachnął się pałką i z wyliczoną siłą palnął go z boku w głowę. Najtrudniejszą rzeczą było złapać faceta, aby nie gruchnął na ziemię.

Wysłużony hi-power, nóż składany Opinel z ułamanym czubkiem ostrza i ręcznej roboty garota, wykonana z żyłki wędkarskiej i drewnianych rękojeści. Nie w taką broń wyposaża Thiergarten. Mimo to Raf poupychał zdobycz po kieszeniach, wkładając za pas topornego browninga. Nieprzytomnego mężczyznę przetoczył pod ścianę.

Duszona baranina, skonstatował w otwartych drzwiach. W rondelku podgrzewało się chyba mięso baranie z kolendrą i chlebem. Gdzieś w domu rozbrzmiewały dźwięki pirackiej stacji radiowej. Afro popowa melodia opierała się na powtarzanych syntezatorowych frazach, które wdzierały się do głowy bocznymi wejściami. Jeśli ktoś przebywał na niższym piętrze, to zachowywał się niezwykle cicho albo spał jak zabity.

Nikogo nie było. Raf zajrzał do wszystkich pomieszczeń. Pustych, jak się okazało. Na górnym podejściu następnych schodów przystanął i wyłożył słuch. Tym razem radio grało bliżej, a ludzi było zbyt wielu, żeby mógł załatwić sprawę bezszelestnie.

Należało opracować nowy plan.

104\_Jon Courtenay Grimwood

\*\*\*

Nietoperze zataczały małe koła nad dachówkami, nie bojąc się już cichej postaci, która stała jak posąg, gdy w ciepłym powietrzu chwytają owady.

Dziesięć minut, tyle dał sobie czasu. Dziesięć minut na uspokojenie serca, wyrównanie oddechu i wyciszenie myśli. Na wywianie kwaśnej mgły z głowy. A potem, kiedy miękkie, czarne stworzenie niebacznie zapędziło się blisko niego, zaabsorbowane szamoczącą się ćmą, Raf schwytał je błyskawicznym ruchem. Połamawszy skrzydła nietoperzowi, cisnął go pod nogi i patrzył, jak miota się bezradnie na czerwonych dachówkach.

Za chwilę miał zabić człowieka. Życie było ceną za uwolnienie Avatara. W przypadku tego, który płacił,

i tego, który wystawiał towar. A zatem byłoby dziecinadą przejmować się krzywdą czegoś, co miało mózg wielkości ziarnka ryżu, zwłaszcza jeśli musiało zabijać, żeby przeżyć.

Przyroda jest uzbrojona w kły i pazury, mawiała jego matka. To ludzie zachowują się nienaturalnie, świadomie schodzą z drogi ewolucji, co wychodzi na złe światu. Czytał jej artykuł: „Przywrócić równowagę”. Całkiem dobry, jak na kobietę, która przyjęła szmal od szwajcarskiej megakorporacji w zamian za ustąpienie ze stanowiska szefa „NatureFirst”. Oczywiście, dostała jeszcze coś ekstra, mianowicie jego...

A może było na odwrót? Może fundusze na kręcenie filmów stanowiły dodatek, a on był osią umowy? Lis orientował się w tym lepiej od niego. Raf wiedział tylko tyle, że przyszedł na świat z wielostronicową kartą gwarancyjną firmy, która wkrótce po jego urodzeniu splajtowała.

Tak więc nikt już nie mógł od nikogo żądać odszkodowania.

- Hej, ty!

Szept Rafa nie niósł się daleko, lecz zabiedzony przybłąda, który przyglądał mu się z sąsiedniego dachu, świetnie wszystko słyszał. Grzbiet mu się prężył, gdy targali nim wątpliwości. Głód walczył o prymat z podejrzliwością. Głód, jak zawsze, okazał się silniejszy.

Raf kucnął nad rzucającym się nietoperzem, patrząc na przycajonego kota, na jego nastroszone wąsy. Zwierzak bardzo wolno zbliżył się na dogodną odległość. Nie był to osobnik

Efendi

10

dorośli, ale też nie mała kicia. Gdzieś stracił delikatne futerko, a wraz z nim spory kawałek ucha.

Gdy wygłodzony mruć skoczył, aby pochwycić dogorywającego nietoperza, Raf przyszpilił palcem do ziemi złamane skrzydło. Kot nie mógł zabrać zdobyczy.

- Tutaj zjesz.

Głodomór ochoczo zabrał się do rzeczy. Na wstępie uśmiercił nietoperza ugryzieniem w szyję. Kiedy połapał się, że Raf już nie przytrzymuje skrzydła, posiłek był praktycznie zjedzony; na chłodnych dachówkach leżały ciemne, błoniste resztki.

- Złapałbym ci drugiego, ale nie mamy czasu. - Raf capnął kota za kark.

Z dołu docierały odgłosy szczurów. Jeszcze niżej ktoś uderzył w rurę i dał się słyszeć szmer rozmowy, który jednak prędko umilkł, gdy gdzieś zamknęły się drzwi. Dobiegająca skądinąd trzyakordowa piosenka przeobraziła się nagle w melodyjkę reklamową Peugeota. Wszystko to razem brzmiało jak podkład dźwiękowy do sceny będącej alegorią normalności.

- Dobra - mruknął Raf - zrobimy tak...

Kot wylądował u podnóża schodów, obróciwszy się w powietrzu, nim padł na gołe deski podłogi. Jedno spojrzenie w górę powiedziało mu, że nie wróci już na dach tą samą drogą, pognał więc do otwartych drzwi, wskoczył na schody i zamarł w bezruchu, gdy ktoś pojawił się na dole z przekleństwem.

- Ismail?! - Mężczyzna powtórzył to dwukrotnie opryskliwym tonem, a ponieważ w odpowiedzi usłyszał tylko koci syk, wpadł w złość.

Raf usłyszał kilka arabskich odpowiedników słów „bydlę” i „darmozjad”. Odgłos spokojnych kroków na schodach świadczył o tym, że mężczyzna nie spodziewa się niemiłych przygód, a gdy zrozumiał, że jednak przygoda go nie minie, padał już na ziemię.

- Dwóch z głowy - powiedział Raf do lisa, który na potwierdzenie tych słów machnął tylko ogonem.

Nieprzytomny mężczyzna trzymał pod pachą, pod wyświechtaną kurtką, kaburę z zapięciami na rzepy, a w niej krótkolufowy rewolwer z napisem wyrytym na korpusie: Genuine Colf, madę in USA. Fakt, iż litery miały ostre kontury, wskazywał na to, że broń powstała gdzieś w tutejszym nielegalnym warsztacie.

106

Jon Courtenay Grimwood

A to dawało do myślenia...

Każdy wiedział, że Hamza efendi ma dwa oblicza. Głowa rodziny i boss światka przestępczego, Jekyll efendi i fellah Hyde. Wejść w drogę pierwszemu, a przejmie twoja firmę i wyprzeda majątek. Naraż się drugiemu, a wymorduje ci dzieci, buldożerami zrówna dom z ziemią i jeszcze posypie ją solą. W raportach na jego temat można się było doszukiwać wręcz biblijnych odniesień.

Kto odważyłby się porwać dziecko Hamzy? Ba, choćby i bękarta bez prawa do dziedziczenia? W gangsterskiej społeczności bezpieczniej wyjść na tory na dworcu Misr i próbować zatrzymać nadjeżdżający pociąg. Może i nie było łatwiejszego sposobu popełnienia samobójstwa, ale z pewnością znalazłoby się wiele przyjemniejszych.

Wiec po co się w to pakować? 1 jeszcze wynajmować tanich zabijaków?

- Jazda na górę! - Machnął ręką na siwego kota, który właśnie zabrał się za ostrzenie pazurków na krawędzi balustrady.

Nie oglądając się za siebie, zwierzak czmychnął schodami na dach.

Raf teleskopowo złożył pałkę i schował ją do kieszeni. Podrabiany kolt trafił za pas. A zatem jedna pałka i trzy spluwy: jego własna, browning z dachu i teraz ten badziew... plus czarny, szklany nóż z ostrzem zeszlifowanym do grubości atomu. Przynajmniej tak mówili w reklamie. Z bezwładnego ciała ściągnął szarozółtą kurtkę i zarzucił ją na siebie, czując, jak układa się luźno w ramionach.

Ze spluwami w obu rękach ruszył w dół po schodach, odtwarzając sobie w pamięci niezgrabne kroki mężczyzny. Na dole w samą porę przypomniał sobie, żeby wpaść na metalowy stojak. Zamiast używać klamki, bezceremonialnie pchnął ramieniem kuchenne drzwi. Dwaj mężczyźni i chłopiec podnieśli oczy, w których zdumienie momentalnie zamieniło się w trwogę, gdy pojęli, że kimkolwiek jest nadchodząca osoba, nie jest jednym z nich.

- Stać! - Raf potrząsnął pistoletem. - Siedźcie, jak siedzicie!



- Mówił po arabsku z koszmarnym akcentem, ale zrozumiale.
- Nikt nie musi umierać. - Przez sekundę ciemna czeluść lufy

Efendi

10

pistoletu mierzyła w serce chłopca. - Chyba że tego właśnie chcecie?

Zanim dokończył pytanie, wszyscy jak na komendę pokręcili głowami.

- No to się cieszę - rzekł zgodnie z prawdą. Przy okazji okazało się, że zwiodyły go zapachy gotowanego jedzenia. Mieli po prostu jakieś żarcie na wynos.

Przed nimi na popękany sosnowy stół leżała jednorazowa taca aluminiowa, pełna baranich kości i twardych chrząstek. Obok stał dużo większy pojemnik po kuskusie i w połowie opróżniony słój z harissą. Był jeszcze praśny chleb, zakrętka z niedopałkami skrętów i papierowe zwitki.

Węglowodany i gandzia, dwa skuteczne sposoby na obniżenie koncentracji umysłu. Chociaż ci trzej nie wyglądali na takich, co zwykli skupiać się na czymkolwiek prócz siebie.

- Broń na stół!

Obok aluminiowych tacek pojawiły się jarmarczne noże sprężynowe i obciachowe rewolwery z rękojeściami ze sztucznej masy perłowej i debilnymi elektronicznymi celownikami, które wyglądały kosmicznie, lecz do niczego się nie nadawały.

- Wszystko!

Kolekcję powiększyły dwa noże wyciągnięte z butów i para mosiężnych kastetów. Raf przypomniał sobie chłopca, który odbierał nastolatkom przed wejściem do BonBonu w Seattle - zanim poróżnił się z Hu San, przywódczynią miejscowej triady, i musiał zmienić osobowość.

- Powiedziałem: wszystko!

Ten średniego wzrostu, który wyglądał na ojca chłopaka i młodszego brata najstarszego mężczyzny, wyciągnął z tyłu rezerwowego jednostrzałowy pistolet i z ponurą miną położył go koło noża.

- Włóżcie to tutaj! - Raf podsunął im pojemnik po kuskusie. Posłusznie umieścili w nim broń, uważając, żeby przypadkiem lufa pistoletu nie skierowała się na Rafa.

Siad. powstań, siad, powstań... Za każdym razem, kiedy wykonywali polecenie, utrwał się wzorzec zachowania. Tak działała ludzka psychika. Gdyby zamierzał ich zlikwidować, teraz byłaby ku temu najlepsza okazja. Wydawali się na tyle

108

Jon Courtenay Grimwood

rozgarnięci, żeby to zrozumieć. A mimo to zachowywali się trochę za swobodnie.

- Chyba wiesz, kogo porwaliście?

Raf utkwiał wzrok w chłopaku, który przedtem drżał na widok skierowanego w jego stronę pistoletu. Był nie tylko najmłodszy w tym gronie, ale też, na pierwszy rzut oka, najmniej nabuzowany. Zamiast odpowiedzieć, lekko pokręcił głową. Wnet się okazało, że po prostu nie zgadza się z treścią pytania.

- Nikogo nie porwaliśmy. My go tylko pilnujemy.

- Jest jakaś różnica?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- To DJ Avatar - rzekł Raf. - Syn Hamzy efendiego.

Na twarzy młokosa odmalowało się zdumienie. Ale i ono miało inne podłoże, niż można by sądzić. Najzwyczajniej w świecie lubił słuchać muzyki Avatara. Imię Hamzy nie zrobiło na nim wrażenia.

- Zapuszkowali tego pojebusa - odezwał się najstarszy mężczyzna. - Zakatował na śmierć niewierną.

- Najpierw ją zgwałcił - dodał ojciec chłopca. - Dlatego siedzi.

- Naprawdę? A kto go aresztował?

- Pieprzony Aszraf bej. To stało się wczoraj.

- To się nie mogło stać, możecie mi wierzyć.

- Właśnie, że się stało... - Źrenice najstarszego Araba były nienaturalnie rozszerzone, powiększone tak bardzo, że wyglądały na oczy człowieka postrzelonego w głowę, zastygłe w momencie śmierci. Widać truł się jakimś mocnym świństwem.

- Na jego własnej plaży - dodał chłopak z udawanym oburzeniem.

\*\*\*

Tyłnymi drzwiami wyszli za dom, zabierając ze sobą zarówno mężczyznę stojącego uprzednio na czatach, jak i ismaila; jednego i drugiego paskudnie bolała głowa, lecz nie odnieśli poważniejszych obrażeń. Wszyscy należeli do kasty drobnych rzezimieszków; tacy w każdym miejskim getcie odwalają brudną robotę, której nie tyka się żaden porządny człowiek. Popłuczyny świata, szumowiny nie potrafiące się zorganizować i zadbać o swoją przyszłość, nie splamione normalną pracą i nie dość

Efendi

10

silne, żeby sprostać prawdziwym wyzwaniom. Dziw nad dziwy, że do pilnowania Avatara najęto takich łapserdaków.

Wcześniej, wyciągnąwszy z kabury pistolet automatyczny, Raf ostrożnie rozejrzał się po domu, zostawiając sobie na koniec zamkniętą piwnicę. Na dachu nie spotkał żywej duszy i to samo na strychu. Wykręcił więc z oprawek kilka ostatnich żarówek i zaryglował wejście na dach, zanim przeszukał niższą kondygnację, na której kiedyś mieściły się sypialnie. W czterech pustych

pomieszczeniach kurz wiercił w nosie i panowała cisza. W kącie leżały połamane krzesła. Gdzie indziej jacyś kloszardzi rozpalili małe ognisko na posadzce, która popękała z gorąca. W popiele wałały się poczerwiałe puszki po thunderbirdzie. Wykręcając żarówki, Raf skrupulatnie zamykał drzwi, opatrzone popularnymi w Afryce Północnej wpuszczanymi zamkami. Na wszelki wypadek chował klucze do kieszeni.

Widok porzuconych domów na południe od Kanału Mah-mudijja nikogo nie dziwił. A już zwłaszcza na zachód od Rue Menascae, gdzie na obszarze względnego dobrobytu coraz silniej trąciło stęchlizną zinstytucjonalizowanego ubóstwa. Całkowicie wymarłe ulice były tam rzeczą równie normalną co hurtownie kokainy na skrzyżowaniach czy przepiękne kamienice wokół niebezpiecznych placów zabaw, żalonych pomników niespełnionych ambicji.

Biura podróży z uporem proponowały zwiedzanie „prawdziwej al-Iskandarijji” z bezpiecznej perspektywy klimatyzowanego autokaru... jakby ta podminowana żalem i niezadowoleniem okolica była lepszą wizytówką miasta niż zabytki w Dzielnicy Greckiej czy dostojne kamienice z czerwonej cegły w pobliżu targu rybnego.

- No, dość tego. - Raf dołączył zbiór kluczy i żarówek do kolekcji broni oddanej przez strażników Avatara. W pustej kuchni

nie miał czego szukać. Postanowił zejść do piwnicy.

\*\*\*

Daimler-benz, który zatrzymał się pod szyldem Na sprzedaż, miał przyciemniane szyby i opony z białym paskiem. Wyglądał na nowy mimo brudnej karoserii, zakurzonej w czasie lawirowania wąskimi zaułkami. Ze wszystkich stron kłuły w oczy napisy reklamowe: Auto do wynajęcia.

» „àm

110\_Jon Courtenay Grimwood

Zgasły przednie lampy i kilka sekund później otworzyły się tylne drzwi po lewej stronie. Do wnętrza na moment wpadło światło, lecz Rafa ciekawiła tylko wysiadająca kobieta.

- Znasz ją? - Dźwignął Avatara na nogi i przyciągnął go do piwnicznego okienka. Gdyby miał więcej czasu, może nie zachowywałby się tak obcesowo, brutalnie... Cóż, życie nie rozpieszczało...

- Jesteś pijany! - Avatar dopiero teraz zdał sobie sprawę z oczywistego faktu. Wydawał się, o dziwo, szczerze poruszony.

- Niezupełnie. Dobra, znasz ją czy nie?

Avatar pokręcił głową przecząco.

- Bo mnie już raz wpadła w oko. Widziałem, jak stoi za twoją siostrą i czeka, żeby wejść do tramwaju restauracyjnego.

Chłopak nie wnikał, dlaczego Raf obserwował restaurację Maxima. Raf ze swej strony, przyznać trzeba, nie dopytywał się, czemu Avatar tak bez słowa rzucił robotę szofera.

W obu przypadkach powodem chyba była Zara.

- Co teraz będzie? - szepnął Avatar, patrząc, jak kobieta zbliża się do budynku, coraz większa i większa za kratą jedyne okienka w piwnicy. Za nią szedł kierowca.

- Zrobimy młyn. Potem dorwę drania, który podrzucił zamordowaną dziewczynę do ogrodu twojego taty. - Dostrzegł zaskoczenie na twarzy Avatara. - To tylko przygrywka. - Wyjaśnił, skonsternowany, przyglądając się chłopcu, który kiwał się na boki. - Zwykła przygrywka... - Wyszarpnąwszy nóż z futerału nad prawą kostką, zbadał czubek ostrza i na próbę postąpił kilka kroków. - W porządku, sam zrobię młyn - sprostował i zawlókł Avatara do brudnego siennika. - Leż tu i udawaj chorego.

Obracając ostrze tak, by wskazywało sufit, obrócił się plecami do wyjścia. Żeby wbić nóż w drewnianą framugę drzwi, wystarczyło lekko machnąć ręką. Gdy się odsunął, ostrze sterczało z framugi. Prawdopodobnie istniało wiele lepszych sposobów, żeby mieć obie ręce wolne i jednocześnie łatwy dostęp do broni, lecz tego właśnie nauczył go Jamajczyk.

Następne chwile zrekonstruował sobie później na podstawie zapamiętanych dźwięków. Zaczęło się od zgrzytu klucza. Zamek typu yale na frontowych drzwiach był naoliwiony, lecz zasuwki cicho szcęknięły. Pstryknęło włącznikiem światła i za-

111

raz dal się słyszeć pomruk niezadowolenia. Wiązanka arabskich słów ponownie rozbrzmiała w ciemności, tym razem głośniejsza. Niezadowolenie przerodziło się w złość, kiedy w korytarzu kobieta zawadziła biodrem o kant stołu, który z hałasem przesunął się po kamiennej posadzce. Nie oddychała już tak spokojnie. Raf wychwycił ten moment, kiedy jej złość ustąpiła zaniepokojeniu. Szofer akurat otworzył drzwi do kuchni, gdzie było cicho i ciemno. Odrobina światła wpadająca z ulicy pozwalała tylko się zorientować, że nie ma strażników.

- Przynieś latarkę!

Raf usłyszał nad głową ciężkie kroki, potem podbite żelazem obcasy zabrzmiały na frontowych schodach. Szcęknięła klamka samochodu, po chwili trzasnęły drzwi. Szofer po powrocie odezwał się nieśmiałym tonem.

Kobieta zakląła głośniejsz niż powinna. Rozległ się chrzęst zapalniczki i kroki na schodach do piwnicy.

- Zastrane brudasy! - wkurzała się. - Niczego nie zrobią jak należy...

Szofer bąknął coś na znak potwierdzenia. Mruczał nawet wtedy, gdy po przejściu przez próg wypadła mu zapalniczka. Wrzask nie wchodził w rachubę, ponieważ garota zmiażdżyła chrzęstny szkielet krtani i z gardła mogło się dobywać jedynie rżenie.

- Proszę wejść - zwrócił się Raf do kobiety. - Chyba że mam załatwić szofera na amen.

Ona wszakże postanowiła działać po swojemu.

Pomimo mroku chwycił ją za nadgarstek i wyszarpnął jej dłoń z kieszeni. Trzymała w ręku spluwę: małą, wyjątkowo elegancką i z pewnością kosztowną. Wyrwał broń z drżących rąk i wrzucił dtykubłą na nieczystości. Do kolekcji odgłosów dołączyły plusk i bulgot.

Lis nieraz w dzieciństwie pouczał Rafa, że każdy jest w czymś dobry. Aczkolwiek niektórzy później

odkrywali w sobie ukryte talenty. Jego talent można było ująć w krótkich słowach: nie przejmował się tym, co robi, póki tego nie zrobił. Oczywiście, biorąc pod uwagę genetyczne udoskonalenia, być może nie powinien w ogóle się przejmować.

Krew ozdobiła nowy „naszyjnik” szofera, choć w piwnicy tylko Raf mógł zobaczyć ciemne „perty”.  
Zresztą, sama linka

11

Jon Courtenay Grimwood

była już tak mocno wbita w ciało, że nawet on nie widział jej dokładnie.

- Zdejmij wierzchnie ubranie i odsuń się od niego! - rozkazał. Począł, aż kobieta strząsnie z ramion ciemny żakiet, zwinie go ostrożnie i położy na wilgotnej posadzce. Czy to dowodziło jej siły czy słabości? Lis by wiedział.

Była chuda. Miała na sobie białą, jedwabną bluzkę, spódnicę do kolan i grubą, czarny pasek. Pasowały do niej określenia ekskluzywna i nie rzucająca się w oczy, tak samo jak do strażników - miernoty nie mające pojęcia o kamuflażu.

- A teraz się odwróć! - dodał.

W niedużej kaburze, przyklepionej na plecach do paska, tkwił maleńki kolt. Pod ledwie dostrzegalną wypukłością na biodrze krył się niewątpliwie derringer lub nóż do rzucania.

- Oddaj broń!

Kolta wolno położyła na ziemi. Pozostałą broń zostawiła na swoim miejscu. Cóż, jej wybór. Głupi wybór, to fakt, ale jak sobie chciała...

- Teraz wypada, żeby się pani przedstawiła.

Kobieta lekko, prawie niewidocznie pokręciła głową.

Raf ścisnął garotę.

- W przeciwnym razie, będę zmuszony wykończyć szofera.

- Biedaczek. - Tylko tyle powiedziała. Kiedy rosty mężczyzna szarpnął się, spanikowany, sięgnęła do biodra i odsunęła brzég jedwabnej spódnicy. Ukazał się nóż.

Teraz! Bez namysłu, nie kierując się wcześniejszymi planami, Raf puścił garotę i chwycił rękojeść swego noża. Ostrze śmignęło w ciemności. Prawe oko kobiety wylało się na policzek jak stłuczone jajko, gdy szklista ciecz spłynęła po napiętej skórze. Nie przejmując się wrzaskiem, Raf spodem dłoni pacnął rękojeść i poprzez część ciemieniową kory mózgowej wbił nóż w mózdek kobiety. Gdzieś po drodze został przecięty pień mózgu i kobieta straciła wiele cech ludzkich. Chociaż z pojękiwaniem Raf poradził sobie dopiero wtedy, gdy ścisnął w dwóch palcach jej gardło.

Właśnie kładł ją na ziemię, kiedy rozdzwonił się telefon komórkowy. Raf znalazł go w wewnętrznej kieszeni porzuconego żakietu. Aparat był zaskakująco przestarzały, jak na kogoś o tak dystygowanej aparycji.

jr

Efendi\_

- Naam? - Raf przez chwilę słuchał, potem pokręcił głową.

- Nie - odparł, nieco zasapany. - Fraulein Lubeck nie może teraz rozmawiać. Oczywiście, poproszę ją, żeby oddzwoniła.

- Znowu słuchał. - Nie - stwierdził na koniec. - Na pewno nigdy nic nie słyszała o żadnym Aszrafie beju.

1

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 17

SwbAtt /

Każdy z seraphimów z napędem na cztery kota miał z przodu wirnik łopatkowy, przystosowany do rycia w wydmach i odgarniania piasku. Wirniki działały teraz pełna parą. W ciągu paru minut ciała zabitych zostały zagrzebane, ciężarówki wroga podpalone, a kamerzyści zaproszeni do robienia zdjęć.

Widok płonących ciężarówek dawno już spowszedniał, lecz do starych ujęć zawsze można dodać kilka nowych. Dziennikarze z dobrotliwymi buźkami prażyli się w słońcu w ciemnych garniturach i zapewniali wątpiących, że po zaciętej wymianie ognia zbuntowany oddział milicji został zniszczony, przy czym praktycznie obyło się bez ofiar po stronie żołnierzy sił pokojowych.

- Straty własne: brak... - sprostował głos w uchu Ka.

-To czemu mówią, że praktycznie?

- Co? - Sara rozejrzała się, wzruszyła ramionami i skupiła uwagę z powrotem na Saulu.

Cumowali pod rozłożystymi gałęziami kolczastego krzewu, który dawał osłonę przed popołudniowym żarem. Szemrząca woda ochładzała kryjówkę i od spodu rzucała świetlne refleksy na kłujący baldachim.

Ka puszczał mimo uszu pytania. Coraz lepiej mu to wychodziło. Ignorując swoich towarzyszy, uciekał przed pytaniami, na które nie znał odpowiedzi.

- No więc? - zwrócił się do swojego głosu.

- Brak ofiar śmiertelnych oznaczałby nierówną walkę. Silni zmasakrowali słabych. A tak. kilku zabitych to już więcej szczęścia, wyższe umiejętności, lepszy sprzęt... Chodzi o interpretację zdarzeń.

Efendi

115

Głos zamilkł i nagle, nie prosząc nawet o zmianę, Ka patrzył z góry na kolczasty krzak, zamiast na pole bitwy.

- Coś ty za jeden? - zapytał głos twardo.

Ka westchnął.

- Już pan mnie o to pytał.
- Spełnij moje życzenie. - Nie brzmiało to jak prośba.
- 1 nigdy mi się nie sprzeciwiaj, zgoda?
- Sierżant Ka. Służyliśmy w wojsku.
- Służyliście?

Ka pomyślał o łopatkach przesypanych piaskiem i zamrugał oczami, gdy zmieniła się perspektywa. Seraphimy skończyły pracę nawet na obrzeżach obozowiska, skąd uciekł. Niektóre ciężarówki już odjeżdżały; żołnierze w hełmach machali blondynce, która stała na szczycie wydmy, objuczona talerzem przenośnej anteny satelitarnej i urządzeniem zasilającym.

i

\*\*\*

Wyłączył radio.

- Nie możemy zawrócić - oznajmił, jakby to miało położyć kres sporom.
- Możemy zawrócić i zawrócimy, kurwa! - Saul mówił głosem głębszym niż Ka. Starszy wiek objawiał się u niego szorstkością i swobodą, z jaką operował w rozmowie wulgarnymi słowami. - Wystarczy odwrócić tę zakichaną łajbę.
- Skażą nas na publiczną chłostę - przypomniała mu Sara. - Może nawet zastrzelą.
- Właśnie. - Rebeka spoglądała to na Ka, to na Sarę. - Będziemy musieli się wytłumaczyć.

Ka uniósł ciemne okulary i wbił wzrok w Rebeke.

- Nie możemy wracać - powtórzył dobitnie. - Wiecie, czemu nie możemy? Bo wszyscy już nie żyją.

Szczęki im opadły. Zach prędko zatkał uszy, jakby chciał zamknąć drogę kłamstwu. Jego dwie siostry były w obozie... wtedy... Już nie...

- To się stało bardzo szybko - tłumaczył Ka. - Natychmiast
- dodał pośpiesznie. - Spadła bomba, bum, i wszyscy upadli.
- Tak? A ty niby skąd wiesz? - spytał Saul.
- Wiem i tyle. Potem przyleciały śmigłowce i przyjechały ciężarówki z żołnierzami.

1\_Jon Courtenay Grimwood

- Po co przysłali wojsko? - zdziwiła się Rebeka. - Przecież bomba i tak wszystkich załatwiła.

Ka nie umiał na to odpowiedzieć.

- Ponieważ bomba nie istnieje - odezwał się głos w jego uchu. - Oto powód. Za chwilę radio będzie działać. Mów bezpośrednio do niego.

Wyłączyłem radio, chciał powiedzieć Ka, gdy wtem niebieskie pudełko zawyło świdrująco na przemian niskim i wysokim tonem, z częstotliwością dokładnie sześćdziesięciu cykli na minutę, niczym mała policyjna syrena.

- Tu sierżant Ka - rzekł, przykładając radio do ucha z głupią miną.

- Porucznik Ka - poprawił go głos. - Od tej chwili porucznik Ka, sierżant Sara, kapral Rebeka...

- A co z Saulem i Zachem?

- Zach to jeszcze dzieciak. A Saul...

Ka czekał.

- Jest szpiegiem, rozumiesz?

- Rozumiem. - Wyprostował się tak gwałtownie, że omal nie zaczepił włosami kolczastych gałęzi.

- Rozumiem, sir!

- Wiesz, z kim rozmawiasz?

Ka pokręcił głową. Zdawało mu się, że słowa są niepotrzebne.

- Z pułkownikiem Abadem - przedstawił się pułkownik. - Słyszałeś o mnie?

Jasne, że słyszał. Uśmiechnął się głupkowato do naszywki na koszuli. Przeciwsłoneczne okulary, cygaro, czarna broda. Pułkownik.

- Gdzie dokładnie jesteście?

Chłopiec rozejrzał się uważnie. Skaliste urwiska po obu brzegach rzeki, w pobliżu sępy z białymi głowami. Na tym odcinku Nilu wokół prądów termicznych zawsze krążyły sępy. Nad nimi, mniejsze z natury i za sprawą odległości, szybowały ptaki drapieżne. Najprawdopodobniej czarnopióre kanie.

Łódź Saiy cumowała przy zakolu rzeki - po tej stronie, gdzie nurt był słabszy, a w mule tonęły ciemne i osobliwie kwadratowe kamienie. Przed trzema tysiącami lat, w okresie wylewu, tutaj na mieliźnie osiadł statek transportowy. Kapitan pilnujący

Efendi

11

świeżo wyciosanych bloków piaskowca wysłał niewolników w dół rzeki, aby sprowadzili pomoc. Umarł już pierwszej nocy, ukąszony przez żmiję, gdy siedział przy ognisku zapalonym w celu odstraszenia szakali.



Pułkownik Abad wiedział wiele rzeczy. Znał dzieje faraonów, wypisane hieroglifami na kartuszach u stóp posągów, a także strukturę molekularną wszystkich skał, z których zbudowane były kruszejące urwiska, świątynie, rzeźby i ruiny. Umiał klasyfikować gatunki roślin i zwierząt.

Ka potrafił rozpoznać piaskowiec, beton i polibeton, ten ostatni powstały z gąbczastej piany, która twardniała na kamień; pianę można było pokryć piaskiem lub żwirem, pod warunkiem że obsypano ją przed wyschnięciem masy. Obie strony konfliktu używały polibetonu do budowy sztabów polowych, wtopionych w otoczenie.

- Jesteśmy blisko obozu, kawałek drogi w górę rzeki - odpowiedział Ka. - Na zakolu przy niskich urwiskach. Już drugi dzień nic nie jemy - dodał na marginesie.

- Macie granaty?

- Tak. - Przynajmniej Saul je miał. Zach, Sara i Rebeka mieli razem dwa karabiny, nóż i pistolet. On posiadał plastikową giwerę, którą jego nieżyjący już porucznik nazywał dwururką. Nie lubił jej za bardzo.

- Wymienisz ją sobie przy pierwszej lepszej okazji - rzekł pułkownik Abad. - Teraz... - W głośnie rozległy się trzaski. - Posłuchaj. Najpierw jedzenie. Trzeba wrzucić granat do rzeki. Saul się tym zajmie, a Rebeka i Zach niech zbiorą ryby. Wszystkie, które wypłyną.

- Mamy je zjadać na surowo?

- Suszi? - W głosie pojawiła się nutka wesołości. - Jeśli macie ochotę... Osobiście, proponowałbym rozpalić mały ogień. Zdałyby się suche patyki, ale przecież dziś potrzebujemy dymu, co?

- Naprawdę?

- Jeszcze nie wiesz do czego?

\*\*\*

Czołgał się do tyłu, aż zawadził nogą o ramię Sary. Dziewczyna nie poruszyła się, lecz zmierzyła go karcącym wzrokiem.

## 118\_Jon Courtenay Grimwood

Poczekala, aż odsunie się na bok i zrobi jej trochę miejsca. Byli sami na pustyni, gdzie mieli do wypełnienia ważne zadanie. W ten sposób wyjaśnił to pozostałym.

- Zagapiłem się - wyznał.

Pokiwała głową. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła. Ka podziwiał jej idealne zęby. Nawet turyści nie mieli ładniejszych. Wszystkie w Równym rządzie, żadnych odłamanych brzegów.

- Ile masz lat? - zapytał ją jakoś tak bez zastanowienia. - Ale naprawdę... - Pamiętał, że wspominała coś o czternastu, ale i on sam twierdził, że ma trzynaście.

- Piętnaście - odpowiedziała bez wahania.

- Tyle co ja... - Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Nie lubiła się zwierzać, powinien to wiedzieć. Po prostu chciał być tym, który nakłoni ją do wywnętrzenia się, do opowiedzenia czegoś o sobie. Już potrafił ją opisać bez patrzenia na nią. Włosy czarne jak oczy, skręcone w długie warkocze. Karnacja gdzieś na pograniczu rdzy i ciemnej czekolady... w przeciwieństwie do jego skóry w kolorze czarnej kawy. W obozie spotykały ją nieprzyjemności z tego powodu; ludzie przedrzeźniali ją, czasem dawali klapsa. Najbardziej dokuczały starsze dziewczyny.

W Armii Obdartusów było więcej dziewcząt niż chłopców. Saul twierdził, że lepiej walczyć, bo gdy trafiały do niewoli, czekał je gorszy los. Jednakże Ka słyszał o tym tylko od Saula, zresztą obie strony obcinały ręce tym, którzy nie chcieli zmienić barw. Czy można wyobrazić sobie coś straszniejszego?

- O czym myślisz?

- O nich - odparł i poruszył palcami. - Czasem... boję się, że mnie schwytają.

Pokiwała głową.

- No pięknie. Starczy, że sam się boisz, nie musisz mi jeszcze gadać takich rzeczy. - Biegając w dal spojrzeniem, zaczęła zaciskać palec na spuście karabinu.

- Jeszcze nie teraz - napomniął ją Ka. Zamierzał skrupulatnie wypełniać rozkazy pułkownika Abada. - Czekaj na sygnał.

- Mogę strzelać stąd - rzekła z gniewną miną.

- Wiem, że możesz, ale pułkownik...

Efendi

1 19

Opowiedział jej o pułkowniku Abadzie. Opowiedział im wszystkim. Nikt z tych, kogo znali, nie widział go na własne oczy, ale dzięki temu, że rozmawiał z nim przez radio, chłopiec cieszył się większym poważaniem w grupie.

„Pułkownik?”

Przytaknął.

„Rozmawiał z tobą?” - Drobną twarz zdumionego Zacha cała promieniowała.

„Tak. Wysłał mnie na... rekonesans. - Zająknął się przy ostatnim słowie. - Ale najpierw musimy coś zjeść. - Przydzielił im nowe stopnie, udając, że nie widzi złości w oczach Saula.

- A ty - zwrócił się do niego - wrzucisz granat do rzeki. Wyłowimy ryby, które wypłyną na powierzchnię”.

„To mój ostatni granat” - zaoponował Saul z podejrzliwą miną.

„A kto się najczęściej skarży, że mu burczy w brzuchu?”

- Ka utrafił w sedno. Saul wiecznie narzekał na głód. - Wrzuć go na środku rzeki!" - rozkazał.

„Zaczekaj" - wtrąciła się Sara.

Ka przeszył ją takim spojrzeniem, że odwróciła głowę, jakby już mniej przekonana do swojej propozycji.

„Chodzi o to - powiedziała cicho - że może być wolał, aby rzucił granat tam. - Pokazała palcem żwirową łachę kilkaset kroków dalej w górę rzeki. - Łatwiej łapać ryby, jeśli będą spływać w naszą stronę".

„Przyznaj jej rację" - zabrzmiał głos w jego myślach.

„Jasne - powiedział Ka. - Świetny pomysł".

„Naprawdę?" - Wydawała się jeszcze bardziej speszona.

Huk wybuchu wzburzył wodę, odbił się echem od ściany urwiska i spłoszył białe czaple, które poderwały się wysoko rozkręconą chmarą. Udało się zebrać pięćdziesiąt trzy ryby. Ka nie zdążył przechwycić wielkiego jak kłoda nilowego suma, który wypłynął-da powierzchnię, przetoczył się na bok i z powrotem zatonął. Większą część zdobyczy stanowiły tłuste okonie z ciemnymi krechami „makijażu" wokół oczu. Trafiło się też kilka niebieskich tilapii. Sara twierdziła, że na bazarze te ostatnie są droższe, lecz Ka nie zauważył między nimi szczególnej różnicy: jedno i drugie smakowały wybornie. Z rezerwowością, która wszystkich zaskoczyła, Rebeka narwała liści z kolczastego

m

1

Jon Courtenay Grimwood

krzewu i powkładała je do wypatroszonych okoni, nim pozwoliła Sarze upiec je nad dymiącym ogniskiem.

„Do mojego powrotu dowodzi kapral Rebeka - oświadczył Ka. kiedy zapełniły się brzuchy. - Biorę Sarę, reszta zostaje".

„Kto tak mówi?" - spytał Saul.

Mógł udać, że nie słyszy, albo odpowiedzieć. Tym razem powiedzenie prawdy okazało się lepszym rozwiązaniem.

„Pułkownik Abad. Wyraźnie dał taki rozkaz. - Odwrócił się do Sary, która myła ręce w wodzie. - Sierżancie..."

Ka prowadził dnem uedu- suchej, pustynnej doliny. Gruby żwir zamienił się w ostry piasek, z rzadka rozsiane kępy trawy najpierw stały się kłujące, a potem całkiem znikły. Wędrówka w popołudniowym skwarze zakrawała na szaleństwo, lecz słuchali rozkazów pułkownika. Dowódca szczerze im współczuł; w jego głosie, wyptywającym z radia wśród trzasków, wyraźnie pobrzmiwała nuta zrozumienia.

„Nie prosiłbym was o to, ale to konieczność - mówił. - Ty i sierżant Sara dacie sobie radę. O to jestem spokojny".

Tak więc Ka maszerował mozolnie w falującym, rozpalonym powietrzu. Od urwiska dzieliły go dwie godziny drogi, lecz miał przed sobą jeszcze wiele mil pnącego się terenu. Ciemna linia na widnokręgu wydawała się łańcuchem górskim, choć prawdopodobnie były to chmury na niskiej wysokości. Jeśli nie one, to miał do czynienia ze złudzeniem optycznym. Tak czy inaczej, barwna smuga znajdowała się zbyt daleko, by mieli szanse tam dotrzeć.

„Daj butelkę...”

„Nie. - Ka pokręcił głową bez zwalniania kroku. Wlókł się noga za nogą, trzymając w rękach plastikowy karabin. Zatrzymywali się dwa razy, żeby napić się wody. Jeśli nie zostanie im kropla, jak wrócą?”

„Nawet nie wiesz, dokąd idziemy”.

Miała rację.

„Pułkownik Abad nam powie - odparł. - W stosownej chwili”.

Sara cmoknęła z irytacją i wysforowała się naprzód, zmuszając zmęczone nogi do przejścia wydmy o kształcie pół-

Efendi

11

księżyc. Prześiąknięta potem bluza lepiała się do pleców, pod pachami powstały ciemne plamy. Nawet bojówki lepiły się od wilgoci, a przecież uszyto je ze specjalnej oddychającej tkaniny. Przynajmniej tak pisało na metce.

Ka nie próbował się ścigać. Czasem, kiedy Sara się zdenerwowała, lepiej było się do niej nie zbliżać. Choć wcale nie dlatego pozwolił jej iść przodem. Lubił patrzeć, jak dziewczyna kołysze swoimi chudymi biodrami. Podobał mu się raz większy, raz mniejszy skrawek nagiej skóry między luźnymi spodniami i dolnym brzegiem bluzy. Także...

Trzeszczące radio wyrwało go z zamyślenia.

„Halo, tu porucznik Ka”. - Zauważył, że Sara odwraca się do niego, lecz uwagę skupił na nowych rozkazach, prostych i precyzyjnych. Mieli maszerować jeszcze pół kilometra, wejść na szczyt rozległego wzniesienia i zaczekać, aż cel będzie zbyt blisko, żeby spudłować. W odległości góra stu pięćdziesięciu kroków...

- Ładuj broń! - rozkazał.

Sara ułożyła wzdłuż ciała swój karabin Martini-Henry.

- Dawno załadowałam! - stwierdziła z wyrzutem, jakby nie mieściło jej się w głowie, że mógł powiedzieć coś tak głupiego.

- A celownik?

- Co, celownik?

- Ustaw na pięćdziesiąt...

Sara posłusznie ustawiła odległość. Potem polizała palec i sprawdziła kierunek wiatru, chociaż wiedziała, że go nie ma. Zadowolona z trafności swego przypuszczenia, dokonała drobnej korekty celownika i szarpnięciem zamka wprowadziła nabój do komory.

- Co teraz? - zapytała.

Terenówka przypominała zabawkę. Może dlatego, że pomalowana na żółto celem wtopienia się w pustynię, wyglądała jak plastikowy samochodzik, a może wrażenie powodowały balonowe opony, wybrzuszające się na wybojach na nierównym gruncie.

- Pułkownik wiedział, co się stanie? - Po jej twarzy, jak to się często działo, przemknął wyraz, który wymazał ślady wszystkich uczuć. Pytając, nawet się nie obejrzała. Wryła się

122\_Jon Courtenay Grimwood

ciałem w piasek i przesunęła do przodu zgiętą nogę, aż wczepiła się w ziemię niczym jeździec obejmujący bok wierzchowca. - To jak, wiedział?

- Pewnie, że tak. - W tym samym momencie zacharczało radio. Oboje przewidzieli, jaki będzie rozkaz, lecz Ka mimo wszystko oznajmił: - Zastrzelisz kierowcę.

Sara wolałaby strzelać wopony. Z drugiej strony, co jej szkodzi załatwić kierowcę, auto i tak specjalnie się nie poharata. Mogło co najwyżej wjechać w wydmy, a resztą miała zadanie zabijać ludzi. Nigdy nie drżały jej ręce, chyba że po akcji; na szczęście umiała przetrzymywać takie chwile.

Serce z lodu, mawiał czasem jej wujek. Niewrażliwości nauczyła się w Kordofanie, gdzie pod koniec bitwy - gdy jej oddział ratował się ucieczką, zostawiając sawannę zaśmieconą ciałami zabitych i porzuconym sprzętem - po raz pierwszy dostała się do niewoli. Przypadkiem jeden z dowódców Sary pośmiertnie posłużył jej za kamuflaż i prawie jej się upiekło, kiedy leżała pod nim w rowie. Nadeszli jednak pługownicy, którzy wytaszczyli z rowu trupa, żeby ograbić go z cennych przedmiotów. Rzecz jasna, znaleźli chowającą się pod spodem dziewczynę.

Mając do czynienia z pięcioma mężczyznami obwieszonymi naręczami rolex,ów i tag hauerów, wstała, wygładziła bluzę i wyrecytowała pierwszy werset ze Świętego Koranu.

Przez wiele tygodni uczyła się tych słów na pamięć. To samo robił każdy, kogo znała, choć zawsze potajemnie, gdy w pobliżu nie było oficera. Jeden drugiego przepytywał, póki nie wykuł tekstu na blachę.

Oczywiście, zgwałcili ją, ale nie brutalnie. Kiedy po wszystkim pozbierała się z ziemi, mogła zapiąć bluzę pod nie poderżniętym gardłem i na brzuchu, którego bebechy nadal znajdowały się na swoim miejscu, czyli wewnątrz.

Nie zabrali niczego, co byłoby jej niezbędne do życia. Tak to sobie tłumaczyła, wracając chwiejnym krokiem do swojego nowego obozu. Ale zarazem nie oddała im nic, czego chciałyby się pozbyć. Wówczas to lód zmroził jej serce i okrył ją skorupą niewidoczną dla nikogo prócz tych, którzy za bardzo się zbliżyli.

- Teraz! - odezwał się Ka.

Z bliska można było dostrzec niebieskie litery na masce samochodu i antenkę z niebieskim proporczykiem, który ło-

Efendi

1

tał w rozgrzanym popołudniowym powietrzu. Z przodu siedzieli dwóch białych mężczyzn w przeciwsłonecznych okularach; bardziej zajęci byli rozmową, niż rozglądaniem się po dzikiej okolicy.

Musieli pochodzić z Ameryki lub północnej Europy. Albo z tego drugiego kontynentu na literę „A”. Takich jak oni było dość na świecie. Wstrzymując oddech, wolno pochyliła lufę i w chwili, gdy znaleźli się w celu, oddała strzał.

- Trafiony! - oświadczyła, choć nikt jej nie słuchał.

Ka biegł już co tchu. Na dole runął na ziemię, przetoczył się i automatycznie odszukał celownikiem wroga. Nie potrzebował nawet zaawansowanej techniki, żeby posiekać żołnierzy wyskakujących z tylnych siedzeń. Ci, których nie trafił przed zużyciem pierwszego magazynku, byli oszołomieni i wpadli w popłoch, gdy druga seria z karabinu pozbawiła ich wartości bojowej.

Tylko jeden podstarzały sierżant, leżąc na ziemi, zdążył odciągnąć suwadło karabinu maszynowego. Na nic więcej nie starczyło mu czasu. Przy trzecim magazynku Ka rozwalił mu czaszkę.

- Jest mój! - Miał na myśli sfatygowany karabin AK-49, popularną terkotkę produkowaną masowo z taniej blachy, idiotoodporną i nie do zajechania. Wyprawa opłaciła mu się choćby z tego powodu, że ją zdobył.

- Halo, tu porucznik Ka - odpowiedział bezwiednie, jakby nie słyszał, że radio zatrzeszczało.

W opanowanym głosie pułkownika pobrzmiwało .uznanie.

- Wiedziałem, że dacie radę. Zasypcie ciała piaskiem i pojedźcie nad rzekę...

- Przecież tam jest urwisko.

- Zatrzymacie się w odległości trzystu kroków. Dalej pójdziecie piecłjótą. A teraz otwórz drzwi od strony pasażera i zajrzyj do skiytki.

Ka otworzył drzwi i wyciągnął dwóch zabitych. Widocznie drugi strzał Sary uszedł jego uwagi. Galaretowane plamy po-wycierał chusteczkami higienicznymi, znalezionymi w paczce nad deską rozdzielczą. Resztki kału oraz krwi i moczu okazały się trudniejsze do usunięcia, więc postąpił jak kobiety w jego rodzinnej wiosce: nabrał piachu w dłonie i wyszorował nim pla-

1\_Jon Courtenay Grimwood

stikowe siedzenia i podłogę. Chusteczki spalił, piasek zmieszał z piaskiem pustyni, a ciała ułożył pod nachylonym grzebieniem wydmy. Prosta sprawa: zaciągnął je tam pojedynczo, a potem wspiął się na wydmy i tupaniem oderwał piaszczysty nawis.

Przez cały ten czas Sara siedziała i obserwowała jego poczynania, na co jej pozwalał, choć był starszy stopniem. Zawsze tak się zachowywała po strzelaniu. Zazwyczaj każdy udawał, że tego nie dostrzega.

Lepiej było z nią wtedy nie zadzierać.

- Otwórz skrytkę w samochodzie - rzekł pułkownik.

Ka czuł, że dowódca sili się na cierpliwość.

- Taka szara gałka, o właśnie, nad deską...

Wewnątrz znajdowała się mapa, o którą zapewne chodziło

pułkownikowi, a także duża tabliczka czekolady i dwie puszki najprawdziwszej coca-coli, w dodatku schłodzonej.

- Mapa - zameldował Ka - jakieś słodycze i dwie zimne puszki coca-coli.

- Skrytka służy także jako chłodziarka - wyjaśnił pułkownik. - Co dalej?

- To wszystko.

- Podnieś dno. - Tym razem w przekaz wdały się szумы. Jakby zwiększyła się odległość.

- Szklane buteleczki z igłami - oznajmił Ka po wyciągnięciu garści ampułek. Każda miała długość małego palca, a nieco dłuższe igły, puste w środku, były do nich doraźnie przyłączone. Końce igieł chroniły plastikowe kapturki. Z boku na ampułkach narysowane były splecione węże i pisało coś czerwonymi literami.

- Dobra robota - pochwalił pułkownik. - Teraz odłam dla Sary ćwiartkę czekolady, drugą zjedz sam, a resztę razem z ampułkami włóż z powrotem do chłodziarki. Możecie sobie wypić coca-colę - dodał jeszcze.

1

Jon Courtenay Grimwood

stikowe siedzenia i podłogę. Chusteczki spalił, piasek zmieszał z piaskiem pustyni, a ciała ułożył pod nachylnym grzebieniem wydmy. Prosta sprawa: zaciągnął je tam pojedynczo, a potem wspiął się na wydmy i tupaniem oderwał piaszczysty nawis.

Przez cały ten czas Sara siedziała i obserwowała jego poczynania, na co jej pozwalał, choć był starszy stopniem. Zawsze tak się zachowywała po strzelaniu. Zazwyczaj każdy udawał, że tego nie dostrzega. Lepsze było z nią wtedy nie zadzierać.

- Otwórz skrytkę w samochodzie - rzekł pułkownik.

Ka czuł, że dowódca sili się na cierpliwość.

- Taka szara gałka, o właśnie, nad deską...

Wewnątrz znajdowała się mapa, o którą zapewne chodziło

pułkownikowi, a także duża tabliczka czekolady i dwie puszki najprawdziwszej coca-coli, w dodatku schłodzonej.

- Mapa - zameldował Ka - jakieś słodczyce i dwie zimne puszki coca-coli.
- Skrytka służy także jako chłodziarka - wyjaśnił pułkownik. - Co dalej?
- To wszystko.
- Podnieś dno. - Tym razem w przekaz wdały się szумы. Jakby zwiększyła się odległość.
- Szklane buteleczki z igłami - oznajmił Ka po wyciągnięciu garści ampułek. Każda miała długość małego palca, a nieco dłuższe igły, puste w środku, były do nich doraźnie przyłączone. Końce igieł chroniły plastikowe kapturki. Z boku na ampułkach narysowane były splecione węże i pisało coś czerwonymi literami.
- Dobra robota - pochwalił pułkownik. - Teraz odłam dla Sary ćwiartkę czekolady, drugą zjedz sam, a resztę razem z ampułkami włóż z powrotem do chłodziarki. Możecie sobie wypić coca-colę - dodał jeszcze.

Efendi

125

Rozfci<\t

9 pAži>zicrvukA

To, że Rafa płakał, nic a nic kota nie ruszało. Gorzkie łzy jak krew toczyły się po policzkach i spływały na równo przyciętą bródkę. W kałuży rzygowin między kolanami Rafa kot poszukałby sobie frykasów, lecz małeńkie nietoperze, które łapał człowiek, były cieplejsze i bardziej treściwe. Poza tym, dawano mu je; kot nie musiał kraść ani się dopraszać. Wystarczyło

dobić i zjeść. I pozwolić Rafowi tonąć we wspomnieniach...

\*\*\*

- Liczba komórek T znowu zmniejszyła się o piętnaście procent.
- Umrze?

Wzruszenie ramion było niemal słyszalne. No cóż, może dla Rafa, który siedział w oknie i gapił się na zakrzywiony szpic Matterhornu. Tą późnowiosenną porą niżej położone łąki mieniły się bielą rzeżuchy oraz błękitem fiołków i przetaczników. Kiedy do bólu wytężył oczy, dostrzegł ciemną postać jastrzębia nad górną granią, czekającego na dogodny moment, żeby zaatakować ofiarę. »

- Wie pan - odezwał się ów pierwszy głos. - Pokusiłbym się o...
- Naprawdę? - Rozległ się gorzki śmiech.
- No bo założmy...
- Niczego nie zakładajmy. - Drugi głos zabrzmiał nagle szorstko. - Tu trzeba myśleć logicznie. Albo przekładamy koszty na następny okres, albo zamykamy projekt i uwzględniamy je w wyniku finansowym za ten kwartał. Co pan proponuje?



Druga osoba zastanawiała się w milczeniu.

M

1

Jon Courtenay Grimwood

- Zastosujemy jeden z nowych leków syntetycznych - rzekł ów poirytowany. - 1 zgoda na szpik kostny.
- Proszę pana, nasz budżet tego nie wytrzyma.

Starszy rangą mężczyzna westchnął ciężko.

- Przesunie pan środki z funduszu na badania własne. Proszę dodać do listy ze dwa nowe patenty. Jak zwykle...

Dwanaście tygodni minęło w morfinowym-zamroczeniu, aż w końcu rzeczywistość przeżarła otulinę środków przeciwbólowych i zrujnowała Rafowi następne trzy miesiące życia. W ciągu tych trzech miesięcy nie musiał walczyć z bezsennością i troszczyć się o jedzenie, ponieważ wyręczały go węże. Wpełzały pod skórę i do nosa, wnikały do gardła, a nawet do siusiaka. Jeden gruby wąż wychodził mu nawet bokiem z brzucha.

Pewnego razu, gdy zdudziło mu się badanie zakamarków umysłu, obudził się i zobaczył na skraju łóżka nieznamoma dziewczynę. Płakała.

- Co ci jest? - spytał i uśmiechnął się, gdy podskoczyła z piskiem.
- Obudziłeś się! - Wydawała się głęboko poruszona. Sprawdziła odczyty szarego urządzenia, które stało na stoliku obok. - Tu jest napisane, że śpisz. - Mówiła jakby do siebie.
- No to sobie popatrz. - Szarpnął tańczącą kreską, aż wyskoczyła poza ekran, następnie ją wyrównał; wyglądała wtedy jak płaskie dno doliny. - Widzisz? Można się bawić.

Pielęgniarka patrzyła na chłopczyka podpiętego do aparatury chirurgicznej. Nazywała się Anne Rigler i była Szkotką. Pośrednik płacił jej mniej, niż pielęgniarki zarabiają przeciętnie w Szwajcarii, ale i tak bez porównania więcej, niż mogłaby zarobić w Aberdeen, zwłaszcza odkąd przestały działać platformy naftowe.

- Wstydziłbyś się! - Chyba się obraziła.

Przestał się bawić.

- Przepraszam. Uszkodziłem sprzęt?
- Nie, nie... - Mocno opięła jego dłoń zaróżowionymi palcami. Ścisnęła go prawie do bólu. - Nie obchodzi mnie to, co się stanie ze sprzętem, co się stanie z tym wszystkim. - Mówiła już prawie histerycznym tonem. Ruchem podbródka wskazała nafaszerowane elektroniką łóżko, potem

potoczyła spojrzeniem po maleńkiej sali.

Efendi

1

- Oni mnie naprawiają - wyjaśnił cierpliwie.
- Naprawiają cię?

Pokiwał głową.

- Nowe nerki - powiedział. - Wzmocniony mostek i coś, dzięki czemu ciało będzie się szybciej naprawiać, jeśli się skaleczę. Kłócić się nie zamierzam, lepsze to niż lekcje.
- Jakie znowu lekcje?
- Muszę odrabiać lekcje.

Uśmiechnęła się.

- A mnie się nawet podobała nauka. Czemu nie lubisz szkoły?
- Bo tam nudno. Normalnie można umrzeć z nudów. Nie mówią nic nowego. Zawsze to samo, co w książkach.
- Umiesz czytać?

Spojrzał na Anne jak na idiotkę.

- Jasne, że umiem. Mam pięć lat!

Pielęgniarka zamyśliła się na dłuższą chwilę. Równocześnie odnotowała coś w karcie. Kiwając nogą, za każdym razem szurała butem o podłogę. Dokądkolwiek zmierzały jej myśli, nie prowadziły do satysfakcjonujących wniosków.

- Podoba ci się tutaj?

Wzruszył ramionami.

- Nie narzekam. Gorzej było na „Tigrisie”.

Spojrzała na niego pytająco.

- To statek mojej mamy. Śmierdzi tam i robi mi się niedobrze.
- Ona jest marynarzem?
- Nie. - Roześmiał się. - Ratuje orki.

Rzeczywiście, ratowała je. Z wielu godzin materiału, nagrywanego kamerą przymocowaną z boku do maski, montowała nagradzane filmy. Orki były drapieżne i zjadały foki jak kotlety mielone. Raf często się zastanawiał, czemu matka zamiast nich nie ratuje kotletów.

Efendi

1

- Oni mnie naprawiają - wyjaśnił cierpliwie.
- Naprawiają cię?

Pokiwał głową.

- Nowe nerki - powiedział. - Wzmocniony mostek i coś, dzięki czemu ciało będzie się szybciej naprawiać, jeśli się skaleczę. Kłócić się nie zamierzam, lepsze to niż lekcje.
- Jakie znowu lekcje?
- Muszę odrabiać lekcje.

Uśmiechnęła się.

- A mnie się nawet podobała nauka. Czemu nie lubisz szkoły? \
- Bo tam nudno. Normalnie można umrzeć z nudów. Nie mówią nic nowego. Zawsze to samo, co w książkach.
- Umiesz czytać?

Spojrzał na Anne jak na idiotkę.

- Jasne, że umiem. Mam pięć lat!

Pielęgniarka zamyśliła się na dłuższą chwilę. Równocześnie odnotowała coś w karcie. Kiwając nogą, za każdym razem szurała butem o podłogę. Dokądkolwiek zmierzały jej myśli, nie prowadziły do satysfakcjonujących wniosków.

- Podoba ci się tutaj?

Wzruszył ramionami.

- Nie narzekam. Gorzej było na „Tigrisie”.

Spojrzała na niego pytająco.

- To statek mojej mamy. Śmierdzi tam i robi mi się niedobrze.
- Ona jest marynarzem?
- Nie. - Roześmiał się. - Ratuje orki.

Rzeczywiście, ratowała je. Z wielu godzin materiału, nagrywanego kamerą przymocowaną z boku do maski, montowała nagradzane filmy. Orki były drapieżne i zjadały foki jak kotlety mielone. Raf często się zastanawiał, czemu matka zamiast nich nie ratuje kotletów.

12

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 19

9 pAŻbiczrnikA

- Dość tego! - zwrócił się do kota. Chusteczką wyjętą z marynarki startł z butów wymiociny. Co rano niewyjaśnionym sposobem pojawiała się w kieszonce świeża chusteczka z materiału. Prawdopodobnie nie uchodziło, żeby tacy jak on używali zwykłych chusteczek higienicznych, podobnie jak nie powinni jadać w kuchni.

Wzruszył ramionami. Zgniół w kulkę lnianą chustkę i wcisnął ją głęboko do kieszeni spodni. Był sam na dachu; Avatar zgodził się pojechać brudnym samochodem, ale najpierw trzeba go było wyprowadzić na świeże powietrze.

Gdy Raf powkręcał żarówki, starannie wytarł klamki i dokładnie wyjaśnił, czemu to zrobił, Av nadal słańał się na nogach. Żeby nie tracić czasu, wzmocnił chłopaka mieszanką kokainy i marihuany, którą znalazł, zawiniętą w folię aluminiową, w portfelu szofera.

„To cię postawi na nogi - powiedział. - Chcesz, prawda?”

Avatar pokiwał głową z wytrzeszczonymi oczami.

„Tak właśnie myślałem. - Raf kucnął obok ufajdanego siennika, trzymając w rękach zapalniczkę szofera i foliowy zwitek. - Wdychaj dym - polecił, podgrzewając folię ogniem.

Avatar zakrztusił się.

„Powoli”. - Raf mówił spokojnym, wyważonym tonem. Chciał, żeby chłopiec zmył się stąd, i to szybko. Co, paradoksalnie, nie pozwalało mu podawać Avatarowi za dużo dymu naraz.

„Ktoś ty?”

Raf mierzył badawczym spojrzeniem chłopca, który miał karnację gładką jak oświetlona z góry włoska galanteria.

Efendi

129

W miejscach gdzie jeszcze przed paroma miesiącami utrzymywała się dziecięca pucułowatość, zaznaczały się wysokie kości policzkowe. Wyrostka cechowała renesansowa uroda, podkreślona jeszcze tym, że on sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie dość na tym, Avatar miał te same oczy co jego siostra. Pełne żalu do świata.

Raf westchnął.

„Pamiętaj, że jestem twoim szefem”.

„Wywaliłeś mnie!”

„Raczej sam się wywaliłeś”.

„No, może... - Avatar uśmiechnął się smutno. Stoczył się z siennika i powstał niezgrabnie. Piwnica zakotłowała się wokół niego i uspokoiła. - Mogę wrócić do pracy" - zasugerował.

„Czuj się przyjęty". - Raf pchnął go w stronę wyjścia i patrzył, jak idzie: osłabiony z głodu i otumaniony dymem.

„A jeśli chodzi o Zarę..." - rzucił przez ramię chłopiec.

„Co z nią?"

„Ona... - Avatar daremnie szukał właściwego słowa. - Ona naprawdę jest fajna".

„Wszyscy mi to mówią".

„I zakochana w tobie".

Raf westchnął i rzucił Avatarowi kluczyki do samochodu. Mógł przewidzieć, że klucze brzękną o ziemię. Kolejny dźwięk zasilił jego kolekcję.

1

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 20

SwfcAH

Ka widział, jak Sara daremnie otwiera usta: słowa nie chciały przejść jej przez gardło. Łzy szklily się na policzkach, z nosa ciekły smarki. Gdy próbował objąć ją ramieniem, odepchnęła go z taką siłą, że omal nie wypadł za krawędź niewielkiego urwiska.

A więc Zach, uzmysłowił sobie. Małeńki w srebrzystej rzece, podobny do laleczki. Zostawiając skamieniałą dziewczynę, rzucił się biegiem w dół wyschniętym korytem rzeczonym; w połowie drogi żwir zachrzęścił pod jego stopami i przez kilka błogosławionych chwil mógł myśleć tylko o utrzymaniu równowagi. Dopiero nad samą wodą zderzył się z rzeczywistością. Na wpół uwędzone okonie wisały na kijach nad jamą ogniska, lecz prawdziwy smród dobywał się z ludzi, którzy musieli zginąć - z grubsza biorąc - przed wieloma godzinami. Gdzie ciało stykało się z ziemią, widoczne były plamy pojawiające się zwykle na skórze zabitych.

Jama była zalana moczem, na chłodnych węglach leżał rozerwany plecak Zacha. Wszędzie szukano i nic nie znaleziono, albowiem to, czego chcieli żołnierze, nadal chroniło oczy Ka przed promieniami słońca.

Rebeka oberwała dwa razy, w brzuch i poniżej piersi. Brakowało buta, jej karabin był pusty. Saula kule trafiły w zdrowe ramię i w nogę. Wykończyli go ciosem w skroń kolbą pistoletu. Zacha zabito z bliskiej odległości strzałem w tył głowy. Chłopiec upadł tam, gdzie klęczał.

Amunicja 90-2, standard na wyposażeniu wojsk ONZ... co jednak nic nie znaczyło. Każda strona używała broni, jaka wpadła jej w ręce, to samo z amunicją. Co się tyczy feluki, to po

Efendi

wybuchu granatu zostały po niej popalone szczątki. Zarazem na powierzchnie wody wypłynęły kolejne ciemnonokie okonie.

- Jak się tu dostali?
- Poduszkowiec bojowy Thornycroft MK11, profil maskujący stopnia piątego...

Ka nawet nie słuchał. Ponieważ nie było śladów pojazdów, co więcej, terenu, po którym mogły się poruszać, sam podejrzewał, że nieprzyjaciel przyptynał jakąś łodzią.

- Trzeba ich pochować!
- Nie! - Ka uniósł dłoń, jakby tym prostym gestem spodziewał się uciszyć gniewny bełkot Sary. - Pułkownik mówi, że to za duże ryzyko.

W odpowiedzi przeszła go lodowatym spojrzeniem.

- Chciałbym - ciągnął - bo byli też moimi przyjaciółmi. - Nie mówi! szczerzej prawdy. Saul zawsze mu dogryzał, a Rebeki nigdy dobrze nie poznał, lecz tych dwoje i Sara trzymali się razem od Kordofanu. A Zach... Cóż, z nim musiał się ciągle cackać... - Tylko co będzie, jeśli żołnierze wrócą, żeby tu jeszcze powęszyc?

Sara milczała.

- Kapną się, że ktoś przeżył. Przyślą samoloty zwiadowcze. Co jest? - zapytał, widząc, jak rysy dziewczyny tężeją.
- Ty się boisz.
- Czy się boję? Cholera, jak nigdy w życiu! Ty, ja... to tylko kwestia czasu.
- Wszystko w rękach Boga - stwierdziła.
- Nadal w to wierzysz?

Zastanowiła się.

- Kiedyś wierzyłam, teraz też trochę wierzę. A może po prostu chcę wierzyć...
- Właśnie. - Kiedy położył jej rękę na ramionach, już go nie odtrąciła.

Z tyłu w samochodzie znaleźli siatkę termokamuflażu, wyposażoną w specjalne kieszenie w narożnikach, wypełniane kamykami lub piaskiem w miejscach niedogodnych do wbijania śledzi. Oprócz wprowadzania w błąd wrogich detektorów podczerwieni obszerna siatka pochłaniała sygnały radarowe. Tak mówił pułkownik, a cokolwiek to znaczyło, nastrajało do optymizmu.

Jon Courtenay Grimwood

Gdy zapadł zmrok, roztrzaskana feluka została daleko za nimi. Ziemia eagle oddawała ciepło, lecz

temperatura powietrza gwałtownie spadała. Żar nagromadzony w czasie dnia ulatywał ku zimnym, migotliwym gwiazdom.

- Lepiej spać w środku. - Postarał się, żeby jego słowa zabrzmiały jak pytanie.
- Na przednich siedzeniach?
- Jeszcze się kleją. Wolałbym z tyłu.

Mruknęła z powątpiewaniem.

- Zaraz zrobi się naprawdę zimno - ostrzegł.

Z doświadczenia wiedziała, że to prawda. Zostać w szczerym pustkowiu bez śpiwora i ognia nie byłoby przyjemnie, a jej ciepły koc był znowu...

- Hej! - Ka podał jej reke. - Będzie dobrze.

Płakała, kiedy leżeli przy sobie w żółtym seraphimie, na plecionce rozwiniętej na tylnych siedzeniach. Gorącymi łzami żegnała to, co nie miało już wrócić. Aczkolwiek płacz wydawał się bezsensowny, bo wszystko, co miała do stracenia, dawno już straciła. Może z wyjątkiem życia, które jednak z każdym dniem mniej ją pociągało.

Ka tulił ją zatem do siebie i szeptał jej do ucha złudne obietnice. Jak to będzie się nią opiekował, jak to ścigających ich żołnierzy wybije do nogi, jak to wojna skończy się po wyschnięciu rzeki...

Jego słowa stopniowo ją uspokajały, a gdy wreszcie przestał obiecywać i niezdarnie wdrapał się na nią, już nie płakała. Teraz to jego łzy kapały na jej twarz i piersi, kiedy poruszał się miarowo. Jego ciche łkanie było ostatnią rzeczą, którą usłyszała, nim oboje zasnęli.

Efendi

1

Rozdział 21

to pAŻbiczniKa

- Prezent dla ciebie. - Raf rzucił chudego kociaka, który wylądował na gołym ramieniu Hani i wczepił się w nie wysuniętymi pazurkami. - Działa bez baterii.

- Ała! - Hani chwyciła za kark zwierzaka, obróciła mu głowę i zgromiła go morderczym wzrokiem.

Kot odwzajemnił jej takim samym spojrzeniem, a po pięciu sekundach zmagarów na miny zaczął mruzczyć.

- Gdybym miał dziewięć żyć, też bym mruzczał.

Hani ściągnęła swoje ciemne brwi.

- Mruczenie ma lecznicze właściwości. Przy częstotliwości od 27 do 44 Hz kości szybciej się zrastają, a rany lepiej się goją. Na ludzi też to działa...

Niedziela rano. Plusk marmurowej fontanny, naprawionej przez niego nie małym kosztem, mieszał się z hałasem dobiegającym z olbrzymiej kuchni, gdzie uwijała się Donna. Na kamiennym stole, w otoczonym murem dziedzińcu, stał rozłożony serwis śniadaniowy. Z którego Raf prawie nie korzystał.

Dla niego kawa, dla Hani sok z pomarańczy.

Po wypiciu soku dziewczynka przełknęła malutką porcję balili i miała już wstawać od stołu, kiedy Raf uprzedził ją i przyniósł kociaka... tytułem przeprosin za to, że pytał, jak znalazła Avatara. Samo pytanie było uzasadnione, ale nie na miejscu...

- Będzie mój?

Przytaknęła skinieniem głowy.

- Co on je?

- Hm... - Zastanowił się nad odpowiedzią. - Przepada za nietoperzami. Żartowałem! - dodał szybko, widząc niepokój

1

Jon Courtenay Grimwood

na twarzy dziewczynki. - Powiedz Donnie, żeby przyniosła mu trochę mięsa.

- Jak się nazywa?

Wzruszył ramionami.

- Wujku Aszrafie - zapytała szyderczo słodkim głosem - czy jeśli on okaże się chłopcem, będzie mógł mieszkać w ha-ramliku? - Nadal trudno jej było pogodzić się z myślą, że istotom płci męskiej wolno zbliżać się do pierwszego piętra w medresie. Na przeszkodzie stała wielowiekowa tradycja.

- To dziewczynka, ale nie może z nami zostać. Za to może nas odwiedzać, prawda? Woli mieszkać na dziedzińcu...

- ...lub w kuchni.

Raf udał, że waży argumenty, choć od samego początku zamierzał pójść jej na rękę.

- Niewykluczone - oświadczył. - Pod warunkiem że będziesz po niej sprzątać, a Donna się zgodzi.

- Zgodzi się na pewno - rzekła dziewczynka z niezachwianą pewnością dziecka, które wie, że u pewnych osób potrafi wyprosić wszystko.

Hani zsunęła się z krzesła i odeszła: nie po to, aby prosić Donnę o zgodę, ale żeby znaleźć Chartuma. Musiała z nim przedyskutować ważką kwestię imienia dla kota.

Odnosząc do kuchni brudne naczynia, Raf przystanął, żeby zapoznać się z najświeższymi wiadomościami z życia al-Iskan-darijji, które Donna w kółko oglądała. W rezultacie anonimowego donosu w zrujnowanym domu blisko Kanału Mahmudijja znaleziono ludzkie zwłoki. Ponadto w klubie nocnym Sarahz na rogu Place Gumhuriya wybuchła bomba zapalająca, choć straty były mniejsze, niż można by oczekiwać...



Jeśli wierzyć słowom prowadzącego program Ferdiego Abdullaha, eleganckiego mężczyzny w podeszłym wieku, oba zdarzenia nie były z sobą powiązane.

Efendi 135

Rozdział 22

13 pAŻt>zicmika

Redukując bieg w swoim ulubionym samochodzie, General Koenig Pasza wziął zakręt i spojrzał na pasażerkę.

- Dopadliśmy mordercę - rzeki zdawkowo i z uśmiechem patrzył, jak wybija się na jej twarzy wyraz niedowierzania.

- Kiedy? - Wstrząśnięta nowiną, pani senator Liz zapomniała o dobrych manierach.

- Dwa dni temu. Dzięki szefowi wydziału śledczego... - Raf zatelefonował wczoraj wieczór. Wyglądało na to, że zabójca zginął. Zgodnie z wynikami przeprowadzonych badań porównawczo-identyfikacyjnych, płyn nasienny znaleziony w dziewczynie, bestialsko zabitej na plaży Hamzy, zawierał materiał genetyczny mężczyzny, którego zamordowano w opuszczonym mieszkaniu przy Kanale Mahmudijja. Aszraf bej sam przyznał, że to zaskakujące.

- Kiedy sprawca stanie przed sądem? - zapytała Amerykanka.

- Nigdy - odparł lakonicznie Generał.

- Ale przecież...

- Obawiam się, że to niemożliwe.

Nawet jeśli czarny, kanciasty bentley nie miał tej dystyngowanej elegancji co malowany w dwóch odcieniach rolls-royce phantom 111 z 19/6 roku, ani też wyścigowych kształtów zielonej hispano-suizy z roku 1937, nadrabiał mocą silnika. Gdyby tamte przyrównać do rapierów, ten byłby mieczem oburęcznym.

Generał lubił samochody o wiele bardziej niż ludzi, którzy rzadko wykazywali choćby ćwierć charakteru, jaki prezentował bentley. Prawdopodobnie gdyby senator Liz Elsing zamieniła się w auto, byłaby fordem: niezawodnym, bezdusznym i denerwującym. On'byłby właśnie tym bentleym.

1

Jon Courtenay Grimwood

- Tak się składa, że morderca nie żyje - wyjaśnił. Dbając

0 pozory, powinien zaznaczyć, że zmarł podczas przesłuchania, lecz kobieta zapewne sama to sobie dośpiewa. Pozwalając, aby dała wiarę swoim nabytym na Zachodzie uprzedzeniom, zmienił bieg i wsłuchał się w ochryply, nieprzepisowo głośny ryk silnika. Ryk, który zrobił na nim większe wrażenie niż jakiegokolwiek słowa, mogące teraz paść z ust senatorki.

Wyprodukowany w roku 1931 i gruntownie odremontowany w roku 1993 na polecenie sudańskiego

bębniarza, który palcami wydobywał z koziej skóry rytmy urągające prawom fizyki i matematyki, pojazd z ośmiolitrowym silnikiem został sprezentowany Generałowi przez Hamzę Quitrimale. Jako drobny dowód wdzięczności za pozwolenie na budowę rafinerii Midas.

Obite czerwoną skórą siedzenie kierowcy było wytarte

1 błyszczało jak fotel w klubie. Wykończenia na dcsce rozdzielczej zrobiono z drewna orzechowego - żadna tam okleina - a po długich latach starannego polerowania powstał połysk, dodający uroku najelegantszym antykom.

Albowiem był to antyk, bez dwóch zdań, choć Generał łatwo o tym zapominał, gdy potężny silnik rządowy rozpędzał masywny pojazd do prędkości 110 mil/h. Z montażowni wyszło jedynie dziesięć takich egzemplarzy, przeważnie mających 144-calowy rozstaw osi. W przypadku auta Generała było to 156 cali.

Na czwartym biegu samochód mógł zarówno poruszać się z żółwią prędkością, jak i pruć stową. Drgania były ograniczone do minimum dzięki gumowym poduszkom w zawieszeniu silnika i skrzyni biegów.

- Jak się pani podoba?

- Bardzo tu kolorowo, Wasza Ekscelencjo. - Senatorka patrzyła na wyładowany papryką trzykołowy citroen, który zjechał na bok, żeby przepuścić Generała. Dobrze poinformowani ludzie sygnalizowali, że w tym sezonie zbiory warzyw zapowiadają się, niestety, wyjątkowo dobrze. Czyli od tej strony niewiele mogła wskórać...

- Miałem na myśli samochód.

-Jak to, samochód, Wasza Ekscelencjo?

Przepisy etykiety pozwalały Koenigowi Paszy zaproponować senatorce, aby nazywała go Generałem lub nawet Saidem.

Efendi

1

W zasadzie, wystarczyłoby samo „proszę pana”. Generał Said Koenig Pasza jednak ani myślał zacieśniać znajomości. Pani senator Liz, jak kazała siebie tytułować, była mu znana jako międzynarodowa intrygantka, która tak bardzo bała się własnych słabości, że czyjeś zalety zdawały jej się wyolbrzymione jak pod mikroskopem.

Mocno wątpił, aby jej misja szpiegowska w al-Iskanda-rijji polegała na zbieraniu jakichkolwiek faktów. Z długiego doświadczenia wiedział, że specjalnych wysłanników Białego Domu czy Berlina obchodzi tylko handel, umacnianie sfery wpływów i stosowanie szantaży pod przykrywką „niepowtarzalnych, jedynych w życiu okazji”.

- Bentley, ośmiolitrowy silnik, rocznik 1931... Cudeńko...

Sprawiła wrażenie zażenowanej. Banalne rozmowy szły jej nadzwyczaj topornie, jak na dyplomatkę. I nie chciała palnąć głupstwa, wobec czego nawet nie udawała, że zna się na staromodnych

automobilach. Zamilkła na dobre, co chyba zdarzyło jej się po raz pierwszy.

Ze zbójcekim uśmiechem Koenig Pasza wcisnął gaz do dechy i wyjechał ciężkim bentleyem na środek jezdni, żeby wyprzedzić dwa wojskowe dżipy i traktor, który blokował ruch na drodze. Niech żołnierze gonią go, jeśli potrafią!

Oczywiście, senatorka nie mogła lubić tego auta. Amerykanie zżyli się z automatycznym wyborem trasy, klimatyzacją i podstawowymi elementami sztucznej inteligencji-wygodami, które Generał uważał za zbyteczne. Jeśli było mu gorąco, otwierał okno, a jeśli to nie pomagało, po prostu jechał szybciej. Jeśli zdarzyło mu się zabłądzić, zatrzymywał się i pytał o drogę napotkanych fellahów. Warto było choćby z tego względu, żeby zobaczyć ich zdumione miny, gdy już wiedzieli, do kogo mówią.

- No, jesteśmy już prawie na miejscu. - Wciskając hamulec, zakręcił drewnianą kierownicą i zjechał na wiejską dróżkę. Przyspieszył tak gwałtownie, że tył samochodu omal nie zahaczył o słupek starej, zdewastowanej bramy.

Dalej już samochód sunął po nierównej ziemi, podskakując na wybojach. W ekspresowym tempie mijał otoczone murkami terasy, wcięte w stok wzgórza, aż po dżipach został z tyłu ślad w postaci obłoczków kurzu.

\*M

#### 18\_Jon Courtenay Grimwood

Ślad po jego własnym przejeździe musiał być widoczny na wiele mil wkoło; ku niebiosom wznosił się wręcz biblijny słup dymu. Tak czy inaczej, Hakim i Ahmed na pewno się niepokoiли; cóż, taka była powinność ochroniarzy. Jego nowy adiutant pewnie spocił się jak ruda mysz i przeklinał pod nosem. Lepiej dla niego, żeby nie zdradzał swoich myśli, bo Generał stosownie by mu odpłacił.

- To tutaj - oświadczył. Gdy zahamował na żwirze, kamyki strzeliły spod kół jak szrapnele.

Przed nimi stała wieśniacza chałupa, rozłupana niczym skorupa jajka. Na podwórzu walały się drobne kawałki holenderskich dachówek, choć gdzieś tam leżała nawet połówka. Wszystkie dobre pozbierano, później również te prawie dobre. Pozostały nędzne resztki, których nie opłacało się kraść.

Brakowało drzwi. U połamanych, nie oszklonych okien wisały krzywo drewniane okiennice. Ze środka dolatywał chrobot, jakby wśród potłuczonych naczyń łążyły szczury.

- Wyłazić! - rozkazał Generał. - Ale już!

- Idę, Wasza Ekscelencjo... - Wystraszony chłoptaş chyba każdego nazywał ekscelencją, tak na wszelki wypadek.

Mimo to Generał musiał zawołać raz jeszcze, żeby wywabić z ukrycia lokatora budynku.

- Idę, idę, Wasza Ekscelencjo! - Mrużąc oczy przed światłem, w ciemnym wejściu pojawił się młokos o pyzatej twarzy. Mały fellah odnalazł spojrzeniem starszego mężczyznę. Nie od razu uświadomił sobie, na kogo patrzy. Aż przyszło olśnienie.

- Stań tam! - rozkazał Koenig Pasza, kiwnięciem głowy wskazując ścianę przybudówki.

Chłopiec umierał ze strachu, lecz spełnił polecenie; poruszał się w spowolnieniu, niczym pływak

walczący z nurtem wody. Pod przydużą, szurającą po ziemi dżelabą, wiszącą luźno z chudych ramion, czasem widać było bosc nogi.

- Ubranie po bracie?

Chłopiec miał zakłopotaną minę.

- Mówię o dżelabie.

- Stara, po ojcu, Wasza Ekszelencjo. Ja... - zająknął się - ja nie mam brata.

Generał w zadumie pokiwał głową.

- Kto tam jeszcze jest w środku?

M

Efendi

1

- Gdzie, Wasza Ekszelencjo? - Czuć było napięcie w głosie wyrostka.

Koenig Pasza obejrzał się na rosnące rzędem sędziwe drzewa oliwne, okaleczone i powyginane po wielu zawieruchach wojennych i pogodowych. Niegdyś terasę zabezpieczał mur zaporowy, lecz z czasem zawalił się i czerwona ziemia zsyłała się na grunt położony niżej. Dawniej funkcjonowała tu również studnia, lecz zasypano ją gruzem, a z wierzchu zaklajstrowano polibetonem. Sam wydał taki rozkaz, wiele lat temu...

- A jak ci się zdaje?

- Tam nikogo... - zapał chłopiec falsetem i urwał.

- Wychodzić! - Generał rzucił rozkaz do wnętrza chałupy. - Tam nie jest bezpiecznie!

Ponownie rozległo się coś jakby chrobotanie szczurów, po czym w drzwiach ukazała się dziewczynka o smągłej twarzy z wydatnymi kośćmi policzkowymi. Miała ze trzynaście lat, mniej więcej tyle co chłopak. Czarne włosy schowała pod hi-dżabem, którym pośpiesznie obwiązała głowę, aby tylko buzia była widoczna.

- Szukaliśmy kozy Husajna - oznajmiła półszepem, aczkolwiek sama chyba nie wierzyła, że kogoś zwiodą jej słowa. Strach i rezygnacja znajdowały swoje odbicie w jej szeroko otwartych, czarnych jak węgiel oczach. Usta miała białe jak pomalowane na czerwono. Zapewne sokiem z granatów, którego używały dziewczęta w jego młodości.

Koenig Pasza przyjrzał się kolejno dzieciakom.

- Nie masz brata? - zwrócił się do chłopca. - Za to siostrę masz, co?

Na mizernym obliczu młokosa nadzieja walczyła z konsternacją. Jakby spodziewał się haczyka, sztuczki mającej obnażyć jego kłamstwa. Nic j»e powiedział, nawet kiedy powtórzono pytanie.

Generał westchnął.

- Tak właśnie myślałem. - Machnął ręką na znak, żeby odeszli.

Nawet nie drgnęli.

- No idźcie! - ponaglił ich. - Idźcie, nim zmienię zdanie!

Kiedy dotarli do żalosnych pozostałości gaju oliwnego,

zrobił nagle krok do przodu i krzyknął na chłopca. Ten stanął wrosnięty w ziemię, zupełnie jak sterczący obok ułomek pnia.

140

Jon Courtenay Grimwood

- Powodzenia!

I znowu ten biedny wzrok, podejrzliwy i niepewny.

- W szukaniu kozy!

Chłopiec wyszczerzył zęby, jakby miał wybuchnąć śmiechem, po czym niezdarnie zasalutował. Chwycił dziewczynę za reke i razem zniknęli za krzywizną stoku.

- Włóczykije - odezwała się senatorka.

- Mogliby zostać zabici - rzekł beznamiętnie Generał - gdyby obyczajówka dowiedziała się, że mieszkają tu sami ... Wszystko ma swoją cenę-dodał,- pozostawiając kwestią otwartą, co miało znaczyć to „wszystko”.

- Zabici? W majestacie prawa?

Pokręcił głową.

-Ja tu ustanawiam prawo. - Po prostu stwierdził fakt, nic więcej. - Chłopak dostałby tylko wciury od ojca, ale dziewczyna... - Wzruszył ramionami. - Zamknęliby ją w piwnicy. Może nawet żywcem замуrowali lub wrzucili do rowu z poderżniętym gardłem. Nie kamieniowali by jeszcze, choć w starszym wieku i to mogłoby się zdarzyć...

Lepiej mnie wspieraj. Senatorka łatwo odczytała podtekst wypowiedzi Generała. Współpracuj ze mną, bo przydarzyć ci się może coś naprawdę złego. Już to kiedyś słyszała. Słyszała to na każdym kroku, do cholery. Najczęściej w Ameryce Środkowej. Połowa współpracowników podzielała jej zdanie. Pozostali, o czym wiedziała, uważali, że łamie zasadę numer jeden obowiązującą w kontaktach międzypaństwowych: nie proś, jeśli wiesz, że ci nie dadzą.

- No wiec słucham, możemy porozmawiać - zwróciła się do Generała.

- Mam coś pani powiedzieć? - zdziwił się.

- Czyżby pan nie chciał, Wasza Ekscelencjo, pogadać bez świadków? - Pani senator Liz wskazała puste terasy, otaczające skąpaną w słońcu rudę. W niedalekiej odległości dwa dżipy, wzbijając tumany kurzu, pięły się dróżką na szczyt wzniesienia. Zostało im dwie, góra trzy minuty, jeśli chcieli rozmówić się na osobności.

- Nie. - Generał pokręcił głową i wygrzebał z kieszeni paczkę papierosów Sobranie i zapalniczkę Zippo. Wygrawerowany orzeł nad skrzyżowanymi piorunami był godłem 5. pułku

Efendi

11

francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Ze zdobyciem tej zapalniczki wiązała się długa historia, której sensu, nad czym zawsze ubolewał, nikt nie umiał należycie zrozumieć. - Nie przyjechaliśmy tu rozmawiać. Chciałem, żeby pani to zobaczyła. - Niedbałym gestem ręki wskazał nieszczęsną chałupę, terasy ze skruszałymi murkami i spustoszone winnice. - Wie pani, co tu było?

Przyglądał się senatorce, która usiłowała przypomnieć sobie poznane na szkoleniach fakty z życia Generała i dziejów al-Iskandarijji. W zeszłym tygodniu, przed przylotem na lotnisko im. Alego Paszy, wystannicy z fabryki szpiegów w Langley przekazali jej szereg wskazówek, dzięki którym podsłifowała znajomość etykiety.

W opinii Generała, z tych lekcji wynikała dla niej połowiczna korzyść. Owszem, przy stole zachowywała się swobodnie, świadoma miejscowych zwyczajów. Zostawiała na talerzu drobną resztkę dania, czym potwierdzała zasobność gospodarza. Siedząc, nie pokazywała spodów swych butów Manolo. Podawała kartę, jadła i piła wyłącznie prawą ręką; tę nieczystą trzymała przy sobie. Umiała nawet patrzeć w oczy dłużej niż przeciętny przybysz z Zachodu. Dłoń ścisnęła zawsze delikatnie, bez stosowania niedźwiedziego chwytu, który zdaniem większości Amerykanów świadczył o zdecydowaniu i przebojowości. Wszelako historię znała tak słabo, że mogła sobie przez to napisać biedy. I chociaż potrafiła „salaamować” z gracją, dłonią dotykając najpierw piersi i czoła, a potem ją unosząc, nie zdawała sobie sprawy, że kobiety w al-Iskandarijji nigdy tego nie robią.

Said Pasza westchnął. Był uprzedzony do Amerykanów. Swoją drogą, Anglików też nie darzył przesadną sympatią. Co do Niemców i Francuzów, przynajmniej umiał ich zaszufadkować: jedni to brutale, a drudzy krętacze. W jego żyłach płynęła krew obu tych fiarodowości.

- To jak, wie pani, gdzie jesteśmy?

- Przepraszam, ale nie bardzo...

- Nadeszli stamtąd. - Koenig Pasza wskazał ścieżkę. - Mieli na sobie nędzne resztki mundurów, stopy wysmarowane asfaltem od chodzenia po pustynnych drogach. Niejeden był młodszy od pani wnuczki.

On też się przygotował. Znał jej przeszłość i upodobania, wszystkie oczywiście wrośnięte w amerykańską kulturę.

12

Jon Courtenay Grimwood

Senatorka już wiedziała, o czym mówi Koenig Pasza.

- I co zrobiliście? - zapytała, choć niespecjalnie chciała poznać odpowiedź.

- A co mogliśmy zrobić? Wytłukliśmy wszystkich. Walili na nas chmarą, a my ich kosiliśmy z

karabinów. Najlepsze na świecie amulety nie mogły ich obronić przed kulami. Mimo tego, co im nagadano. Mieli przestarzałe kałachy, zapasowe magazynki szczipione taśmą aluminiową, stępione maczety panga i karabiny Martini-Henry... - Generał urwał na chwilę. - Martini-Henry i angielskie rewolwery, przejęte przez Dinków, z lufami i bębnekami przerobionymi tak, żeby dało się stosować popularną amunicję. To była rzeź.

Wciąż miał przed oczami tamte wydarzenia. Wczesne lato, skwarne poranne, Nil w okresie przyboru. Rtęć w termometrze dobijała do 110°F. Od sześciu tygodni nie spadł deszcz.

Maszerowali pustynną szosą w sile dziesięciu tysięcy dusz. Niesione chorągwie oklapły w rozgrzanym, nieruchomym powietrzu. Wzbijany kurz osiadał na łachmanach szaroburą warstwą. Wielu manifestowało swą przynależność do oddziału już tylko czerwoną wstążką nad łokciem. Pochód zamykali oficerowie, pięciuset weteranów zaprawionych w krwawych bojach na pustyni wokół ruin Meroe i wśród wzgórz Abisynii. Ci byli uzbrojeni w karabiny z celownikami laserowymi, moździerze i przenośne wyrzutnie rakiet. Większość miała kamizelki kuloodporne, klimatyzowane hełmy, minisłuchawki w uszach i mikrofony krtaniowe. Krótko obciętych mężczyznom i kobietom błyszczały oczy na wspomnienie nadzwyczaj łatwego zdobycia al-Kahiry.

Major Koenig Bej, bo tak go wówczas tytułowano, posiadał trzystu żołnierzy, niedobitków swojego regimentu. Niektórzy zginęli, lecz inni zbiegli, wystraszeni wieściami, jakoby każdy, kto stawał na drodze Armii Obdartusów, sprzeciwia! się niewzruszonej woli Boga. Daremnie miejscowy mufti w kolejnych wystąpieniach dementował pogłoski. Nikt nie zważał na edykt potępiający Mahdiego, wydany przez Jego Sułtańską Mość Mehmeta VII, religijnego przywódcy Imperium Osmańskiego.

Zwycięstwo przypadło w udziale dwudziestoosmioletniemu saperowi, pół-Egipcjaninowi i pół-Niemcowi, który dochrapał się dowództwa nad regimentem tylko dlatego, że pozostali oficerowie zrezygnowali, zbiegli lub zostali zabici.

Efendi

1

Po przybyciu do nowej siedziby sztabu w zagrodzie, z której rozciągał się rozległy widok na drogę, zaraz na wstępie rozkazał przynieść miotacz ognia, przerobić zbiornik, by można było wlać farbę emulsyjną, i pomalować na biało podłogę, ściany i sufit. Podczas gdy nastoletni oficerowie, korzystając z rad starszych podoficerów, okopywali się i budowali stanowiska ogniowe dla moździerzy, Major Koenig nadzorował usuwanie najpierw mebli z parteru budynku, potem dwóch tanich świetlówek i kontaktów. Dopiero wtedy użyto przerobionego miotacza do renowacji mieszkania zgodnie z planami Majora.

Do środka z powrotem wniesiono stół i krzesła, świetlówek i pękaty piecyk na węgiel drzewny, który Major wszędzie z sobą zabierał, żeby mieć świeży chleb i kawę.

Ludzie szemrali, leez z dala od niego. Major jednak dobrze wiedział, po co te wszystkie zabiegi, gdy stał na środku odnowionej izby i mówił oficerom, aby nie fatygowali się z rozwieszaniem map.

Pod względem liczebności i uzbrojenia wróg miał zdecydowaną przewagę, natomiast na korzyść broniących się przemawiał fakt, że zajęli strategiczne wzniesienie. Wiele zależało od tego, jak to rozegrają. Koniec końców, Major Said Koenig zwyciężył, mimo że się wycofał. Aczkolwiek przedtem musiał zastrzelić swojego ulubionego brata za niewykonanie rozkazu. Amil był młodym, przystojnym i

bezsponsie najukochańszym dzieckiem swoich rodziców, jak to często bywało z najmłodszymi synami. Dziwna rzecz, ale mimo różnicy wieku Major Koenig był nim zachwycony.

Kiedy Armia Obdartusów maszerowała na wzgórze, prosto w ogień karabinów maszynowych, a aerokamery CNN-u - trzymające się na znacznej wysokości, poza zasięgiem strzału - rejestrowały każdą śmierć, Major Koenig dał rozkaz do odwrotu.

„Czemu?” - zapytał Amil, zaskoczony.

Bo nas filmują. Bo stajemy się mordercami. Bo nie pozwolę, żeby masakrowano tysiące dwunastolatków, którzy myślą, że brudne pióra i suche patyki w woreczkach na amulety powstrzymają kule i że - choć to sprzeczność - przed poległymi otwierają się bramy raj.

Miał mnóstwo dobiych argumentów, lecz uważnie przyglądał mu się starszy sierżant i jeszcze paru podoficerów. W ich

1

Jon Courtenay Grimwood

E'

myślach kiełkowało zwątpienie, zaczęli się zastanawiać nad sensownością jego rozkazów. A rozkaz to rozkaz, tak go uczono. W czasie wojny nie mogło być odstępstw od zasad.

„Bo tego chcę”.

„Ale trzymamy w rękach wzgórze”.

„Już nie”.

Amil otworzył usta, aby zaprotestować, lecz ugryźł się w język, widząc, jak brat wyciąga z kabury lugera.

„Wycofujemy się, rozumiano?” - Major Koenig potoczył wzrokiem po twarzach sztabowców: dwóch zahartowanych podoficerów i dwunastu nieopierzonych gołowąsów. Nieprzyjacielskie wojska szturmujące wzgórze przestały się liczyć. Major już nie zwracał uwagi na huk karabinów terkoczących za domem. - Cofniemy się do skrzyżowania i tam zostaniemy”.

„Sir!” - Starszy sierżant uniósł rękę.

„Jakiś problem, sierżancie?” - Słowa ostre jak krzemień i zimne jak lód. Pogarda, szyderstwo, zdumienie tym, że zwykły wojak śmie kwestionować jego rozkazy. Wszystko to i więcej mieściło się w tych trzech słowach.

Uśmiech zgasł na ustach podoficera, człowieka doświadczonego, który pamiętał głos swojego dawnego dowódcy, ojca Majora, drania bezlitosnego, ale też skutecznego w działaniu. Służba pod jego rozkazami była zaszczytem, lecz sierżant nie chciałby urodzić się jego synem.

„Nie, sir! Żaden problem, sir!” - Zamasyście zasalutował niczym niedojrzały, zastraszony rekrut i odwrócił się na pięcie.



Pozostali podoficerowie też się wyprostowali, zadowoleni, że w końcu powzięto decyzję.

I na tym by się skończyło, gdyby Amil nie wystąpił z jeszcze jednym protestem. Reszta przeszła do legendy. Wrogowie Generała dyskretnie przytaczali tamto zdarzenie jako dowód jego okrutnej natury, lecz przyjaciele przekonywali głośno i otwarcie, że na tym polega sztuka dowodzenia. Amil umarł z ironicznym uśmiechem na twarzy i dziurą po kuli w czole.

Major Koenig wyszedł, nie troszcząc się o ciało.

Zanim pod wieczór wrócił do zagrody z białą flagą pokoju, zwłoki Amila wrzucono do zbiorowej mogiły; dół wykopała jedna chuda dziewczyna, operatorka koparki. Przyszedł w pojedynkę,

Efendi

15

bez broni, i nie poskarżył się ani słowem, kiedy obszukiwano go bezceremonialnie przed wpuszczeniem do domu.

Na parterze zgromadziła się tłumnie śmietanka generalska Armii Obdartusów, choć nikt by tego nie powiedział, przyglądając się umundurowaniu. Część młodszych oficerów miała na sobie mundury polowe zabrane obserwatorom ONZ, lecz większość zaopatrzyła się po drodze w uniformy skrojone i uszyte przez miejscowych krawców. Był też ubiór z zagranicy, zakupiony od pośredników sprowadzających towar z Algieru, Berlina lub Istambułu. Dwaj oficerowie nosili mundury żołnierzy z regimentu Majora Koeniga. Jeden z nich był jeszcze przed południem jego adiutantem, o drugim - który pewnego dnia nie wrócił z porannego rekonesansu - sądzono, że nie żyje.

Za jego wzrokiem podążały rozbawione spojrzenia. W pękatym piecyku, z konieczności przez niego porzuconym, palił się ogień. Grzano kawę w mosiężnym dzbanku. Przedwieczorne ciemności rozpraszała lampa sztormowa.

Choć kłóciło się to z wielowiekową tradycją, nie zaproponowano mu nawet filiżanki słodzonej kawy ani mosiężnej szyszy z tytoniem jabłkowym. Usiadł nieproszony najedynym wolnym krześle, a gdy zechciał przepłukać gardło szklanką wody, i tego mu odmówiono. Major cieszył się z tego. W takiej sytuacji nie miał już żadnych skrpułów.

Miał negocjować warunki oddania al-Iskandarijji w ręce nieprzyjaciela. Generałowi Mahdiemu nie chciało się przyjść na spotkanie. Wieść niosła, że przywódca dżihadu większość sił zaangażował w umacnianie swej władzy w al-Kahirze, gdzie zamykano na cztery spusty kina, puszczano z dymem bary, a kobiety publicznie chłostano za wychodzenie na ulicę z odkrytą głową. Likwidowano szkoły dla dziewcząt, zwalniano z pracy lekarki, a pracownikom misji humanitarnych dano dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie kraju.

Berlin, Paryż i Waszyngton były zajęte składaniem formalnych protestów, nie miały więc czasu przejmować się tym, co się dzieje na wzgórzu na południe od al-Iskandarijji.

Żołnierze z Armii Obdartusów rozłożyli się obozem na terasach, które wycięto w stokach wzniesienia hen przed powstaniem chrześcijaństwa i islamu. Siedzieli w grupkach wokół ognisk podsycanych suszonym łajnem i gałęziami przytargany-

Jon Courtenay Grimwood

mi z gaju oliwnego. W al-Kahirze nie brakowało żywności i głód nikomu nie doskwierał, mimo to piekły się na ogniu wyłapano kozy. Przyzwyczajenia przechodziły w zwyczaj czasem już po kilku tygodniach, a przecież ta hołota od lat postępowała tak samo. Z początku w Sudanie, potem dalej na północ.

„Marsz potrwa dwa dni - rzekł do Majora najwyższy rangą generał. - Trzeciego dnia wieczorem dojdziemy do al-Iskanda-rijji. W piątek będziemy się modlić. W sobotę przyprowadzisz dziadka, żeby poddał miasto”.

Nie liczyłem na to, pomyślał Major. Chedyw chorował, był przykuty do łóżka. Zresztą i tak z racji piastowanej godności wolałby umrzeć, niż zaniechać oporu.

„Na jakich warunkach?” - zapytał.

Nie było żadnych warunków. Miasto miało się poddać. Tak po prostu. Komu pozwolą żyć, ten będzie żył. Nie padły żadne obietnice. Identycznie postąpiono w przypadku al-Kahiry.

„Zgoda. - Major Koenig wyciągnął rękę, a że nikt mu jej nie uściskał, pokłonił się lekko i stuknął obcasami, jak to robiono w Berlinie. Z przyjemnością patrzył na wściekłość malującą się na twarzach nieprzyjaciół. - Miasto będzie czekało”.

Zasalutowawszy z perfekcją musztrowanego żołnierza, podszedł do drzwi, zatrzymał się i sięgnął do dziury w ścianie, skąd wyjęto kontakt. Zwały się druty. W rezultacie wybuchu miał wywichnięte ramię i prawą kość łokciową złamaną w dwóch miejscach, lecz sprawcą prawdziwego bólu był uchwyt świetlówki, który przeorał mu biodro i uszkodził miednicę.

Bomba w pustej świetlówce była technicznie prymitywnym urządzeniem, mimo to skutki jej działania przeszły jego najśmielsze oczekiwania. Gdy Zachód dysponował najróżniejszymi odmianami wybuchowego plastiku (nie wspominając o syntetycznych wirusach, których tak uparcie się wypierał), on musiał zdać się na kostkę semtexu, zwyczajny detonator, baterie z telefonu komórkowego, kulki z łożysk i kawałek wyrzuconego kabla. Trzy pierwsze składniki już dawno przekroczyły termin przydatności do użycia.

Bomba zabiła tych, co pod nią stali, aczkolwiek nie wszyscy zginęli od razu. Szczęściarze padli trupem już w momencie detonacji. Łamały się szyje, pękały czaszki, rozbite żebra wbijały się w serce. Pod obstrzałem własnych żołnierzy, którzy zgod-

Efendi

1

nie z rozkazem przypuścili szturm z chwilą wybuchu bomby, Major został dowieziony ciężarówką do obozu w al-Kahirze. Fragment uchwytu świetlówki nadal tkwił w biodrze, a złamana ręka nie ruszała się pod mundurem polowym. Fellah z Armii Obdartusów, który wyciągnął Majora z gruzowiska, myślał, że to swój oficer...

-Generałowi Mahdiemu, jeśli dobrze pamiętam... -Sena-torka starała się ująć myśl możliwie delikatnie. - Ucięto ręce.

- Między innymi ręce.

To się stało trzy tygodnie później w al-Kahirze. Do tego czasu przeważająca część Armii Obdartusów złożyła broń; najemnicy tworzący jej rdzeń nie żyli, siedzieli w więzieniu lub donosili na siebie nawzajem w zamian za ułaskawienie. Major Koenig miał rację. Wyeliminowanie z gry dowódców rozstrzygnęło sprawę.

Pani senator Liz przypominała sobie następne fakty z życia Generała. Doprawdy, wolałaby teraz być gdzie indziej. Kto zabiera zagranicznych dygnitarzy na wycieczkę do miejsca, gdzie zabił brata? Odpowiedź narzucała się sama. Ktoś taki jak Koenig Pasza.

- Nadal nie wiadomo, kto zamordował Mahdiego?

- Nie. - Generał nie spuszczał wzroku z Amerykanki. - Ma pani rację, nadal nie wiadomo...

- A pułkownik Abad? - Miała na myśli cieszącego się złą sławą doradcę Mahdiego, szczególnie znienawidzonego przez Waszyngton.

- Zapewne jest już w raju - odparł Koenig Pasza. - Bądź w piekle.

14

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 23

14 października

- No, nie! - Hani krzyknęła z taką złością, że frita stuliła uszy i dopiero po dłuższym głaskaniu znowu zamruczała.

- Właśnie oglądałam...

- Wybacz. - Raf zastukał palcami, przełączając programy.

- Musze wiedzieć, jak ludzie reagują na to, co się dzieje.

- Gdzie?

- U nas.

Ściągnęła brwi, lecz nie ruszała się z miejsca, kiedy Raf z hałasem rzucał teczkę i odwracał się do ekranu. Na kanale Heute in Berlin nic nie było, podobnie jak w serwisach amerykańskich; w sumie nic dziwnego, oba państwa były zapatrzone tylko w siebie. A sławny w al-Iskandarijji Ferdie Abdullah rozwodził się nad drugim przypadkiem podpalenia w nocnym klubie naprzeciwko dworca Misr.

Raf znalazł wreszcie to, czego szukał, na kanale Paris - la Ronde, gdzie najpierw podano krótką wiadomość o ukończeniu przez Jego Wysokość Księcia Imperium pierwszego semestru na Uniwersytecie St Andrews, a zaraz potem, utrzymane w dość ironicznym charakterze, streszczenie problemów do omówienia przez wysłanników cesarza Niemiec i Jego Sułtańskiej Mości na spotkaniach w cztery oczy z amerykańskim mediatorem; chodziło o odnowienie Osmańskiego Przymierza, określającego sfery wpływów gospodarczych w Afryce Północnej, na Bałkanach i

Środkowym Wschodzie.

Berlin chciał poszerzenia sfer, to samo Moskwa. Paryż pragnął zachować dotychczasowe zdobycze. Elizabeth Elsing z senatu USA mówiła do kamery, że tworzenie sfer wpływów przeczy idei demokracji. Francuski komentator donosił o tym z drwiącym uśmiechem.

Efendi

1

- Nudy - oświadczyła Hani.

Raf polecił ekranowi znaleźć jakąś kreskówkę. Pojawił się żółty ludzik z wyłupiastymi galami, który bełkotał o dobroci dla małych zwierząt. Podczas gdy ludzik przeprowadzał misje ratunkowe lub potężnymi czarami eliminował straszliwe potwory. Raf oddzielił od kości udziec jagnięcy, pokroił mięso w kostkę i włożył je do wysokiej patelni.

- Co robisz? - zapytała Hani w przerwie na reklamę.

- Hunkar begendi, coś w tym stylu...

- Sułtańskie delicje. - Hani niedawno odkryła McDonald'sa i jej kulinarne upodobania uległy znacznemu zawężeniu. Co nie mieściło się między połówkami bułki i nie pasowało do regenerowanych frytek, było do niczego.

Jeśli chodzi o sos, od którego brała się nazwa dania, to Raf musiał ponakłować cztery bakłazany, dzięki czemu nie pękną, gdy będzie je zapiekał w piekarniku, aż skórka stanie się czarna i pomarszczona.

- Chcesz to sama zrobić? - Raf wziął widelec i kiwnięciem głowy wskazał świeży bakłazan.

Hani zaprzeczyła, pozostawiając Rafowi robienie dziurek w fioletowej skórce.

- Co naprawdę się dzieje? - Wróciła do Ferdiego Abdullaha, który przedstawiał główne wiadomości. Za jego plecami, z odnogi głównego rurociągu, na żwir i rozgrzany piasek wylewała się ropa. Pałący się olbrzymi billboard z napisem RAFINERIA MIDAS wydawał się w tej sytuacji reklamą chaosu i anarchii. Przed jego podpaleniem sprawcy odrysowali od szablonu kilka czerwonych pięści.

Gdy w tle strzelały płomienie, wyjątkowo młodzi żołnierze ładowali do policyjnej furgonetki dwóch dziennikarzy, którzy mieli twarze zasłonięte goglami, 'a do pasa przypięte dyski i modemy satelitarne z anteną w kształcie parasola. Niezależni łowcy sensacji maszerowali do więźniarki niczym dawni astronauty, którzy przemierzają monochromatyczną księżycową równinę.

Maski były na pokaz. Przyzwoite cyfrowe soczewki, z daleka prawie niewidoczne, można było zamocować z boku na zwykłych okularach. Co się tyczy dysków, to sprzęt większy od paczki papierosów albo był tanim, przestarzałym bublek z trzeciego świata, albo celowo miał się rzucać w oczy.

150

Jon Courtenay Grimwood

Na ekranie Ferdie Abdullah tłumaczył, cytując wypowiedź nowego, błyskotliwego szefa wydziału

śledczego, że wstrząsające, pozornie przypadkowe przestępstwa z poprzedniego tygodnia jednak łączą coś z sobą, a sprawcami są członkowie ugrupowania Miecz Boga.

Raf nie miał o tym pojęcia.

-Ja tego nie powiedziałem...

- Czego?
- Nie powiedziałem, że te przestępstwa mają wspólne podłoże.

Hani przestała głaskać Ifritę i podniosła wzrok.

- Co znaczy „wspólne podłoże”?
- To, że są ze sobą powiązane.

Widelcem wyłuskał mięsz zapieczonych bakłażanów, odłożył na bok pulpę i wyciągnął masło z lodówki. Teraz już tylko musiał dodać mąki i mleka do roztopionego masła, a następnie mocno wszystko ubić.

- A więc nie są powiązane?

Przestał rozglądać się za rondelkiem.

- Nie wiem.

Hani westchnęła.

Po dodaniu do zasmażki ugniecionych bakłażanów Raf zmielił szczyptę pieprzu, szczyptę morskiej soli i posypał potrawę startym żółtym serem. Jagnięcina trafiła na podgrzany półmisek, apetycznie oblana sosem z bakłażanów.

- Głodna?

Pokręciła głową.

- Ja też nie. - Podał Hani półmisek. - Zapytaj Chartuma, czy by nie chciał, potem kupię ci hamburgera...
- To dla was - oznajmiła dziewczynka w drzwiach pokoju Chartuma, po drugiej stronie krytego ogrodu.
- Dla nas? - Odźwierny oderwał wzrok od planszy do gry w go, podobnie jak jego przeciwnik, właściciel niedużego straganu przy Rue Cif, ulicy biegnącej z tyłu za medresą. - Sama przyrządziłaś? - nie dowierzał.
- Nie ja, tylko wujek Aszraf.
- Jego Ekscelencja... - Właściciel straganu był mocno zdziwiony. - Bej sam gotuje?

Efendi

Hani uśmiechnęła się do mężczyzny w długiej do kolan szacie i białej czapce, ubraniu świadczącym o tym, że odbył hadżdż, pielgrzymkę do Mekki.

- Jego Ekscelencja robi dużo dziwnych rzeczy - stwierdziła oględnie i wyszła na zewnątrz.

Nawet jeśli komuś wydało się niezwykle, że dziewczynka owija się, niby kołnierzem, zapchlonym kociakiem, nikt tego nie skomentował.

- Będzie dobrze - obiecał Raf, kiedy Hani zawahała się w ozdobnej, marmurowej sieni. Z powodów nie do końca zrozumiałych nawet dla Donny i Chartuma nieżyjąca już ciotka Nafisa uważała za stosowne trzymać dziecko w zamknięciu. W rezultacie czego dziewczynka pierwszy raz wyszła z domu dopiero na jej pogrzebie.

- No pewnie - odparła Hani i szarpnięciem otworzyła frontowe drzwi. Z uśmiechem ujęła dłoń Rafa, aczkolwiek wpiła się w niego paznokciami, gdy po opuszczeniu cichego wnętrza medresy znaleźli się na hałaśliwej Rue Sherif.

Gdy ścisnął jej dłoń równie mocno, uśmiechnęła się łobuzersko. Na rogu ulicy wciąż szczyrzyła zęby i wwiercała się w niego paznokciami. Oboje wiedzieli, że nie robi tego wyłącznie dla żartu.

Tej nocy lis przypomniał o sobie, kiedy chmury przestoniły firmament, a niebo zbliżyło się do ziemi, tworząc malowniczo rozmazany obraz - taki sam jak kształty rozmyte na obrzeżach sennego majaku czy świat za szybą akwarium, widziany oczami uwięzionego skalara.

Kiedy się to stało, Raf siedział za murami medresy al-Man-sur, na skraju wąskiego łóżka, i przyglądał się dziewczynce śpiącej niespokojnym snem. Postękiwała cicho, wypowiadając półśłówka i pourywane zdania) które współgrały z drzeniem zamkniętych powiek. Bała się. Kosmyki włosów lepiły się do zroszonego potem czoła. Co pewien czas poruszała ramionami, jakby przeciskała się przez tłum ludzi. Raf czuwał w mroku - a w zasadzie tym, co powinien postrzegać jako mrok, gdyby był normalnym człowiekiem. W każdym razie, bronił się przed zaśnięciem i nie pozwalał zasnąć lisowi.

1

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 24

SwfcAM

Sara nauczyła go łapać ptaki, migrujące stadami na południe. Podczas gdy w ruinach wioski JTiabite duchy ich zabitych towarzyszy polowały na jaszczurki, ona siedziała w cieniu samochodu, dzieliła się z nim fajką i uparcie milczała. Jemu natomiast - wprost przeciwnie - palenie rozwiązywało język. Upływał już miesiąc od śmierci Zacha, a Ka nadal bał się jej długich okresów milczenia i gwałtownych wybuchów złości.

Kiedy patrzyła na błękitne niebo niewidzącym wzrokiem, ukradkiem zerkał na miejsce, gdzie miała rozpięty górny guzik koszuli. Nie ten pod samym kołnierzykiem, który już dawno się urwał, ale następny. Przez wąską szparę dostrzegał kawałeczek piersi, jaśniejszy cień na tle ciemniejszego. W mdłym blasku, przechodzącym przez rozpięty nad autem materiał termoka-muflażu, na ręce

trzymającej metalową fajkę jaśniały delikatne włoski. Choć jemu na pustyni skóra poczerniała, jej była jeszcze ciemniejsza. Niemalże granatowofioletowa, podobna do skórki bakłażana, owocu rośliny sprowadzonej do Andaluzji z Afryki przez wojska muzułmanów, czego Ka nie mógł jednak wiedzieć. Wiedział tylko tyle, że jego wujek uprawiał kiedyś bakłażany. Miękkie, szybko się psuły, a jadano je posolone i smażone na baranym łożu.

Fajka należała do Sary. Była zgięta, porysowana i uświniona, kiedy zabierała ją zabitemu fotoreporterowi z kraju niewiernych. Sara musiała pieczołowicie, długimi godzinami, wydłubywać smolę z cybucha za pomocą kolca odartego z kory.

Ostatni śmiałek, który próbował odebrać jej fajkę, dostał taką lekcję, że musiał na miesiąc obandażować dwa palce prawej dłoni, by zrosły się kości. Od paru tygodni pożyczła fajkę

Efendi

15

Ka, jak również dzieliła się z nim jedzeniem... choć tylko wtedy, gdy miała nadwyżki.

Popołudnie upływało najnormalniej w świecie do chwili, kiedy mały czarny ptaszek przeleciał im nad głową. Na jego widok Sara, siedząc, wyprostowała się raptownie. Minutę później pojawiły się następne ptaki, frunące stadem na południe.

- Sieć! - rozkazała nagłym tonem.

Ka patrzył na nią, skołowany.

- Sieć! - powtórzyła i wskazała rolkę niewykorzystanej siatki termokamouflażu, leżącej tam, gdzie ją rzucili przed pięcioma dniami. - Prędszej! - Chwyliła go za rękę i poderwała na równe nogi.

Ani myślał się sprzeciwiać.

- Co będziemy chować? - zapytał. - I przed kim? - Zazwyczaj musieli kryć się przed samolotami, lecz samochód był już zastonięty, a na niebie nie poruszał się ani jeden srebrzysty punkcik.

- Zaraz nam wpadnie trochę żarcia.

Postanowił dłużej nie marudzić.

- Rób to co ja - poleciła.

Wspólnymi siłami rozwinęli siatkę i rozścielili ją na szosie. Potem Sara odcięła dwa długie kawałki kabla elektrycznego, nawiniętego w bagażniku na kartonową szpulę, i jeden z nich dała chłopakowi.

- Tam rozłożymy sieć. - Wskazała ciemny odcinek drogi między dwoma zniszczonymi domami. - Wejdiesz na ten bliżej nas, ja na drugi.

Wspinaczka na dach szła mu łatwiej, niż się spodziewał - głównie dlatego, że schody zachowały się w całości, a stropy się nie zapadły. Sara wdrapywała się dłużej; kiedy wreszcie ukazała się na dachu, spocona koszula lepiała jej się do pleców.

- Połamane schody! - wyjaśniła.

Ka pokiwał głową i bez słowa, naśladowując dziewczynę, owinał kablem występ w płaskim dachu. Następnie zacisnął węzeł i rzucił luźny koniec. Patrzył, jak spada.

- Dobra, teraz zrobimy sieć! - oświadczyła Sara i znikła z pola widzenia.

Ka nie od razu zorientował się, że zaczęła schodzić, a jednak pierwszy znalazł się na dole.

- Wszystko przez te schody - burknęła.

1

Jon Courtenay Grimwood

Pokiwał głową z poczuciem winy.

- Niektórzy to mają fart... - Przykucnęła z rozchylonymi ustami i wyrazem maksymalnego skupienia na twarzy. Przywiązała koniec swojego kabla do rogu siatki i poczekała, aż Ka zrobi to samo. Potem zostało im już tylko wspiąć się z powrotem na dach i wciągnąć sieć na górę.

Jak zwykle, czuć ją było haszem, aczkolwiek prócz woni dymu wyczuwał także schnący pot w koszuli i ohydny smród, którym sam przesiąkł, choć przeważnie o nim zapominał. Wszystkie inne dziewczyny, spotykane przez niego, używały piasku; udawały się to za murek, to w krzaki, by tam dokładnie się wyszorować. Sara różniła się od nich w tym względzie. Jeśli w pobliżu płynęła rzeka, to myła się w wodzie. W przeciwnym razie, nie myła się w ogóle.

- Co tak pociągasz nosem? - spytała.

- Wcale nie pociągam.

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Wiesz, polubiłem tę faję - powiedział.

Pokiwała głową, jakby rozumiała, o co mu chodzi. Chwilę później podeszła do sieci, żeby poprawić jakiś niedostrzegalny drobiazg. Kiedy wróciła, usiadła w innym miejscu.

Po pewnym czasie błękitne niebo zaróżowiło się po brzegach. Różowe kolory ustąpiły fioletem, a po nich zapanował granat tak ciemny, że wydawał się czernią. Gwiazdy mrugały w milczeniu, gdy Sara położyła się na wznak i próbowała wyobrazić sobie niewyobrażalne odległości.

Ka siedział po drugiej stronie ogniska. Trzymał w ręku ptaka upieczonego na metalowym pręcie, chyba już dziesiątego; jedząc, obserwował tańczące płomyki i cieszył się długim wieczorem. Jeszcze dwa ptaki stygły nadziane na kawałek anteny. Skrzydełkami już gardził; skwierczały, gdy z pogardą wrzucał je w ognisko, zajęty obdzieraniem z mięsa gorącego korpusu.

Kiedy ogień zgasł i zrobiło się chłodno, wrócili na tylne siedzenia samochodu. Sara zajęła się czyszczeniem fajki, on - rozmową z pułkownikiem. Rozmawiał z nim bardzo długo, nawet gdy Sara zasnęła. Choć raz się obudziła, nieco później, żeby wyciągnąć jego dłoń spod swojej koszuli.

15

Rozdział 15



i\* pAzt>zicr>iUA

Praca jak każda inna, ktoś musiał ją wykonać. Mike Estelle, jak sam siebie nazywał, na moment przymknął oczy, aby ochronić je przed migotliwym światłem czerwonego lasera. Po chwili znowu uśmiechał się do młodej Amerykanki, która tańczyła przed nim w żółtej mgiełce.

Miała szeroką twarz, jasne włosy i zadarty nos, którego nie poddała chyba operacji plastycznej. Pot mętnie błyszczał jak świetlista rosa w przegrodzie piersi i na szyi. Spodnie z tyłu opadały nisko, odsłaniając czarną tasiemkę majteczek.

Dawn, tak chyba brzmiało jej imię.

- W porządku?

Odpowiedziała szerokim uśmiechem i zatańczyła bliżej niego. 1 jeszcze bliżej.

Kiedy ruchem głowy wskazał wyjście, skinęła na znak zgody. A kiedy zarzucił jej rękę na szyję, zamierzając ruszyć z nią do drzwi, z uśmiechem pozwoliła mu przesunąć dłoń nad sam lśniący biustonosz. Zerkając na nią z ukosa, capnął łapczywie cycuszek, gotów obrócić wszystko w żart, gdyby się wkurzyła, lecz ona z chichotem obróciła głowę i nadstawiła usta, otwarte i chętne do całowania.

Z obu stron przeciskały się tłumy studentów, którzy szczyrzyli zęby do trzydziestoparolatka czule obejmującego młodszą dziewczynę, chociaż nie czepiali się o to, że blokuje przejście między salą taneczną i łazienkami w klubie Neutropic. Ostatni ze studentów, wyrostek w płowej dredowej peruce, srebrnych szklach kontaktowych i koszulce z napisem DZIKO I GŁĘBOKO obejrzał się na nich, zauważył, że dziewczynie jedna pierś wyszła spod stanika i uśmiechnął się wesoło. Agent Thiergarten

1

Jon Courtenay Grimwood

przymusił usta do uśmiechu i pokiwał głową, dając do zrozumienia, że jest nawalona.

Od strony parkietu dochodził świdrujący w uszach, skręcający bcbchylomot potężnych subwooferów, nałożony na jadownicie ostry motyw z syntezatora, który bez końca rozwijał się i rozwijał, lecz do niczego nie prowadził...

Mike z trudem wytrzymał hałas, tym bardziej że serdecznie nienawidził nocnych klubów. Dlatego miał podwójną radochę, gdy podkładał w nich bomby. W przeciwieństwie do ferajny, która tu zbierała się w piątkowy wieczór, był stuprocentowym abstynentem, a podejrzewał, że trzeba mieć niezły bałagan w głowie, by dobrze się bawić przy takiej muzyce.

Mułow denerwowało to, że w dzień święty otwierane są kluby. Także tych, co starali się przedłużyć licencję w terminie, zamykać lokal zgodnie z przepisami i regularnie opłacać się miejscowej policji. Co prawda, funkcjonariusze obyczajówki rzadko przyjmowali łapówki, ale za to łatwo ulegali szantażowi.

Przed wejściem do klubu Neutropic odsiewano jak plewy ludzi mieszkających na stałe w al-Iskandariji. Kto nie wyglądał na kasiastego cudzoziemca i nie zrobił na bramkarzach dobrego wrażenia, dostawał kopa w tyłek. Wpuszczanie miejscowych po prostu się nie kalkulowało.

Mike Estelle nie miał nic przeciwko temu. Za nic w świecie nie chciałby poprzytykać się z dzieciuchem,

który ma w okolicy starszego brata i pięciu krewkich wujków.

- Wiesz, co mi się tu podoba? - zapytała.

Nie wiedział.

- Wszyscy mają fazę....

Owszem, i jemu to się podobało.

- Mogłoby być odrobinę ciszej - zaznaczył.

-Co?

Miał powtórzyć zdanie, gdy zauważył jej promienny uśmiech. Uraczył ją więc podobnym uśmiechem i delikatnie poprowadził ku drzwiom pożarowym.

- Czekaj!

Popatrzył na nią.

- Muszę uzupełnić płyny - oświadczyła i z kieszeni białych dżinsów wyciągnęła trzy małe, różowe serduszka. - Zdałaby się jakaś flacha...

Efendi

15

W zasadzie, nie miała na sobie dżinsów, ale cienkie jak papier spodnie z włókna octanowego, przepasane skórzanym paskiem ze srebrną gwiazdą szeryfa w charakterze sprzączki. I nie myślała o wodzie.

- Próbowalaś latawca? - Sięgnął ręką pod koszulę, skąd wy dostał woreczek na srebrnym łańcuszku. Wytrząsnąwszy ze środka małą, fioletową pastylkę, wrzucił ją do jej otwartej dłoni. - Nie musisz nawet popijać. Rozpuszcza się w ustach.

- Co w niej jest?

Uśmiechnął się i wymienił nazwę klonu ketaminy, wspomnianego wcześniej przez dziewczynę, której przy barze postawił drinka. Była starsza od Dawn, jeszcze daleka od upicia się i trochę odpychająca, jakby dziwnie przewrażliwiona, toteż pokiwał grzecznie głową, wytrąbił resztkę coca-coli i zerwał znajomość. Nie po to przychodził do takiego lokalu jak Neutropic, żeby tracić czas z durnymi bzdziągami. Zresztą, była Szwajcarką, a potrzebował jankeski. A przynajmniej substytutu jankeski z jakiegoś amerykańskiego uniwersytetu.

Oczywiście, tej dziewczynie wciskał coś zupełnie innego. Sam wzór chemiczny nic by jej nie powiedział, a nie upowszechniła się dotąd żadna potoczna nazwa. Dziewczyna będzie miała jazdę, jakiej nie zaznał jeszcze żaden z jej znajomych.

- Wierz mi, pierwsza klasa. - Zacisnął jej palce na pastylce, której skład chemiczny różnił się tylko jedną molekułą od środka znieczulającego, cieszącego się krótką popularnością pięćdziesiąt lat temu.

Ulepszona wersja istniała wyłącznie na papierze, a właściwie dysku w szwajcarskim laboratorium, do pewnego majowego dnia przed trzema laty, kiedy sudańska studentka na stażu naukowym, próbując wyprodukować na weekend jakiś towar z kopem, zaeksperymentowała że znanym sobie związkiem.

Wieczorem przed wejściem do klubu Apocalypso w Zurychu, kiedy zapytano studentkę, czy ma narkotyki, odpowiedziała z rozbrajającą szczerością: „Owszem, całe mnóstwo”. Poproszona o opróżnienie torebki, skrupulatnie wyciągnęła wszystkie drobiazgi: chipy płatnicze, bilety tramwajowe, supercienkie prezerwatywy, tampon, drobne pieniądze, jakieś kłaki z dna...

W kolejce przyglądał się temu uważnie jeden z kierowników działu szkolenia młodego narybku w firmie Bayer-Rochelle. Po

1

Jon Courtenay Grimwood

zainkasowaniu tysiąca dolarów najtęższy z bramkarzy wsadził dziewczynę z pustą torebką do taksówki, która już niebawem opuszczała miasto, kierując się do miasteczka uniwersyteckiego w malowniczej okolicy Jeziora Czterech Kantonów.

Świetnie im się rozmawiało, choć właściwie to ona mówiła. O wszystkich wstydliwych rzeczach, jakie kiedykolwiek zrobiła. Zjedli kolację w studenckiej stołówce, potem wybrali się na długi, romantyczny spacer nad brzegiem jeziora, a na koniec, zahaczywszy po drodze do jego wystawnego biura, przespali się z sobą. Gdy dziewczyna obudziła się z powykrzywianymi nogami, cała obolała, nie pamiętała swej przygody: ani czekoladowego tortu, ani sznycla po wiedeńsku, ani poświaty księżyca na zimnej tafli wody, ani seksu... ani tego, że na mocy podpisanej umowy zrzekła się wszelkich praw intelektualnych do związku chemicznego, który wymusił na niej tak gwałtowny atak szczerości i posłuszeństwa.

Ciekawa historia, choć niekoniecznie prawdziwa. Amnezja była jednym z bardziej użytecznych efektów ubocznych zażycia narkotyku. Amnezja, znieczulenie, bezwzględne posłuszeństwo. Czy trzeba czegoś jeszcze?

Na razie nie. Może później.

- Nieźle kręci. - Musiał podnosić głos ze względu na hałas.

- No, skoro mówisz... - Dawn wrzuciła ramionami, uśmiechnęła się i położyła pastylkę na języku, jak dziecko kładzie cukierka. Po kilku sekundach promieniowała rozradowanym uśmiechem, aż nagle w jej oczach nabrzmiały czarne kręgi źrenic i utraciła swoją dawną osobowość, zagubiła się w nowym świecie.

3:45 po południu. Dokładnie godzina i czterdzieści pięć minut, odkąd wszedł do klubu. Z zadowoloną miną przestawił alarm w roleksie i upewnił się, że wszystkie funkcje są wyłączone. Byłoby mu bardzo nie na rękę, gdyby kiedyś nadgorliwy iskandaryjski gli niarz, przeglądając zapisy w stacjach bazowych telefonii komórkowej, sprawdził, którądy poruszał się po mieście.

- Tędy.

Pokiwała głową z otwartym, prawie dziecięcym spojrzeniem. Mike mocno objął ją ramieniem i wprowadził z klubu

Efendi

15

drogą ewakuacyjną, aż znaleźli się na usytuowanym za budynkiem parkingu - pełnym samochodów, lecz zupełnie wyludnionym.

- Który ci się podoba?

Ciemne oczy spojrzały na niego poważnie.

- No mów! - dodał tonem rozkazu.

- Ten - odpowiedziała bez wahania. Jak przewidział, wskazała czerwoną mazdę. Samochód ładny, chociaż niezbyt solidnie wykonany. Mike tym się różnił od przeciętnego Amerykanina, że wybrałby drogi wóz, ale nie rzucający się w oczy. Dlatego właśnie kazał jej wybierać. Dzięki takim szczegółom policja nie mało się natrudzi, nim sporządzi portret psychologiczny sprawcy.

Wyciągnął ze spodni cienką, szarą kartę, przyłożył ją do zamka i poczekał, aż urządzenie elektroniczne odczaruje zabezpieczenia auta. Komercyjne wersje uniwersalnego klucza robiły różne głupie rzeczy, pikały przy trafieniu na właściwą kombinację kodu lub naprzemiennie mrugały diodami w trakcie procedury skanowania. Jego egzemplarz nie mrugał i nie hałasował. A zatem jedynym sposobem stwierdzenia, czy blokada została usunięta, a alarm wyłączony, było wsłuchiwanie się w mechanizm zamka.

- Wsiadaj. - Nie czekając, aż dziewczyna spełni polecenie (wiedział, że tak się stanie), wskoczył na fotel kierowcy i wsunął kartę do stacyjki. Na plastikowej, udającej metal desce rozdzielczej zabłyśły lampki i silnik zastartował, podobnie jak sprzęt audio, który właściciel nastawił na odbiór jakiejś kaprawej stacji nadającej sieczkę dyskotekową. - Znajdź coś. co lubisz.

- Właśnie to lubię. - Dziewczyna kiwnęła głową w stronę głośnika.

Westchnął.

- Poszukaj czegoś innego. \*

Po chwili znalazła jakąś piosenkę o smaku w ustach.

Mike z pierwszego biegu wrzucił trzeci i zaraz piąty, z pominięciem drugiego i czwartego. Do przejechania miał tylko kawałek drogi, lecz wolał, aby z licznika wynikało, że pojechał najpierw gdzieś indziej, gdzie naprawdę wcale nie był, a nawet jeśli był, nic by z tego nie wynikało.

Wypad na promenadę Corniche pozwolił mu nabić trochę kilometrów. Mazda na przemian rzucała się w przód i przyha-

1

Jon Courtenay Grimwood

mowywała, kryjąc się za ciężarówkami i większymi autami, ilekroć w polu widzenia znalazła się kamera. Oczywiście, istniało prawdopodobieństwo, że jedna z nich sfilmuje tablicę rejestracyjną, ale to nie miało znaczenia. Samochód znajdą porzucony, jego już tam nie będzie.

A dziewczyna...

- Dobrze się bawisz?

Pokiwała głową. Miała gęsią skórkę na odsłoniętych ramionach, maleńki brzusek wypinał się nad spodniami nie zaprojektowanymi chyba do siedzenia, lecz nadal uśmiechała się szczerze i radośnie.

- No to fajnie. - Zjechał z promenady i pomknął boczną ulicą, wyprzedzając kempingowego volkswagena. Ruch pojazdów zmalował niemal do zera, a niebo nie wydawało się już takie ciemne jak niedawno. - Koniec podróży - oznajmił i zaparkował wóz przed żelazną bramą, wstawioną w wyjątkowo wytrzymałe ogrodzenie. - Wsiadamy.

Posłusznie stanęła obok samochodu.

- A teraz do środka!

Zatrzaśnięta kłódka wyglądała na solidną, co mu jednak nie przeszkadzało, bo nie była na niczym zapięta. Bramę na tyłach kasyna trzymał tylko okręcony kawałek druta. Paliła się jedna lampa, pozostałe dwie zostały zniszczone przez wandalów. W życiu wszystko zależało od dobrego planowania, a mężczyzna nazywający siebie Mikiem Estelle, zanim przeszedł na emeryturę, był bardzo dobry w tych sprawach. Ściślej mówiąc, najlepszy. Agenci służb wywiadowczych zazwyczaj nie grzeszyli profesjonalizmem, gdy należało zaaranżować scenografię i zebrać potrzebne rekwizyty. On dawał sobie z tym radę z instynktowną łatwością. Tylko do mokrej roboty jakoś nie miał zacięcia.

- Gdzie jesteśmy?

Odwrócił się do uśmiechniętej dziewczyny. Ponownie zwrócił uwagę na jej jasne włosy i szeroką twarz osoby, której przodkowie uprawiali ziemię na niegościnnym fiordowym wybrzeżu. Nie powinna zadawać pytań, tylko na nie odpowiadać i skrupulatnie wypełniać wszystkie polecenia. Niedługo wyskoczy z tych głupich spodni i srebrzystego biustonosza.

- W innym klubie - odpowiedział. - Tu jest lepszy klimat. - Mówił prawdę, lecz niech jej się nie zdaje, że będzie mogła

Efendi

1

poszaleć. - Masz. - Wyciągnął z woreczka drugiego fioletowego latawca. - Weź, od razu poczujesz się lepiej.

Patrzyła na niego z konsternacją, jakby próbowała ominąć wzrokiem jakąś nieuchwytną przeszkodę.

- Na co czekasz?

Posłusznie przełknęła pastylkę; nawet nie czekała, aż rozpuści się na języku. 1 znów ten błazeński uśmiech. Jeżeli ktoś był jeszcze w domu u niej w głowie, wyłączył światło i wyszedł.

- Tędy. - Maleńkimi obciążkami o pomarańczowych uchwyty przeciął drut w bramie. Narzędzie rzucił na żwir; miał zaufanie do chirurgicznych rękawiczek z lateksu. W normalnych okolicznościach specje z medycyny sądowej zdołaliby odczytać odciski palców, on jednak wieczorem rozmyślił wzory linii papilarnych, posługując się zwykłym, domowym wybielaczem.

Zaraz za bramą stała budka strażnicza z oknem z szybą refleksyjną. Strażnik mógł obserwować przez nie drogę prowadzącą do magazynu przeładunkowego, którego strzegła aluminiowa opuszczana brama, mocowana do uchwyty wbitego w betonowe podłoże. W tym przypadku kłódka wisiała na swoim miejscu.

Mike wzruszył ramionami. Zapewne kluczyk wisiał tam, gdzie wszystkie kluczyki. Znalazłby go na tablicy w budce, gdyby był mu naprawdę potrzebny... na co się nie zanosilo.

Szara karta, dzięki której poradził sobie z zamkiem mazdy, pomogła mu sforsować także budkę strażnika. Ten, kto zdecydował się zamienić standardowy system Chubb na japoński mechanizm, popełnił grubą błąd. Staroświeckie zamki nadal stanowiły trudniejszą zaporę dla włamywacza niż elektroniczne gadżety. I pewnie zawsze tak będzie.

Wnętrze budki, czego należało się spodziewać, przypominało graciarnię. Mike dostrzegł przedpotopową kuchenkę mikrofalową, całą oblepioną od środka tłuszczem, uświniony ekspres do kawy Brauna, pięć filiżanek z różnych kompletów. W plastikowym koszu było mniej śmieci aniżeli koło niego.

Westchnął. Między innymi dlatego nie lubił pracy w terenie.

- Sprzątnij tu trochę - rozkazał dziewczynie, która posłusznie kiwnęła głową.

1

Jon Courtenay Grimwood

- Gotowe - obwieściła rzeczowym tonem, jakby nie było nic dziwnego w tym, że z entuzjazmem pobierała po kimś śmieci, wyszorowała stół i ściany i wyczyściła od środka starą kuchenkę- Z drugiej strony, narkotyki postarały się o to, aby nie widziała w tej sytuacji nic nadzwyczajnego.

- Dobra dziewczynka.

Zamknawszy pożyczony egzemplarz „Hustlera”, zakazanego w całej Afryce Północnej, choć w al-Iskandarijji jeszcze w miarę tolerowanego, rozprostował ramiona, podniósł się z krzesła i podszedł do uśmiechniętej Amerykanki.

Godzina 5:49, sobota rano. Kasyno Quitrimali. Przebrzmiało nawoływanie do modlitwy. Pora wziąć się do roboty.

Efendi

1

Rozdział 26

16 pAŻt>ziernika

Dawn była już sztywna, kiedy zamykał za sobą drzwi budki. Była...

Uśmiechnął się cierpko, ubawiony własnym żartem. Poruszył palcami dłoni jak pianista po koncercie. Potem wyginał głowę na boki, jakby chciał tym sposobem zwalczyć ból w szyi.

W drugiej ręce trzymał serce i dwa ociekające płucą; ważyły więcej, niż się spodziewał.

- Hej, gnoju!

Obelga została wypowiedziana beztroskim, wzgardliwym tonem. Z szyderczo ugrzecznionym akcentem ulicznego zawadzia-ki. Mike'a najbardziej wkurzyło to, że stojący za nim chłoptaś odezwał się po niemiecku, w jego ojczystym języku.

Odwrócił się wolno, bardzo wolno. Gdy to robił, wolną ręką sięgnął do kabury przypiętej z tyłu do pasa.

- Uważaj, co robisz!

Mike znieruchomiał, gdy chłopiec z jasnymi dreadami potrząsnął automatem. Coś sobie przypominał.

- W klubie na korytarzu - rzekł chłopiec ze szpanerską złotą minisłuchawką w uchu.

Wreszcie sobie przypomniał: grupę studentów, z których jeden trochę odstawał. Ich spojrzenia się skrzyżowały... i ten ruch głowy. Nie chodziło mu wtedy o dziewczynę, a w zasadzie chodziło, tyle że Mike opacznie go zrozumiał.

- I wcześniej. - Avatar ściągnął z oczu srebrzyste soczewki kontaktowe i razem z płową peruką rzucił je na asfalt. Jednak, na wszelki wypadek, podniósł trzęsące się jak galareta jedno-razówki i schował je do kieszeni koszuli. - Na dachu w klubie Sarahz, pamiętasz? Udawałeś Anglika. - Poprawił minisłuchawkę-

1

Jon Courtenay Grimwood

chawkę i ściszył jakiś zakręcony kawałek o psach, łodziach i pistoletach.

- Nie jesteś z policji? - Mike otworzył szeroko oczy.

- Les merde? Chciałbyś! - Avatar uśmiechał się ponuro. - Dowodzę brygadą Rdza Nie Śpi, odłamię Action Directe...

- Jesteś żołnierzem?

Avatar prychnął, wkładając w to prychnięcie całą arogancję człowieka, którego przez czternaście lat świat uczył, że jeśli prędko nie dorośnie, zostanie zdeptany.

- Anarchizującym marksistowskim syndykalistą. Tacy jak my naprawią kod źródłowy tego miasta!

- Za późno - odparł Mike. - Zginął kolejny amerykański obywatel. Znowu będzie zadyma.

Avatar spojrzał na żyłowate szczątki w ręku mężczyzny. Działał w oparciu o założenie, że zabójstwo zostanie poprzedzone gwałtem, 'najprawdopodobniej dokonany wolno i metodycznie, biorąc pod uwagę dotychczasowe, niemal zwierzęce okrucieństwo mordercy. Niestety, pomylił się w swoich rachubach, co mu trochę pomieszało szyki.

- Rzuć podroby i wypróżnij kieszenie!

Avatar patrzył, jak mężczyzna wyciąga jednorazowy aparat fotograficzny, papierosy, płaski klucz elektroniczny, tanią zapalniczkę i mały japoński nożyk do suszi, który przypominał profilem dziecięcy helikopter.

- Resztę też!
- To wszystko. - Mężczyzna wyrzucił kieszenie.
- Niewiele zabierasz w podróż, co?

W Action Directe popierano taką formę podróżowania. Bez bagażu emocjonalnego, politycznego czy takiego w dosłownym znaczeniu. Albowiem każdy bagaż wydłużał czas reakcji od impulsu do działania. Chociaż Zara twierdziła, że bagaż polityczny człowiek wszędzie ze sobą wozi.

Avatar właściwie nie wiedział, co motywuje go do działania. Może to, że morderca pracował w Thiergarten, a więc był wrogiem postępu. A może fakt, że dziewczyna, bestialsko zamordowana na plaży przy Villa Hamza, była na swój sposób ostrzeżeniem dla magnata przemysłowego, choć jego politycznych zapatrywań zdecydowanie nie podzielał.

Efendi

15

Do tego dochodził Raf, który wprawdzie był gliną, ale też uratował życie Avatarowi, o czym ten nie wspominał jeszcze ojcu.

Pokręcił głową.

- Dawaj piguły! - Począł, aż mężczyzna odepnie dwa pierwsze guziki koszuli.

Mike'owi drżały ręce, gdy oddawał woreczek.

- Buźka szeroko! - Avatar wyciągnął fioletową pastylkę i wetknął agentowi spluwę pod brodę.

Niemiec poczuł chłód metalu na porannym zaroście. Połknięciem pastylki przypieczerował swój los.

- Bierz podroby i chodź ze mną! - poleciał chłopiec.

Drzwi do magazynu łatwo się otworzyły, chociaż mężczyzna

już się niczemu nie dziwił, kiedy chłopiec wyciągnął z kieszeni zapasowy klucz i odemknął kłódkę. Aluminiowa brama zwinęła się do góry z melodyjnym metalicznym grzechotem.

- My my, hey hey...

Dając nazwę swojej brygadzie, sugerował się tytułem wiekowego albumu CD, który kupił na bazarze. Kawałki były niezłe zakręcone, prawdziwy rarytas. Zsamplował część nagrań, a płytę podarował Żarze. Od tamtej pory ani razu o niej nie wspomniała, więc prawdopodobnie nie utrafił w jej gust.

- Hey hey, my my...

Ponad dziesięć minut zajęło im odnalezienie zapasowych butli z butano i wytaszczenie ich z kuchni na halę magazynową. W sumie butli było siedem; każda pomarańczowa, duża i ciężka jak Avatar, może



nawet cięższa. Potem przyszła kolej na bryły smalcu, przeznaczone do rozsmarowania po kasynie, a także gliniane słoje z margaryną i dwa potężne pojemniki z półpłynnym masłem ghi. Ze schodów zabrali denaturat służący jako paliwo do kuchenek spirytusowych, z rodzaju tych starych, wymuskanych c?fcek.

- Widzisz je? - Avatar wskazał puszki z olejem kukurydzianym, ułożone pod ścianą w kuchni. Kasyno mogło się pochwalić dwoma renomowanymi kucharzami, podprowadzonymi z pokładu SS „Jannah”, lecz połowa odwiedzających je hazardistów napychała się świeżo smażonymi chipsami z papryką. Ta ruska połowa...

Niemiec pokiwał głową.

- Rozlej zawartość na dywanach w holu i wróć, kiedy skończysz.

1

Jon Courtenay Grimwood

Początkowo zamierzał zagonić faceta do niewolniczej harówki, lecz przenoszenie butli z gazem wymagało dwóch osób, a czas uciekał... Niebezpieczeństwo zbliżało się nie tylko do niego, ale też do jego ojca, miasta, a nawet Generała, jeśli wierzyć pogłoskom krążącym na ulicy. Avatar wierzył temu, co słyszał na bazarach i w knajpkach, ponieważ to był jego świat. Mimo starań, Zary, która chciała to zmienić.

Co się tyczy kasyna, to nie lubił tego typu miejsc i bawiącej w nich klienteli.

- Skończone...

Uśmiechnął się do Niemca i kiwnięciem palca przywołał go do siebie. Ten też się uśmiechnął z dziecinnym wyrazem twarzy. Avatar pamiętał jednak, że ma przed sobą mordercę, który właśnie zaszlachtował dziewczynę. A przecież zmasakrowane zwłoki leżały w budce zaledwie pięćdziesiąt kroków dalej, zapewne z inicjałami jego ojca wyciętymi na nadgarstku.

- Masz. - Podał butelkę marnej brandy. Nazwa była francuska, naklejka wydrukowana w al-Iskandarijji, a winogrona zebrane w Algierze. Wyrób nieokreślony. Wykonany wszędzie i nigdzie. Równie popieprzony, jak to miasto. - Napij się.

Mężczyzna zastosował się do polecenia, krztusząc się przy przetykaniu mocnego alkoholu.

- No, jeszcze...

Kiedy w butelce już niewiele zostało, Avatar zaprowadził agenta po ciemnych schodach do magazynu i kazał mu zatrzymać się na środku betonowej posadzki, mokrej od wylanego oleju, denaturatu i brandy z rozbitych butelek. Butle z gazem stały na obrzeżach niczym wartownicy.

Za pomocą monet otworzył zawory w butlach, a gdy woń gazu wybiła się ponad zapach parującego alkoholu, kazał facetowi odliczać od stu w dół, a gdy dojdzie do zera, zapalić papierosa. Przed zamknięciem bramy magazynu i podkręceniem dźwięku w ministuchawce rzucił po betonie nóż do suszi, który znieruchomiał przy okrwawionych narzędziach u stóp, Niemca.

Dopiero później, gdy wracał swoim volkswagenem do klubu Neutropic, obmyślając dla siebie alibi,

zdał sobie sprawę, że powinien być przepytany agenta, nim go zabił. Chciał szybko załatwić sprawę, ale przydałoby się wyjaśnić to i owo.

Efendi

1

Rozdział 27

17 pArt>zicniUA

Gdyby w pracowni komputerowej kto inny obżerał się big makiem, dużą porcją frytek, shakiem czekoladowym i krążkami cebuli, madame Roden wywaliłaby delikwenta za drzwi, a może nawet zakazała mu wstępu. Ale ponieważ Hani grzecznie zapukała, nie wpychała się nachalnie do środka i z uśmiechem wcisnęła paczkę frytek wybrednej administratorce z nocnej zmiany, ta wspaniałomyślnie wyciągnęła chłodną frytkę i wolno ją zjadła, jakby rozkoszowała się bezcenną czarną truflą z Perigord.

- Nie powinnaś teraz spać w domku? - zapytała i skrzywiła się, zła na siebie za brak wyczucia. Gdyby została sierotą, też nie odstępowalaby na krok swego nowego opiekuna.

- Wujek Aszraf wrócił po jakieś dokumenty - wyjaśniła dziewczynka, jakby nie zauważyła potknięcia kobiety. Oczywiście, nie były to dokumenty na papierze. Codzienne materiały przeważnie trafiały drogą elektroniczną prosto do zegarka Rafa, ale gdy zdarzył się szczególnie ważny, należało się podpisać, nim pracownik wydał kopię z centralnego rdzenia danych na posterunku.

Madame Roden odpowiadała w nocy za stan rdzenia danych, który wszakże rzadko wymagał ingerencji człowieka. Przez większość czasu czuwała, aby mundurowi nie wylewali kawy na klawiaturę i nie próbowali dostać się do niestosownych fotografii, archiwizowanych przez pracowników obyczajówki.

Zdjęcia wykonane przez policjantów odgrywały niebagatelną rolę w sprawach o popełnienie czynu niemoralnego. Rzecz jasna, funkcjonariusze obyczajówki traktowali je jako materiał dowodowy. Przynajmniej większość z nich.

Efendi

1

Rozdział 27

17 pAŻfczicniUA

Gdyby w pracowni komputerowej kto inny obżerał się big makiem, dużą porcją frytek, shakiem czekoladowym i krążkami cebuli, madame Roden wywaliłaby delikwenta za drzwi, a może nawet zakazała mu wstępu. Ale ponieważ Hani grzecznie zapukała, nie wpychała się nachalnie do środka i z uśmiechem wcisnęła paczkę frytek wybrednej administratorce z nocnej zmiany, ta wspaniałomyślnie wyciągnęła chłodną frytkę i wolno ją zjadła, jakby rozkoszowała się bezcenną czarną truflą z Perigord.

- Nie powinnaś teraz spać w domku? - zapytała i skrzywiła się, zła na siebie za brak wyczucia.

Gdyby została sierotą, też nie odstępowałaby na krok swego nowego opiekuna.

- Wujek Aszraf wrócił po jakieś dokumenty - wyjaśniła dziewczynka, jakby nie zauważyła potknięcia kobiety. Oczywiście, nie były to dokumenty na papierze. Codzienne materiały przeważnie trafiały drogą elektroniczną prosto do zegarka Rafa, ale gdy zdarzył się szczególnie ważny, należało się podpisać, nim pracownik wydał kopię z centralnego rdzenia danych na posterunku.

Madame Roden odpowiadała w nocy za stan rdzenia danych, który wszakże rzadko wymagał ingerencji człowieka. Przez większość czasu czuwała, aby mundurowi nie wylewali kawy na klawiaturę i nie próbowali dostać się do niestosownych fotografii, archiwizowanych przez pracowników obyczajówki.

Zdjęcia wykonane przez policjantów odgrywały niebagatelna rolę w sprawach o popełnienie czynu niemoralnego. Rzecz jasna, funkcjonariusze obyczajówki traktowali je jako materiał dowodowy. Przynajmniej większość z nich.

18

Jon Courtenay Grimwood

Madame Roden pokręciła głową. W obecności dziecka nie powinna nawet myśleć o takich rzeczach.

- Mogę skorzystać z terminalu?

Starsza kobieta była w rozterce. Policyjne przepisy właściwie tego nie zabraniały, ale też nie mówiły, że to dozwolone. Po raz pierwszy do pracowni komputerowej wprasała się dziesięcioletnia dziewczynka, taka sytuacja nie miała precedensu. Zresztą, co tam dziecko: w tym rewirze nie przebywał jeszcze żaden cywil.

- Spotkałam po drodze Kamilę - odezwała się nagle Hani.

- Powiedziałam jej, że tu idę. Kazała mi panią pozdrowić.

- Uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Pozdrawiam.

Madame Roden rozpromieniła się. Pamiętała Kamilę w tym wieku. Czyli dziesięć lat temu, choć wydawało się, że to było wczoraj. Obecnie jej córka pracowała w kostnicy i składała meldunki, rzecz niebywała, bezpośrednio madame Mili.

- Mogę?

Madame Roden zamrugnęła oczami.

- Ależ oczywiście - odpowiedziała z niejakim rozbawieniem. Tak już na nią działała Hani. Można powiedzieć, że działała tak na prawie każdego.

- Dziękuję. - Hani wdrapała się na fotel i pacnęła w spację, aby wyprowadzić terminal ze stanu uśpienia.

- Pomóc ci znaleźć jakąś fajną gierkę?

Hani pokręciła głową przecząco. Lubiała tę schludnie ubraną kobietę, co jednak nie znaczyło, że

dokuczały jej wyrzuty sumienia, gdy ją bajerowała. Życie ją nauczyło, że dorośli są po to, aby ich bajerować. Wyjątkiem był może Aszraf, ale z wujkiem to inna sprawa.

- Nie, dziękuję - odparła grzecznie. - Napiszę następne opowiadanie.
- Następne?

Hani się uśmiechnęła.

- Opowieść o Sulejmanie Wspaniałym i złym dzinnie.

Gdy już miała ekran dla siebie, weszła na skrzynkę pocztową, odszukała niedokończone opowiadanie, rozpoczęte przed kilkoma miesiącami, i przekleiła je do prostego edytora tekstu. Jako tło wybrała obciachowy pergamin. A więc była jaka tekstura i była jaka czcionka. W domu dysponowała pięćdziesiąt-

Efendi

1

cioma trzema rodzajami ozdobnych wersalików, w dużej części skopiowanych z uniwersyteckiego archiwum w al-Kahirze.

Po zminimalizowaniu okna zatytułowanego „Sen Sulejmana, alegoria III” i lekkim przekręceniu ekranu, żeby nikt nie mógł jej podglądać, zalogowała się po raz drugi, również jako gość. Tym razem w wyświetlonym oknie figurowała jako Muszin bej, mąż jej nieżyjącej ciotki Dżalili, do tego jeszcze minister policji i teoretycznie przełożony Aszrafa.

Jedni rozpowiadali, że wujek Muszin siedzi w domu, gdzie w ciemności rozpacza po stracie żony, inni zaś twierdzili, że leczy się z alkoholizmu w klinice odwykowej. Hani wolała drugą wersję.

Nikomu nie przyszło do głowy zablokować dostęp do sieci Muszinowi bejowi. Nikt też nie zmienił hasła, które brzmiało, jakżeby inaczej, „Dżalila”.

Najszybsze połączenie, wiadomo. Status uprzywilejowanego użytkownika. Zdaniem Hani, wujek nawet nie wiedział, co to znaczy i do czego upoważnia. Przeskakując palcami z klawisza na klawisz, przywołała aktualną listę przestępstw i podświetliła te wspomniane w wiadomościach przez Ferdiego Abdullaha.

Postanowiła poczytać sobie o dziewczynie znalezionej na plaży Hamzy, lecz po dwóch akapitach zmieniła zdanie. Wprawdzie nie rozumiała wielu terminów medycznych, jednak reszta

była na tyle oczywista, że zamknęła okienko.

\*\*\*

- Ciekaw jestem - zapytał Raf - czy widziała pani...
- W pracowni komputerowej, ja bej. - Madame Roden nigdy nie wiedziała, czy powinna się uśmiechać w obecności Aszrafa al-Mansura. Z jednej strony, miała do czynienia z szefem swego męża, czyli uśmiech byłby wskazany. Niestety, musiała też brać pod uwagę całą tę smutną historię ze śmiercią jego ciotki. Do tego szefowa Kamili, madame Mila, najwyraźniej go nie znosiła. 1 szkoda, że

nieszczęsny Muszin bej wściekał się na każdą wzmiankę o al-Mansurze. Chociaż bez powodu. Zupełnie jakby Aszraf ponosił winę za czyny tych strasznych zamachowców.

Jego Ekscelencja, biedaczysko, wyglądał na przemęczonego.

- Właściwie, to dziękuję - rzekł Raf. - Za to, że pozwoliła pani małej skorzystać z terminalu.

Efendi

1

cioma trzema rodzajami ozdobnych wersalików, w dużej części skopiowanych z uniwersyteckiego archiwum w al-Kahirze.

Po zminimalizowaniu okna zatytułowanego „Sen Sulejma-na, alegoria III” i lekkim przekręceniu ekranu, żeby nikt nie mógł jej podglądać, zalogowała się po raz drugi, również jako gość. Tym razem w wyświetlonym oknie figurowała jako Muszin bej, mąż jej nieżyjącej ciotki Dżalili, do tego jeszcze minister policji i teoretycznie przełożony Aszrafa.

Jedni rozpowiadali, że wujek Muszin siedzi w domu, gdzie w ciemności rozpacza po stracie żony, inni zaś twierdzili, że leczy się z alkoholizmu w klinice odwykowej. Hani wolą drugą wersję.

Nikomu nie przyszło do głowy zablokować dostęp do sieci Muszinowi bejowi. Nikt też nie zmienił hasła, które brzmiało, jakżeby inaczej, „Dżalila”.

Najszybsze połączenie, wiadomo. Status uprzywilejowanego użytkownika. Zdaniem Hani, wujek nawet nie wiedział, co to znaczy i do czego upoważnia. Przeskakując palcami z klawisza na klawisz, przywołała aktualną listę przestępstw i podświetliła te wspomniane w wiadomościach przez Ferdiego Abdullaha.

Postanowiła poczytać sobie o dziewczynie znalezionej na plaży Hamzy, lecz po dwóch akapitach zmieniła zdanie. Wprawdzie nie rozumiała wielu terminów medycznych, jednak reszta

była na tyle oczywista, że zamknęła okienko.

\*\*\*

- Ciekaw jestem - zapytał Raf - czy widziała pani...

- W pracowni komputerowej, ja bej. - Madame Roden nigdy nie wiedziała, czy powinna się uśmiechać w obecności Aszrafa al-Mansura. Z jednej strony, miała do czynienia z szefem swego męża, czyli uśrffiech byłby wskazany. Niestety, musiała też brać pod uwagę całą tę smutną historię ze śmiercią jego ciotki. Do tego szefowa Kamili, madame Mila, najwyraźniej go nie znosiła. I szkoda, że nieszczęsny Muszin bej wściekał się na każdą wzmiankę o al-Mansurze. Chociaż bez powodu. Zupełnie jakby Aszraf ponosił winę za czyny tych strasznych zamachowców.

Jego Ekscelencja, biedaczysko, wyglądał na przemęczonego.

- Właściwie, to dziękuję - rzekł Raf. - Za to, że pozwoliła pani małej skorzystać z terminalu.

170

Jon Courtenay Grimwood

- Zrobiłam to z przyjemnością. - Niewysoka kobieta spłonęła rumieńcem.
- Co ona robi? Wie pani?
- Pisz kolejne opowiadanie, Wasza Ekscelencjo. Tak mi powiedziała...
- No, skoro tak... - Pożegnał się skinieniem głowy i wrócił do biura, w którym czarny, bakelitowy telefon próbował obudzić zmarłych. Ten aparat był tu chyba tylko dla hecy. Takie przynajmniej odnosił wrażenie. Felix z pewnością chciał coś przez to powiedzieć.

Raf wszedł do gabinetu, gdzie dawniej urzędował grubas. Nawet się nie fatygował, żeby zmienić wystrój wnętrza. Stare biurko również sobie przywłaszczył. W dolnej szufladce z prawej strony, za pudełkiem z nanoporowymi rękawiczkami, stała opróżniona do połowy butelka Jacka Danielsa. W szufladce z lewej strony stały cztery puste flaszki. Mniej więcej do tego sprowadzały się umiejętności biurowe dawnego szefa wydziału.

Raf już miał podnieść słuchawkę, kiedy telefon zamilkł i zapaliła się lampka, co świadczyło o tym, że wreszcie przyszła jego sekretarka. Sprawdził czas na swoim seiko. Godzina 8:30, niedziela rano. Westchnął.

- Kawy! - zażądał, wcisnąwszy guzik niezgrabnego interco-mu, który zapewne był kolejnym jajcarskim zakupem Felixa.
- Proszę! - dodał trochę poniewczasie.
- Kawa, Wasza Ekscelencjo... - Szczupła dziewczyna położyła tackę i tak ją obróciła, aby intarsjowany wzór ułożył się równolegle do krawędzi masywnego biurka. - I były do pana...
- dorzuciła niepewnym głosem - ...były do pana trzy telefony.
- Tyłko tyle? - Zazwyczaj, nawet w niedzielę, zbierało mu się kilkadziesiąt takich, na które nawet nie raczył odpowiedzieć.
- Trzy bardzo ważne, Wasza Ekscelencjo.

Dziewczyna ostrożnie nalewała kawę do maleńkiej, mosiężnej filiżanki. Nazywała się Natacha coś tam, coś tam. Lis przy-uważył ją, kiedy po rozmowie kwalifikacyjnej wychodziła z teczką pełną papierów. To on kazał Rafowi zapytać o jej imię.

Nic bardzo wiedział dlaczego. Dziewczyna miała wpadnięte oczy, szarżółtą skórę i ciało wyrobione dzięki wieczorom spędzonym na drodzej siłowni. Ale to, co zarówno on, jak i lis od razu spostrzegli, widząc ją po raz pierwszy na korytarzu,

to długie, ciemne włosy, opadające do wąskich bioder. Włosy idealnie proste i czarne jak noc.

Gdy ją zobaczył następnym razem, otwierała drzwi biura, podawała mu kawę i wręczała poranną listę przestępstw. Z jednego zdawkowego pytania Rafa ktoś na posterunku wywnioskował, że dziewczyna ma zostać jego osobistą sekretarką. Tak więc teraz zajmowała się pocztą, robiła kawę, uzupełniała terminarz i troszczyła się o inne rzeczy, o których sam miał zerowe pojęcie. 1 przez cały czas płochliwie zerknęła na niego kątem oka.

Pewnie się zastanawia, kiedy zacznę się do niej dobierać, pomyślał z westchnieniem.

- Jakież kłopoty, Wasza Ekszelencjo?

Popatrzył na nią.

- Ile masz lat?

Zaczerwieniła się.

- Osiemnaście, Wasza Ekszelencjo.

I już pracowała dla nowego naczelnika wydziału śledczego, nawet jeśli dostała tę pracę przypadkowo. Naturalnie, poza biurem starała się wyglądać elegancko, lecz tutaj nosiła czarne dżinsy i białą, bawełnianą bluzeczkę, czarne skórzane buty na niskim obcasie i pasek do kompletu. Rozpięła się pod szyją i zakasała rękawy, niczym kobieta ze zdjęcia w czasopiśmie, jakby dawała do zrozumienia, że jest gotowa ciężko harować.

Rok temu, jak należało przypuszczać, ręce odsłonięte do ramion nikogo nie raziły. Teraz z ledwością uchodziły. Za rok w takim ubraniu na pewno naruszy obowiązujące przepisy. Oczywiście, z racji swojej płci za rok nie znajdzie zatrudnienia w żadnym biurze w tym mieście.

- Co to za ważne telefony? - zapytał Raf nieumyślnie nerwowym głosem.

Próbowała odgadnąć, czym się naraziła.

- Najpierw dzwonił Hamza efendi. Potem jego córka Zara. - Dziewczyna urwała. - Zostawiła nowy numer. Prawdopodobnie zapomniała powiadomić pana o zmianie poprzedniego.

Czyżby po jej twarzy przemknął cień dezaprobaty? Cóż, nawet jeśli tak, to był usprawiedliwiony.

- A trzeci telefon? - zapytał spokojnie.

- Od Generała.

1

Jon Courtenay Grimwood

No tak, tylko tego brakowało. Zerknął na raport wyświetlony na ekranie. Rozkrojony brzuch, wycięte serce i płuca, poprzeczki na końcach długich ramion krzyża, inicjały H. Q. na nadgarstku... Niebawem będzie mógł nawet we śnie wyrecytować listę zadanych ran. Aczkolwiek o spaniu na razie nie było mowy. Bo jeśli lis znowu zniknie?

- Powiedz im, że poszedłem na śniadanie - polecił sekretarce. - To znaczy, gdyby jeszcze

dzwonili.

Uśmiechnął się na widok zdumionej Natachy. Hamza Qu-itrimała był bogaczem i wszyscy w al-Iskandarijji wiedzieli, że Raf miał poślubić jego córkę. Przerazenie dziewczyny wynikało jednak z tego, że Raf nic sobie nie robił z autorytetu Generała. Nikt nie śmiał podawać w wątpliwość władzy Koeniga Paszy i stąd brała się jego siła. W efekcie rzadko z tej siły korzystał.

- Powiedz im i tyle.

Stary cadillac grubasa stał na zarezerwowanym miejscu parkingowym. Nawiasem mówiąc, na tabliczce wciąż pisało Felix Abrinsky, naczelnik Wydziału Śledczego, ponieważ dokumenty wymagane do zmienienia tabliczki leżały na biurku i czekały na podpis. Raf nie wiedział jeszcze, czy zostanie w tej robocie, więc ignorował tego rodzaju formalności. Poza tym, kiedy patrzył na napis na tabliczce, odczuwał dziwny zastrzyk adrenaliny, jakby grubas miał lada chwila wytoczyć się z windy na poziomie garażowym i ruszyć do auta, przynosząc ze sobą opary alkoholu, niepotrzebne drobiazgi i złe rady.

Efendi

1

Rozfci 2A 2\$

17 pAżi>zicrnk\*.\

Był to herb al-Iskandarijji, a używać go mógł na porożcach jedynie gubernator, mimo iż prawie każda osoba na Rue Missała wyznałaby w sekrecie, że ma do tego prawo wyłącznie Koenig Pasza - tak trwale w umysłach ludzi związany był Generał z ich miastem.

Młodego oficera, siedzącego za kierownicą bentleya, Raf widział po raz ostatni kilka miesięcy temu na miejscowym lotnisku. Gdy jako wielce kłopotliwą osobę przerzucano go z rąk do rąk na coraz wyższe stopnie hierarchii służbowej.

- ...suf- rozległ się szept w jego głowie.

- Kapitanie Jusuf. - Raf wyciągnął rękę.

Mężczyzna cieszył się, że go pamiętano, ale też był nieco zażenowany.

- Teraz już major Jusuf, Wasza Ekscelencjo. Zostałem awansowany.

- Gratuluję. Za oddane zasługi?

Major jeszcze bardziej się zmieszał. Wydawało mu się rzeczą niestosowną tłumaczyć, że dał się poznać Generałowi, gdy odmówił brania na siebie odpowiedzialności za deportowanie Jego Ekscelencji jako osoby niepożądanej w kraju, co koniec końców okazało się mądrą decyzją. Oczywiście, nietaktem byłoby też wspomnianie, że awansował z przeskoczeniem starszych od siebie oficerów, w tym kapitana, którego Generał wprost nie znosił.

- Kawy? - zapytał Raf, gdy z wnętrza kawiarni wynurzył się niezauważenie starszy kelner. - A może herbaty miętowej?

- Obawiam się, że nic z tego, Wasza Ekscelencjo. - Skinieniem głowy major wskazał czekający



samochód. - Ktoś na pana czeka.

174

Jon Courtenay Grimwood

- General? - Raf udął zdziwienie.

Major Jusuf przytaknął.

- Znowu mamy morderstwo. Nie żyje Amerykanka. Ale przecież pan musi o tym wiedzieć, Wasza Ekscelencjo. - Pokazując cadillaca zaparkowanego na chodniku, gdzie kiedyś zwykł parkować Felix, major dodał: - Postaram się, żeby podstawiono panu samochód.

Przed dębowymi drzwiami rezydencji w ogrodach Szallalat spotkał młodzieńca, który zerknął na zmiętą twarz szefa dochodzeniówki, unióś brwi i ruchem głowy wskazał drzwi.

- On czeka... - Zawahał się, jakby zamierzał powiedzieć coś więcej, lecz w końcu tylko wzruszył ramionami.

- Wiem - odparł Raf zmęczonym głosem. - Na pewno się gniewa.

- Gniewa się... - Jego Wysokość Muhammad Taufik pasza, chedyw al-Iskandarijji i, przynajmniej z nazwy, rządca Egiptu stanął jak wmurowany. - Gniewa się - powtórzył, gapiąc się na Rafa wybałuszonymi oczami. - To mało powiedziane. - Chłopiec coś sobie przypomniał. - 1 z pewnością zna pański prawdziwy rodowód.

Raf ostro zapukał do drzwi gabinetu gubernatora, odczekał kilka sekund i znowu zapukał. Przed ponownym pukaniem rozmyślił się, wyprostował i wszedł do środka. W niedużym gabinecie nikogo nie było.

Nie dziwiła ani boazeria, ani lustra, ani posadzka z białego marmuru. Gabinety dygnitarzy w al-Iskandarijji w najrozmaitszy sposób próbowały naśladować europejską stylistykę, chociaż w niektórych arabskie mozaiki wyparty drewnianą boazerię. W tym przypadku jednak zaskakiwał swoją obecnością nowy obraz olejny, zajmujący prawie całą ścianę; farby błyszcząły świeżością, a na ciężkiej, połączanej ramie nie było śladu nalotu. Chłopak, który powitał Rafa przed głównym wejściem, na obrazie prezentował się w zielonym mundurze ze złotymi galonami na mankietach. Z wyjątkiem tego oraz cienkich, złocistych lampasów mundur był pozbawiony ozdób. Z boków na kołnierzu lśniły gwiazda i półksiężyc. Chłopiec nosił u pasa zwyczajną szablę na rapciach ze złotego sznura, a na głowie czerwony fez.

Efendi

175

- Wystroił się jak mutahfiz...

Raf nie znał tego słowa, lecz z tonu wypowiedzi poznał, że to nie komplement.

- Pan zaś, jak się zdaje, robi wszystko, żeby stracił miasto. - Stary człowiek stał chwiejnie w

przeszkłonych drzwiach, ściskając w pobielających knykciach rączkę rattanowej laski. Za jego plecami otwierał się widok na niespotykany zielony ogród z araukariami, rododendronami, posągami z brązu i równiutko przyciętymi rzędami żywopłotów.

- Miał pan zły dzień? - zapytał Raf.

Generał przewiercał go spojrzeniem oczu ciemnych jak chmura burzowa.

Drzewa oliwne. Czerwona ziemia. Chłopiec pada na plecy z przerażoną miną. Choć broczy z ust ciemną krwią, ból w jego oczach związany jest z raną duszy, nie ciała.

Raf zamrugął.

- Boi się pan? - spytał Generał.

- Ja się zawsze boję.

Dostojnik sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Czego? Mnie?

Raf pokręcił głową.

- Nie tylko pana, po prostu wszystkiego. Budzenia się i zasypiania. Patrzenia w lustro. Wypalania się tego, co może nie istnieje.

- Czyli zwykłych rzeczy. - Starzec pokiwał głową i w roztargnieniu postawił koniakówkę na wypolerowanym blacie zabytkowego biurka. Pod kieliszkiem utworzyło się mokre kółko. Po tym właśnie Raf poznał, że najślawniejszy iskandaryjski abstynent naprawdę jest pijany. - Takie to nasze życie - rzekł Generał. - Żyjemy, umieramy... a w międzyczasie boimy się przyznać, że się boimy. Zna pan prawdziwą definicję odwagi?

- Takich definicji mogą być tysiące. - Raf zabrał z biurka kieliszek Generała i wytarł rękawem płamę. - Często są sprzeczne. - Zakotłosał szkłem, aż koniak pokrył wewnętrzne ścianki kieliszka. Potem patrzył, jak ciemny trunek spływa maleńkimi strużkami.

- ...znaka dobrego VSOP - podpowiedział lis.

Raf pamiętał słowa jednego z kochanków matki, chyba producenta kanału Animal Channel, który opowiadał chłopcu

17\_Jon Courtenay Grimwood

o koniaku, gdy w rzeczywistości usiłował zaimponować nałogowej pijaczce - za głupi na to, by zrozumieć, że może ją zdobyć tylko funduszami na powstanie nowego filmu.

- Tak? - Patrzył na Generała, który stał i czekał.

- Moja definicja odwagi. Zna pan ją może?

- Idź na śmierć z podniesionym czołem?

- Walcz, jakbyś wierzył, nawet jeśli nie wierzysz.

- To samo. - Raf odstawił kieliszek Generała na złożoną kartkę papieru, leżącą na biurku między nimi.

Na niewyraźnym zdjęciu widać było zaginioną nastolatkę z długimi, odkrytymi blond włosami; stała uśmiechnięta na rogu ulicy w jakimś dużym mieście, na pewno nie w al-Iskandarijji. Przypuszczalnie w Paryżu, sądząc po znajdującej się w tle białej bazylice. Zdawkowy komentarz pod zdjęciem nie pozostawiał wątpliwości, że dziewczyna jest ostatnią ofiarą potwora. Nie było podkreślonych odsyłaczy, prowadzących do innych stron, ponieważ gazety „Saiyidi” nie kopiowało się z elektronicznego kolportera: drukowano ją na staroświeckiej prasie drukarskiej gdzieś w piwnicy w dzielnicy Karmus, a czytali ją ci, których nie było stać na płatny dostęp do serwisów informacyjnych ani na kopiowanie artykułów z maszyny. Ta sama miejska biedota słuchała pirackich stacji radiowych i dawała wiarę, najczęściej prawdziwym, plotkom krążącym po bazarach.

- Zarzekał się pan, że morderca nie żyje.

- Morderczyni.

- Naprawdę? - Koenig Pasza uniósł brwi, zdziwiony. - Ktokolwiek panu o tym powiedział, był w błędzie. Do licha z takim informatorem.

- Nikt mi niczego nie mówił - rzekł Raf z uniesieniem. - Kobieta nie żyje, bo sam ją zabiłem.

- W takim razie kto morduje? Jej duch? - Zaśmiał się gorzko Generał, też już zmęczony. - Niech pan poleje.

Raf pokręcił głową w geście odmowy, lecz nagle uświadomił sobie, że to rozkaz, a nie propozycja. Rozejrzawszy się, dostrzegł na półokrągłym marmurowym stoliku dużą butelkę koniaku Hine, przechyloną na okazałym stosie materiałów wywiadowczych.

Brakowało korka, a wraz z nim połowy trunku. Raf nadal szukał wzrokiem kieliszka, gdy w końcu Generał mruknął, zniecierpliwiony:

Efendi

177

- Mnie, idioto, nie sobie! - Podał koniakówkę, którą Raf napełnił do połowy. Potem niepewnie odwrócił się w stronę przeszklonych drzwi i ruszył do ogrodu, nie troszcząc się o to, czyjego rozmówca za nim idzie.

A Raf pozostał w gabinecie, gdzie z wielkim zainteresowaniem przeglądał dokumenty wywiadowcze, znalezione pod butelką. Były zredagowane zwięźle, rzetelnie, do tego bardzo wymownie. Zgodnie z doniesieniem pewnego zastępcy attache w tymczasowym konsulacie w Seattle, Bractwo Pięciu Wiatrów, reprezentowane w osobie niejakiego Dzikiego Chłopca, pionka we wspomnianej organizacji, oferowało milion dolarów za informację o osobniku zwanym ZeeZee. O poszukiwanym mężczyźnie wiadano, że wsiadł do lecącego do Zanzibaru samolotu Osmańskich Linii Lotniczych. Niestety, w biurze na lotnisku Seattle-Tacoma nikt nie umiał powiedzieć, pod jakim nazwiskiem ZeeZee podróżował i czy nie wysiadł gdzieś po drodze. Udało się tylko ustalić, że poszukiwany posługuje się paszportem dyplomatycznym, prawdopodobnie wydanym w Istambule. Jak na złość, kobieta na stanowisku odprawy biletowo-bagażowej nie zajrzała do środka.

- Ma pan jakieś skojarzenia?

W drzwiach stał chedyw z drwiącą miną.

- Nie - odparł Raf. - Żadnych.

Chłopiec uśmiechnął się.

- Ja też nie.

\*\*\*

Pod największym cyprysem znajdowała się ozdobna żeliwna ławka. Między nią a pobliskim dębem stała zaśnieżona rzeźba, nieco wyższa od Rafa. Przedstawiała w sposób uproszczony drzewo i nagą dziewczynę, wpadającą w bezlistne gałęzie.

- Pike suerer mellom grenene-odezwał się Generał. - 1907 rok. Gustav Vigeland. Wie pan, co ona reprezentuje?

Oczy szeroko otwarte, usta rozdziawione, piąstki zaciśnięte. Można było zgadywać, lecz Generał ubiegł Rafa i sam odpowiedział na pytanie, jakby zadał je sobie:

- Cokolwiek pan chce, żeby reprezentowała. I następne pytanie: kto decyduje o tym, co my sobą reprezentujemy? - Znowu nie czekał na odpowiedź: - Bo na pewno nie ja, a tym bardziej

17

Jon Courtenay Grimwood

pan, do cholery... - Starzec uniósł kieliszek z koniakiem i raptem w jego ciemnych oczach, patrzących na Rafa znad krawędzi szkła, nie było widać ani śladu pijaństwa. - Miasto decyduje.

Raf czuł potrzebę zrobienia czegokolwiek, więc pokiwał głową.

- Zapewne niejedno pan słyszał. Al-Iskandarijja nierządnica, al-Iskandarijja dziewica. Miasto ze szkła. Twarde i nieuchwytne, przemijające i wieczne. Miasto w mieście. Wszystkie truizmy ze wszystkich przewodników. Staruszek używał metafory o domku z kart...

Raf zorientował się, że Koenig Pasza ma na myśli ojca chedywa. Człowieka, który przez piętnaście lat tkwił w małej herbaciarni na wyspie przy wybrzeżu al-Muntaza. Tak długo umierał. Herbaciarnia stała się jego łóżkiem, wyspa - oddziałem szpitalnym, a haramlik po drugiej stronie wąskiego mostu - szpitalem pełnym specjalistów z całego świata.

- Metaforę o kartach przejął od ojca... zacofanego, staromodnego człowieka. - Generał mówił z niespotykaną u niego goryczą. - A jednak mądrego na swój sposób. - Na widok niezrozumienia malującego się na pociągłej twarzy Rafa zaczął gwałtownie poruszać chudymi rękami i długimi palcami, udając, że dokłada i zabiera karty z wymyślanego domku. - Jeśli strącisz kilka kart z wierzchu, tylko szczyt się zachwieje. Góra rozsypie się albo zostanie. Nawet jeśli rozleci się całe piętro, można go odbudować tymi samymi kartami. Ale wystarczy wyciągnąć kartę z dołu, a cała budowla grozi zawaleniem. Niezależnie od tego, jak mocno trzyma się góra. Zniszczony fundament to zniszczona całość. Staruszek to wiedział. Ja to wiem. Felix wiedział. Nawet chłopak, który tam czeka, wie o tym. Tylko pan, jak sądzę, nie bardzo...

- Al-Iskandarijja to nie domek z kart.

- Oczywiście, to mit zakorzeniony w historii, relikwium przeszłości tak skostniały w swej tradycji, że życie prawie stoi tu w miejscu. Wolne miasto, które połowa wolnego świata rozdarłaby na strzępy. Berlin nam nie ufa, to samo Paryż. Waszyngton, cóż, Waszyngton nas nienawidzi. Stoimy na nogach tylko dlatego, że w swojej głupocie nie widzimy własnej śmierci. Wie pan, jaka jest nasza unikatowa cecha wyrobu?

Raf pokręcił głową.

Efendi

17

- Siła bezwładności. Al-Iskandarijja jest wolnym miastem od tak dawna, że nikt nie umie sobie wyobrazić Afryki Północnej bez nas. Ale wystarczy posłuchać serwisów informacyjnych. W szerokim świecie ludzie puszczają wodze wyobraźni... - Generał wypił resztkę koniaku i głęboko odetchnął, wdychając opary. Zanim skończył kaszleć, powziął decyzję. - Gołym okiem widać, że jako szef wydziału śledczego, ma pan trzy poważne problemy.

- Mianowicie?

- Pierwszy jest także problemem osobistym. Tutaj w życiu obowiązuje zasada: zły w domu, dobry na ulicy. Panu w tej kwestii coś się poprzestawiało. Pozostałe problemy są poważniejsze. - Koenig Pasza mówił głosem cichym, lecz szorstkim. Kruchość jego ciała żywo kontrastowała z hartem ducha. - Jeden problem jest bardzo duży, drugi trochę mniejszy. Po pierwsze, czemu giną turyści?

- Wydaje nam się...

Starzec westchnął ciężko.

- Właśnie, ciągle wam się coś wydaje... Zaraz mi pan powtórzy, że morderca nie żyje i spłonął podczas pożaru. Otrzymuję raporty z wydziału, to chyba oczywiste. Niech się pan nie zastanawia, kto dopuszcza się tych makabrycznych zbrodni. Kazałem panu ustalić, dlaczego to robi.

- Jak, pańskim zdaniem, miałbym się za to zabrać?

- Niech pan łamie kołem, użyje wojska, do woli czerpie z miejskiej kasy. - Przez chwilę Generał sprawiał wrażenie, jakby chciał się wycofać z tej ostatniej oferty, lecz tylko wzruszył ramionami. - Po prostu, niech się pan dowie. Tylko żeby nic nie przeciekło do gazet i serwisów!

- To ten duży problem, co?

Generał uśmiechnął się lodowato. Strzepnąwszy zmarszczony liść z oparcia ławki, śledził jego krótki, chybotliwy lot na ziemię. A potem zdradził Rafowi, czego naprawdę chciała pani senator Liz i czemu akurat on, Generał, nie był w stanie jej tego zapewnić.

\*\*\*

Generał wyciągnął z szufladki szeleszczącą kartkę papieru i sięgnął po wieczne pióro, czarnego mont blanca inkrustowa-

## 1\_Jon Courtenay Grimwood

nego srebrnym kartuszem z herbem Prus. Pióro dostał w prezencie od ojca.

Jeszcze coś pisał zawzięcie, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Zapukano powtórnie, a ponieważ Generał nie kwapił się odpowiedzieć, Raf rzekł: - Proszę - i patrzył, jak drzwi się uchylają. Chłopak, który wpuścił go do rezydencji gubernatora, wśliznął się do środka, przystanął i patrzył z niepewnością to na niego, to na Generała.

- Wasza Ekszelencjo... \*

Starzec skinął głową, lecz nie przerwał pisania.

Nawet jeśli chedywowi było nie w smak, że musi stać, gdy siedzi jego główny minister, niczego nie dał po sobie poznać. Prawdę mówiąc, młodzieniec nie wydawał się w żaden sposób skrępowany zaistniałą sytuacją. Raf musiał zerknąć na pięknie obramowane malowidło, aby się przekonać, że naprawdę stoi naprzeciwko człowieka sprawującego w al-Iskandarijji władzę absolutną.

- Serwisy informacyjne...

Nie podnosząc wzroku, Generał pacnął narożnik biurka. Długie lustro w ramie ze szkła z Murano rozbłysło kolorami i ukazało roztrzęsioną kobietę przed staroświecką rezydencją, zbudowaną w stylu z początków XX w., nazwanego po latach stylem późnej arabeski. W dolnym rogu ekranu z wozów strażackich tryskały fontanny wody na pękniętą konstrukcję budynku ze szkła i betonu.

Raf wyłowił słowa: kasyno, zamach bombowy i amerykański mediator. Na głównym planie pojawiła się nagle siedząca za masywnym biurkiem kobieta w czarnym kostiumie. Na blacie widniała wielka pieczęć z wizerunkiem orła, godło USA. W co drugim zdaniu była mowa o chaosie, bezprawiu i zorganizowanej przestępczości. Tak na wszelki wypadek, jakby oburzenie pani senator było nie dość oczywiste, stacja C3N zapobiegliwie puściła arabskie tłumaczenie w dole ekranu.

- Kiedy toczyła się mała wojna, latała helikopterami wojsk ONZ - odezwał się Generał. Wziął drugą kartkę papieru i nabazgrał dwie linijki na kredowanej powierzchni, podpisał się zamasztyłym wywijasem i drżącymi dłońmi pchnął kartkę w stronę chedywa. - Potrzebny mi jeszcze twój podpis.

Chłopiec podpisał, nie odwracając wzroku od wiadomości na ekranie. Pokazywano ekipę dochodzeniową, przeszukującą

Efendi

1

tlące się szczątki kasyna. Niewidoczny komentator dosyć powściągliwie opowiadał o plotkach, jakoby w pobliżu znaleziono zwłoki dziewczyny. Raf odnosił wrażenie, że więcej - i to celowo

- mówiono między słowami.

- Wystarczy! - Generał stuknął w biurko i wyłączył ekran.

- Musimy się skoncentrować na wywiezieniu stąd Jego Wysokości.

- Co, proszę? - Chedyw, zrazu zaskoczony, zaciął się w uporze. - Nie, nie ma mowy! Nie mógłbym

teraz...

- Zapomniałeś o wczasach? - zapytał Koenig Pasza.
- O której masz samolot? - Mówił zagniewanym szeptem starego człowieka... na którego w istocie wyglądał, jeśli pominąć nieskazitelny mundur i przyjrzeć się plamom wątrobowym na drżących nadgarstkach lub zmianom nowotworowym rozsianym z boku szyi, pod obwisłą szczęką. - To o której, Fik?

Muhammad Tautik pasza zamrugał oczami, w których zbierały łzy, a w końcu odwrócił wzrok. Nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni starzec użył pieszczotliwego zdrobnienia. Może gdy w wieku dziesięciu lat zachorował na szkarlatynę i wiele dni przeleżał w łóżku, w ciemnym pokoju z zasłonami nasączonymi octem, na co patrzył z dezaprobatą nadworny lekarz z Anglii.

- Późnym popołudniem - odparł. - Wsiadam do samolotu o godzinie siódmej.
- Sam lecisz? Chedyw pokręcił głową.
- Wiesz, że powinieneś być wybrać kogoś innego - rzekł Generał zmęczonym głosem. Obserwował młodzieńca, który nie okazywał już niepokoju i ani myślał zmieniać zdania. - Zrobisz, jak zechcesz, tylko pamiętaj, masz wsiąść do samolotu. A pan
- zwrócił się do Rafa - dopilnuje, żeby Jego Wysokość odleciał z lotniska.

Złożywszy we czworo pisemną rezygnację, Koenig Pasza z lekkim ukłonem podał ją chedywowi Muhammadowi. Drugie pismo, złożone we dwoje, wręczył Rafowi ze skinieniem głowy. Potem poczekał, aż przeczytają raz i drugi, co napisał.

1

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 29

17 pAri>ricrnikA

Nie było to zwykłe, krótkie dzyń-dzyń, ale długi, warkliwy dzwonek osoby maksymalnie rozdrażnionej.

Raf przez chwilę ignorował hałas. Rozejrzał się z westchnieniem, czekając, aż ktoś podejdzie do frontowych drzwi, ale ponieważ oprócz niego w przestronnym holu nie było żywego ducha, sam postanowił otworzyć. Co zaraz okazało się wielkim błędem.

Kiedy on i Zara mierzyli się wzajemnie zdumionym spojrzeniem, otworzyły się raptownie drzwi gabinetu i wypadł stamtąd chedyw. Po jego miękkiej twarzy płynęły łzy, tak się zdenerwował. Może chciał jeszcze na koniec rzucić ostrą ripostę, lecz na widok Zary z walizkami oniemiał. Wahał się, jakby zamierzał podejść do dziewczyny, lecz skończyło się na tym, że spojrzął z wyrzutem na Rafa, odwrócił się i wbiegł na schody. Po chwili gdzieś na górze rąbnęły drzwi i nastąpiła cisza.

Kiedy Zara gapiła się to na swoje walizki, to na pusty podest schodów, Raf zajrzał do gabinetu i napotkał wzrok Generała. Starzec zareagował kiwnięciem głowy i wesołym, acz powściągliwym uśmiechem. Potem przeciągnął się, wstał i rażno zbliżył się do drzwi, by je zamknąć. Nawet nie udawał, że brakuje mu laski.

- A ty co tu robisz? - zapytała chłodno Zara.

- Właśnie wychodziłem - odparł. - Wpadnę na miejsce zbrodni. - Przyjrzał jej się bacznie. - Aha, no i staram się, żeby

twój ojciec nie poszedł siedzieć za morderstwo. Bierz rzeczy.

\*\*\*

Zara praktycznie rzucała walizkami, umieszczając je w bagażniku cadillaca. Gniewnym krokiem obeszła samochód,

Efendi

1

władowała się na fotel pasażera i trzasnęła drzwiami. Odruchowo sięgnęła do tyłu po pas, lecz go nie znalazła. Grubasowi jakoś nigdy nie chciało się montować pasów bezpieczeństwa, a i Rafowi ich brak szczególnie nie przeszkadzał.

Dodatkowo wzburzona myślą o tym wariactwie, wbiła wzrok przed siebie. Dlatego właśnie przegapiła tę chwilę, kiedy Raf zasiadł na fotelu kierowcy masywnego bentleya, ostro wrzucił wsteczny bieg i obrócił potężne auto na piskzących oponach, aż ustawiło się tyłem do bramy z kutego żelaza.

-Co u...?

Zara nie dokończyła zdania, bo Rafa już nie było; ośmio-cylindrowy silnik wypchnął bentleya na drogę, gdzie inne samochody wołały przyhamować lub czmychnąć na bok, niż ryzykować stłuczkę z wozem Generała.

Z moim wozem, sprostował w duchu Raf, zerkając na swój gubernatorski proporczyk, który łopotał na wietrze. Mój wóz, moje miasto, mój problem. Cały świat zwała mi się na głowę. I zwali się na głowę Hani, jeśli nie będę ostrożny.

Zainstalowany w bentleyu odbiornik GPS był tak niemiłosiernie stary, że mapa za każdym razem migotała, gdy skręcał w inną ulicę, co przyprawiało o ból głowy. Ale może to był taki dzień i tyle. Wzruszył ramionami. Przed sobą miał miejsce, gdzie niegdyś funkcjonował klub Zary. Teraz po CdH zostało wspomnienie i opuszczona cysterna pod pokrytym zaciekami wielopoziomowym parkingiem; w podobny sposób słynne więzienie stało się częścią odchodzących w przeszłość czasów świetności al-Iskandarijji.

Rzesza klubowiczów, którzy teraz przysięgali, że byli tu w nocy, pewnie wypełniłaby do ostatniego tania miejsca stojące na iskandaryjskim stadionie.

Równie dobrze mógł pojechać wygodniejszą trasą: skręcić na wschód w Faud Premier, potem odbić na południe przed ogrodami Szallalat. On jednak kluczył bocznymi uliczkami, zaznaczonymi na mapie na czerwono, trochę wąskimi, jak na jego szeroka brykę.

Do tej pory tylko zarysował błotnik, lecz gorzej było, kiedy dotarł na parking przed Casino Quitrimala. Oczywiście, gdyby przy wjeździe nie zauważył niebieskiego rządowego renault madame Mili, prawdopodobnie przywaliłby w betonowy słup bramy.



Efendi\_1

władowała się na fotel pasażera i trzasnęła drzwiami. Odruchowo sięgnęła do tyłu po pas, lecz go nie znalazła. Grubasowi jakoś nigdy nie chciało się montować pasów bezpieczeństwa, a i Rafowi ich brak szczególnie nie przeszkadzał.

Dodatkowo wzburzona myślą o tym wariactwie, wbiła wzrok przed siebie. Dlatego właśnie przegapiła tę chwilę, kiedy Raf zasiadł na fotelu kierowcy masywnego bentleya, ostro wrzucił wsteczny bieg i obrócił potężne auto na piszczących oponach, aż ustawiło się tyłem do bramy z kutego żelaza.

-Co u...?

Zara nie dokończyła zdania, bo Rafa już nie było; ośmio-cylindrowy silnik wypchnął bentleya na drogę, gdzie inne samochody wołały przyhamować lub czmychnąć na bok, niż ryzykować stłuczkę z wozem Generała.

Z moim wozem, sprostował w duchu Raf, zerkając na swój gubernatorski proporczyk, który łopotał na wietrze. Mój wóz, moje miasto, mój problem. Cały świat zwala mi się na głowę. 1 zwali się na głowę Hani, jeśli nie będę ostrożny.

Zainstalowany w bentleyu odbiornik GPS był tak niemiłosiernie stary, że mapa za każdym razem migotała, gdy skręcał w inną ulicę, co przyprawiało o ból głowy. Ale może to być taki dzień i tyle. Wzruszył ramionami. Przed sobą miał miejsce, gdzie niegdyś funkcjonował klub Zary. Teraz po CdH zostało wspomnienie i opuszczona cysterna pod pokrytym zaciekami wielopoziomowym parkingiem; w podobny sposób słynne więzienie stało się częścią odchodzących w przeszłość czasów świetności al-Iskandarijji.

Rzesza klubowiczów, którzy teraz przysięgali, że byli tu w nocy, pewnie wypełniłaby do ostatniego tania miejsca stojące na iskandaryjskim stadionie.

Równie dobrze mógł pojechać wygodniejszą trasą: skręcić na wschód w Faud Premier, potem odbić na południe przed ogrodami Szallalat. On jednak kluczył bocznymi uliczkami, zaznaczonymi na mapie na czerwono, trochę wąskimi, jak na jego szeroka brykę.

Do tej pory tylko zarysował błotnik, lecz gorzej było, kiedy dotarł na parking przed Casino Quitrimala. Oczywiście, gdyby przy wjeździe nie zauważył niebieskiego rządowego renault madame Mili, prawdopodobnie przywaliłby w betonowy słup bramy.

184\_Jon Courtenay Grimwood

Madame Mili, wyprostowana jak trzcina, stała obok samochodu ze wzrokiem utkwionym w bentleyu. Dokładnie krok z tyłu, zapewne w ścisłej zgodności z przepisami, stały dwie funkcjonariuszki z Kobiecych Sił Policji, zasłonięte swojskimi hidżabami w policyjnym kroju. Madame Mili, choć od nich starsza stopniem, była dużo młodsza wiekiem. Zamiast hidża-bu nosiła prostą, niebieską chustę.

- Generale... - Głos uwiązał jej w gardle, gdy zobaczyła, kto wysiada z auta.

Raf myślał już, że to przedpołudnie okaże się dla niego w sumie całkiem dobre. Niestety, dopóty trwał jego optymizm, dopóki nie przyjrzał się z bliska miejscu zdarzenia.

W samym środku zalanych wodą zgliszczy kasyna stała garstka mundurowych, w tym siwowłósy

porucznik, policyjny technik w białym fartuchu, dwie wyróżniające się zielonymi bluzami kobiety z obyczajówki oraz trzech tajniaków ubranych po cywilnemu w czarne dżinsy, niebieskie koszule i długie, skórzane płaszcze. Na pierwszy rzut oka, typowe iskandaryjskie miejsce przestępstwa: pięć razy więcej oficerów niż potrzeba, do tego uwikłanych w międzywydziałowe niesnaski i spory kompetencyjne, na skutek czego nikt nie zajmował się niczym pożytecznym.

Do Rafa podszedł starszawy mężczyzna w cywilu z zaczesana do tyłu resztką włosów i sumiastymi wąsikami.

- Szefie.
- Macie coś?
- Na to wygląda.

Stojący obok porucznik w mundurze prychnął wzgardliwie. Jadowity uśmiech na jego młodzieńczej twarzy nie odbijał się

w oczach.

- Przekona się pan, że to myśmy coś znaleźli. - Chętnie zaakcentował słowo, gdy mówił o swoich ludziach.

Raf uniesioną dłońią nakazał milczenie swojemu podwładnemu, chcącemu zaprotestować. Na markotnym obliczu starego oficera śledczego pojawiła się złość i urażona duma, ale tylko na moment, bo zaraz się zreflektował. Raf zaczynał się przyzwyczajać do takiej reakcji ludzi.

- Jak pan się nazywa?

Oficer śledczy patrzył na Rafa ze świadomością groźby zawartej w tym pytaniu, lecz nie mógł się uchylić od odpowiedzi.

mm

#### 184\_Jon Courtenay Grimwood

Madame Mila, wyprostowana jak trzcina, stała obok samochodu ze wzrokiem utkwionym w bentleyu. Dokładnie krok z tyłu, zapewne w ścisłej zgodności z przepisami, stały dwie funkcjonariuszki z Kobięcych Sił Policji, zasłonięte swojskimi hidżabami w policyjnym kroju. Madame Mila, choć od nich starsza stopniem, była dużo młodsza wiekiem. Zamiast hidża-bu nosiła prostą, niebieską chustę.

- Generale... - Głos uwiążył jej w gardle, gdy zobaczyła, kto wysiada z auta.

Raf myślał już, że to przedpołudnie okaże się dla niego w sumie całkiem dobre. Niestety, dopóty trwał jego optymizm, dopóki nie przyjrzał się z bliska miejscu zdarzenia.

W samym środku zalanych wodą zgliszczy kasyna stała garstka mundurowych, w tym siwowłosa porucznik, policyjny technik w białym fartuchu, dwie wyróżniające się zielonymi bluzami kobiety z obyczajówki oraz trzech tajniaków ubranych po cywilnemu w czarne dżinsy, niebieskie koszule i długie, skórzane płaszcze. Na pierwszy rzut oka, typowe iskandaryjskie miejsce przestępstwa: pięć razy

więcej oficerów niż potrzeba, do tego uwikłanych w międzywydziałowe niesnaski i spory kompetencyjne, na skutek czego nikt nie zajmował się niczym pożytecznym.

Do Rafa podszedł starszawy mężczyzna w cywilu z zaczesana do tyłu resztką włosów i sumiastymi wąsikami.

- Szefie.
- Macie coś?
- Na to wygląda.

Stojący obok porucznik w mundurze prychnął wzgardliwie. Jadowity uśmiech na jego młodzieńczej twarzy nie odbijał się

w oczach.

- Przekona się pan, że to myśmy coś znaleźli. - Chętnie zaakcentował słowo, gdy mówił o swoich ludziach.

Raf uniesioną dłońią nakazał milczenie swojemu podwładnemu, chcącemu zaprotestować. Na markotnym obliczu starego oficera śledczego pojawiła się złość i urażona duma, ale tylko na moment, bo zaraz się zreflektował. Raf zaczynał się przyzwyczajać do takiej reakcji ludzi.

- Jak pan się nazywa?

Oficer śledczy patrzył na Rafa ze świadomością groźby zawartej w tym pytaniu, lecz nie mógł się uchylić od odpowiedzi.

Efendi

1

- Osman, sir. Ibrahim Osman.
- Czym się pan zajmuje?
- Jestem pańskim zastępcą - odparł mężczyzna ze zdziwieniem.

Raf westchnął.

- Skąd przypuszczenie - zwrócił się z pytaniem do oficera - że to właśnie ten człowiek mordował kobiety?

Młody porucznik zmarszczył czoło.

- Mamy narzędzie zbrodni - odpowiedział niechętnie i wyciągnął z kieszeni poczerniały kawałek metalu, który prawdopodobnie znalazł po zdeptaniu wszystkich innych śladów.
- ...paniale - szepnął lis. - ...palcował dowód ...rdzo oryginalne.

Raf palcem przywołał funkcjonariuszki obyczajówki.

- Nic tu po was - rzekł do nich. - Pan też może odejść - zwrócił się do porucznika. - Proszę

pozbiierać ludzi i zostawić nóż... w torebce na dowody, oczywiście. - Nie czekając na odpowiedź, wykręcił się na pięcie i ruszył w stronę madame Mili.

Lis w jego głowie uśmiechnął się bladym, prawie niewidocznym uśmiechem, gdy na zewnątrz, w szerszym świecie, zaczął siąpić deszczyk, który mógł uprzykrzyć życie ludziom ubranym lekko, jak w upalny dzień.

- Wasza Ekscelencjo...

Na horyzoncie zbierały się ołowiane chmury, a zgodnie ze wskazaniem zegarka, temperatura spadła do 53°F, co oznaczało najchłodniejszy październik od osiemdziesięciu siedmiu lat. Ten sam zegarek wskazywał, że trzy razy próbowała się do niego dodzwonić Zara, zawiadamiając, że chce porozmawiać o ojcu. Był też telefon od Hani, którym Raf przejął się bez porównania bardziej.

Przełączywszy seiko na przekaz dźwięku i obrazu, uruchomił funkcję sygnalizowania wibracjami telefonów od dziewczynki. Opośdali czekali zaciekawieni policjanci. Niezdrowo zaciekawieni.

Kiedy uporał się z ustawieniami zegarka, na wprost niego stała pani koroner: niewysoka, energiczna osóbką ze splecionymi w warkocz czarnymi włosami i minimalną ilością biżuterii. Swoje buty, mało znanej marki, nosiła wyglansowane na wysoki połysk. Jak kiedyś powiedział Felix, była chyba w tym

1

Jon Courtenay Grimwood

mieście kobietą najpiękniejszą i zarazem najbardziej nieprzejednaną. Niechęć do Rafa biła z jej twarzy jak zapach tanich perfum, przesyciała wilgotne powietrze między nimi, odbijała się w każdym jej geście.

- Witam, madame Milla.

Z jej oczu wyraźnie dało się wyczytać, co widzą, gdy na niego patrzą: bogatego, rozpieszczonego i obdarowanego nadmiernymi przywilejami cwaniaczka, któremu trafiła się posada naczelnika wydziału śledczego. Według niej, okulary przeciwsłoneczne, których właściwie nigdy nie ściągał z nosa, nosił dla zgrywy, a pogłoski o jego umiejętnościach bojowych były mocno przesadzone. Owszem, przesadzone, w tym się nie myliła, lecz ciemnych szkieł używał tylko dlatego, że siatkówki jego oczu nie znosiły światła. Poza tym, można go było posądzić o niejedno, ale na pewno nie o zamożność. A nadmierne przywileje? Cały dzień mógł ją przekonywać, czemu nie czuje się uprzywilejowany.

- No więc? - Kobieta czekała na odpowiedź. Podobnie jak mała, zwarta grupka mundurowych, zgromadzonych niedaleko celem podsłuchania rozmowy.

- Przepraszam, o co pani pytała?

Z tyłu zachichotał któryś z jego ludzi. Madame Milla jeszcze bardziej się naburmuszyła: twarz jej spochmurniała, a idealne usta zacisnęły się w gniewie.

- Cały dzień już upłynął - powiedziała w końcu.

- Tak, i co z tego? - Nagle zrozumiał, w czym rzecz: znów przerabiali prawo szariat. - Mam

udowodnić, że zamordowana dziewczyna nie pochodzi stąd... - Mówił do siebie, lecz tajniak w cywilnym ubraniu uznał to za pytanie i przytaknął skinieniem głowy, uważając przy tym, aby nie zwrócić na siebie uwagi Rafa. Co pozwalało przypuszczać, że dokładnie o to chodzi madame Mili. - Gdzie ciało?

- Ciągle w łodzi - odparła pani koroner. - Prawdopodobnie przed śmiercią sprzątała budkę strażniczą. - Z jej ironicznego tonu wynikało, że nie uzna tego za pewnik bez przekonujących dowodów.

- A ubranie? - Jej pełen napięcia wyraz twarzy kazał mu zapytać inaczej: - Co miała na sobie przed śmiercią? - Sam się zdziwił łagodnym tonem, jakim to powiedział. - Czytałem raport wstępny. Wiem, że znaleziono ją nagą.

I rA

Efendi

17

- Białe spodnie - odparła chłodno madame Mili. - Cienkie jak z jedwabiu. Oraz srebrny... - Z zażenowaniem, jak najdalej od siebie, nakreśliła w powietrzu dwa kółka. - Metalowy biustonosz.

- Piątek wieczór, skąpe ubranie. Myśli pani, że tutejsza dziewczyna tak by się zachowywała?

Madame Mili rozważyła jego słowa.

- Nie, raczej nie - przyznała w końcu.

Raf był przeciwnego zdania, ale nie zdradzał swoich myśli.

- A rany? Takie same?

Patrzyła na niego z kamienną miną.

- Jedno rozcięcie z dołu od kości łonowej do gardła, drugie w poprzek klatki piersiowej, wnętrzości naruszone... - Właśnie, naruszone... Ze wszystkich możliwych określeń to było chyba najłagodniejsze. Trzej specjaliści od portretów psychologicznych stawali na głowie, żeby ustalić, co naprawdę oznacza to diabelskie wycinanie narządów. Póki co, stwierdzili tylko tyle, że ten rodzaj okaleczenia zainteresowałby historyków.

Madame Mili pokiwała głową, nie otwierając ust.

- Przyjrzała się pani z bliska?

Znów jedynie poruszenie głowy. Co ściśle wiązało się z zaciętością widoczną w jej oczach. Miała drobne plamy potu pod pachami i małe krople wilgoci w miejscach, gdzie włosy zaczynały tworzyć kształt, do jakiego natura ich nie predysponowała. Ktoś mógłby twierdzić, że madame wygląda nienagannie. Zgodnie z powszechnymi standardami, wyglądała nienagannie, zgodnie z jej własnymi - jak siedem nieszczęść.

- Odejdźcie stąd - powiedział Raf. - Za chwilę ma was tu nie być. - Starł się mówić grzecznie, lecz nie bardzo mu wyszło.

Zamiast ustąpić, madame Mila się najeżyła i wyprostowała sylwetkę, choć niewiele to dało przy jej wzroście.

- Wynocha! - Raf wreszcie stracił cierpliwość. - Wszyscy wynocha... oprócz ciebie! - Wskazał pierwszego z brzegu policjanta w mundurze. - Skończysz oklejać taśmą miejsce zbrodni i będziesz odganiać turystów.

Funkcjonariusz popatrzył na młodego porucznika, który z kolei nienawistnym wzrokiem przeszył Rafa; wściekłość walczyła w nim o lepsze z rosnącym niepokojem. Pani koroner po prostu kipiała gniewem, co poniekąd tłumaczyło jej pytanie:

- Za kogo pan...

188\_Jon Courtenay Grimwood

- ...się uważa? ...interesujące pytanie. - Lis skłonił Rafa do wyciągnięcia pisma od Generała i podania go wkurzonej kobiecie. - ...sobę wydającą rozkazy, czy to się komuś podoba, czy nie. - Raf zamknął oczy. Stał jak wrośnięty w ziemię na pustawym parkingu, przed wysadzonym w powietrze kasynem, w mieście na krawędzi upadku, gdzie policja istniejąca w pięciu różnych odmianach nie znała jego prawdziwego nazwiska, dawnych wyczynów ani tego, że miał odsiadywać wyrok do...

Cóż, witamy w Apokalypso... Ale to przecież klub, no nie? Gdzieś w centrum Zurychu. Kiedyś mijał go w drodze z lotniska do szkoły.

- ...się w garść! - syknął lis.

- A po co?

Madame Mila przyglądała mu się, zdziwiona.

- Nie rozumiem... - Oddając pismo, zdołała wydukać, aczkolwiek z zaciśniętymi zębami: - Wasza Ekscelencjo...

Raf nie zwracał na nią uwagi.

- Czemu? - spytał, jednak tym razem tylko w myślach.

- ...nieważ potrzebujesz się wyspać, aja muszę odejść.

- Nie. - Wewnętrzny sprzeciw Rafa był tak głośny, że sam musiał zacisnąć zęby. - Nie możesz odejść!

- ...óbuć mnie zatrzymać - szepnął lis cichnym głosem. Nie wiadomo, czy była to groźba, prośba czy po prostu sugestia. Tak czy owak, nie zamierzał dawać za wygraną.

- Hej, ty! - Odwrócił się do porucznika. - Masz przy sobie metamfetaminę?

- Nie, sir. - Oficer stanowczo pokręcił głową. Madame Mili nie miał po co pytać, minął ją więc, jakby była

manekinem, i podszedł do jednego z radiowozów, w chwili gdy kierowca włączał bieg. Technik policyjny wrzucał luz, kiedy Raf zastukał w szybę. Gdy opadła, ze środka buchnął hałas urządzeń

elektrycznych i kłęby dymu z papierosa. Palenie na służbie było zabronione, przy czym zakaz dotyczył wszystkich pracowników wszystkich wydziałów, lecz obaj się tym nie przejmowali.

- Ma pan trochę metamfetaminy?

Ciemne oczy mężczyzny kryły się za przeciwsłonecznymi okularami, ale jeśli facet uważał, że Raf nie jest w stanie wyczytać ich wyrazu, to nie brał pod uwagę jego zdolności do zmiany parametrów widzenia.

- Swojej, Wasza Ekscelencjo? Na własność?

- Może być dowód, który pan wiezie do laboratorium.

a

Efendi

1

- Nie wolno mi...

- Pańska szansa, żeby się zrehabilitować. - Raf wyciągnął rękę. Prędzej czy później będzie musiał dowiedzieć się, jak się nazywają

i co robią, połapać się w tym całym administracyjnym bałaganie.

\*\*\*

Zważył w dłoni torebkę, zadowolony. Pięćdziesiąt porcji złożonych jak origami...

- Co to?

- Nie wiem, Wasza Eksce..., znaczy szefie. -Technik wzruszył ramionami. - Nie wzięliśmy tego do laboratorium.

- Jeszcze nie badaliście tego, co?

Technik zaprzeczył ruchem głowy.

Rozerwawszy torebkę. Raf skosztował szczypty szarego proszku i stracił czucie na czubku języka.

- Meta - zawyrokował. - Stężenie na oko sześćdziesiąt procent. - Zastanawiał się, czy nie owinąć sobie dżiałki w jakiś czysty banknot, ale po co tyle ceregieli? Po prostu wsypał do ust całą zawartość origami i przeżuł kryształki jak oranżadę w proszku. Poczł charakterystyczną syntetyczną słodycz, co znaczyło, że towar został doprawiony sorbitolem.

Super! A więc jutro lub pojutrze dostanie parszywej biegunki i będzie przeżywał zgon. Albo i nie; w torebce było dość narkotyków, żeby mógł funkcjonować przez...

Wokół drzew poskręcanych w żarze rozblýskiwały światła. Popękane ściany kasyna stały się nagle jaśniejsze, niemalże fosforyzowały. Obracający się wolno czerwony kogut sprawiał wrażenie żywej istoty. Nawet padający deszcz grał melodię.

Spojrzał na trzymaną w rękę plastikową torebkę. Miał tu tyle kryształu, że będzie mógł jarać do końca świata, który, jeśli wierzyć Koenigowi Paszy, powinien nadejść we wtorek za dwa tygodnie, czy coś w tym stylu. Musiał jeszcze przemyśleć tę sprawę.

- Zna pan Kamilę? - wygrzebał z pamięci imię. - Pracuje w prosektorium. - Musieli ją znać, jej ojciec był jednym z nich. Mundurowym. Tak mówił Felix.

Mężczyzna milczał, co należało rozumieć jako odpowiedź twierdzącą.

- Niech pan jej powie, że dojdą dwa ciała. 1 niech nie zaczyna beze mnie.

Jon Courtenay Grimwood

Rozfchtel 30

19 pAzt>zicrvnU.x

Avatar włożył palec pod skrzydełko koperty i rozerwał papier. Nie miał pojęcia, co znajdzie w adresowanym do siostry liście, który zostawiono na toaletce w kajucie. Na pewno nie wyznania miłosne chedywa; nawet on nie był taki głupi. Pewnie zapraszano ją na przyjęcie na statku, na które już teraz nie przyjdzie. Czym przejmowała się równie mało jak Avatar. Gorzej, gdyby chedyw kazał mu ją zastąpić. I tak źle się stało, że przyjął propozycje Zary i udał się zamiast niej na statek.

Zresztą, na darmo próbowała go nawracać, podsuwać mu siłą szanse, których jej zdaniem potrzebował. Bo on dobrze wiedział, jakie jest jego miejsce w świecie. I był zbyt dumny z tego, czego nauczył się przed czternaście lat, żeby teraz się zmieniać.

Wytrząsnął zawartość koperty na łóżko przykryte różową kapą i oczy wyszły mu na wierzch. Mógł się spodziewać najróżniejszych rzeczy, ale w żadnym wypadku rysunku nagiej, cycatej kobiety, która kroczy po ziemi z brzuchem do góry, na rękach i nogach przechodzących w pajęczę odnóża. Na odwrocie elegancko wykaligrafowano słowo Giudeka. A poniżej: Witaj w przedsiönku piekieł.

I tylko tyle, nic więcej.

Wzruszył ramionami, zgniół kopertę i wyrzucił ją za iluminator. Patrzył, jak wiatr przyjmuje jego pomięte wotum i przez kilka sekund ratuje je przed objęciami fal. Może powinien tak samo postąpić z nagim pajakiem? Z miejsca odrzucił ten pomysł. Postanowił odesłać Żarze perwersyjny rysunek. Zrewanżuje się za to, że namówiła Hamzę, aby zgodził się wystać go w jej zastępstwie.

iR

Efendi

191

Westchnął przeciągle. Wolałby być gdzie indziej. W kącie kajuty stała obrzydliwa palemka, posadzona w chińskiej donicy, którą jakiś debil obmalował wodospadzikami i konikami wierzgającymi nogami na stokach góry. Donica i palma już same w sobie odrażały wyglądem, lecz ich wzajemne połączenie było wręcz obelga. Avatar z trudem powstrzymał się przed wywaleniem jednego i drugiego w ślad za kopertą do Morza Śródziemnego.

Nie ulegało wątpliwości, że Zara patrzyłaby ze wstrętem nie tylko na tę palmę, ale i na kiczowaty



wiktoriański parawan, oklejony wyciętymi ze starych czasopism zdjęciami dzieci. Wszystko to, oczywiście, zaaranżowano z myślą o Żarze, bo tutaj miała mieszkać. Zszokowany steward zapewnił go, że wystrój kabiny osobiście zatwierdził sam chedyw. Jeśli tak, to miał jeszcze mniejsze pojęcie niż Avatar, co kręci jego siostrę. Na domiar złego, posłał jej nagą pajęczycę.

Rozejrzał się w poszukiwaniu skanera, a że go nie było, zjechał windą do wytwornego apartamentu, urządzonego w stylu retro w kremowej, pastelowej tonacji. Gdy otrząsnął się z oszołomienia po wiadomości, że gość chedywa ma tu wszystko za darmo, odnalazł faks i z niego skorzystał.

192

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 31

20-21 pAŻbiczmiKA

Piekło było kręgiem z kratami, korytarzami, strażnikami i głosami dochodzącymi nie wiadomo skąd. Uczciwość go tam zaprowadziła. Na każdym piętrze więcej brutalności. Niezliczone twarze, które Raf znał na wylot, choć nigdy wcześniej ich nie widział. Chłód ogarniał myśli i przenikał do szpiku kości.

- Kryształ - stwierdził ktoś. - Spora dawka metamfetami-ny. Prawie śmiertelna.
- Testy mózgowo-rdzeniowe wykazały obecność wirusowego RNA, odpowiedzialnego za schizofrenię.
- Złapał wirusa?
- Nie on, ale ktoś na pewno. - W głosie dało się wyczuć rozbawienie. - Dwadzieścia milionów lat temu. Zostały po nim molekularne ślady.

Zarówno głos, jak i biały fartuch opuściły go i znów zapanowała ciemność.

Jakiś czas potem drobna rączka wymierzyła mu policzek i przywróciła go do przytomności. Niecierpliwe palce obracały głowę na boki, jakby fizjoterapeuta sprawdzał elastyczność szyi.

- Obudź się! - rozkazała Hani. Siedząc okrakiem na okrytej kołdrą piersi Rafa, prawie dotykała twarzą jego twarzy.

Gdy wreszcie odemknął powieki, jak przez mgłę dostrzegł poruszenie: Hani pośpiesznie odsuwała się do tyłu. Przez ułamek sekundy na jej buzi gościł wyraz ulgi, lecz zniknął niemal natychmiast.

- Najwyższa pora. - Zsunęła się na bok. - Nawet nie wiesz, ile teraz będziesz miał kłopotów.
- Nie mogę mieć kłopotów - stęknął. - Jestem...

Efendi

1

- ...nowym gubernatorem. - Przewróciła oczami. - Lepiej nie chwal się tym przed Zarą.

Za jej ramieniem ukazał się błękitny skrawek nieba, pierzaste obłoki i złote promienie słońca,

odbijające się na skórze latających dzieciątek. W gromadzie różowych cherubinków unosiła się kobieta jeszcze bardziej różowa niż one, zasłonięta w strategicznym miejscu rąbkiem chmurki.

Pomieszczenie, w którym się znajdował, musiało mierzyć co najmniej trzydzieści stóp wysokości. Sklepiony sufit podpierał się na marmurowych kolumnach; kiedy wyteżył wzrok, okazało się, że to malowidła na tynku.

- Trompe l'oeil, koniec epoki wiktoriańskiej - oznajmiła Hani, spostrzegłszy jego spojrzenie. - Sufit jest starszy. Ale nie widziałeś jeszcze mojego pokoju. - Dziewczynka zeskoczyła na ziemię. - Przyniosłam kawę. Podana jak należy.

Wskazała kafetierkę i porcelanową filiżankę na niedużej, srebrnej tacy, ozdobnie obwiedzionej złotym wzorem. Obok tacki w kubku - z rodzaju tych francuskich, z grubymi ściankami i masywnym denkiem - znajdowała się gałązka bugenwilli.

Zapach przyprawiał o mdłości.

- Urwałam w ogrodzie. - Opowiadała z szeroko otwartymi oczami. - Powinieneś zobaczyć te rzeźby! Wszystkie są...

- Nagie?

Pokiwała głową i ostrożnie postawiła filiżankę na spodeczku. Raf bał się myśleć, czemu Hani dokłada starań, żeby wszystko wyglądało normalnie.

- Czemu są nagie? - zapytała dziewczynka, jakby coś nagle przyszło jej do głowy.

- Może dawniej było cieplej?

- No... właśnie. To może...

- Kawy? - podsunął Raf, co Hani skwitowała uśmiechem.

Mocno naparła na tłoczek, aby docisnąć sitko do samego dna. Starając się nie ochlapać tacki, napełniła pół filiżanki Rafa. Aż nagle skrzywiła się, a w jej oczach zaszklily się łzy.

- Zapomniałam... o mleku... - wyznała, pochlipując.

Raf napił się i poprosił o drugą filiżankę czarnej kawy. Nie

plakała już i wołała, aby nie wspomniano o łzach. Przynajmniej na razie.

Efendi

14

Jon Courtenay Grimwood

- Miałaś chwilową utratę przytomności. - Użyła tego określenia półszepem, konfidencjonalnie, jak się wyjawia tajemniczy, podsłuchany sekret. Początkowo chciała powiedzieć coś jeszcze, lecz pogрузyła się w długim milczeniu, zerkając czasem na Rafa, gdy myślała, że on tego nie widzi. Miną dowodziła, że jest dobrej myśli.

- Proszę. - Podała mu filiżankę, ale on już spał. Obudził się dopiero nazajutrz.

\*\*\*

- Wasza Ekszelencjo... - Chartum stał w drzwiach ze zżutym niedopałkiem krótkiego cygara w jednej ręce i szklanką herbaty w drugiej. Raf dopiero po chwili zorientował się, że staruszek nie wejdzie bez pozwolenia, a gdy już je otrzymał, ciężkim krokiem przeszedł koło łóżka i położył szklankę na podłodze przed olbrzymim, pionowo otwieranym oknem. Po rozsunięciu aksamitnych zasłon i poderwaniu do góry dolnej części okna Chartum pedantycznie przesunął szklankę, aby stała na środku rozjaśnionej podłogi.

- Słońce dodaje siły - stwierdził, gdy bej po omacku szukał okularów. - Zielone szkło wspaniale koi nerwy. - Przez moment milczał.

- A jeśli chodzi o świeże powietrze...

- Świeże powietrze?

Chartum złączył dłonie i skinieniem głowy wskazał zawartą w nich pustkę.

- Zmieściłem tutaj więcej mocy, niż można jej znaleźć w najsilniejszej podstacji transformatorowej w al-Iskandarijji. Co ja mówię, w całej Afryce Północnej!

- No, to ciekawe...

- Ktoś powie, mistyczne uzdolnienia, kto inny: energia próżni. - Staruszek wzruszył ramionami. - Mam dla pana wiadomość z Ameryki od Koeniga Paszy.

- Ty? - palnął Raf bez namysłu.

- Donna bała się odebrać telefon, a Hani to jeszcze dziecko... - W jego głosie pobrzmiwała nuta dezaprobaty. - Dlatego sam z nim rozmawiałem. Pasza kazał przekazać trzy rzeczy. Po pierwsze, następnym razem osobiście pan odbierze telefon. Po drugie, ma nadzieję, że ten obrazek czegoś pana nauczył...

- Ruchem głowy wskazał stolik przy łóżku i położył kartkę wyrwaną z „Piekiła” Dantego.

Efendi

1

Rysunek przedstawiał nagiego człowieka, który chwyta się za rozciętą pierś. Raf po chwili przypomniał sobie poważnego adiutanta, który wręczył mu go przed kawiarnią „Le Trianon” tamtego wieczoru, kiedy ostatecznie umarł lis.

-1 trzecia rzecz - mówił Chartum. - Jego Ekszelencja jest pod wielkim wrażeniem. - Uśmiech przemknął po twarzy odźwiernego.

- Dziennikarze z sieci czekają, ONZ czeka, senator Liz gorączkuje się, a C3N uważa pana za nową siłę w Afryce Północnej.

- Jak to? - Raf podźwignął się na łokciach.

- Już trzy dni pan ich tak przetrzymuje.

-Trzy...

- No właśnie tak długo pan... spał. - Chartum podniósł szklanę, podszedł do łóżka i podał ją Rafowi. W wodzie pełnej fusów, które jeszcze nie zdążyły osiąść na dnie, pływały czarne kawałeczki kory. - Proszę to wziąć. - Nie brzmiało to jak prośba.

Raf owszem, wziął szklanę, lecz na tym poprzestał.

- Czy znowu zasnę?

Chudzielec prychnął.

- Pan to się już dość naspał. Pora wstawać... - Urwał w pół zdania, przyjrzał się Rafowi skulonemu pod cienką kołderką i dodał: - Z demonów jest pewien pożytek. Dzięki nim mamy respekt przed nocą. Pan jednak pozwala swoim szaleć jak złym dżinnom. - Przeszywał Rafa twardym spojrzeniem. - Widzę je, wyzierają z pańskich oczu. Myśli pan, że nie wiemy, do czego służą te ciemne okulary? - Podszedłszy do okna, staruszek wyjrzał na słynny ogród. Z tyłu zdawał się kruchy jak usychające drzewo i zarazem niezłomny jak skala. - Hani śpi pod drzwiami

- rzucił przez ramię. - Sypia tam, odkąd tu jesteśmy, ale pan przecież o tym nie wie, prawda?

Raf oczywiście nie wiedział, jednakże było coś takiego w głosie Chartuma, co ostrzegało, że powinien wiedzieć.

-Trzy noce tak przespała. Ona i ten jej kot. Myślała, że pan umiera... Pasza myśli, że to sprytny wybieg. Wyszczekana Amerykanka myśli, że z zemsty nie chce pan się z nią spotkać. Ale Bóg zna prawdę. Pan się schował. Chowa się pan całe życie.

- A ty się za kogo uważasz?

- Czy to ważne? Jestem marnym prochem, jak każdy z nas. W tym mieście są ludzie, którzy oddaliby wszystko, żeby zobaczyć pana w trumnie.

19

Jon Courtenay Grimwood

- Mnie?

- Gubernatora al-Iskandarijji. Jest pan nim przecież, nieprawdaż?

- Ty ich reprezentujesz?

- Kogo ja reprezentuje? Wełniany płaszcz, który noszę.

- Pokręcił głową po tych hardych słowach i zaraz się poprawił:

- Nie, to nieprawda. Nikt nikogo nie reprezentuje, tylko siebie, a poprzez siebie wolę Boga.

Lekarstwo Chartuma miało gorzki smak ni to zgniecionego anyżku, ni to popiołu. Najważniejsze jednak, że przepływało przez gardło i rozlewało się po ciele niczym pełznąca smuga światła. Ból głowy,

o którym już zapominał, minął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Dobrze. - Chartum poważnie kiwnął głową. - Teraz jeszcze

jedzenie... Sam bym coś przyniósł, ale Hani by się pogniewała.

\*\*\*

- Bajgle - oświadczyła dziewczynka. - I nie zapominałam o mleku do kawy.

Były trzy nie opieczzone, przecięte już bajgle, bez żadnych dodatków, ułożone na talerzu z tak delikatnej kostnej porcelany, że Raf widział palce Hani po drugiej stronie. Kawa w filiżance wąskiej u dołu i szerokiej u góry miała kolor popłuczyn, a na jej powierzchni unosiły się, niczym plamy ropy na wodzie, maleńkie globulki koziego mleka.

- To jecie w Seattle... - powiedziała Hani.

Raf połapał się, że to wcale nie stwierdzenie. Ona go pytała.

- Masz rację.

- Sprawdzałam - wyjaśniła na swą obronę. - Bajgle i kawa z mlekiem, tradycja.

Przytwierdził skinieniem głowy.

- Skopiowałam, parę gazet, żebyś sobie poczytał przy śniadaniu. - Zawahała się. - Nie wiem, czy ci się spodobają

- dodała, kładąc talerz z bajglami na skraju łóżka. Spod pachy wyciągnęła olbrzymi plik gazet.

Wiadomości okazały się gorsze, niż się spodziewał. Poniedziałkowy „Die Berliner” rozpisywał się o wycieku dokumentów, z których wynikało, że swego czasu przebywający dziś za gra-

Efendi\_197

nicą Koenig Pasza przyjął 5 mln dolarów łapówki od nękanego kłopotami iskandaryjskiego przemysłowca Hamzy efendiego. Zapomniano dodać, że pieniądze miały ułatwić ślub Zary z Ra-fem, do którego co prawda nie doszło.

W głównej kolumnie wielokrotnie kładziono nacisk na słowo „anarchia”. W Genewie padały ważne pytania, zmuszające Berlin do - choć niechętniej - zgody ze stanowiskiem Francji i Ameryki. Al-Iskandarija stała się niewygodna.

Miasto pogrążone w chaosie. Już to gdzieś czytał.

Koenig Pasza czmychnął do szpitala w Nowym Jorku... Wreszcie coś nowego. Raf z uśmiechem przebiegał wzrokiem po nagłówkach wtorkowego „Timesa”. A zatem staruszek zwiął z kraju, przywiązał się do szpitalnego łóżka i podłączył do przesadnie rozbudowanej aparatury. Na zdjęciu miał zamknięte oczy, a w swojej ascetycznej t\yarzy jakiś trupi wyraz.

Niewykluczone, że stary cwaniak zrobi! sobie dwudniową głodówkę, żeby wyglądać bardziej przekonująco.

Przybycie Generała do Mount Olive Hospital w Nowym Jorku nie mogło się odbyć dyskretnie, skoro witały go rzesze protestujących, którzy skandowali i machali transparentami, gdy stary człowiek, kruchy jak topniejący lód, wjeżdżał po rampie na pożyczonym wózku inwalidzkim, popychany przez młodego pielęgniarza.

- Koenig Pasza naprawdę umiera? - zapytała Hani.
- Wątpię. - Raf pokręcił głową. - Jeszcze się może okazać, że wcale nie był chory.
- Sprytna sztuczka - skomentowała dziewczynka z uśmiechem. Potrafiła to docenić.

Środowe wydania „New York Timesa”, „Le Monde”, „Frankfurtem”, „El Pais”, „Herald Tribune”... Hani skopiowała całą masę gazet, które praktycznie powielają tę samą historię. Generał chory, w al-Iskandarijji zamieszki, brak konkretnych wiadomości o nowym gubernatorze.

Raf wiedział, że niestety nie dowiedzą się o nim zbyt wielu konkretów.

- Dzwoniła Zara - powiedziała Hani. - I jeszcze... Kamila.

Nie od razu wygrzebał z pamięci to imię. Kamila była młodym anatomopatologiem, której kazał wstrzymać się do jego przybycia. Ale kiedy to było, cztery dni temu?

19

Jon Courtenay Grimwood

\*\*\*

Hani dołączyła do Rafa później, gdy już się ogolił, ubrał i był gotów wyruszyć na miasto. Aczkolwiek nie mógł wyrzucić z pamięci słów znalezionych w gazetach: przekręty, pożary, Neron...

- Muszę ci coś pokazać - powiedziała.
- Innym razem.
- Właśnie że teraz.

Uczepiła się kieszeni jego marynarki i nie chciała puścić. Jeden ze strażników przy frontowych drzwiach przyglądał się temu z taką miną, jakby nie wiedział, czy śmiać się, czy interweniować. Za ledwie jednak zerknął na twarz Rafa, powstrzymał się od jednego i drugiego.

- Dobra, o co chodzi? - spytał Raf z westchnieniem.

Hani spojrzała podejrzliwie na strażnika i potem na niego.

- Tajemnica, lepiej chodź ze mną.

Pomieszczenie, do którego go przyprowadziła, było zakurzone i stęchłe za sprawą pleśniejących tkanin dekoracyjnych i sędziwych ksiąg, któregniły na dębowych regałach. Jednakże port danych w ścianie przy oknie jeszcze działał.

- I to-to tyle potrafi? - dziwił się Raf, patrząc na liczby przewijające się z prędkością światła po ekranie zabawkowego komputera w kształcie morskiej muszli.

Wzruszyła ramionami.

- Przerobiłam go - przyznała i skupiła się na ekranie. Liczby uganiały się za sobą, szybciej i szybciej, w miarę jak palce Hani tańczyły po klawiszach, a właściwie tylko je muskały. - Dobra, gotowe - oświadczyła.

Najwyraźniej byli w strefie Tyciej Tiny - niewyobrażalnie cudacznej sypialni, skonstruowanej z falistych płaszczyzn w pastelowych kolorach. Na wysokim łożu siedziały pluszowe misie. W kącie wirtualnego pomieszczenia stała różowa komoda, ozdobiona nalepkami z podobizną kocicy Ifrity.

Poczarowawszy nad klawiaturą, Hani wysunęła jedną z szuflad i kliknęła w pustym miejscu. Dziecięca sypialnia momentalnie zniknęła, zastąpiona miniaturowymi zdjęciami pięciu zniszczonych budynków.

- Widzisz? Jest wspólne podłoże.

Od zdjęć rozchodziły się linie do rozmaitych znaków firmowych, z tych zaś do nazw zagranicznych firm - przykrywek i dalej,

t

Efendi\_199

znów do znaków firmowych. Ostatecznie wszystkie linie zbiegały się w jednym miejscu, pod logo Hamza Enterprises GmbH.

- Wszędzie wybuchł pożar - rzekł Raf.

- I każdy z tych pięciu budynków należał do efendiego - podkreśliła Hani. Uśmiechała się szeroko, zadowolona z własnej przenikliwości.

Raf nagle coś zrozumiał. Zazwyczaj nowe pomysły wpadały mu do głowy bardzo szybko; z kłębowiska faktów intuicyjnie wybierał te istotne i wszystko od razu stawało się klarowne. Tym razem było inaczej. Myśl przychodziła powoli, jak ryba podpływająca do przynęty, z początku jeszcze niewyraźna, lecz po wyłowieniu widoczna w całej okazałości.

Samej rafinerii Hamzy też raz po raz się obrywało, chociaż szkody były zawsze minimalne. Ataki świetnie wypadały na zdjęciach, przeprowadzane chyba tylko na pokaz, nie obliczone na zniszczenia. Komuś zależało, żeby rafineria Midas znajdowała się na pierwszych stronach gazet, ale też ciągle funkcjonowała.

Należało raczej wykluczyć organizację Miecz Boga, która krzywo patrzyła na powiązania Hamzy z St Cloudem. Co ciekawe, gdy w Europie uważano, że St Cloud poprawia wizerunek rafinerii, fundamentaliści mieli go za degenerata. A jeśli organizacja rzeczywiście nie stała za atakami na rafinerię, to trudno przypuszczać, by puszczała z dymem inne nieruchomości Hamzy.

Po wyjściu z komnaty Hani zaciągnęła Rafa przed długie, cętkowane brudem zwierciadło.

- Chcesz się tak pokazywać? - zapytała.

Ujrzał bladego mężczyznę w garniturze ze stójką i okularach od Armaniego, trzymającego w ręku rattanową laskę ze srebrnymi okuciami. Może był nieco chudszy niż przed nagraniem się kryształem, ale poza tym nic się nie zmieniło. Zaczesane do tyłu blond włosy', starannie przycięta bródka, odstające kości policzkowe, kolczyk w kształcie łezki. Ujrzał osobę, którą spodziewał się zobaczyć. Ludzie tak już mieli... póki nie spostrzegli w lustrze kogoś zupełnie innego.

- Ubrałeś się jak Generał - powiedziała cierpliwie Hani.
- A, o to chodzi. Jeśli upodobnię się do Generała, może będę traktowany jak Generał.
- No tak. Zaraz ktoś będzie do ciebie strzelał.

2

Jon Courtenay Grimwood

Rozfztał 32

22 pAŻtJzicrnika

Nazajutrz, dwie godziny przed świtem, Chartum obudził się i poszedł po Rafa. Czekał w milczeniu, kiedy zaskoczony bej siedział na skraju łóżka i wkładał spodnie, zapinał koszule i wrzucał na siebie czarny garnitur. Ubieranie się na siedząco było obowiązkowe w jego przypadku. Nie rozumiał tego, dopóki Chartum mu wszystkiego nie wytłumaczył. Ubieranie się po ciemku było wszakże czymś, na co sam się zdecydował.

Chartum po drodze do komnaty pozdrowił skinieniem głowy sudańskiego strażnika, pilnującego wejścia, a wychodząc, skinął ponownie. Od tej pory strażnik szedł za nimi krok w krok. Przy drzwiach frontowych dołączyli do nich jeszcze dwaj żołnierze. Dopiero po pięciu minutach oddalania się od uśpionej rezydencji Raf zorientował się, że jego eskorta nie ma przy sobie broni.

W blasku lamp sodowych na południe Rue Ptolomies, przez ostre neonowe światła Faud Premier, w głąb ciemnej uliczki niewiele szerszej od sklepowych drzwi. Jedno miasto ustępowało drugiemu, co Chartuma wcale nie dziwiło. Niektórzy sądzili, że liczą się dzielnice, arrondissements, ponieważ to one widniały na mapach. Popelniali podstawowy błąd. Ci sami ludzie dokonywali podobnych sztucznych rozgraniczeń w życiu. To moja praca, moja żona, moi kumple z bazaru, moi przyjaciele, moja rodzina, a to pustka, którą powinien wypełniać mój Bóg.

Życie było inaczej skonstruowane. Posiadało warstwy, a nie oddzielne części. Zasady ujęte w tajnym kodeksie, o którym mało kto wiedział i którego prawie nikt nie czytał.

Z obskurnych domów ulatywał drzwiami dym palonego drewna. Płakały zaspane maluchy. Drewnianą okiennicę otwarto

m J9

Efendi

201

z takim impetem, że huknęła o ścianę. W sąsiednim pomieszczeniu ktoś hałaśliwie odchrząknął i splunął. Im głębiej wchodził w zaułek, tym bardziej smrodliwe stawało się powietrze, a drzwi



mieszkań - bardziej odrapane. Aż w końcu w ścianach z ubitej gliny, ogołconych z tynku zębem czasu i wilgoci, pojawiały się już tylko otwory wejściowe zasłonięte kocami. Pokruszony asfalt odznaczał się na mokrej ziemi jak strupy na popękanej skórze.

Chartum obserwował Rafa w szarości przedświt.

- Gdzie my jesteśmy? - zapytał bej.
- Nie da się ukryć, że już prawie na miejscu - odparł Chartum i szedł dalej.

Byli też inni w mrocznym zaułku. Z ubogich domów wynurzały się wygłodzone postacie z zapadniętymi policzkami, ubrane w liche dżelaby. Im nikt nie usuwał błizn, nie leczył słabego wzroku. Cechowała ich ciemna karnacja ludzi przybyłych z okolic, gdzie spotykają się rzeki. Byli w mieście ludnością napływową. Niewidzialną dla innych. Nie mieli butów, historii, prawa głosu.

Większość tych, którzy dołączyli do Chartuma, nie zwracała uwagi na eskortę Rafa. Choć co najmniej jeden człowiek zawahał się, widząc mundury oświetlone blaskiem sączącym się z mieszkania. Dwóch czy trzech umknęło z powrotem do domu, by skryć się w mroku.

Ten i ów uśmiechał się do Chartuma, choć zazwyczaj pozdrawiano go prostym słowem marhaba. Paru starszych mężczyzn witało się: - Salaam - dotykając prawą ręką serca i wykonując drobny gest palcem obok głowy. Tym ostatnim Chartum odpowiadał formalnie: - Wa alejkum as-salam.

Mały chłopaczek wyciągnął rękę, żeby dotknąć szaty Chartuma, lecz ojciec natychmiast go odciągnął. Chartum udawał, że nie słyszy klapsa i zduszonych protestów, które po nim nastąpiły. W sumie, nie było więcej niż pięćdziesiąt osób, samych mężczyzn, przeważnie młodych. Czasami, kiedy z okna wylewało się światło, ukradkiem zerkali na Rafa, przekonani, że ten nie zauważy. Maszerowali praktycznie w ciszy, aż uliczka wyszła na ponure ugory, przecięte torami kolejowymi.

Daleko na prawo, w blasku lamp łukowych kąpała się olbrzymia neobarokowa sylwetka dworca Misr, wybujałej instytucji, której ogrom nie wydawał się jednak tak przytłaczający

2

Jon Courtenay Grimwood

z daleka, w porannym półmroku. W okolicy znajdował się parking dla ciężarówek, gdzie jakiś ropniak uruchamiał ryczący silnik. Nie licząc tego dźwięku, słychać było jedynie chrzęst stóp na żwirze, gdy cała gromada po przejściu przez tory forsowała dziurawe druciane ogrodzenie.

Po drugiej stronie wymarłej ulicy stały nieprzerwanym szeregiem posępne, czteropiętrowe kamienice. Za nimi na dziedzińcu znajdowała się nieduża zawija, której minaret przypominał prostą, kanciastą wieżę. Docierający echem ze szczytu głos Chartuma zdawał się wątyły i drżący w porównaniu z pogłaśnianą mocą nawoływań, rozlegających się wokół wspanialszych minaretów budzącego się miasta.

Mały meczet jakby tutaj nie pasował, ale tylko z pozoru, bo w gruncie rzeczy, to on był tu pierwszy. Szczerze mówiąc, zbudowano go jako kościół koptyjski, gdzie zamieszkał znany gnostyk, ale to się działo, nim armie Boga wtargnęły z pustyni, niosąc ze sobą miecz, kawę, porządne jedzenie, no i prawdę.

- W imię Boga Miłosiernego, Litościwego...

Po odmówieniu fatihy przyszła kolej na inne modlitwy, a po nich na biblijną przypowieść, której Raf nie potrafił sobie przypomnieć z niedzielnych mszy w szkole. W przypowieści Szatan został ukarany, bo nie chciał się pokłonić Adamowi, a Adam żałował, że zjadł jabłko.

Grzech śmiertelny nie istniał, odkupienie na krzyżu nie było konieczne.

Aby stanowić prawo w sytuacjach nie przedstawionych w Świętym Koranie, należało kierować się rozumną analogią. Sunna, idźma... Raf odszukał w pamięci te słowa i zaraz objawiło mu się ich znaczenie. Sunna była zbiorem opowieści i podstawą prawa muzułmańskiego, ustępującą rangą tylko Księdze, a ważniejszą od idźmy, zgodnych opinii uczonych. Te trzy elementy plus logiczne rozumowanie składały się na cztery klasyczne filary islamskiej jurysprudencji, z których powinien korzystać władca...

Siedząc w kucki ze zgarbionymi plecami w ostatnim szeregu wiernych, Raf wiedział, czemu go tu przyprowadzili. Czemu Chartum tak bardzo nalegał.

Oderwał wzrok od popękanego, sklepionego sufitu i mozaikowych konstelacji, wśród których, niczym zgasłe gwiazdy,

Efendi

203

czerniały miejsca po brakujących kamykach. Po jednej stronie meczetu witraż wypełnił się blaskiem wschodzącego słońca. Poniżej okna znajdował się drewniany mimbar, rodzaj rzeźbionej kazalnicy, w której obecnie stał Chartum. Obok siebie miał wnękę, bogato zdobioną polichromowanym marmurem i malowaną glazurą. Ciosane kamienie w górnej części wnęki przekładały się na przemian w kolorach ciemnoczerwonym i piaskowym, zgodnie ze starą techniką zwaną... ablak, właśnie.

Koło niego mężczyzna w średnim wieku zmarszczył brwi, a gdy rozpoznał nowego gubernatora, prędko odwrócił wzrok.

- Taka jest prawda.

Teraz Chartum siedział twarzą do tłumu i opowiadał historię sławnego mistyka al-Halladza, ukrzyżowanego za sprzeciw wobec kalifa. Jego prochy wrzucono do Tygrysu. Potem nastąpiła opowieść o pewnym mulle, który jechał na osie do tyłu, dzierżąc w rękach lampkę i kubek wody. Pytany, odpowiadał, że zamierza podpalić niebo i zgasić ogień w piekle.

Teraz przyszła kolej na historie lżejszego kalibru. O biednym mulle i bogatym żebraku. O tym, jak w nocy muła wpadł do studni. Albo jak ogłosił - gdy przyprowadzono do niego ciężarną kobietę, której mąż spadł z wozu i zabił się przed pięciu laty - że wina leży po stronie leniwego płodu, tak długo śpiącego. W końcu, gdy ludzie jeszcze rozważali w duchu treść opowieści, Chartum przerwał naukę.

- Miasto to oni - powiedział później do Rafa. - Kto zapomina o tym, źle skończy. - Uśmiechnął się. - Poza tym, jak to zwykle mówią niewierni? Zobaczyć znaczy uwierzyć?

- Chcesz, żebym w nich uwierzył?

Chartum popatrzył na niego jak na kompletnego idiotę.

- Nie - odparł z naciskiem. - Chcę, żeby oni uwierzyli w pana.

204

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 33

22 pAri>ziernika

Nie ona pierwsza podejrzewała, że to Raf doprowadził do wyjazdu Koeniga Paszy. Jednakże dr Kamila była w swoich przypuszczeniach utwierdzona bardziej niż większość ludzi.

- Atak serca z powodu trucizny? - Raf uniósł brwi. - Kto wygaduje te herezje?
- Mówili w lokalnych wiadomościach. A co, nieprawda? - Kamila wypowiadała się tonem dalekim od beztróskiego, bliższym klimatowi posępnego prosektorium.
- Pewnie, że nieprawda. Bo żeby mieć atak serca, najpierw trzeba mieć serce.

Za nim rozległo się prychnięcie, lecz kiedy obejrzał się przez ramię, Hakim, dawny oficer przyboczny Generała, pilnie patrzył przed siebie.

- Spotkamy się, jak skończę z tym, co zaczęłam - obiecała chłodno Kamila, nim skupiła uwagę na skalpeli i korpulentnej kobiecie, przykrytej do połowy zieloną płachtą.

Raf był ostatnio u Kamili w pracowni autopsyjnej trzy miesiące temu. Wówczas leżały tu dwa ciała: jedno nieznanego mu osoby, nie związanej z jego historią, drugie kobiety, o której morderstwo posądzano jego. Dzisiaj było sześciu nieboszczyków. Ostatnio w al-Iskandarijji nawet śmierć podlegała inflacji.

- Mężczyzna, którego przysłałem...
- Za chwilę... - przerwała z irytacją, odwracając się do twarzy nieżyjącej kobiety, zasłoniętej włosami naciętymi i od-preparowanymi do wysokości guzów czołowych. Pod spodem wycięto kawałek żółtej kości.

Cokolwiek znajdowało się w nierdzewnym blaszanym naczyniu obok na wpół wypróżnionej czaszki, wyglądało jak

Efendi

20

przemielona galareta, lecz było zapewne czymś o wiele paskudniej szym.

- Teraz! - rozkazał Raf.
- Jak tylko się z tym uporam.

Pstryknął palcami i wskazał elektryczny skalpel.

- Proszę odebrać panie Kamili zabawkę.
- Jasne, szefie. - Hakim przecisnął się między stołami sekcyjnymi i wyciągnął swoje muskularne łapsko. - Jeśli pani pozwoli...

Kamila z największą ostrożnością położyła na stole miskę i skalpel. Dwa krótkie brzęknięcia żelaza o żelazo zagłuszyły westchnienie Rafa. Z pewnością nie zapomniła mu jeszcze jego ostatniej wizyty.

- Skalpel, proszę... - Hakim czekał z wyciągniętą ręką.
- Nie trzeba - rzekł Raf, na co sierżant bez słowa wrócił na swoje miejsce.

Ahmed, drugi ochroniarz, został na górze, nad schodami. Na ulicy przed budynkiem warował obok bentleya osobisty szofer Rafa. Wydawało się, że jedynie w kiblu mógł się uwolnić od obecności swoich bodyguardów. A nawet i o to musiał walczyć.

W samej rezydencji miał do dyspozycji pracowite sekretarki, bystrych asystentów - więcej podwładnych, niż godzin liczy doba. Do tego wszyscy czekali na rozkazy. Tylko Hani miała czelność otwarcie się z nim nie zgadzać, gdy nie popierała jego pomysłów. Raf zastanawiał się, czy faktycznie Generał miał na myśli głupka wspieranego przez dziewięcioletnią dziewczynkę, gdy zrezygnował ze stanowiska i wyznaczał swojego następcę. Póki co, najbardziej spektakularnych rzeczy dokonał... biernością. Zero wysiłku, jak w teatrze cieni.

- Hakim, idź do Ahmeda. Rozumiesz?

Osilek pokiwał głową z powątpiewaniem, popatrzył na Rafa i wzruszył ramionami.

- Czy to rozkaz, szefie?
- Jeśli trzeba, to rozkaz.

Po jego odejściu Raf przyjrzał się Kamili. Podejrzewał, że na twarzy anatomopatologa maluje się wyraz jawnej wzgardy, aczkolwiek była to może tylko jego wyobraźnia, biorąc pod uwagę, że nos i usta zasłaniała zieloną maską chirurgiczną.

206

Jon Courtenay Grimwood

- Wie pani, czemu Generał mianował mnie gubernato-
- rem?

Nieznacznie pokręciła głową.

- A chce pani wiedzieć?

Chwilę się namyślała z lekko przekrzywioną twarzą. Spojrzenie jej ciemnych oczu powędrowało ku zamkniętym drzwiom za Rafem. Ponownie pokręciła głową. Nie, nie chciała wiedzieć...

- 1 dobrze, bo sam, kurwa, nie mam zielonego pojęcia.
- To jest nas dwoje.

Jej półgłówna uwaga nie była przeznaczona dla jego uszu, a mimo to usłyszał. Podobnie jak słyszał nierówne bicie jej serca, przyspieszony oddech i szelest papieru, gdy w poszukiwaniu papierosów włożyła dłoń pod fartuch przez specjalne rozcięcie.

Lekceważąc tuzin wywieszek z ostrzeżeniem Palenie wzbronione, Kamila stuknęła w paczkę i chwyciła ustami papierosa, zapaliła go i zaciągnęła się dymem. Ani myślała częstować Rafa: pogniecioną paczkę schowała z powrotem do kieszeni.

Dym gęsty od nikotyny wolnej od czynników rakotwórczych, mieszający się z wonią formaldehydu, niemalże zdusił ledwie wyczuwalny zapach wolno rozkładających się zwłok. Kiedy ścienny zegar tykaniem odmierzał upływ czasu, odświeżacz powietrza zbierał dym, a buczące urządzenie w ścianie utrzymywało temperaturę w pracowni na poziomie paru stopni powyżej zera.

Prosektorium znajdowało się piętnaście stóp pod ziemią, wydrążone w litej skale i dźwiękoszczelne. Dawniej, zanim zaczęto zwozić tu zmarłych ludzi, służyło żywym jako więzienie. Liczyło się to, że nie wychodził stąd hałas. Wcześniej mieściła się tutaj zwyczajna kostnica, a jeszcze wcześniej heretyccy gnostycy ukrywali się w tym miejscu przed potęgą Bizancjum.

Fakty historyczne akumulowały się w głowie Rafa jak wspomnienia, zastępy duchów cichych i pozbawionych nadziei. Czasem zdawały się uzyskiwać materialną formę.

- Czytała pani Ibsena?

Nie czytała.

- Jakaś woda w miasteczku została zatruta, nikomu nie zależy na ujawnieniu tajemnicy. Zapomniałam, jak to się

Efendi

20

skończyło... - Dziewczęca twarz pod maską pozostała nieprzenikniona.

Raf westchnął.

- Proszę pokazać mi ciała.

Kiwnęła głową. Stosunki między nimi wróciły do normy. On wydawał rozkazy, ona je w duchu dezaprobowwała.

- Tędy. - Ruszyła do łóżka stojącego nieco na uboczu. - To mężczyzna, którego kazał pan nam przyjąć. - Odstoniwszy płachtę, wskazała na coś, co śmierdziało starym popiołem i miało konsystencję skamieniałego drzewa, znalezione w torfowisku.

Ubranie miejscami spiekło się ze skórą (gdzie oczywiście skóra pozostała), nogi były zgięte w kolanach, ciało pochylone do przodu, a pięści uniesione, jakby w starciu z niewidzialnym wrogiem... Kawateczki zwęglonej, przypominającej korę skóry zsypały się na łóżko, lecz ogólnie rzecz biorąc, szczątki mężczyzny wyglądały jak z połyskliwego antracytu. Wokół kostki owinęło się sznurowadło, same buty stopiły się z sobą.

- Pozycja bokerska - oznajmiła Kamila, pokazując zgięte kończyny. - Zdarza się często, kiedy

silne mięśnie gotują się w wysokiej temperaturze. Mięśnie się ściągają, kręgosłup się powiększa, głowa odchyła. Znajdujemy takich wszędzie, w spalonych budynkach i ruinach Pompei. Ten tu został otoczony ogniem, ale upadł i oszczędziły go największe płomienie. Pańskie szczęście.

Raf spojrział na nią pytająco.

- W bardzo wysokiej temperaturze mózg się gotuje i pęka czaszka, co przypomina ranę postrzałową. Oczywiście, trzeba wiedzieć, na co patrzeć. Ta czaszka jest w jednym kawałku, a roentgen wykazał, że nie wszystkie wstawki się stopiły. On miał właśnie wstawki zamiast zamienników. Tradycjonalista.

Lub kretyn - pomyślał Raf.

- Co nam przyjdzie z tych wstawek?

- Z pomocą Bożą poznamy jego narodowość. - Wzruszyła ramionami. - Przyjrę się temu dokładniej po skończeniu badań powierzchniowych. - Zgasiła niedopałek papierosa, ujęła pałeczkę lampy ultrafioletowej i włączyła zasilanie.

- Nie ma mowy. - Raf spokojnie odebrał jej lampę. - Muszę poznać jego narodowość. Za chwilę może być za późno.

2

Jon Courtenay Grimwood

- Dobra, pan tu rządzi. - Uprzejme słowa stały w sprzeczności z twardością spojrzenia. Za pomocą skalpela rozcięła zwęglony policzek, zmieniła narzędzie i sięgnęła do środka małą szczypcami. - Już pęknięty z gorąca - mruknęła pod nosem i dodała głośniej: - Możemy to zrobić fachowo albo szybko.

Nie czekając na odpowiedź, rozkruszyła zęba i wbiwszy głęboko szczypczyki, wyłuskała drobny fragment plomby. Fragment trafił do szklanego naczynka, naczynko do niedużego spektrometru. Kamila wcisnęła guzik. Za ciemnym szkiełkiem laser zamienił w parę dentystyczny amalgamat, a na płaskim ekranie zaczęły się pojawiać informacje.

- Austro-Węgry, może Niemcy. Na upartego USA, choć amerykańskie plomby mają nieco innych skład chemiczny.

- A więc nie pochodzi z al-Iskandarijji?

- Ja tu mówię o plombie.

- A ja nie. Co z dziewczyną?

- Ten już nie będzie panu potrzebny?

- Na razie wystarczy.

Wystarczyło, to fakt. Turysta zabija turystów. Człowiek, który spalił się żywcem, był obcokrajowcem. W razie konieczności, zrobi się z niego turystę. Będzie można coś zakomunikować dziennikarzom. I zapisać na jego konto poprzednie zabójstwa.

Raf ciągle jeszcze wyobrażał sobie nagłówki gazet, kiedy Kamila podeszła do drugiego stołu sekcyjnego i ściągnęła płachtę. Ukazały się twarz i ramiona nastoletniej blondynki.

Tym razem lekarka traktowała zwłoki z większym szacunkiem. Czy z racji tego, że miała do czynienia z kobietą, czy raczej dlatego, że nie z zabójcą, ale ofiarą? A może po prostu te zwłoki zachowały w sobie więcej cech człowieka? Owszem, człowieka podobnego do układanki z brakującymi fragmentami, lecz i tak, nawet po śmierci, bardziej przypominającego istotę ludzką.

Martwa dziewczyna wydawała się pod płachtą niezwykle wychudzona, czego przyczynę Raf szybko ustalił. Jelita spoczywały już pod stołem w chłodzonym pojemniku, oznaczonym numerem i etykietką. W miarę jak przyglądał się denatce, zaczął dostrzegać jakby samego siebie. Przysięgłby, że kiedyś to on leżał w centralnym miejscu sali operacyjnej, otoczony ludźmi w białych fartuchach.

- Amerykanka - stwierdził. - Dziewiętnaście lat, przedmiot kierunkowy polityka, dobre oceny na studiach. Urodzona

Efendi

20

w Kansas City. Ojciec pracuje w sieci Hallmark... -Przechwytał zdziwione spojrzenie lekarki. - Rozmawiałem z biedakiem pół godziny temu.

Nie mówiąc mu, rzecz jasna, niczego konkretnego. Spotkanie było przykre i szybko się skończyło. Jegomość w średnim wieku, z obwisłymi policzkami, zmordowany po długiej podróży samolotem, blady i zszokowany, zjawił się w towarzystwie cuchnącej wódką kobiety, która ledwie powstrzymywała się od wybuchu złości. Dowiadują się o zaginięciu córki, przylatują na miejsce, a tu władze nabierają wody w usta. Po dwudziestu czterech godzinach, kiedy są już na skraju załamania, najgrubsza ryba w al-Iskandarijji wpada do hotelu w świetle trzech uzbrojonych strażników.

Na koniec Raf złożył Haugerom wyrazy ubolewania i wyszedł ze swoją obstawą. Matka zamordowanej dziewczyny spio-runowała go na pożegnanie nienawistnym spojrzeniem, jakby obwiniąta go osobiście za wszystkie przykrości, które spotkały jej dziecko. Jedynie dobre maniery i fakt przebywania w obcym mieście skłoniły ją do trzymania języka na wodzy. Wychodząc z hotelu, Raf minął się z panią senator Liz. Spojrzeniem dawała do zrozumienia, że też uważa go za winowajcę.

Podczas niemiłego spotkania z Haugerami dowiedział się tylko tyle, że Dawn nie piła, nie brała narkotyków i nie biegała za chłopakami.

Odwinąwszy chustę do bioder, Raf spojrział na pośmiertne szczątki ich córki. Kiedyś była naprawdę ładną dziewczyną, choć bez fajerwerków. I miała rodziców, którzy teraz w hotelu Hyatt, w mieście tak obcym, że równie dobrze mogłoby się znajdować na innej planecie, próbowali pozbierać się po tragedii.

Chciał zobaczyć Dawn taką, jaką zapamiętali ją rodzice... jeśli mieli szczęście. Nie zimnego trupa we wstępnym okresie rozkładu, ale uroczą blondynkę o ostrych rysach twarzy i chabrowych oczach.

- Niech mi pani coś powie o jej ranach. - Zwinął chustę i ułożył ją w poprzek ciała, aby nie urazić Kamili bardziej, niż tego wymagały okoliczności. - Co wynika z pierwszych ustaleń?

- Nie ustaliłam jeszcze zbyt wiele - odparła. - Dopiero zrobiłam roentgen. Sam pan kazał

wstrzymać się z oględzinami.

1

Jon Courtenay Grimwood

- No tak, pamiętam. Przepraszam...

Nie takiej reakcji z jego strony oczekiwała, choć o to między innymi chodziło Rafowi. Lis znał jakąś trafną sentencję Machia-vellego na temat psychologicznych sztuczek, ale niestety lis się nie odzywał; prawdopodobnie nie żył.

- No cóż... - Kamila nie wyglądała na udobruchaną, najwyżej na speszoną. - Teraz pan przyszedł.

- Nie da się ukryć.

Zastanawiał się, czemu przechodzą go dreszcze. Przypomniało mu się, że w dzieciństwie dużo myślał o takich miejscach, zwłaszcza kiedy wymieniano mu drugą nerkę. Lekarz powtarzał, że trzeba działać szybko. Właśnie ze względu na uciekający czas klinika zwróciła się do pośrednika handlu ludzkimi organami. Oczywiście, ten sposób był tańszy niż wyhodowanie nowego organu, lecz zapewniano matkę, że nie jest to główny powód.

Dawno już stracił rozeznanie w tym, ile ma w sobie przeróbek. Choć czasem napotykał niewyraźne blizny po szwach w niespodziewanych miejscach. W poprzek klatki piersiowej, dajmy na to, lub wzdłuż ręki. Zastanawiał się wtedy: co to?

Mgliste wspomnienia.

- Nic panu nie jest?

Podniósł wzrok. Kamila świdrowała go podejrzliwym spojrzeniem.

- Jestem tylko nowym iskandaryjskim zmiataczem ulic, zgodzi się pani?

- Jeszcze mi nie odbiło. - Wyciągnęła z kieszeni latającą kamerę i wyrzuciła ją w powietrze. Poczekala, aż urządzenie przeprowadzi procedurę autodiagnostyczną. - Piątek, 22 października, godzina 2:38 po południu - oświadczyła, gdy zapaliła się zielona dioda. - Mówi Kamila bint Abdullah, miejski lekarz medycyny sądowej z uprawnieniami drugiego stopnia.

- Z tonu jej głosu jasno wynikało, co o tym wszystkim myśli.

- Przy autopsji obecny jest także Jego Ekscelencja Aszraf...

- Odchrząknęła. - Ostatnie wymazać. Jego Ekscelencja gubernator al-Iskandarijji. Sprawa numer 49-3957, denatka Jane Doe... - Kamila uśmiechnęła się niemalże przepaszająco; Raf rozumiał, że musiała zidentyfikować ciało przed nadaniem właściwego imienia. - Zwłoki należą do kobiety wyglądającej na

Efendi

1



zdrową i dobrze odżywioną, rasa biała, wiek około 20 lat. Wzrost 64 cale, waga ciała, pomniejszona o płuca i serce... - Po odczytaniu informacji na stole sekcyjnym i chłodzonym pojemniku z jelitami dodała jedną liczbę do drugiej i powiedziała: - 115 funtów. Włosy jasne, oczy niebieskie, faktura skóry normalna. Brak blizn, znamion, podskórnych chipów, tatuaży. Wstępne badanie promieniami roentgena nie ujawniło fragmentów kości, pęknięć, śladów po kuli, ran zadanych nożem bądź igłą ani też przedmiotów osadzonych w głębi ciała. Żadnych ciał obcych w gardle, odbytnicy i pochwie. - Kamila uniosła prawą dłoń Dawn Hauger i przyjrzała się palcom - Paznokcie pomalowane, starannie opiłowane i nie popękane. Nie ma pod nimi żadnych ciał obcych. Nie ma świadczących o walce obrażeń na spodniej części dłoni, nadgarstku i między palcami. Co świadczyłoby o samobójstwie - rzuciła przez ramię. - Gdyby wierzyć podręcznikom, oczywiście. - Mówiła z ponurą ironią, zapominając na razie o wrogości.

Jest dobra w swoim fachu, pomyślał Raf. Podchodzi do rzeczy profesjonalnie, bez wahania.

- Inicjały H.Q. wycięte na wewnętrznej stronie lewego nadgarstka - oznajmiła, wieńcząc tym samym badanie drugiej dłoni.

Prędkie oględziny lampą ultravioletową nie wykazały żadnych nadzwyczajnie jasnych miejsc. Mimo to pobrała wymazy z kącików ust denatki, nosa i wejścia do pochwy. Sprawdziła też okolice wżórką łonowego w poszukiwaniu obcych włosów, chociaż tę czynność wykonano już na miejscu zbrodni.

Za pomocą plastikowej linijki zaczęła mierzyć długość ran. Wyniki oznajmiała beznamiętnym głosem. Najdłuższa rana biegła od gardła po kość łonową, nieco mniejsza zaś w poprzek tułowia tuż pod pełnymi piersiami. Rozcięcia tworzyły cross potent. 1 był to rzeczywiście cross potent, a nie zwykły krzyż, bo i tym razem na wszystkich końcach ran widniały krótkie, poprzeczne rozcięcia. Górne rozplatało gardło, dolne rozharatało spojenie łonowe, dwa pozostałe zjechały po żebrach. Aczkolwiek Kamila używała terminów: cefaliczne, kaudalne i lateralne.

- Precyzyjna robota - stwierdziła. - Podejrzanie precyzyjna... - Przerwała, aby Raf mógł zadać pytanie. A ponieważ milczał, ciągnęła: - Przejrzałam raport policji z miejsca przestępstwa.

## 2\_Jon Courtenay Grimwood

-Jak...? - No tak, jasne, ojczulek dumny z pozycji zawodowej córki. - I czego się pani dowiedziała?

Zawahala się i odpowiedziała pytaniem na pytanie:

- Czy nie oczekiwałby pan raczej wzmożonej dezorganizacji?

- Czego?

Wzruszyła ramionami.

- To już trzecia ofiara mordercy. Osobiście, szukałabym dowodów na to, że sprawca zdaje sobie sprawę z coraz większego ryzyka: uciekającego czasu, mniejszego wyboru drogi ucieczki i miejsca zbrodni. A jednak wszystko wskazuje na to, że ostatnie morderstwo zostało dokonane staranniej niż poprzednie, w którym zastosowano inny modus operandi.

- Jest pani absolutnie pewna?

- Oczywiście. - Kiwnęła głową. - Grzebałam w protokołach. - Wskazała ekran na odległej ścianie. -

Przeanalizowałam zdjęcia z tamtych morderstw. Rany identyczne, sposób działania różny. Rozbieżność niestety nie została ujęta we wnioskach.

- Dlaczego?

Wymownie wzruszyła ramionami. Tym gestem wyraziła uczucia, jakie żywiła wobec swojego kolegi po fachu z polizia touristica.

Powiedziała jednak:

- Może miał na głowie za dużo obowiązków...

Co roku umiera w przybliżeniu jeden procent mieszkańców miasta. W al-Iskandarijji żyło ich cztery miliony. Co oznaczało czterdzieści tysięcy nieboszczyków, z czego co czwarty kwalifikował się do pośmiertnych oględzin. Po odjęciu nędzarzy i ludzi bez znaczenia liczba spadała do trzech tysięcy, z których znakomitą większość należało pochować do południa, jeśli umarli w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, lub południa następnego dnia, jeśli umarli w południe lub później.

W tym roku polizia touristica prowadziła śledztwo w sprawie siedmiu przypadków śmierci. Chodziło o czterech topielców i trzech zamordowanych w okrutny sposób turystów. Ostatnim przypadkiem zajmowała się Kamila.

- Na podstawie obserwacji i protokołów z otwarcia zwłok nieoficjalnie mogę wyrazić przypuszczenie - starannie dobierała słowa - że pomimo oczywistych podobieństw ofiara numer trzy

Efendi

1

nie zginęła z rąk tego samego sprawcy co ofiara numer dwa, ponieważ w zbadanym przeze mnie przypadku umiejscowienie poszczególnych cięć jest bardziej precyzyjne. - Kiwnięciem głowy wskazała najpierw otwarte gardło dziewczyny, potem symetryczne rozcięcie pod brzuchem. - Niebywale precyzyjne. - Wzięła linijkę. - Dokładnie w połowie między brodą i mostkiem, dokładnie przez połowę spojenia łonowego. A teraz zebra: identyczna długość cięć, identyczne umiejscowienie. Rzecz jasna, nie mam podstaw twierdzić, że sprawcy pierwszego i drugiego morderstwa to różne osoby.

- Co pani chce przez to powiedzieć? - zadał Raf roztropne, jak mu się zdawało, pytanie.

- W protokole podkreślam kluczowe aspekty zbrodni. Więcej można byłoby ustalić dopiero po przeprowadzeniu dokładniejszych oględzin. - Uśmiechała się blado. - Poza protokołem powiem, że moim zdaniem Dawn Hauger wykrwawiła się na śmierć, a potem zwłoki zbecześcił ktoś, kto nie potrafił okaleczyć jej, gdy żyła.

- Czy to znaczy, że mamy serię morderstw wzorowanych na sobie?

Kamila patrzyła na niego twardo.

- Pan ma inną teorię?

- Owszem. - Pokiwał głową. - Facet wprawił się w mordowanie.

2

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 34

22 pAŻi>ziervtiUA

O co chodzi z tymi zdjętymi lustrami? Ostatnim razem, kiedy senator Elsing została zaproszona na rozmowę z gubernatorem al-Iskandarijji, na ścianach wisało sześć luster w ozdobnych ramach ze szkła z Murano, przez co i tak już przestronne pomieszczenie sprawiało wrażenie jeszcze większego. Cóż, stary człowiek odszedł, a wraz z nim lustro. Wspomnienie po nich zachowało się w jaśniejszych plamach na pociemniałym ze starości jedwabiu. A więc co jest grane i czy uchodzi pytać?

A tak właściwie, to czy bezpiecznie jest spotykać się z tym mężczyzną sam na sam?

Przed nią siedział zabójca, z czym senator Liz jakoś nie umiała się oswoić. Nie zabójca pokroju Generała, którego wojna i polityczne rozgrywki zmuszały do najgorszych rzeczy, ale taki prawdziwy, z krwi i kości. Aszraf bej przyłożył rewolwer do głowy poprzedniego szefa dochodzeniówki i pociągnął za spust, twierdząc, że robi to z pobudek humanitarnych. Najbardziej zdumiewał fakt, że w tym mieście nikomu to nie przeszkadzało.

No tak, cała al-Iskandarijja.

Niewykluczone, że bej stał za zamachem na szejka el--Halanę w Kabulu - człowieka, który zlecił atak bombowy na osmański konsulat w Seattle. Do tego dochodziła śmierć agenta Thiergarten. I pogłoski o powiązaniach beja z samym sułtanem.

Senator Liz pragnęła jak najszybciej rozmówić się z nim i opuścić jego towarzystwo. Miała jednak pewien problem, i to dość poważny: siedzący naprzeciwko niej młody człowiek najwyraźniej puszczał jej słowa mimo uszu. A żeby jej plan miał szansę na realizację, koniecznie musiała uzyskać jego aprobatę.

Efendi

1

- Wasza Ekscelencjo...

Dwa ciemne szkła okularów. Gdzieś za nimi krył się człowiek, kimkolwiek był. Choć w Białym Domu zdania w tej kwestii były podzielone.

- Proszę mi powiedzieć - odezwał się Raf - czy podoba się pani tapeta?

- Czy... co? - Nie zdołała ukryć konsternacji.

- Turecka. Zastanawiałem się, czy jej nie zamalować. Musiałbym kupić galony farby emulsyjnej, a nie mogę się zdecydować na kolor. - Znów zamilkł na długą chwilę.

Senatorce pozostało rozejrzeć się po ścianach, choć nie miała pewności, czy jego uwaga cokolwiek znaczyła.

Pomieszczenie, w którym się znajdowali, dobudowane do głównego budynku w roku 1803, było za duże, jak na salon, i zarazem za małe, jak na porządną salę balową. Dokładnie półtora raza wyższe od

innych pomieszczeń na parterze, sprawiało, że ciasne poddasze nad nim mogło służyć już tylko jako składzik. Tak czy inaczej, ze wszystkich komnat rezydencji Raf właśnie tutaj najbardziej lubił przebywać.

Gdzieś pod puszystym przykryciem podłogi znajdowały się marmurowe płyty, wyciosane w kamieniotłomach rękami niewolników. Były wszakże niewidoczne, ponieważ większą część przestrzeni zagarnęły dla siebie dwa chińskie jedwabne kobierce, a nędzną resztkę - bucharskie dywaniki i isfahańskie persy.

- Bardzo ładne tapety - stwierdziła ostrożnie pani senator

Liz.

- To prawda. - Siedzący przed nią mężczyzna pokiwał głową. - Pytanie tylko, czy gdyby je pomalować, byłyby ładniejsze? A jeśli tak, to czy pasowałby tu biały kolor?

Stłumiła westchnienie. Pasza-zade Aszraf al-Mansur niepokojąco przypominał swojego ojca, emira Tunisu; wyglądało na to, że podobieństwo nie jest bynajmniej powierzchowne. Ostatnim razem, kiedy emir raczył ją przyjąć, siedział okopany w dziczy Dżabal Dahar, gdzie strzegły go ciemnookie dziewczęta z plastikowymi pukawkami. Jego Wysokość wygospodarował ze swoich wieczornych obowiązków całe pół minuty, aby jej oznajmić, że nie wyraża zgody na nic, o co zostanie poproszony, choć może pójdzie na jakieś drobne, nieistotne ustępstwa...

2

Jon Courtenay Grimwood

Teraz stał za nią tłumacz, zbyteczny od chwili, gdy okazało się, że Aszraf bej włada angielskim. Ponieważ tłumacz pracował w zasadzie jako zastępca attache do spraw informacji przy ambasadzie USA w al-Kahirze, zamierzała na bieżąco korzystać z jego wskazówek. Oczywiście, nie wchodziło to już w grę.

Czułaby się o wiele lepiej, gdyby imponująco gruby plik dokumentów, który przed nią leżał, zawierał choćby jedną notatkę z pożytecznymi informacjami na temat jej rozmówcy. Wydawało się, że to człowiek czystyjak kryształ. Po uratowaniu życia córce Quitrimali nie przyjął nagrody, mimo że oferowano mu bajorńską sumę pieniędzy. Zrezygnował z małżeństwa wartego miliardy, bo nie kochał dziewczyny. Nie należał do żadnego stowarzyszenia, żadnej sitwy.

I niewątpliwie był niespełna rozumu. Przez trzy dni trzymał świat w niepewności. Prezydenta w Waszyngtonie, cesarza Niemiec... ba, nawet własnego sułtana w Istambule.

- Wasza Ekscelencjo... - Słowa prośby nie chciały przejść jej przez gardło, lecz musiała wykonać to niewdzięczne zadanie.

- W al-Iskandarijji...

- ...wszystko się pieprzy. - Raf nie pozwolił jej dokończyć myśli. - Słyszysz pani? - Teatralnie nadstawił ucha, wsłuchując się w wycie syren przejeżdżającego obok rezydencji radiowozu.

- Zamieszki w dzielnicy Karmus. Jeden z banków spółdzielczych nie wypłaca pieniędzy.

- Złe wieści, nic tylko złe wieści - rzekła ze smutkiem, choć ten smutek wyrażał się jedynie w słowach, nie w minie.

- Niezupełnie - stwierdził lekkim tonem. - Przykładowo, udało się ustalić poza wszelką wątpliwością, że Hamza efendi nie maczał palców w zabójstwie drugiej dziewczyny, tej znalezionej na jego plaży. Niestety, rzeczywisty sprawca został zabity... - Przeze mnie, dodał w duchu. W piwnicy opuszczonego domu w Moharrem Bej. Oczywiście, ten fakt zachował dla siebie. - Wiemy również, że morderca pierwszej dziewczyny zastrzelił się nad brzegiem jeziora Mareotis. - Raf co prawda nie był tego pewny, lecz skład chemiczny resztek substancji obecnej w woreczku znalezionym przy mężczyźnie odpowiadał narkotykowi, którym nafaszerowano Dawn Hauger w Casino Quitrimala. A to już coś znaczyło. - Podsumowując, mamy trzy morderstwa i trzech bandziorów, z których każdy popełnił

i

Efendi

21

zbrodnie w prawie identyczny sposób. Oczywiście, trzeci też już wypadł z gry...

Elizabeth Elsing zmrużyła oczy, lecz najciekawsza była reakcja stojącego za nią mężczyzny:

- Aresztował go pan? - zapytał bezwiednie.

Raf zmierzył uważnym spojrzeniem tłumacza, który sądząc po minie, najchętniej cofnąłby pytanie.

Odpowiedź starał się adresować wyłącznie do pani senator:

-Tak się nieszczęśliwie składa, że i on nie żyje. - Odstawił filiżankę kawy i oparł się wygodnie w fotelu.

- Nie żyje? - Filigranowa kobieta zareagowała z tak dużym ładunkiem emocji, że omal nie spadła z kanapy.

- Smutne, prawda? - powiedział. - Mogę jedynie zdradzić, że był Niemcem. - Otworzył notes elektroniczny w skórzanej oprawie i wcisnął przycisk wznowienia. Na stronie przewinęły się zdania. Prawdopodobnie kolejna wiadomość od Hani i ze dwa nieodebrane telefony od Zary. - Na razie nie podajemy nazwiska do publicznej wiadomości. - Zamknął notes i położył go na stole.

- Wcześniejsze powiadomienie byłoby...

- ...pomocne. Rozumiem, to oczywiste.

Wymiana chłodnych uwag, na jaką się zanosilo, nie doszła do skutku, jako że podwójne drzwi otworzyły się z hukiem i do środka niepewnym krokiem wkroczył Chartum z ciężką, srebrną tacą.

Jego surdut był ozdobiony złocistym szamerunkiem z trochę poskręcane go sznurka, żółty fular z maltańskiej koronki odstawał od szyi, a pod srebrnymi klamerkami na lśniących, czarnych butach dało się zauważyć szare miejsca, gdzie nie starł kurzu z lakierowanej skóry.

- Świeża kawa, Wasza Ekscelencjo.

Raf obrzuci! spojrzeniem twarz staruszka i z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Chartum nie ubrał się tak bez powodu. Podobnie jak nie bez powodu przed spotkaniem wyskoczył z przypowieścią.

A zaczęło się od pytań o opowiadania Hani. Raf oczywiście ich nie czytał, aczkolwiek słyszał fragmenty.

„W takim razie niech pan posłucha. Otóż złodziej zakradł się do izdebki mędrca z bractwa sufich, ale nie znalazł nic prócz

1

Jon Courtenay Grimwood

piachu i suchych skórek chleba. Gdy wychodził, mędrzec, współczując rozczarowanemu złodziejowi, oddał mu podarty koc z łóżka, aby ten nie wychodził na ulicę z pustymi rękami”.

„Hani to napisała?”

„Nie, jeszcze nie...”

Raf patrzył z podziwem na staruszka, który ostrożnie stawiał tacę na stole. Pożłacanemu dzbankowi dotrzymywały towarzystwa dwie maleńkie, pożłacane filiżanki, półmisek li-muzyjskiej roboty z rachatlukum przyprawionym wodą różaną oraz patera z ciastkami w kształcie rogalika. W otwartej, obitej palisandrem papierošnicy z kutego srebra leżały papierosy Bałkan.

- Ufam, że Waszej Ekscelencji nic więcej nie potrzeba.

- Chartum uklonił się nieznacznie i tyłem wyszedł z komnaty, jakby od dziecka pełnił funkcję majordomusa.

Kawa, ciasteczka, rachatlukum... Porcelana z Limoges i angielska srebrna taca. Gdzieś w tym zbiorze czaiła się matematyczna zależność, jakiś ścisły związek. Lis powiedziałby: skup się. Dlatego Raf próbował się skupić, zaczynając od wspomnianego przez Chartuma „nic więcej”.

Zero u Arabów znaczyło zrozumienie. Niewierni, którzy przybyli w swoich blaszanych zbrojach ze swoją pozał się Boże kuchnią, rozumieli koncepcję dodawania czegoś do czegoś, lecz pojęcie zera - sumowania, odejmowania i definicji niczego

- należało im dopiero wyoślić.

Francuzi, Anglicy, Niemcy, teraz Amerykanie. A przedtem mamelucy i arabscy najeźdźcy. Ależ tak! Chartum miał na myśli to, że w sprzyjających okolicznościach al-Iskandarijja narodzi się na nowo. Nikt tak naprawdę jej nie okiełznał. Nieprzyjaciel albo szedł dalej, albo zspalał się z miastem, które na wyrost uważał za zdobyte.

- Czego od nas chcecie? - zapytał.

-My?

- Od miasta, ode mnie?

Ich spojrzenia krzyżowały się nad niskim stołem. Obojgu objawił się prawdziwy powód tego spotkania.

- Al-Iskandarijja... - zaczęła pani senator.

- ...jest pogrążona w chaosie. - Wzruszył ramionami. - Już to zostało powiedziane. Rzecz w tym... co tu pani robi?

Efendi

1

- Proponuję pomoc. - Odchyliła się na oparcie kanapy, próbując się odprężyć. Raf to zauważył, co jeszcze pogłębiło jej zakłopotanie.

- Pomoc? - No pewnie, pomyślał. Czemu by nie? - W zamian za co?

Przez chwilę wydawało się, że pani senator Liz powie: w zamian za nic. Powstrzymał ją od tego uśmiech Rafa.

- Sytuacja jest skomplikowana...

Twój dywan przeżarty mole, nadaje się prawie na śmietnik, do tego jest za mały i za drogi. Zresztą, co tu dużo gadać, nie potrzebuję dywanu... Raf nieraz już to słyszał, ten, wstęp do pertraktacji, który można ująć inaczej: no trudno, oskubię cię, znaj moje dobre serce.

Zamknięty się na monotonne wyjaśnienia pani senator, słuchał wyjącej syreny radiowozu, który gnał Fuad Premier, mijał ogrody Szallalat i oddalał się Avenue Horreya. Po południu wydano rozkaz zamknięcia miasta. We wszystkich wydziałach policji, nawet w obyczajówce, odwołano funkcjonariuszy z urlopów. Wojsko czekało w koszarach w stanie gotowości bojowej. Gwardia sudańska patrolowała ulice wokół rezydencji.

Wyobrażał sobie nagłówki jutrzejszych gazet.

- Czy to panu odpowiada?

Ponownie skupiony na rozmowie, uśmiechnął się do Amerykanki.

- Może pani powtórzyć końcówkę? Chyba nie wszystko zrozumiałem...

\*\*\*

Pigułka bez słodkiej powłoki była gorzka do przełknięcia. W imieniu Sił Pokojowych (czytaj: Waszyngtonu, Berlina i Paryża) pani senator Liz domagała się pozwolenia na rozmieszczenie uzbrojonych obserwatorów, którzy mieliby czuwać nad spokojem w mieście. Ale były też gorsze rzeczy - o wiele, wiele gorsze. W końcu Raf zrozumiał, dlaczego Hamzie tak zależało, żeby bezpiecznie wydać córkę za mąż. Tak bardzo, że gotów był przekupić lady Nafisę, aby dopiąć swego.

- Mamy dowody - mówiła senatorka. Otworzywszy teczkę z bzdurnymi szpargałami, wyciągnęła plik zdjęć w formacie

220

Jon Courtenay Grimwood

panoramicznym autorstwa Jeana René; pochodziły sprzed kilkudziesięciu lat.

Zdjęcia mogły być ułożone w porządku chronologicznym lub z uwzględnieniem poziomu brutalności. A może tylko Bóg na przykładzie wojny uczył geografii, więc następowały w przypadkowej kolejności, jak nazwy miejsc drukowane na odwrocie.

Wśród zabitych zdarzały się przede wszystkim dzieci, czasem już duże, prawie dorosłe, jeżeli przyjąć dość elastyczną granicę dorosłości. Różniły się rasą, kolorem skóry, płcią i wiekiem. Poza krzyżem wyciętym na pochlastanych piersiach łączył je tylko brak obuwia i opłakany stan podartych mundurów. Jeżeli koszulki i workowate spodnie uznać za części umundurowania. Większość zabitych nosiła także amulety, małe skórzane woreczki, metalowe maskotki i odznaki, całe mnóstwo odznak. Tanich, plastikowych, czerwono-czarnych. Oczy świętego nad brodą proroka.

- Pułkownik Abad.

Wyjaśnienie senatorki było zbyteczne. Raf znał tę twarz. W jego szkole wisiła na ścianie trójwymiarowa podobizna tego człowieka. Wśród plastikowych odznak na ciemnej skórze wyrastały ciemne maki, ślady po ranach od kul, które miały być zatrzymywane mocą amuletów. Muchy zastęły w bezruchu nad twarzami, które wciąż pustym wzrokiem spozierały w niebo, choć czas ten dawno przeminął.

- Hamza był w to zamieszany? - zapytał z wahaniem, jakby nie dowierzał przecuciom. Jednakże bestialsko wykrojone krzyże mówiły same za siebie.

- Nie - odparła senatorka. - To zrobił Kościół Wojujący rasa Michała. Winni zostali osądzeni, straceni lub zamknięci w więzieniu. Dzieło Hamzy jest tutaj... - Wzięła od Rafa resztę zdjęć, zgarnęła ich trzecią część z wierzchu i pozostałe dała mu z powrotem.

Były równie odrażające. I w tym przypadku dzieci spoczywały twarzą do nieba, z amuletami z kości i piórek, które ceniły w tym samym stopniu co wojskowe odznaki na koszulach.

BÓG RZĄDZI - brzmiał napis na czyjejś koszulce. Pod sloganem naszyto gwiazdę z czerwonego sukna.

- No proszę... - Wziął pierwszą partię zdjęć i jedno z nich rzucił na stół. - Pani zdaniem to dwie różne rzeczy? - Obok się-

Efendi

1

bie na stole leżały, wpatrując się w niego, martwa dziewczynka i chłopiec z rozprutym brzuchem.

Senatorka przytaknęła kiwnięciem głowy.

- W takim razie, czemu ścigacie Hamzę, a nie pułkownika Abada?

- Bo wiemy, gdzie szukać Hamzę. Zresztą, spece ze służb wywiadowczych uważają, że Abad i tak już nie żyje.

- I tak... - Raf rozrzucił trzymane w ręku zdjęcia. - Proszę mi wybaczyć.

Nie czekał na odpowiedź, tylko wstał i jak burza wypadł z komnaty. Wychodząc, zgasił za sobą światło. Baba wkurzyła go jak mało kto.



Miał do dyspozycji zespół naukowców w biurze Trzeciego Rejonu Irygacyjnego, departament wywiadu w bazie Ras el-Tin i kilkunastu oficerów śledczych, z których ten i ów nadawał się nawet do czegoś. Wszelako potrzebne informacje zdobył w kuchni, a udzielił mu ich człowiek trzymający patelnię w jednej ręce i drewnianą łyżkę w drugiej. Palnik gazowy aż huczał, gdy chudy staruszek wte i wewte mieszał ziarna kawy, niczym kościotrup rozrabiający zaprawę.

- Kiedy Hamza efendi był dzieckiem, trwała wojna? - zapytał.
- Zanim pan się urodził? - Chartum wyglądał na rozbawionego własnym pytaniem. - A owszem, i to niejedna. Wszystkie niepotrzebne. I co z tego?

Właśnie, co z tego?

- Po czyjej stronie była słuszność? - Pytanie wydawało się głupie, lecz czasem pytania po prostu musiały być zadane, nawet te głupie. Raf wiedział, że sufi, człowiek w wielu kwestiach stronniczy, jemu odpowie szczerze.
- Nikt nie miał słuszności -'odpowiedział Chartum.
- To kto zawinił?
- Nikt. - Staruszek świdrował Rafa ostrym spojrzeniem jastrzębia. - Ani mężczyźni, ani kobiety. Niech pan lepiej spyta, kto dawał im broń. Kto miał interes w tym, żeby ze sobą walczyli. Chyba że i pan unika takich pytań...

Chuderlak odwrócił się i wsypał do kosza zwęgloną zawartość patelni. Potem wytarł ją do sucha starą szmatką i zaczerpnął nową garść kawy. Nadal nosił swój śmieszny uniform.

Jon Courtenay Grimwood

Rozfzctel 3f

22 pAŻfczicrtliKA

- Hej! - Hani chwyciła Ifritę za skórę na karku i pociągnęła tak mocno, że kotu głowa odskoczyła do tyłu, a mruczenie urwało się jak za dotknięciem wyłącznika. - Tak lepiej - szepnęła, tuląc do piersi kudłate zwierzę, które natychmiast zaczęło znowu mruścić.

Westchnęła. Bolała ją ręka od trzymania Ifrity, w ścierpniętych nogach czuła mrowienie, a na wąskim parapecie okna, gdzie przycupnęła, zdrętwiał jej tyłek. Długa, aksamitna zasłona, za którą się schowała, była stara i zakurzona, więc raz po raz musiała łapać się za nos i walczyć z chęcią kichania, albowiem jedno kichnięcie mogło wszystko zrujnować. I tak już sam oddech utrudniał podsłuchiwanie poirytowanej Amerykanki.

Zapowiadało się, że wszystko pójdzie gładko, lecz w kieszeniach kobiety było coś, co zakłócało pracę miniaturowego mikrofonu, który Hani przykleiła pod stołem. A może mikrofon szwankował? Bądź co bądź, wymontowała go z lalki, której głowę rozbiła przyciskiem do papieru, gdy plastik okazał się zbyt twardy, żeby ciąć go kuchennym nożem.

Wiedziała, że nie powinno jej tu być. Tak samo jak wiedziała, że Aszraf się wkurzy, jeśli ją odkryje.

Prawdopodobnie nie potrzebował pomocy. Była jeszcze dzieckiem, co wypominali jej wszyscy od Zary do Chartuma. Ale też mogła się pochwalić rzeczywistym ilorazem inteligencji 160, rozwiązywać krzyżówki po francusku, angielsku i arabsku, a w sprawach komputerów więcej wyleciało jej z głowy, niż Raf się kiedykolwiek nauczył... nawet jeśli słabo widziała w ciemnościach.

Hani nie powinna wiedzieć o jego zdolności nocnego widzenia... albo powinna o niej zapomnieć. Lecz nie zapomniała.

Efendi

Wiedziała też o innych rzeczach; niejasne, zamotane fakty czekały w zakamarkach jej świadomości, by wyjść na światło dzienne, gdyby je wzywała.

Po drugiej stronie zasłony niewysoka kobieta znowu mówiła podniesionym głosem. Zła była już dawno, od powrotu Rafa, ale teraz to już przesadzała. Żądała wydania efendiego, tak właśnie to ujęła. Chciała, żeby go oddano jak pożyczoną paczkę papierosów.

Aszraf oczywiście odmówił. Hani miała nadzieję, że nadal będzie odmawiał. Lubiła Zarę, której ojcem był właśnie efendi. Za to nie lubiła matki Zary, ale i Zara jej nie znosiła, więc Amerykanka mogłaby ją sobie wziąć, gdyby chciała.

- Zostawiam zdjęcia - oświadczyła ze złością kobieta i wstała.

Po skrzypnięciu kanapy Hani poznała, co się dzieje. Rozległy się kroki na dywanie, ale zaraz ucichły. Senatorka odwróciła się w progu, jakby chciała coś powiedzieć. Jednakże nie zdecydowała się na groźbę ani na ripostę. Razerą z tłumaczem opuściła komnatę gubernatora.

Niedobrze. Chartum powinien odprowadzić ją do wyjścia. Mieszkając z ciotką Nafisą, Hani zauważyła, że dygnitarze nigdy sami nie otwierają drzwi. Skrzypnięcie drugiej kanapy oznajmiło wyjście Rafa. Po skrzypnięciu i krokach trzasnęły drzwi i zaległa cisza.

- No, idź już. - Hani szarpnięciem otworzyła okno, żeby wypuścić szamoczącą się Ifritę.

Pod nieobecność kota pomieszczenie wydawało się jeszcze bardziej wymarłe. Hani bezszelestnie podeszła do stołu i sięgnęła po jedno ze słynnych zdjęć. Pochlastany chłopiec był niewiele starszy od niej, choć miał ciemniejszą skórę, a czarne włosy związane w kuęyk. Dwie dziewczyny na następnym zdjęciu mogły być jej rówieśniczkami. Jednej brakowało rąk.

A jednak to nie twarz chłopca interesowała ją najbardziej, ale podobizna brodatego mężczyzny na odznace przypiętej do brudnej koszuli. Gdyby nie beret i krótkie cygaro w zębach, można by go wziąć za Boga niewiernych - tego, który dał się zabić.

- Abad... - mruknęła do siebie. Zabrała zdjęcie, schowała je do kieszeni w džinsach i wygładziła koszulkę.

#### 4\_Jon Courtenay Grimwood

Nikt jej nie zatrzymywał, gdy wychodziła z komnaty, i nikt jej nie zobaczył na korytarzu. Jak czasem mawiał Raf, lepiej się

zabezpieczyć, niż potem żałować, zwłaszcza gdy na nic żale.

\*\*\*

Dziewczynka zgasiła ekran.

- To nic ważnego - wyjaśniła pośpiesznie.

Raf przesunął spojrzenie na zdjęcie, które próbowała schować do wysuniętej szufladki. Widział je odwrócone do góry nogami, lecz zdołał odczytać część tekstu pisanego dużymi literami. Kordofan, 30 marca. Oficerowie policji...

Zaklął w duchu.

a

- Znalazłaś to na dole?

Kiwnęła głową.

- Przepraszam. - Ze strapioną miną przygryzała kącik ust, aż podrażniła wargę.

Raf miał powód do zmartwienia: Hani odsuwała się od niego, odruchowo skulona, jakby się spodziewała, że zaraz dostanie klapsa.

- Nie no, moja wina. - Cofnął się o krok. - To ja przepraszam...

- Za co? - spytała z niedowierzaniem.

- Niepotrzebnie zostawiłem je tam, gdzie mogły wpaść ci w oko. - Miał ochotę dodać, że to tak wygląda świat, przed którym nie jest w stanie jej uchronić, a który może okazać się jeszcze gorszy. Zamiast tego podniósł dziewczynkę i zaniósł ją do okna sypialni.

Stali i patrzyli na spowite mrokiem miasto. Jak zwykle, czuł jej kościste nóżki i patykowate rączki na szyi.

- Za mało jesz. - Od razu też nasunęło mu się pytanie: - Gdzie Donna?

- Poszła do domu. - Na jej ustach zadrzał przelotny uśmiech, który maskował lekkie zniecierpliwienie. - Ona nie chce tu spać. Podobno ktoś musi opiekować się medresą, ale prawda jest taka, że ją tu wszystko straszy. - Potoczyła wzrokiem po sypialni, wskazując obrazy olejne, wazony z chińskiej porcelany i driadę z brązu, którą na zaśniedziałych ramionach i zadartych piersiach pokrywała cienka warstwa kurzu.

Efendi

225

Hani oczywiście miała słuszość. Rezydencja napawałaby lekiem Donnę, nawet gdyby nie mieszkał tu nigdy Generał.

- No więc kto ci daje jeść, kiedy pracuję? - spytał Raf.

- Sama sobie gotuję - zachnęła się.
- Kiedy ostatnio coś jadłaś?
- Zrobiłam sobie śniadanie. - Wysuptała się z jego objęć, lecz pozostała blisko. Nie wracała jeszcze do biurka i swojego plastikowego, różowego laptopa.
- Dzisiaj?

Patrzyła na niego w milczeniu.

- Jadłaś dzisiaj śniadanie?

Łzy gwałtownie wezbrały w jej oczach.

- Zostaw mnie, dobrze? I możesz sobie wziąć to swoje głupie zdjęcie! - Wyszła, nie oglądając się za siebie. Na wszelki wypadek rąbnęła drzwiami. Jak zwykle, dorośli nic nie rozumieli. Nie chodziło jej przecież o zdjęcie, ale twarz widoczną na odznace.

Poza tym, specjalnie odegrała przed wujkiem rolę winowajcy przyłapanego na gorącym uczynku, żeby nie zobaczył najważniejszej rzeczy schowanej w szufladce. Przedstawiającego scenę z piekła rysunku Gustave'a Doré, który pożyczyła sobie z gabinetu.

226

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 36

23 pAŻfczicrMika

Na plaży - plaży Zary - październikowe fale rozbijały się o cypel i okrywały wodorostami ciemne skały. Na wysokim oknie gabinetu ojca zabłąkany liść, uwięziony w sieciach umierającego pająka, wytaczał na szybę tęcza wstęgę, w miarę jak z jego porów sączyła się benzyna lub środek chwastobójczy.

Zara niczego nie widziała za sprawą zaciągniętych zasłon. Miała na sobie koszulę nocną, szlafrok i pantofle z futerkiem. Ciepło ubrania kłóciło się z arktycznym mrozem w jej sercu.

- Powiedz, że to nieprawda!

Właściwie, to nie powinna krzyżeć na ojca. Nie powinna nawet przeklinać, lecz zasady przestały obowiązywać już na korytarzu, gdzie czekała zaptakana matka i leżał na ziemi egzemplarz „New York Timesa” ze szkalującym artykułem. A ojciec, zamiast coś zrobić, siedział przygarbiony w skórzanym fotelu. Obok niego stała szklanka z whisky, a na kolanach leżał dziwny sztych i staroświecki rewolwer. Szklanka była wykonana z radzieckiego kryształu. Marki rewolweru nie znała; broń nie była jej pasją. Ilekroć wyobrażała sobie rewolucję, widziała siebie z plastikiem w ręku.

Zacisnęła powieki, aby odgrodzić się od świata. Rozkoszowała się ciemnością, aż w końcu nie wytrzymała. Nie trzeba mówić, że po otwarciu oczu w gabinecie nic się nie zmieniło. Cóż, w dzieciństwie ten sposób też się nigdy nie sprawdzał.

- A \Więc prawda?

Oczywiście, że tak. Aura rezygnacji otaczała jej ojca niczym woń taniej wody kolońskiej. Nawet smród świeżych wymiocin nie zabijał zapachu alkoholowych oparów. Osuszył całą flachę. Wystarczyło, żeby wycisnąć dziecięce łzy z jego oczu bez wymazania z nich wyrazu zgrozy.

Efendi

227

Znany przemysłowiec oskarżony o ludobójstwo...

Szkoda, że jej nie uprzedził. Zanim rozdmuchały sprawę amerykańskie gazety i sieciowe serwisy, zanim zarozumiali fotoreporterzy ze słuchawkami na uszach i aparatami fotograficznymi wleźli na trawniki i zrobili z nich błoto. Czuła się osaczona wścibskimi ludźmi, którzy w jej myślach wciąż zadawali pytania, pukali w szyby, bębnilo mosiężną kołatką i natrętnie dzwonili do drzwi. W tak zwanym wolnym świecie wiadomości były zwykłym towarem, nikt się nie poświęcał dla sprawy. Głuchy, niedźwiedzi pomruk łowców sensacji przedzierał się przez podwójne szyby zamkniętych okien gabinetu, zaciągnięte zasłony i zatrzaśnięte okiennice.

- Tato, powiedz coś... - Gdy kucnęła przed nim i położyła mu ręce na kolanach, wzdrygnął się z przestrachem. Złość Żary natychmiast przemieniła się w rozpacz. Rozpłakała się, świadectwa smutku piekły ją na policzkach. Miała przy sobie chusteczki, ale zapomniała, w której kieszeni... zresztą, czy to ważne?

Razem płakali w milczeniu.

Kilka lat temu zaczęła ją dręczyć pewna kwestia, tajemnica nagłego dojścia ojca do wielkich pieniędzy, może związana z jakimiś potwornościami. Szukała tropu, wskazówki. Pewnego razu w wieku piętnastu lat buszowała w jego biurku; otworzyła je kluczykiem wyciągniętym z jego marynarki. Znalazła jedynie małą, skórzaną teczkę z pornograficznymi zdjęciami młodego chłopca i dwóch jeszcze młodszych dziewczyn. Natknęła się także na nóż z drewnianą rączką, garść sudańskich monet i kościany krucyfiks. I tyle.

Przez wiele tygodni nie miała odwagi spojrzeć mu w twarz.

Niedawno najcięższym zarzutem, jaki mogła mieć w stosunku do niego, było trzymanie w gabinecie zagranicznych czasopism erotycznych. Teraz upadł w jej oczach znacznie niżej, był człowiekiem z przeszłością. Umysłowiła sobie, że być może nie ma zielonego pojęcia, kim on jest naprawdę, ten jej ojciec, przemysłowiec Hamza efendi.

Interesy wymagały od niego łamania prawa, z tym się pogodziła. Wszelako łamał je rzadziej niż dawniej i na dużo mniejszą skalę niż w młodości. Tak czy owak, wolny rynek stanowił zło

228\_Jon Courtenay Grimwood

sam w sobie. Jako przykładna marksistka, świecie w to wierzyła. Oczywiście, ojciec także zabijał, a ściślej mówiąc, kiedyś zabijał, pewnie nie za często...

W wieku dziewięciu lat podsłuchiwała rozmowę dwóch służących na ten temat i ogarnęła ją dumą. Zabici ludzie musieli być źli. Atakowali ojca, który po prostu się bronił. Wszystko wydawało się takie proste. Ale gdy spróbowała dowiedzieć się czegoś więcej od mamy, skończyło się na klapsach. Nazajutrz rano nie było już niani i pokojówki.

Teraz już nic, co mogła powiedzieć ojcu, nie zmieni biegu wydarzeń. Siły Pokojowe zmierzały do postawienia go przed sądem. „New York Times” napisał, że nowy gubernator al-Iskandarijji zgodził się wydać Hamzę, choć dopiero ustala harmonogram.

Co można jeszcze dodać?

Niejedno! Zachodnia prasa nurzała się w tandecie; równie ważny jak treść słów był sposób ich wypowiedzenia. Zabrała więc rewolwer, cudaczny sztych i butelkę whisky. Zatrzasnąwszy za sobą drzwi gabinetu, poszła się przebrać. W głowie ustalała elementy planu.

- Zara... - W głosie, który doleciał ją na podeście schodów, przebijała złość i gorycz, ale czego mogła się spodziewać po matce?

-Co?

Znajomi Zary nieraz żartowali, że madame Rahiny nie widać, ale za to słychać ją z daleka, tak głośno dzwoniły jej złote bransolety. Córce kojarzyła się z brzęczącym żelastwem i nieprzyjemnym wyrazem twarzy. Czasami złoto tak hałasowało, że nie słyszała klapsa.

- Jak on mógł?

- Myślałam, że wiesz o nim wszystko - burknęła Zara pogardliwie. - W kółko powtarzałaś, jakie to z was bratnie dusze. Jeśli nie liczyć tłumu jego kochanek, whisky i twoich środków uspokajających.

- Zara!

Dziewczyna rozłożyła szeroko palce, położyła dłoń na twarzy cholerycznej kobiety i pchnęła. To wystarczyło, madame Rahina poleciała na plecy. Zara nie sprawdzała, czy coś jej się stało.

Efendi

\*\*\*

Niektórzy nawet przytaszczyli drabinki, żeby wspiąć się nad głowy innych reporterów. Wielu miało na sobie płowe stroje w stylu safari, w jakich często paradowali na lotniskach niezorientowani zagraniczni dziennikarze, którzy bali się słońca prażącego żywym ogniem. Teraz ich ubrania ściemniały od deszczu i wisały na nich żałośnie, jak szmaty na sznurze.

- Panno Zaro...

Odwróciła się i westchnęła na widok Alexa. Atletycznie zbudowany rosyjski ochroniarz stał jak skarcony brzdąc z pochyloną głową i pięściami zaciśniętymi tak mocno, że na nadgarstkach zaznaczyły się dukty żył. Godzinę temu, gdy jej ojciec chłwał bez opamiętania, Alex miał incydent z wyjątkowo porwyczym reportażyścią, który wzywał go szyderczo do użycia broni. Nie pytając o pozwolenie, Alex się wycofał.

- Dobrze zrobiłeś! - pocieszyła go Zara chyba po raz trzeci.

Nie wyglądał na przekonanego.

- Pomyśl o konsekwencjach «- dodała. - Wydaje ci się, że powinieneś być go zastrzelić? - Wyczytała z jego szerokiej twarzy, że owszem, tak właśnie uważa. - Czasami najlepiej się po prostu wycofać. Ale teraz ktoś musi pilnować frontowych drzwi. I tym kimś masz być ty.

Czekała, aż ruszą wszystkie trybiki, kiedy patrzył to na nią, to na ciężkie, drewniane drzwi. Na swój sposób był sympatyczny, lecz myślenie szło mu opornie. Cóż, nie można być dobrym we wszystkim...

- Drzwi, no tak. - Skinął głową na znak zgody, odwrócił się i wyprostował ramiona.

-Towarzyszu...

- Tak, panno Zaro? - Przystanął z uniesioną głową i wyprężoną sylwetką. Pod pachą zarysował się kontur pistoletu Makarów kalibru 9 mm.

Uśmiechnęła się.

- Nie, nic...

Nic się nie bierze z niczego, tak brzmiała kwestia ze sztuki, na którą raz poszła w Nowym Jorku, gdy tam się uczyła. W mieście podniebnych pudełek, gdzie dziewczyny w jej wieku rzucają się na każdego chętnego fiuta, a jakoś w tym względzie

230\_Jon Courtenay Grimwood

przechodzi w ilość. Coś jednak brało się z niczego. Dajmy na to, wszechświat. Albo czas. Przypomniały jej się bzdety wygadywane przez Rafa pewnej nocy na łodzi - głupstwa, których nie rozumiała ani ona, ani chyba tak do końca on sam...

Westchnęła i wróciła do swojego planu.

\*\*\*

Dzwonek był wykonany z kutego srebra i zaopatrzony w uchwyt z kości słoniowej. Funkcję duszy spełniał skręcony pręt żelaza, zakończony kuleczką z miękkiego metalu. Odkąd Zara sięgała pamięcią, matka przyzywała tym dzwonkiem służącą. Ojciec uważał go za zbyteczny, wołał krzyczeć.

- No prędzej... - Hałasowała dzwonkiem, aż przybiegła najbliższa pokojówka, a potem, skoro dźwięk nie cichł, zleciała się do holu cała służba, licząca siedem osób: pięć pokojówek, francuskiego szefa kuchni i sudańskiego ogrodnika. Liczba bardziej niż skromna, biorąc pod uwagę wielkość posiadłości.

- Proszę o kawę - zwróciła się do kucharza. - Największy gar kawy.

- Oczywiście, panno Zaro. - Niewysoki człowieczek skinął głową. - Każę Maiyam podać kawę do salonu na zapleczu.

- Nie rozumiesz, o co mi chodzi. Chcę naprawdę dużo kawy.

Kucharz zmrużył oczy.

- Jak dużo? - zapytał ostrożnie.

- Mają być tego całe dzbany. Żeby starczyło dla dwustu ludzi. Aha, i semit. - Miała na myśli

miękkie preclę posypane sezamem, popularne w mieście. - Da się zrobić?

- Ależ oczywiście.

Uśmiechnęła się. Paryżanin przez całe popołudnie będzie piekł, wyrabiał ciasto drożdżowe i czekał, aż wyrośnie.

- Najpierw zrób kawę, sama ją wyniosę.

Zdziwili się co niemiara.

- Żarty na bok - rzekł kucharz. - To za duży ciężar. Mary-am i Lisa się tym zajmą.

- No dobra. Pozbierajcie wszystkie parasole, jakie można znaleźć w domu. Zacznię szukać w garderobie mojej matki - zasugerowała, pamiętając, że wisi u niej w szafie długi rząd parasoli.

230

Jon Courtenay Grimwood

przechodzi w ilość. Coś jednak brało się z niczego. Dajmy na to, wszechświat. Albo czas. Przypomniały jej się bzdety wygadywane przez Rafa pewnej nocy na łodzi - głupstwa, których nie rozumiała ani ona, ani chyba tak do końca on sam...

Westchnęła i wróciła do swojego planu.

\*\*\*

Dzwonek był wykonany z kutego srebra i zaopatrzony w uchwyt z kości słoniowej. Funkcję duszy spełniał skręcony pręt żelaza, zakończony kuleczką z miękkiego metalu. Odkąd Zara sięgała pamięcią, matka przyzywała tym dzwonkiem służącą. Ojciec uważał go za zbyteczny, wołał krzyżeć.

- No prędzej... - Hałasowała dzwonkiem, aż przybiegła najbliższa pokojówka, a potem, skoro dźwięk nie cichł, zleciała się do holu cała służba, licząca siedem osób: pięć pokojówek, francuskiego szefa kuchni i sudańskiego ogrodnika. Liczba bardziej niż skromna, biorąc pod uwagę wielkość posiadłości.

- Proszę o kawę - zwróciła się do kucharza. - Największy gar kawy.

- Oczywiście, panno Zaro. - Niewysoki człowieczek skinął głową. - Każę Maiyam podać kawę do salonu na zapleczu.

- Nie rozumiesz, o co mi chodzi. Chcę naprawdę dużo kawy.

Kucharz zmrużył oczy.

- Jak dużo? - zapytał ostrożnie.

- Mają być tego całe dzbany. Żeby starczyło dla dwustu ludzi. Aha, i semit. - Miała na myśli miękkie preclę posypane sezamem, popularne w mieście. - Da się zrobić?

- Ależ oczywiście.



Uśmiechnęła się. Paryżanin przez całe popołudnie będzie piekł, wyrabiał ciasto drożdżowe i czekał, aż wyrośnie.

- Najpierw zrób kawę, sama ją wyniosę.

Zdziwili się co niemiara.

- Żarty na bok - rzekł kucharz. - To za duży ciężar. Mary-am i Lisa się tym zajmą.
- No dobra. Pozbierajcie wszystkie parasole, jakie można znaleźć w domu. Zaczynjcie szukać w garderobie mojej matki - zasugerowała, pamiętając, że wisi u niej w szafie długi rząd parasoli.

230

Jon Courtenay Grłmwood

przechodzi w ilość. Coś jednak brało się z niczego. Dajmy na to, wszechświat. Albo czas. Przypomniały jej się bzdety wygadywane przez Rafa pewnej nocy na łodzi - głupstwa, których nie rozumiała ani ona, ani chyba tak do końca on sam...

Westchnęła i wróciła do swojego planu.

\*\*\*

Dzwonek był wykonany z kutego srebra i zaopatrzony w uchwyt z kości słoniowej. Funkcję duszy spełniał skręcony pręt żelaza, zakończony kuleczką z miękkiego metalu. Odkąd Zara sięgała pamięcią, matka przyzywała tym dzwonkiem służącą. Ojciec uważał go za zbyt cenny, wołał krzyżać.

- No prędzej... - Hałasowała dzwonkiem, aż przybiegła najbliższa pokojówka, a potem, skoro dźwięk nie cichł, zleciała się do holu cała służba, licząca siedem osób: pięć pokojówek, francuskiego szefa kuchni i sudańskiego ogrodnika. Liczba bardziej niż skromna, biorąc pod uwagę wielkość posiadłości.
- Proszę o kawę - zwróciła się do kucharza. - Największy gar kawy.
- Oczywiście, panno Zaro. - Niewysoki człowieczek skinął głową. - Każę Maryam podać kawę do salonu na zapleczu.
- Nie rozumiesz, o co mi chodzi. Chcę naprawdę dużo kawy.

Kucharz zmrużył oczy.

- Jak dużo? - zapytał ostrożnie.
- Mają być tego całe dzbany. Żeby starczyło dla dwustu ludzi. Aha, i semit. - Miała na myśli miękkie preclle posypane sezamem, popularne w mieście. - Da się zrobić?
- Ależ oczywiście.

Uśmiechnęła się. Paryżanin przez całe popołudnie będzie piekł, wyrabiał ciasto drożdżowe i czekał, aż wyrośnie.

- Najpierw zrób kawę, sama ją wyniosę.

Zdziwili się co niemiara.

- Żarty na bok - rzekł kucharz. - To za duży ciężar. Maryam i Lisa się tym zajmą.
- No dobra. Pozbierajcie wszystkie parasole, jakie można znaleźć w domu. Zaczynjcie szukać w garderobie mojej matki - zasugerowała, pamiętając, że wisi u niej w szafie długi rząd parasoli.

'J

232

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 37

25 pArbzcivrtika

Dzień był ciepły, schowane za chmurami słońce jawiło się ultrafioletową mgiełką. Ulewa mu nie przeszkadzała. Nie to co w Seattle.

Aszrafie beju...

Raf szedł jakby nigdy nic, gdy za nim Hakim nokautował dziennikarza. Kolejne zdjęcie obiegnie świat.

Oblicze nowego gubernatora gościło już na okładkach takich magazynów jak „Time”, „Paris Match” i „Newsweek”. Zapadnięte policzki, nieugięty wzrok za ciemnymi okularami, zaczesane włosy. Raf nie potrafił rozpoznać tej twarzy, choć długo przypatrywał jej się w lustrze.

Można było łatwo odpowiedzieć na pytanie, czemu zaledwie garstka żurnalistów kręci się wokół rezydencji w ogrodach Szallalat. Reszta rozłożyła się obozem na trawnikach pod Villa Hamza, skąd hieny dziennikarskie przekazywały nadęte doniesienia o niczym szczególnie ważnym.

Zara doskonale to wymyśliła z kawą i preclami, ale pomysł, żeby zamówić namiot i patrzeć z boku, jak stu dziennikarzy męczy się z żerdziami i mokrymi linami, był doprawdy przebłyskiem geniuszu. Obserwowała ich wytężone wysiłki, nie zamierzając iść im z pomocą czy cokolwiek powiedzieć. Po prostu stała na trawniku przed willą, a reportażyści uwieczniali jej minę, która wskazywała na rozbawienie całym tym zamieszaniem.

Kiedy wreszcie postawiono namiot i dziennikarze schronili się przed deszczem, weszła między nich bez ochrony, nie prosząc nikogo, aby ustąpił jej z drogi. Potem się zatrzymała i popatrzyła na nich tak, jak oni patrzyli na nią. Kierowały się w jej stronę

Efendi

233

obiektywy aparatów, błyskały flesze, lecz nie odwracała wzroku, nie mrużyła oczu...

- Dokąd, szefie?

Raf ocknął się na tylnym siedzeniu bentleya.

- Villa Hamza." - Jak zwykle zresztą.

Zara wolno obróciła się w miejscu, zaglądając ludziom w oczy, każdemu po kolei. Przynajmniej takie odnosili wrażenie, choć w rzeczywistości interesowało ją jedno szczególne logo.

Raf nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Dziennikarze mogli sobie myśleć, że przyszła z nimi porozmawiać, ale byli w błędzie. Na widok człowieka z miejscowej stacji znieruchomiała. Swoje słowa zaadresowała wyłącznie do Rafa.

„Czekam na odpowiedź gubernatora. Przykro mi, ale dopóki jej nie dostanę, nie powiem nic więcej”.

W związku z czym gubernator jechał przez miasto, przemykające za szybą niczym niewyraźne tło w filmie, o którym pamiętał, że widział go już dawno temu i wtedy bardziej mu się podobał. Pomnik Mehmeta V, niegdyś tak dostojny, teraz wydawał się zapuszczony i tandetnie okazały. Parki świeciły pustką, witryny sklepowe były nieoświetlone lub zabezpieczone żelaznymi kratami. Przy Corniche, za kutymi bramami, rokokowe rezydencje, które kiedyś zachwycały swoją wspaniałością, obecnie sprawiały wrażenie zniewolonych, więzionych w obrębie własnych umocnień.

Określają nas własne ograniczenia, stwierdził lis jeszcze w Seattle... i zaraz dodał, że na tej podstawie Raf musi być bardzo dobrze określony.

Ale czy jestem? - chciałby zapytać, tylko że nie słyszał już w głowie ani jednego słowa, a głos serca, o którym mówił Chartum, też się nie odzywał, nieobecny bez usprawiedliwienia. Może więc stanowił sumę kilku nielicznych składników: twarzy obcego człowieka, zafałszowanej tożsamości, pracy, o którą nie prosił...

- Ahmed, ty wiesz, kim jesteś?

Ten większy z dwójki bodyguardów odwrócił głowę, podczas gdy kierowca i Hakim patrzyli przez szybę staroświeckiego auta na rozwijającą się przed nimi nić promenady.

- Że co, szefie?

23

Jon Courtenay Grimwood

- Wiesz, kim jesteś?

Ahmed przytaknął.

- A nie myślałeś nigdy, że może jesteś kimś innym?

Raf wyczytał odpowiedź z jego skonfundowanej miny.

- Nieważne - rzekł chłodno. - Nie myśl o tym.

Po tej wymianie zdań w bentleyu zrobiło się cicho. Kierowca koncentrował się na drodze, Hakim obserwował chodnik, a Ahmed nie spuszczał wzroku z plaży. Ani na chwile nie zdejmowali palców ze spustów pistoletów maszynowych HK5.

- Wasza Ekscelencjo - przerwał milczenie kierowca - Piec minut, czas leci.

Koenig Pasza pierwszy wprowadził zwyczaj zapowiadania się na piec minut przed przybyciem. 1

prawdopodobnie zhierarchizował sposób tytułowania. Najwidoczniej Hakim i Ahmed musieli zwracać się do niego per szefie, zaś kierowca bardziej formalnie. W tym mieście, jak i w każdym innym, obowiązywał wewnętrzny kodeks zasad, od przejrzystych po mętne.

Raf otworzył oczy, wyprostował się i patrzył, jak nabrzeże odzyskuje swojski wygląd. Ta kawiarenka, ta chatka na szczudłach zanurzonych w wodzie, a dalej plaża, gdzie... konstelacje gwiazdek ślizgały się po nagich ramionach i ginęły w mroku między idealnymi piersiami. Pragnienie wynikające z tego wspomnienia nadżerało resztki jego dumy.

Wiedział, że będąc tym, kim jest, nie na wiele przyda się dziewczynie. W zasadzie nikomu, nawet sobie. Z pewnością ani miastu, ani Hani, na której ostatnio najbardziej mu zależało.

A zatem pora się zmienić.

- Jesteśmy na miejscu, szefie.

1 owszem, przejeżdżali właśnie między ciężkimi skrzydłami kutej bramy, które zostały siłą rozepchnięte na boki. W miejscu trawników, niedawno jeszcze starannie utrzymanych, dzisiaj znajdowały się posępne plamy błota, stratowane przez tych samych reporterów, którzy w tej chwili podbiegali do masywnego bentleya. Dziennikarze już się przepychali, walcząc o najdogodniejsze stanowiska do pstrykania zdjęć. Krążący w górze helikopter gwałtownie zniżył lot; w kierunku Rafa wysunął się długi teleobiektyw z fachowo przerobionej gondoli na działko.

- Zdjąć go! - rozkazał.

Efendi

23

Ahmed przyjął to ze zdziwieniem, niemniej za pomocą korbki opuścił boczną szybę i w tym samym czasie zdjął z ramienia karabin maszynowy. Zespoły kamerzystów natychmiast się zbliżyły, podniosła się nieopisana wrzawa, flesze wybuchały powodzią światła.

- Nie w ten sposób. - Raf pacnął lufę karabinu. - Złap łączność i każ ciulom lądować!

- Już się robi. - Ahmed stuknął w mikrofon krtaniowy. - Co mam im dokładnie powiedzieć, szefie?

- Powiedz, że z chwilą obecną przestrzeń powietrzna nad al-Iskandariją została zamknięta. Nie chcę mieć żadnych samolotów na niebie. A pilotowi powiedz, że jeśli nie wyląduje w ciągu minuty, strącimy go na ziemię. Drugiego ostrzeżenia nie będzie.

- Żadnych samolotów? A co z lotniskiem?

- Zamykamy.

Blask fleszy i lamp łukowych nie przeszkadzał Rafowi; po prostu dostosował wzrok do nowych warunków i ruszył pewnym krokiem w stronę pustych ślepi kamer i aparatów. Gadziny, tak Generał nazywał fotoreporterów, choć określał ich jeszcze na inne sposoby. Widząc, jak go obserwują, przypomniał sobie pierwsze filmy swojej matki; nie ten cukierkowy chłam robiony dla kasy, ale ryzykowne, odważne reportaże, które przyniosły jej sławę. Nie potrafił już wymienić tytułów, lecz w

każdym pojawiała się krew. Czerwona krew na białym śniegu. Była wielką miłośniczką żywagowskich ujęć, jak je nazywała.

- Panie gubernatorze... - Chuda kobieta wysunęła mikrofon w jego kierunku, lecz kilkanaście wykrzyczanych jednocześnie pytań zlało się w niezrozumiałe bełkot.

Raf czekał. Jednego z dziennikarzy, który za bardzo się zbliżył, zmierzył takim spojrzeniem, że ten się cofnął, wystraszony.

- Aszraf bej...

- Wasza Ekscelencjo...

Wrzawa trwała długo, aż w końcu wszyscy zdali sobie sprawę, że nic jeszcze nie powiedział. Zaległa cisza. I przedłużała się, nabrzmiała oczekiwaniem tłumu i zakłócana jedynie rytmicznym szumem śmigieł helikoptera Sikorsky, lądującego na promenadzie. Raf napawał się tą ciszą, bo zapewne tak samo

Efendi

235

Ahmed przyjął to ze zdziwieniem, niemniej za pomocą korbki opuścił boczną szybę i w tym samym czasie zdjął z ramienia karabin maszynowy. Zespoły kamerzystów natychmiast się zbliżyły, podniosła się nieopisana wrzawa, flesze wybuchały powodzią światła.

- Nie w ten sposób. - Raf pacnął lufę karabinu. - Złap łączność i każ ciulom lądować!

- Już się robi. - Ahmed stuknął w mikrofon krtaniowy. - Co mam im dokładnie powiedzieć, szefie?

- Powiedz, że z chwilą obecną przestrzeń powietrzna nad al-Iskandariją została zamknięta. Nie chcę mieć żadnych samolotów na niebie. A pilotowi powiedz, że jeśli nie wyląduje w ciągu minuty, strącimy go na ziemię. Drugiego ostrzeżenia nie będzie.

- Żadnych samolotów? A co z lotniskiem?

- Zamykamy.

Blask fleszy i lamp łukowych nie przeszkadzał Rafowi; po prostu dostosował wzrok do nowych warunków i ruszył pewnym krokiem w stronę pustych ślepi kamer i aparatów. Gadziny, tak Generał nazywał fotoreporterów, choć określał ich jeszcze na inne sposoby. Widząc, jak go obserwują, przypomniał sobie pierwsze filmy swojej matki; nie ten cukierkowy chłam robiony dla kasy, ale ryzykowne, odważne reportaże, które przyniosły jej sławę. Nie potrafił już wymienić tytułów, lecz w każdym pojawiała się krew. Czerwona krew na białym śniegu. Była wielką miłośniczką żywagowskich ujęć, jak je nazywała.

- Panie gubernatorze... - Chuda kobieta wysunęła mikrofon w jego kierunku, lecz kilkanaście wykrzyczanych jednocześnie pytań zlało się w niezrozumiałe bełkot.

Raf czekał. Jednego z dziennikarzy, który za bardzo się zbliżył, zmierzył takim spojrzeniem, że ten się cofnął, wystraszony.

- Aszraf bej...
- Wasza Ekscelencjo...

Wrzawa trwała długo, aż w końcu wszyscy zdali sobie sprawę, że nic jeszcze nie powiedział. Zaległa cisza. I przedłużała się, nabrzmiała oczekiwaniem tłumu i zakłócana jedynie rytmicznym szumem śmigieł helikoptera Sikorsky, lądującego na promenadzie. Raf napawał się tą ciszą, bo zapewne tak samo

Jon Courtenay Grimwood

zachowałby się Generał. W chwili gdy wystawione na próbę nerwy dziennikarzy mogły wreszcie puścić, wskazał na chybił trafił trzy stojące z przodu osoby i odezwał się pstro:

- Raz, dwa trzy! Dobra, po kolei: nazwisko, nazwa stacji, pytanie.

Numer jeden okazał się strzałem w dziesiątkę. Amerykanka była etatową reportażystką, nie zbierała materiałów na własną rękę, ale reprezentowała C3N, największą stację informacyjną. Przynajmniej tak wynikało z trajkotania Helen Giles, gdy się przedstawiała.

- Ekscelencjo, zgodzi się pan wydać Hamada Quitrimalę? - Udało jej się potknąć zarówno na tytule Rafa, jak i imieniu efendiego.

- Żeby został osądzony w Ameryce i tam zamknięty w więzieniu?

Przytaknęła.

- Czemu miałbym to zrobić? - zapytał głosem wyraźnym, lecz opanowanym.

- Ale Siły Pokojowe...

- Twierdzi pani, że brakuje nam sądów w al-Iskandarijji?

Dziennikarze znów zerwali się do pytań wszyscy naraz,

by się uciszyć, kiedy Raf gwałtownym ruchem dłoni nakazał milczenie. Zaczynało mu się to podobać, co uświadomił sobie z uczuciem bliskim szoku.

- No, słucham panią.

Pogłębione zmarszczki na twarzy kobiety świadczyły o zakłopotaniu.

- Jeśli Hamza stanie przed sądem, to tylko tutaj, w al-Iskandarijji - oświadczył. - A jeśli dowody będą przemawiać przeciwko niemu, zostanie uznany winnym... i rozstrzelany.

Ruszył przed siebie, mijając ludzi wstrząśniętych i milczących. Z tyłu Ahmed i Hakim z karabinami gotowymi do strzału patrzyli z byka na każdego, kto podchodził za blisko. Okazałe frontowe drzwi willi otworzyły się przed nimi i Raf stanął oko w oko z dziewczyną, z którą kiedyś miał się ożenić.

Flesze błyskały jak oszalałe.

- Witam, Wasza Ekscelencjo... - Cofnęła się, aby wpuścić go do holu.

- Zaro...

Efendi

- Tak, Wasza Ekscelencjo? - Stała wyprostowana jak świeca, z podniesionym czołem. Jedynie zaczerwienienia wokół szarych oczu świadczyły o łzach wylanych w samotności. Wystarczyło raz spojrzeć w te chłodne głębie i wszystko było jasne: łzy wyschły pod wpływem nienawiści.

- Fajnie, że ich poczęstowałaś, to był dobry pomysł.

Nie odpowiedziała. Czekwała nieporuszenie, aż Raf wyjawi cel swojej wizyty. Choć w gruncie rzeczy oboje wiedzieli, że przyjechał tu, bo wyraziła chęć rozmowy... mimo iż teraz sprawiała wrażenie, jakby się rozmyśliła.

- Dobra, już wychodzę. - Odwrócił się w stronę drzwi. Hakim i Ahmed momentalnie ubezpieczali go z tyłu. Dziwne, jak szybko człowiek przyzwyczaja się do swojego cienia.

- Naprawdę zamierzasz...?

- Co zamierzam? - zapytał z ręką na kłamce. Dobrze wiedział, co jej leży na sercu, ale chciał, żeby to powiedziała.

- Skazać go na śmierć.

Zrobię co w mojej mocy, żeby tak się nie stało. Jednak te słowa wydały mu się nie na miejscu.

- Jeśli zapadnie decyzja o ekstradycji, nie odzyskasz już ojca. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Przynajmniej go nie zabiją.

- Owszem, ale resztę swoich dni spędzi za kratkami. Ścisły dozór 24 godziny na dobę. Przedsiębiorstwo Hamza Enterprises zostanie zlikwidowane, a rafineria Midas sprzedana. Pieniądze pójdą w całości na opłaty sądowe i odszkodowania. Myślisz, że tego właśnie pragnie? Twój ojciec wiedział, na co się zanoszą...

- Sama na to wpadłam - rzekła z oczami pełnymi łez.

- Dlatego chciał, żebym za ciebie wyszła.

Pokiwał głową.

- Chedyw... - dukała szeptem. - Wspólny obiad...

- Chciał ci zabezpieczyć przyszłość najlepiej, jak umiał

- powiedział, przygnębiony. -Próbował cię nawet odesłać z powrotem do Ameryki. Podobno odmówiłaś...

Położył dłoń na jej szczupłych ramionach. Pachniała

ni. Zapewne nie byłoby go stać

zarzuciła mu rękę na szyję i przycisnęła zapłakaną twarz do jego piersi, zauważył z bliska, że nie włożyła stanika. Owszem,

takie same na prezent. Kiedy

Jon Courtenay Grimwood

najgłupszy moment na świecie, żeby na coś takiego zwracać uwagę, ale gdy chodziło o Zarę, tego typu rzeczy spostrzegał zawsze w złą porę. I doprawdy w idiotycznej chwili zrozumiał, że ją kocha.

Bardzo delikatnie odsunął ją od siebie na odległość dłoni. Zatajali wzrok w swoich oczach. Wyraźnie zamierzała mu coś powiedzieć.

- Wszystko, czego zechcesz - odezwała się w końcu. - Dam ci wszystko, czego zechcesz, jeśli go z tego wyciągniesz.

Efendi

Rozfcrteł W

Svtix\vi

- Bezpiecznik odsunięty - poinformował karabin.

Leżący obok porucznika Ka duch siostrzyczki Rebeki nic

nie powiedział. Zaczęła się pojawiać od czasu do czasu pod nieobecność Saiy. Ale właśnie Sary nie było, więc uśmiechała się do niego w milczeniu. Prawdę mówiąc, cały świat milczał z wyjątkiem dwóch zielonych aleksandrett, które odzywały się ochryple na biegnącym w górze drucie telegraficznym, mniej więcej nad miejscem, gdzie rozłożył siatkę termoka-muflaży.

Oczywiście, domyślał się, co chce powiedzieć siostra Rebeki. To samo powtarzała każdej nocy w jego snach... na chwilę przed zrobieniem tego, co kiedyś naprawdę zrobiła: wstała od wygasłego ogniska i poczłapała hen poza czujki rozstawione wokół wielkiego obozu, aby znaleźć cierniste zarośla. Nie zamierzała jednak opróżnić kiszki, ale głowę... po włożeniu do ust lufy rewolweru.

Nigdy nie dojdą do źródeł rzeki. Nikt nie „zakręci” Nilu. Wojna i rzeka będą toczyć się nadal: rzeka tam, gdzie prowadzi koryto, wojna tam, gdzie sama tego zechce.

- Odległość?

- Pięć kilometrów, maleje...

Stan i zakres. Tylko tyle potrafił podać HK/cw. Ka dziwił się, że producentowi chciało się dodawać tę funkcję. Zdawało mu się, że już kiedyś ta rzecz go wkurzała, ale wspomnienia ulatywały z głowy, coraz



trudniejsze do odgrzebania.

Nie widział ,stąd Nilu, zasłoniętego skałami i chaszczami. Ostatnim razem, kiedy zobaczył rzekę, nadal budziła podziw, choć znajdował się na południe od Omdurmanu, gdzie łączyły

240

Jon Courtenay Grimwood

się z sobą Bahr el-Abjad i Bahr el-Azrak, by stać się znaną wszystkim życiodajną arterią.

Jeszcze dalej na południe rzeka znów się rozwidła, ale Ka nie miał pojęcia, czy dotarł już do tego miejsca lub je minął.

Pułkownik by mu powiedział, tylko że nie chciał go pytać. Zaledwie pół godziny temu prosił o wyjaśnienie, kiedy coś ciemnego poruszyło się w wysokich trzcinach na nadrzecznej skarpie. Proste pytanie skazało go na długi wykład na temat siedlisk lęgowych marabuta.

Niegdyś skomplikowany system kanałów irygacyjnych nawadniał liczne w tych okolicach pola bawełny, lecz kanały w większości popękały, zapchały się mułem, no i w efekcie wyschły.

Kiedy tu przybył, miał przed sobą ruiny budynków z suszonej cegły, a dalej pogórze na tle odległych, osnutych chmurami gór. Teraz pogórze miał za sobą, a z przodu wroga.

Rozsypujące się domy stanowiły jedyną pozostałość po mieście, w którym schroniła się garstka dziewiętnastowiecznych mameluków - przegnanych przez chedywa Muhammada, egipskiego wodza rodem z Albanii - którzy skorzystali z gościnności Mek Nimra, Króla Lamparta z miasta Szendi.

Jednakże Muhammad Ali posłał na południe, na podbój Nubii, swojego syna Ismaila. W październiku 1822 r. Ismail zażądał od Mek Nimra okupu w wysokości trzydziestu tysięcy talarów Marii Teresy, sześciu tysięcy niewolników i żywności dla wojska, przy czym wszystko miało zostać dostarczone w ciągu dwóch dni. Kiedy Mek Nimr zaprotestował, mówiąc, że w Sudanie panuje głód, Ismail uderzył go w twarz. Odpowiedź Króla Lamparta nastąpiła wieczorem w czasie uczy: jego stronnicy podpalili dom Ismaila i żywcem spalili księcia, który wołał zginąć w płomieniach, niż zostać rozsiekanym jak jego uciekająca gwardia przyboczna.

Wiść o tym zdarzeniu dotarła do uszu Defterdara, szwagra Ismaila. Defterdar z marszu puścił z dymem Metemmę i Da-mer, a potem wszystkie wsie nad Nilem od Sennaru po Berber. Wreszcie dotarł do Szendi, gdzie żołnierze po zburzeniu murów gwałcili i wbijali na pal mieszkańców. Nie udało mu się jednak ująć ani Mek Nimra, ani jego rodziny.

Poniosło śmierć pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

Efendi

Defterdar puścił się w pogoń za Mek Nimrem na południe wzdłuż Błękitnej Rzeki, biorąc na tortury każdego, kogo podejrzewał o konszachty z uciekającym królem. Mężczyzn kastrowano, kobietom odcinano piersi, rany zalewano wrzącą smołą. Podobno dawniej żyło się lepiej, tak mawiał wujek chłopca, lecz ze słów pułkownika wynikało, że czasy nie zmieniły się aż tak bardzo.

Ka cierpiał głód, ale o jedzeniu mógł sobie pomarzyć. Żywność się skończyła, woda była na wyczerpaniu. Praktycznie, jej zapas już się wyczerpał, bo ostatnie pół litra chlupotało w starej butelce Sary, tej z zakrętką nie do ruszenia. Zakrętkę próbował odkręcić w pocie czoła, a skoro to się nie powiodło, postanowił wydfubać dziurę z boku. Butelka okazała się wszakże za twarda albo jemu brakło sił, jedno z dwojga. Powód był nieistotny.

- Stan uzbrojenia...

Też coś! Dokonał w myślach podsumowania: dwadzieścia jeden granatów, dwa karabiny Heckler&Koch Ol/cw, jeden ciężki karabin maszynowy HK21E, wymagający mocowania na trójnogu, pięć sztuk broni przybocznej różnych producentów, dwanaście pudełek z nabojami (nie wszystkie pasowały), a ponadto gruba paczkę zielska i seraphima z napędem na cztery koła (bez paliwa, niestety). Szkoda tylko, że ponieważ był sam, większość tego bogactwa po prostu się marnowała.

Posiadał jeszcze, rzecz jasna, okulary i radio, działające tylko i wyłącznie w parze, co wykombinował dopiero po kilku dniach. No, z tym kombinowaniem to może przesada: miał wrażenie, że dowiedział się wszystkiego z radia. Czasami pułkownik Abad odzywał się przez radio, innymi razy pokazywał mu przez okulary różne rzeczy.

Jeśli chodzi o zioło, to kręciło jak cholera, cytując słowa sierżanta Sary. Nosił jej kościany krzyżyk, dwa amulety Sau-la i pęk piór, które Zach wpinał w koszulę. Zabranie Sarze przedmiotu przynoszącego szczęście było brutalne, fakt, ale zrobił to dla jej dobra. Nie powinna nosić krzyżyka, bo nigdy nie wiadomo, po której stronie będą lekarze. Dlatego wziął na przechowanie krucyfik i pożyczył jej broń, o wiele lepszą od swojej.

Lekarze przywrócą ją do zdrowia, w czym pułkownik nie byłby w stanie ich wyręczyć. Może zaszkodziła jej woda z rze-

4 .

242\_Jon Courtenay Grimwood

ki, a może nadmierne słońce. Cokolwiek to było, każdy nowy dzień witała na kolanach, rzygając. I nie chciała rozmawiać z Ka, a nawet na niego patrzeć, mimo że oddał jej swoją część żywności i sam trzymał wartę.

Teraz znajdowała się w obozie, a on tutaj gapił się z góry na drogę. Za nim były ruiny, z boku poszarpane skały, sterczące z ziemi jak spękana ludzka łopatka, a dokładnie z przodu długa kolumna wrogich ciężarówek.

- Zbliżają się - odezwał się głos w uchu.

- Wiem, karabin powiedział mi to samo - burknął i pomyślał: też mi nowina! Już przed godziną pułkownik ostrzegwał o nadjeżdżających samochodach z wojskiem. I rozkazał zatrzymać je za wszelką cenę. Dokładnie takich słów użył. Przyglądając się zmodernizowanym wozom terenowym i specjalistycznym ciężarówkom, Ka zaczynał się zastanawiać, czy z niego nie zakpiono.

- Wiesz, co masz robić?

Jasne, że wiedział. Najpierw musiał połączyć HK21E z fel-dlafette, czyli trójnogiem, potem zamocować celownik optyczny Zeissa, podnieść klapkę zabezpieczającą (czy jak to się nazywało) i włożyć nową

taśmę z nabojami 7,62 x 51 mm, nazywanymi przez pułkownika „zero trzydzieści osiem”.

Karabin HK21E był zasilany z 20-nabojowego magazynka (idiotyzm) albo ze 110-nabojowej taśmy. Ka wymyślił jednak trzecie rozwiązanie. Zawczasu szczepił dwie taśmy, z czego powstała góra amunicji gotowa, by ją podłączyć do solidnego, dwuczęściowego zamka z rolkami hamującymi.

Wrogowie obdzierali ludzi ze skóry. I zjadali ich żywcem, jeśli wierzyć zapewnieniom Rebeki. Gwałcili najmłodszych więźniów, bo mniejsze było ryzyko zarażenia się ciężką chorobą. Cóż, tak działo się wszędzie. Zjadanie ludzkiego ciała stanowiło element rytuału ognia: mózg - mądrość, serce - odwaga, wątroba - spryt. Kilka miesięcy temu, nocą przy ognisku, Rebeka wszystko im opowiedziała.

- Zajmij...

Jasne, zająć pozycję. Zaciągnął ciężki karabin do szczeliny między skałami i poczołgał się z powrotem po długie, węzowe taśmy. Jeśli chciał zwyciężyć, nie mógł wychodzić spod siatki termokamufażu; pułkownik Abad wbił mu to do głowy. Po upo-

Efendi

243

raniu się z taśmami odwinął HK/cw. Były to tak naprawdę dwie giwery w jednym, z których można wydzielić górną, strzelającą pociskami wybuchającymi w powietrzu (naboje dla wygody oznaczone kolorem), oraz tę mocowaną od dołu, pełniącą podstawowe funkcje lekkiego karabinu maszynowego.

- Odległość! - zażądał informacji.

Dowiedziałby się tego bez problemu ze wskazań HK21E, lecz pułkownik Abad potrafił lepiej mierzyć dystans. Poza tym, lubił zmuszać go do fadygi.

- Pół kilometra - odezwał się głos w uchu. - Powinieneś już zakładać taśmy.

Drżącymi rękami wprowadził do zamka HK21E pierwszy nabój i sprawdził, czy taśma chodzi luźno. Jedno głupie skrzywienie i karabin się zatnie, a zasadzka zakończy się przedwcześnie. Pułkownik by się zdenerwował.

Następnie zajął się HK/cw: w umieszczone od spodu wąskie gniazdo włożył magazynek pełen nabołów z pociskami kinetycznymi kalibru 5,56 mm. Do górnego gniazda wsunął gruby magazynek z pociskami wybuchającymi w powietrzu, z tym że zamiast niebieskiego „rozbójnika”, pierwszy miał wystrzelić małokalibrowy pocisk przeciwpancerny, pomarańczowy z czerwonym wierzchołkiem.

- Zlikwiduj...

Boże, no przecież wiedział! Przerabiał to już ze sto razy.

- Dobra, pamiętam - rzekł chłodno.

Zamilknięcie pułkownika zdawało się szeptem wśród szumów i trzasków. Bardzo odległym i bardzo krótkim.

Kiedy pułkownik Abad odezwał się ponownie, nie krył troski:

- Wszystko będzie dobrze - pocieszał. - Zobaczysz, zostaniesz bohaterem.

Ka nie widział siebie w roli bohatera... Już miał powiedzieć, że zamiast tego wolałby po prostu pozostać przy życiu. Ostatecznie wzruszył ramionami i uniósł lufę ciężkiego HK/cw.

- Trzymaj cel.

Trzymał cierpliwie, kiedy mrówki stawały się żuczkami, a okulary regulowały powiększenie. Ogółem były trzy półcięża-rówki i dwa zmodernizowane seraphimy, a dalej jednolita masa, ruchoma plama na żwirowej drodze. Ka po chwili zrozumiał, że

Jon Courtenay Grimwood

półciężarówka charczą na drugim biegu nie dlatego, że siedzący w nich oficerowie są wyrozurniali, ale że się \*boją. Nie chcieli oddalać się od dzieci, które za nimi ciągnęły.

Wiedział, który samochód rozwalić pierwszym strzałem, bo nagle otoczyło go zielone kółko, podzielone grubymi, neonowymi krechami. Jak zwykle, pociągnął za spust w chwili, gdy krzyżujące się kreski z zielonych zrobiły się czerwone.

Trafiona ciężarówka stanęła w ogniu, płomienie z hukiem wdarły się do środka przez rozbite szyby. Kierowcy pozostałych samochodów zignorowali wyraźny zakaz i zatrzymali pojazdy.

Idioci.

Otwierały się drzwi i na drogę wyskakiwali umundurowani żołnierze z bronią gotową do strzału. Ka pochylił się instynktownie, kiedy kule jak pszczoły brzęczały mu nad głową, lecz nie miał powodów do obaw. Ogień nieprzyjaciela nie był ciągły ani uporządkowany; dostało się głównie krzakom, skalom i drzewom. Spłoszone stadko zielonych papużek protestowało histerycznym skrzekiem.

Większość oficerów przeładowywała broń, kiedy Ka szybko po sobie wystrzelił cztery pociski, które wybuchły w powietrzu każdy bezpośrednio nad samochodem. Konający żołnierze znaleźli się nagle na kolanach, ciało odpadało od kości. Piąty i ostatni pocisk eksplodował nad kobietą w randze porucznika, zbyt rozbitą psychicznie, by wiedzieć, że nie zdoła odczołgać się w bezpieczne miejsce po zrytej odłamkami drodze.

Po zlikwidowaniu oficerów Ka opróżnił kolejny magazynek, prując pociskami kinetycznymi w coś, co - obwiedzione czerwonym kółkiem - poruszało się na prawo od niego. Potem przeturlał się do czekającego karabinu maszynowego. Teraz już wystarczyło nacisnąć spust i go nie puszczać. HK21E pożerał wężową taśmę, strzelając seriami po trzy kule.

Zielone... czerwone... ognia...

Karabin stękał w ten sposób tak długo, jak rozkwitały czerwone kółka, co trwało w nieskończoność. Może żołnierze powariowali z gorąca, a może nieodparcie przyciągały ich zielone wzgórza za strzelcem, urzekające w porównaniu z pustkowiem, które przemierzali; w każdym razie, choć żaden oficer nie zmuszał ich do natarcia, ilekroć Ka wyrąbał wyrwę, ta się natychmiast wypełniała.

Jon Courtenay Grimwood

## Rozdział 39

### 24 pArbzcivvika

-I co dalej? - zapytał Raf, zerkając na niski stolik do kawy. Na środku leżał mały dyktafon z rodzaju tych używanych przez policję; świeciła się zielona dioda, licznik wskazywał czas pozostały do końca nagrania. Siedzieli w eleganckim pokoju klubowym, zwykle zarezerwowanym dla starszych oficerów. Pokój znajdował się na drugim piętrze posterunku przy Boulevard Champollion, zaraz obok ogólnodostępnej kantyny. W środku pluskała fontanna, stały skórzane fotele, a okien strzegły bomboodpome szyby.

General oczywiście zamknąłby Hamzę w celi, lecz Raf postanowił inaczej podejść do rzeczy.

- Co dalej? - Efendi się zamyślił. - Zszedłem do drogi, gdzie stała pierwsza półciężarówka.
- Żeby sprawdzić, czy ktoś przeżył?
- Nie. - Przemysłowiec pokręcił głową. - Szukałem wody. A potem...
- Co potem?

Hamza cofnął się pamięcią do tamtych chwil.

- Zjawił się Czerwony Krzyż... - Skinął głową na Hakima, który stał za plecami Rafa. - Napiłbym się czegoś mocniejszego, czy to jest możliwe?
- Zajrzyj do szafek z materiałem dowodowym - zwrócił się Raf do swego ochroniarza. - Może znajdzie się whisky.

Hakim wyszperał hiszpański trunek, skonfiskowany w nielegalnym klubie przy Dworcu Morskim. Raf pozwolił Hamzie zrobić sobie mocnego drinka z brandy Carlos V i imbirowego napoju Canada Dry.

Zamiast od razu się napić, Hamza siedział w fotelu nieruchomo i gapił się na szklankę. Obserwował bąbelki startujące

Efendi

### 247

ku powierzchni. Pomimo wieku do złudzenia przypominał Hani, kiedy patrzyła na zaśniewony ekran, jakby chciała odnaleźć sens w chaosie. Być może, rozmyślał Raf, każdy intuicyjnie szuka światła poza tym światem. Świata lepiej poukładanego, a przynajmniej bardziej rzeczywistego...

- No więc, co się stało po przybyciu Czerwonego Krzyża?
- Szukałem między zabitymi Sary.

Raf zrobił zdziwioną minę.

- Od czasu do czasu zmienialiśmy strony - wyjaśnił Hamza.
- Spotykało się żołnierzy zgwałconych i okaleczonych po bitwie, ale przejść przez to nie było łatwo. - Sięgnął po szklankę i się napił. - Nie każdy dawał radę. Jeśli w ogóle darowano mu życie...

Pułkownik Abad powiedział, że szpital polowy, gdzie zostawiłem Sarę, został ostrzelany... Pomyślałem sobie, że...

- Znalazła się?

- Nie. Choć miałem nadzieję. No wie pan, jej skóra była...

- Hamza rozpiął koszulę pod szyją, odsłaniając pierś koloru czarnej kurtki skórzanej. - Była jeszcze ciemniejsza. Granatowa jak noc. Gorzka jak czekolada. I błyszczała... - Płakał. Łzy wolno toczyły się po obwisłych policzkach i wsiąkały w zarost. Jego oczy nie wyrażały wyrzutów sumienia, nie rozczulał się też nad sobą ani nie bał się tego, co go czeka. Po prostu pogрузzył się w smutku. - Myślałem, że ją znajdę... Niestety, nie było to możliwe. Niektórzy mieli zmasakrowane twarze i porozrywane ciała, ale nie o to chodziło. Okazało się, że nie jestem w stanie sprawdzić całego pobojuwiska. Kiedy nadleciał pierwszy helikopter Czerwonego Krzyża, wyciągałem spod stosu dziewczynę z ludu Dinka.

-1 co mówili?

- Ze mną nie rozmawiali. Nie wiedzieli, że znam ich język. A co mówili do siebie? Szczupła kobieta odwróciła się do niskiego mężczyzny i powiedziała: „Przynajmniej ten przeżył”.

- Jednym haustem wychylił resztę drinka i odstawił szklanę z hałasem. - Dali mi witaminy i zrobili zastrzyk przeciw retro-wirusowi. Dostałem blaszaną manierkę i cienką słomkę, żebym nie wypił za szybko. Potem mnie obfotografowali, pobrali odciski palców i próbkę PNA z ust, a na koniec zabrali śmigłowcem na pokład amerykańskiego lotniskowca, stojącego na redzie portu w Massaua. Ubrali mnie w koszulkę Gap, czarne levisy

248

Jon Courtenay Grimwood

i srebrne buty Nike. Ludzie na apel nadsyłali dary. Chcieli mi dać nowe radio i okulary zamiast tamtych pękniętych, ale powiedziałem, że lubie te, które mam. Może powinienem był się zgodzić... - Wzruszył ramionami. - Cóż, nie zgodziłem się, bo pułkownik Abad nie chciał tego.

- Czego jeszcze chciał pułkownik? - Raf uniósł brwi. - Co się z nim stało?

- Koenig Pasza go ukradł.

W tym momencie Raf wyłączył dyktafon, przez pół minuty zastanawiał się, co może zrobić, po czym wymazał całą nagraną rozmowę.

Potrzebna była jeszcze jedna butelka brandy i cały niedzielny poranek, żeby wydusić z zamroczonego alkoholem Hamzy garść faktów, które ten uważał za oczywiste. Niezwykle odkrywczą okazała się wiadomość, że mówiącym po arabsku, osmańskim oficerem łącznikowym na pokładzie USS „Richmond” był niejaki Major Koenig Bej.

Major tak bardzo przejął się tragedią chłopca, że postanowił znaleźć mu dobry sierociniec i osobiście odwiózł go do al-iskandarijji, razem z jego radiem i okularami.

- A co z Sarą? - spytał Raf. - Poznał pan kiedyś jej losy?

- Oczywiście - odparł Hamza. - Umarła.
- To znaczy, że w końcu odszukał pan informacje na jej temat?
- Nie. Jej córka mnie znalazła - rzekł ponuro. - Matka Avatara.
- Myślałem, że Avatar jest pańskim synem. - Raf zaczynał się gubić.

Hamza pokiwał głową.

- Zgadza się.

Efendi

249

Rozfzctel 4 o

2\* paži>ziertiiUA

Hamza efendi wyszedł po schodkach z posterunku prosto w oślepiający blask fleszy. Kroku dotrzymywał mu Raf z ręką położoną na jego ramieniu - symbolicznie, na znak zwierzchności. To właśnie mieli utrwalić fotoreporterzy i to przekazywali światu, wysyłając na żywo do sieci informacyjnych przekaz z poniedziałkowej konferencji prasowej.

Za Rafem podążała ochrona, a z boku pod schodami stała Zara, która przyglądała im się uważnie z wyrazem bezbrzeżnej udręki.

- Ekscelencjo...

Raf wypatrzył w ciżbie pytającego i skinął głową.

- Pani w czerwonym, blond włosy...
- Claire duBois, Television 5. Czy Hamza efendi został aresztowany?
- Oddał się w ręce policji.
- Tak, ale...

Jej dalsze słowa utonęły w gwarze konkurencyjnych pytań. Raf poczekał, aż burza przycichnie, nim pozwolił mówić wysłannikowi sieci C3N.

- Nick Richardson, C3N. Wyrazi pan zgodę na ekstradycję Hamzy?
- Jak wam niewątpliwie wiadomo - rzekł Raf, przesuając wzrok po kamerach - Dowództwo Sił Pokojowych wydało nakaz aresztowania Hamzy efendiego pod zarzutem zbrodni przeciwko ludzkości. - Kątem oka dostrzegł limuzynę, wjeżdżającą na miejsce parkingowe zarezerwowane dla ministra policji.

- Ekscelencjo...

- Chwila! - Dziennikarze i fotoreporterzy jeden po drugim odwracali głowy, ' żeby sprawdzić, na co patrzy Jego Ekscelen-

\*

r jł

250\_Jon Courtenay Grimwood

cja. W związku z tym w większości serwisów informacyjnych pokazywano minę pani senator Liz Elsing, gdy eksplodowała pierwsza bomba.

W sumie, nie zdarzyło się nic spektakularnego: rozległ się grzmot, a na ekranach kilkunastu kamer pojawiło się nagle śnieżenie.

- Co to było? - zapytał z angielskim akcentem przygarbiony człowieczek, kiepsko ostrzyżony i ubrany bez gustu.

Raf wzruszył ramionami.

- Miecz Boga, jak sądzę. - Ogarnął dziennikarzy spokojnym, niemalże rozbawionym spojrzeniem. Potem uśmiechnął się kwaśno i odgarnął włosy nachodzące na okulary, którymi bronił się przed błyskami fleszy. - Jesteśmy w al-Iskandarijji, tu wybuchają bomby.

- To jak będzie z tą ekstradycją? - nie dawał za wygraną wysłannik C3N.

- A jak ma być?

Rafa obserwowała senatorka, sama obserwowana przez trzecią część dziennikarskiej tłuszczy, głównie przez pracowników amerykańskich stacji. Wszyscy zdawali się nerwowi, rozdarci pomiędzy chęcią pognania na drugi koniec miasta, by przyjrzeć się skutkom wybuchu, a obowiązkiem śledzenia zdarzeń rozgrywających się na ich oczach.

- Uważa pan, że potrzebny jest proces?

- Jeśli tak postanowi wielka ława przysięgłych.

- A gdzie odbędzie się rozprawa, jeśli tak postanowi wielka ława przysięgłych? - drążył Austriak z sarkazmem.

- W al-Iskandarijji, ale nie ja go osądzę. - Raf przerwał, aby to przetrawili. - Obowiązują haskie przepisy o postępowaniu dowodowym.

- Co ze składem sędziowskim?

- Trzy osoby: Francuz, Niemiec i Amerykanin. - Dokonywał wyboru państw. Ciekawe, czy zdawały sobie z tego sprawę. Jeśli wielka ława uzna, że istnieją wystarczające dowody, by wnieść oskarżenie, to one automatycznie staną się sędziami. Na razie jednak nie chciał o tym wspominać. - Przepraszam... - Dotknął ministuchawki, wysłuchał wiadomości i pokiwał głową. - Muszę iść - zwrócił się do tłumu. - Przed sierocińcem w dzielnicy Karmus moi ludzie znaleźli drugą bombę.

Efendi\_

- Popychając lekko Hamze, wskazał mu drogę do czekającego bentleya.

Przy nim zmaterializował się dziennikarz C3N, nie odstępujący go niczym cień.



- Będzie pan oskarżycielem w sprawie?

Raf odwrócił się i uśmiechnął, podziwiając mężczyznę za upór. Z pewnością upierdliwość pomagała w karierze zawodowej.

- Nie - odpowiedział. - Jeden z sędziów zostanie wybrany oskarżycielem. obrońcą również nie będę. Ona nim będzie.

- Wskazał kciukiem za siebie, czemu towarzyszyło głośne westchnienie Zary.

Akurat w tej chwili eksplodowała druga bomba elektromagnetyczna, a tuż po niej trzecia i czwarta. Widzowie programów informacyjnych w innych krajach już się nie dowiedzieli, czy Zara przeraziła się swoją nową funkcją obrońcy, czy tym, że dookoła wysiadała elektronika.

- Szeffie. - Ochroniarze zbliżyli się z dwóch stron, zaniepokojeni, lecz gotowi do działania. - Musimy wrócić do budynku.

W górze między chmurami rozbłyskiwały gwiazdy, w miarę jak słabły światła miasta. Bładopomarańczowa łuna lamp sodowych przybrała mdły, żółty kolor i po chwili całkiem zgasła. Świat pograżył się w ciemności. Gdzieś w oddali zaczął szczekać pies.

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 41

26 pArbzcrtiiUA

- Nie powinnam tu być - powiedziała Zara. - Wiesz

0 tym...

Miała na myśli sypialnie Rafa ze sklepionym sufitem, wysokimi oknami, nagimi cherubinkami na górnym malowidle i powietrzem przesyconym zapachem orchidei, stojących przy łóżku we flakonie Lalique'a. Raf nie miał bladego pojęcia, skąd Chartum wytrzasnął świeżo cięte tygrysie storczyki. Mniejszy flakon pysznił się grubym pęczkiem lilii, a srebrna miseczka na toaletce ze szklanym blatem zawierała wonne pot-pourri. Ani kwiatów, ani miseczki nie było, kiedy wczoraj szli spać.

Raf uśmiechał się na wspomnienie gorącego ciała i upojnej woni, będącej połączeniem aromatu herbaty Lapsang Suchong

1 jakichś owoców cytrusowych; perfumy butelkowane we Frankfurcie miały etykietkę znanego japońsko-ameiykańskiego domu mody. Buteleczka stała na toaletce razem z resztą kosmetyków Zary. Oczywiście, i jej niedawno tam nie było...

- Może to ja powinienem być gdzie indziej - powiedział. Zara z uśmiechem przetoczyła się z boku na bok, owinięta

prześcieradłem. W nocy ciemność służyła jej za osłonę; widzieli się jedynie dzięki jednej zapalanej świeczce. Teraz słońce wlewające się przez okna nadawało białej, marmurowej posadzce wygląd połyskliwej tafli lodu, a morską bryza pachniała jodem. Miasto jeszcze trwało w ciszy, na Rue Riyad Pasha nie było samochodów. A przynajmniej zdolnych do jazdy.

- Puść to. - Lekko szarpnął prześcieradło. Pokręciła głową.
- Proszę - dodał.

Efendi

253

Zgodziła się tylko częściowo: pozwoliła, by odkrył jej ramiona, pełne piersi i część miękkiego brzuszka. Miała miodową skórę i sutki w odcieniu ciemnego orzecha. Reszty nie pokazywała, skromnie przytrzymując rąbek prześcieradła.

- Wyjdź za mnie - powiedział.

Skrzywiła się i uśmiechnęła ironicznie, lecz uśmiech zszedł z jej twarzy, gdy zorientowała się, że Raf mówi poważnie.

- Wieczorem chciałeś mnie aresztować.
- To było wieczorem.

Pokiwała głową.

- No tak, jest w tym jakiś sens.

On w tym rzeczywiście nie widział nic dziwnego. Szczerze mówiąc, wyskoczył z tym pytaniem po części wbrew sobie. Człowiek zinstytucjonalizowany po prostu taki się stawał. Co drugą decyzję podejmował automatycznie, bez przemyślenia. Był czas, kiedy mógł zwalić winę na lisa... jak powiedziałby sam lis. Teraz odpowiedzialność spoczywała wyłącznie na nim i jeśli nawet nie czuł się jak alkoholik na męczącym odwyku, to przynajmniej jak pacjent zestresowany po powrocie do przytomności. Pewnego dnia, kiedy zbierze się na odwagę, spróbuje to wyjaśnić Żarze. Zapewne bezskutecznie, ale na pewno spróbuje. To również obejmowała jego sławetna wielostronicowa gwarancja.

- Co się stanie z moim ojcem?
- Wyjdiesz za mnie, jeśli go z tego wyciągnę?
- Taka jest twoja cena?

Raf westchnął.

- A może twoja?
- Nie - odparła drżącym głosem. - Po prostu muszę to wiedzieć. Zostanie stracony? - Wybuchłaby płaczem, ale wszystkie łzy już wyplakała. Pierwszą część nocy przeleżała wtulona w ramiona Rafa; czasem się złościła, czasem bała, ale przeważnie pochlipywała na jego piersi. A druga część nocy... Chociaż do niczego właściwie nie doszło, też musieli przez to przejść.
- Postuchaj, on przecież może być niewinny.

Zara patrzyła na niego twardym wzrokiem.

- Wiesz, że nie mogę przyjść tam i go bronić...
- Twój wybór. - Niekoniecznie jej, ale mniejsza o to.

Zara usiadła, nadal zasłonięta prześcieradłem.

Jon Courtenay Grimwood

- Nie rozumiesz, o co mi chodzi. Nie podejmę się żadnej obrony, jeśli on nie zacznie bronić sam siebie.

Raf potrafił wejść w położenie Zary. Jej ojciec zabił sto osiemdziesiąt trzy osoby, w tej liczbie tylko dwanaście dorosłych. Czyn efendiego był dosłownie niewybaczalny. A mimo to... Siedząc obok dziewczyny w słonecznej sypialni, wypełnionej zapachem cieplarnianych kwiatów, opowiedział jej całą historię

0 Ka, Sarze i pułkownikowi - tak jak sam ją usłyszał od Hamzy.

\*\*\*

Poprzedni wieczór zaczął się w zupełnie innej atmosferze. W blasku awaryjnego oświetlenia siedem osób patrzyło, jak Zara policzkuje Rafa i tylko jedna z nich, pracowniczka wydziału technicznego, przeszkodziła Żarze trzasnąc go raz jeszcze. Przy okazji dowiedział się o Hakimie, Ahmedzie i reszcie swoich oficerów czegoś, co mu wcale nie przypadło do gustu.

Choć może należało spodziewać się po nich takiego zachowania w mieście, gdzie przestępstwami popełnianymi przez kobiety lub przeciwko nim zajmowały się specjalne jednostki policyjne. Jeśli ktoś nie wierzył, że kobieta może być śmiertelnie niebezpieczna, powinien poznać Hu San, przywódczynię Bractwa Pięciu Wiatrów z Seattle. W porównaniu z nią iskandaryjscy bonzowie byli amatorami, co w zasadzie odpowiadało prawdzie. Jako jedyny profesjonalista w tym gronie wyróżniał się człowiek, którego Raf właśnie aresztował, zresztą za rzecz z zupełnie innej półki.

- Ty zdradziecki...

Patrzył, jak Zara daremnie szuka stosownego słowa.

- ...putain de merde?- podsunął. Nawet się nie zawahała:
- Jak mogłeś?
- Aresztować go? Całkiem prosto: wyciągnąłem kartkę

1 przeczytałem, jakie przysługują mu prawa. - Co się niezupełnie zgadzało, ponieważ, po pierwsze, nie nosił przy sobie pouczenia, a po drugie, od głównianej roboty miał ludzi. Grał jednak pod publiczność, o czym ona wiedziała. Między innymi dlatego tak się piekliła.

- Myślałam... myślałam, że go lubisz. Bardziej niż mnie, może to chciała powiedzieć, nie wiadomo... A może źle wyczuwał klimat, który drażnił go, jakby

Efendi

wstąpił między nich duch niezgody. Niewykluczone, że po prostu była wystraszona.

Westchnął i oczyścił umysł ze wspomnień o debilnej psychoterapii w Huntsville, które dopadały go za każdym razem, kiedy próbował rozeznaczyć się w tym, co czuje. Z uczuciami innych ludzi lepiej sobie radził, ale ze swoimi miał problem. Dr Millbank badał go tak wiele razy, że zatracił zdolność rozróżniania, które emocje są prawdziwe, a które są mu zasugerowane. Co dziwiło tym bardziej - i tu lis zawsze się z nim zgadzał - najczęściej był przeświadczony, że nie ma w nim uczuć.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? - Na moment Zara zbliżyła twarz do jego twarzy.

Nie, raczej nie, pomyślał. Odruchowo pochylił się i musnął jej usta pocałunkiem.

\*\*\*

Przeprosił ją w drodze powrotnej do rezydencji gubernatora. Odległość była tak mała, że krócej by szli na piechotę, niż Hakimowi i Ahmedowi zajęło sprawdzenie, czy w Bentleyu nie ma pułapek.

Oczywiście, przed przeprosinami musiał odzyskać oddech.

- Uniwersytet Columbia - zdradziła. - Ćwiczyłam boks.

Nie kwapiła się wsiąść do samochodu, póki Raf nie wyjaśnił, że w przeciwnym razie musiałyby zaczekać na powóz konny i pojechać do Villa Hamza, do matki. Niezależnie od jej decyzji, Hamza efendi zostawał pod strażą na posterunku.

Hakimowi i Ahmedowi kazał wracać pieszo do rezydencji. Ukarzał ich, bo głupio się uśmiechali, kiedy Zara walnęła go w brzuch.

- Czemu się zgrywasz?

- Taka praca - odparł. - Jeśli chcesz dobrze udawać, staraj się być taką, jaką jesteś naprawdę. - Widząc zgrozę malującą się w jej oczach, wzruszył ramionami i szarpnął kierownicę; Bentley gwałtownie skręcił w boczną ulicę. Samochód nie posiadał wspomaganie kierownicy i to był jego urok, choć Raf założyłby się, że komuś na tym specjalnie zależało.

Wcale by się nie zdziwił, gdyby się okazało, że Koenig Pasza jeździł samochodem pozbawionym systemów telemetrycznych

Jon Courtenay Grimwood

właśnie dlatego, że przy okazji nie musiał polegać na wspomaganie kierownicy, głosowym odpalaniu silnika, elektronicznych zamkach, klimatyzacji, nie wspominając o adaptacyjnym układzie sterowania. W rzeczy samej, jedynym nie działającym elementem w Bentleyu był zasilany z własnego źródła odbiornik GPS, umieszczony na desce rozdzielczej. Co więcej, była też korbka do uruchamiania silnika, aczkolwiek trudno powiedzieć, czy znajdowała się w standardowym wyposażeniu, czy została dodana za zamówienie.

Tak czy inaczej, podczas gdy w mieście wskutek wybuchów we wszystkich pojazdach nawaliła

elektronika, bentley gubernatora nadal spisywał się świetnie. Dlatego zakurzony plac należał wyłącznie do niego. Ze sposobu, w jaki przechodnie na Place al-Mansur odwracali się, by popatrzeć na sunący bez świateł samochód i posłuchać w ciemności łopotu proporczyka, należało wnosić, że tego się właśnie spodziewali.

Miasto miało do swojego nowego gubernatora zaufanie, jakim on sam dotąd siebie nie darzył, jakim nie darzyłby go nigdy nikt o zdrowych zmysłach.

- Pamiętasz tamten lunch? - zapytał. - Tamto oficjalne spotkanie? Twój ojciec powiedział, że nigdy nie płaczesz.
- To było wtedy - odparła, nadąsana. - Czasy się zmieniają.
- Często sami je zmieniamy. Zwłaszcza gdy zależy nam na przetrwaniu.
- I to jest twój sposób na życie? Byle przetrwać?

Pokiwał głową.

Siedząc obok niego z dłońmi splecionymi między kolanami i plecami zgarbionymi jak u wystraszonego dzieciaka, Zara odetchnęła głęboko i wolno zaczęła odzyskiwać panowanie nad sobą. Za szybą przesunęła się znajoma ulica i z mroku wynurzyły się słupy bramy.

Fakt, że Raf ma rację, nie nastawiał jej wcale przychylnie wobec niego.

- Wybrałem okrężną drogę - poinformował stojącego w bramie Hakima, po czym zajechał na dziedziniec, oświetlony węglem palonym w beczkach po ropie.
- Pan wraca... - Chartum nie miał już na sobie swej wytwornej liberii. Zamiast niej włożył szarą, wełnianą szatę, tak

Efendi

długą, że spód szorował po mokrym bruku. Wokół niego stali żołnierze oraz chudy urzędnik w rozchełstanym garniturze. Staruszek wyglądał na ubawionego sytuacją. - No powiedz mu, jakie masz w biurze urwanie głowy. - Sufi praktycznie pchnął mężczyznę w stronę szyby samochodu.

- Wasza Ekscelencjo... Ambasador graf von Bismarck pragnie natychmiast się z panem spotkać.

Doprawdy?

- A ten z Paryża?

Mężczyzna przytaknął. Pytany jeszcze o Londyn, Waszyngton i Wiedeń, za każdym razem kiwał głową.

- A Stambuł?
- Czerwony telefon... - Mężczyzna czuł się zakłopotany.

- Dzwonił, Wasza Ekscelencjo, ale kiedy podniosłem słuchawkę, połączenie było przerwane. Może główna centrala...

- Główną centralę szlag trafił - wpadł mu w słowo Raf.
- Razem ze stacjami przekaźnikowymi. Proszę powiedzieć grafowi, że za godzinę odbędę z nim dziesięciominutową rozmowę w sali audiencyjnej.
- Wasza Ekscelencjo... Ambasador miał nadzieję...
- ...że złożę mu wizytę? Naiwny... - Raf patrzył na urzędnika, który kombinował, kogo jest niebezpieczniej urazić, Niemców czy nowego gubernatora al-Iskandarijji. Zaraz jednak rozstrzygnął ten dylemat: rażno zasalutował i cofnął się od samochodu.
- Lubisz ich straszyć, co? - zapytała Zara z bladym uśmiechem.
- Jestem tylko namiastką Generała.

Pokręciła głową.

- Jesteś sobą, nikim innym. Postój dłużej przed lustrem.
- Nie korzystam z luster.
- Właśnie, a powinieneś.

Nie bardzo wiedział, co na to powiedzieć, więc kiedy Chartum otworzył drzwi z jego strony, obszedł samochód i otworzył drzwi od strony pasażera.

- Wiesz co, daruj sobie te salonowe pozy! - burknęła Zara. Złość jej minęła dopiero na frontowych schodach, kiedy ze środka wyskoczyła Hani.
- Zara!

«

258\_Jon Courtenay Grimwood

- Witaj, skarbie!

Dziewczynka uśmiechnęła się promiennie.

- Jak się masz? - zapytała, przypominając sobie o dobrych manierach.
- W porządku, a ty?
- Superowo! - Hani rozłożyła ramiona, jakby chciała nimi ogarnąć atramentowy firmament. - Ktoś wyłączył prąd w mieście. Wszystkie światła zgąsły. Z dachu to dopiero jest widok!
- Odwróciła się i prawie zerwała do biegu, lecz pewna myśl ją powstrzymała. - Posłuchaj, musimy porozmawiać w cztery oczy
- dodała z poważną miną.

Efendi

259

R ozfczteł 42

25 pAŻbricrnikA

- Wiesz, że pułkownik Abad ukradł komuś twarz?

Zara, oczywiście, nie wiedziała.

- Wystarczy przyrzeć się odznakom - ciągnęła Hani. - To nie on. Ta twarz należy do kogoś, kto umarł dawno, dawno temu. Wiesz, co to oznacza? Oznacza to, że się nie ujawniał, bo inaczej ludzie by się zorientowali, że zdjęcia pokazują kogo innego. - Pokiwała głową. - Chyba mam rację, co? - Popatrzyła na starszą dziewczynę i zmarszczyła czoło. - Nie lubisz dedukować?

Zara rozejrzała się z niepewną miną po gabinecie gubernatora. Dokumenty piętrzyły się w niechlujnych stosach, do tego encyklopedie, stare książki historyczne i leciwie mapy Sudanu. Połowa zawartości jednego z regałów leżała na podłodze. Zupełnie jakby szalał tu huragan. Huragan zresztą pochyłał się nad kominkiem cztery kroki od niej i mówił zagadkami.

- Skarbie, lepiej stąd chodźmy.

- Chcesz pomóc ojcu czy nie?

Czy chciała? Zara wpatrywała się w dziewczynkę ze ściśniętym gardłem.

- No właśnie. - Hani podeszła do niej, przytuliła ją do siebie i wróciła do pracy, czyli do zgniatania starych raportów finansowych i wrzucania do ognia papierowych kulek. - Dedukcja. - Przyłożyła zapałkę do wydruku komputerowego. - Krzyżówki, logiczne łamigłówki, diagramy liczbowe, te prymitywne men-sowskie testy na inteligencję. Nie bawi cię to?

- Może czasem.

Hani westchnęła. Robiło się późno. Raf wciąż się o coś pieklił, a Zara tak bardzo starała się nad sobą nie użalać, że słowa przelatowały jej koło uszu. Nawet Chartum na nic się

\_Jon Courtenay Grimwood

nie przydał. Próbowwała z nim porozmawiać, ale się wykręcił, by później przynieść z kuchni zapałki i dzbanek wody. Też pomoc! Ciężko człowiekowi, który jako jedyny umie racjonalnie myśleć. Szczególnie w wieku dziewięciu lat.

- Zaraz ci zrobię kakao. - Dmuchała w płomyki, aż strzelił większy ogień, potem dorzuciła dwa drewniane świeczniki z parapetu kominka i wszystkie ołówki z pojemniczka na generalskim biurku.

Na biurku wujka Aszrafa, poprawiła się w myślach. Wyciągnąwszy z kieszeni pół tabliczki czekolady (w gazecie czytała, że na jednej człowiek może przeżyć tydzień), odłamała kilka kawałków i pięć wrzuciła do dzbanka z wodą. Przyglądając im się, jak opadają na dno, pomyślała poniewczasie, że najpierw powinna podgrzać wodę.

Trudno, stało się. Postawiła na ogniu miedziane naczynie i zaraz pośliniła czubki lekko oparzonych palców. Potem wróciła do meritum sprawy.

- Przyniosłaś swój dziwny obrazek?

- Co? - Zara nie wierzyła własnym uszom. - A ty skąd o nim wiesz, skarbie?
- Na pewno ktoś ci go wysłał - stwierdziła stanowczo. - Pytałam każdego. General wysłał ci coś z „Purgatoria” Dantego. Rysunek Dore, zgadza się?

Hani wyciągnęła z kieszeni dżinsów poślótką kartkę papieru i wygładziła ją na biurku.

- A ten wysłał Rafowi. To z „Inferna”.

Rysunek przedstawiał mężczyznę z rozciętą piersią, który trzymał brzegi rany nie po to, żeby je ściągnąć, ale żeby rozdzielić. Z drugiej kieszeni wydobyła coś, co z początku wydawało się żarzątkiem, a było w istocie wydrukiem zdjęcia zeskanowanego w niskiej rozdzielczości. Ostatnim razem widziała anioła z odkrytą piersią w gabinecie ojca. Wtedy trzymał na nim rewolwer.

- Nie mogłam się dostać do oryginału, bo jest schowany pod kluczem - powiedziała Hani. - Wujek Aszraf miał to u siebie na komputerze, w policyjnym rejestrze. Gdy jeszcze działał komputer - dodała w zamyśleniu.

- I Generał wysłał to mojemu ojcu?

- Zobacz, pismo Koeniga Paszy. - Hani pokazała jej odręcznie pisane słowa z drugiej strony wydruku. - Na to wygląda...

Efendi

261

W policyjnym rejestrze przeczytałam, że efendi prosił o pomoc Generała.

- O pomoc?! - Zara zaśmiała się nieszczerze. - Skąd wiesz, że to pismo Generała?

Hani wzruszyła ramionami.

- Przeglądałam jego pamiętnik. - Wyciągnęła notes z szufladki i wręczyła go Żarze, która pokręciła głową i natychmiast go oddała.

- Czytałaś jego pamiętnik?

- Nie, bo jest po niemiecku, a ja nie znam niemieckiego.

Zara знаła, lecz wolała o tym nie mówić. Rozmowa na chwilę utknęła. Hani ściągnęła srebrnego nika'a, a następnie skarpetę, którą posłużyła się w charakterze kuchennej rękawicy, aby zdjąć z ognia dzbanek. Naczynie odstawiła, żeby wystygło, a skarpetę wrzuciła w ogień. I tak się osmalila. Kakao smakowało prawie jak woda, lecz żadna tego nie skomentowała.

- Masz rysunek Doré od Generała? - Zara pokręciła głową, więc Hani zaczęła od początku: - Jakiś rysunek masz, prawda?

Zara przytaknęła.

- Jesteś pewna, że to nie prezent od Generała?

- Dostałam go faksem ze statku SS „Jannah”.



- „Jannah”? Co to znaczy?
- Znaczy tyle co „ogród” - odpowiedziała Zara, zaskoczona. Przecież Hani powinna to wiedzieć.
- Ogród. - Dziewczynka zapisała to słowo na czystej kartce. - A więc jak sądzisz, kto wysłał obrazek?

Swoim zachowaniem przypomina Rafa, pomyślała Zara. Rafa w chwili ważnej rozmowy.

Zarumieniła się.

- Myślałam, że to chedyw... Ale może po prostu Avatar. Zastąpił mnie na wycieczce. - Czym Jego Wysokość z pewnością się nie uradował, choć z grzeczności nie wyraził rozczarowania.
- Masz rysunek przy sobie?

Zara kiwnęła głową.

- Mogę rzucić okiem? - poprosiła Hani, gdy stało się oczywiste, że Zara wołałaby poprzestać na słowach. - Może coś wykombinujemy.
- Ale to... - Zara szukała odpowiedniego słowa. - To brzydki rysunek.

262\_Jon Courtenay Grimwood

- A jaki jest anioł? - odparowała Hani, wskazując ruchem głowy kobietę z odsłoniętymi piersiami, skrzydłami i dyskretnym skrawkiem ubrania na szerokich, wiktoriańskich biodrach.
- Ten jest brzydszy - stwierdziła Zara, tym niemniej sięgnęła do kieszeni.
- Aha... - Hani starała się udawać dorosłą osobę, lecz lekko rozszerzone oczy i rosnący uśmiech na twarzy zdradzały jej zdumienie. - Ona jest pająkiem.
- Właśnie.
- Kobieta-pająkiem, wygiętą do tyłu... - Hani spojrzała na drugą kartkę i pokiwała głową. Była na niej króciutka notka od Generała oraz słowo Giudeka. Następnie dziewczynka raz jeszcze sprawdziła tytuły książek, z których wyrwano kartki. - „Paradiso”, „Purgatorio”, „Inferno”. - Zapisała je jeden pod drugim i ponumerowała. Na półce przy drzwiach już wcześniej znalazła „Inferno”. No i oczywiście, brakowało wyklejki. Była święcie przekonana, że gdyby chciało jej się szukać, znalazłaby również zniszczone egzemplarze „Purgatoria” i „Paradisa”.

„Jedynie tutaj znajdziesz ukojenie”. Tak napisał Generał na odwrocie pierwszego rysunku. Raj. Jedynie tutaj... Ależ to miało sens! Hani przepisała to zdanie i opatrzyła je numerem. W następnej kolejności odwróciła rysunek z dziwną pajęczką i napisała: „ Witaj w przedsionku piekieł”. Oznaczywszy zdanie tym samym numerem co „Purgatorio”, poniżej napisała: Na dnie piekła nie ma ognia. I tu wstawiła numer.

Na koniec pojawiły się słowa: Apollyon, Giudeka i Koky-

tos.

Zastanawiała się, czy nie połączyć komentarzy Generała i tytułów książ kolorowymi kreskami, lecz to

było zbyt ciche. Za to umieściła pod listą wielki wykrzyknik.

- Wiesz, co to wszystko oznacza? - zapytała Zara.

- Jeszcze nie, ale kiedy się dowiem, dam ci znać. - Odepchnęła od siebie papiery, z szuraniem odsunęła krzesło i na paluszkach podeszła do drzwi, które ostrożnie uchyliła. W holu przewijali się tam i z powrotem sudańscy żołnierze. Przeważnie wyglądali na gwardzistów Rafa. - Przyjechał Niemiec - poinformowała Zarę. - Chyba w złym humorze.

Zara stanęła za nią i spojrzała na młodego niemieckiego ambasadora.

'w W &

Efendi

263

- Nie jest zły, tylko jakiś niespokojny - powiedziała. W tym momencie w holu zjawił się Chartum: uklonił się gościowi i wprowadził go do otwartego pomieszczenia. - To nie jest sala audiencyjna.

- Poczekalnia, wiem - powiedziała Hani. - Teraz dopiero się zdenerwuje.

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 43

25 pAŻt>ricrnika

- Kawy? - zaproponował Raf.

Siedzący przed nim młody Niemiec skrzywił się... zgodnie z oczekiwaniami. Bo w aktach Raf znalazł informację, że ambasador z Berlina nie znosi tego napoju.

- W al-Iskandarijji picie kawy należy do tradycji - stwierdził.

- Jak wszystko chyba - odparł ambasador markotnie.

Z notatek Koeniga Paszy wynikało, że Jego Ekscelencja graf von Bismarck ma dziewiętnaście lat, wygląda na czternaście, a zachowuje się jak dwunastolatek. Sypał mu się pierwszy zarost, a długa blond grzywka zachodziła na jedno oko. Drugie oko, odsłonięte, zwracające na siebie uwagę intensywnym odcieniem błękitu, zerkało nerwowo na Rafa, ilekroć ambasador myślał, że ten patrzy w drugą stronę.

Praca w al-Iskandarijji potrafiła każdemu zrujnować karierę, a tym bardziej komuś, kto brzydzi się kawą i intrygami. Z pokątnych informacji wynikało, że Ernsta von Bismarcka zmusił do przyjazdu brak alternatywy; inaczej czekał go ślub w Szlezwik-Holsztynie. Graf nie wyglądał na mężczyznę, któremu spieszno do żeniaczki.

- Jeśli nie kawa - rzekł Raf życzliwszym tonem - to co?

- Sok pomarańczowy... jeśli można.

Kiedy Raf zaklaskał, w zastępstwie Chartuma pojawiła się Hani. Dziewczynka zamiast dżinsów miała na sobie sukienkę przynajmniej o jeden rozmiar za dużą. Niestety, nie pozbyła się obuwia sportowego.

- Nazywam się Hani al-Mansur - oznajmiła, wyciągając rękę do zdumionego ambasadora. - To jest mój wujek.

Efendi

265

- A gdzie...? - zaczął Raf.

- Coś mu wypadło - wtrąciła twardo. - Jeśli czegoś potrzeba, ja przyniosę.

Sok pomarańczowy przybył na tacy razem ze srebrną miseczką z orzeszkami pistacjowymi (jasnozielonymi z miękką skórką), dwiema małymi, mosiężnymi fajkami i odrobiną kleistej żywicy.

Raf odczekał, aż dziewczynka wyjdzie i dopiero wtedy zainteresował się zwitkiem papieru, włożonym pod jego szklankę.

- Słodkie dziecko - zauważył graf.

Raf ponownie przeczytał gryzmoły Hani, pokręcił głową z powątpiewaniem i wcisnął wiadomość głęboko do kieszeni.

- Ciągłe mnie zaskakuje - rzekł i zmienił temat: - Prosił pan o spotkanie... - Mówienie o audiencji byłoby nadużyciem tego słowa.

- Berlin prosi...

- No tak, niewątpliwie. Ale najpierw niech mi pan powie, czemu wasze służby wywiadowcze prowadzą wojnę z Hamzą efendim. - Świdrował spojrzeniem młodzieńca, który odstawił szklankę i zaczerwienił się po same uszy.

Osobiście, Raf nie umiał okazywać rumieńcem zażenowania: w wieku sześciu lat, gdy leczono mu odmę, przy okazji przecięto niepozorny nerw między drugim a trzecim zębem, kontrolujący dopływ krwi do twarzy. Chirurg dostał się do nerwu poprzez maleńkie nacięcie pod pachą.

- Nie ma żadnej wojny...

- Twierdzi pan, że facet wyłowiony z jeziora Mareotis nie był agentem Thiergarten?

- Nie dowiedziono, czy tę pierwszą dziewczynę on zabił - rzekł zapalczywie Ernst von B. - To tylko ludzkie domysły.

- A atak na Casino Quitrimala? Pańskim zdaniem, nie przeprowadziły go niemieckie służby wywiadowcze?

- My nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

- I ja mam w to uwierzyć?

- Daję słowo - powiedział sztywno graf von Bismarck. Wyglądał, jakby lada chwila miał się rozpłakać.

- Ale mężczyzna, który zginął w pożarze, był Niemcem, prawda?

Ambasador lekko, prawie niezauważalnie kiwnął głową.

\*

266\_Jon Courtenay Grimwood

- Dobra - powiedział Raf. - Wiec założmy, że niektórzy wasi ludzie działali na dwa fronty. Kto ich kupił?

Naturalnie, graf nie miał pojęcia, lecz natychmiast posądził Paryż, bowiem Niemcy o wszystko obwiniały Francję.

- A bomby?

- Nasz wywiad podejrzewa mudżahedinów. - Von Bismarck się zawahał. - Chociaż wątpię, by zwykli rebelianci dysponowali wysokiej klasy sprzętem.

Raf wygiął się i z kartonowego pudła za krzesłem wyciągnął cienką rurkę o długości ramienia, przymocowaną do małej, drewnianej podstawy.

- Może nie jest to sprzęt wysokiej klasy - powiedział ponuro - lecz skuteczny na pewno. Większość komponentów można kupić na pierwszym lepszym bazarze.

Wąską rurkę okrężała bezstykowo spirala z gołego, miedzianego drutu, zakończona skręconym metalowym wieszakiem na ubranie; przypominała pod tym względem badziewną namiastkę zniszczonej przez wandalę anteny samochodowej.

Ogółem, przedmiot wyglądał niczym fragment rzeźby nr 101 ze szkoły św. Marka.

- Detonator. - Raf wskazał podobny do papierosa walek wciśnięty w dolną część dziwaczego eksponatu. Miedziany drut, aluminiowa rurka z tanim ładunkiem wybuchowym, antena ramowa, baterie. - Chodzi o ściśnięcie pola magnetycznego w zwojach miedzianej cewki - dodał, widząc niewyraźną minę niemieckiego ambasadora. Nie wspomniał mu, że przed spotkaniem poświęcił kilka chwil na przestudiowanie narysowanego ołówkiem schematu działania kompresora strumienia, bo tak nazywano e-bomby. - Starczy odpalić ładunek...

- ...i wszystko wylatuje w powietrze - dokończył zdanie graf von Bismarck.

- Otóż to. Siła wybuchu rozwala rurkę z prędkością sześciu tysięcy metrów na sekundę, czy coś w tym rodzaju. Odształcająca się rurka zwiera kolejne zwoje cewki i ściska pole magnetyczne w coraz mniejszej części nieuszkodzonej cewki...

Na chłopięcej twarzy grafu odbijało się całkowite niezrozumienie.

- Nie studiował pan fizyki, co?

Niemiec pokręcił głową.

Efendi

267

- Nie było takiej możliwości. Wybrałem filozofie, politykę i historie na uniwersytecie w Heidelbergu.

Dokładnie to samo zapisał sobie Generał w notatniku.

- Zasada jest następująca - tłumaczył cierpliwie Raf.

- Rurka jest rozrywana, spychane pole magnetyczne coraz bardziej wzrasta. Natężenie prądu elektrycznego w zwojach osiąga olbrzymie wartości. Na końcu impuls prądowy pobudza antenę, która wypromieniowuje energię rzędu terawatów. Od chwili detonacji do tego momentu upływa króciutka chwila. - Pstryknął palcami. - Jedna setna tego, może jeszcze mniej. W mieście podłożono siedem takich bomb. Wybuchło sześć.

- Ale najgorsze minęło...

- Chciałbym - rzekł Raf z powątpiewaniem. - Moim zdaniem, najgorsze dopiero przed nami.

- W takim razie należałoby... - Graf odłożył fajeczkę. - Ten proces... - Urwał i wyjął usta. - Rzecz w tym, że... Berlin jest...

- Wzruszył ramionami i ponownie sięgnął po fajkę. - Mam pecha, bo...

- Berlin jest zaniepokojony, to normalne. - Raf wziął swoją fajkę, lecz nie przytknął jej do ust, tylko patrzył, jak cienkie smugi gryzącego dymu ulatują spiralami do miejsca, które jawiło się grafowi pogrążone w mroku, a jemu oświetlone, tylko w inny sposób.

Do tej pory Astolphe de St Cloud, francuski ambasador w al-Iskandarijji, na pewno został poinformowany, że Aszraf bej prowadzi tajną rozmowę z ambasadorem Niemiec. Prawdopodobnie stał już pod bramą rezydencji i domagał się wpuszczenia. Rafowi bardzo na tym zależało.

- A proces... - zagaił ostrożnie Raf.

- Chcemy, żeby odbył się w Berlinie.

- Absolutnie wykluczone. - Raf pokręcił głową.

- Pan mnie źle zrozumiał. - Graf okazywał coraz większe zdenerwowanie. - Stanowczo żądamy, aby się odbył w Berlinie.

- Powtarzam, nie ma mowy.

Po twarzy młodzieńca przemknęło uczucie, w którym Raf domyślił się ulgi.

- Wystosujemy oficjalny protest w tej sprawie - oświadczył Niemiec.

Efendi

2

- Nie było takiej możliwości. Wybrałem filozofię, politykę i historię na uniwersytecie w Heidelbergu.

Dokładnie to samo zapisał sobie Generał w notatniku.

- Zasada jest następująca - tłumaczył cierpliwie Raf.

- Rurka jest rozrywana, spychane pole magnetyczne coraz bardziej wzrasta. Natężenie prądu elektrycznego w zwojach osiąga olbrzymie wartości. Na końcu impuls prądowy pobudza antenę, która wypromieniowuje energię rzędu terawatów. Od chwili detonacji do tego momentu upływa króciutka chwila. - Pstryknął palcami. - Jedna setna tego, może jeszcze mniej. W mieście podłożono siedem takich bomb. Wybuchło sześć.

- Ale najgorsze minęło...

- Chciałbym - rzekł Raf z powątpiewaniem. - Moim zdaniem, najgorsze dopiero przed nami.

- W takim razie należałoby... - Graf odłożył fajeczkę. - Ten proces... - Urwał i wyduł usta. - Rzecz w tym, że... Berlin jest...

- Wzruszył ramionami i ponownie sięgnął po fajkę. - Mam pecha, bo...

- Berlin jest zaniepokojony, to normalne. - Raf wziął swoją fajkę, lecz nie przytknął jej do ust, tylko patrzył, jak cienkie smugi gryzącego dymu ulatują spiralami do miejsca, które jawiło się grafowi pogrążone w mroku, a jemu oświetlone, tylko w inny sposób.

Do tej pory Astolphe de St Cloud, francuski ambasador w al-Iskandarijji, na pewno został poinformowany, że Aszraf bej prowadzi tajną rozmowę z ambasadorem Niemiec. Prawdopodobnie stał już pod bramą rezydencji i domagał się wpuszczenia. Rafowi bardzo na tym zależało.

- A proces... - zagaił ostrożnie Raf.

- Chcemy, żeby odbył się w Berlinie.

- Absolutnie wykluczone. - Raf pokręcił głową.

- Pan mnie źle rozumiał. - Graf okazywał coraz większe zdenerwowanie. - Stanowczo żądamy, aby się odbył w Berlinie.

- Powtarzam, nie ma mowy.

Po twarzy młodzieńca przemknęło uczucie, w którym Raf domyślił się ułgi.

- Wystosujemy oficjalny protest w tej sprawie - oświadczył Niemiec.

Efendi

2

- Nie było takiej możliwości. Wybrałem filozofię, politykę i historię na uniwersytecie w Heidelbergu.

Dokładnie to samo zapisał sobie Generał w notatniku.

- Zasada jest następująca - tłumaczył cierpliwie Raf.
- Rurka jest rozrywana, spychane pole magnetyczne coraz bardziej wzrasta. Natężenie prądu elektrycznego w zwojach osiąga olbrzymie wartości. Na końcu impuls prądowy pobudza antenę, która wypromieniowuje energię rzędu terawatów. Od chwili detonacji do tego momentu upływa króciutka chwila. - Pstryknął palcami. - Jedna setna tego, może jeszcze mniej. W mieście podłożono siedem takich bomb. Wybuchło sześć.
- Ale najgorsze minęło...
- Chciałbym - rzekł Raf z powątpiewaniem. - Moim zdaniem, najgorsze dopiero przed nami.
- W takim razie należałoby... - Graf odłożył fajeczkę. - Ten proces... - Urwał i wyduł usta. - Rzecz w tym, że... Berlin jest...
- Wzruszył ramionami i ponownie sięgnął po fajkę. - Mam pecha, bo...
- Berlin jest zaniepokojony, to normalne. - Raf wziął swoją fajkę, lecz nie przytknął jej do ust, tylko patrzył, jak cienkie smugi gryzącego dymu ulatują spiralami do miejsca, które jawiło się grafowi pogrążone w mroku, a jemu oświetlone, tylko w inny sposób.

Do tej pory Astolphe de St Cloud, francuski ambasador w al-Iskandarijji, na pewno został poinformowany, że Aszraf bej prowadzi tajną rozmowę z ambasadorem Niemiec. Prawdopodobnie stał już pod bramą rezydencji i domagał się wpuszczenia. Rafowi bardzo na tym zależało.

- A proces... - zagaił ostrożnie Raf.
- Chcemy, żeby odbył się w Berlinie.
- Absolutnie wykluczone. - Raf pokręcił głową.
- Pan mnie źle zrozumiał. - Graf okazywał coraz większe zdenerwowanie. - Stanowczo żądamy, aby się odbył w Berlinie.
- Powtarzam, nie ma mowy.

Po twarzy młodzieńca przemknęło uczucie, w którym Raf domyślił się ulgi.

- Wystosujemy oficjalny protest w tej sprawie - oświadczył Niemiec.

'A \. I

9

268\_Jon Courtenay Grimwood

- Jak sobie chcecie - odparł spokojnie Raf. - Proces tak czy inaczej odbędzie się w al-Iskandarijji. Nie w Hadze, nie w Paryżu, nie w Berlinie. Spodziewam się, że uzupełni pan skład sędziowski. Sąd powoła na świadka Jeana René...

Ernst von Bismarck pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Robił zdjęcia zaraz po masakrze - wyjaśnił Raf. - Chciałbym również poinformować pana -

dodał, wyciągając z kieszeni wiadomość od Hani - że zgodnie z raportami mojego wywiadu, Hamza efendi zamierza wezwać na świadka kogoś ze swojej brygady.

- Niemożliwe. Oprócz Hamzy wszyscy nie żyją. Czytałem raporty.

-Jeśli to prawda - rzekł Raf z uśmiechem - zapowiada się ciekawy proces.

Graf zmarszczył brwi.

- Powiadomię Berlin o sytuacji.

-Jak? - Raf obserwował minę grafa, który nagle zrozumiał, że nie zrealizuje swojego zamiaru tak łatwo, jak sobie wyobrażał. - W jaki sposób zabierze się pan do tego?

- Działa poczta. Do Syrakuz kursuje statek pasażerski.

- Nie wiem, czy dzisiaj.

Raf wiedział, że oba promy wypłyną z portu, ponieważ już na samym początku wysłał Hakima na Dworzec Morski, aby się zorientował, które jednostki rejsowe ucierpiały w wyniku impulsu elektromagnetycznego, a które - jeśli w ogóle takie były - miały to szczęście, że akurat znajdowały się daleko od portu.

Obecnie dwa radzieckie liniowce były pozbawione elektryczności, jeden lotniskowiec stał sparaliżowany, a kilka luksusowych jachtów wymagało częściowej naprawy. Ich właściciele stać było na remont. Gorzej z kutrami rybackimi: prawie wszystkie utraciły systemy nawigacyjne i sonarowe, do tego silniki nie chciały zastartować.

- Aha, tak za pamięci - rzekł Raf. - Proszę w liście uprzedzić Berlin, że zamykam miasto. Zostaje wprowadzona godzina policyjna. Po mieście może się poruszać tylko mój samochód, innym nie wolno... choć wątpię, czy w ogóle można nimi jeździć. Bez mojej pisemnej zgody nikt nie opuści miasta ani do niego nie wjedzie. Ma się rozumieć, z pominięciem osób podróżujących

' \*  
\_

Efendi 2

z paszportem dyplomatycznym. I akredytowanych dziennikarzy. Ci mogą przyjeżdżać nawet z kamerami. Czy wyjadą, oczywiście, to już inna sprawa.

-Jak długo...?

- Dopóki nie schwytemy zamachowców. - Raf wstał, poczekał, aż graf połapie się, że to koniec spotkania, i odprowadził młodego Niemca do drzwi.

- Mam tu miasto na skraju przepaści - powiedział na odchodnym. - Kopalnię gazu ziemnego, która nie wydobywa gazu, rafinerię ropy naftowej, która nie przerabia ropy, zero elektryczności, zero telefonów. Zostało parę komputerów, ale ubywa ich z każdą chwilą.auta stoją, stacje benzynowe nie sprzedają paliwa. Wie pan, co to oznacza? Zamknięte szkoły, nieczynne szpitale. Proszę to sobie przemyśleć.

Raf towarzyszył grafowi w drodze przez hol i na zalany deszczem dziedziniec. Po pożegnaniu wrócił do



mrocznej komnaty i natężył słuch.

- Możesz już wyjść - powiedział.

Zara powoli wynurzyła się z cienia.

- Wiedziałeś, że tu jestem? - zapytała tonem stwierdzenia.

- Było cię słychać.

- Z daleka? - Patrzyła z niedowierzaniem na miejsce, gdzie przedtem siedzieli Raf i von Bismarck.

- Słyszę, jak bije serce nietoperza - wyjaśnił węzłowato. - A w środku nocy widzę kota przyczajonego po drugiej stronie Place Zaghoul. 1 zapamiętuję wszystko, co się dzieje. Wszystko...

No i nie mogę tak zwyczajnie umrzeć, dodał w myślach. Mogę być tylko zabity. Wolał zatrzymać dla siebie te słowa, bo już się nie uśmiechała, bezgranicznie zdumiona jego szczerością. Jej zdumienie zabarwione było lękiem, nawet strachem.

- Ty wcale nie żartujesz, co?

Czy żartował? Pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie. - Nie wspomniał już o tym, że czuje drogi kosmetyk utleniający się na jej nadgarstku, zapach szamponu z białej wierzby i jeszcze jedną, ledwie wyczuwalną woń, dziką i zwierzęcą.

- Wszystko zapamiętujesz? - nie dowierzała.

2

Jon Courtenay Grimwood

- W najdrobniejszych szczegółach. - Stał przed dziewczyną i wyłapał ten moment, kiedy rozszerzyła źrenice... tak samo jak tamtej nocy na łodzi. Jej usta pachniały wtedy oliwkami, a jędrne piersi układały się w jego dłoniach. Powietrze nad morzem ciemnym jak wino miały słony smak, niczym krew na wardze rozciętej w pocałunku.

Było jeszcze coś więcej, ale nie tyle, ile by pragnął. Teraz między nimi się nie układało i musiał żyć wspomnieniami.

- Chyba pójdę już spać - oznajmił.

- A co ze mną?

- Rozgość się w pokoju, który ci się spodoba. Udajmy, że to w ramach ochrony świadka - zaproponował, a widząc, że patrzy na niego z niewesołą miną, dodał: - Poszukaj Chartuma i powiedz mu, żeby coś ci znalazł. Możesz też spać razem z Hani. Jej to się spodoba... - Urwał i wziął głęboki oddech. - Z drugiej strony, jest jeszcze mój pokój...

- A francuski ambasador? - spytała.

Nie spodziewał się tej zmiany tematu.

- Nie rozumiem?
- Przecież czeka.

Wzruszył ramionami.

- Niech sobie czeka, nie będę z nim gadać. Zresztą, St Cloud nasłał na mnie zbira. - Uśmiechnął się, widząc jej zaskoczenie. - Nie minął dzień od mojego przylotu do miasta, a już ktoś chciał mnie dźgnąć nożem. Powiedziałem o tym Felbcowi. Grubas prowadził śledztwo w tej sprawie, kiedy zginął w zamachu.

- Co się stało z napastnikiem?
- Zaatakował mnie, więc go zabiłem.

\*\*\*

- Aha, to jest ta blizna? - zapytała Zara, kiedy powiesił marynarkę w starej szafie z drewna różanego. Trzymała w ręku kieliszek z winem, wypełniony do połowy białą rioją. Był to jego kieliszek; swój już dawno opróżniła.

Wskazała na szew widoczny przy nadgarstku.

- Nie. - Zdjął koszulę. - Blizna, o której myślisz, jest tutaj. - Przesunął palec po żebrach, wyczuwając delikatny ślad zgrubiałej skóry. - Powierzchnowa rana, nic groźnego... - No co? - zapytał, kiedy uśmiechnęła się smutno.

\*\* §

Efendi

2

W komnacie paliła się tylko gruba, biała świeczka, umieszczona w doniczce wykonanej z jednego kawałka araukarii; cienkie, sędziwe drewno było półprzezroczyste w rozkołysanym blasku świeczki. Doniczka stała na dębowym stoliku obok tak starego żelaznego łóżka, że materac z końskiego włosa musiał leżeć na siatce ogrodzeniowej. Ponieważ pokój wybrany przez Rafa był pierwotnie przeznaczony do osobistego użytku Generała, nie bez przyczyny znalazło się tu takie właśnie łóżko.

Przy wyborze kierował się jednak tylko tym, że zaraz obok mieszkała Hani: w małej, ciemnej klitce, która niegdyś mogła służyć za garderobę. Aczkolwiek przejście między pomieszczeniami zostało zamurowane bardzo dawno, sądząc po wyblakłej perskiej tapecie, przedstawiającej niewyraźne postacie myśliwych.

- Zgaś świecę.
- Ja widzę po ciemku - uprzedził ją Raf.
- Ty może, aleja nie.

Zdmuchnął więc płomyk świeczki i w chłodnym powietrzu rozniósł się gryzący zapach dymu.

- Jak możesz widzieć w ciemnościach? - zapytała naraz Zara.
- Mój wzrok dostosowuje się... Nie - sprostował. - Ja dostosowuję wzrok. To dwie różne rzeczy.
- Więc go nie dostosuj.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Zostań ślepy.
- Skoro chcesz. - Zanim sypialnia pogrążyła się w mroku, zobaczył jeszcze, jak Zara rozpina przód krótkiej sukienki. Nie nosiła stanika, a jej ciało było wciąż tak samo idealne jak w jego wspomnieniach.

Dotknęli się niezdarnie, gdyż nie do końca wiedzieli, gdzie kto się znajduje. Zara poczuła jego dłonie na swoich nagich ramionach, on poczuł jej palce na twarzy. Tym razem całowali się wolniej, bez tej iskry szaleństwa, które ogarnęło ich, pijanych i zmęczonych, na łodzi jej ojca.

Oddech Zary pachniał winem, szyja miała słony smak. Z każdym pocałunkiem stawały mu przed oczami nowe barwy i wspomnienia, działała wyobraźnia. Objąwszy ją ramionami, przesunął palce środkiem pleców, aż napotkał jedwabne stringi.

V

272\_Jon Courtenay Grimwood

Uśmiechnął się.

- Nie! - Zakaz był prosty, o wiele prostszy niż mieszanina uczuć wyczuwalnych w jej łamiącym się głosie. Zwykłą nerwowość Raf mógłby jeszcze zrozumieć. Sam aż trząsł się z napięcia. Strach przed tym, co mogło się wnet wydarzyć, też byłby usprawiedliwiony. Oraz irytacja tym, że sprawy niezauważenie zaszły tak daleko...

Ale gniew? Czy skierowany na niego, tego jeszcze nie wiedział.

Cofnął się minimalnie.

- Wszystko w porządku?

Przytaknęła gestem, a gdy zorientowała się, że Raf nic nie widzi, przysunęła czoło do jego szyi i raz jeszcze kiwnęła głową. Uśmiechnął się w odpowiedzi, co natychmiast wyczuła. Na policzku miał delikatną bliznę, o której pół miasta rozповідаło, że jest związana z RenSchmiss. A drugą na ramieniu, paskudniejszą, której nikt o zdrowych zmysłach nie wzięłby za ślad po tradycyjnym pojedynku.

- Seattle? - spytała, głaszcząc chropawą skórę. O zamachu bombowym na konsulat w Seattle też nie chciał z nią rozmawiać.

- Mały lis mnie tu uzał, kiedy byłem dzieckiem - odrzekł lekkim tonem. Dotknął jej twarzy i przez chwilę nie ruszał rękami. Potem je zsunął i objął pełne piersi z sutkami, które stwardniały pod jego dotykiem. Oboje zadrżeli, ale on najpierw.

- Podobają ci się? - zapytała cicho, z nutką ironii.

Gdy w odpowiedzi Raf ujął ją z tyłu za głowę, umilkła z westchnieniem i rozchyliła szerzej usta.

- Pewnie, że mi się podobają. - Prawą dłonią odnalazł punkt między jej trzecim i czwartym kręgiem i ucisnął go lekko, co spowodowało, że uniosła podbródek i odsłoniła szyję. Poczuł wargami jej tętno, głośnie jak dźwięk tuby basowej.

W pustej przestrzeni, gdzie powinien przebywać lis, zrodziło się przekonanie, że to tylko świadectwo wzajemnego zrozumienia, dojrzały ekwiwalent intymnego zestrojenia się niemowlaka z matką, aktywny stan układu przywspółczulnego. Brak lisa sprawiał, że nikt nie ironizował z tego prostego wyobrażenia. Sycił się mrokiem i drobnymi punkcikami światła, widocznymi w szparze nie dociągniętych zasłon. Napawał się głosami mew,

Efendi

dosiadających słonych wiatrów nad miastem, po raz pierwszy od wielu wieków pogrążonym w prawdziwie egipskich ciemnościach.

- Rozsuń zasłony i otwórz okiennice - zażądała nagle Zaira.  
- Będzie jaśniej przy gwiazdach.  
- Z tym już sobie jakoś poradzę - stwierdziła tonem gorzko-słodkim jak czarna czekolada. - Mam nadzieję...

Kiedy wreszcie odemknął podwójne okiennice, które strzegły pięciu okien zajmujących całą wysokość ściany, Zara była już w pościeli, bezpiecznie owinięta lnianym prześcieradłem.

Zaraz na wstępie, po wejściu do łóżka, Raf usłyszał:

- Nie będę się z tobą kochała...

\*\*★

- No więc ile miałaś lat, kiedy to się stało?  
- Siedem, najwyżej osiem... W tym wieku nie bardzo wiadomo, co jest grane. Może to i lepiej. - Zara chyba nie do końca w to wierzyła, jakby sama siebie próbowała przekonać.

Bąknął coś wymijająco.

- Potem wyrzuciłam to z pamięci - mówiła dalej. - Myślałam, że to normalne.  
- Co się zmieniło?

Otulona kołdrą po samą brodę, otoczona ramieniem przez Rafa, leżała na boku, gdy w półmroku październikowy wiatr grzechotał okiennicami. Mówiła głosem jednostajnym i tak cichym, że przypuszczalnie kto inny na miejscu Rafa nie zrozumiałby co drugiego słowa. Czasem następowały chwile ciszy. Jeśli cisza się przedłużała, Raf zadawał kolejne pytanie. Zara zwracała mu się godzinami i ani razu nie podniosła głosu, nie ujawniła drzemających w niej uczuć. Z drugiej strony, brak emocji był najlepszą odpowiedzią na wiele pytań.

Wyglądało na to, że zapomniała o jego istnieniu. Nie wiedział już, kim jest w jej odczuciu. Może był już jej częścią...

- Co się zmieniło? - powtórzył.
- Zmieniłam szkołę. Matka się sprzeciwiała, ale byłam uparta. W końcu tata zgodził się wysłać mnie do American High School. Zrobili mi badania.
- Badał cię mężczyzna?

2

Jon Courtenay Grimwood

- Oczywiście, że nie! Pielęgniarka była Francuzką, starszą ode mnie może o sześć lat. Wzięła krew, poprosiła o próbkę moczu. Odcięła kosmyk włosów i pobrała wyrząd z ust... Chodziło o profil DNA i skłonność do narkotyków - wyjaśniła, jakby Raf sam się nie domyślał. - Osluchiwała serce i płuca, zmierzyła ciśnienie krwi i zrobiła mi tomografię ręcznym aparatem. Potem zapytała o cykl miesięczkowy. Nie wiedziałam, o co pyta, więc mi wyjaśniła, wtedy powiedziałam, że cykl jeszcze się nie zaczął. Kazała mi znowu położyć się na kozetce. - Westchnęła.
  - Wątpię, czy widziała wcześniej obrzezaną kobietę. Wróciła w towarzystwie naszej higienistki, siostry Angeliki. Higienistka miała ze trzydzieści pięć lat, choć wyglądała na starszą.
  - Słuchając Zary, mogłoby się wydawać, że opisuje zdarzenia sprzed półwiecza, choć miały miejsce przed pięciu laty. - Po raz pierwszy usłyszałam, jak kobieta przeklina. Ponieważ prawo nie zabraniało obrzezywania kobiet, siostra Angelica myślała, że nikt tego nie robi.
  - I co było dalej?
- Nie odpowiadała. Jej milczenie przeciągało się i Raf już podejrzewał, że usnęła. Mylił się jednak. Usiłowała przypomnieć sobie szczegóły, których zazwyczaj nie przywoływała na pamięć.
- Przecięły szwy - powiedziała beznamiętnie. - Zrobiła to osobiście siostra Angelica. Było w sumie pięć osobnych szwów, słabo widocznych i precyzyjnie założonych. Spinały brzegi mojej... - Urwała i po kilku minutach podjęła swą opowieść, jakby nigdy nie przerywała: - Siostra Angelica oczyściła miejsce, gdzie powinny być mniejsze wargi sromowe i usunęła plastikowy krążek, przez którego otwór mogłam się wysikać. Bo widzisz, okaleczono mnie tak w szpitalu. W porządnym szpitalu z dobrymi lekarzami, pod okiem anestezjologa. Nie było innego wyjścia. Bo gdyby gdzieś na zapleczu jakaś znachorka robiła to za pół darmo kawałkiem szkła, pewnie bym się szamotała i ciężko by jej było wyciąć tyle, ile żądała moja matka. Wiesz, co potem zrobiła siostra Angelica? Kupiła mi niemieckiego pornosa.
  - Jak to?
  - Wiedziałam, że jest po niemiecku, bo rok wcześniej zaczęłam się uczyć tego języka. Na każdej rozkładówce były grupy nagich kobiet. Pamiętam, że siostra dała mi dużą filiżan-

Efendi\_2

kę kawy i zostawiła mnie sam na sam z gazetą i lusterkiem. Kiedy wróciła, wiedziałam już, czym się różnię. Siostra Angelica trochę źle trafiła z tym pornosem. Dopiero później, kiedy brałam prysznic z inną dziewczyną, zauważyłam, że niektóre mają jeszcze to... - Przesunęła dłoń po udzie Rafa i zatrzymała się na samym skraju włosów łonowych. - Ja ich nie mam. Tak samo jak nie mam małych warg sromowych i żołądka łechtaczki. Ale w sumie, to miałam szczęście. - Ciągnęła chłodno. - Zamiast popularnej sunny mogli mi zrobić pełne faraonskie obrzezanie. Wiesz, na czym ono polega?

Raf wiedział, lecz pokręcił głową przecząco.

- Na czym?

- Pierwszą rzeczą, którą musiałbyś zrobić podczas nocy poślubnej, to rozciąć zabliźnione wejście. Ale nawet gdyby matka miała do dyspozycji całą kasę ojca, szpital w al-Kahirze nie posunąłby się tak daleko. No więc sam rozumiesz...

Owszem, rozumiał. Jak prawie wszystko w życiu, szczęście zależało od punktu widzenia.

2

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 44

26 pAżt>ricrv»iUA

Hani śniła o ogrodach. I nic dziwnego, wszak ogrody odgrywały szczególną rolę w jej opowiadaniach i pojawiały się w prawie każdej ulubionej grze komputerowej. W rzeczy samej, akcja „Rashida III” rozgrywała się w labiryncie otoczonych murami ogrodów, gdzie spotykało się fontanny, dżiny, hurysy i maleńkie gazy. Niestety, komputer nie chodził. A zresztą, już kilka miesięcy temu przeszła wszystkie poziomy. Wszystkie poziomy, wszystkie możliwe postacie, wszystkie stopnie trudności. Gra nie należała do trudnych. Ani drogich. Prawdopodobnie dlatego zgodziła się na nią ciotka Nafisa.

Obudziła się, gdy wzywano na poranną modlitwę. Wylegając się pod kołdrą (czego nie powinna robić), rozmyślała o ogrodach. Później pomyślała o Bogu. Jeszcze później o ogrodach i Bogu. Na koniec wstała, owinęła się szlafrokiem i udała na poszukiwania Rafa.

- Dżannah znaczy ogród lub raj - mruknęła pod nosem, otwierając drzwi. - Paradiso to również raj. A zatem paradiso to džannah. SS „Jannah”. Kolejna zbieżność na liście.

Mówiła do siebie, ponieważ nie było Ifrity. Raf powiedział, że oprócz niego i Hani do rezydencji może się przenieść wyłącznie Chartum; szary kot miał zostać z Donną w medresie. Głównie dlatego, że był to dziki kot, który nie wiedział, że powinien załatwiać swoje potrzeby na dworze.

Hani zamierzała poszukać w Internecie informacji na temat wychowania prawie dorosłego kota, ale i tego nie mogła teraz zrobić. Tak więc na razie Ifrita musiała zostać w medresie.

Mężczyzna stojący na warcie przy drzwiach Rafa nazywał się Ahmed. Hani prosiła go wcześniej, żeby się przedstawił. Miał

Efendi

277

olbrzymie bary i czarną skórę. Czasem zezował na nią i wrzasał ramionami do kolegów, gdy myślał, że dziewczynka nie widzi.

Ahmed nic nie powiedział, kiedy Hani zaświeciła mu w twarz latarką. Uniósł brwi i nacisnął klamkę. Co oznaczały jego uniesione brwi, zrozumiała dopiero na widok wzgórze w pościeli obok wujka Aszrafa. Ktoś tam spał, szczelnie owinięty prześcieradłem: Zara, sądząc po widocznym fragmencie włosów.

Hani mocno się starała otrząsnąć z szoku, po chwili jednak, skoro szok nie mijał, wróciła do swojego pokoju. Ahmed za drzwiami i tym razem się nie odezwał. Zamiast pójść do łóżka, ubrała się, napisała wiadomość dla Zary, którą zostawiła u Ah-meda, i zeszła do kuchni, aby odnaleźć Chartuma.

Kiedy Aszraf przebywał w pracy na posterunku, a milcząca Zara spacerowała jak duch po ogrodach francuskich; patrząc na rzeźby niewidzącym wzrokiem, Hani resztę dnia spędzała nad kuchennym stołem w towarzystwie notatnika, słownika arabsko-włoskiego i trzech tomów dzieła Dantego. Po pewnym czasie doszła do wniosku, że łatwiej będzie jej po prostu skupić się na obrazkach.

Egzemplarz „Boskiej komedii” pochodził z gabinetu Generała, tak samo jak notatnik, wieczne pióro... oraz lista wszystkich sprawnych komputerów w mieście, połączonych z siecią za pomocą modemu czy złącza FireWire. Wykonany odręcznie spis był deprymująco krótki, a oryginał sporządzony na wyłączny użytek Aszrafa beja. Dlatego Hani wolą schować kopię do kieszeni.

Kiedy wtorkowe popołudnie zaczynało się chylić ku końcowi, Aszraf wrócił z pracy razem ze swoimi nieodłącznymi towarzyszami... aczkolwiek Ahmed i Hakim nie podążyli za nim, gdy poszedł do ogrodu porozmawiać z Zarą. Cokolwiek jej powiedział, tej nocy spali już w osobnych pokojach.

278

Jon Courtenay Grim wood

Rozdział 45

27 pArbzcruika

Astolphe, markiz de St Cloud, dobrze się bawił. Tak się jednak nieszczęśliwie składało, że głównie kosztem Rafa, mimo że prawdziwym adresem jego kąśliwych uwag była Elizabeth Elsing, jak uparcie nazywał panią senator Liz.

Po wczorajszej decyzji wielkiej ławy przysięgłych, która orzekła, że Hamza powinien odpowiedzieć na zarzuty, sena-torka stawiała na głowie, żeby oskarżony został natychmiast doprowadzony przed sąd, do lunchu uznany winnym, a do podwieczorku stracony.

Łatwo powiedzieć: w rzeczywistości Hamza efendi musiał być najpierw formalnie postawiony w stan oskarżenia. Sprawa się odwlekała, ponieważ do samego południa Amerykanka nie chciała się zgodzić, żeby St Cloud przewodniczył obradom sądu. Wystraszyła się dopiero zamachów bombowych w mieście.

- Wprowadzić więźnia.
- Wprowadzić więźnia!

Sala sądowa była mała, lecz woźni zawsze mieli w zwyczaju krzyczeć. Raf słyszał, jak jego polecenie,

niczym echo, oddała się korytarzem, w odpowiedzi na co po chwili rozległ się tupot nóg. Pierwszy tego dnia spór, poprzedzający kompetencyjne przepychanki St Clouda i pani senator Liz, dotyczył właśnie wyboru miejsca rozprawy.

O dziwo, ciasnotę sali najzacieklej piętnował młody niemiecki graf, dowodząc, że jej rozmiary nie licują z powagą sprawy. Swoją drugą skargą - na to, że postawienie zarzutów Hamzie Quitrimali zostało utajnione przed prasą - skłonił St Clouda do śmiechu. Wszak to Berlin był znany z mętnych postępowań sądowych.

Efendi

2

Siedziba iskandaryjskiego sądu mieściła się przy Place Orabi, prawie dokładnie naprzeciwko Grobu Nieznanego Żołnierza, w budynkach dawnego włoskiego konsulatu. Znajdująca się na parterze główna sala rozpraw była trzykrotnie większa od sali wybranej przez Rafa i wyposażona w połączane krzesła dla pięciu sędziów, przypominające trony. Za krzesłem przewodniczącego składu sędziowskiego wisiał herb chedywa, a nad nim wyrzeźbiona z libańskiego cedru i połączana tugra, artystyczny monogram władcy Imperium Osmańskiego.

Raf zgadzał się, że duża sala prezentuje się bez porównania okazalej, ale też można było się do niej zbliżyć od strony Place Orabi i Rue el Tigarya. Innymi słowy, stanowiła łatwy cel ataku i niewygodny punkt obrony.

„Obrony przed kim?” - zapytał graf.

„Pan wie najlepiej” - odpowiedział Raf, a potem kazał grafowi, pani senator Liz, St Cloudowi, jak również woźnym, stenografowi i Żarze wspinać się po marmurowych schodach na trzecie piętro do niedużej sali, gdzie zwykle rozstrzygały się właśnie rodzinne.

Na górze, przed wejściem na salę, Raf zatrzymał się i szarpnięciem otworzył stalowe drzwi pożarowe. Za nimi na metalowych schodkach stał Hakim w hełmie, trzymający w rękach staroświeckiego lee enfielda. Obok niego Ahmed opierał w zgięciu łokcia rosyjski karabin maszynowy. Karabin wykonany z blachy stalowej przy użyciu krajarek i tokarek miał tę zaletę, że było w nim tylko pięć ruchomych części i żadnej elektroniki.

„W razie hecy tędy uciekamy - oznajmił Raf. - Nie oglądajcie się za siebie i nie zatrzymujcie, żeby komuś pomóc. Po prostu uciekajcie...”

Akurat kiedy się odwracał, kolejna detonacja przerwała nerwową ciszę w mieście. Płomienie buchały w opuszczonej zajezdni kolejowej w dzielnicy Karmus.

„Dobra synchronizacja - odezwał się St Cloud nad jego uchem. Na ogorzałym obliczu starszego mężczyzny pojawił się uśmiech, kiedy zobaczył kłęby dymu. - Aż za dobra”.

Od tej pory markiz uważnie śledził poczynania Rafa. Jowialny uśmiech to się rozjaśniał, to przygasał, lecz nigdy nie schodził z jego twarzy.

Teraz patrzył na oskarżonego, który stanął w ławie.



280 Jon Courtenay Grimwood

- Nazwisko?

Hamza Quitrimala nie odpowiedział.

- Sąd pyta pana o nazwisko.

Oczy bez wyrazu, usta nieruchome. Tęgi multimilioner wyglądał tak, jakby pytanie St Clouda nie zdołało się przebić przez natłok jego myśli.

- Czy lekarz zbadał jego poczytalność? - zapytał markiz Rafa.

- Owszem, lekarz go obejrzał... i

- Nie o to pytałem - indagował Francuz łagodnym tonem. - Czy przeszedł wymagane badania?

- Oczywiście, że nie. Nie jesteśmy w stanie uruchomić aparatury medycznej.

- Kolejny argument za tym, żeby przenieść proces do Waszyngtonu - odezwała się pani senator.

St Cloud z uśmiechem oparł się na krzesło. Nakręcanie i puszczenie w ruch Elizabeth Elsing było równie emocjonujące co napinanie sprężyny w starym, zabawkowym zegarku. I o wiele zabawniejsze.

- Ta kwestia została już omówiona i rozstrzygnięta - oświadczył chłodno Raf. - Proces odbędzie się tutaj.

- Pan ją rozstrzygnął - wtrącił St Cloud.

- Owszem, ja.

- Jako gubernator miasta?

Raf kiwnął głową.

- Zgodnie z uprawnieniami, tak?

Raf dał mu taką samą odpowiedź.

-To proszę mi powiedzieć - zapytał grzecznie Francuz-jako kto wypowiada się pan o poczytalności oskarżonego.

-Jako magister.

Podstarzały Francuz pokiwał głową i skierował spojrzenie na ławę oskarżonych.

- Chcemy wiedzieć, jak się pan nazywa - rzekł. - Chcemy wiedzieć, czy będzie pan rozumiał, o co pytamy.

Hamza otworzył usta, lecz nie zaszczylił sądu ani jednym słowem. Po chwili wzrok mu się zamglił.

St Cloud wzruszył ramionami.

- Czy jest na sali osoba, która może mówić zamiast oskarżonego?

Efendi

2

- Tak - dobiegł głos z tyłu. - Ja mogę.

Głowy się odwróciły, lecz Raf nie musiał się rozglądać. Tym razem to on się uśmiechał.

- Miałem na myśli mężczyzn - zaproponował łagodnie Francuz.

- To śmieszne! - Zara opuściła ławkę i stanęła obok ojca.

- Proszę mi pozwolić odpowiadać za niego. Bóg widzi, że on sam nie może.

- Słowo kobiety ma trzy razy mniejsze znaczenie od słowa mężczyzny, czy nie tak stanowi prawo w al-Iskandarijji? Wydaje mi się - dodał spokojnie Francuz - skoro już przy tym jesteśmy, że takie jest prawo w całej Afryce Północnej.

- Ten sąd przestrzega tych samych zasad co Trybunał Haski

- przypomniał dobitnie Raf. - O czym doskonale pan wie.

St Cloud skinął głową.

- A zatem zezwala pan dziewczynie występować w zastępstwie ojca?

- Tak - odparł Raf, nie patrząc na Zarę. - Zezwalam.

- Proszę mi powiedzieć - zapytał Francuz z jadowitym

uśmiechem - jako kto powziął pan tę decyzję?

\*\*\*

- Ponieważ wielka ława przysięgłych jednogłośnie zdecydowała, że istnieją dostateczne przesłanki, aby wnieść sprawę pod obrady sądu, moim obowiązkiem jako przewodniczącego składu sędziowskiego jest powiadomić pana o ciężących na nim zarzutach. - St Cloud sięgnął po szklankę i bardzo wolno się napił. Szklanka była poplamiona, a woda tchnęła stęchlizną. Niewykluczone, że dzbanek napełniono z pompy naprędce zamontowanej na placu przed budynkiem.

Ciekawe, jak bardzo uzależnieni są mieszkańcy miasta od elektryczności i nawet sobie tego nie uświadamiają. Przynajmniej markiza ta rzecz ciekawiła, choć trzeba przyznać, że jego ciekawość była nienasycona, co w czasie długiego, częstokroć męczącego życia nieraz działało jak balsam.

W tej chwili najbardziej interesowało go to, czemu irytująca Amerykanka i młodzieniaszek z Niemiec tak uparcie twierdzą, że Hamza efendi udaje chorego, choć ślepy by poznał, że oskarżony jest złamany rozpaczą. Nie poczuciem winy, ale właśnie

22

Jon Courtenay Grimwood

rozpaczą. Markiz borykał się w życiu z jednym i drugim, znał więc różnicę.

I jeszcze jedna ciekawostka: czynna córka, stojąca przy oskarżonym, częściej patrzyła na Aszrafa beja niż na ojca czy sędziów. Berberyjski księciu nie ze swej strony unikał jak ognia jej wzroku. Dotychczas ani razu nie spotkały się ich spojrzenia.

- Zarzucane oskarżonemu czyny - ogłosił St Cloud po nieśpiesznym odstawieniu szklanki - to morderstwo pierwszego stopnia, morderstwo drugiego stopnia oraz umyślne zabójstwo. Oskarżenie przedstawi dowody na poparcie każdego z tych zarzutów. W następnej kolejności sąd rozpatrzy możliwość postawienia oskarżonemu zarzutu z paragrafu 3 o zbrodni przeciwko ludzkości. Na podstawie Konwencji Haskiej przysługuje oskarżonemu konstytucyjne prawo do korzystania z pomocy prawnej. Rozumiem jednak, że nie została wybrana żadna kancelaria adwokacka. - Francuz z namaszczeniem zajrzał w dokumenty, jeśli bazgrały na tanim liniowanym papierze zasługiwały na to miano. - Czy oskarżony życzy sobie, bym wyznaczył adwokata?

St Cloud ponownie przytknął do ust szklankę. Nauczył się tej sztuczki jako młody prawnik, podpatrując w Marsylii pewną starszą sędzinę. Co kilka minut przerywała, żeby napić się zimnej wody Evian. Powiadano, że w szklance jest wódka, lecz w rzeczywistości nie było w niej nic prócz wody. Popijała dlatego, żeby w chwilach naturalnej ciszy jej słowa zapadały głęboko w pamięć słuchających. W świetle niezbitych dowodów, nie wytrzymując krępującego milczenia, oskarżeni w połowie rozprawy zmieniali zeznania, nie konsultując się z adwokatami ku przerażeniu tych ostatnich. Markiz przyglądał się sędzinie wiele miesięcy, zanim nauczył się biegle posługiwać tą metodą.

Oczywiście, nie zawsze się sprawdzała.

- A więc dobrze - rzekł z westchnieniem. - Niniejszym sądem nakazuje władzom miasta wyznaczyć obrońcę z urzędu.

- Nie. - Było to pierwsze słowo wypowiedziane przez Hamzę, odkąd wprowadzono go na salę. I pierwsze od dwóch dni. - Nie chcę pełnomocnika, nie chcę obrońcy z urzędu.

St Cloud wzruszył ramionami.

- Skoro taka jest pańska wola... Wystąpi pan o zwolnienie za kaucją?

Efendi

Przypatrywał się milczącemu mężczyźnie, aż w końcu odezwała się ostro Zara:

- Tak! Wystąpimy... To znaczy, ja wystąpię. Proszę, żeby mojego ojca zwolniono za kaucją.

- To absolutnie wykluczone! - sprzeciwiła się pani senator Liz, nie czekając na zdanie przewodniczącego sądu.

Graf, siedzący po drugiej stronie markiza, gwałtownie pokiwał głową na znak zgody.

- Zwykle nie stosuje się zwolnienia za kaucją w tego rodzaju sprawach - stwierdził spokojnie St Cloud. - Jednakże oskarżonego można zwolnić, jeśli zostanie wyznaczona odpowiednio wysoka kaucja, a pani przyrzeknie nie pomagać ojcu w opuszczeniu miasta.

Jeśli pani przyrzeknie...

Markiz uśmiechnął się, widząc oburzenie na twarzach woźnych i stenografa. Nawet Hamza przez chwilę zdawał się wstrząśnięty.

- Przrzekam - powiedziała Zara. - To ile chcecie?

- Ja nie chcę nic, jeśli o mnie chodzi - rzekł markiz.

Dziewczyna zarumieniła się, niemniej z uniesionym czołem patrzyła twardo na przewodniczącego.

- Wysokość kaucji ustali sąd - ciągnął Francuz - choć sugerowałbym sumę nie mniejszą niż...

- Nie będzie kaucji! - wtrącił się Raf, siedzący w ławie na prawo od stołu sędziowskiego. Wstał wolno i podszedł do miejsca między sędziami a ławą oskarżonych. Czuł się tam bardzo osamotniony. Odwróciwszy się do Zary, rozłożył ręce w geście bezsilności. - Nie mogę pozwolić na zwolnienie - rzekł beznamiętnie. - Tę decyzję podejmuję jako gubernator miasta. - Skierował spojrzenie na St Clouda. - Wszyscy doskonale wiedzą, że jeśli zostanie pozytywnie rozpatrzony wniosek o zwolnienie, nie będę mógł odpowiadać za jego bezpieczeństwo...

- W takim razie, oddalam wniosek o zwolnienie oskarżonego. Pozostaje już tylko ustalić datę rozprawy. Bo wygląda na to, że rozprawa odbędzie się jednak w al-Iskandarijji. - Uraczył se-natorkę słodkim uśmiechem. - Ponieważ oskarżony zrezygnował z pomocy adwokata, proponuję rozpocząć jutro rano...

- Przełożmy na sobotę - zaproponował Raf. - Trzeba będzie otworzyć przestrzeń powietrzną, aby do miasta przyleciał

2

Jon Courtenay Grimwood

Jean René, autor zdjęć, z którymi zapoznała się wielka ława przysięgłych.

- A zatem sobota.

- Nie. - Tym razem oponowała Zara. - Ojciec musi mieć czas, żeby odszukać świadka. '

- W sprawie o morderstwo? - St Clouds przebiegł wzrokiem swoje odręczne notatki. Nie było w nich ani słowa o świadku.

- Będzie tylko jeden - dodała Zara. - Właśnie ustalamy jego plan podróży.

- Macie więc czas do poniedziałku - zdecydował stanowczo St Cloud. - W ten dzień rozpocznie się proces niezależnie od tego, czy sprowadzicie świadka, czy też nie. - Spojrzał na Rafa i zmarszczył czoło. - Tę decyzję podejmuje jako przewodniczący składu orzekającego.

Efendi

Rozfzctel 46

27 pAżbziertiiUA

- Hani al-Mansur, słucham? - odpowiedziała do telefonu bardzo grzecznym głosem, zaledwie rozbrzmiał dzwonek. - Mogę wiedzieć, kto mówi?

Jej nokia była jednym z dwunastu takich aparatów w al-Iskan-darijji, których używano za specjalnym pozwoleniem gubernatora. To właśnie on do niej dzwonił. Musiała o to zapytać, bo miała do dyspozycji głupi analogowy telefon, bez podglądu rozmówcy.

Z jakiegoś powodu Aszraf upierał się, że muszą być analogowe.

Rozmowa trwała krótko.

- Tak, Ifrita ma się dobrze - powiedziała Hani. - Jest tu ze mną i cieszę się, że ją zobaczyłam. - Wysłuchiła następnego pytania wujka i cmoknęła językiem, choć bez szczególnej złości. - Tak, zjadłam kolację i zaraz pójdę spać. Nie, nie musisz odbierać mnie rano. Donna wybiera się na bazar, więc pójdziemy razem. - Po drugim pytaniu jęknęła teatralnie. - Wiem, wiem... Czepiasz się, bo taki masz zawód. - Odpowiedziała „dobranoc” na „dobranoc” Aszrafa i wróciła do klawiatury jedyne go sprawnego komputera w bibliotece, który miał połączenie z siecią.

- Jestem - oświadczyła po cichu.

- Najwyższa pora - rzekł Avatar.

Zawdzięczał życie Rafowi. Nie musiała mu tego przypominać, lecz i tak to zrobiła. Potem przeprosiła. 1 zaraz oświadczyła, że niepotrzebnie przeprosza, skoro mówi prawdę. Na dokładkę zadała parę bzdurnych pytań o Zarę i jej plany małżeńskie. Avatar podejrzewał, że dzieciak ma jakieś problemy z sobą.

Reszty nie rozumiał, a Hani miała już dość tłumaczenia. Kapnął się, o co jej chodzi z tym przefaksowanym pająkiem, ale

2\_Jon Courtenay Grimwood

wszystko mu się pomieszało, kiedy połączyła pająka z aniołem i okaleczonym mężczyzną oraz wyskoczyła ze stwierdzeniem, że w piekle jest zimno, czyściec jest zalany wodą, a niebo powinien znać dobrze, bo to SS „Jannah”.

Avatar nie wyśmiał jej na miejscu, bo przysięgała, że powiedział jej o tym Generał. Teraz więc, za usilną namową Hani, szukał dziewiątego kręgu piekieł, zwanego chyba Kokytos.

Ma się rozumieć, próżno szukałby tego miejsca na mapach, rozwieszonych dosłownie wszędzie w korytarzach i na schodach statku.

Plecak na ramieniu Avatara był ciężki i podejrzanie wypchany. Co gorsza, pobrzękiwał w zetknięciu ze ścianą, czyli dość często. Ale wszystko ma swoje plusy i minusy. Do środka spakował sznur, gaz pieprzowy w sprayu i puszki coli.

- Strażnik. - Sączący się z minisłuchawki głos Hani był rzeczowy, nieśpieszny.

- Wiem, widziałem go. - Schował się z powrotem we wnęce, aby nie rzucać się w oczy strażnikowi... i nie wchodzić na linię strzału.

Było dwóch mężczyzn: jeden w garniturze, drugi w spodniach dzwonach, białej bluzce i czarnym krawacie marynarskim, starannie ułożonym pod muskularną szyją. Avatar wiedział, że to strażnik, a nie członek załogi; zdradzała go splota.

Na pokład minus cztery nie mieli wstępu cywile, czyli pasażerowie w marynarskim żargonie. Oficjalnie tłumaczono to tym, że znajdowały się tutaj sejfy banku Hong Kong-Suisse, który obsługiwał finanse liniowca. „Witamy na pokładzie”, film reklamowy o SS „Jannah”, opisywał skarbiec jako pomieszczenie wyposażone w drzwi z zamkiem czasowym i czytnikiem źrenicy, mające odpowiednio grube ściany ze stali pancernej. Hani jednak była zdania, że to najzwyczajniejszy bunkier z przeciętnym do bólu zamkiem.

Ale w sumie, czemu tu się dziwić? Z wyjątkiem żetonów do gry w kasynie wszystko zawierało się w niewyobrażalnie wyśrubowanej cenie biletu, a jedyne naprawdę cenne rzeczy pasażerów, czyli dokumenty i biżuterię, chowano w bezpiecznych sejfach, w które była wyposażona każda kajuta. Antywłamaniowy skarbiec stanowił ukłon w stronę tradycji, miał dodawać szyku.

Efendi

287

- Droga wolna.
- Dobra.

Avatar wyszedł z kryjówki i rozejrzał się w korytarzu. Mierzyły w niego przynajmniej trzy kamery przemysłowe, lecz nie przejmował się nimi; każdy zakątek statku był monitorowany. Nie nachalnie, rzecz jasna. Przynajmniej na pokładach pasażerskich. Żaden automatyczny obiektyw nie obracał się w ślad za człowiekiem przechodzącym z pokoju do pokoju. Większość kamer na pokładach pasażerskich wykorzystywała mikroso-czewki wbudowane w ściany i połączone z jakimś ustrojstwem, na którym pracowało oprogramowanie do analizy wizualnej.

Avatar nie miał pojęcia, jak Hani wpięła się do systemu. Bredziła coś o wymianie potwierdzeń. Połączenie było bezpieczne, choć głos docierał z minimalnym opóźnieniem - powstałym nie na skutek odległości między al-Iskandariją i statkiem SS „Jannah”, ale szybkością przepływu informacji przez satelitę komunikacyjnego, zawieszono gdzieś nad Sao Tomé.

- Ile czasu zostało?
- Jakieś pół godziny - odpowiedziała.
- A druga bateria?
- Padnięta.

Dziewczynka mówiła chłodnym tonem i Avatar mógł tylko zgadywać, czy naprawdę nic jej nie rusza, czy po prostu nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji.

Dzwoniąc do niego, na samym wstępie zapytała, czy potrzebuje połączenia głosowego z Zarą, żeby się upewnić co do prawdziwości jej słów. Całą sekundę się zastanawiał, nim odrzucił ten pomysł. Wierzył, że jego stary naprawdę jest w tarapatkach.

- Na końcu korytarza powinny być drzwi.
- Są zamknięte - odparł.
- Skąd wiesz?
- Tak mi się wydaje.
- Sprawdź.

Avatar westchnął i boczkiem, z plecami przy ścianie, podleciał do ciężkich drzwi. W ręku - lufą do góry, jak komandos - trzymał rewolwer zabrany z kajuty chedywa.

Starał się działać bez zbędnego pośpiechu, lecz bolały go oczy i czuł próżnię w brzuchu. A że często zdarzało mu się

#### 288\_Jon Courtenay Grimwood

przetrzymać tydzień na dwóch kebabach i trzech działkach amfy, uczucie próżni musiało być spowodowane nie głodem, ale strachem. Niemiłe wrażenie,

Drzwi okazały się zamknięte, mało tego, ktoś je zaspawał. Zimne krople spoiwa osiadły jak łyż przy futrynie.

- Wracają! - Ostrzeżenie Hani wyprzedziło o kilka sekund odgłos kroków w korytarzu. - Schowaj się, szybko...

Pokręcił głową i zaraz uzmysłowił sobie, że dziewczynka nie zobaczy na monitorze jego gestu. Zapewne śledziła strażników.

- Dokąd idą?
- W stronę wind - odparła z przejęciem.
- To dobrze. - Avatar mruknął do siebie, lecz dziewczynka usłyszała jego słowa za sprawą wbudowanego w ścianę mikrofonu lub czegoś równie okropnego; jego kontakty z urządzeniami elektronicznymi ograniczały się do stołów mikserskich, zwłaszcza tych prostych i niekonfliktowych.
- Avatar...
- W porządku, widzę ich.

Mężczyźni żartowali rubasznie, nabijali się z jakiegoś wirtualnego aktora z pokładu trzeciego. Nie śmiali się złośliwie, po prostu z szyderstwem - tym osobliwym orężem, jakim ludzie z nizin społecznych kłują bogaczy. Choć pojęcie nizin bywało zwodnicze. Marynarze zatrudnieni na pokładzie SS „Jannah” zarabiali miesięcznie więcej, niż on mógł uciąć w rok.

Odciągając kurek pożyczonego taurusa, przykrył broń palcami, żeby stłumić szcęknięcie. Potem przylgnął do ściany korytarza, zasłonięty grubą rurą przed wzrokiem nadchodzących.

Jak należało się spodziewać, minęli go pogrążeni w rozmowie.

Z największą ostrożnością przyłożył rewolwer do skroni strażnika i patrzył, jak na jego twarzy irytacja ustępuje trwodze, gdy dłońią zamiast strzepnąć to, co mu siadło na włosach, napotkał zimne tworzywo ceramiczne.

- Jedno słowo - warknął Avatar - a pożegnasz się z głową. - Groźba przyniosła oczekiwany skutek, co wbiło go w dumę. Wyobrażał sobie, że dokładnie takim samym tekstem posłużyłby się Raf.

Efendi

28

-Ty... - Facet w garniturze, który nie miał spluwy przystawionej do głowy, obrócił się błyskawicznie, by znaleźć się twarzą w twarz z gapowiczem w dredach i koszulce z napisem Niech Bóg doda ci skrzydeł, Czarny Cesarzu. To go jeszcze bardziej wkurzyło. - Nigdzie się nie...

- Spokojnie, idziemy! - Avatar zapędził ich pod windę. Gdy już byli w środku, zapytał: - Jak się dostanę na niższe poziomy?

W takim miejscu jak to windy nie dziękowały za podróż i nie życzyły miłego dnia, były ślepe i nieme, sterowane za pomocą guzików. Ten położony na samym dole miał kierować urządzenie na pokład minus cztery.

- Pod nami nic nie ma - powiedział facet w garniturze przez zaciśnięte zęby. - Winda niżej nie zjedzie. Lepiej powiedz, jak wlażesz na pokład. - Ogarnął wzrokiem czarne bojówki chłopca, koszulkę i czarne pasemka z błyszczącego materiału wplecione w dredy. Sportowe obuwie dopeśniało stroju.

Na statku nie było kajut drugiej i trzeciej klasy. Nawiasem mówiąc, pierwsza klasa też nie wchodziła w grę. Najniżej plasowała się klasa biznesowa, a dalej komfort już tylko wzrastał, najwyższy w zajmujących cały siódmy pokład Apartamentach Sułtańskich, gdzie obecnie rezydował Muhammad Taufik pasza, chedyw al-Iskandarijji (a w zasadzie tego, co po niej zostało). Na pokładzie mogło się znajdować naraz co najwyżej dwustu pasażerów. Statek szczylił się tym, że na jednego gościa przypadało trzech pracowników obsługi hotelowej. A przecież należałoby jeszcze policzyć ludzi odpowiedzialnych za urządzenia i porządek na statku.

- Jak się dostać na dolny pokład? - zapytał gniewnie Avatar.

Członkowie załogi spojrzeli po sobie, a ten w garniturze wznosił oczy ku niebu.

- Posłuchaj, chłopcze - rzekł - nie ma...

Avatar przestrzelił mu nogę nad kolanem. Kiedy kula po przebiciu mięśnia czterogłowego rozpląszczała się na stalowej ścianie windy, ranny człowiek wciągał w płuca olbrzymi haust powietrza.

- Nawet nie próbuj krzyczeć - poradził mu Avatar. - Teraz zapytam raz jeszcze: jak się dostać...?

290\_Jon Courtenay Grimwood

- Dobrze, już dobrze... - Strażnik wyciągnął rękę, jakby chciał się zasłonić przed kulami z rewolweru, który znowu w niego mierzył. - O ile mi wiadomo, to jest właśnie najniższy pokład na statku. Na dole są już tylko turbiny, balast, zbiorniki wypornościowe.

- A kontrola silników?



- Mamy szczelnie zamkniętą, zautomatyzowaną jednostkę napędową, prawda? - Szukał potwierdzenia u leżącego mężczyzny. - Nikt tam się nie dostanie.
- Muszą być jakieś grodzie.
- Tak i nie - odparł nerwowo strażnik. - Zostały zaspawane.
- Szkoda. - Avatar popatrzył na czerwoną kałużę, rozlewającą się po szarej podłodze, i wycelował rewolwer w drugą nogę rannego mężczyzny.
- To święta prawda, przysięgam! - Facet kiwał głową niczym szalona marionetka, jakby swoim szaleństwem chciał przekonać chłopca. - Nie można zejść niżej.
- Znajdź drogę - zwrócił się Avatar do Hani.

Efendi

291

Rorfczteł 47

2# pAżt>ricrvłika

- Nie powinnam...
- W kółko to powtarzasz - powiedział Raf. - Nie powinnaś być tutaj, nie powinnaś robić tego... - Uśmiechał się jak obłąkany, to jakoś tak samo z niego wychodziło.

Zara leżała zwinięta w kłębek z ręką położoną na jego brzuchu i kropelkami potu skrzącymi się w krótkich, ciemnych włosach, w miejscu gdzie zaczesywały się z czoła. Piersz falowała w szybkim oddechu.

- Wszystko w porządku?
- A jak ci się zdaje? - Wyplątała nogi spomiędzy jego nóg i przewróciła się na wznak. Tym razem nie zamierzała się przykrywać; leżąc w niedbałej pozie z ręką przy czole, odsłaniała piersi z ciemnymi sutkami, które sterczały w pełnej krasie, doskonałe i słodkie jak miód w promieniach wczesnego poranka, przeciskających się przez okna z ogrodu. - Myślisz, że słyszeli?

Raf usłyszał dobiegający z dołu chrzęst żwiru i charakterystyczne skrzypienie butów, gdy żołnierz na końcu dróżki wykonał w tył zwrot.

- Raczej tak - odrzekł z kamienną twarzą i pokiwał głową, kiedy usiadła i wpatrzyła się w niego szeroko otwartymi oczami.

Zrobił tylko to, na co pozwoliła. W gruncie rzeczy więcej, niż się spodziewała, i mniej, niżby sam chciał. Przestrzegała zasad, ale nawet ona nie wiedziała, kto je naprawdę określa.

- A co u ciebie? - zapytała. - W porządku?
- Jasne. - Wzruszył ramionami. - Czuję się świetnie.

- No tak. - Popatrzyła na niego z ukosa. - Jakżeby inaczej. - Zdarła z niego pościel. - Trudno nie zauważyć.

29

Jon Courtenay Grimwood

Wczesną porą dnia, jakoś tak między północą a świtem, kiedy uparty mrok wreszcie zaczął rzednąć, Raf ściągnął podkoszulek i majtki. Oczywiście, słowem nie wspomniał, że mogłaby też się rozebrać. Gdy jednak dotykał ją pod nocną koszulą, jej ciało zaczęło odpowiadać na pieścizoty. Odpowiadało coraz energiczniej, aż w końcu chwyciła jego dłoń i siłą wepchnęła ją pod majtki.

- Stań tam. - Wskazała skrawek światła na białej posadzce.

Raf zrobił to, o co go proszono, świadom, że dziewczyna mierzy go badawczym spojrzeniem, gdy wstawał nagi z łóżka i spacerował po chłodnych płytkach. Kiedy dotarł na miejsce, odwrócił się i dojrzał rumieńce na jej twarzy.

- Co teraz?

\*\*\*

Kłęcząc, czuła, jak zimny marmur wpija się w kolana. Znalazłoby się dziesięć dobrych argumentów na to, że nie powinna tak klęczeć. Osobistych, kulturowych, może nawet politycznych.

- No co? - zdziwił się, gdy wzruszyła ramionami.

- Nic. -Tylko tyle zdołała powiedzieć. Czuła, jak jego biodra tężeją, usłyszała też kilka łagodnych przekleństw, gdy plecy mu się wygięły i wszystkie mięśnie nóg zdawały się naprężyć.

Była republikanką i marksistką, a on osmańskim bejem. Była córką nowobogackiego, on odziedziczył fortunę. Nie, pomyłka: jemu akurat brakowało pieniędzy. Ponadto, pracował na policji, a jej ojciec okazał się kryminalistą. Został przygarnięty do iskandaryjskiej socjety, co czyniło z niego jej wroga. Ojciec był sądzony, a on kontrolował prace sądu. Gdyby to leżało w jej mocy, unicestwiłaby wszystko, co sobą reprezentował, i całą rządzącą klikę, do której należał.

I oto przed nim klęczała, czyli robiła rzecz, której - jak sobie nieraz przyrzekała - miała nigdy nie zrobić. I nieważne, czy kobietę do takiego ukłęknięcia skłaniała żądza, pieniądze, przemoc czy życiowa konieczność; gdy już to się stało, brzemień okoliczności było zbyt ciężkie, aby wstać.

Poczuła na włosach silne palce Rafa, więc objęła go prawą ręką i zaczęła poruszać ustami stosownie do jego potrzeb.

Efendi\_293

Jakiś czas później, czując jeszcze jego smak, zaprowadziła go do łóżka. Siedziała przy nim, kiedy leżał w pozycji embrionalnej, śpiąc jak dziecko, którym chyba nigdy w życiu nie był.

Kochała go z całego serca, choć na pewno nie zdawał sobie z tego sprawy. Ani z tego, jak bardzo się o niego bała.

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział

pAzbriCrriUA

Avatar nie miał pojęcia, co odkryje. Może kwaterę pułkownika, zajmującą cały pokład? Wojskowych obserwatorów Sił Pokojowych, dorabiających sobie jako strażnicy więzienni? Z pewnością lampy będą perfekcyjnie naśladować światło dzienne, zawsze w zgodzie z porą roku. Będą drzewa, śpiew ptaków i sztuczny strumyk; dzisiaj miały to nawet drugorzędne kluby. Przynajmniej te całodobowe z chill-outowym klimatem.

Cóż, albo kazamaty, albo komfortowo urządzone miejsce odosobnienia. Podupadłe, niszczone sale, kunsztowne gobeliny pokryte warstwą kurzu. Avatar wyobrażał sobie sceny z telewizyjnych nowel, takich jak „Uroki młodości”, „Zamiast zaufania”, „Feralna fortuna”. Komnaty przygotowane dla ojców-zabójców, puszczalskich matek, ćpających wujków i młodocianych intrygantów, którzy nastawali na życie rodzeństwa, rodziców lub jednych i drugich.

Nie zakwalifikowałby Hamzy do tej grupy. Hamza był łotrzykiem - w sumie niegroźnym, w żadnym razie nie skończonym łajdakiem. Jego pieniądze nie ugrzęzły gdzieś w podejrzanych funduszach inwestycyjnych. I dziedziczyła po nim tylko jedna osoba, Zara.

Avatar nie miał złudzeń w tym względzie. O nic też nie zabiegał.

Tak czy owak, po kryjówce pułkownika spodziewał się czegoś więcej. Chociaż to nieprecyzyjne określenie: nie tyle spodziewał się czegoś więcej, co czegoś w ogóle. Na pewno nie przytłaczającej pustki zakurzonego, opuszczonego hangaru. Wnętrze rozjaśniało wątłe światło padające z iluminatorów, które majaczyły w mroku z dwóch stron niby tunele do realnego świata.

Efendi

295

Zostawiał ślady na kobiercu kurzu, w którym nie odcisnęła się stopa innego człowieka. Ale nawet jeśli coś wydawało się bezsensowne, niekoniecznie musiało być złudą. Avatar zdawał sobie z tego sprawę. Tak samo jak wiedział, że musi przedostać się na niższy pokład, gdzie nie będzie iluminatorów... chyba że liniowiec oferował pasażerom możliwość podziwiania podwodnego życia, co było całkiem możliwe.

- Światło!

Jego daremne polecenie odbiło się echem od stalowych ścian. Dręczyło go uczucie osamotnienia. Kłopot w tym, że cisza zawsze go denerwowała. Bał się jej, szczerze mówiąc. W dzieciństwie towarzyszyły mu zgrzyty w skrzyniach biegów aut przejeżdżających wąską uliczką przed domem oraz perły muzyki docierające z otwartych okien sąsiadów, a potem w do-rmitorium conocne dudnienia w rurach kanalizacyjnych. Hałas od początku dawał mu ukojenie.

- Pieprzyć to! - Wyciągnął z kieszeni bibułkę i zmiażdżył kryształki. Wolałby wałnąć dymką, niuchnąć jakiejś tabaki, lecz jego nozdrza jeszcze się nie wykurowały po ostatniej dawce lodu, której zawdzięczał dwadzieścia cztery godziny halucynacji i trwające tydzień krwawienie z nosa.

Speed smakował jak kwaśne rzygi, ale swoje zrobił. Gdy roztopił się w ślinie, szyję chwyciły dreszcze. Życie momentalnie zyskało nową jakość.

- Hani?

Nie usłyszał odpowiedzi. Ale ostatnim razem, kiedy ją wywoływał, też się nie odezwała. I wcześniej też nie. Zero odpowiedzi, cisza... A potrzebował dźwięków, które dawały mu poczucie czasu, miejsca i samego siebie, które pobudzały jego podświadomość. Choćby pozostawiono go z opaską na oczach w najrzadziej odwiedzanym zaułku miasta, dotarłby do kawiarni w Shatby, kierując się gwarem bazarów i turkotem tramwajów.

Tutaj jedynie dochodziło spod spodu wolne tętno silnika, bardziej wyczuwalne niż słyszalne, Zupełnie jakby znalazł się w brzuchu wieloryba. Wiedział, że na tym terytorium lepiej czułby się Raf. Na wszelki wypadek zażył jeszcze parę kryształków. Stąd właśnie wynikała różnica między nimi. Avatar lubił tylko taki mrok, w którym żyły neony, światła stroboskopowe i sprzęt grający. Poza tym, wolał światło i ciepło.

O jfr,.

29\_Jon Courtenay Grimwood

Brnąc przez zimną, akwariową pomrokę, podążał w stronę kolorowego paska, który po paru minutach okazał się długim, wzorzystym witrażem, wstawionym na całej szerokości rufy liniowca. Przedstawiał heroiczną pracę górników: szklanymi kilofami urabiali różową żyłę węgla; rybaków: z ciemnych, szklanych fal wyciągali rozłożyste sieci pełne dorszów. Na samym środku, ze szklanym słońcem za plecami i sierpem u bosych stóp, tęga dziewczoja z jasnymi włosami i nierealnie niebieskimi oczami z dumą trzymała nad głową snop pszenicy. Wyglądała na rozpaloną i radosną, gdy tymczasem Avatar, na odwrót, był zziębnięty i przygnębiony.

Krzyżówka politycznej propagandy i witraży z Chartres, jak wyraził się drwiąco Mapplethorpe: pierwszy Amerykanin, który sfotografował okno do niedzielnego dodatku gazety, nim prezydent Maksudow oddał statek premierowi Moro jako część zobowiązań reparacyjnych po III wojnie rosyjsko-japońskiej.

Avatar był za młody, żeby to pamiętać. Patrząc na dziewczynę, pokiwał głową i pomyślał, że fajnie by wyglądała na ulotce reklamowej nocnego klubu.

Pod szerokim oknem schodziły w dół, w nieprzejrzany mrok, rozwidlone schody jakby żywcem wzięte z nowojorskiego hotelu (mosiężne pręty na stopniach, wyrafinowane ozdoby), zainstalowane następnie między pokładami. Biegnąca nad przepaścią długa balustrada w stylu art nouveau, zaśniedziała ze starości i gdzieniegdzie pozbawiona pionowych elementów, zabezpieczała Avatara i duchy dawno zmarłych pasażerów przed spadnięciem z wysoka na niższy pokład.

Poza obrębem szarego półmroku u stóp schodów rozciągała się czarna, lodowata otchłań, z każdym krokiem - w miarę jak w niej tonął - bardziej nieprzyjazna. Najgorsze, że przemaszerował całą długość górnego pokładu, zatem wiedział, że ma przed sobą ponadkilometrową ciemność. Gdzieś w pustce znajdowało się zejście na niższy pokład. Należało je tylko odnaleźć...

Trudno było ocenić, czy znalazł te właściwe drzwi. Owszem, otworzyły się, a w dół prowadziły schody. Jedno i drugie mógł zapisać na plus... aczkolwiek, niestety, drzwi znajdowały się dwieście kroków dalej niż miejsce, gdzie powinny być zgodnie z informacjami od Hani, do tego w zupełnie innej części statku. Avatar nadal dumiał nad tymi rozbieżnościami,

Efendi

27

kiedy po zejściu ze schodów po raz pierwszy potknął się na rurze i przewrócił.

- O, ja pier... - Podniósł się z wykładziny dywanowej tak zimnej, że zlodowaciały meszek chrząścił pod stopami. W ciszy rozbrzmiała jego długa, przytłumiona wariacja na temat pierdolenia.

Jak pech, to pech.

Poprawiwszy plecak na ramieniu, ruszył dalej, kierując się w stronę odległego punkcika, który na dobrą sprawę mógł być tylko przywidzeniem. Po przejściu stu kroków potknął się po raz drugi.

- Kurewskie rury...

Echa przekleństw ucichły. Golenie bolały go tak nieznośnie, że nawet kląć mu się odechciało. Po części odruchowo, a po części żeby sprawdzić, co mu się stało, obmacał nogę w kostce. Poczł ciepłó sączące się spod zmarzniętej skóry. Na myśl o krwi wróciła mu ochota do przeklinania.

- Nie lepiej włączyć światło? - odezwał się ktoś za nim.

Zapominając o krwawiącej nodze, Avatar obrócił się i szarpnięciem za kurek przygotował rewolwer do strzału. Tylko dlatego powstrzymał się od wpakowania kuli w brzuch facetowi, który za nim stał, że tak naprawdę... facet za nim nie stał. W ciemności nikogo nie było.

- Na lewo od siebie znajdziesz ścianę - dodał tajemniczy nieznajomy. - Idź wzdłuż rury, aż dojdiesz do słupa. Po twojej stronie będzie kontakt. Aha. - Dało się wyczuć rozbawienie.

- Tylko się już nie przewracaj.

Białý, kwadratowy kontakt z popękanego plastiku znajdował się tam, gdzie mu powiedziano. Po wciśnięciu przełącznika zapalił się rząd świetlówek, biegnących przez całą długość niskiego sufitu. Avatar stał w mętnie oświetlonej ładowni. Tuż przed nim znikąła pod podłogą oszroniona rura. Rury były rozmieszczone mniej więcej co sto kroków; wynurzały się, biegły na drugi koniec olbrzymiego pomieszczenia i z powrotem znikąły. W większości były całe oszronione.

- Niewiele to wszystko kosztowało - odezwał się głos.

- Urządzenia pochodzą z zamkniętej elektrowni pod Helsinkami. Pewnie się zastanawiasz, czemu Sowietci nie wzięli czegoś, co się lepiej nadaje.

8

Jon Courtenay Grimwood

Akurat o tym nie myślał. Prawdę mówiąc, ani przez moment nie zaprzętał sobie głowy tą kwestią.

- Nieudolność. Oraz to, że musieli brać, co mieli pod ręką. Politycy kierują się dewizą: bierz, co możesz, na resztę machnij ręką...

- Pierdoły opowiadasz - burknął Avatar.

- Aha... - W głosie niewidocznej osoby przebijało zakłopotanie, które zaowocowało długą chwilą ciszy.

Korzystając z przerwy, Avatar mógł się uważnie rozejrzeć, aż znudziło mu się czekanie i postanowił zapytać o to i owo. Raf powiedział kiedyś: zacznij od podstaw. Większość ludzi nie stosowała się do tego, aczkolwiek, jak zauważył Raf, większość ludzi nie żyła.

- Gdzie ja jestem?

- Gdzie?

- Przecież mówię wyraźnie. Gdzie dokładnie jestem?

Jego rozmówca zastanawiał się nad tym.

- Na pokładzie minus siedem, w jednej trzeciej drogi do sekcji przetwarzania kryla. Przynajmniej kiedyś można tu było coś przetwarzać, zanim przegrody zostały zniszczone, a kadzie rozmontowane.

- Dobrze, a gdzie ty jesteś? - zapytał chłodno Avatar.

- Dokładnie?

- Dokładnie.

- Tak blisko, że moglibyśmy się dotknąć.

Avatar uśmiechnął się mimowolnie, choć mroźne powietrze przenikało go na wskroś, a gdy mówił, buchał kłębami pary.

- Pewnie stać cię na więcej.

- A jeśli nie?

- To będziesz tu leżał z kulką w głowie.

- Ty nie jesteś Ka, prawda?

- Nie - odparł wolno Avatar. - Spokojnie możesz założyć, że nie jestem Ka.

- Ale broń masz?

- Jasne. - Avatar pomachał swoim pożyczonym taurusem, aby obserwujące go ukradkiem kamery, jeżeli w ogóle gdzieś tu były, wszystko widziały. - Taki już jestem. Zawsze uzbrojony po zęby.

- To dobrze. Chociaż osobiście polecałbym HK/cw na naboje z pociskiem kinetycznym i grubaski kalibru 20 mm, wybuchające w powietrzu lub w kontakcie z celem.

Efendi\_299

Chłopiec milczał.

- Wyglądają jak świnię i tyle samo ważą - dodał głos. - Heckler & Koch, karabin z tworzywa sztucznego i materiałów ceramicznych. Maszyna do zabijania. Niezastąpiona w rękach amatora.

- Amatora? - Avatar oddał strzał w kierunku, skąd dochodził obraźliwy głos, i skulił się, kiedy w niskiej ładowni zadudniły ogłuszające echa.
- Na pewno ty to nie Ka? - głos wydawał się rozbawiony.
- Nie. Nazywam się, ee... Kamil ben Hamza. Bardziej znany jako DJ Avatar - dodał pośpiesznie, jakby nie chciał się do końca pogrążyć.
- Kamil, co? W takim razie powiedz mi, nie-Ka, po co tu przyszedłeś?
- Odebrać dług. - Ujął to najzwyczajniej, jak potrafił.
- Chcesz mnie zabić?

Avatar odetchnął głęboko. Odkąd Hani po raz pierwszy do niego zadzwoniła, co godzina powtarzał mowę przygotowaną na tę chwilę. Zrobił już to, co sugerowały lata doświadczeń na ulicach miasta, to znaczy się przedstawił. Tylko że teraz już nie pamiętał, w jakiej kolejności ma wyłożyć swoje racje.

- Mój ojciec stanął przed sądem... - Pokręcił głową, zde gustowany. Nie od tego miał zacząć. - Jestem Kamil, mój ojciec nazywa się Hamza Quitrimala. Przyszedłem, żeby...
- Ile masz lat? ,
- Wystarczająco dużo.
- Miałem młodszych od ciebie dowódców czołgów - stwierdził mężczyzna z niejakim rozczarowaniem, jakby wolał, żeby Avatar nie miał jeszcze czternastu lat. - Do licha, rzadko który dowódca czołgu...
- ...dożywał mojego wieku - dokończył chłopiec, ciesząc się w duchu, że wreszcie odnalazł pułkownika. - Słyszałem coś o tym - rzekł lakonicznie.

W takim momencie można było sobie wyobrazić, że cisza wzrusza ramionami.

- Każdy kiedyś umiera - stwierdził pułkownik. - No, prawie każdy.
- Ty żyjesz...
- Wygląda na to, że mały Ka także.

300

Jon Courtenay Grimwood

- Ka?
- Kamil. Chłopiec, który tak bardzo nienawidził wojny, że rozwaliał wszystkich, którzy chcieli brać w niej udział, łącznie z własnym plutonem, jeśli wierzyć oficjalnym raportom.
- Naprawdę ich pozabijał? - Avatar opuścił rewolwer i strząsnął z ramienia plecak. Zbierało mu się na mdłości i czuł się pusty, jakby ktoś, korzystając z jego nieuwagi, rozkroił mu brzuch i wyciągnął wnętrzności. - Myślałem, że masz zapewnić tacie alibi.

- Przekonasz się, że mam tylko mówić prawdę.
- Powiesz? - zdumiał się Avatar. - Staniesz przed sądem?

Jeśli wierzyć tłumaczeniom Hani, SS „Jannah” funkcjonował jako suwerenne mini-państwo. Oczywiście, dopóki statek nie wpływał na wody terytorialne, obowiązywały na nim jego własne prawa. A więc czemu ktoś taki jak pułkownik Abad miałby narażać się na ryzyko i schodzić na ląd?

- Myślałeś, że będziesz musiał mnie porwać? - Pułkownik mówił z goryczą w głosie. - Opamiętaj się, to moja Elba. Czy Napoleona siłą zmuszali do opuszczenia wyspy?

Avatar nie miał pojęcia, co się działo z Napoleonem. To Zara kształciła się w drogich szkołach.

- Znajdziesz mnie na pokładzie minus dziewięć, na samym dnie otchłani. Chyba zdajesz sobie sprawę, że w najgłębszym i ostatnim kręgu piekła panują największe mrozy? Dziewiąty krąg, gdzie płynie Kokytos. Czwarte koło: Giudeka. Tak to już jest, gdy schwyta cię ktoś wychowany na literaturze klasycznej. Chce ci dać do zrozumienia, jaki z niego mądrała.

Nie znajdując na to odpowiedzi, Avatar ruszył na drugi koniec hali. Czuł ciężar rewolweru w kieszeni bojówek i uważał, żeby nie potknąć się o jakąś zdradliwą rurę.

- Co teraz? - zapytał po zbliżeniu się do stalowej ściany. W ścianie znajdowały się drzwi, też stalowe, zamykane na trzy ciężkie, staroświeckie zamki. A ponieważ były to pierwsze drzwi, jakie odkrył na tym poziomie (nie licząc wejścia, którym tu się dostał), doszedł do wniosku, że tędy droga.

- Spróbuj otworzyć.

Ustuchał rady. Ciężkie drzwi uchyliły się, zsypując z siebie metalowy tupieź, gdy spod skrzypiących zawiasów zleciały płatki

Efendi

rdzy. Kreteł, łączone nitami schody zbiegały w zimną przestrzeń i jeszcze dalej, minąwszy maszynownię, na niższy pokład.

Na każdym podejściu witały Avatara stare kontakty, lecz w oprawach lamp brakowało żarówek. Posuwał się naprzód po omacku, aż stracił czucie w palcach ślizgających się po oblodzonej poręczu. Dokuczał mu tylko tępy ból.

Im niżej schodził, tym zimniej się robiło, aż w końcu wdychane powietrze zamarzało mu w gardle i tworzyło sople w nosie, a wydychane skraplało się na wargach. Chłód ukazał swoją namacalną postać, jemu dotąd nieznaną. Wraz z chłodem przyszły zmęczenie i senność.

Przez całe życie borykał się ze skwarem. Dnie stawały się upalne już późną wiosną, a czasem nawet wcześniej, jeśli szybko pojawił się chamsin, gorący i suchy wiatr udzielający się zwykle przez pięćdziesiąt dni. Upały powoli ustępowały dopiero pod koniec jesieni. Powodowały rozleniwienie i skłaniały do bezsensownych kłótni. Ale tutaj Avatar miał do czynienia z czymś więcej, niż tylko przeciwieństwem letniej spiekoty. Każde zakole schodów przyduszało go, przygotowywało do letargu.

- Ile tu stopni? - zapytał.



- Mało - odpowiedział głos. - Tak mało, że możesz zasnąć na wieki.

- I ty tutaj mieszkasz?

- Dla mnie to bez różnicy. Poza tym, Said Koenig nie chciał,

żeby zaglądali tu wścibscy turyści.

\*\*\*

Ciągłe szczykał zębami. Stóp nie czuł, ledwie je pamiętał. Czarna koszulka i bojówki były już nie tyle wyrazem jego gustów, co napisanym w roztargnieniu listem samobójcy.

- Dokąd teraz? - spytał, wiedząc, że na każdym kroku śledzą go kamery.

- Przed siebie. Zaraz będą drzwi.

Przeklinając brak latarki, sunął naprzód zółwim tempem, aż wyciągniętą ręką namacał klamkę, położoną dość nisko z prawej strony. Chwycił ją mocno drżącymi palcami i sprawy przybrały naprawdę zły obrót. Najpierw niedowierzał, a potem wpadł w panikę, gdy próbując cofnąć dłoń, usłyszał dźwięk

g „

O\_Jon Courtenay Grimwood

rwącej się skóry. Nic a nic go to nie bolało, czego właśnie wystraszył się najbardziej.

Przymarzył na cacy do metalowej klamki.

- Nasikaj na rękę - odezwał się pułkownik Abad.

Avatar zlekceważył radę i uparcie pociągnął.

- No sikaj! - rozkazał gniewnie pułkownik. Echo dochodziło z dwóch stron jednocześnie. - Prędszej, na co czekasz?!

Uświadomił sobie, że to nie żarty. Pogmerał sprawną ręką i rozsunął plastikowy zamek w rozporoku.

- A teraz sikaj! - rozległa się komenda. - Ogrzej choć trochę to zmarznięte ciało.

Avatar tym razem usłuchał, następnie zapiął rozporok i z ociekającymi palcami wszedł do pograżonej w mroku kwatery pułkownika. Wątpił, czy stary żołnierz zechce uścisnąć mu rękę.

- Światło! - rzekł pułkownik i w tym momencie zapaliła się świetlówka.

Blask wydobyl z ciemności puste pomieszczenie, niczym się nie różniące od innych, przez które dziś przechodził Avatar. Było tylko węższe i nie tak wysokie. Z obu stron uciekały łukiem gołe ściany ze stalowych płyt, łączonych nitami. Oczywiście, nie było tu żadnych iluminatorów, mebli (prócz niskiego, żelaznego stolika) i urządzeń do gotowania. I ani śladu ludzkiej obecności, ani śladu pułkownika.

Jeśli to był kawał, to doprawdy w złym guście.

- Jak tam palce? - rozległ się z tyłu głos. - Właśnie sprawdzałem w bibliotece. Gdy wpłyniemy do portu, może być konieczny przeszczep skóry. Jeśli w ogóle wpłyniemy - poprawił się pułkownik, jakby nagle przestraszył się, że zapeszy.

- Cholera, co jest grane? - Avatar obejrzał się za siebie i dostrzegł głośnik przytwierdzony do sufitu, tak stary, że jeszcze zasłonięty materiałem i obudowany czymś, co wyglądało na prawdziwe drewno. Wyrób radziecki, bez dwóch zdań.

- Jestem programem porządkowym, leżę na stoliku.

- Czym jesteś? - Avatar popatrzył na mały aparat radiowy, podłączony kablem do gniazdka w ścianie. Na pierwszy rzut oka radio zdawało się pokryte szarym zamszem, lecz był to kurz opadający z sufitu lub nawiewany przewodem wentylacyjnym za sprawą podmuchów arktycznego wiatru. Obok, nie podłączone do niczego, leżały brzydkie okulary.

Efendi\_303

- No właśnie - rzekł pułkownik. - To ja. - Zainstalowana na ścianie kamera przemysłowa obracała się wolno, patrząc to na chłopca, to na stolik. Kojarzyła się z kaczką, która kręci głową. - Nie tego się spodziewałeś, co?

Avatar potwierdził ruchem głowy.

- Nie. - Tak czy inaczej, musiał rozeznac się lepiej w sytuacji. - To ty jesteś dowódcą mojego taty? Nazywał się pułkownik Abad.

- JK w greckim języku ma imię Apollyon, co znaczy Niszczyciel. Anioł otchłani, który sprowadza nieszczęścia na nieprzyjaciół Boga"... Objawienie - wyjaśnił głos, ponieważ Avatar słuchał tego z niewyraźną miną. - Jestem aniołem wiernym Bogu albo jego śmiertelnym wrogiem. Niestety, nikt tego jeszcze nie rozstrzygnął, choć swego czasu teologowie łamali sobie nad tym głowę. - Dało się poznać z jego tonu, co o tym sądzi.

Objawienie? Polityczny straszak niewiernych, przynajmniej w odczuciu Avatara. Polityka nie była jego mocną stroną.

- Wierzysz w te brednie? - zapytał pułkownika.

- A ty nie?

Jasne, że nie wierzył.

- Albo ktoś się mną głupio zabawił - tłumaczył pułkownik - albo nie było czasu na opracowanie porządnego modelu. Zawsze łatwiej coś byle jak przerobić, niż zbudować od zera. Jak w przypadku religii czy gier komputerowych. Przypuszczam, że twórcy wpakowali we mnie kilka terabajtów najróżniejszych mitologii i wmieszali w to jeszcze psychologię Junga. Tło osobowości pozostawia wiele do życzenia, ale tym się za bardzo nie przejęli. Zostałem stworzony na czas trwania wojny. A ona miała się skończyć po paru miesiącach.

- Ja tu umieram z zimna, a ty gędzisz i gędzisz...

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 49

</2\$ pAŻi>ziervu1<A

Muhammad Taufik pasza, chedyw al-Iskandarijji, przetoczył się po swoim olbrzymim łóżku wodnym i otworzył oko, obudzony pukaniem. Powiedzieć, że łożo ma królewskie rozmiary, to powiedzieć za mało, ale w sumie nic dziwnego, skoro znajdowało się w Sułtańskim Apartamencie.

Poza chedywem nikogo tu nie było, o czym sam zdecydował. Widział, jak pozerają go wzrokiem córki pasażerów, gdy schodził ozdobnymi schodami do sali restauracyjnej i zasiadał przy kapitańskim stole. Wiedział też, że młodzianka Van der Bilt co wieczór jadła samotnie w swej kabinie, póki nie zaczął jadać kolacji we wspólnym gronie.

Spodziewano się, że al-Iskandarijja utraci status wolnego miasta. Czwierć inteligenci spodziewali się ujrzeć chedywa w nowej roli romantycznego-tragicznego bohatera (mającego urodę, pieniądze i tytuł). W tym tygodniu jego twarz trafiła na okładkę „Time'a”, lecz z denerwujących powodów. W „Cosmo Girl” ukazał się nawet plakat, na którym stał bosy, w koszulce i krótkich spodenkach, na pokładzie jachtu i w zamyśleniu patrzył w morze. Przeczytał o tym gdzie indziej. Plakatu nie widział na własne oczy, nie pamiętał też, by chociaż raz pozwolono mu chodzić na bosaka. Zwykle samo uzyskanie zgody od Generała na publiczne wyjście bez munduru następowało po kłótni.

Poszłyby z nim do łóżka każda z młodych matek, które co rano przechadzały się z dziećmi w Palmowym Ogrodzie na górnym pokładzie. Uśmiechały się zalotnie, trzepotały rękami, a raz pewna matka bliźniaków włożyła mu do kieszeni spodni odręcznie pisany liścik. Do tego dochodziła Australijka, która

Efendi

zapytała z niewinnym uśmiechem, ile niewolnic ma w haremie... i czy nie chciałby jeszcze jednej.

Wszakże jedyna dziewczyna, której pragnął i którą osobiście zaprosił, przysłała w zastępstwie swojego przyrodniego brata z nieprawego łoża.

- Prezentacja. - Po drugiej stronie pokoju na jesionowej szafce (wzorowanej na wyposażeniu transatlantyków Cunarda) w srebrnej ramie fotograficznej zaczęły się przewijać kolejne zdjęcia. Pokazywały to, co spodziewali się zobaczyć goście chedywa. Generał i Taufik pasza stoją razem w sali tronowej. Sylwetka Taufika paszy na tle tarczy słońca wśród bujnej zieleni ogrodu Generała. Zimowy zachód słońca nad Corniche. I oczywiście nieodłączny element: pięknie wykaligrafowane imię Boga.

Wszystko to nie miało dla niego znaczenia. Oprócz imienia Boga, rzecz jasna, Chedyw zreflektował się ze szczerą skruchą, a mimo to własne niezamierzone bluźnierstwo napętniło go odrazą. Tak czy inaczej, nie ulegało wątpliwości, że spośród wszystkich zdjęć najbardziej cenił wyświechtany wycinek z gazety, schowany głęboko w portfelu. Zdjęcie zrobione nad ranem przed wejściem do mieszczącego się w podziemiach nielegalnego klubu przedstawiało Zarę, która na nagie ciało włożyła płaszczek ze sztucznego futra. Niewyraźny cień między jej na pół odsłoniętymi piersiami rozpałał go bardziej niż różowitkie naguski z obrazów Renoira, tak namiętnie kolekcjonowanych przez jego dziadka i

pradziadka.

- Wasza Wysokość...

Zdążył zapomnieć o tym, że ktoś pukał do drzwi.

- Tak? - Patrzył, jak ciężkie drzwi odmykają się i w progu staje pani kapitan Bruford, dowódca największego na świecie dalekomorskiego statku, na co bezsprzecznie wskazywał jej wygląd. Na mankietach nieskazitelnie eleganckiego żakietu widniały trzy wąskie paski i jeden gruby. Spodnie miały ostry kant i złote lampasy wzdłuż zewnętrznego szwu. Na widok chedywa zmieszła się, co go zdziwiło, póki nie odkrył prawdopodobnej przyczyny: nie miał nic na sobie, przynajmniej na pierwszy rzut oka. - Mogę w czymś pomóc?

-Tak, sir. - Z trudem oderwała wzrok od półnagiego chłopaka. - Wie pan, jak bardzo nam zależy na bezpieczeństwie goszczących u nas znakomitości. To znaczy wszystkich gości - sprostowała.

0

Jon Courtenay Grimwood

Pokiwał głową. Zapewne nie po to przyszła do Sułtańskiej-go Apartamentu, żeby wygłosić oświadczenie w imieniu firmy, a tym bardziej rozmawiać o jej nadrzędnych celach czy żonglować frazesami, od których roiło się w filmie reklamowym. W każdym razie, zwlekła z przejściem do rzeczy.

- No więc?

- Helikopter...

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Na granicy zasięgu radarów - dodała. - Zbliża się do SS „Jannah”.

- W czym problem? - Raz po raz ktoś przylatywał bądź odlatywał śmigłowcem. Właśnie na tym polegał cały urok liniowca: nigdy i nigdzie nie zawijał do portu. Wody międzynarodowe opuszczał jedynie w wyjątkowych okazjach, opisanych w specjalnych umowach, gdy przepływał przez Kanał Panamski lub między słupami Heraklesa.

- Mają osłony - powiedziała pani kapitan. - I nie jesteśmy w stanie uzyskać wymiany potwierdzeń. A proszę mi wierzyć, że robimy, co się da. - Na twarzy niemłodej już Angielki odbijało się zniecierpliwienie i niepokój. - Uważam, że w trosce o pańskie bezpieczeństwo powinniśmy zabrać ze statku Waszą Wysokość. Dysponujemy trzema szybkimi łodziami VSV z silnikiem Thor-nycrofta i systemem pełnego zanurzenia.

Widocznie to w niej siedzi, pomyślał chedyw. Cokolwiek mówiła o Utopia Lines, brzmiało jak reklama. Prawdopodobnie firma wyprała jej mózg na szkoleniach.

- Myśli pani, że łódź VSV zapewni mi bezpieczeństwo?

- Nie o to chodzi. - Zdecydowała się na szczerość. - Myślę, że inni będą bezpieczniejsi. Mój szef ochrony przez dziesięć minut przeprowadzał analizę zagrożenia, z której wynika, że to pan jest celem.

Taufik pasza kiwnął głową. Nie sposób było jej odmówić słuszności.

Nie przejmując się miną gościa, wygramolił się z łóżka i przepasał ręcznikiem wziętym z krzesła, który zaraz przed kabiną prysznicza zrzucił na podłogę.

Miał tylko jeden taki miesiąc w roku, kiedy mógł zapomnieć o męczących zasadach dobrego wychowania. Z tym mu się kojarzył SS „Jannah”. Miesiąc wytchnienia od lekcji, służby, etykiety, Ge-

Efendi

7

nerała... W ciągu tych czterech tygodni nareszcie robił, co chciał. Spał, jadł, a jeśli przyszła mu ochota, oglądał stare filmy z Taka-hashim. Bo potem czekał go powrót do munduru, do życia złotej rybki w akwarium, do niewyobrażalnego bogactwa, za którym nie idą pieniądze. Posiadał pałace, a przez jedenaście miesięcy w roku sypiał w klitce bez wentylacji i centralnego ogrzewania. Gnieździł się w pokoiku, gdzie z kranu leciała tylko zimna woda, a dziury i plamy w leciwym chińskim dywanie, startym do grubości makaty, były umiejętnie zasłonięte mniejszymi dywanikami. Takie warunki życia miały w założeniu nauczyć go pokory.

Taufik pasza nie był idiotą. I dzieckiem też nie był. Wiedział, że w niektórych dzielnicach miasta brakuje wody do picia, mycia i czego tam jeszcze. W tych biednych arrondissements nie było szyb w oknach, nieczystości pływały w otwartych rynsztokach, a nocą w zaułkach nędzarze spali zwinięci pod ścianami i ławkami, ukryci przed okiem policji lub krewnych, albo też przed jednymi i drugimi; przemoc miała niejedno oblicze.

Przed dziesięciu laty, kiedy był mały, szwadrony śmierci oczyszczały ulice z żebraków i młodocianych dziwek. Zwłoki dzieci ładowano na ciężarówki i topiono w zarośniętych szuwarach jeziora Mareotis. Gdy po lipcu przyszedł sierpień, skoczyła temperatura i miasto przeżywało nalot ekip telewizyjnych, w otoczeniu młodego chedywa mówiło się tylko o jednym. Zwyczajne plotki ucichły, tak samo jak skończyły się oszczerstwa i przepychanki przed żłobem. W pałacu zapanowała niezdrowa fascynacja, przed którą należało uchronić młodego chedywa. Gdy wchodził na salę, milkły rozmowy, nie chciano nic powiedzieć w jego obecności. Przez co długo nie mógł się zorientować w sytuacji. Musiały upłynąć tygodnie, nim zrozumiał, że śmieci usuwane z zaułków i bazarów noszą imiona i nazwiska.

Prawie wszyscy, których podsłuchał, aprobowali ten stan rzeczy. Do tego stopnia, że w kuchniach i pomywalniach zapracowani posługacze głośno żalowali, że sami nie wpadli wcześniej na ten pomysł.

Jedyną osobą, która nie podzielała powszechnego zadowolenia, był Koenig Pasza.

Z nadejściem jesieni przyszedł czas na egzekucje. Major wojsk lądowych, dwóch sierżantów z wydziału śledczego, porucznik z obyczajówki i oficer policji. Uliczne czystki ustały i od

0

Jon Courtenay Grimwood

tamtej pory jedyną siłą, która wyganiała nędzarzy z wąskich uliczek, były zimowe ulewy.

Otrzeputując z wilgoci długie, czarne włosy, Taufik pasza wyszedł spod prysznicza i zmrużył oczy, zaskoczony widokiem pani kapitan, która z niecierpliwością czekała w drzwiach sypialni. No tak, pomyślał z westchnieniem, nie zaprosił jej do środka. Niezidentyfikowany helikopter nie miał tu nic

do rzeczy; nienaganne maniery nie pozwalały jej ruszyć się z miejsca.

- Proszę wejść - powiedział i odwrócił się, aby wbić się w rękawy szlafroka. - Może kawy?

Jego nieoczekiwany uśmiech tak na nią podziałał, iż zapomniała, że już prawie południe i że dawno zjadła śniadanie: tost z kawą podane na mostku kapitańskim, jak niektórzy starsi oficerowie nazywali jeszcze sterownię komputerową.

- A wracając do helikoptera... - zagaіła.

Chedyw wręczył jej kawę w filiżance z kostnej porcelany. Zarówno filiżanka, jak i spodek oznaczone były dyskretnym logo Utopia Lines.

- Mam zamówić rogalik?

Odmówiła rogalika, świadoma utkwionego w niej spojrzenia ciemnobrązowych oczu, błyszczących w twarzy idealnie symetrycznej, idealnie proporcjonalnej, po prostu idealnej. Potrząsnęła głową i zatopiła wzrok w świdrujących ją źrenicach.

- VSV - powiedziała. - Naprawdę, powinien pan...

- Obawiam się, że to niemożliwe. - Wzruszył ramionami w geście ubolewania. - Bo widzi pani - dodał, rozkładając ręce na znak bezsilności - nikt nie może wiedzieć, jak uciekam.

- Ale reszta pasażerów...

- Macie pokładowy system obrony. - Skinieniem głowy wskazał gratisowy notebook na stoliku przy łóżku. Był to model Toshiba z tego roku, oprawny w jaszczurczą skórę ze srebrnymi narożnikami. Zawierał wszystkie informacje na temat SS „Jannah”, jakich mógłby potrzebować pasażer. - Napisaliście drobnym druczkiem, że statek jest uzbrojony w rakiety woda-powietrze. Jednak z materiałów zebranych przez mój wywiad wynika, że dysponujecie również PCB.

- Czym dysponujemy? - zdziwiła się pani kapitan.

- Dokładnie trzema miotaczami błyskawic marki Lockheed Martin. Drugiej generacji. - Młodzieniec zatrzepotał palcami

Efendi

309

dłoni. - Sam mam kilka takich. Są jak czarne pająki, tyle że z metalu.

Oczywiście, nie dowiedział się tego z materiałów swojego wywiadu, ale z dokumentów dostarczonych Generałowi, z którymi miała prawo się zapoznać tylko jedna osoba: właśnie Jego Ekscelencja Generał Said Koenig Pasza. Chedyw do dziś się zastanawiał, czy Generał zostawił je na biurku, aby on się z nimi zaznajomił, czy może dlatego, że staruszek nie wierzył, by ktoś ośmielił się do nich zajrzeć.

- Jeśli zaatakują, odpowiecie na atak - zdecydował. - Jeśli nie zaatakują, udostępnicie im lądowisko dla helikopterów. W razie kłopotów, razem z ochroniarzami znajdziemy rozwiązanie.

- Ochroniarzami?

- No... z ochroniarzem... - przyznał. -Tak jakby...

- Gdzie ten ochroniarz? - zapytała, nadal poirytowana tym, że szantażowano ją w sprawie miotaczy strumienia cząstek. A był to istotnie szantaż, ponieważ ich posiadanie było zabronione na mocy traktatu o nierozprzestrzenianiu broni PCB, podpisanego przed osiemnastoma miesiącami. Na domiar złego, ochroniarzy nie wpuszczano na pokład statku pod żadnym pozorem. Pasażerowie musieli przystać na ten warunek.

- Co z Avatarem, pyta pani? - Chedyw rozejrzał się po pokoju i skierował wzrok na skąpany w słońcu taras. - Dobre pytanie. - Zrzuciwszy na podłogę jedwabny szlafrok, ruszył na poszukiwania spodni. - Szczyrze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia.

Ciągle szukał ubrania, kiedy kapitan Bruford pozwoliła sobie opuścić jego towarzystwo. W sumie, przebywała w sypialni niespełna dziesięć minut. Musiała przyznać, że chłopak, nawet na tle pasażerów SS „Jannah”, jest ponad miarę uprzywilejowany, potrafi zagrać na nerwach i trudno z nim wytrzymać. Był też niezaprzeczalnie ślicznym, obdarzonym charyzmą młodzieńcem, przy którym hollywoodzkie gwiazdeczki wydawały się banalne i naciągane.

Przez chwilę brała pod uwagę możliwość, że chedyw naprawdę jest kochankiem Generała. Jej rozmyślania przerwał dzwonek zegarka. Wsiadła do pierwszej wolnej windy, przełączyła ją na zdalne sterowanie i zjechała bezpośrednio do centrum

310

Jon Courtenay Grimwood

dowodzenia. Wprawdzie pełniła funkcję kapitana, ale to był cywilizowany statek i nie chciała, żeby szef ochrony czekał na nią dłużej, niż to konieczne.

Efendi

Rozdział

p<\t>zicrnika

Kawiarnia Le Trianon była zamknięta, wobec czego nie działała prywatna winda, wyjeżdżająca na piętro i do biur Trzeciego Rejonu Irygacyjnego. No i Hani musiała wdrapywać się po schodach od strony Rue Saad Zaghoul. Ale to jej nie przeszkadzało, bo prawdę mówiąc, w głównej kwaterze iskandaryjskich służb cywilnych zrobiło się o wiele spokojniej, odkąd winda zastygła w bezruchu i umilkły telefony.

Niestety, nadal przeszkadzali jej ludzie.

Wcisnęła klawisz i lista satelitów zniknęła. Chociaż działający w tle program ciągle starał się nawiązać łączność z Avatarem.

- Hani, a ty co tu robisz?

Surowa Szwedka z jasnym kokiem na głowie, jak zawsze ubrana w ciemny kostium, dostrzegła przestrach na twarzy dziewczynki i cofnęła się z wymuszonym uśmiechem.

Życie w Trzecim Rejonie stało się ostatnio nieznośne. Pracownikom przychodzącym do pracy nie

mogła zlecić żadnego sensownego zadania, ale też nikt jej nie zezwolił na odprawianie ich do domu.

Ingrid Nordstrom westchnęła. Nawet lubiła tę dziewczynkę, która przecież niczym nie zawiniła. Любиła ją, mimo że zazwyczaj nie przepadała za dziećmi (nawiasem mówiąc, za dorosłymi również). Mała kuzynka beja była najkulturalniejszym dzieckiem, jakie w życiu widziała, do tego najspokojniejszym. Gdyby nie jej obsesyjne zamiłowanie do komputerów, nie rzucałaby się w oczy. Skoro jednak w całym biurze pracowały tylko dwa komputery, nikomu nie było na rękę, że mała rekwiruje jeden na swoje potrzeby.

31

Jon Courtenay Grimwood

- Kończę opowiadanie - wyjaśniła Hani. - Mam talent do opowiadań.

Jeśli chodzi o talent, to mówiła prawdę.

Chartum myślał, że dziewczynka siedzi z Donną w medre-sie, z kolei Raf przypuszczał, że poszła właśnie do Chartuma. Zaś Donna była pewna, że Hani robi zakupy z Zarą. Gdy w rzeczywistości przespacerowała się samotnie z ogrodów Szallalat do Le Trianon. Później przeprosi, jeśli ją znajdą, ale na razie działały się rzeczy zbyt ważne, żeby tracić czas na tłumaczenia.

- To opowiadanie o wrózkach - powiedziała. - Mniej więcej...

Tym razem Ingrid uśmiechała się szczerze. I ona w dzieciństwie miała swoje pasje; po całych dniach ślęczała nad powieściami Tove Jansson i Joan Lingard. I chociaż sama niczego nie napisała (zestresowana i przybita smutkiem matka nie znosiła walenia w klawisze), w jej wyobraźni powstawały wciąż nowe historie.

- A o czym dokładnie?

Hani namyśliła się ze zmarszczonym czołem. Zabębniła palcem po klawiszu „Page Up”, aż znalazła fragment, na którym jej zależało.

- „I oto kiedy zapadł zmierzch nad usłaną kamieniami pustynią, z ciemności wynurzył się syn Lilith, okryty czarną peleryną. Na piersi nosił naszyjnik z ludzkich zębów, a w ręku dzierżył kostur z kości ze skrzydła dżinna...” - Kątem oka dostrzegła zdziwioną minę Szwedki, więc przeskoczyła kilka akapitów. - „... a gdy słońce weszło nad oblanymi czerwoną poświatą murami al-Kahiry, syn Lilith schował się w cieniu domu i okrył czarną peleryną swoją szczupłą postać. Ten dzień minął jak wszystkie inne dni: wolno dla tych, którzy ciężko pracują, szybko dla beztróskich swawolników... Kobiety przychodziły pod pompę z dzbanami na wodę, a z nimi niewolnik prowadzący spragnionego osła. W uliczce Igielnej nie zmieściłby się wielbłąd, lecz osioł był chudy, zaś tkaniny załadowano mu na grzbiet, a nie do sakw wiszących po bokach, jak to się dziś praktykuje..- Przerwała. - Jest tego więcej - oświadczyła grzecznie. - Jeśli pani chce, mogę czytać.

Ingrid Nordstrom pokręciła głową.

- Muszę iść. - Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

Efendi313



Hani uparła się napisać opowiadanie o synu Lilith. Większość osób, z którymi o tym rozmawiała, a nie było ich zbyt wielu, bez entuzjazmu reagowała na pomysł z dzinnem i wampirami.

- Ten wampir będzie dobry - oświadczyła twardo. - Przecież mogą być dobre...

Szwedka patrzyła na nią, zdziwiona.

- To prawda, sprawdzałam w książce - ciągnęła Hani. - Jeśli syn Lilith przeżyje siedem lat przez nikogo nie rozpoznany, uda się do kraju, gdzie ludzie mówią innym językiem i tam stanie się człowiekiem. Może się nawet ożenić i mieć dzieci. Chociaż - dodała z poważną miną - jego córki i synowie byłiby dziećmi Lilith.

- Niesamowite.

- Nie będę tu długo siedzieć - obiecała Hani. - Kiedy skończę pisać, pójdę do biblioteki.

- Nie musisz się spieszyć - rzekła madame Ingrid, sama zaskoczona swoim pozytywnym nastawieniem. Hani wpadała tutaj tak często, iż nie chciało się wierzyć, że kiedyś pozwolono jej przyjść tylko na próbę. Tak właśnie wyraził się bej, kiedy ją pierwszy raz przyprowadził: „na próbę”. Ingrid miała czuwać, żeby dziewczynka nie wchodziła nikomu na głowę. Mówiąc to, mierzył ją surowym spojrzeniem.

Pozwoliła dziecku zająć się opowiadaniem. Dla wszystkich nastaly ciężkie czasy. I nic nie zapowiadało poprawy. Miała nadzieję, że bej nie jest zbyt ostry w stosunku do dziewczynki.

314

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział

28 pArt>zierv»iUA

Przed oczami Avatara pojawiło się okno, a w nim czarny, opływowy helikopter: śmigła obracające się z głuchym łopotem, szyba z ciemnego szkła i żadnych oznaczeń, na podstawie których można by się domyślić, skąd pochodzi pojazd i kto siedzi w środku.

- Selektywna głębia ostrości - rzekł pułkownik. Miał na myśli okulary.

- Co to za helikopter?

- Śmigłowiec bojowy Mi-24x Hind, uzbrojony w działko kalibru 20 mm, przystosowany do wystrzeliwania rakiet Hell-mouth, Rattlesnake i Quickdraw. Cena 189,3 mln dolarów plus 1,6 mln za raketę. Stary model.

- Nie o to mi chodziło - niecierpliwił się Avatar. - Do kogo należy?

- Nie mam pojęcia - odparł pułkownik Abad. - Brak danych. Śmigłowiec nie chciał mi zdradzić nazwy modelu ani orientacyjnej ceny, dopóki nie powiedziałem mu, że nosisz się z kupnem helikoptera. Wtedy, jak zwykle, uruchomiły się automatyczne procedury marketingowe.

Avatar przyglądał się maleńkiej maszynie, która unosiła się jakby na wyciągnięcie ręki. Patrzył, jak

zabawkowe, rzec by można, drzwi otwierają się raptownie i ze środka wysypują się jeszcze mniejsze ludziki z bronią gotową do strzału. Na granicy słyszalności doleciało skądś wycie syren i terkotanie karabinu, równie odległe jak echo wczorajszych petard. Ubrane na czarno postacie strzelały nad głowami niewidocznego tłumu.

- Mam kłopoty, co?

Pułkownik zastanawiał się krótko.

- Szukałeś guza, to będziesz miał za swoje - odpowiedział przeproszającym tonem. - Wszystko przez te ukryte drzwi. Po-

Efendi

5

mysł może nie oryginalny, ale za to skuteczny. Któryś z Medy-ceuszy zrobił coś podobnego w Palazzo Pitti. Oczywiście, różnica jest taka, że tutaj uruchomił się cichy alarm.

Nawet Hani była pod wrażeniem. Zaspawać wszystkie normalne drzwi na pokładzie minus cztery i zostawić jedno przejście w tylnej ścianie skarbca. Komora była zabezpieczona w sposób przestarzały: gaz obezwładniający między ścianą wewnętrzną i zewnętrzną, paralizatory wysokonapięciowe rozmieszczone w pionowych rzędach we framugach. Po przyłożeniu spluwy do głowy rannego mężczyzny w garniturze wszystkie przeszkody zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wszystkie z wyjątkiem kłapy w tylnej części komory, która zaalarmowała satelitę na niskiej orbicie okołoziemskiej. Przez co świrowała połowa agencji wywiadowczych w Europie.

Wyglądało na to, że jedna z nich dotarła na miejsce. \*\*\*

Wspięcie się na pierwszą spiralę schodów poszło łatwo, tym bardziej że pułkownik Abad pouczył Avatara, jak przestawić okulary na pracę w podczerwieni. Walka z chłodem przerastała możliwości pułkownika, mógł jedynie czym prędzej wyprowadzić chłopca z dolnego pokładu. Avatar, kierując się jego wskazówkami, najpierw wysypał z plecaka kajdanki, gaz pieprzowy i sznur, potem wyciął w nim trzy otwory, a na końcu wyrzucił go na lewą stronę i włożył niby kamizelkę.

- Dbaj o temperaturę wewnątrz ciała - poradził mu pułkownik - jeśli nie chcesz, żeby ci mózg przestał działać.

Avatar lekko się zdziwił, że mózg człowieka może przestać działać, lecz posłuchał wskazówki... może dlatego, że od samego początku, czyli od włączenia światła, wykonywał wszystkie polecenia pułkownika Abada.

- Ty mną manipulujesz! - Przystanął, poruszony tą myślą.

- Od tego jestem. - W polu ostrości pojawił się znajomy brodac, gorzko uśmiechnięty. - Choć w dokumentacji technicznej jest mowa o motywacji funkcjonalnej. - Pułkownik wzruszył ramionami w geście bezradności i zniknął.

Avatar gapił się na żelazne schody, rozjaśnione mizerną czerwoną poświatą. Głowa bolała go tak, jakby ktoś mu przybił

Jon Courtenay Grimwood

gwoździami metalową obręcz. Jedynym dowodem na to, że dłonie mu jeszcze nie odpadły od nadgarstków, było to, iż widział jedną z nich w półmroku, owiniętą jak ręka mumii, ciemną przy uchwycie i cynglu rewolweru.

Kolejna niekończąca się spirala schodów i jeszcze jedna. Avatar wciąż z utęsknieniem wypatrywał drzwi, prowadzących na spustoszony pokład z oszronionymi rurami. Trudno, szedł przed siebie wytrwale, choć oddychał chrapliwie, a ze zdrętwiałych ust wypływał tylko bełkot.

- O kurwości... ,

Przeklinał dla samego przeklinania, ale też żeby mieć towarzystwo. Bo ilekroć coś powiedział, na granicy pola widzenia zjawiał się pułkownik. Jego nowy przyjaciel, poważny i współczujący, patrzący z dystansem na historię.

- Masz przed sobą drzwi - odezwał się pułkownik. - Ale najpierw zatrzymaj się i posłuchaj, co ci powiem.

- Nie - sprzeciwił się Avatar, cały drżący. - Jak stanę, nie dam rady iść dalej.

- Wróg zjada dzieci.

Avatar pokiwał głową. Całkiem możliwe. Na świecie nie brakowało pojebów. Jeden z nich zostawił zamordowaną dziewczynę na plaży taty.

- Musisz mnie wysłuchać. To ważne.

Avatar nie oponował.

- No dobrze - rzekł pułkownik. - Słuchaj, nie mam czasu, żeby przerobić cię na moje podobieństwo... choć kusi mnie to, oj kusi...

- Co ty mi tu za kity wciskasz? - mruknął Avatar. - Nie zgodziłbym się na to.

- Tak? A kim chciałbyś być?

- Sobą. DJ Avatarem.

Pułkownik Abad westchnął.

- Załóżmy, że ci się nie uda, a nie uda się na pewno, to kim jeszcze?

Pytanie wydawało się dość dziwne. Zresztą, nie tylko się wydawało, pomyślał Avatar, walcząc z zimnem. To było dziwne pytanie.

- Kimś takim jak Raf - odparł bez dłuższego zastanowienia. Dawniej marzyło mu się zostać drugim Hamzą, ale to się

m

Efendi\_317

zmieniło od tamtej przygody z porywaczami, kiedy Raf przyszedł mu z pomocą. Raf różnił się od wszystkich. Raf był... Każdy uważał beja za wyszkolonego zabójcę, jednego z najlepszych ludzi sułtana, lecz Avatar widział to inaczej...

Raf był naprawdę zakręcony. Zakręcony na maksa.

- Słyszałeś o Lilith?

Pierwsza żona Adama wyleciała z Edenu, bo mu odmówiła. A ściślej, nie chciała pod nim rozłożyć nóg. Kiedy i Adam został wypędzony, Lilith pieprzyła się z nim pod murem Edenu i zaszła w ciążę, gdy Ewa wciąż się na niego boczyła (działo się to, nim Adam okazał skrucę). Po powrocie Adama do Edenu Lilith pieprzyła się z wężem i urodziła dżinna.

Podobnie jak ona, która nie skosztowała owocu, tak samo jej dzieci były nieśmiertelne.

Avatar oglądał ten pikantny film kilka razy.

- On jest taki prawdziwy... - Czuł potrzebę podzielenia się swoimi odczuciami, na wypadek gdyby pułkownik Abad uważał Rafa za walniętego przebierańca czy demonicznego cudaka, jacy ściągali do klubów za Place Orabi, gdzie obowiązywały stroje w kolorze czarnej dziury lub w grobowym wzornictwie rodem z jakiegoś zapadłego getta.

- Prawdziwy?

- Rozumie się. Raf widzi w ciemności i słyszy lepiej niż nietoperz. W razie potrzeby zabija jak zwierzę, instynktownie...

- Lubisz go?

- Jasne. - Pokiwał głową, cięższą niż zazwyczaj. - Miał się ożenić z moją przyrodnią siostrą. Byliby fajną parą. - Zdając sobie sprawę, co powiedział, parsknął śmiechem. Zdziwił się, słysząc charkot, który przedarł się przez zbolące gardło.

- Cóż więc by zrobił ten... syn Lilith?

- Z wrogiem? Na pewno nie brałby jeńców. - Avatar wyobrażał sobie, jak Raf zbliża się chyłkiem do drzwi, zdecydowany wybić wszystkich do nogi, jak porusza się pewnym, nieomylnym krokiem. Niestety, znajdował się daleko i nie mógł mu pomóc, uziemiony gdzieś w al-Iskandarijji. W mieście bez... - Wyłącz światło na statku! - rozkazał.

- Oho, to nie takie proste - odparł pułkownik. - Mogę przejąć kontrolę nad elementami infrastruktury elektrycznej tylko w razie niebezpieczeństwa...

318\_\_Jon Courtenay Grimwood

- Właśnie grozi nam niebezpieczeństwo - przerwał mu Avatar, robiąc przerwy między słowami. - Zresztą, myślałem, że kierujesz tym statkiem.

- Mam rutynowe zadania. Dbam o silniki i systemy zasilające. Zajmuję się bezpieczeństwem na statku i nawigacją morską. Procedury behawioralne są ściśle ograniczone, parametry nie do

ruszenia... - Pułkownik mówił głosem rzeczowym, wypranym z emocji. - Wierz mi, sprawdzałem...

- Gaś światło! - ponowił swoje żądanie Avatar głosem na tyle stanowczym, na ile pozwalały mu dzwoniące zęby.

- Żeby to zrobić, musiałbym zniszczyć instalację elektryczną statku.

- To bierz się do roboty.

- Całą instalację...

- No przecież rozumiem. - Avatar pokręcił głową.

\*\*\*

Na początku dostrzegł w oddali taniec światełek, które poruszały się w dół rwanym ruchem. Złot, przystanek, złot, przystanek... Za pierwszym światełkiem pojawił się drugi, za drugim trzeci. W swoim tańcu zbliżały się do pokładu.

Wiedział, że to nie światełki, ale wrogowie na drugim końcu hali, schodzący po schodach w ustalonym szyku. Jasne punkty w rejonach ciepła między dolnym brzegiem przykrywającej pół twarzy czarnej maski a zapiętym na guziki kołnierzem standardowego jednoczęściowego kombinezonu.

- Ilu ich jest w sumie? - zapytał.

Odpowiedziała mu cisza.

- Ilu? - syknął.

Znowu milczenie, chłodne jak ta mroczna przestrzeń. Pułkownika nie było, odkąd zgasły świetlówki. W zmrożonych rurach, rozbiegających się nad poszyciem pokładu, nie niosły się już stukoty, a nitowana blacha pod stopami Avatara nie dudniła tętnem maszynowni. Jedynie światełki zbliżały się do niego z daleka.

Minąwszy otwarte drzwi, przyskoczył zygżakiem do stalowego słupa. Gdy się o niego oparł, ręka ledwo wyczuła zmianę temperatury.

Pułkownik powiedział, że lepiej otrzymać postrzał na mrozie. Chłód ogranicza wewnętrzne krwawienie. Oczywiście,

Efendi

9

czasem w takich warunkach szwankowała koncentracja umysłu, co ułatwiało wrogowi namierzenie celu.

Trzech tutaj, ilu na zewnątrz?

Próbował odtworzyć w pamięci pokazany mu przez pułkownika obraz maleńkiego śmigłowca zaraz po wylądowaniu, kiedy odemknęły się drzwi i na pokład statku wyskoczyły ciemno ubrane żołnierzyki. Było ich sześciu, może siedmiu. A jeśli ośmiu?

Potrząsnął głową, aby rozruszać otępiały umysł. Miał świadomość, że jeśli szybko czegoś nie wymyśli, świetliki go znajdą i nie będzie już czasu główkować.

Póki nie wiedział, gdzie ulokowali się pozostali komandosi, jego bronią mogła być tylko cisza. Cisza i element zaskoczenia. Cisza i desperacja. A czemu nie cisza i zimne wyrachowanie?

Zresztą, mniejsza o szczegóły.

Stojąc z plecami przypartymi do słupa, wysunął bębenek rewolweru skradzionego chedywowi. Popatrzył na siedem mosiężnych krążków, rozmieszczonych symetrycznie wokół osi, z których jeden był już tylko łuską. Gdy wsunął bębenek, wiedział, że to jest to. Cokolwiek przez to rozumieć.

Napiął kurek z cichym trzaskiem. Wewnętrzny mechanizm obrócił bębenek, tak by na drodze kurka znalazła się pełna mosiężna łuska. Avatar wyciągnął przed siebie drżącą rękę i wziął na muszkę świetlika.

Byli już blisko. Bliżej, niż myślał.

Świat zwolnił. W odstępie czasu między rozbłyskiem lufy rewolweru i rykiem wystrzału próżnia po przejściu kuli wchłonęła jęk wydobywający się z rozerwanej krtani trafionego mężczyzny. Zastrzelony komandos szedł jako ostatni. O wybraniu jego zdecydował przypadek, nie doświadczenie. Avatar po prostu chciał zlikwidować wroga.

Dwa pozostałe, wystraszone świetliki obejrzały się instynktownie. Gdy pierwszy z nich znów skierował wzrok przed siebie, Avatar powtórnie pociągnął za spust. Tym razem kula ugodziła ofiarę w podbródek, nieznacznie zmieniała lot po otarciu się o wewnętrzną stronę szczęki i rozerwała język, zanim zamieniła mózdzek w papkę. Resztki kości potylicznej rozbryzgały się w hełmie. Pomimo tego żołnierz osunął się na kolana i wyrznął czołem o żelazne poszycie pokładu.

Smród gówna zmieszał się z zapachem kordy tu.

### 3\_Jon Courtenay Grimwood

Przeturlaj się! - nakazał sobie Avatar, czując w ustach kwaśny smak wymiocin. To właśnie powinien zrobić. Gdy przetaczał się na bok, nity wznające się w ciało prawie nie sprawiały mu bólu. Przetoczył się jeszcze kawałek, aż grzmotnął o krętą rurę. Towarzyszący temu hałas rozległ się w hali jak huk dzwonu.

Żołnierz natychmiast bluznął ogniem w stronę Avatara; trzy szybkie strzały skrzesały iskry nieprzyjemnie blisko jego nogi. Chłopiec wgramolił się na rurę, spadł z drugiej strony i poczołgał się wzdłuż niej, póki od miejsca, gdzie trafiły kule, nie dzieliło go trzydzieści sekund śmiertelnego strachu.

Wszystko to spowodowało skok adrenaliny. Po raz pierwszy od wielu godzin poczuł się naprawdę rozbudzony. Może tego właśnie potrzebował, może to powinien zrobić już na samym starcie; sprawić, by ktoś do niego strzelił. Gdyby jeszcze mógł się dobrać do ich żołnierskich racji żywnościowych...

Jego przeciwnik trzymał krótką broń z długim, zakrzywionym magazynkiem i lufą długości ludzkiego kciuka. Pułkownik Abad wiedziałby, jaki to model, jak szybko strzela i ile kosztuje. Avatar wiedział tylko tyle, że to niebezpieczna giwera.

Trzy strzały, potem jeszcze trzy. Szczęk cyngla zawsze wróżył fontanny ognia, gdy żołnierz walił na chybił trafił, a pociski trójkami odbijały się rykoszetem od stalowych blach. Błąd komandosa polegał na tym, że mimo posiadania wyposażonej w gogle maski wojskowej strzelał na oślep. Avatar miał dość rozumu w głowie, żeby nie wpięprzać się na scenę.

No to się trafia okazja, pomyślał z przekąsem. Postanowił jednak nie tracić niepotrzebnie energii i przetoczył się z powrotem przez rurę. Wystarczyło już tylko dotrzeć do schodów. Dwadzieścia kroków dalej zatrzymał się i znowu zmienił zdanie. Żołnierz nadal stał w tym samym miejscu; nie patrzył w stronę Avatara, próbował przeniknąć wzrokiem ciemne zakamarki.

Avatar stanął przed dylematem: czołgać się dalej czy załatwić sprawę. Miał jednak pewne opory, bo facet był do niego odwrócony plecami. Zupełnie jakby patrzenie w twarz umierającemu człowiekowi łagodziło winę.

- Hej, tu jestem!

Seria z karabinu rozjaśniła mrok nad jego głową. Innego rodzaju świetliki. Kiedy magazynek karabinu w końcu się wyczerpał, Avatar dźwignął się na klęczki i oddał strzał.

\*

Efendi 321

Rozfcrteł 52

Zi\* pAŻfczicrtliUA

- Już prawie kończę opowiadanie. - Hani podniosła wzrok. Głowę podparła na ręce, łokieć wbijała w kolano. - Ale mogę przerwać...

Siedziała zwrócona plecami do ściany, skąpana w promieniach późnopołudniowego słońca na niewielkim tarasie, wyciętym w spadzistym, szklanym dachu biblioteki.

- Nie musisz. - Madame Syria, piastująca stanowisko starszego bibliotekarza, zrobiła zakłopotaną minę, jakby wstydziła się własnej nieuprzejmości. Choć takimi rzeczami zwykle się nie przejmowała. - Po prostu nie widziałam, jak wchodzisz.

- Na pewno nie potrzebuje pani komputera? - upewniała się Hani, unosząc pożyczonego laptopa z rozłożonymi bateriami słonecznymi.

- Hm...

Kiedy Madame Syria zauważyła otwarte drzwi na balkon, przymierzała się właśnie do sprawdzenia stanu cyfrowych zbiorów biblioteki. Oczywiście, miała całą masę ważniejszych spraw na głowie. Nawet jeśli padł rdzeń i, jak przypuszczała, straciła wszystkie e-książki, nie zwalniało jej to od odpowiedzialności za 1250 tys. tradycyjnych woluminów, takich do ręcznego otwierania i wertowania.

Zresztą, kulturowy wandalizm nie był niczym nowym. Siedemset lat po założeniu biblioteki chrześcijańscy fanatycy zniszczyli 500 tys. manuskryptów, łącznie z oryginałami dzieł Sofoklesa i Arystotelesa.

Znacznie wcześniej na mocy rozkazu cesarza Teodozjusza niemalże do cna zniszczono mniejszą bibliotekę Serapeion, wraz z którą przepadła słynna „Geografika”, wskutek czego wśród

i f

w

322\_Jon Courtenay Grimwood

Europejczyków przez tysiąc lat pokutowało przekonanie, że Jerozolima leży pośrodku świata, a Ziemia jest płaska.

- Proszę pani...

Kobieta zamrugała oczami i popatrzyła na dziewczynkę, która wciąż cierpliwie trzymała komputer.

- Nie, zatrzymaj go sobie - powiedziała prędko. -1 tak mam robotę na dole.

Trudno było zwracać uwagę na małą dziewczynkę, kiedy w mieście i bibliotece panował chaos, tym bardziej że dziecko miało nienaganne maniere i siedziało cicho jak trusia. Madame Syria nie skąpiła jej komputera. Na dole działały dwie maszyny nie podpięte do sieci, przestarzałe modele w skórzanej oprawie. Pytanie, dlaczego działają akurat te trzy laptopy spośród siedemdziesięciu pięciu najrozmaitszych modeli, pozostawało bez odpowiedzi. Madame Syria przyczyny doszukiwała się w tym, że to sprzęt nieużywany, który na samym dole piwnicy czekał w pudle na przydział. Na początku wydawało się, że działać będzie pięć, ale jeden wysiadł prawie od razu, drugi wczoraj rano. Ponoć błędy krytyczne w dostępie do pamięci, ale w sumie, któż się z nimi nie boryka...

- Robię sobie kawę - powiedziała Hani. - Zrobić też pani?

Bibliotekarka mimowolnie pokiwała głową, ale zaraz spo-

chmurniała.

- Wątpię, czy ekspres do kawy rozpozna twój głos - rzekła z żalem, nim sobie przypomniała, że to bez znaczenia, bo zanussi i tak nie działa.

- Znam taki jeden stragan. - Hani rozejrzała się, jakby zamierzała zdradzić sekret. - Na końcu Rue Zaghoul. Dają tam dużo lepszą kawę. Zresztą, dzisiaj tu żadnej nie ma - dodała gwoli wyjaśnienia.

- Jego Ekscelencja pozwala ci samej przechodzić przez ulicę? - Bibliotekarka wyrzała za balkon na biegnącą dołem aleję i nagle zdała sobie sprawę z bezsensowności swojego zastrzeżenia. Nie licząc siedzącego na ławce staruszka w wełnianej szacie, na drodze nie działo się kompletnie nic. Choć w oddali osioł ciągnął prymitywnie zbudowany wóz z kołami wykręconymi z motocykla, a za nim nadjeżdżała konna bryka, nakryta skórzaną budą w obawie przed deszczem.

Hani nie próbowała tłumaczyć, że w takim dniu nic jej się nie stanie na ulicy, tylko pokiwała głową ze zrozumie-



Efendi\_323

niem, co bibliotekarka uznała za kolejny dowód jej dobrego wychowania.

- Wolno mi przechodzić przez ulice - powiedziała Hani, - Bej na wszystko mi pozwala.

Madame Syria uśmiechnęła się i postanowiła pójść po kawę razem z kuzynką beja. Prawdę mówiąc, potrzebowała laptopa, ale zdecydowała się poczekać, aż lady Hani skończy opowiadanie.

2

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział

2» pArbricrtiika

Zobaczył przed sobą dziewczynę ze szkła, podświetloną z tyłu i zamazaną w kłębiastej aureoli buchającej mu z ust pary. Obserwowała go swymi niebieskimi oczami, kiedy wychodził z mroku, a gdy się potknął, potrząsnęła głową, rozsypując długie blond włosy.

Avatar pochylił się w odpowiedzi; twarda obręcz bólu zaciskała się na jego czole, stale dokręcana niewidzialnymi śrubami. Palce tak mu zdrętwiały, że nie wiedział już, gdzie zaczyna się karabin zabitego komandosa, a gdzie kończy się jego ciało. Obie giwery zdawały się jego nieodłącznymi częściami... a może na odwrót. Mniejsza z tym, liczył się rezultat.

Odszedł od dziewczyny bez pożegnania, odwracając się plecami do witrażowego pomnika przyszłości, która nigdy nie będzie udziałem takich jak on, niezależnie od zapewnień jego przyrodniej siostry. Na obszarze delty i wzdłuż rzeki fellahowie nadal posługiwali się częściej motyką niż traktorem. Jedynymi blondynkami, z jakimi miał do czynienia, były dziane turystki, uwalone podczas klubowych wieczorów, choć związane z domem pod każdym względem prócz miejsca przebywania.

Avatar zastrzelił następnego żołnierza, nie wiedząc nawet, że już go wcześniej widział. Kula zmasakrowała gardło. Działał błyskawicznie, niczym automat: uniósł rękę i nacisnął spust, jeszcze zanim poczuł skurcz w żołądku ze strachu przed tym, co się stanie. A więc zlikwidował już czterech.

W polu widzenia zmaterializowało się dwóch następnych żołnierzy, wyraźnie zaniepokojonych. Stanęli w akwariowym półmroku jak sparaliżowani, z napiętą uwagą. Połączeni z siecią dowodzenia, niewątpliwie usłyszeli o losie towarzyszy.

Efendi

2

Żeby to jakoś zmiksować... Avatar oczywiście zamierzał to zrobić, jeśli dane mu będzie stanąć przed stołem mikserskim.

Wyszedszy zza słupa, uniósł karabin i wycelował w najbliższego żołnierza, który w tym momencie mógł polegać wyłącznie na swoim ekwipunku. On zaś na pustce w sercu. Nacisnął spust i poczuł szarpnięcie. Drugi raz to samo i komandos z tyłu, próbujący zrobić krok mimo strzaskanego kolana, zachwiał się i runął na bok, gdy zdrowa noga nie utrzymała ciężaru ciała.

Żadnych jeńców.

Zbliżył się do rannego żołnierza i skierował na niego lufę taurusa. Leżąca postać skurczyła się: komandos skulił ramiona i podwinął nogi, aby uchronić przed uszkodzeniem żywotne organy. Zadziałał instynkt wyrobiony w ciągu tysięcy lat historii człowieka. Instynkt, który jeszcze nie oswoił się z bronią palną.

Avatar przykucnął z rewolwerem w dłoni. Ranny się wzdrygnął. Prosty zatrzask maski wykonany był z tworzywa ceramicznego, pomalowany na kolor czarny, aby nie przyciągać wzroku. Gruby, neoprenowy pasek hełmu przyszyto zwyczajnie do wyściółki. Zagadkę stanowiły elektrody przymocowane bezpośrednio do głowy.

Nie zastanawiał się jednak nad elektrodami, wpatrzony w ciemnoniebieskie oczy dziewczyny trochę starszej od niego. Na jej szerokiej twarzy malował się wyraz, w którym natychmiast wyczytał pogodzenie się z losem. Nadal myślała, że zaraz ją zabije.

Tak, tylko po co miałby zdejmować jej maskę? W zasadzie, sam nie wiedział, czemu to zrobić. Może tak właśnie postąpiłby Raf? W każdym razie, nie spodziewał się, że zobaczy pod maską twarz rosyjskiej jasnowłosej żniwiarki.

Musiła pochodzić z Kraju Rad. Żaden inny europejski kraj nie wysyłał kobiet na linię frontu. Komandos radzieckiego Specnazu na pokładzie eks-radzieckiego liniowca spotkał się oko w oko z bezdusznym gnojkiem z delty Nilu.

- Czy na pewno z delty? - mruknął pod nosem Avatar. Może w połowie z- Abisynii albo nawet z pustyni Danakil? Trudno powiedzieć. Jeśli gdzieś zachowało się zdjęcie jego matki, to chyba tylko w dokumentach ONZ lub Czerwonego Krzyża, razem z grupą krwi i wycinkiem tkanki. - Cholera, wszystko mi się jebie...

326

Jon Courtenay Grimwood

Błysk w świdrujących go oczach zdradzał, że ranna dziewczyna domyśliła się sensu słów, rozważając ton jego wypowiedzi w umyśle przyćmionym hormonalną burzą strachu i nadziei. Przez cały ten czas z maski wydobywały się niezrozumiałe, lecz natarczywe pytania. Wypowiedane w języku, którego nie znał, pochodzące ze świata, o którym nie miał bladego pojęcia.

- Oddaj karabin!

Starął się używać prostych słów. Dziewczyna, chociaż ich nie rozumiała, podążyła za jego spojrzeniem, aż zobaczyła to, na co patrzył, i wszystko stało się jasne. Niemniej wciąż przyciskała broń do siebie dłonią siną w kostkach, z palcem na spuście, tak że wystarczyłoby drzenie, a rozwaliby sobie drugie kolano, bo w nie właśnie mierzyła.

- No dawaj!

Kulka w głowę, taka byłaby rada pułkownika Abada. Avatar postanowił cierpliwie zaczekać, aż dziewczyna przetrawi jego żądanie i podejmie decyzję. Gdyby świat kończył się na wojnie, pewnie

przyznałby rację pułkownikowi. Naturalnie, jeden głupi numer z jej strony, a nie mógłby dłużej się wahać. Dziewczyna na szczęście zwolniła uścisk i odsunęła karabin, który Avatar poczęstował kopniakiem. Później uśmiechnął się przepraszająco i nadepnął na kostkę jej zdrowej nogi, aby i ta przestała nadawać się do użytku.

Jeden jedyny raz miał wrażenie, że widzi matkę. Stała za bramą szkoły św. Łukasza i zza leciwych kutych prętów wytrzeszczała oczy na schludnie ubrane dzieci, które na rozmiękłym asfalcie kopały gumową futbolówkę i grały w kosza, popisując się efektownymi wsadami do obręczy zamocowanej na ścianie szkolnego budynku.

Wyglądała na starą, ale raczej była młoda. Między fałdami grubego hidżabu dojrzał jej szczupłą twarz. Rozglądała się badawczo po boisku, jakby czekała, aż zrobi się ciszej. Wreszcie odnalazła jego spojrzenie. To na nim się skupiła, to jego pożerała wzrokiem. Jedna z sióstr pośpieszyła w jej stronę, aby się dowiedzieć, kim jest i czego chce ta kobieta.

Avatar rozwalił głowę żołnierzowi stojącemu na straży przy starym skarbcu bankowym. Jeden strzał zza uchylonych drzwi.

3

Jon Courtenay Grimwood

Błysk w świdrujących go oczach zdradzał, że ranna dziewczyna domyśliła się sensu słów, rozważając ton jego wypowiedzi w umyśle przyćmionym hormonalną burzą strachu i nadziei. Przez cały ten czas z maski wydobywały się niezrozumiałe, lecz natarczywe pytania. Wypowiadane w języku, którego nie znał, pochodzące ze świata, o którym nie miał bladego pojęcia.

- Oddaj karabin!

Starał się używać prostych słów. Dziewczyna, chociaż ich nie rozumiała, podążyła za jego spojrzeniem, aż zobaczyła to, na co patrzył, i wszystko stało się jasne. Niemniej wciąż przyciskała broń do siebie dłońią siłą w kostkach, z palcem na spuście, tak że wystarczyłoby drzenie, a rozwaliłaby sobie drugie kolano, bo w nie właśnie mierzyła.

- No dawaj!

Kulka w głowę, taka byłaby rada pułkownika Abada. Avatar postanowił cierpliwie poczekać, aż dziewczyna przetrawi jego żądanie i podejmie decyzję. Gdyby świat kończył się na wojnie, pewnie przyznałby rację pułkownikowi. Naturalnie, jeden głupi numer z jej strony, a nie mógłby dłużej się wahać. Dziewczyna na szczęście zwolniła uścisk i odsunęła karabin, który Avatar poczęstował kopniakiem. Później uśmiechnął się przepraszająco i nadepnął na kostkę jej zdrowej nogi, aby i ta przestała nadawać się do użytku.

\*\*\*

Jeden jedyny raz miał wrażenie, że widzi matkę. Stała za bramą szkoły św. Łukasza i zza leciwych kutych prętów wytrzeszczała oczy na schludnie ubrane dzieci, które na rozmiękłym asfalcie kopały gumową futbolówkę i grały w kosza, popisując się efektownymi wsadami do obręczy zamocowanej na ścianie szkolnego budynku.

Wyglądała na starą, ale raczej była młoda. Między fałdami grubego hidżabu dojrzał jej szczupłą twarz. Rozglądała się badawczo po boisku, jakby czekała, aż zrobi się ciszej. Wreszcie odnalazła jego spojrzenie. To na nim się skupiła, to jego pożerała wzrokiem. Jedna z sióstr pośpieszyła w jej stronę, aby się dowiedzieć, kim jest i czego chce ta kobieta.

Avatar rozwalił głowę żołnierzowi stojącemu na straży przy starym skarbcu bankowym. Jeden strzał zza uchylonych drzwi.

Efendi

327

Żołnierz Specnazu powinien był zamknąć komorę po przepuszczeniu towarzyszy z oddziału, ale nie mógł, bo przecież wysiadły wszystkie urządzenia elektryczne na statku.

W rewanzu Avatar został trafiony w lewe ramię. Kula rozerwała mięsień i przeszła na wylot. Był tak przemarznięty, że poczuł tylko lekkie ukłucie, i zbyt zajęty zabijaniem drugiego strażnika, by zwracać uwagę na krew, która poplamiła grube płótno prowizorycznej kamizelki.

Zostało dwóch, może jeden. Wszystko się rozegra na górnym pokładzie.

Gdy wrócił myślami do brudnego, dawno zapomnianego boiska, matki już nie było. Odeszła z jego pamięci i sprzed wysokiej bramy, zanim siostra Carlotta przemierzyła skrawek kleistego asfaltu.

Przed sobą miał kolejne schody i przestrzeń oświetloną promieniami słońca.

Wysunąwszy bębenek rewolweru, pozbył się pustych łusek i za pomocą szybkoładowacza włożył siedem nowych naboju. W pożyczonym karabinie miał pełen magazynek.

32

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział

■ 29 pAżt>ricrvłika

- To raj! - Krzyk rozentuzjasmowanej Hani rozległ się na całym górnym piętrze biblioteki, aż echa dudniące wewnątrz gigantycznej piramidy zostały wchłonięte przez nieprzeliczone regały z książkami.

- Hani!

- Wiem! - radowała się. - Raj. Dżannah...

Madame Syria zadzieraa głowę ku najwyższemu półpię-tru, gdzie dziewczynka, która na dobrą sprawę nie powinna tu w ogóle przebywać, wychylała się niebezpiecznie daleko nad poręczą i jednocześnie wskazywała palcem za siebie, w kierunku ciemnego kształtu na horyzoncie.

SS „Jannah” miał klasyczną sylwetkę wielkiego liniowca; kabiny i apartamenty, niby wielki schodkowy ziggurat, wznosiły się wysoko nad głównym pokładem wzdłuż lewej i prawej

burty, podczas gdy stalowo-szklany mostek kapitański sterczał na przedzie tej swoistej budowli jak głowa ryby młota. W części rufowej między dwiema wieżami wisiała oszklona kapsuła kasyna. Wszystko na statku było białe oprócz samego pokładu, obsadzonego długim szpalerem palm i wypielęgowanymi trawnikami.

Fakt, że ów olbrzymi kadłub stanowił kiedyś fragment radzieckiego statku przetwórci, był znany już tylko kolekcjonerom żeglarskich ciekawostek, miłośnikom okrętów, Koenigowi Paszy i Hani.

- Tam! - Dziewczynka wrzeszczała jak opętana.
- Hani! - Na twarzy Madame Syrii odbijała się złość i nieskrywany strach, bo kuzynka gubernatora w każdej chwili mogła runąć z wysoka na marmurową posadzkę.

32

Jon Courtenay Grimwood

Rozt>zteł 54

29 pAŻtJziertiliA

- To raj! - Krzyk rozentuzjasmowanej Hani rozległ się na całym górnym piętrze biblioteki, aż echa dudniące wewnątrz gigantycznej piramidy zostały wchłonięte przez nieprzeliczone regały z książkami.
- Hani!
- Wiem! - radowała się. - Raj. Dżannah...

Madame Syria zadzierała głowę ku najwyższemu półpiętru, gdzie dziewczynka, która na dobrą sprawę nie powinna tu w ogóle przebywać, wychylała się niebezpiecznie daleko nad poręczą i jednocześnie wskazywała palcem za siebie, w kierunku ciemnego kształtu na horyzoncie.

SS „Jannah” miał klasyczną sylwetkę wielkiego liniowca; kabiny i apartamenty, niby wielki schodkowy ziggurat, wznosiły się wysoko nad głównym pokładem wzdłuż lewej i prawej burty, podczas gdy stalowo-szklany mostek kapitański sterczał na przedzie tej swoistej budowli jak głowa ryby młota. W części rufowej między dwiema wieżami wisiała oszklona kapsuła kasyna. Wszystko na statku było białe oprócz samego pokładu, obsadzonego długim szpalerem palm i wypielęgowanymi trawnikami.

Fakt, że ów olbrzymi kadłub stanowił kiedyś fragment radzieckiego statku przetwórci, był znany już tylko kolekcjonerom żeglarskich ciekawostek, miłośnikom okrętów, Koenigowi Paszy i Hani.

- Tam! - Dziewczynka wrzeszczała jak opętana.
- Hani! - Na twarzy Madame Syrii odbijała się złość i nieskrywany strach, bo kuzynka gubernatora w każdej chwili mogła runąć z wysoka na marmurową posadzkę.

Efendi

- Niech pani zobaczy! - nalegała Hani.

Starsza bibliotekarka posłuchała dziewczynki i już po chwili nie posiadała się ze zdumienia. Tylko raz w dzieciństwie widziała SS „Jannah”, z pokładu trimaranu kursującego z al-Iskandarijji do Syrakuz, gdy łódź zwolniła obroty, aby pasażerowie mogli podziwiać przepływający liniowiec.

- Musimy powiedzieć wujkowi Aszrafowi! - krzyknęła Hani, gnając po schodach. - To ważne!

-Wujkowi... - Wprawdzie madame Syria wiele razy słyszała, jak dziewczynka nazywa gubernatora al-Iskandarijji, nadal jednak coś jej w tym zgrzytało. Z drugiej strony, łączyły ich więzy pokrewieństwa, a Hani była mesdame, więc...

Lady Hana bint Abdullah al-Mansur, powszechnie znana jako Hani, wypadła ze schodów, chwyciła za rękę kobietę w średnim wieku i praktycznie pociągnęła ją po różowej marmurowej posadzce do wyjścia.

- Raj! - darła się Hani. - On jest już prawie tutaj! - Tyle razy krzyczała o tym w powozie na tylnym siedzeniu, że gardło ją bolało.

-Co?

- No raj. SS „Jannah”. - Dziewczynka uśmiechała się od ucha do ucha. - To prawda. Niech jej pani powie - dodała, odwracając się do madame Syrii.

Bibliotekarka popatrzyła na Zarę i przeniosła spojrzenie na otwierające się drzwi do gabinetu.

- Wasza Ekszelencjo - przywitała się prędko.

Aszraf bej miał skwaszoną minę. W gabinecie siedzieli St Cloud, graf i seriator Liz, reprezentujący odpowiednio interesy Paryża, Berlina i Waszyngtonu. Każdy wyrobił sobie zdanie w kwestii osądzenia efendiego, każdy zaciekle bronił swego stanowiska i każdy używał innych argumentów. Nikt nie zamierzał popuszczać. Wydawało się, że wszystko, ale to wszystko jest kwestią zasad.

Egzekucja skazanego zostałaaby źle przyjęta przez światową prasę, więc chcieli wymierzyć mu karę dożywotniego więzienia w twierdzy Ras el-Tin. A przecież jeszcze nie uznano go winnym.

330\_Jon Courtenay Grimwood

Hani wysunęła dłoń z uścisku madame Syrii, grzecznie, acz stanowczo okrążyła stojącą w przejściu Zarę i stanęła przed wujkiem.

- Rozwiązałam - oznajmiła konfidencjonalnym szeptem.

- Co znowu rozwiązałaś?

- Zagadkę, a cóż by innego? - Rozentuzjasmowana Hani odsłoniła zęby w uśmiechu,

lecz zaraz się opanowała i przybrała stateczną, choć wesołą minę. Ale wyraz na jej twarzy zmienił się całkowicie, kiedy coś ją zaniepokoiło na stole w gabinecie. - O, bakława! - zauważyła tonem ni to zachwyty, ni to oburzenia. - Masz świeżą bakławę! - Nie czekając na zaproszenie, jakby nie widziała gości, wśliznęła się do gabinetu i usiadła na jego miejscu.

- Hani.

Osoba dobrze wychowana nie odpowiada z pełnymi ustami, toteż milczała.

- To moja wychowanka - oświadczył Raf, patrząc, jak szacowni goście przenoszą wzrok na dziewczynkę i z powrotem na niego.

- Do portu wpływa statek - powiedziała Hani, kiedy już nic nie miała w ustach, a musiało upłynąć trochę czasu, bo ostentacyjnie przeżuła kęs trzydzieści dwa razy, jak nauczyła ją nieżyjąca ciotka Nafisa. - SS „Jannah”.

Taufik pasza z góry ułożył sobie mowę i przygotował się na odrzucenie wszelkich obiekcji. Gadające radyjko, które brat Zary znalazł w zębie statku, okazało się pod wieloma względami nieoceniszone. Pracownicy atelier przez dwanaście godzin szyli mu drugą marynarkę, bo pierwsza nie spełniła narzuconych przez niego rygorystycznych norm.

Marynarkę wzorowano na tej, którą ojciec miał na sobie na ślubie z jego matką, co chyba wszyscy widzieli w ciągle odgrzewanych odcinkach „Życia bogatych i sławnych”. Uszyta z czarnego jedwabiu, była ozdobiona w stopniu minimalnym, właściwie tylko złotą lamówką na stójkowym kołnierzyku. Niestety, chedyw w najnowszym wydaniu był od poprzedniego węższy w ramionach i biodrach, aczkolwiek krawcy starali się ukryć tę różnicę.

Efendi

3

Za radą pułkownika Abada zgolił bujny zarost, zostawiając jedynie maleńką kozią bródkę i delikatny cień wąsa. Z pomocą Avatara wziął prysznic, wytarł się i przywdział swój nienagannie skrojony strój; jego ubranie w pełni zasługiwało na miano stroju, bo odzwierciedlało społeczne wyobrażenia o tym, jak powinien wyglądać chedyw.

Głowę Taufika paszy przyozdobił tarbusz. Na piersi przypiął prostą, częściowo emaliowaną gwiazdę ze złota: Order Imperialnego Półksiężycy 1. Klasy. Nie wybrał go przez przypadek. Zamierzał przypomnieć oczekującym dziennikarzom, że wciąż łączy go ze Stambułem więzy lojalności.

A zapowiadało się, że dziennikarzy będzie zatrzęsienie, w tym wiele ekip telewizyjnych. Świadczyły o tym niezliczone programy, które oglądał, kiedy SS „Jannah”, buchając parą, zbliżał się z zachodu do al-Iskandarijji. Metropolia pozbawiona prądu, sprawnych komputerów, połączeń telefonicznych, nawet możliwości korzystania z samochodów i kuchenek elektrycznych. Jej paraliż przyciągał media jak osy do pułapki z miodem. Chedyw podejrzewał, że tak sobie to zaplanował nowy gubernator.

Stojąc w towarzystwie lekko rannego Avatara (tuż przed nim, zgodnie z wymaganiami etykiety), Muhammad Taufik pasza patrzył, jak ludzie wielkości mrówek chwytają linę przy

rufie i taszcza olbrzymią pętlę w stronę pachołka cumowego. Dźwigało ją ośmiu mężczyzn, a mimo to uginali się pod ciężarem.

Gdy już lina znalazła się na właściwym miejscu, napinała się wciągarka na rufie, by podciągnąć statek do przodu. Po stronie dziobowej druga brygada mrówek ściągała poluzowaną linę z pachołka, zanosila ją do następnego i tam mocowała. W tym momencie zaczynała się napinać wciągarka na przedzie okrętu. Była to nad wyraz żmudna metoda przeciągania statku wzdłuż Silsileh i zapewne dałoby się prościej przeprowadzić manewr cumowania do wału nadmorskiego... gdyby rzecz nie dotyczyła SS „Jannah”.

Na pokładzie przebywały gwiazdy, gwiazdeczki i aktualni idole, całe konstelacje znanych osobistości. A w zasadzie miały przebywać, jeśli wierzyć pismakom z „Hello International”. Mówiono: plejada, lecz w rzeczywistości koniec października

### 3\_Jon Courtenay Grimwood

i początek listopada był okresem posezonowym. W skład rzeczony konstelacji wchodziły jedynie trzy wnuczki prekursora biokomputeryzacji, sędziwy założyciel LearningCurve GmbH, dwóch tysiących hollywoodzkich flirtarzy, młoda Van der Bilt i on...

Rządca sparaliżowanego miasta, osaczonego zewsząd przez potężniejsze kraje, którym rzekomo leżało na sercu wyłącznie dobro al-Iskandarijji. Kraje, które - a wystarczyło posłuchać serwisów informacyjnych - nadal domagały się wydania najza-możniejszego iskandaryjskiego przemysłowca. Czemu miałyby to służyć? Udowodnieniu, że al-Iskandarijji należy się miejsce w gnieździe żmij?

Pułkownik Abad miał rację. O jedno żądanie za daleko.

Taufik pasza gniewnie marszczył brwi, kiedy zautomatyzowany trap prznosił go na nabrzeże. Wszyscy zauważyli tę minę oprócz niego. Toczył uważnym spojrzeniem po swoim milczącym mieście, sięgając wzrokiem poza obleganą przez tłumy promenadę ku bibliotece w kształcie dziwnie kanciastej piramidy, pograżonym w zieleni ogrodom Szallalat i odległemu barokowemu pałacowi, którego architekt wygrał sto lat temu konkurs na projekt nowego dworca kolejowego.

Jego marsowa mina wynikała bezpośrednio ze stanu, w jakim zastał miasto po powrocie z wczasów. Nie miała nic wspólnego z Zarą bint Hamza, stojącą blisko trapu, ani faktu, że trzymała się kurczowo ręki Aszrafa beja, jakby od tego zależało jej życie.

A może życie jej ojca?

- Wasza Wysokość - rzekła, puszcżając dłoń Rafa.

Taufik pasza skinął głową i nieco się rozchmurzył, ale

zanim znalazł stosowne słowa, Zara skierowała uwagę na przyrodniego brata. Przekazali sobie jakąś wiadomość, cichą jak myśl i szybką jak prąd elektryczny. Dopiero potem zauważyła, że Avatar jest ranny.

\*\*\*



- Chciałbym wygłosić oświadczenie! - oznajmił gromko chedyw.

Ekipy telewizyjne ruszyły ławą. Przynajmniej tak to wyglądało, bo w rzeczywistości kordon policjantów, coraz lepszych

Efendi

3

w te klocki, celowo rozluźnił szeregi, aby dziennikarze mogli się precyzyjnie w paru strategicznych miejscach.

Szumiały kamery, błyskały flesze, padały wrzaskliwe pytania.

A chedyw po prostu stał, licząc w myślach do dziesięciu, elegancki, choć drobny w swoim prostym, czarnym garniturze. Jego twarz nie odzwierciedlała żadnych uczuć, gdy wokół rozpętał się chaos. Dawał dowód odwagi tym powstrzymaniem się przed natychmiastową wymianą ciosów, instynktownym zrobieniem tego, co wszystkim by się spodobało.

- Pani! - odezwał się wreszcie po doliczeniu do dziesięciu.

- Wasza Wysokość... - Wybrana Angielka z jasnymi, spryskanymi lakierem włosami nie mogła się zdecydować, które pytanie zadać. Zbyt wiele ich cisnęło się na usta, przeważnie dotyczących olbrzymiego okrętu, który stał na cumie.

- W jaki sposób...?

- Jestem właścicielem SS „Jannah”.

Patrzyła na niego skonsternowana; reszta pytania wywietrzała jej z głowy.

- Należał do mojego ojca - ciągnął chedyw, wzruszywszy ramionami. - Utopia Lines tylko dzierżawi statek. - Przy okazji mógł powiedzieć, że to zakrawa na absurd, by tak duża rzecz należała do jednego człowieka, lecz nie była po temu odpowiednia pora. Jeżeli posiadanie liniowca zasługiwało na potępienie, to cóż dopiero rzecz o posiadaniu miasta, nawet w tak żalnym stanie?

Dziennikarka spojrzała na statek i potem znowu na chedywa. Kilka stóp nad jej głową buczała latająca kamera; jeden obiektyw kierował się zawsze na jej twarz, drugi tam gdzie akurat wędrował jej wzrok.

- Energia elektryczna! - Rozpogodziła czoło, tknięta odkrywczą myślą. - Zamierza pan użyć statku do zasilania w prąd al-Iskandariji? - Potężny okręt mógł być źródłem energii dla małego miasta; była pewna, że pisało gdzieś o tym w dokumentacji technicznej.

- Do zasilania w prąd miasta? - Musiał przyznać, że to niezły pomysł. Ale nie dlatego liniowiec po raz pierwszy od czterdziestu lat zawinął do portu. - Nie, nic z tych rzeczy. Po

3\_Jon Courtenay Grimwood

wczorajszym nie spowodowanym ataku na SS „Jannah” okręt musi przejść remont.

Powstał piekielny tumult.

Ignorując dzikie wybuchy pytań, Taufik pasza przypatrywał się ciżbie. Jego spojrzenie przesunęło się obojętnie po twarzach Zary i Rafa, aż wreszcie odnalazł człowieka, którego szukał: radzieckiego ambasadora, komisarza Żukarowa.

- Atak miał miejsce wczoraj w samo południe - powiedział. - Ośmiu komandosów w śmigłowcu bojowym Mi-24x Hind. Maszynie szturmowej produkcji radzieckiej - dodał, choć większość ludzi zebranych na Silsileh, łącznie z komisarzem, nie potrzebowała uściślenia.

Komisarz był zaawansowanym wiekiem dyplomata, dożywającym emerytury na względnie spokojnej placówce. Pracę w al-Iskandarijji prawdopodobnie dostał w nagrodę za to, że miał zwyczaj bez szemrania wykonywać rozkazy. Z jego twarzy chedyw mógł wyczytać strach, nawet panikę, ale na pewno nie wyrzuty sumienia. Co wcale nie dziwiło.

- Całkiem możliwe, że śmigłowiec został uprowadzony - przyznał Taufik pasza. Tak naprawdę, wszystko jest możliwe.

- Czy to sprawka terrorystów? - padło pytanie z prawej strony. Zadał je Francuz.

- Nie, złodziei biżuterii. - Poczekał, aż tłum dziennikarzy przetrawi tę wiadomość. - To jest moje osobiste zdanie. Faktem jest, że włamali się do sejfu.

- Myślałam, że nie da się sforsować skarbca na pokładzie SS „Jannah” - włączyła się znowu do rozmowy Angielka z lakierem na włosach.

Widząc pożądlivość w jej oczach, chedyw mógł przewidzieć, jaki będzie ciąg dalszy tej historii.

- Nie ma rzeczy w stu procentach bezpiecznych - odparł ostrożnie.

- Zwłaszcza dla włamywaczy z grotami termicznymi - wtrącił uśmiechnięty Avatar głosem ulicznego cwaniaczka, eksperta w tych sprawach.

Strzeliły flesze.

Nie istniało coś takiego jak groty termiczne, ale dziennikarka nie mogła tego wiedzieć, podobnie jak nikt z tutaj zgromadzonych. Śmigłowiec został skonfiskowany. Ciała komandosów na rozkaz

Efendi

3

Taufika paszy - wyrzucone za burtę. Dziennikarze mogli sobie pisać

0 pogrzebie na morzu, chedywowi było wszystko jedno.

- Doszło do wymiany ognia?

Zastanowił się nad odpowiedzią.

- Doszło do małej potyczki - oznajmił w końcu, zerkając znacząco na Avatara i jego

obandażowane ramię. - Jak wiadomo, liniowiec dysponuje doskonałą ochroną. - Wykrzywił usta w kwaśnym uśmiechu. Zabrzmiało to jak reklama Utopia Lines.

- A więc ujęto włamywaczy?

- Nie. Byli uzbrojeni i zostali zabici. - Ogarnął wzrokiem komisarza, von Bismarcka, kobietę reprezentującą senat USA

1 podstarzałego Francuza, którego tytuł ciągle się zmieniał. - Oprócz dwóch - dorzucił, jakby sobie nagle przypomniał.

Jak na komendę, dwaj potężnie zbudowani członkowie załogi przeprowadzili przez trap kuśtykającą Rosjanekę. Za nią chwiejnym krokiem szedł niewysoki mężczyzna, któremu trzeci marynarz przykładał rewolwer do krótko ostrzyżonej głowy. Aparaty błyskały jak szalone... na co liczył chedyw.

- Aszrafie beju.

Raf przestał szeptać z Zarą i wystąpił naprzód. Ukłonił się nieznacznie, co bardziej przypominało skinienie głową.

Chedyw uniósł brwi.

- Proszę zająć się nimi.

-Tak, Wasza Wysokość - odparł Raf i podniósł palec. Jeden z jego podwładnych natychmiast oderwał się od kordonu. - Przekazuję ci zatrzymanych - powiedział. - Zabierz ich do szpitala Imperial Free... - Odwrócił się do Hakima. - A ty pilnuj, żeby włos im z głowy nie spadł. Aha, będzie potrzebny lekarz.

Kto miałby im zrobić coś złego, tego nie powiedział.

- Wasza Ekscelencjo.

Raf odwrócił się w stronę grupki poruszonych dziennikarzy.

- Co z poniedziałkową rozprawą?

- W jakim sensie?

- Czy po powrocie Jego Wysokości nadal pan będzie magistrem?

- Nie, nie będzie! - odezwał się chedyw na tyle donośnym głosem, żeby usłyszeli go nawet ci stojący najdalej. Ale nawet

gdyby mówił ciszej, skupiało się na nim dość latających kamer i mikrofonów, żeby jego odpowiedź poznał cały świat. - Wyznaczam Aszrafowi bejowi funkcję oskarżyciela publicznego.

Raf napotkał twarde spojrzenie chedywa. Decyzja została podana do publicznej wiadomości i nie było od niej odwołania.

- Bądź co bądź - dodał Taufik pasza - walka z przestępczością leży w kompetencjach

każdego gubernatora.

- Czy w tym przypadku miss Quitrimala nadal będzie reprezentować ojca?
- W jakim przypadku?

Dziennikarka z Anglii nie potrafiła odpowiedzieć.

Chedyw pogładził swoją skąpą bródkę. Przez ułamek sekundy wyglądał na swojego dziadka w młodym wieku.

- Jako magister, zatwierdzę każdą osobę wskazaną przez oskarżonego. - Starannie dobierał słowa. - Aczkolwiek, biorąc pod uwagę okoliczności, radziłbym wynająć dobrego prawnika.
- Ale Quitrimala nie chce wytypować obrońcy. - Angielka mówiła pełnym napięciem głosem, jakby chodziło o wielki, ludzki dramat. - Co więcej, nie zgadza się na kandydatów wyznaczonych przez sąd.
- No cóż, ma do tego prawo - odpowiedział chedyw. Po raz pierwszy od zejścia na nabrzeże patrzył prosto na Zarę.

Hani wstrzymała oddech.

—

Efendi 337

Rozt>zi\*1 55

W pAŻt>Zicr>i1UA

Ponury korytarz, jak zwykle w tego rodzaju zakładach, pomalowano na beżowo. Brudne płytki z PCV podwinęto pod ścianami, aby sprzątający mogli bezpiecznie wylewać na podłogę kubły wody. Była to pozostałość po starych, złych czasach, kiedy w tym skrzydle budynku osadzano osobników obłąkanych, nie kontrolujących własnych czynności fizjologicznych i politycznie niewygodnych.

Wymienione wyżej przypadłości często się ze sobą zbiegały. Zwłaszcza pod rządami dziadka obecnego chedywa, kiedy lekarze wojskowi ćwiczyli na pacjentach dosyć ostre metody resocjalizacji.

Raf cicho przemierzał korytarz, starając się nie mrużyć oczu, gdy raził go blask sączący się przez zabrudzone okna. Nie miał przeciwsłonecznych okularów, a nawet pięcioletnie złogi kurzu i pajęczyn nie chroniły przed światłem.

Hakimowi i Ahmedowi kazał poczekać w kawiarni Athi-nos, usytuowanej naprzeciwko głównego wejścia do szpitala. Co prawda, początkowo trochę kręcili nosem, ale w końcu ich przekonał: ulegli z niepokojącą łatwością, puszczając go niezapowiedzianego do szpetnego, betonowego budynku. Razem z gwardzistami pozostawił Eduarda, który jeszcze nie otrząsnął się z szoku po odkryciu, że „szef”, jak przyzwyczał się nazywać swego mocodawcę, jest gubernatorem al-Iskandarijji.

Fasada szpitalu Imperial Free była objęta ochroną, podobnie jak wszystkie budynki wokół Portu Zachodniego wpisane w rejestr zabytków. Widok z morza zyskał sobie taką sławę, że przed laty Koenig Pasza zarządził, by nie zmieniano zabudowy.

0Ę.

338\_Jon Courtenay Grimwood

Kiedy Raf po raz pierwszy wszedł do szpitala, pracownik ochrony oglądał program Ferdiego Abdullaha. Wlepił wzrok w publiczny ekran jak człowiek, któremu ostatnio odmawiano tej jednej z podstawowych życiowych przyjemności. Nawet jeśli zauważył młodego, zasępionego mężczyznę z kwiatami i w czapce Dynama, zaraz o nim zapomniał.

Raf pozdrowił skinieniem głowy przechodzącego woźnego, który miał wrażenie, że widział już gdzieś tego gościa; ten kibic Dynama chyba już kogoś tu odwiedzał. Zapewne narzeczoną, sądząc po wielkości bukietu. Normalny facet nie trwonilby tyle szmalu na żonę.

Po dojściu do wind Raf nacisnął pierwszy lepszy guzik. Na oddziale położniczym przesiadł się do drugiej windy, zjechał dwa piętra, a potem schodami pożarowymi wspiał się nad oddział położniczy, gdzie mieściły się opuszczone sale. Tam przespacerował się na drugi koniec korytarza, pod samo duże okno.

Defenestracja. Paskudne słowo na określenie pewnego haniebnego procederu. Raf znał mniej barbarzyńskie sposoby wywierania nacisku. Wyciągnął z kieszeni maleńki dyktafon, jeszcze raz sprawdził, czy urządzenie działa i baterie są naładowane, po czym schował je do wyświechtanej skórzanej kurtki. Kurtkę pożyczył od Eduarda - tę samą, którą ów miał na sobie, kiedy składali wizytę w burdelu.

W zasadzie, nie musiał bać się o dyktafon Brauna, bo kupił go niedawno w sklepiku na statku SS „Jannah”. Po prostu grał na zwłokę. Dysponował już szyfrem do zamka w drzwiach. Dostał go od Hakima, który stał na straży pod tymczasową celą więzienną, gdy otrzymał rozkaz spotkania się z Rafem na parkingu dla ciężarówek za kawiarnią Athinos.

Ponieważ lekarz specjalista zrobił już dzisiaj obchód, a poza profesorem Mahrufem jedynie Ahmed i Hakim byli upoważnieni do wchodzenia do celi, Rosjanka właśnie ich się spodziewała.

- Cześć - przywitał się Raf.

Przebywała w malusieńkiej klitce. Ściany były tu wymoszczone bawełnianymi odpadkami i obłożone twardym płótnem. Wysoko pod sufitem znajdowało się wąziutkie okno z kratą. Przyjazne w myciu płytki i tutaj wywijały się pod ścienną izolację. Zgodnie z przewidywaniami, cela sprawiała ponure wrażenie.

Efendi

39

- Powiedziałem: cześć.

Nie odpowiedziała. Siedziała na wózku inwalidzkim z nogami w gipsie i prawa ręką przypiętą

kajdankami do poręczy wózka. Na podłodze, poza jej zasięgiem, stała pusta kaczka. Patrzyła tak, jakby chciała, żeby Raf podał jej naczynie i wyszedł.

Nie poprosiła jednak. Co nie zmieniało postaci rzeczy. Zostawiono ją samą na godzinę, bo Raf kazał Hakimowi tak właśnie to rozegrać.

- Kontrola. - Wyciągnął z łóżka i włączył kartę z historią choroby. Jej połamane kości nośne pokryto jedwabną macierzą. W sieci macierzy wysiane komórki odkładały złogi wapnia i wytwarzały mRNA dla prokalgenu, prekursora włókien kolagenowych znajdujących w kościach. - Leczą cię najlepszymi metodami, ale jeśli zechcę, z łatwością połamię te wszystkie macierze. - Usiadł na łóżku obok wózka inwalidzkiego, czekając, aż dziewczyna okaże strach.

Musiała przejść profesjonalne szkolenie, bo w jej niebieskich oczach nie było lęku. Za to szeroka twarz ściągnęła się w wyrazie zwątpienia, jakby nie oczekiwała niczego dobrego... bo i nie oczekiwała. Wszystkim radzieckim komandosom Spec-nazu wbijano do głowy przekonanie, że jeśli dostaną się w ręce wroga, czekają ich tylko tortury i śmierć.

- Podobno znasz angielski i arabski - zagaił, wyciągając notes ze znoszonej kurtki Eduarda. Oczywiście, blefował. Gruntowne przeszukanie bazy danych iskandaryjskiego wywiadu dało równie mizerny skutek co grzebanie w zbiorach próbek materiału genetycznego Czerwonego Krzyża. Tej dziewczyny nikt jeszcze nie schwytał ani nie udzielał jej pomocy medycznej na polu bitwy.

Zastanawiało głównie to, czemu komisarz Żukarow nie interesuje się losem jeńców. Chedyw dał mu możliwość wypowiedzenia się w tej kwestii, zarówno publicznie, jak i w cztery oczy. Żukarow powtarzał tylko: „To nie nasi”.

Pytanie brzmiało: „nie nasi” w znaczeniu „nigdy nasi nie byli”, czy może „nie nasi, bo ich schwytaliście”?

Tak czy owak, dziewczyna знаła parę słów po angielsku. Wystarczająco wiele, by jej mózg w czasie tomografii komputerowej zasygnalizował rozpoznanie mowy. Dwaj sanitariusze, którzy beztrząsco gawędzili w jej obecności, byli oficerami policji

3

Jon Courtenay Grimwood

w cywilnym ubraniu, a radiolog w białym fartuchu - policyjnym lekarzem. Działo się to wczoraj wieczorem, na innej sali.

- Możemy uprościć sprawę - zasugerował.

Blondynka tylko ściągnęła brwi. Złość była jej osłoną,

sposobem na ucieczkę przed bólem, którego niebawem miało doświadczyć ciało. Tego rodzaju bariera nigdy się nie sprawdzała, ale czasem przy odrobinie szczęścia człowiek umierał, nim bląkający się umysł wrócił do piekła.

- Możemy, ale nie musimy. - Wyciągnął pożyczonego od Eduarda kolta z krótką lufą

oraz jeszcze jedno staroświeckie, metalowe kajdanki. Odemknął bransoletę i zapiął ją na lewym, dotąd wolnym nadgarstku dziewczyny. W czasie tej czynności przystawiał jej rewolwer do skroni. Bransoleta zamknęła się z miłym dla ucha trzaskiem. Na szczęście wszystko szło jak po maśle. Rosjanka powinna myśleć, że ma do czynienia z zawodowcem, dla którego to chleb powszedni.

Przypiąwszy drugą bransoletę do ramy łóżka, oswobodził prawy nadgarstek dziewczyny i dźwignął ją z wózka. Nie chowając pistoletu, zaprowadził ją do materaca.

- Kładź się!

Ponieważ lewą rękę miała uwięzioną, mogła się położyć jedynie na brzuchu. Szybko przytwierdził jej prawą rękę do drugiej strony łóżka i wstał. Następnie chwycił ją za kostki nóg, szarpnął nimi i skuł je plastikowymi kajdankami.

Pomimo tego wciąż miał wrażenie, że jest jej jeszcze trochę za wygodnie. Zabrał poduszkę, a ponieważ na niewiele to się zdało, wysunął spod niej prześcieradło. Na łóżku pozostały tylko pasiaste materace. Wydawało mu się oczywiste, że w dalszej kolejności powinien zedrzeć z niej szpitalną koszulę, więc rozdarł ją w pół, tak iż ocalały jedynie rękawki.

Dopiero kiedy wysunął ostrze noża grawitacyjnego, dziewczyna zeszywniała. Obserwowała go - co zauważył z zaskoczeniem - w lustrze wiszącym na ścianie. Udając, że o niczym nie wie, porozcinał i odrzucił strzępy koszuli. Leżała teraz kompletnie naga, nie licząc lekkich opatrunków gipsowych, które w nieprzyjemny sposób kojarzyły się z krótkimi getrami.

- To jak będzie: siłą czy po dobroci?

Nawet powieka jej nie drgnęła.

Efendi

3

Raf z westchnieniem pogrzebał w kieszeni, skąd wydobyl metalowy przedmiot wielkości latarki. Miał węższy, tępo ścięty koniec i uchwyt z przezroczystego plastiku, do którego dobrze pasowała dłoń.

- Wiesz, co to jest?

Wiedziała. Każdy żołnierz w tak zwanym cywilizowanym świecie umiał rozpoznać pałkę elektryczną. Zastępowała w roli negocjatora policjantów na wszystkich kontynentach, nie wspominając o kryminalistach z Tokio czy Seattle; posiadała zdolność zadawania maksymalnego bólu, a jednocześnie powodowała minimalne uszkodzenia ciała. Tego rodzaju pałki nie zostawiały śladów, które mogłyby trafić na plakaty Amnesty International. Dzięki temu cieszyły się niesłabnącą popularnością.

- Przykro mi - rzekł Raf, zaciskając palce na uchwycie pałki - ale jest coś, co musisz mi koniecznie powiedzieć, i to powiedzieć teraz. - Trzepnął ją lekko w nerki i zaraz powstała na materacu ciemna plama moczu, gdy popuścił jej pęcherz. - Trochę mi się śpieszy.

Obszedłszy łóżko, kucnął u wezglowia i przyjrzał się z bliska jej twarzy. Napotkał wzrok

rozwścieczonej osoby. Nim się spostrzegł, miał ślinę na policzku.

- Wal się! - Wstał i wytarł twarz.

Zamiast wymierzyć jej parę razów pałą, wyciął nożem cross potent na jej odsłoniętych plecach; przyciskał ostrze tylko tyle, żeby zostały krwawe ślady. Na koniec wtłoczył jej do ust chusteczki higieniczne, zakneblował ją przy pomocy tasiemki oderwanej ze szpitalnej koszuli i położył na parapecie dyktafon.

Pozostało mu już tylko odwiedzić sąsiednią salę.

\*\*\*

- Witaj, Grigorij.

Niewysoki mężczyzna siedział w kącie, rozebrany do naga. Jemu, jak się okazało, zdarzyło się korzystać z pomocy medycznej na polu walki. Ściślej mówiąc, przed piętnastu laty w Forcie Archambault nad rzeką Szari, na południowych rubieżach Trypolitanii. Podawał się za kapitana Grigorija Rozpustnika; w lakonicznej notatce pielęgniarka polowa, ekspert w tych sprawach, oświadczyła, że to z pewnością kłamstwo.

3

Jon Courtenay Grimwood

Rafa szczególnie zaintrygował fakt, że kod genetyczny Grigorija wykazuje szereg zbieżności z kodem blondynki, co prawda w ograniczonym zakresie. Nie typowałby go na ojca, ale kuzyna lub wujka... czemu nie? Przypominał się sowiecki zwyczaj werbowania do wojska całych rodzin, aby nie trzeba było wyrabiać więzi międzypartnerskich.

Druga ciekawa rzecz: Grigorij dobrowolnie się poddał. I wcale nie dlatego, że został ranny lub przeszkodził mu brak amunicji. Po spojrzeniu na Avatara rzucił na ziemię karabin i bez ociągania podniósł ręce. Komandos Specnazu z reguły nie składali broni, więc w tym przypadku istniała jakaś tajemnica, którą należało wyjaśnić.

- Wstawaj! - warknął.

Nagi mężczyzna, co było do przewidzenia, pozostał na krześle ze spuszczoną głową.

- No wstawaj! - nalegał Raf, wyciągając rewolwer Eduarda. Grigorij nie ruszał się, więc capnął go za włosy i postawił na nogi. Potrzebował czegoś na kształt kaptura, dlatego posłużył się poszwą ściągniętą ze szpitalnej poduszki. Włożywszy ją na głowę Rosjaninowi, dolny brzeg ciasno obwiązał wokół szyi.

Na korytarzu dwa razy okręcił komandosa, pchnął go na odrapaną ścianę, a potem jeszcze zakręcił nim w drugą stronę. Mężczyzna słał się na nogach, kiedy Raf wepchnął go do sali, gdzie leżała blondynka. Tam zdjął mu kaptur.

Partnerka leży rozebrana z kneblem w ustach, na pochłanstych nożem plecach krwawe plamy, materac zlany moczem, a na podłodze porzucona pałka policyjna. Rafowi na miejscu Grigorija też puściłyby nerwy.



Kopniak w kolano załatwił sprawę: Rosjanin ze skutymi rękami grzmotnął o ziemię. Na wszelki wypadek Raf kopnął go raz jeszcze, lecz nie zrobił tego brutalnie, na co mogłoby wskazywać jego zwierzęce warknięcie. Nie chciał zranić, tylko nastraszyć.

- Kto ci zapłacił?

Facet nawet nie odwrócił głowy. Zwinął się w kłębek na podłodze, co nijak nie pasowało do oficera Specnazu z wieloletnim doświadczeniem.

- Posłuchaj - ciągnął Raf, dając mu znowu małego kopniaczka. - Wiemy już, że to nie była oficjalna misja. Teraz chcemy

Efendi

się dowiedzieć, kto was przysłał. - Pochylił się i dźwignął komandosa na kolana. - I dowiemy się, obiecuję.

Raf puścił go i poszedł po pałkę elektryczną. Grigorij okazał strach dopiero wtedy, gdy jego dręczyciel zbliżył się do łóżka.

- Kto odpowiada za ten atak? - Raf włączył pałkę, a że Rosjanin milczał, poraził prądem kręgosłup dziewczyny. Knebel nie dopuścił do wrzasku, lecz wygięła się z bólu, gdy naprężyły się mięśnie pleców. Nim minęły drgawki, znowu się posikała. A przecież pałka dotykała ciała krócej niż sekundę.

Raf odetchnął, otworzył oczy i zwrócił się do mężczyzny:

- To dopiero rozgrzewka - powiedział. - Zaraz przyjdzie tu ekspert. - Przelączając zegarek na odbiór wizji, zadzwonił do Eduarda. - Dr Lee? Czekamy.

Biały fartuch Eduarda został kupiony w sklepie ze sprzętem medycznym, podobnie jak stetoskop, który Raf dał mu wcześniej. Dopiero mając pewność, że nikt go nie zobaczy, wyciągnął fartuch z reklamówki i zawiesił sobie na szyi stetoskop. Raf twierdził, że szef ochrony szpitala, z którym zamienił słówko Hakim, wyłączy kamery przemysłowe. Eduardo miał nadzieję, że to prawda. Na wypadek, gdyby coś zaszwankowało, włożył okulary przeciwsłoneczne. Dodawały też szyku. Wybrał ten sam model, który podobał się Rafowi.

- Ekscel... - Dostrzegł marsową minę Rafa i natychmiast ugryzł się w język. - No to jestem - dodał zbytecznie.

- Wszystko, co wie - powiedział Raf. - Ma śpiewać. - Chciał oddać Eduardowi pałkę elektryczną, lecz ten pokręcił głową.

- Mam własny sprzęt, sprawdzony. - Wydobył z kieszeni wysłużoną pałkę, owiniętą taśmą polietylenową. - Skuteczniejsza w działaniu.

Pałki pochodziły z policyjnego magazynu, a Raf długo ćwiczył z Eduardem krótką wymianę zdań, żeby ten wypowiadał swoją kwestię bez zajknięcia. Mimo to Eduardo cieszył się, że tak dobrze mu idzie. Raf dwukrotnie tłumaczył, że każde słowo ma kluczowe znaczenie.

Chodziło o to, żeby wykołować faceta.

- Raz dwa się uwinę. - Eduardo wyjął z kieszeni tubkę z żelem nawilżającym.

Grigorij znowu dostał na głowę prowizoryczny kaptur. Zanim poszwa przesłoniła mu świat, zobaczył, jak Eduardo, pochylony nad leżącą dziewczyną, wciera żel między jej pośladki.

Efendi

I

i

343

się dowiedzieć, kto was przysłał. - Pochylił się i dźwignął komandosa na kolana. - 1 dowiemy się, obiecuję.

Raf puścił go i poszedł po pałkę elektryczną. Grigorij okazał strach dopiero wtedy, gdy jego dręczyciel zbliżył się do łóżka.

- Kto odpowiada za ten atak? - Raf włączył pałkę, a że Rosjanin milczał, poraził prądem kręgosłup dziewczyny. Knebel nie dopuścił do wrzasku, lecz wygięła się z bólu, gdy naprężyły się mięśnie pleców. Nim minęły drgawki, znowu się posikała. A przecież pałka dotykała ciała krócej niż sekundę.

Raf odetchnął, otworzył oczy i zwrócił się do mężczyzny:

- To dopiero rozgrzewka - powiedział. - Zaraz przyjdzie tu ekspert. - Przełączając zegarek na odbiór wizji, zadzwonił do Eduarda. - Dr Lee? Czekamy.

Biały fartuch Eduarda został kupiony w sklepie ze sprzętem medycznym, podobnie jak stetoskop, który Raf dał mu wcześniej. Dopiero mając pewność, że nikt go nie zobaczy, wyciągnął fartuch z reklamówki i zawiesił sobie na szyi stetoskop. Raf twierdził, że szef ochrony szpitala, z którym zamienił słówko Hakim, wyłączy kamery przemysłowe. Eduardo miał nadzieję, że to prawda. Na wypadek, gdyby coś zaszwankowało, włożył okulary przeciwsłoneczne. Dodawały też szyku. Wybrał ten sam model, który podobał się Rafowi.

- Eksce... - Dostrzegł marsową minę Rafa i natychmiast ugryzł się w język. - No to jestem - dodał zbytecznie.

- Wszystko, co wie - powiedział Raf. - Ma śpiewać. - Chciał oddać Eduardowi pałkę elektryczną, lecz ten pokręcił głową.

- Mam własny sprzęt, sprawdzony. - Wydobył z kieszeni wysłużoną pałkę, owiniętą taśmą polietylenową. - Skuteczniejsza w działaniu.

Pałki pochodziły z policyjnego magazynu, a Raf długo ćwiczył z Eduardem, krótką wymiarę zdań, żeby ten wypowiadał swoją kwestię bez zająknięcia. Mimo to Eduardo cieszył się, że tak dobrze mu idzie. Raf dwukrotnie tłumaczył, że każde słowo ma kluczowe znaczenie. Chodziło o to, żeby wykołować faceta.

- Raz dwa się uwinę. - Eduardo wyjął z kieszeni tubkę z żelem nawilżającym.

Grigorij znowu dostał na głowę prowizoryczny kaptur. Zanim poszwa przesłoniła mu świat, zobaczył, jak Eduardo, pochylony nad leżącą dziewczyną, wciera żel między jej pośladki.

\* i r Jmt

### 3\_Jon Courtenay Grimwood

Pierwszy krzyk rozległ się, nim Raf zdążył obrócić Grigorija lub odbić go od ściany. Tak czy inaczej, zakręcił młynka swoją ofiarą.

Piętą zatrzaskały drzwi sąsiedniej sali, co częściowo wyciszyło zwierzęce wycie, które zaczęło się w niskiej tonacji, wygenerowało pełną gamę dźwięków i urwało się spazmatycznym szlochem. Nawet mocno osadzony knebel nie wytłumił udręczonego skowytu torturowanej dziewczyny.

- Starczy słowo i to się skończy. - Raf odsłonił twarz Rosjanina. - Wybór należy do ciebie... Dobra, jak sobie chcesz.

- Mruknął coś do zegarka i następne wycie trwało dłużej, a skończyło się bełkotliwym błaganiem, wyrażonym w niezrozumiałym dla nikogo języku, na pewno nie w języku ludzkim.

- Ona nie umrze, ale będzie marzyć o śmierci. - Z pożyczonej kurtki wyciągnął kartkę papieru i przebiegł po niej wzrokiem. U góry, w objęciach zgiętych snopów zboża, unosiła się żółto-niebieska kula ziemską. Pomiędzy koniuszkami kłosów znajdowała się czerwona gwiazda, a pod globem, przysłonięte związanymi czerwona wstążką snopami, wschodziło słońce.

- Komisarz Żukarow kategorycznie stwierdza, że rząd Związku Radzieckiego nie zlecił wam tej misji. No, ale tego nie muszę mówić... - Wzruszył ramionami i znów popatrzył na kartkę.

- Związek Radziecki odcina się od waszej samowolnej akcji.

Grigorij popatrzył na niego.

- To co, porozmawiasz ze mną? - spytał Raf. Rosjanin wybrał milczenie.

Raf westchnął, bąknął jeszcze coś do zegarka i ponownie ciszę rozdarły potępieńcze jęki, pełne niewysłowionej bólesci, wciąż nowe, aż w końcu ich natężenie stało się nie do zniesienia.

- Jak sobie chcesz - powtórzył Raf. - Jak sobie chcesz... Grigorij wytrzymał jeszcze dziesięć minut, w czasie których

do krwi pogryzł wargę. Potem się załamał. Ze łzami w oczach zerwał się na równe nogi i rzucił się do Rafa, który siedział na zakurzonej drewnianym krześle.

- Będzie, jak pan zechce - odezwał się z rozpaczą. - Tylko niech on już przestanie!

- Wystarczy - powiedział Raf do zegarka. Krzyki ucichły.

- Chcesz się z nią zobaczyć?

Efendi

3

Grigorij pokręcił głową.

- Później, kiedy szok minie - odrzekł. - Teraz i tak nie jest w stanie mówić. - Sprawiał wrażenie osoby świetnie zorientowanej w tych sprawach. - Co pan chce wiedzieć?

- Wszystko.

Właściwie, to Raf nie liczył na żadne rewelacje. Mężczyzna i dziewczyna mieli tylko potwierdzić jego podejrzenia. Tak czy inaczej, cierpliwie wysłuchał Rosjanina, który zdradził, że Specnaz oferuje swe usługi wszystkim skłonny odpowiednio zapłacić, zwłaszcza w twardej walucie. Wprawdzie obowiązywała zasada, że operacje wojskowe nie mogą służyć kontrrewolucjonistom, lecz w praktyce nie gardzono żadną dobrze płatną fuchą.

W głosie Grigorija pobrzmiwała gorycz.

- Poznajesz ją? - Raf wyciągnął z kieszeni zdjęcie przedstawiające kobietę, którą zostawił na podłodze opuszczonego domu w dzielnicy Moharrem Bej. Specjaliści od oświetlenia, makijażu i post-produkcji naprawdę się postarali. Dopiero po bliższym przyjrzeniu się kobieta wyglądała na nieżywą.

- Tak. Ona nie żyje.

- Wiem, sam ją zabiłem. Thiergarten, mam rację?

Grigorij pokiwał głową.

- To ona was wynajęła i zajęła się mordowaniem turystów... Poczekaj! - Raf uniósł rękę, kiedy komandos otworzył usta. - To nie było pytanie.

Rosjanin wzruszył ramionami.

- Pytanie brzmi następująco: kto wmieszał w to Thiergarten? - dodał Raf.

- Nie wiem.

Odpowiedź wcale nie zdziwiła Rafa.

- I co teraz? - zapytał żołnierz Specnazu. - Co będzie ze mną i z Nadią?

- Bratanicą.

- Damy jej schronienie. Może azyl. Nawet nowe nazwisko, jeśli zajdzie potrzeba. Ty pomożesz nam, my pomożemy jej.

Grigorij uśmiechnął się ponuro.

- Upłynie trochę czasu, nim dziewczyna otrząśnie się z tego. - Ruchem głowy wskazał

ścianę. - Czasem ludziom na zawsze zostaje uraz, sam pan wie, o co chodzi.

- Twoją kuzynką?

346

Jon Courtenay Grimwood

- Może wróci do zdrowia prędzej, niż ci się zdaje. No dobrze... - Wyciągnął z kieszeni ostatnie zdjęcie. - Powiedz mi, czy go kiedyś widziałeś.

\*\*\*

Eduardo popatrzył na wyciągniętą dłoń Rafa, pobudził do życia odpowiedni obszar mózgu i uściskał mu rękę. Potrząsał nią dość długo, aż Raf cierpliwie wyplątał palce-i uścisku.

- Ekscelencjo... - Eduardo uśmiechał się niepewnie. Ciągłe błyszcząły mu łzy w oczach. Wiele od niego nie wymagano: miał włączać i wyłączać dyktafon, kiedy mu kazano. Pomimo tego stare nagranie torturowanej muzułmańskiej dziewczyny wciąż jeszcze tętniło mu w uszach.

- Jeden z najlepszych w swoim fachu - rzekł Raf do Haki-ma, kiedy Eduardo się odwrócił. - Jeden z najlepszych.

Hakim nie wydawał się przekonany.

- Mówię serio. - Raf patrzył, jak Eduardo ciężkim krokiem oddala się od kawiarni Athinos, omijając pojazdy w drodze do swojej leciwej vespy, zaparkowanej pod murem chroniącym Corniche.

Dopiero za piątym razem udało się Eduardowi odpalić maszynę.

Facet uszczuplił budżet posterunku przy Boulevard Cham-pollion o mniejszą sumę, niż ta, którą co tydzień wydawano na kawę, a i tak uważał się za szczęściarza.

- Pilnujcie szpitala - zwrócił się do stojących przy nim dwóch dryblasów, choć zdawał sobie sprawę, że Ahmed i Hakim są jego przyboczną strażą. Przydzielając im inne obowiązki, uwalniał się spod ich opieki, co obaj doskonale wiedzieli, ale też nie mogli nic na to poradzić. Bądź co bądź, praca u gubernatora al-Iskandarijji nie należała do łatwych, taka już była natura rzeczy. - Znajdźcie więźniom jakieś normalne ubranie - powiedział na zakończenie. - I niech lekarz obejrzy plecy dziewczyny.

Mina Hakima wiele mówiła. Bez względu na to, co się naprawdę stało, w ciągu paru minut posterunek obiegnie udra-matyzowana wersja wydarzeń. Oficerowie, oczywista sprawa, postarają się o to, żeby jego reputacja jeszcze bardziej wzrosła.

- Będzie żyła - dodał Raf. Włożył okulary i zabrał marynarkę z oparcia kawiarnianego krzesła.

Efendi\_347

\*\*\*

Godzinę policyjną zniesiono i oto na drodze widać było z piętnaście samochodów: starych gruchotów kierowanych przez szczerzących zęby ludzi, którzy machali rękami do przyjaciół, a czasem nieznanym. Jak na ironię, eksplozje bomb elektromagnetycznych najslabiej dały się we znaki najstarszym wehikułom.

Stacje benzynowe pozostawały zamknięte, lecz w co trzecim domu był już prąd, a w co najmniej jednym arrondissement pojawiła się bieżąca woda, więc rozbierano pompy. Otwierały się sklepy. Serwisy informacyjne ruszyły, o dziwo, od razu pełną parą. Zagraniczni dziennikarze prześcigali się w reportażach

0 al-Iskandarijji, która powoli stawiała na nogach.

Raf wysiadł z bentleya na drodze wylotowej z miasta

1 wrzucił małe dyktafon do przepelnionego rowu melioracyjnego. Nagrana kobieta umarła na długo przed jego urodzeniem. I chociaż nagranie, przemycone z kosowskiej piwnicy z narażeniem życia, nie zostało nigdy włączone do materiałów dowodowych, kopia trafiła w ręce Amnesty International. Organizacja zrobiła reklamę radiową „demokracji w praktyce”, którą jednak uznano za politycznie zaangażowaną i wycofano w dwudziestu czterech krajach spośród dwudziestu sześciu, gdzie miano ją nadawać.

\*★\*

- Co tam?

-Jego Ekscelencja Aszraf al-Mansur... - Majordomus St Clouda starał się nie patrzeć w oczy swemu panu. Niedostrzeżenie tego, czego miał nie dostrzegać, należało do jego podstawowych obowiązków. - Żąda, aby go wpuszczono.

Niepozorny Szkot mówił o tym „żądaniu” z taką satysfakcją, że markiz odwrócił głowę i omal nie zburzył swego starannie wypracowanego, synkopowanego rytmu. Na szczęście przedmiot jego igraszek nadal się poruszał ze wzrokiem utkwionym w dal. Narkotyki, poufałość lub strach pozbawiły gładką, młodzieńczą twarz śladów jakichkolwiek uczuć prócz znudzenia i absolutnego posłuszeństwa.

- Wprowadź go.

- Sir?

r

34

Jon Courtenay Grimwood

- Wprowadź al-Mansura.

Majordomus uklonił się i wyszedł tyłem z komnaty. Kiedy na własny koszt pobierał lekcje w Kensington, nie tak wyobrażał sobie przyszłość.

- Markiz przyjmie pana. - Grzecznym gestem ręki wskazał duże drzwi, za którymi kryły się rzeczy dość nieobyczajne. - Może być... - zawahał się - ...trochę poirytowany.

Raf wszedł bez pukania. W odróżnieniu od wyłożonej ozdobną glazurą, upiękzonej kolumnami i fontanną ekstrawagancji w stylu mauretańskim, jaką był Dar St Cloud, willa markiza na tunezyjskim półwyspie Cap Bon, salon w jego domu w Abu Kir był żywcem wzięty z Paryża.

Na poczesnym miejscu w głębi pomieszczenia wisiał obraz Kupidyn i Psyche Gerarda. Młodzieńczy Kupido czule całował w czoło blondynkę, krzyżując dłonie pod nagimi piersiami i patrzącą na drzwi, w których stał Raf. Zaraz po sąsiedzku wisiało malowidło zatytułowane Wenus, Wulkan i Mars, olbrzymie płótno w masywnej, złoconej ramie, która sięgała niemalże od podłogi do sufitu. Na innych ścianach niezliczone zastępy młodziutkich nimf niewinnym wzrokiem spoglądały na smukłych pastuszków, nieświadome własnej nagości.

Dokładnie pod obrazem Gerarda stała sekretera w stylu Napoleona III, z białym w postaci marmurowej płyty, wyciosanym w kamieniołomach pod Mediolanem. Stały na nim w szeregu szklane figurki nagich postaci, głównie autorstwa Lalique'a, oraz dwie karafki.

- Niech pan sobie naleje kieliszeczek, nie za dużo - odezwał się markiz, przy czym nie podniósł wzroku ani nie puścił młodzieńca usadowionego mu na kolanach (który z racji ogolonej głowy i szerokiej koszuli mógł się wydawać kobietą lub mężczyzną). - To długo nie potrwa.

- Może i potrwa, jeśli pogadamy o tym, kogo porwał Kamil Quitrimala, czemu w bestialski sposób musieli zginąć trzej turyści, czemu podpalono kasyno i czemu przerwano rurociąg prowadzący do rafinerii. A jeszcze nas czeka...

- Zostaw nas! - burknął St Cloud, na co młoda osoba, którą wyrzucił z salonu, śmignęła do wyjścia, młócąc nogami jak żreback i pokazując w przelocie swoje chude pośladki. Przyduża koszula należała do markiza, który dał mu ją na znak

Efendi

3

swej zwierzchności lub zadowolenia z zabawy, a może jednego i drugiego. - Wojna gangów, tak tłumaczę podpalenie kasyna i porwania. Turystów mordowali psychopaci, którzy zginęli taką czy inną śmiercią. I myślę, że ten rurociąg to sprawka organizacji Miecz Boga, tak samo jak koszmarne ataki bombowe.

- Markiz się uśmiechnął.

- No to źle pan myśli.

St Cloud przyjrzał mu się uważniej.

- Co pan wie o Osmańskim Przymierzu? - spytał Raf.

- Prawie nic - odparł chłodno St Cloud. - Polityka mało mnie obchodzi.

- A więc zdumiałby się pan, wiedząc, że gdzieś w kuluarach Berlin prosi Paryż o zgodę na zachowanie swoich sfer wpływów? Podobnie jak Moskwa.

Markiz prychnął.

- Berlin miałby prosić o coś Paryż? To równie absurdalne...
- ...jak to, że Francuzi mogliby zażądać od Berlina zapłaty -wtrącił Raf. - A skoro już przy tym jesteśmy, to niech pan sobie wyobrazi, że nasz lokalny kryzys wiąże się głównie z napaścią na Hamzę.
- Hamzę efendiego? - St Cloud pokręcił głową. - Z pewnością nie...
- Niech pan sobie wyobrazi, że wszystkie wydarzenia zmierzają do jednego celu. Pytanie tylko, kto chce zniszczyć Hamzę?
- Rzeczywiście, dobre pytanie. Zapewne nigdy się nie dowiemy. Zawsze będziemy przypuszczać, że ktoś tym kierował.
- Markiz wstał ze swojego wytwornego krzesła w stylu Ludwika XVIII, bez skrępowania włożył spodnie i podszedł do sekretery.
- Jest pan pewien? - Zawiesił dłoń nad pękatą koniakówką.
- Najzupełniej.
- Pański wybór.

St Cloud nalał sobie zdrową porcję Napoleona i rozkołysał koniak w kieliszku; nachylony, delektował się ciężkim aromatem.

- Oczywiście - rzekł jakby po namyśle - nawet jeśli pan się nie myli... nie zmienia to faktu, że Hamza nieźle w życiu narozrabiał. Należy pomyśleć o przyszłym kierownictwie rafinerii.

350\_Jon Courtenay Grimwood

- A także polach naftowych w środkowym Sudanie i tych u wybrzeży Morza Śródziemnego.
- Otóż to - zgodził się St Cloud. - No więc, gdyby wysokiej rangi urzędnik ułatwił transfer udziałów Hamzy... ma się rozumieć, po ich konfiskacie, to każde państwo, któremu zależy na umocnieniu swej pozycji w tej branży, hojnie by zapłaciło.
- Hojnie?
- W takiej sytuacji przysługuje prowizja.
- Pięć procent?

St Cloud popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Jeden albo dwa. Co najwyżej trzy.
- A te trzy procenty ile by w sumie dały? - spytał Raf. Gdy markiz mu powiedział, zdecydował się jednak na



drinka.

Efendi

3

Rozfztał f6

1 listOpAbA

Pierwsza rozprawa odbyła się dwa dni po wizycie Rafa w domu w Abu Kir. Rankiem 5 dnia miesiąca safar roku 1472, choć Raf i tak wolał myśleć: poniedziałek 1 listopada.

Już po godzinie Zara nabrała przekonania, że mężczyzna, z którym dwa razy poszła do łóżka, zamierza pognębić jej ojca. Siedziała w długiej ławie z przodu tymczasowej sali sądowej, wertując papiery, gdy na ekranie pojawiały się przykłady kolejnych bestialstw.

Bestialstwo - tym słowem Raf opisał to, co widzieli sędziowie. Zara nie mogła mieć mu za złe tego sformułowania.

Hani siedziała z tyłu. Choć przestała rytmicznie huśtać nogami i szurać nimi po podłodze, nie spuszczała wzroku z ekranu. Spojrzenie jej ciemnych oczu przeskakiwało z jednego strasznego obrazu na drugi, ale trudno było powiedzieć, czy pragnie zobaczyć więcej, czy wprost przeciwnie.

W zasadzie, nie powinna przebywać na statku SS „Jannah”, który przez chedywa został uznany częścią terytorium al-Iskandarijji na czas trwania procesu Hamzy. Chartum jednak, rzecz dziwna, z nadzwyczajną ochotą zgodził się jej towarzyszyć; żołnierze pilnujący wyjścia nie spuszczaali z oczu kota usadowionego na jej ramieniu. W rezultacie, siedziała obok chudego sufiego na naprędce skleconej trybunie i oglądała zdjęcia, których - sama to wiedziała - oglądać nie miała ochoty.

Jakość obrazu pozostawiała wiele do życzenia, kontrast był zbyt duży, a kamera podskakiwała w rytm kroków reporta-żysty. Nie miało to wszakże znaczenia. Liczyło się to, co zostało utrwalone w obiektywie. No tak, i obracające się cyferki u dołu

352

Jon Courtenay Grimwood

ekranu, które pozwalały odczytać datę, godzinę i dokładne położenie geograficzne.

Nie stwierdzono, która strona zwyciężyła. Miejsce bitwy opisano następująco:  
„prawdopodobnie północno-wschodni Sudan lub południowy Egipt”...

Kiedy Raf pokazywał pierwsze zdjęcia, nakłaniając sędziów, dziennikarzy i wszystkich zebranych na sali do zapoznania się z materiałem dowodowym, podejrzewał, że drżenie spowodowane jest usterką w układzie żyroskopowym stabilizatora ręcznej kamery. Gdy jednak znalazły się w obiektywie zwłoki kolejnego chłopca - któremu najpierw zatknano usta, aby nie krzyczał - doszedł do wniosku, że stabilizator po prostu nie zdołał skompensować ruchów zszokowanego dziennikarza.

Wcisnął guzik pilota i film się zatrzymał.

Ten reportaż przyniósł popularność Jeanowi René, ale też stał się jego przekleństwem. Zrobił z niego bohatera, a zarazem skazał go na czterdzieści lat życia w przeświadczeniu, że największy sukces w karierze ma już za sobą.

Raf cofnął się, aby sędziowie mogli się przyjrzeć starszemu paryżaninowi ze zmierzwioną czupryną, który stał na miejscu dla świadka, gdzie przez całą noc na rozkaz chedywa pracowali stolarze.

- Kto jest autorem tego materiału?

Mężczyzna z krogulczym nosem spuścił wzrok.

- Przecież wiecie, kto nim jest - rzekł, poirytowany. - Inaczej by mnie tu nie było...

Raf uśmiechnął się ze współczuciem. Pokiwał głową na znak, że rozumie, jakie emocje mogą targać człowiekiem w takiej sytuacji.

- Kto jest autorem tego materiału? - powtórzył głośno, by usłyszano go w najdalszej części trybuny.

- Ja - odpowiedział Jean René.

- Pan? - Po otwarciu oprawnego w skórę notebooka Raf udał, że sprawdza coś na ekranie. Sprzęt elektroniczny działał, lampy się paliły, nie brakowało prądu; wszystkie te dobrodziejstwa zawdzięczali Taufikowi paszy, który zdecydował, że rozprawa ma się odbyć w sali balowej liniowca. - Jest pan reporterem wojennym?

- Byłem nim - odparł z goryczą świadek.

Efendi

- Kiedy pan zrezygnował?

Lwia grzywa białych włosów zafalowała, gdy mężczyzna skinął głową w kierunku ekranu, na którym leżał chłopiec z pięścią w ustach.

- Zrezygnowałem po tym. Nie mogłem inaczej.

- Co pan robił później? - Raf powtórnie zerknął do notebooka.

- Założyłem przytułek. - Jean René wpatrywał się w sędziów. Ze słabo skrywaną pogardą przesuwiał wzrok po twarzach St Clouda, grafa i pani senator Liz. - Dopóki takie kraje jak wasze będą prowadzić wojny cudzymi rękami, dopóty dla takich jak ja będzie praca.

Senatorka otworzyła usta, lecz powstrzymała się od komentarza, ostrzeżona spojrzeniem St Clouda. Zatem żaden z sędziów nie zareagował na słowa człowieka znanego z tego, że niczego nie owija w bawełnę, gdy przychodziło do piętnowania winowajców.

- Wasza Ekscelencjo - odezwał się St Cloud tonem, który sugerował, że Raf powinien

mówić dalej.

Tylko że Raf rozmyślał... o niczym szczególnym. Właściwie, to o niczym.

- Wasza Ekscelencjo...

Wzdrygnął się, wracając do rzeczywistości. Spojrzał na sędziów i przypomniał sobie, że nadal jest przesłuchiwany jego świadek. Nie miał do niego więcej pytań. Żadnych istotnych. Hamza z pewnością tam był; analiza próbki DNA potwierdziła, że to jego znaleźli na polu bitwy pracownicy Czerwonego Krzyża. Odciski palców zabezpieczone przez młodą żydowską pielęgniarkę, która chciała pomóc chłopcu odnaleźć rodzinę, nie pozostawiały cienia wątpliwości: to Hamza obsługiwał karabin maszynowy HK21E.

Jakby tego było mało, atramentowym odciskiem kciuka chłopiec podpisał zeznanie, znalezione w zamkniętej szufladce w gabinecie Koeniga Paszy. Zeznanie prawdopodobnie zostało napisane na starej maszynie Remington Imperial, aby uniknąć śladów w komputerowych bazach danych. Świadkiem zeznania był niejaki Major Koenig Bej. Kopia dokumentu leżała gdzieś w stosach papierzysek, spiętrzonych przed trzema sędziami.

i

< J

354\_|\_Jon Courtenay Grimwood

Jeśli chodzi o oskarżonego, to zdawał się wręcz zmiażdżony poczuciem winy. Drogi, szyty na miarę garnitur wisiał na jego udręczonym ciele jak żebracze łachmany. Wszystko wskazywało, że pogodził się z porażką.

Raf był prawie pewien, że nie schrzani tej sprawy. Po cichu układał sobie mowę kończącą - zwycięskie słowa, które wypowie, gdy zostaną przedstawione wszystkie dowody i poszlaki. Gdy zostaną sprawdzone wszystkie dokumenty, stare doniesienia prasowe i broń.

Prasa była po jego stronie, wystarczyło popatrzeć na dziennikarzy. Ludzie w ławkach z zapartym tchem śledzili bieg wydarzeń. Nareszcie przyszedł czas, żeby zakończyć przesłuchanie świadka i oddać głos Żarę.

Oderwał wzrok od zdjęcia na ekranie, spojrzał na świadka, otworzył usta, żeby mu podziękować... i nagle zrobił to, przed czym się wzbraniał od rana: pozwolił, by jego spojrzenie dosięgło Żarę.

Cierpienie. Beznadziejna samotność. W takim natężeniu, że świat mu zawirował przed oczami.

Jak nigdy, potrzebował teraz lisa. Lis wiedziałby, co robić, bo lis zawsze to wiedział. Od tego był. Aby Raf nie musiał sam podejmować tego rodzaju decyzji.

Aszraf al-Mansur, niegdyś ZeeZee, wzdrygnął się na tę myśl. A może to sala się zatrzęsła? W każdym razie, coś drżało, kiedy regulował wzrok. Rokokowe wspaniałości sali balowej - bogato zdobiony sufit, sztuczne marmury, pozłacane grube cherubinki - rozmyły się i rozpikselowały.

Bezpiecznik odsunięty, poinformował karabin.

Zamrugał powiekami, odpędził od siebie to niby-wspomnienie i cherubinki znów się pokazały. Nic się nie zmieniło oprócz niego, przy czym zmiana była tak nikła, że nie miał pewności, czy naprawdę zaszła. Ale czy kiedyś był czegokolwiek pewny? Zwykle akceptował życie takim, jakie było. Później przyswajał to, co zaakceptował. Jeśli musiał się kimś stać, to się nim stawał...

Jedni uważali tę jego zdolność do psychologicznej adaptacji za zaletę. Drudzy twierdzili, że to przeszkadza w życiu. Jeszcze inni mówili, nie do końca wiedząc, co mówią: każdego może to spotkać...

Efendi

Zach, stojący obok sierżanta Ka, nic nie powiedział. Odzywał się rzadko za życia i jeszcze rzadziej po śmierci...

Ka trochę się temu dziwił.

„Odległość?”

„Pół kilometra i maleje”...

Była to strasznie głupia broń i chłopiec z amuletami nie wiedział, po co producent w ogóle dodał tę funkcję. Ale cóż, chłopiec był tylko chłopcem - człowiekiem za młodym, żeby rozumieć zależność między działaniem a...

Wszystko, co Raf słyszał o Konwencji Haskiej, nagle wlało się jak woda w spękaną ziemię jego domysłów.

- Czy zrobił pan zdjęcie temu człowiekowi?

Gdy odwrócił się i wskazał palcem Hamzę, ten po raz pierwszy od rozpoczęcia rozprawy podniósł głowę i rozejrzał się po sali. Może wyczytał coś szczególnego w głosie prokuratora, a może i on słyszał, jak w chmurach burzowych pohukują gromy.

Sprawiedliwość. Tego właśnie dochodzi się w sądzie. Na niej właśnie zależało jemu, Aszrafowi al-Mansurowi, osmańskiemu bejowi i teoretycznie gubernatorowi al-Iskandarijji, przynajmniej jeszcze przez najbliższe godziny. Spojrzał na Zarę, a potem w głąb siebie.

Bohater tymczasem był w rozterce.

- To proste pytanie - dodał Raf. - Zrobił pan zdjęcie Hamzie Quitrimali?

- Wtedy?

- Tak, wtedy.

Jean René kiwnął głową.

- Zrobił pan zdjęcie Hamzie efendiemu, kiedy był dzieckiem? - zapytał Raf wolno, jakby

próbował uporządkować myśli w głowie.

- Owszem, zrobiłem.
- To niech go pan opisze.

Skonsternowany świadek przesunął wzrok na sędziów, którzy przyglądali się temu z podwyższenia. Za nimi, nieco wyżej, samotny w swojej ławce, siedział chedyw.

- Hamza jesftam - rzekł Raf. - Nie chowa się między sędziami. Mówię to, w razie gdyby chciał pan na niego popatrzeć.

Jean René wciąż się wahał.

356

Jon Courtenay Grimwood

- No niech pan wreszcie powie, jak wyglądał - indagował Raf. .

Patrzyli sobie w oczy z daleka. Głęboko w zakamarkach umysłu beja myśli tętniły coraz natarczywiej, aż ich głośniejszy pomruk wywołał dreszcz, który przeszedł mu po plecach.

- Zupełnie zwyczajnie - przerwał milczenie Jean René. - Był zaniedbany. Miał na sobie za dużą koszulę i spodnie spięte zniszczonym paskiem.

- Zniszczonym?

- Brakowało sprzączki. Końce paska były zwyczajnie związane. Nie miał butów, jak wszyscy zresztą. Żwir i gorący piasek prażą w stopy, które po jakimś czasie robią się twarde jak niewyprawiona skóra.

- Patrzył pan ostatnio na to zdjęcie? - Raf zauważył niepewną minę Francuza. - To nie jest podchwytliwe pytanie. Czy wyszukał pan swoje zdjęcie, zrobione temu mordercy?

- Sprzeciw! - Zara wyrwała się z ławki.

Chedyw pokręcił głową.

- Oddalam sprzeciw. - Zwrócił się do Rafa z surowym wyrazem twarzy: - Zapewne ma pan ważne powody, żeby przyjąć taką strategię przesłuchania.

Raf przytaknął. Miał powody, a jakże. Kilka u siebie w głowie. Jeden, innego rodzaju, stał i gapił się na niego. Aczkolwiek najważniejszy powód siedział z tyłu koło Chartuma, z trudem powstrzymywał się od płaczu i co chwila zerkał na Zarę.

Czym jest sprawiedliwość? Rzeczą niezrozumiałą dla większości ludzi. Hani nigdy jej nie zaznała.

- Niech pan odnajdzie to zdjęcie - nakazał Raf. - Chcę, żeby sąd dobrze się przyjrzał zabójcy.

Przewijanie obrazu w przód i w tył celem odnalezienia właściwego ujęcia trwało dwie minuty.

W czasie gdy roztrzęsiony Jean René grzebał w sferze pamięciowej swojego notebooka, na ekranach pojawiały się rozmaite postacie. Dziewczyna do połowy wkopana w piaskową wydnię. Wyglądnie wielbłądy, z których została ledwie skóra i kości. Spalony seraphim z kierowcą, który w ogniu pokrył się czymś na podobieństwo masy bitumicznej i szczyrzył zęby w pozbawionej warg paszczy.

Obrazów wystarczyło, żeby na sali balowej zaległa cisza, a bogactwo wnętrza stało się nagle bezwstydne i nietrafione. Aż

'j

Efendi

7

wreszcie, kiedy wydawało się, że nawet sędziowie nie wytrzymają zbliżenia następnego zabitego dziecka, Jean René znalazł to, czego szukał.

Chłopiec przesłaniał dłonią oczy, wpatrując się w zachłanne oko kamery. W koszuli brakowało guzików, spodnie miały ścięte nogawki. U stóp leżały butelka z wodą i radio.

Na jego szyi wisiało kilka amuletów, przeważnie z kutego srebra lub mosiądzu, choć był wśród nich pęczek sokolich piór, mocno związanych liściem. Ale za najważniejszy - bo dzięki niemu pracownicy pomocy społecznej wzięli go za żołnierza z rozbitego oddziału - należało uznać krzyżyk wyrzeźbiony z kości. Chłopiec chował oczy za grubymi, ciemnymi okularami. Z kącika ust zwisał papieros; smużki dymu rozwiewały się w rozpalonym, popołudniowym żarze.

Był niewiele starszy od Hani.

- Jak pan sądzi, ile to dziecko ma lat? - zapytał Raf.
- Sprzeciw! Pytanie nie związane ze sprawą. - Pani senator Liz podniosła się z krzesła.
- Oddalam sprzeciw - rzekł chedyw. - Prokurator nadał mi głos... - Taufik pasza uśmiechnął się blado. - Jeśli to ma być oskarżenie, nie mogę się doczekać obrony.
- Ile ma lat? - indagował Raf.

Jean René popatrzył na ekran w zamyśleniu, potem znowu na Hamzę. Wyraźnie zrzędała mu mina. Na koniec wzruszył ramionami.

- Nie wiem - przyznał. - Trudno powiedzieć.
- To może poprosimy inną osobę o pomoc w tej kwestii? - Raf odwrócił się do trybuny, co natychmiast skutkowało błyskiem kilkunastu fleszy. - Przypuszczam, że na statku przebywa lekarz...

W ciszy, która zapadła, każdy z sędziów zastanawiał się, czy przypadkiem nie jego pyta Raf. Po chwili domyślili się, że zwraca się do chedywa.

Taufik pasza niechętnie kiwnął głową.

- Czy oficér medyczny może zostać powołany na biegłego?

Młodzieniec ściągnął brwi i pod nienagannie nałożonym makijażem pociemniała mu skóra.

- Oczywiście, pod warunkiem że kapitan się zgodzi.

V

358\_Jon Courtenay Grimwood

Sąd ogłosił krótką przerwę, w czasie której wszyscy czekali na oficera medycznego. Potem jeszcze musieli się wykazać odrobiną cierpliwości, gdy wysoka Niemka przedstawiała się i została zaprzysiężona.

- A więc pani Lena Schultz?

-Tak.

- Gdzie pani studiowała?

- W Heidelbergu.

Raf w tym momencie musiał spojrzeć na von Bismarcka. Młody graf wyciągał szyję i było wiadomo, że przynajmniej on bezkrytycznie uwierzy w każde słowo biegłego.

- Jest pani chirurgiem na statku SS „Jannah”?

Gdy pokręciła głową, kosmyki ciemnych włosów musnęły ją po policzkach.

- Nie jestem chirurgiem - sprostowała. - Jestem lekarzem pierwszego kontaktu.

- Rozumiem - rzekł takim tonem, jakby nie rozumiał. - Może mi pani powiedzieć, dlaczego Utopia Lines zatrudnia lekarza pierwszego kontaktu?

Nie odpowiedziała.

- Nie lepsza jest aparatura medyczna? - dodał i zawahał się, myśląc, jak najlepiej wytłumaczyć swoje wątpliwości. - Wydawało mi się, że statystycznie...

- Niektórzy cenią sobie ludzkie ciepło - odparła twardo.

Zwłaszcza ludzie bogaci. To miała na myśli.

- Naprawdę? - Wzruszył ramionami. - Ale czy tacy nie wożą z sobą własnych lekarzy?

- Czasem tak się zdarza. - Znać było, że on i jego pytania nie przypadły jej do gustu. - Dobrze, chce pan, żebym przedstawiła opinię lekarską?

- Poniekąd. - Pokazał jej chłopca nadal zasłaniającego oczy przed słońcem, które błyszczało na brzegu rozchełstanej koszuli; na odsłoniętej piersi i brzuchu leżał cień. - Ile lat ma ten chłopiec?

Kobieta zerknęła na ekran.

- Tego nie da się stwierdzić - odpowiedziała stanowczym tonem.
- Może mieć dwadzieścia lat?
- Oczywiście, że nie.

Efendi

- A sześć?

Pokręciła głową z marsową miną.

- A więc pani widzi - powiedział Raf - że ma więcej niż sześć lat i mniej niż dwadzieścia. - Czyli, pomyślał, więcej niż ja, kiedy podpaliłem szkołę, i mniej niż kiedy zabiłem Micky'ego O'Briana.
- Nie powiedział pan, że mogę podać wiek w przybliżeniu.
- Na razie nie interesują nas szczegóły. Nimi zajmiemy się później.

Z jednej minuty zrobiły się dwie, a kobieta wciąż wpatrywała się uważnie w ekran. Dłużej niż to konieczne, Raf nie chciał jej jednak poganiać. Kamery pieczołowicie rejestrowały każdą bruzdę na jej czole, każde maleńkie drgnięcie ust, gdy tonęła w rozmyślaniach.

- Czy ten chłopiec był dobrze odżywiony? - zapytała.

Na ławie oskarżonych Hamza pokręcił głową, choć zrobił to zupełnie nieświadomie. St Cloud tak szybko wstrzymał się od kwaśnego uśmiešku, że tylko Raf zauważył różnicę. Były też inne uśmiechy, gorzkie i przelotne, na twarzach zwykłych ludzi w ławkach. Przede wszystkim uśmiechały się osoby starsze, takie jak Chartum, które zachowały pamięć o dawnych czasach.

Rafa nawiedziły myśli o gajach oliwnych ginących z powodu suszy, zdewastowanych kanałach nawadniających, morelach jeszcze nie dojrzałych, a już usychających, zatrutych oazach i łąkach prosa, które żar lejący się z nieba zamienia na pniu w słomę.

Dość! - zganił się w duchu i obrazy zniknęły.

- Dobrze odżywiony? - Pokręcił głową. - Bardzo wątpię.
- W takim razie... - Kobieta się zawahała. - Gdyby dziecko odżywiało się prawidłowo, dałabym mu dziewięć lat. Z sześć-dziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem. Wystarczy popatrzeć na nadgarstki - dodała, jakby to wszystko tłumaczyło. -A także zobaczyć, jak jest rozwinięta klatka piersiowa. Jeżeli dziecko kiepsko się odżywiało, to ma tutaj na zdjęciu dziesięć, może jedenaście lat. Oficjalnie mogę powiedzieć, że nie wygląda na starsze.
- Z akt sądowych wynika, że ma trzynaście lat - rzekł Raf i ostentacyjnie sprawdził



trzymany w ręce raport ONZ.

360

Jon Courtenay Grimwood

- Trzynaście? Wątpię. - Lena Schultz mierzyła go wyzywającym spojrzeniem. - Najwyżej dwanaście, zakładając, że od urodzenia przymierał głodem. - Wzruszyła ramionami. - Chociaż gdyby głodował od urodzenia, wykończyłyby go wcześniej choroby.

- A więc na pewno nie ma trzynastu lat?

- Aszrafie beju.

Raf odwrócił się i napotkał spojrzenie chedywa.

- Może pan mi powiedzieć, do czego zmierza ta rozmowa? -Taufik pasza zapytał dość porywczo, lecz w jego oczach czaiła się niepewność. Jakby młodzieniec właśnie sobie uzmysłowił, że siedzi na celowniku dziennikarzy z całego świata, pełniąc funkcję magistra, gdy najbogatszy człowiek w Afryce Północnej stał przed obliczem sądu, oskarżony o zbrodnię ludobójstwa.

Była pewna okoliczność, od której chedyw nie mógł się uwolnić. Prawie każdy wiedział, że Zara wybrała al-Mansura na swego kochanka. I chociaż bej na pewno nie zaliczał się do ludzi prawowiernych, miał w sobie barakę. Rzecz trudną do sprecyzowania, choć niewątpliwie związaną z błogosławieństwem, mądrością i ochroną przed nieszczęściem. Oraz, w przekonaniu biedaków, aurą siły, bijącą niczym woń olejku różanego od wszystkich, co wybierają wyboistą drogę.

- Dokąd zmierza ta rozmowa? Do konkretnych wniosków, mam nadzieję.

- I ważne jest to, ile lat ma Hamza?

Raf przytaknął.

- Ale dla kogo jest ważne?

Dla mnie, cisnęło się na usta Rafowi, lecz wolał tego nie mówić.

- Dla miasta - odrzekł. - Uważam, że także dla pana, jako magistra w tym mieście...

- Owszem, uważa pan - rzekł chedyw.

Raf patrzył na niego skonsternowany.

- Pan uważa, to się może i zgadza - stwierdził Taufik pasza z cierpkim uśmiechem. - No cóż, skoro tak, proszę nam wyjaśnić, czemu to takie ważne.

Raf zajął do notebooka, dotknął ikonki podpisanej Konwencja Haska i przeszedł do odpowiedniego podpunktu. Już chciał przeczytać...

Efendi

- Jeżeli żołnierz ma nie więcej niż dwanaście lat, nie ponosi odpowiedzialności karnej, za to zostanie pociągnięta do odpowiedzialności osoba, która wydała rozkaz.

Przez moment sądził, że to jego własne słowa tak dźwięczą mu w myślach. Aż nagle zauważył lęk na twarzy Hamzy efendie-go i zrozumiał, że przemysłowiec też usłyszał ów szorstki głos. Podobnie jak pani senator Liz, młody niemiecki graf i zdumiony St Cloud.

U siebie w ławce Zara zaczęła płakać. Tylko Avatar pozostał niewzruszony.

3

Jon Courtenay Grimwood

Rozdział 57

1 1iStOpAl>A

Lzy potoczyły się również po policzkach Hamzy, gdy zdał sobie sprawę, kto mówi. Potężnie zbudowany biznesmen odruchowo się wyprężył, podniósł głowę.

- Pułkownik... - powiedział, oszołomiony.
- Witaj, poruczniku Ka.

Wszyscy obecni na sali patrzyli, jak Hamza rozgląda się na boki, szukając wzrokiem dawnego dowódcy. "Tylko że nie było kogoś takiego jak pułkownik Abad. Zamiast niego - pęknięty aparat radiowy, który trzymał w ręku najpopularniejszy w al-Iskandarijji DJ. A znajomy głos wydobywał się ze ściennego głośnika.

- Nie zdołałeś dotrzeć do źródeł Nilu, co? - zapytał pułkownik.

Hamza pokręcił głową.

- Tak czy inaczej, oddałeś mnie w bezpieczne ręce... - W głosie dało się wyczuć zadowolenie. - Oddałeś mnie Koeni-gowi Paszy, co wyszło prawie na to samo. Wiesz, że dowództwo Sił Pokojowych rozkazało mnie zabić?

-Jest pan... radiem?

Pułkownik Abad zachichotał.

- Można tak powiedzieć. W Langley zaprogramowano mnie do pomocy kontrrewolucjonistom w Kolumbii, potem Sowietom nafaszerowali mnie swoją ideologią i przetrucili do Sudanu. W końcu wpadłem z powrotem w ręce agentów CIA: ogołocili mnie z polityki i dali mi Dzieci Boga.
- Aleja należałem do Islamskiej Pięści, 1. batalion, kompania „A”.
- I tak, i nie - rzekł pułkownik dwuznacznie. - Przeważnie, ale nie zawsze. Czasem ciężko było powiedzieć...

0 A

r

Efendi

3

- Hej, ty! - zwróciła się do Avatara pani senator Liz. - Dawaj no ten aparat! - Jej słowa, wypowiedziane z akcentem właściwym dla New Jersey, położyły kres temu, co nieuchronnie przeradzało się w pogawędkę między starymi kumplami.

Avatar ostrożnie położył przed Amerykanką nakręcane radio. Było małe, wysłużone i podrapane od spodu. Połamany uchwyt wskazywał na to, że ktoś je kiedyś potraktował z buta.

- Pan mnie słyszy?

- Oczywiście, że tak, pani senator Elizabeth Lee Elsing.

- Zna mnie pan? Skąd?

- Pani twarz pod każdym względem odpowiada twarzy Elizabeth Lee Elsing, utrwalonej przez kamerę przemysłową podczas wejścia na statek. Głosem o dokładnie tym samym profilu Elizabeth Lee Elsing nagrała hasło dostępu do sejfu w apartamencie.

- To coś jest tylko urządzeniem - wtrącił von Bismarck. Na jego twarzy odbijało się zdumienie i odraza.

- Amerykańskim urządzeniem - potwierdził aparat. - Unowocześnionym w Moskwie i łaskawie skazanym na zsyłkę przez Koeniga Paszę. Na co gorliwie wyrazili zgodę pańscy mocodawcy w Berlinie. Narzędzie korzystające z oprogramowania do wygrywania wojen prowadzonych przez dzieci. Naturalnie, ich wiek pozwalał zejść z kosztów. A wy tego człowieka pociągacie do odpowiedzialności...

- Innymi słowy, to pan miałby być sądzony? - zapytał St Cloud zgryźliwie.

- Oczywiście, że nie - odparł pułkownik. - Uważam, że wy

wszyscy powinniście sięść na ławie oskarżonych.

\*\*\*

- Proponuję... - rzekł chedyw po tym, jak wykonano ileś telefonów, zasięgnięto porad prawnych i wznowiono postępowanie tego samego dnia po południu. - Proponuję, byśmy skoncentrowali się na jednym procesie. - Zwrócił się do senatorki: - Czy pani przyjaciele w CIA chcą odzyskać urządzenie?

Obrzuciła młodego chedywa takim wzrokiem, jakby na nią splunął.

- Odzyskać? - burknęła ze złością. - A kto powiedział, że myśmy je zbudowali? Ja myślę, że Sowieci. Chociaż Berlina też

Jon Courtenay Grimwood

bym nie wykluczała... - Zmierzyła oskarżycielskim wzrokiem grafa, zajętego oglądaniem paznokci.

Taufik pasza westchnął.

- Świadek jest do pańskiej dyspozycji - zwrócił się do Rafa.

Aszraf bej dobrze wiedział, że w ścianach sali balowej tkwi

setka obiektywów wielkości główki od szpilki, lecz skierował spojrzenie na kamerę przemysłową, aby sędziowie widzieli, że mówi bezpośrednio do pułkownika Abada.

- Poznaje pan tego człowieka? - skinieniem głowy wskazał Hamzę.

- Poznają jego głos - odpowiedział pułkownik - biorąc stosowną poprawkę na rozwój narządów mowy. Zresztą, nieważne, czy go poznają. Porównanie łańcuchów białkowych dało wynik pozytywny.

- Czy kiedyś mówił, ile ma lat?

Pułkownik Abad milczał.

- Nie wie pan, ile miał lat, gdy doszło do masakry?

- Masakry... - Pułkownik Abad przeciągnął sylaby, choć trudno powiedzieć, czy zwyczajnie się namyślał, czy może inteligentne programy symulowały emocje celem logicznego uporządkowania wypowiedzi. - Tamtego popołudnia zginęło stu pięćdziesięciu trzech ludzi. Dwa tygodnie wcześniej, o czym można przeczytać w raportach ONZ, tysiąc dwóch uchodźców powiększyło straty wśród ludności cywilnej, gdy niefortunnie wystrzelony skysucker zniszczył tlen nad obozem. Siedem dni później pięćset trzy ofiary śmiertelne pod Wadi Halfą w wyniku wymiany ognia między Armią Obdartusów i Dziećmi Boga. Zaznaczam, żaden z tych incydentów nie został nazwany masakrą. A zatem wasz tok rozumowania prowadzi do wniosku, że jeśli pół tysiąca dzieci wrybija się nawzajem, to nie ma mowy o masakrze, ale jeśli jedno zabija sto pięćdziesiąt troje, sprawa wygląda inaczej. Mam rację?

- Proszę odpowiedzieć na postawione pytanie - powiedział Raf. - Czy mówił, ile ma lat?

- Tam prawie nikt nie znał daty urodzenia - odparł spokojnie Abad. - Trudno przypuszczać, żeby Ka był w tym względzie wyjątkiem. Ale są inne drogi dojścia do prawdy. Jak podają raporty Czerwonego Krzyża, Ka twierdził, że pochodzi z Azaratu, a jego matka umarła, gdy był jeszcze małym dzieckiem.

Efendi

5

Raf czekał cierpliwie.

- Może zapytajcie, czemu umarła.

Raf spojrział na Hamze i uniósł brwi.

- Zaraza - odparł efendi. - Tyle mi powiedziano. Kiedy wyschły studnie i susza zniszczyła uprawy, matka wyruszyła z wujkiem na północ do Suakinu i przyłączyła się do karawany zmierzającej do El Makrif, żeby uciec przed wojną. - Wzruszył ramionami. - Jak wszyscy zresztą.

- Susza, wojna, zaraza i migracje uchodźców - podjął temat pułkownik. - Susze w latach 89, 91 i 1. Starcia z ludem Beni Amir w latach 87-91 i 98-03. Wirus Ebola w latach 91,93 i 99--02. - Abad rzucał liczbami, jakby rozmawiał z samym sobą.

- Migracje w latach 87-92, po których ONZ zamknął drogi, aby uchodźcy nie tworzyli nowych kierunków rozprzestrzeniania się epidemii.

- To znaczy, że urodził się w roku 91 - powiedzieli razem Raf i senatorka. Na bieżąco zapamiętywali podawane daty, gdy graf każdą z nich skrupulatnie zapisywał ładnymi literkami, a St Cloud bazgrał na papierze.

- Załóżmy, że urodził się na wiosnę - rzekł Raf. - Ile miał lat?

- Dziewięć, gdy wstąpił do wojska, i jedenaście w dniu masakry.

Raf odwrócił się do biegłego, siedzącego w ławce z przodu.

- Zgadza się pani z tą oceną?

- Wszystko wskazuje, że jest prawidłowa - odpowiedziała wolno dr Schultz.

- Dziękuję. - Kiwnął głową, patrząc na sędziów. - Zdaniem oskarżenia, to wyjaśnia sprawę. - Zerknął na córkę Hamzy.

- Przypuszczam, że panna Zara pali się, żeby przedstawić stanowisko obrony.

St Cloud prychnął.

- Za przyzwoleniem magistra - oświadczył - sąd uda się teraz na dziesięciminutową naradę. - Walnął młotkiem w deseczkę.

Reszta była czystą formalnością. Stosunkiem głosów dwóch do jednego (przeciw była tylko pani senator Liz) sędziowie opowiedzieli się za umorzeniem sprawy. Ernst von Bismarck

3

Jon Courtenay Grimwood

poszedł nawet dalej i oświadczył, że Hamza zostaje oczyszczony ze wszystkich zarzutów. Co więcej, jak tłumaczył ku rozbawieniu co niektórych dziennikarzy, Hamza nie został uznany niewinnym - z tej prostej przyczyny, że nie było żadnego orzekania o winie. Zbrodni też nie.

W ciągu siedemdziesięciu pięciu sekund, odkąd Claire duBois połączyła się ze studium Television 5, wizerunek Hamzy uległ radykalnej zmianie: przestał być obwieszonym karabinami, młodocianym psychopata, a stał się psychicznie okaleczoną ofiarą suszy, zagubionym na pustyni dzieckiem, które rozpaczliwie próbuje wykonywać sprzeczne rozkazy.

Efendi

367

Rozbrzeł W

6 listOpAfcA

- Jeśli się nie sprężysz - powiedział lis - spóźnisz się na przyjęcie u Hamzy.
- No wiem... - przyznał Raf i sięgnął po cappuccino.

W kawiarni Le Trianon znowu działały urządzenia elektryczne. W kuchni zaczęto od przygotowania świeżej porcji lodów dla Hani - jej ulubionych, z posiekaną wanilią. Stał teraz przed nią szklany pucharek prawie nietkniętych specjałów.

- Nie jesteś głodna?

Wzruszyła ramionami. Chwilę później, gdy udawał, że patrzy w inną stronę, srebrną łyżeczką rozpaćkała lody.

- Puścisz jej to płazem? - zapytał głos.
- Chyba tak.
- O, gadasz z lisem - zauważyła Hani.

Przytaknął.

- Tym w twojej głowie?

Znów przytaknął.

- Okey. - Dziewczynka odłożyła łyżeczkę, by zaraz wziąć ją do ręki. Le Trianon była bezspornie jej ulubioną kawiarnią, a za waniliowymi lodami wprost przepadała, lecz dziś nie była w humorze. - Pułkownik Abad naprawił lisa?

Tyle razy już o tym rozmawiali. Raf nie wierzył, że właśnie w tym tkwi problem, lecz w kółko wracała do tematu.

- Zgadza się.

-Jak?

- Popatrzył mi do głowy i usunął usterkę w oprogramowaniu, która nie pozwalała lisowi pobierać pokarmu.

- Bolało?
- To był moment. Nim się obejrzałem, już było po sprawie.

36

Jon Courtenay Grimwood

- Ale pułkownik Abad tak naprawdę nie istnieje, co?
- Istnieje tak samo jak lis.

Hani patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Czyli jak?

Na każde następne pytanie było trudniej odpowiedzieć. Szczerze mówiąc, odpowiedź na to ostatnie wydawała się prawie niemożliwa. Program mający naśladować spryt i charyzmę dawno zmarłego rewolucjonisty z pewnością istniał. Najpierw dowodził Armią Obdartusów, potęp przeszedł na drugą stronę, a potem zrobił to ponownie. I tak kilka razy, jak sam przyznał.

Zdaniem ekspertów z „Washington Post”, inteligencją dorównywał człowiekowi, wobec czego był równie niebezpieczny. „Le Matin” polemizował z tą opinią, twierdząc, że to tylko komputerowy znawca taktyki wojskowej. W tym samym tonie wypowiadała się „Prawda”.

- Myślę, że on istnieje - odpowiedział Raf wymijająco.
- No tak, ty przecież myślisz, że lis też istnieje. - Hani zburzyła grzywkę, poirytowana.

Siedzieli przy stoliku przed kawiarnią, mimo że w tę chłodną pierwszą sobotę listopada wyszło na ulice mniej ludzi niż zwykle. Dał się wyciągnąć, bo wiedział, że ona chętnie tu posiedzi... Tak sądził.

- Mama Zary mówi, że jesteś szalony - stwierdziła z poważną miną, aczkolwiek patrzyła z ukosa, by sprawdzić, czy się nie zdenerwował.

Owszem, był zły, właściwie odkąd przed pięcioma dniami umorzono proces. Był też poniekąd zazdrosny. Rozsiadł się wygodniej i przymknął oczy. Zazdrościł Avatarowi, który odnalazł pułkownika. I wściekał się na Zarę, bo przez cały czas zdawała sobie sprawę z tego, czym zajmuje się Hani.

-Wujku Rafie...

Otworzył oczy.

- Przepraszam. No już dobrze... - Hani machnęła łyżeczką i przełknęła roztopione lody, jakby to miało coś zmienić. - Wiem,

t

mogłam ci powiedzieć.

- Otóż to, powinnaś... - Raf urwał w pół zdania. - Mniejsza z tym... - Były ważniejsze tematy. - Nie smakują ci już lody waniliowe?

Efendi

39

- Nie są złe. - Wzruszyła ramionami.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Dziewięcioletnia dziewczynka chwilę się zastanawiała.

- Wyrosłam z nich - odparła. - Tak bywa.

Na schodach powitał ich kamerdyner, którego Raf widział po raz pierwszy w życiu. Nawet jeśli zaskoczył go widok jasnowłosego młodzieńca w przeciwsłonecznych okularach i z perłowym kolczykiem w uchu, trzymającego za rękę czarnowłosą dziewczynkę, starał się tego nie okazywać. Prawie mu się udało.

- Aszraf al-Mansur - przedstawił się Raf.

- Przyszliśmy na przyjęcie - dodała Hani.

- Mogę wiedzieć, czy Jego Ekscelencja was oczekuje?

Jego Ekscelencja? A to dobre! Raf uśmiechnął się.

- To gubernator al-Iskandarijji - oświadczyła Hani, zniecierpliwiona. - On nie potrzebuje zaproszenia. - Uścisnęła dłoń Rafa, jakby się spodziewała, że rozgniewa go pytanie kamerdynera.

- Hamza mnie oczekuje... Nas oczekuje - poprawił się

Raf.

- To w porządku. - Mężczyzna odwrócił się i bezceremonialnie zostawił ich w progu.

Hani z westchnieniem wśliznęła się do środka.

- Anglik - powiedziała głośno, kiedy nadęty kamerdyner odchodził sztywno, jakby kij połknął. - Madame Rahina dostała go w nagrodę - dodała ciszej.

- Za co?

- Za to, że nie wpadła w histerię, gdy dowiedziała się o tobie i Avatarze. - Wydawać by się mogło, że to Hani jest osobą dorosłą, pouczającą małe dziecko, a nie na odwrót. - No chodź! - Nie czekając na powrót kamerdynera, pociągnęła za sobą Rafa w stronę bogato zdobionych drzwi salonu, zza których sączyły się przemieszane głosy.

Długi Salon w Villa Hamza, nazwany tak dla odróżnienia go od Kwadratowego Salonu piętro



wyżej, został urządzony według gustu madame Rahiny. W oczy rzucały się europejskie tapety w biało-zielone paski, kanapy obite złocistym aksamitem

f

3

Jon Courtenay Grimwood

i niby-perskie dywany z jakiegoś Axminster. Podobno tam je produkowano, z tego co mówił lis, który przedstawiał drobne ciekawostki na temat każdego przedmiotu, póki Raf nie kazał mu przestać.

- O, Aszraf...

Hamza efendi przystąpił do niego z wyciągniętą ręką i serdecznie uściskał mu dłoń.

- W końcu nas pan znalazł, co? - Tęgi mężczyzna zawahał się i uśmiechnął z własnej bezmyślności. - Ale to przecież oczywiste. Pan już tu przychodził.

- Owszem, wiele razy - zgodził się Raf.

- Ale nie tak często jak ja - wtrąciła rezolutnie Hani i śmignęła po dywanie ku Żarze, która z filiżanką herbaty Earl Grey rozmawiała chłodno z chedywem.

- O ile pamiętam, miała nie przestępować progu tego domu.

- Raf nie zastanawiał się nad swoimi słowami, co często mu się zdarzało, odkąd lis o wszystkim mu przypominał.

- Powiedziała panu?

Pokiwał głową.

- Parę miesięcy temu, gdy dostała lanie. Musiałem ją potem kurować.

- Później się o tym dowiedziałem - rzekł zdawkowo Hamza efendi.

- Miał pan inne rzeczy na głowie.

Miliarder przyjrzał się uważniej Rafowi, lecz nie dopatrzył się cienia sarkazmu.

- Rzeczywiście, to prawda. Jestem panu winien wdzięczność...

Raf cofnął się i zasłonił rękami.

- Robiłem za prokuratora - przypomniał.

- Aha - odezwał się St Cloud, który pojawił się przy nich zniemacka. - To tym się pan zajmował. Kto by powiedział...

- Uśmiechnął się do Rafa, ale ponieważ ten nie odwzajemnił uśmiechu, wzruszył ramionami i zgarnął z tacki kieliszek szampana.

Gdy młody kelner przystanął raptownie, zakłopotany tym, iż nie zorientował się, że szacowny gość chce się napić, starzejący się markiz wychylił zawartość kieliszka i sięgnął po następny.

Efendi

3

- Bardzo łaskawy, drogi chłopcze - rzekł figlarnie. - Nie sady pan - zwrócił się do Rafa - że nasz gospodarz powinien oszczędzić córce rozmowy z tym młodym półgłówkiem? - Skinieniem głowy wskazał kanapę, na której Zara siedziała z Taufikiem paszą; Hani tymczasem wierciła się niecierpliwie na poręczy.

- A może ona lubi z nim rozmawiać - zasugerował Raf.

Miliarder uniósł brwi i oddalił się, aby za radą St Clouda

uwolnić Zarę od towarzystwa paszy.

- Ile procent? - zapytał Raf, gdy tylko nie było przy nim Hamzy.

St Cloud przyjrzał mu się w milczeniu.

- Ile procent udziałów posiada pan w rafinerii Midas? - Raf nawet nie krył rozdrażnienia.

- Siedem, góra osiem... Dość, aby dzięki mnie Hamza mógł być szanowanym biznesmenem, i nie dość, by miało to uszczuplić jego wpływy. Wszystkie dane są opublikowane.

- I chciał pan więcej?

- Więcej? - St Cloud rozłożył ręce i uśmiechnął się ironicznie... choć tak, że Raf nie mógł być pewien, czy to z niego drwiono, czy też drwina nie była wystosowana pod niczym adresem. - Moi?

- Hamza wie, że to pan za tym stał?

- Za czym? Nawet gdyby to była prawda... - St Cloud wziął kieliszek z ręki Rafa i ponownie napił się szampana - ...a stanowczo twierdzą, że nie jest, to i tak, podobnie jak pan, nic nie mógłby mi zrobić. Radzę brać forszę i nie wracać do tego tematu. y \*

- Rozmawiacie o pieniądzach? - zapytał Ernst von Bismarck, kiedy zbliżył się do nich. Niemiecki ambasador nie wiedział, czy ukryć ciekawość pod maską zbulwersowania.

- O nagrodzie należącej się słusznie Aszrafowi bejowi - wyjaśnił St Cloud bez zmrużenia oka. - Na pewno będzie hojna. I być powinna, oczywiście.

- Ech, ci Arabowie - rzekł graf z poważną miną. - Nie lubią mieć długów. Musi pan coś od niego przyjąć. Mówią, że zrezygnował pan z nagrody za uratowanie panny Zary przed szaloną zabójczynią.

St Cloud roześmiał się.

Jon Courtenay Grimwood

- O której zabójczym mowa? - zapytał. - O tej idiotce z Thiergarten?

Graf puścił mimo uszu tę uwagę.

- Podobno Hamza efendi poczuł się dotknięty.

- Mam coś od niego przyjąć?

Ernst von Bismarck wyglądał na zaskoczonego.

- A myśli pan, że po co to wszystko? - Ogarnął spojrzeniem Zarę, Hamzę i chedywa, panią senator Liz, panią kapitan Bru-ford z SS „Jannah” i Generała Koeniga Paszę.

- Cud, że tak nagle wydobrzała - zauważył markiz. - Powinniśmy się z tego wszyscy cieszyć.

- 1 proszę nie zapominać o tych dwóch dziennikarzach

- dodał von Bismarck. Ich nazwiska i stacje nic dla niego nie znaczyły, jakby byli częściami jednego tworu. - Nie mogą się doczekać na wywiad z panem.

- Wywiad o cudownym uzdrowieniu miasta. - St Cloud wzruszył ramionami. - Trudno uwierzyć, że al-Iskandarijja tak szybko stanęła na nogach. Można by pomyśleć, że nie było tu tak źle, jak mówiono na świecie.

- Zapewniam pana - odezwał się Raf - że bomby elektromagnetyczne wyrządziły olbrzymie szkody.

- Nie wątpię w to. I wierzę, że ucierpiały wszystkie tramwaje i samochody, no i linie telefoniczne. Ale przecież to nie wszystko: wysiadły podstacje transformatorowe, rozdzielnie gazu, matryca informatyczna, źródła zasilania serwisów informacyjnych, nawet pompy głównego ujęcia wody pitnej... Wszędzie wszystko stanęło, jakby ktoś pociągnął za wielką wajchę.

- On wie - rzekł lis.

- E-bomby wybuchły naprawdę - dodał Raf z naciskiem.

- Ciągłe powtarzam - odparł Francuz - że nigdy w to nie wątpiłem. - Zakręcił kieliszkiem i odwrócił go do góry nogami, czym przywołał kelnera z nowymi zasobami szampana na srebrnej tacy.

- Na pewno zdaje pan sobie sprawę - rzekł von Bismarck

- że powrót Abada jest dla nas wielce kłopotliwy...

- A myślałem, że będziecie bić się o niego i udawać przyjaciół - odpowiedział Raf.

Sięgnąwszy po szampana, duszkiem wychylił kieliszek i wziął następny. - Czy nie na tym polega dyplomacja?

]

i

Efendi

3

- Taki młody, a taki cyniczny - mruknął St Cloud i zwrócił się do niemieckiego ambasadora: - W sprawie Abada nie ma żadnego „my”. Paryż nie maczał palców w wyprodukowaniu tego diabelstwa. I nie mieszał mu w obwodach.
- Niedługo będziecie mówić, że nie wiedzieliście o kryjówce Abada ani o jego istnieniu.
- Bo nie wiedzieliśmy. - Markiz wzruszył ramionami. - Przynajmniej nie oficjalnie, a tylko to się liczy. Proszę pamiętać, że bardzo chcemy wziąć udział w sądzeniu tego potwora.
- Zakładając, że dojdzie do procesu - odezwał się lis, lecz jego komentarz nie wywarł wrażenia na Rafie, ponieważ na drugim końcu salonu Hamza skinął głową na Avatara, który zastukał szklanką w drewnianą półkę nad kominkiem.
- Wasza Wysokość, panowie, panie... - Po „Waszej Wysokości” teoretycznie powinien wspomnieć o „ekscelencjach”, ale mimo posiadania tekstu, starannie przygotowanego przez Olgę, w ostatniej chwili postanowił mówić z głowy. I tak dobrze wiedział, co chce powiedzieć.

Poniekąd nadszedł czas zapłaty. Salon wypełnili notable, z których większość nie miała ochoty tu przychodzić, lecz wolała nie odmawiać. Należało do niego 27,3% udziałów w rafinerii Mi-das, dlatego właśnie St Cloud, marionetka służąca do poprawy wizerunku firmy, skręcał się z niepokoju w towarzystwie Aszrafa beja i młodego Niemca, siłąc się na żarty.

Szkoła św. Marka zabiegała o datki na fundusz stypendialny. Hamza dostrzegł dyrektora, nie rzucającego się w oczy członka zgromadzenia braci szkół chrześcijańskich, ubranego w tweedowy garnitur w ziemistoszarym kolorze. Słynna biblioteka nadal wymagała wymiany okien, co stało się oczywiste zwłaszcza po ostatnich ulewach'. Madame Syria uśmiechała się czule do Hani, choć wcześniej nie była taka skłonna do uśmiechu, gdy omawiała z Zarą problem finansowania koniecznych remontów.

Dwaj mocno zbudowani mężczyźni w garniturach, trzymający się blisko drzwi, stali na czele rodzin mafijnych z Karmusu i al-Anfuzi. Źle się czuli, zaproszeni na to samo przyjęcie co Muszin bej, minister policji, ale starali się nadrabiać miną.

- Wasza Wysokość, Wasze Ekscelencje, panie i panowie... - Hamza położył swą ciężką rękę na wąskich ramionach Ava-

ł

3\_Jon Courtenay Grimwood

tara. - Nie wydaje mi się, bym komuś z tu obecnych oficjalnie przedstawił mojego syna

Kamila.

- Avatara - sprostował młodzieniec, ale jakoś bez przekonania.

Po drugiej stronie obok chłopca stała madame Rahina, pochmurna jak niebo przed burzą. Na jej rękach wisały nowe i niechciane złote bransolety. Widać było, że Hamza nie zdaje sobie sprawy z jej wzbierającej złości, tak samo jak nie czuł łez płynących mu po policzkach.

- Bardzo sprytne. - Pani senator Liz podała Rafowi szam-pana.

Błyskawicznie zjawił się kelner, porwał brudny kieliszek i postawił go na przemieszczającej się w pobliżu srebrnej tacy. Zarówno on, jak i osoba z tacą prezentowali wszechstronny profesjonalizm, biorąc pod uwagę pistolety w kaburach pod pachami. Hamza, nawet jeśli zdarzyło mu się być ulubieńcem wszystkich, wołał nie ryzykować.

- Niby co?

- Zastosowanie wobec pułkownika aresztu prewencyjnego.

- Senatorka uśmiechała się blado. - Czy można sądzić sztuczną inteligencję za zbrodnie przeciwko ludzkości? - Wzruszyła ramionami. - Myślę, że dzięki panu wkrótce się dowiemy.

- Jeśli program komputerowy podlega ekstradycji - rzekł Raf niewinnym głosem.

Otworzyła usta i zapomniała je zamknąć.

- A nawet jeśli tak, chedyw raczej nie podpisze wymaganych papierów.

- Jak to?

- Pułkownik Abad wystąpił o azyl polityczny.

- Na jakiej podstawie?

- Twierdzi, że nie może liczyć na sprawiedliwy proces za granicą.

- A więc osądzi pan to-to w al-Iskandarijji. Osobiście, nie widzę przeszkód. Jeśli nie boi się pan użerać z tymi gadzinami.

- Zerknęła w stronę Nicka Richardsona z C3N. Przypadkiem pochwyciła jego spojrzenie, więc szybko się uśmiechnęła.

Efendi

37

\*\*\*

- Słyszałem, że zamierza pan postawić przed sądem pułkownika Abada - rzekł St Cloud pięć minut później, wytropiwszy Rafa na fotelu pod oknem, skąd rozciągał się widok na

szare wody Morza Śródziemnego. - Gdyby potrzebował pan pomocy Paryża...

Raf pokręcił głową.

- Nie będzie konieczna.
- Na pewno?
- Oczywiście. - Upił drobny łyk szampana z kieliszka, po którego raczej nie powinien już sięgać. - Nie mam wątpliwości.
- Jest pan bardzo pewny siebie, jak na tak młodego człowieka. - Markiz wzruszył ramionami. - To świadczy o pańskim szlachebnym urodzeniu. Mimo to pewna Niemka przekonywała mnie ostatnio, że podaje się pan za kogo innego, a z niewiadomych przyczyn nawet Koenig Pasza bierze udział w zмовie.
- Naprawdę? Chętnie bym z nią pogadał.
- Nie będzie łatwo. Umarła w piwnicy opuszczonego domu. Wcześniej ktoś poderżnął jej gardło.
- Widzisz teraz, jak to jest - odezwał się lis - kiedy budujesz swoje miasto na cmentarzu. Zmarli zapominają, że nie żyją.

Raf przytknął kieliszek do ust i spostrzegł zaskoczenie na twarzy St Clouda. A chodziło o to, że jego kieliszek znowu jest pusty.

Ludzie stojący obok dziwili się, gdy lis kazał mu raz jeszcze pstryknąć palcami, lecz lis nie dbał o to: był już bardzo zmęczony. Potrzebował szampana, a potem snu. Długiego, krzepiącego snu bez marzeń sennych. Ale przede wszystkim chciał, by przyjęcie skończyło się, nim Hamza przystąpi do następnych przemówień. Nim dojdzie do tego, że Raf go czymś obrazi.

-1 miała rację - ciągnął Raf, kiedy dostali z markizem nowe kieliszki, a młody, skrępowany kelner poszedł sobie. - Wcale nie kłamała. Nie jestem bejem. Al-Iskandarijja to nie moje miejsce. Nie nazywam się Aszraf al-Mansur...

Patrzył, jak Francuz odchodzi.

- Nawet wątpię, czy jestem Berberysem - dodał po cichu, do siebie. - Hani pewnie nie jest moją kuzynką. - Skierował spojrzenie na dziewczynkę stojącą obok Zary; słuchała czyjejs

376

Jon Courtenay Grim wood

rozmowy i gapiła się na niego. - Może jestem po prostu farcia-rzem...

- Wujku Aszrafie...

Zorientował się, że wszyscy spoglądają w jego kierunku. Zwłaszcza Hamza czekał na coś z nadzieją.

- On nie słuchał - zakomunikowała Hani z niejaką dumą.

- Być może rozmawiał ze swoim lisem.

- Z kim? - zdziwiła się Zara.

- To długa historia - odparła dziewczynka. - Zakręcona, mówię ci.

- No dobrze - zwróciła się do niego Zara. - Przyjmiesz tym razem pieniądze od taty?

- Nagrodę. - Uśmiech Hamzy jakby przygał.

- Nie. Wolałbym nie... - Od dokończenia zdania powstrzymała go udręka widoczna na twarzy Zary, która bała się, że Raf znowu zrani uczucia jej ojca. - Rzecz w tym... - Znów przerwał.

- Co ty powiesz! - fuknął lis. - Rzecz w czym?

- Rzecz w tym - podjął ostrożnie Raf- że moja kuzynka nie ma wiana. A ponieważ nie może posiadać osobistego majątku...

- Nie on ustanawiał prawa w al-Iskandariji i przestrzeganie ich na siłę zaczynało go już nużyć. - Pomyślałem sobie, że Jego Wysokość i Hamza efendi... mogliby stać się powiernikami...

Taufik pasza zdumiał się, lecz szybko opanował. Hamza promieniał.

- Chcesz, żeby cała nagroda przypadła Hani? - zapytała Zara.

Raf przytaknął i spostrzegł, że St Cloud kręci głową z niedowierzaniem.

- To duża suma pieniędzy. - Koenig Pasza miał wątpliwości.

- I dobrze - odparł Raf. - Może dzięki temu nie będzie musiała pakować się w kłopoty.

Hani pokazała mu język.

Po jakimś czasie, kiedy salon na nowo huczał od rozmów, przeważnie na temat wspaniałego bogactwa, jakim tak nagle obdarzono Hani, koło Rafa ponownie zjawił się markiz.

Efendi

- No cóż, nie bierze pan ode mnie łapówki i nie weźmie jej od Hamzy. To znaczy, że jest pan albo skończonym idiotą, albo człowiekiem bardziej niebezpiecznym, niż myślałem.

- Zadowolę się drinkiem.

- Chętnie bym się tym zajął, ale pańska ślicznotka uważa, że dość już pan wypił.
- Ma rację - rozbrzmiał w głowie Rafa znajomy głos.

On jednak kazał lisowi milczeć. W postawie St Clouda było coś takiego, co nakazywało maksymalne skupienie uwagi.

- 50 min dolarów - rzekł Francuz. - Tak łatwo pan rezygnuje?

Raf zmrużył oczy pod ciemnymi szklami okularów.

- Pieniądze to nie wszystko - powiedział chłodno. A życie?
- Może i nie. Jeśli będę musiał pana kupić, to chyba czymś innym niż gotówką.
- Nie jestem na sprzedaż.
- Każdy ma swoją cenę... - Markiz popatrzył bystro na niego i wzruszył ramionami z odrazą. - Chociaż tacy jak pan mają w dupie statystyki.

\*\*\*

- Jestem pod wrażeniem.
- A ja nie. - Raf rozejrzał się po nastrojowo oświetlonym salonie.

Eleganckie zaproszenia z połączanymi brzegami i formułkami ręcznie pisany na kredowym papierze informowały, że przyjęcie potrwa od 14:30 do 18:30. Teraz zbliżało się w pół do jedenastej. Raf nieco wytrzeźwiał, głównie za sprawą patentowych inhibitorów alkoholu. Póki co, nikt się nie zbierał do wyjścia.

- Boją się wychodzić - stwierdziła Zara.

Nie pytał, jak odgadła, co mu chodzi po głowie, po prostu przyjął to jako fakt, do którego musi przywyknąć. Podobnie jak do zapachu jej ciała i tego, że w znoszonych spodniach i jedwabnym, podobnym do kimona chińskim czeongsamie wygląda lepiej niż kobiety w strojach z najnowszej kolekcji Diora.

I jeszcze jedno. Ani razu nie próbowała odpędzić Hani, która przyczepiła się do niej zaraz po przyjściu i nie odstępowała

378\_Jon Courtenay Grimwood

jej ani na krok, aż wreszcie usnęła, głucha na to, co się wokół dzieje. Właśnie chińska sukienka Zary posłużyła za kocyk dla małej, która leżała zwinięta na kanapie.

- Wyjdź za mnie - rzekł Raf.

Tym razem Zara zmrużyła oczy.

- Chcesz się ze mną żenić, bo przykryłam Hani swoim ubraniem? - Uśmiechnęła się. - Widziałam, jak sprawdzasz, czy wszystko u niej w porządku - dodała tytułem wyjaśnienia. - I zauważyłam, że patrzysz na moją gęsią skórkę. Nie tylko ty potrafisz być detektywem.



- Skończyłem z tym. Dziesięć minut temu zrezygnowałem z funkcji naczelnika wydziału śledczego. Zastąpi mnie Ibrahim Osman. Rano chedyw wyznaczy nowego gubernatora.

- Koeniga Paszę?

- Chedyw chyba sam ma chrapkę na to stanowisko. Moim zdaniem, nigdzie nie napisano, że miasto potrzebuje gubernatora.

-1 nigdzie nie napisano, że potrzebuje chedywa. - Powiedziała to z zaskakującą werwą oraz szorstkością, której przedtem nie było.

- Oświadczył ci się, co? - Otworzyły mu się klapki na oczach.

- Owszem - odpowiedziała chłodno. - Mimo tego, że jestem twoją kochanką. Chyba po prostu nie mógł się powstrzymać... Tak czy inaczej, ten wieczór obfituje w zalotników.

- To może ja się wycofam - wtrącił szybko.

- Nie, nie rób tego. Odbierzesz mi satysfakcję z odrzucenia następnych oświadczeń.

- To ma być twoja odpowiedź?

Już miała pokiwać głową, kiedy z tłumu wyrwał się Hamza z madame Rahiną. Matka Zary przebrała się w nowe ubranie, lecz nadal miała na sobie wszystko od Diora i pachniała perfumami Chanel o numerze, którego zdobycie graniczyło z niemożliwością. Marszczyła czoło i z trudem powstrzymywała się od wybuchu, zde gustowana tym, że mąż ujął ją pod rękę.

- A wy co tu knujecie? - zapytał wesoło Hamza.

- Nic takiego. - Raf spojrział na Zarę. - Prosiłem ją, żeby za mnie wyszła.

Hamza spoważniał, gdy jego żona wyszarpnęła rękę. Na swoje nieszczęście, nawet wspinając się na czubki palców,

Efendi

9

madame Rahina była za niska, żeby dostrzec chedywa nad głowami gości.

- Stoi pod oknem - pomogła jej Zara. - Markotny jakiś.

- A więc jak, zgoda? - spytał Hamza. - Wychodzisz za Rafa? ,

Pokręciła głową.

- Wykluczone. Za to Hani ciągle mnie namawia, żebym się przeprowadziła do medresy al-Mansur.

Tą wiadomością zaskoczyła Rafa.

NAKŁADEM SOLARIS UKAZAŁY SIĘ M.IN.:

Pat Cadigan „Wgrzesznicy” A.C.Ciarke Award Harían Ellison „Ptak śmierci” Hugo, Nébula  
C.J. Cherryh „Cytecn” Hugo Andreas Eschbach „Wideo z Jezusem” Thomas R.P. Mielke  
„Sakriversum” Ben Bova „Mars”

Robert Silverberg „Pożeglować do Bizancjum” Hugo, Nébula Marina i Siergiej Diaczenko  
„Magom wszystko wolno” Maria Galina „Patrzący z ciemności” Steph Swainston „Rok naszej  
wojny”

W PRZYGOTOWANIU:

Pat Cadigan „Fools”

Kathleen Ann Goonan „Cresccnt City Rhapsody”

almanach „Kroki w nieznane”

John Crowley „Aegipt”

Ben Bova „Cicha wojna”

Juan Eslava Galan „Jednorożec”

Marcin Wolski „Zamach na Polskę”

Andreas Eschbach „Jeden bilion dolarów”

Siergiej Siniakin „Władczyni mórż”

KSIĄŻKI JONA COURTENAYA GRIMWOODA w SOLARIS:

„Pasza-zade. Pierwsza Arabeska” - w sprzedaży „Fellahowie” - w przygotowaniu